

AUTOR NAJLEPSZYCH POWIEŚCI
SZPIEGOWSKICH WSZECH CZASÓW

Daniel Silva

Dom szpiegów



Daniel Silva

Dom szpiegów

Tłumaczenie:
Barbara Budzianowska – Budrecka

Strzeżcie się furii człowieka cierpliwego.

John Dryden „Absalom i Achitophel”

CZĘŚĆ PIERWSZA

LUŻNA NIĆ

Bulwar Króla Saula, Tel Awiw

Jak na wydarzenie tak wyjątkowe i ryzykowne dla instytucji wszystko przebiegło bez rozgłosu, z zadziwiającą dyskrecją. Owszem, było dramatyczne oświadczenie transmitowane na żywo przez media, a po nim emocjonujące spotkanie nowego gabinetu. Odbyło się też huczne przyjęcie w Tyberiadzie, które Ari Szamron wydał w swej willi nad jeziorem Genezaret. Przybyli tam wszyscy przyjaciele i współpracownicy z czasów jego niezwyklej przeszłości – asy wywiadu, politycy, watykańscy duchowni, londyńscy marszandzi, a nawet słynny złodziej dzieł sztuki z Paryża. Pragnęli życzyć mu powodzenia. Poza tym jednak sprawa nie zwróciła większej uwagi. Jednego dnia za potężnym biurkiem z przydymionego szkła siedział Uzi Navot, a nazajutrz miejsce w gabinecie szefa zajął Gabriel. Poza tym nic się nie zmieniło. Znikło tylko nowoczesne biurko. Gabriel nigdy nie gustował w szkle.

Zdecydowanie wolał drewno. I to bardzo stare. A także obrazy. Szybko uświadomił sobie, że nie zdoła przetrwać dwunastu godzin dziennie w pokoju bez obrazów. Umieścił więc na ścianach parę własnych, bez podpisu, a także kilka dzieł swojej matki, za życia jednej z najwybitniejszych malarek Izraela. Powiesił nawet wielki abstrakcyjny olej pierwszej żony, Leah, namalowany w czasach, gdy oboje studiowali w Szkole Sztuk Pięknych Besaleel w Jerozolimie. Późnym popołudniem zdarzało się też słyszeć arie operowe dobiegające z piętra dyrekcji, najczęściej jego ulubioną „Cyganię”. Mogło to oznaczać tylko jedno. Gabriel Allon – księżę ognia, anioł zemsty, namaszczony następca Ariego Szamrona, zajął w końcu należne mu miejsce szefa tajnych służb wywiadu Państwa Izrael.

Ale jego poprzednik Uzi Navot zbyt się nie oddalił. Przeniósł się tylko na drugą stronę holu, do gabinetu, który w początkach Biura stanowił warowną twierdzę Szamrona. Nigdy dotąd były szef nie pracował pod jednym dachem ze swym następcą. Było to pogwałcenie niepodważalnych zasad tej instytucji, nakazujących raz na kilka lat oczyszczenie i przeoranie gleby. Zdarzało się wprawdzie, że byli szefowie nie rezygnowali z udziału w grze. Odwiedzali bulwar Króla Saula, snuli wspomnienia z czasów służby, udzielali rad, których nikt nie słuchał, i na ogół po prostu się ośmieszali. No i oczywiście był jeszcze wieczny Szamron. Krzew gorejący. To on stworzył od podstaw Biuro. Zrodziło się z jego wyobraźni. Nadał mu tożsamość, narzucił język i nadal uważał, że wtedy, gdy to konieczne, ma święte prawo do ingerencji w jego sprawy. To on obdarzył Navota funkcją szefa, a gdy nadszedł czas, pozbawił go urzędu.

Ale to Gabriel zażądał, by Navot pozostał w firmie, zachowując wszystkie przywileje, jakie przysługiwały mu w poprzednim wcieleniu. Korzystali z pomocy tej samej sekretarki, wspaniałej Orit, zwanej przez pracowników Żelazną Twierdzą, gdyż potrafiła odpierać niepożądanych gości ze skutecznością baterii przeciwrakietowej. Navot zachował ponadto swój służbowy samochód, a także komplet ochrony. Spowodowało to nawet nieprzychylny komentarze w Knesecie, ale w końcu zostało uznane za niezbędną

cenę spokoju. Jego funkcja była dość niejasna, lecz nikogo to w Biurze nie dziwiło. W końcu pracowali tu zawodowi kłamcy. Prawdą dzielili się tylko między sobą. Wszyscy inni – ich żony, dzieci, obywatele, których przysięgli chronić – znali jedynie ich maski.

Gdy drzwi ich gabinetów stały otworem, co było zjawiskiem powszednim, Gabriel i Navot widzieli się nawzajem przez hol. Codziennie wczesnym rankiem rozmawiali przez bezpieczną linię, później jedli razem lunch, czasem w biurowej kantine, a czasem w gabinecie, wieczorami zaś spędzali kilka spokojnych chwil przy dźwiękach ulubionych oper Gabriela, czego Navot mimo swego kulturalnego wiedeńskiego pochodzenia serdecznie nie znosił. Nie rozumiał muzyki, a malarstwo go nudziło. Poza tym jednak byli całkowicie zgodni we wszystkich sprawach, a już na pewno tych, które dotyczyły Biura i bezpieczeństwa Państwa Izrael. Zgodnie z postawionym przez siebie warunkiem Navot miał dostęp do Gabriela w dowolnym czasie, a także prawo uczestnictwa we wszystkich ważnych zebraniach kierownictwa. Zazwyczaj milczał jak Sfinks z nieodgadnionym wyrazem twarzy, krzyżując swe potężne ramiona na atletycznej piersi. Czasem jednak zdarzało mu się dokończyć za Gabriela jakieś zdanie, jakby pragnął podkreślić wobec wszystkich obecnych, że nie dzieli ich nawet cień różnicy. Byli jak Boaz i Jachin, bliźniacze kolumny u wejścia do Pierwszej Świątyni Jerozolimskiej, i każdy, kto zechciałby ich poróżnić, gorzko by tego pożałował. Gabriel nie pozował na szefa, ale przecież nim był, i nigdy nie tolerowałby intryg na swym dworze.

Zresztą nie wchodziło to w rachubę, gdyż ci, którzy tworzyli kadre kierowniczą, znali się jak łyse konie. Wszyscy bowiem wywodzili się z elitarniej jednostki Barak, która przeprowadziła kilka z najtrudniejszych operacji w historii tego legendarnego wywiadu. Przez lata pracowali w zagraconej suterenie, służącej ongiś za skład starych mebli i sprzętu. Teraz zajmowali szereg pokoi, które ciągnęły się wzdłuż korytarza, począwszy od gabinetu Gabriela. Nawet Eli Lavon, jeden z najwybitniejszych biblijnych archeologów Izraela, zgodził się porzucić stanowisko wykładowcy na Uniwersytecie Hebrajskim, by powrócić do pełnoetatowej pracy w Biurze. Teoretycznie miał nadzorować obserwatorów, kieszonkowców i specjalistów od instalacji podsłuchu oraz ukrytych kamer. W rzeczywistości jednak Gabriel korzystał z jego umiejętności na różne sposoby. Ten mistrz obserwacji fizycznej, najlepszy w dziejach Biura, towarzyszył mu od czasów operacji Gniew Boży. Jego mała klatka wypełniona skorupami antycznej ceramiki, a także starożytnymi monetami i narzędziami, była miejscem, w którym Gabriel często szukał chwili spokoju. Lavon nie mówił wiele. I podobnie jak Gabrielowi, najlepiej mu się pracowało w mroku i milczeniu.

Kilku starszych pracowników miało wątpliwości, czy Gabriel słusznie wprowadza do kierownictwa tak licznych uczestników i świadków swej chwalebnej przeszłości. Na ogół jednak nie zdradzali tych zastrzeżeń. Żaden bowiem z dyrektorów generalnych, oczywiście poza Szamronem, nie posiadał większego doświadczenia i lepszej opinii. Gabriel działał w tej branży dłużej niż ktokolwiek inny i zebrał na swej drodze bogatą kolekcję znajomych i współników. Brytyjski premier zawdzięczał mu karierę, a papież – życie. Nie należał on jednak do tych, którzy bez cienia wstydu wykorzystują stare długie wdzięczności. Człowiek prawdziwie silny, mawiał Szamron, nie prosi o przysługi. Nie musi.

Ale miał również wrogów. Tych, którzy zniszczyli życie jego pierwszej żony i próbowali zabić drugą. Wrogów w Moskwie i Teheranie, dla których był jedyną przeszkodą w drodze do spełnienia ambicji. Chwilowo ich pokonał, nie ulegało jednak wątpliwości, że powrócą. Tak samo jak mężczyzna, z którym podjął swoją ostatnią walkę. I to właśnie on zajmował pierwsze miejsce na liście zadań nowego dyrektora generalnego. Komputery Biura przypisały mu przypadkowo wygenerowane imię. Ale za chronionymi szyfrem drzwiami budynku przy bulwarze Króla Saula Gabriel i nowe kierownictwo używali historycznego pseudonimu, który ten człowiek sam sobie nadał. Saladyn... Mówili o nim ściszym głosem i nie bez poważnych obaw. Wiedzieli, że zaatakuje. Było to tylko kwestią czasu.

Wśród sojusznicznych służb wywiadu krążyła pewna fotografia. Zdołał ją zrobić agent CIA w paragwajskim mieście Ciudad del Este, na terytorium cieszącej się złą sławą potrójnej granicy w Ameryce Południowej. Przedstawiała wysokiego, mocno zbudowanego mężczyznę o wyglądzie Araba, który siedział przy stoliku przed kawiarnią, sącząc kawę w towarzystwie pewnego libańskiego kupca podejrzanego o związki z globalnym dżihadyzmem. Kąt widzenia kamery uniemożliwił komputerowe odtworzenie twarzy. Gabriel jednak, obdarzony najlepszą pamięcią wzrokową w całej branży, miał pewność, że to Saladyn. Widział go na własne oczy w holu Four Seasons w Waszyngtonie dwa dni przed najbardziej krwawym atakiem terrorystycznym na Amerykę od 11 września 2001 roku. Wiedział, jak Saladyn wygląda, wyczuwał jego zapach, a nawet ruch powietrza, gdy wchodził i wychodził z pokoju. Znał też chód Saladyna, który podobnie jak jego wielki poprzednik silnie utykał. Było to następstwem rany od szrapnela, opatrzonej za pomocą prymitywnych środków w domu o licznych pokojach i podwórzach, położonym w północnym Iraku nieopodal Mosulu. To kalectwo stało się teraz jego znakiem rozpoznawczym. Zewnętrzny wygląd człowieka można zmienić na wiele sposobów. Można obciąć lub ufarbować włosy, można poddać twarz operacji plastycznej, ale jego ułomność była nieodwracalna.

Sposób, w jaki zdołał uciec z Ameryki, stanowił temat niekończących się dociekań, a wszelkie wysiłki ustalenia miejsca jego pobytu wiodły donikąd. Wedle różnych doniesień widziano go w Asunción, Santiago i Buenos Aires. Pojawiły się nawet pogłoski, że znalazł azyl w Bariloche, argentyńskiej miejscowości narciarskiej uwielbianej przez zbiegłych niemieckich zbrodniarzy wojennych. Gabriel bez namysłu odrzucił tę hipotezę. Skłaniał się natomiast do poglądu, że Saladyn ukrywa się w miejscu gęsto zaludnionym. Gdziekolwiek zresztą się znajdował, planował kolejny krok. Co do tego nie było cienia wątpliwości.

Ostatni atak na Waszyngton pozostawił po sobie ruiny budynków i pomników oraz przerażającą liczbę ofiar. Saladyn stał się nową twarzą islamskiego terroru. Co jeszcze krył w zanadrzu? Amerykański prezydent w jednym z ostatnich wywiadów swej kadencji oświadczył, że Saladyn utracił zdolność przeprowadzenia operacji na większą skalę i że militarna reakcja USA rozniosła na strzępy jego ongiś imponującą siatkę. On tymczasem zorganizował w odpowiedzi samobójczy zamach przed ambasadą USA w Kairze. Biały Dom zlekceważył to wydarzenie. Incydent z niewielką liczbą ofiar, wśród których nie było obywateli amerykańskich, nie zasłużył na uwagę. Ot, desperacki akt człowieka, który

wypadł z gry.

Być może, ale nastąpiły inne zamachy. Saladyn uderzał w Turcję praktycznie w dowolnym miejscu i okolicznościach – na weselach, w autobusach, na publicznych placach i ruchliwym lotnisku w Stambule – a jego wyznawcy w Europie Zachodniej, traktujący go z religijną czcią, samotnie przeprowadzili serie zamachów, zbierając obfite żniwo śmierci we Francji, w Belgii i w Niemczech. Ale na horyzoncie majaczyło coś znacznie większego, dobrze zorganizowanego i równie przerażającego jak zamach na Waszyngton.

Tylko co i gdzie? Kolejny atak na Amerykę zdawał się mało prawdopodobny. Eksperci powtarzali, że piorun nie uderza dwukrotnie w to samo miejsce. W końcu jednak miejsce, które Saladyn wybrał na swój wielki występ, nie zaskoczyło nikogo, zwłaszcza tych, którzy zawodowo zwalczają terroryzm. Mimo upodobania do tajemnic Saladyn kochał scenę. A czy może być lepsza niż West End w Londynie?

St. James's, Londyn

Może to i prawda, może ten glob istotnie się rozpada? – myślał Julian Isherwood, patrząc na czarne niebo i chłostane wichrem strumienie ulewy. Huragan w Londynie? W środku lutego? Wysoki Isherwood o nieco chwiejnych ruchach nie miał naturalnych warunków, by stawić czoła podobnym okolicznościom. W tej chwili chował się przed deszczem w drzwiach restauracji Wilton's przy Jermyn Street – miejscu, gdzie często bywał. Podciągnął rękaw mackintosha i zmarszczył brwi, patrząc na zegarek. Była dziewiętnasta czterdzieści. Spóźniał się. Spojrzał na ulicę, wypatrując taksówki, ale wszystkie zniknęły.

Od strony restauracyjnego baru dobiegł go czyjś wymuszony śmiech, a po nim dudniący baryton, który mógł należeć jedynie do tego tłuściocha Olivera Dimbleby'ego. Restauracja Wilton's była teraz główną jadłodajnią niewielkiej grupy marszandów handlujących dziełami starych mistrzów w wąskich uliczkach St. James's. W swoim czasie ich ulubionym żerowiskiem były restauracja Green's i Oyster Bar przy Duke Street. Ale Green's musiała zamknąć swe podwoje w następstwie sporu z firmą, która dysponowała potężnym portfolio królewskich nieruchomości w Londynie. Było to zjawisko typowe dla zmian, które dotknęły całą okolicę oraz londyński świat sztuki. Starzy mistrzowie wyszli z mody. Współcześni kolekcjonerzy – globalni miliarderzy, których fortuny powstawały z dnia na dzień dzięki mediom społecznościowym i aplikacjom do iPhone'ów – interesowali się wyłącznie sztuką współczesną. Nawet impresjoniści stawali się *passé*. Isherwood sprzedał zaledwie dwa obrazy od początku roku, oba średniej klasy, niezbyt znanej szkoły i przeciętnych walorów. Oliver Dimbleby nie sprzedał nic w ciągu ostatniego półrocza, podobnie jak Roddy Hutchinson, który powszechnie uchodził za najbardziej pozbawionego skrupułów handlarza w Londynie. Wszyscy oni co wieczór zbierali się przy barze w Wilton's, by zapewniać się nawzajem, że wkrótce zła passa dobiegnie końca. Ale Julian Isherwood obawiał się, że może być inaczej. I to nawet już niedługo.

Przeszedł w życiu wiele ciężkich chwil. Jego angielski sposób bycia, na wskroś angielski wygląd i angielski rdzeń nazwiska maskowały to, że nie był, przynajmniej z pochodzenia, rodowitym Anglikiem. Owszem, miał brytyjski paszport i takąż narodowość, ale urodził się w Niemczech, wyrósł we Francji, a z wyznania był żydem. Jedynie garstka zaufanych przyjaciół wiedziała, że Isherwood jako dziecko w 1942 roku dotarł do Londynu jedynie dzięki temu, że para baskijskich pasterzy przeniosła go przez śniegi Pirenejów. Jego ojciec, znany paryski marszand dzieł sztuki Samuel Isakowicz, został zamordowany w Sobiborze – niemieckim obozie śmierci – razem ze swą żoną, a matką chłopca. I choć sam Isherwood głęboko ukrywał tajemnicę swej przeszłości, historia jego dramatycznej ucieczki z okupowanej przez Niemców Francji nie umknęła uwadze wywiadu izraelskiego. Kiedy w latach siedemdziesiątych XX wieku nasiliła się fala palestyńskich ataków terrorystycznych na izraelskie cele w Europie, Isherwood został

zwerbowany jako *sajan*, czyli wolontariusz. Miał tylko jedno zadanie – zbudować i uwiarygodnić operacyjną tożsamość pewnego konserwatora dzieł sztuki, a zarazem zawodowego zabójcy, który nazywał się Gabriel Allon. Z upływem lat ich kariery wyraźnie się rozeszły. Gabriel był teraz szefem wywiadu izraelskiego, człowiekiem potężnych wpływów i możliwości. A Isherwood? Stał w wejściu do Wilton's przy Jermyn Street smagany zachodnim wiatrem i lekko wstawiony, czekając na taksówkę, która nie nadjeżdżała.

Po raz drugi spojrzął na zegarek. Była dziewiętnasta czterdzieści trzy. Z braku parasola osłonił głowę starą skórzaną teczką i brnąc po kostki w wodzie, ruszył w stronę Picadilly. Po kolejnych pięciu minutach spędzonych w strugach deszczu, przemoczony do nitki, opadł w końcu na tylne siedzenie taksówki. Podał kierowcy przybliżony adres, wstydząc się ujawnić swój prawdziwy cel, i z niepokojem zerkał na zegarek, gdy taksówka pędziła w stronę Picadilly Circus. W końcu skręciła w Shaftesbury Avenue i dokładnie o ósmej dotarła do Charing Cross. Isherwood wiedział, że przekroczył czas rezerwacji.

Zapewne powinien telefonicznie uprzedzić o spóźnieniu, wołał jednak nie ryzykować. Szef sali mógłby skorzystać z okazji i oddać jego stolik innym chętnym. Zdobył go po miesiącu błagań oraz przekupstw i nie zamierzał tracić z powodu nieroztropnego telefonu. Zresztą przy odrobinie szczęścia Fiona mogła już tam być. To jedna z rzeczy, które najbardziej w niej lubił. Punktualność. Lubiał również jej blond włosy, niebieskie oczy, długie nogi i jej wiek – miała trzydzieści sześć lat. W gruncie rzeczy w tej chwili nie potrafił znaleźć niczego, czego by nie lubił w Fionie Gardner. I dlatego poświęcił tak wiele cennego czasu i trudu, by zdobyć rezerwację w restauracji, do której sam by nigdy nie wszedł.

Upłynęło kolejnych pięć minut, nim taksówka w końcu dotarła przed teatr St. Martin's, gdzie „Pułapka na myszy” Agaty Christie nie schodziła z afisza. Szybkim krokiem przeciął West Street, kierując się do swego prawdziwego celu – słynnej Ivy. Szef sali poinformował go, że panna Gardner jeszcze nie przybyła, a jego stolik był cudem nadal wolny. Isherwood podał prochowiec szatniarce, po czym został zaprowadzony na miejsce z widokiem na Litchfield Street.

Siedząc samotnie, patrzył z niechęcią na swe odbicie w szybie. W garniturze z Savile Row, szkarłatnym krawacie i z gęstwiną siwych loków był postacią elegancką, choć nieco podejrzaną, uosobieniem – jak mawiał – nobliwej nieprawości. Trudno jednak zaprzeczyć, że osiągnął wiek, który specjaliści od zarządzania masą spadkową określają mianem „jesieni życia”. Nie, jestem po prostu stary, pomyślał ze smutkiem. O wiele za stary, by oczekiwać względów kobiet takich jak Fiona Gardner. Ile ich jeszcze było? Studentek akademii sztuk pięknych, recepcjonistek, młodych kustoszek galerii, ślicznych dziewcząt z Christie's i Sotheby's, które przyjmowały telefoniczne oferty. Nie, Isherwood nie był kolekcjonerem miłosnych trofeów. On je wszystkie naprawdę kochał, podobnie jak kochał sztukę. Wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, miłość na wieki, „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Problem polegał na tym, że nigdy jej nie znalazł.

Przypomniał sobie nagle pewne, nie tak dawne zresztą, popołudnie w Wenecji. Stolik w kącie baru U Harry'ego, Bellini i... Gabriel. To on mu powiedział, że nie jest za

późno, że wciąż się może ożenić i zostać ojcem, mieć dziecko, a nawet dwoje. Postarzała twarz w szybie pragnęła doznać przemiany.

– Dawno już przekroczyłem termin przydatności – westchnął z rezygnacją. Umrze samotny, a jego żoną na zawsze pozostanie galeria.

Znów zerknął na zegarek. Dwudziesta piętnaście. Fiona się spóźnia. To nie w jej stylu. Wygrzebał komórkę z przedniej kieszeni marynarki i dostrzegł, że dostał wiadomość: „Wybacz, Julianie, ale niestety nie będę mogła...”. Dalej już nie czytał. Może to i lepiej, pomyślał. Oszczędzi mu to cierpienie złamanego serca. A co więcej, nie zrobi z siebie znowu idiota.

Wsunął telefon z powrotem do kieszeni, zastanawiając się, co dalej. Mógłby zostać i samotnie zjeść kolację lub po prostu wyjść. Wybrał drugą z tych możliwości. Nikt nie przychodzi do Ivy, by siedzieć tu samotnie. Wstał, poprosił o płaszcz i mamrocząc do szefa sali jakieś przeprosiny, szybko wyszedł na ulicę. Niemal jednocześnie przed teatrem St. Martin’s zatrzymał się biały ford transit. Z furgonetki błyskawicznie wyskoczył kierowca w dwurzędowej marynarskiej kurtce z wełny. Trzymał w ręku coś, co wyglądało jak karabin. Ale nie był to zwykły karabin, lecz bojowy automat, pomyślał Isherwood. Jednocześnie z tyłu furgonetki wyłonili się czterej inni mężczyźni, wszyscy w grubych kurtkach, z takimi samymi karabinami. Isherwood nie wierzył własnym oczom. Miał wrażenie, że patrzy na film. Tyle tylko że widział ten film wcześniej – w Paryżu i w Waszyngtonie.

Pięciu mężczyzn ruszyło w stronę drzwi teatru w zwartym bojowym szyku. Nastąpił trzask łamanego drewna, a potem odgłos wystrzałów. Dopiero po kilku sekundach rozległy się pierwsze krzyki, zduszone i odległe. Isherwood słyszał je czasami w koszmarach sennych. Znów pomyślał o Gabrielu, zastanawiając się, co zrobiłby w podobnej sytuacji. Oczywiście rzuciłby się bez wahania w stronę teatru i ocalił tyle osób, ile to możliwe. Ale Isherwood nie miał jego odwagi i umiejętności. Nie był bohaterem. Wręcz przeciwnie.

Przeraźliwe krzyki brzmiały coraz głośniejsze. Isherwood wyjął telefon, połączył się z numerem alarmowym i zgłosił, że teatr St. Martin’s padł ofiarą zamachu terrorystycznego. Potem odwrócił się i spojrzał na modną restaurację, którą właśnie opuścił. Jej uprzywilejowani bywalcy zdawali się nieświadomi rzezi, która dokonywała się kilka kroków dalej. Pomyślał, że napastnicy nie zadowolą się pojedynczą masakrą. Następnym etapem będzie kultowa Ivy.

Po raz drugi w tym dniu rozważył swoje możliwości. Znów miał do wyboru dwie. Mógł rzucić się do ucieczki lub pospieszyć ofiarom na ratunek. Decyzja, która podjął, była najłatwiejsza w całym jego życiu. Gdy biegł przez ulicę, od strony Charing Cross Road dobiegł go odgłos wybuchu. Po nim następny, a potem jeszcze jeden. Nie jestem bohaterem, myślał, wpadając w drzwi Ivy i wymachując rękami jak szaleniec, ale mogę zachować się jak bohater. Choćby tylko przez krótką chwilę. Może jednak Gabriel miał rację? Może jeszcze nie jest za późno?

Vauxhall Cross, Londyn

Było ich dwunastu. Arabowie i Afrykańczycy z pochodzenia, lecz z europejskimi paszportami. Wszyscy spędzili jakiś czas w kalifacie ISIS, między innymi w zniszczonym teraz ośrodku szkoleniowym w pobliżu starożytnej Palmyry, i wszyscy wrócili do Europy, uchodząc czujności władz. Później ustalono, że otrzymywali rozkazy poprzez Telegram – zlokalizowany w chmurze darmowy komunikator umożliwiający szyfrowanie wiadomości. Podawano im tylko adres, datę i godzinę, o której mieli się stawić. Nie wiedzieli, że nie tylko oni otrzymują podobne instrukcje, ani też że stanowią część większego spisku. W gruncie rzeczy nie wiedzieli nawet, że jakiś spisek istnieje.

Docierali do Zjednoczonego Królestwa pojedynczo, pociągami i promami. Dwóm lub trzem zadano na granicy jakieś pytania, resztę powitano z otwartymi ramionami. Czterech skierowało się do Luton, czterech do Harlow i czterech do Gravesend. We wszystkich tych miejscach oczekiwał ich zamieszkały na stałe w Wielkiej Brytanii członek siatki. Czekala tam również broń – kamizelki z materiałami wybuchowymi i karabiny bojowe. Każda z kamizelek zawierała kilogram TATP-u, wrażliwej substancji o potężnej sile wybuchu, do produkcji której używano zmywacza do paznokci i wody utlenionej. Karabiny bojowe AK-47 pochodziły z fabryki na Białorusi.

Brytyjscy koordynatorzy krótko instruowali członków komórek szturmowych na temat ich zadań i celu misji. Planowana operacja nie wymagała udziału zamachowców samobójców, lecz gotowych na śmierć wojowników. Wyposażeni w automaty mieli zabić tylu niewiernych, ilu tylko zdołali. I dopiero w ostateczności, osaczeni przez policję, mogli zdetonować kamizelki. Ich celem nie było zniszczenie budynków czy pomników, lecz rozlew krwi. Nie robili różnic między mężczyznami i kobietami, dorosłymi i dziećmi. Nie znali litości.

Późnym popołudniem członkowie trzech komórek – w Luton, Harlow i Gravesend – zjedli wspólnie ostatni posiłek, po czym dokonali rytualnego przygotowania ciał na śmierć. Na koniec, o siódmej wieczorem, wsiedli do trzech identycznych białych furgonetek marki Ford Transit. Brytyjscy rezydenci prowadzili, wojownicy – w kamizelkach i z karabinami – siedzieli z tyłu. Żadna z komórek nie wiedziała o istnieniu innych, ale wszystkie kierowały się w stronę londyńskiego West Endu, by zgodnie z nadrzędnym planem zaatakować o tej samej porze. Punktualność była znakiem firmowym Saladyna. Wierzył, że zarówno w aktach terroru, jak i w życiu, wycucie czasu ma decydujące znaczenie.

Szacowny Teatr Garricka przetrwał światowe wojny, wielki kryzys, zimną wojnę i królewską abdykację. Nigdy jednak nie doświadczył niczego, co można by porównać z tym, co wydarzyło się o dwudziestej dwadzieścia tego wieczoru, gdy wtargnęło tam pięciu terrorystów ISIS i zaczęło strzelać do widowni. W ciągu pierwszych trzydziestu sekund zginęło ponad sto osób, a kolejnych sto poniosło śmierć w następnych pięciu minutach, kiedy to napastnicy metodycznie przesuwali się przez salę teatralną, nie

omijając żadnego rzędu ani fotela. Około dwustu szczęściarzy zdołało uciec bocznymi i tylnymi drzwiami, łącznie z całą obsadą aktorską i obsługą sceny. Wielu z nich już nigdy nie podjęło pracy w teatrze.

Terrorysty opuścili teatr po siedmiu minutach, by natknąć się na zewnątrz na dwóch nieuzbrojonych funkcjonariuszy Londyńskiej Policji Metropolitalnej. Zabili obu i ruszyli na Irving Street. Tam, przesuając się od restauracji do restauracji, mordowali każdą napotkaną osobę do momentu, gdy na skraju Leicester Square interwencję podjęła para funkcjonariuszy ze specjalnej jednostki policji. Dysponowali oni wprawdzie jedynie glockami 17, kaliber 9mm, ale i tak zastrzelili dwóch spośród zamachowców, zanim ci zdołali zdetonować swoje kamizelki. Dwaj, którzy przeżyli, wysadzili się w holu przepastnego kina Odeon, a trzeci w pełnej ludzi włoskiej restauracji. Była to zaledwie jedna odłona ataku, a zginęło w niej blisko czterysta osób, co stanowiło największą liczbę ofiar śmiertelnych zamachu w historii Wielkiej Brytanii, większą nawet, niż spowodowała eksplozja na pokładzie samolotu Pan Am, rejs 103, do której doszło w 1988 roku nad szkockim Lockerbie.

Niestety owa pięcioosobowa komórka nie była osamotniona. Druga grupa, ta z Luton, jak okazało się później, zaatakowała Teatr Księcia Edwarda również o dwudziestej dwadzieścia, w trakcie spektaklu „Miss Sajgon”. Sala była tu znacznie większa niż w Teatrze Garricka, gdyż miała tysiąc sześćset, a nie sześćset pięćdziesiąt sześć miejsc. Dlatego liczba ofiar znacznie przewyższała poprzednią. Ponadto wszystkich pięciu terrorystów zdetonowało swoje kamizelki w barach i restauracjach położonych przy Old Compton Street. W ciągu sześciu minut zginęło ponad pięćset osób.

Trzecim celem był St. Martin's. Pięciu terrorystów zaatakowało dokładnie o dwudziestej dwadzieścia. Tym razem jednak wkroczyła jednostka specjalna. Później okazało się, że pewien przechodzień, w którym z czasem rozpoznano znanego londyńskiego marszanda, zaalarmował władze sekundy po wtargnięciu napastników do teatru. Ten sam marszand aktywnie pomagał w ewakuacji gości z restauracji Ivy, dzięki czemu zginęły tam jedynie osiemdziesiąt cztery osoby. Gdyby to się wydarzyło innego wieczoru i w innym mieście, liczba ofiar byłaby niewyobrażalna. Należało dziękować Bogu. Niemniej Saladyń uderzył w serce Londynu i odtąd Londyn nigdy już nie miał być taki sam.

Skala nieszczęścia ujawniła się w pełni dopiero następnego ranka. Większość zabitych leżała tam, gdzie zginęła, a wielu nadal siedziało na wykupionych miejscach. Komendant Londyńskiej Policji Metropolitalnej uznał cały West End za miejsce zbrodni i zaapelował, by zarówno londyńczycy, jak i turyści unikali tej dzielnicy. Ze względów bezpieczeństwa metro przestało kursować, a instytucje publiczne i domy handlowe zamknięto. Londyńska giełda otworzyła się wprawdzie o czasie, ale transakcje zawieszono, gdyż doszło do gwałtownych spadków akcji. Straty finansowe okazały się równie katastrofalne jak ofiary w ludziach.

Względy bezpieczeństwa zdecydowały także o tym, że premier Jonathan Lancaster dopiero w południe wybrał się w rejon objęty atakiem. Z towarzyszącą mu małżonką Dianą przeszedł pieszo od Teatru Garricka do Teatru Księcia Edwarda, a potem do St. Martin's. Następnie, stając na Leicester Square przed prowizorycznym posterunkiem

policji, udzielił krótkiej wypowiedzi dla mediów. Blady i wstrząśnięty zapewnił, że ręka sprawiedliwości dosięgnie zbrodniarzy.

– Wróg jest zdeterminowany – oświadczył. – Ale my też.

Tymczasem wróg zachowywał dziwne milczenie. Owszem, pojawiło się kilka triumfalnych wpisów na popularnych stronach ugrupowań ekstremistycznych, ale centralne dowództwo ISIS nie podpisało się pod żadnym z nich. W końcu jednak o siedemnastej czasu londyńskiego na jednym z wielu tweetów tej organizacji oficjalnie potwierdzono odpowiedzialność za zamach i zamieszczono zdjęcia piętnastu terrorystów, którzy go dokonali. Kilku analityków terroryzmu wyraziło zdziwienie, że w oświadczeniu nie ma wzmianki o niejakiem Saladynie. Ale najbardziej wtajemniczeni nie byli tym zaskoczeni. Saladyn, mówili, jest mistrzem. I jak wielu mistrzów nie lubi podpisywać się pod swym dziełem.

O ile pierwszy dzień przepełniony był zalem i poczuciem solidarności, już na drugi pojawiły się różnice zdań i oskarżenia. W Izbie Gmin kilku członków opozycji obwiniąło premiera i szefów służb specjalnych o to, że nie zdołali udaremnić zamachu. Nade wszystko jednak usiłowano dociec, jak to możliwe, by w kraju mającym jedno z najbardziej drakońskich praw dotyczących posiadania i kupowania broni terroryści weszli w posiadanie karabinów bojowych. Szef komórki antyterrorystycznej Londyńskiej Policji Metropolitalnej wydał w tej kwestii oświadczenie, podobnie jak Amanda Wallace, dyrektor generalna kontrwywiadu MI5. Natomiast Graham Seymour, szef Secret Intelligence Service, służb specjalnych znanych jako MI6, wołał zachować milczenie. Do niedawna rząd brytyjski nie potwierdzał istnienia MI6 i żaden minister o zdrowych zmysłach nie odważyłby się na publiczne ujawnienie nazwiska szefa wywiadu. Seymour przedkładał stare obyczaje nad nowe. Był urodzonym i dobrze wyszkolonym szpiegiem. A żaden szpieg nie zdradza własnej tożsamości tam, gdzie wystarczy zręczny przeciek wykorzystany przez znajomego reportera.

Odpowiedzialność za ochronę brytyjskiej ziemi przed terroryzmem spoczywa głównie na MI5, policji metropolitalnej oraz Centrum Antyterrorystycznym. Niemniej tajne służby wywiadu mają do odegrania ważną rolę polegającą na wykryciu spisków za granicą, zanim te dotrą do brytyjskich wybrzeży. Graham Seymour wielokrotnie ostrzegał premiera, że atak ISIS na Zjednoczone Królestwo jest bliski, ale jego agenci nie zdołali przedstawić żadnych aktualnych konkretnych dowodów na potwierdzenie tej tezy. Dlatego atak na Londyn, który pochłonął horrendalną liczbę ofiar, Seymour uznał za największą klęskę w swej długiej i chlubnej karierze.

Gdy terroryści dokonywali rzezi, przebywał w swym wspaniałym biurze na najwyższym piętrze Vauxhall Cross, skąd widział błyski eksplozji, a w ponurych dniach, które nastąpiły potem, rzadko opuszczał swój gabinet. Najbliżsi współpracownicy błagali, by choć na chwilę się zdrzemnął, a prywatnie wyrażali niepokój na widok jego skrajnego wyczerpania. Seymour krótko odpowiadał, że powinni się raczej zająć poszukiwaniem jakiejś istotnej informacji, która pozwoliłaby zapobiec następnemu atakowi. Pragnął uchwycić przynajmniej luźną nić, znaleźć kogoś z siatki Saladyna, kto byłby skłonny do współpracy. Nie kogoś z kręgu dowództwa, ci byli zbyt lojalni. Poszukiwał pionka – gońca lub tragarza. Kogoś, kto być może nie zdawał sobie sprawy, że jest członkiem

organizacji terrorystycznej. Może nawet imię Saladyn było mu obce.

Policjanci różnych formacji w sytuacjach kryzysowych posiadają liczne uprawnienia – organizują pościgi, dokonują aresztowań, zwołują konferencje prasowe, by zapewnić społeczeństwo, że robią wszystko co w ich mocy dla bezpieczeństwa ogółu. Szpiedzy nie dysponują takimi możliwościami. Z definicji działają w ukryciu, zakamuflowani w pokojach hotelowych i tajnych kwaterach, a także innych podejrzanych miejscach, gdzie perswazją lub przymusem skłaniają potencjalnych informatorów do przekazania im ważnych wiadomości. U progu swej kariery zawodowej Graham Seymour również parął się taką pracą. Teraz jednak mógł najwyżej obserwować wysiłki innych ze złoczonej klatki swego biura. Największą trwogą przejmowała go myśl, że jakieś obce służby wcześniej niż on trafią na taką luźną nić i że znów zostanie skazany na rolę pomocnika. MI6 nie było w stanie samodzielnie unicestwić siatki Saladyna. Potrzebowało w tym celu wsparcia sojuszników z Europy Zachodniej, Bliskiego Wschodu i Ameryki. Ale gdyby udało zdobyć jakąś istotną informację we właściwym czasie, Seymour zostałby pierwszym wśród równych. We współczesnym świecie jest to dla asa wywiadu spełnienie największych ambicji.

Dlatego też przebywał w swym gabinecie dzień i noc, obserwując zazdrośnie, jak policja i MI5 likwidują resztki siatki Saladyna w Wielkiej Brytanii. MI6 nie miało żadnych osiągnięć. W gruncie rzeczy Seymour dowiedział się więcej od przyjaciół z Langley i Tel Awiwu niż od swoich podwładnych. W końcu, dokładnie tydzień po ataku, uznał, że dobrze mu zrobi noc spędzona w domu. Kamery zarejestrowały, że jego limuzyna opuściła parking dokładnie o dwudziestej dwadzieścia. Ale gdy kierował się przez Tamizę do Belgravii, cicho zamruczała służbowa komórka. Rozpoznał numer, podobnie jak kobiecy głos, który odezwał się chwilę później.

– Wybacz, jeśli przeszkadzam – zaczęła Amanda Wallace – ale mam coś, co mogłoby cię zainteresować. Wpadłbyś na drinka? Dziś ja stawiam.

Thames House, Londyn

Thames House, siedziba MI5 nad brzegiem rzeki, była budynkiem dobrze Seymourowi znanym. Nim został szefem MI6, pracował tam ponad trzydzieści lat. Idąc korytarzem piętra zajmowanego przez kierownictwo, zatrzymał się w drzwiach gabinetu, w którym ongiś urzędował jako zastępca dyrektora generalnego. Pełniący obecnie tę funkcję Miles Kent siedział jeszcze za biurkiem. Był zapewne jedynym człowiekiem w Londynie, który wyglądał gorzej niż Seymour.

– Graham – odezwał się, podnosząc głowę znad komputera. – Co cię sprowadza w nasze skromne progi?

– Ty mi to powiedz.

– Gdybym to zrobił – odparł cicho Kent – królowa by mnie wylała.

– Jak się trzyma?

– Nie słyszałeś? – Zaprosił go gestem do środka i zamknął drzwi. – Charles odszedł ze swoją sekretarką.

– Kiedy?

– Dwa dni po zamachu. Był na kolacji w Ivy, kiedy trzecia komórka zaatakowała St. Martin's. Twierdzi, że to go zmusiło do poważnej refleksji. Zrozumiał, że nie może już żyć tak, jak żył.

– Miał żonę i kochankę. Czego jeszcze chciał?

– Rozvodu, najwyraźniej. Amanda już się wyprowadziła z ich mieszkania. Teraz nocuje tu, w biurze.

– Takie rzeczy to dzisiaj norma.

Mimo to Seymour był zaskoczony. Kiedy widział się z Amandą tego ranka przy Downing Street 10, o niczym nie wspomniała. Prawdę mówiąc, odczuł pewną ulgę, że podwójne życie Charlesa wyszło w końcu na jaw. Rosjanie potrafią odkryć takie sekrety i nigdy się nie zawahają, by wykorzystać tę wiedzę dla własnych celów.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Usłyszałem o wszystkim przypadkiem. Wiesz przecież, jak dyskretna jest Amanda.

– Szkoda, że nie można powiedzieć tego o Charlesie. – Seymour sięgnął do klamki, ale się zatrzymał. – Może wiesz, skąd to nagłe zaproszenie?

– Pewnie łaknie twojego towarzystwa.

– Daj spokój, Miles.

– Wiem tylko tyle – szepnął Kent – że chodzi o coś z bronią.

Seymour wyszedł na korytarz. Spod drzwi Amandy sączyło się zielonkawe światło. Cicho zapukał. Siedziała za swym wielkim biurkiem, wpatrzona w otwarty plik w komputerze. Podniosła głowę, witając go chłodnym uśmiechem. Pomyślał, że musiała ćwiczyć go przed lustrem.

– Graham... – Powoli podniosła się z fotela. – Cieszę się, że wpadłeś. – Miała na

sobie jak zwykle dobrze uszyte spodnium, które korzystnie podkreślało jej wysoką, nieco kanciastą figurę.

Traktowała go z pewnym dystansem. Oboje równocześnie rozpoczęli pracę w MI5 i przez blisko trzydzieści lat przy każdej sposobności wzajemnie się zwalczali. Teraz zajmowali dwa z najwyższych stanowisk w zachodnim wywiadzie, a mimo to nadal z sobą rywalizowali. I choć wygodniej byłoby uwierzyć, że zamach zmienił charakter ich wzajemnych relacji, to Seymour nie miał złudzeń. Wiedział, że nieuchronne przesłuchania w parlamencie ujawnią bez wątpienia poważne zaniedbania i błędy MI5. Amanda będzie walczyć zębami i pazurami. I wykorzysta każdą okazję, by część odpowiedzialności zrzucić na niego i na MI6.

Teraz postawiła na brzegu lśniącego stołu konferencyjnego tacę z drinkami. Dla Seymoura zmieszała gin z tonikiem, a dla siebie przygotowała martini z oliwkami i koktajlowymi cebulkami. Potem wzniosła powściągliwy toast, a następnie skierowała Seymoura do wypoczynkowej części gabinetu, wskazując mu gestem nowoczesny skórzany fotel. Na wielkim płaskim telewizorze migiała transmisja w BBC. Brytyjskie i amerykańskie lotnictwo bombardowało przyczółki ISIS w pobliżu syryjskiej Rakki. Iracka część kalifatu została w znacznej części odbita przez rząd w Bagdadzie, islamistom pozostał jedynie ich syryjski azyl i to właśnie on był celem ataku. Ale straty terytorialne nie ograniczyły zakresu prowadzonych przez ISIS operacji zagranicznych. Atak na Londyn był tego oczywistym dowodem.

– Jak myślisz, gdzie on jest? – spytała po chwili Amanda.

– Saladyn?

– Któż by inny.

– Nie jesteśmy w stanie dokładnie...

– Graham, nie rozmawiasz z premierem.

– Gdybym miał zgadywać, to nie w gwałtownie kurczącym się kalifacie.

– Więc gdzie?

– Może w Libii albo którymś z państw Zatoki Perskiej. Może w Pakistanie lub po drugiej stronie granicy, w Afganistanie, na terenie kontrolowanym przez ISIS. A może – ciągnął – znacznie bliżej. Ma przyjaciół i środki, i pamiętaj, był kiedyś jednym z nas. Przed inwazją pracował w irackim Muchabaracie. Jego zadaniem było dostarczanie pomocy materialnej palestyńskim terrorystom, których popierał Saddam. Dobrze wie, co robić w tej sytuacji.

– Oględnie powiedziane. – Amanda pokręciła głową. – Z jego powodu zaczynasz niemal tęsknić do czasów szpiegostwa KGB i zamachów IRA. – Usiadła naprzeciw Seymoura i ostrożnie postawiła szklankę na stoliku. – Muszę ci coś powiedzieć, Grahamie. Coś bardzo osobistego i przykrego. Charles opuścił mnie dla swojej sekretarki, o połowę od niego młodszej. Cóż za banal.

– Przykro mi, Amando.

– Wiedziałaś o tym romansie?

– Krążyły różne plotki – odparł delikatnie.

– Nigdy ich nie słyszałam, choć jestem dyrektorem generalnym MI5. Widać to prawda, że żona dowiadyuje się ostatnia.

– Jest jakaś szansa porozumienia?

– Żadnej.

– Rozwód będzie trudny.

– I kosztowny – dodała Amanda.- Zwłaszcza dla Charlesa.

– Będą naciski, żebyś ustąpiła.

– I dlatego – kontynuowała – chcę prosić cię o pomoc. – Przez chwilę milczała. –

Wiem, że głównie ja odpowiadam za naszą zimną wojnę, Grahamie. Ale trwa to już zbyt długo. Jeśli zdołał upaść mur berliński, chyba i my możemy zawrzeć rozejm.

– W pełni się zgadzam.

Tym razem jej uśmiech był niemal szczery.

– A więc teraz wyjawię prawdziwy powód, dla którego poprosiłam, żebyś przyszedł. – Skierowała pilota w stronę telewizora i po chwili na płaskim ekranie pojawiła się twarz Egipcjanina z krótką brodą, około trzydziestki. Seymour rozpoznał w nim Omara Salaha, przywódcę tak zwanej komórki z Harlow. Został zastrzelony w teatrze St. Martin's przez funkcjonariusza jednostki specjalnej, nim zdołał zdetonować kamizelkę z materiałem wybuchowym.

Seymour dobrze znał jego akta. Salah był jednym z tysięcy europejskich muzułmanów, którzy w 2014 roku wyjechali do Syrii i Iraku po ogłoszeniu przez ISIS kalifatu. Po powrocie do Wielkiej Brytanii przez ponad rok pozostawał pod obserwacją MI5, zarówno fizycznie, jak i elektronicznie. Jednakże sześć miesięcy przed zamachem MI5 uznało, że nie stanowi już zagrożenia. Sekcja A4, czyli obserwatorzy, dokonała wszechstronnej inwigilacji, z której wynikało, że Salah stracił zainteresowanie dżihadyzmem i radykalnym islamem.

Decyzja o zaprzestaniu obserwacji nosiła podpis Amandy. Niestety zarówno ona, jak i reszta kontrwywiadu brytyjskiego nie zdawali sobie sprawy, że Salah kontaktuje się z dowództwem ISIS za pomocą szyfrów, których nie potrafiła złamać nawet NSA, potężna amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego.

– To nie była twoja wina – powiedział cicho.

– Może nie – odparła. – Ale ktoś zostanie nią obciążony i zapewne będę to ja.

Chyba że zdołam przekuć niefortunny przypadek Omara Salaha w swój sukces. – Zamilkła, by zaraz dodać: – A może powinnam rzec „nasz” sukces?

– Jak mielibyśmy to zrobić?

– Omar Salah nie tylko wprowadził bandę morderców do St. Martin's. On także przemycił dla nich broń do Wielkiej Brytanii.

– Jak ją zdobył?

– Od osiedlonego we Francji agenta ISIS.

– Kto ci to powiedział?

– Właśnie Omar.

– Proszę cię, Amando – westchnął Seymour zmęczonym głosem. – Jest już późno.

Spojrzała na twarz z ekranu.

– Niezły był ten nasz Omar, ale zrobił pewien mały błąd. Używał laptopa swojej siostry do załatwiania interesów ISIS. Przejęliśmy go dzień po zamachu i od tamtej pory badamy twarde dyski. Dziś po południu znaleziono cyfrowe ślady zakodowanej

wiadomości od dowództwa ISIS, które zleca Omarowi wyjazd do Calais na spotkanie z mężczyzną o ksywie Skorpion.

– Robi wrażenie – stwierdził ponuro Seymour. – Jest tam jakaś wzmianka o broni?

– Tekst, choć zaszyfrowany, jest jasny. A także spójny z informacją, którą otrzymaliśmy w zeszłym roku od DGSI^[1]. Wygląda na to, że Francuzi od pewnego czasu mieli tego Skorpiona na radarze. Niestety nie wiedzą o nim wiele, nie znają nawet prawdziwego nazwiska. Przypuszczają, że należy do gangu handlarzy narkotyków i zapewne jest Marokańczykiem.

To miałyby sens, pomyślał Seymour. Powiązania między ISIS a przestępczymi środowiskami w Europie są bezsporne.

– Poinformowałaś Francuzów o waszych odkryciach?

– Nie powierzę DGSI bezpieczeństwa Brytyjczyków. Poza tym chciałabym odnaleźć tego Skorpiona, zanim oni to zrobią. Ale nie mogę – dokończyła szybko. – Moja władza kończy się na brzegu rzeki.

Seymour milczał.

– Nie próbuję nawet udzielać ci rad, Grahamie. Ale będąc tobą, wysłałabym natychmiast do Francji jakiegoś agenta. Kogoś, kto dobrze zna język. Kto umie się poruszać wśród sieci przestępczych i kto nie boi się ubrudzić sobie rąk. – Uśmiechnęła się. – Nie znasz czasem kogoś takiego?

Hampshire, Anglia

Jak wielu przed nim, dotarł do tego portowego miasta na południu Anglii na tylnym siedzeniu rządowego vana z przyciemnionymi szybami. Samochód przemknął obok przystani i wiktoriańskich magazynów z czerwonej cegły, po czym skręcił w wąską ścieżkę, która przecinała pierwszą aleję pola golfowego, gdzie tego ranka urzędowały tylko mewy. Nieco dalej znajdowała się sucha fosa, a za nią wznosił się stary fort z szarego kamienia. Zbudowany w 1545 roku przez Henryka VIII, był teraz w dyspozycji MI6 i pełnił funkcję szkoły podstawowej dla szpiegów.

Van zatrzymał się chwilę przed bramą, po czym wjechał na dziedziniec, gdzie w równych trzech rzędach parkowały samochody kadry instruktorów. Reg, kierowca wozu, zgasił silnik i lekkim ruchem głowy dał znak siedzącemu z tyłu mężczyźnie, że może wysiąść. Mógłby jeszcze dodać, że Fort nie jest hotelem, ale tego nie zrobił. Nowy rekrut był przypadkiem szczególnym, tak przynajmniej poinformował instruktorów Vauxhall Cross. Od tej pory, jak wszyscy nowicjusze, miał słyszeć przy każdej okazji, że został przyjęty do ekskluzywnego klubu. I że jego członkowie żyją wedle innych reguł niż ich rodacy. Ale mężczyzna z tyłu nie robił na Regu wrażenia kogoś, kogo te pochlebstwa mogłyby poruszyć. Prawdę mówiąc, wyglądał na faceta, który żył inaczej niż wszyscy już od bardzo dawna.

Fort miał trzy skrzydła – wschodnie, zachodnie i środkowe, gdzie odbywała się większość zajęć. Pokoje bezpośrednio nad wartownią przeznaczono na apartament dla szefa, a za murami widniały: kort tenisowy, kort do squasha, boisko do krokieta, lądowisko dla helikopterów oraz strzelnica. Oczywiście strzelnica była i wewnątrz, ale Reg podejrzewał, że jego pasażer nie będzie wymagał intensywnego treningu, jeśli chodzi o posługiwanie się bronią, tak palną, jak i każdą inną. Był żołnierzem klasy elitarnej. Zdradzał to kształt jego ciała, zarys szczęki i ruch, jakim zarzucił płócienny marynarski worek na ramię, nim ruszył przez dziedziniec. Bezszelestny, uznał Reg. Milczący. Widział miejsca, o których pragnął zapomnieć, i wykonywał zadania omawiane tylko w starannie zabezpieczonych pokojach i obiektach. Był utajniony. Zapowiadał kłopoty.

Tuż przy wejściu do zachodniego skrzydła znajdowała się niewielka wnęka, gdzie portier George Halliday czekał na jego przyjęcie.

– Marlowe – rzucił nowy rekrut bez przekonania. I jakby po namyśle dodał: – Peter Marlowe.

Halliday, najdłuższy stażem pracownik tutejszych kadr – relik z czasów Henryka VIII, jak głosiła legenda – przesunął bladym wiotkim palcem wzdłuż listy nazwisk.

– Ach tak, pan Marlowe. Oczekiwaliśmy pana. Przykro mi z powodu pogody, ale radziłbym do niej przywyknąć – mówiąc to, wstał, by zdjąć klucz z rzędu haczyków nad biurkiem. – Pierwsze piętro, ostatni pokój w lewo. Szczęśliwie ma pan ładny widok na morze. – Położył klucz na blacie. – Da pan sobie radę z bagażem?

– Chyba tak. – Na twarzy rekruta pojawił się cień uśmiechu.

– Och, byłbym zapomniał – rzucił Halliday. Odwrócił się i wyjął małą kopertę z jednej ze skrytek na listy umieszczonych na ścianie za plecami. – Doręczono to dla pana wczoraj wieczorem. Od „S”.

Tak nazywano tu szefa. Rekrut chwycił list i wsunął go do kieszeni swej grubej marynarskiej kurtki. Po czym znów zarzucił worek na ramię – żołnierskim ruchem, uznał Halliday – i ruszył w górę po starych schodach prowadzących do części mieszkalnej. Drzwi pokoju otworzyły się ze skrzypnięciem. Wszedł do środka, zsuwając worek z barczystych ramion na podłogę. Byстрыm okiem zawodowego obserwatora zlustrował otoczenie – pojedyncze łóżko, stolik nocny, małe biurko, prosta szafa na ubrania, łazienka. Świeży absolwent elitarnego uniwersytetu uznałby ten pokój za wystarczająco wygodny, ale nowy rekrut nie był zachwycony. Jako właściciel potężnych zasobów finansowych – zdobytych bezprawnie, niemniej imponujących – nawykł do lokali bardziej komfortowych.

Zdjął kurtkę, lecz zanim ją rzucił na łóżko, wyjął z kieszeni kopertę. Niechętnie ją otworzył i ujrzał niewielką kartkę. Nie miała nagłówka, tylko trzy linijki starannie wykaligrafowane zielonym atramentem.

„Wielka Brytania czuje się bardziej bezpieczna, gdy jesteś tu, by ją chronić...”

Zwykły rekrut zachowałby zapewne tę kartkę na pamiątkę swego pierwszego dnia w służbie jednego z najstarszych i najlepszych wywiadów świata, lecz mężczyzna, który przedstawiał się jako Peter Marlowe, nie był zwykłym rekrutem. Znał miejsca, gdzie taka notatka mogłaby kosztować go życie. Tak więc po jej przeczytaniu – dwukrotnym, jak miał w zwyczaju – spalił ją nad umywalką w łazience i splukał popiół. A potem podszedł do wąskiej szczeliny okiennej, by spojrzeć ponad morzem w kierunku wyspy Wight. I nie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił największego błędu w swoim życiu.

Nie trzeba dodawać, że nie nazywał się Peter Marlowe, lecz Christopher Keller. Samo w sobie stanowiło to zagadkę, gdyż wedle rządu Jej Królewskiej Mości Keller nie żył od jakichś dwudziestu pięciu lat. A co za tym idzie, byłby pierwszym zmarłym w służbie wywiadu brytyjskiego od czasu Glyndwra Michaela, bezdomnego Walijszyka, którego ciało – w ramach operacji Mincemeat – zostało wykorzystane przez wielkich mistyfikatorów wojennych w celu zmylenia niemieckiego dowództwa.

Ale kadra szkoleniowa Fortu nie wiedziała, kim jest nowy rekrut. W gruncie rzeczy nie wiedziała o nim prawie nic. Choćby tego, że był weteranem elitarniej jednostki specjalnej SAS i że ma najwyższy w regimencie rekord wytrzymałości, ustalony podczas sześćdziesięciokilometrowego marszu przez góry Brecon Beacons w Południowej Walii. Nie wiedziała również, że osiągnął najwyższą punktację w dziejach Domu Zabójców – okrytego złą sławą ośrodka szkoleniowego SAS, gdzie żołnierze doskonalą umiejętność walk na bliski dystans. Dalsza lektura jego teczki – utajnionej na żądanie samego premiera – ujawniłaby, że w późnych latach osiemdziesiątych, w okresie największego nasilenia wojny w Irlandii Północnej, został wysłany do Zachodniego Belfastu, gdzie żył wśród katolików i wprowadzał agentów do Irlandzkiej Armii Republikańskiej. W jego aktach znajdowała się też dość niejasna wzmianka na temat incydentu na farmie w Południowym Armagh, na którą po ujawnieniu jego roli został przewieziony w celu dochodzenia

i egzekucji. Dokładne okoliczności jego ucieczki nigdy nie zostały wyjaśnione, choć wiązały się ze śmiercią czterech doświadczonych bojowników IRA, z których dwaj zostali dosłownie posiekani na kawałki.

Po pospiesznej ewakuacji z Irlandii Północnej wrócił do kwatery SAS w Hereford, sądząc, że czeka go długi odpoczynek i spokojna praca instruktora. Tymczasem po inwazji Iraku na Kuwejt w sierpniu 1990 roku został wcielony do Pustynnego Szwadronu Szabli, jednostki bojowej SAS, i wysłany do zachodniego Iraku pod rządami Saddama Husajna w celu poszukiwania arsenału pocisków rakietowych Scud. W nocy 28 stycznia 1991 roku wraz ze swą jednostką zlokalizował wyrzutnię sto kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód od Bagdadu i drogą radiową przekazał współrzędne swemu dowództwu w Arabii Saudyjskiej. Dziewięćdziesiąt minut później nisko nad pustynią pojawiła się formacja bombowców koalicji. I wtedy nastąpiła tragedia. Samoloty, myląc cele, zamiast wyrzutni scudów zaatakowały szwadron SAS. Władze brytyjskie uznały, że poległa cała jednostka, łącznie z Kellerem.

On tymczasem, dzięki swemu niebywałemu szczęściu i instynktowi, wyszedł z nalotu bez szwanku. W pierwszym odruchu chciał połączyć się przez radio z bazą, by wezwać pomoc, ale chwilę później, kipiąc z żalu i oburzenia na niekompetencję zwierzchników, ruszył pieszo przed siebie. W szatach i turbanie pustynnego Araba, wyszkolony w sztuce kamuflażu wojennego, przedarł się przez pierścień wojsk koalicji i niezauważony dotarł do Syrii. Stamtąd jechał na zachód przez Turcję, Grecję i Włochy, by w końcu wylądować na skalistym brzegu Korsyki. Niebawem otworzył przed nim przyjazne ramiona don Antonio Orsati, ojciec miejscowej rodziny mafijnej, która od pokoleń specjalizowała się w morderstwach na zlecenie.

Orsati podarował Kellerowi wspaniałą willę i kobietę, która miała uleczyć rany jego pamięci. A potem, gdy ocalały żołnierz odzyskał już równowagę, dostał również pracę. Północnoeuropejski wygląd i umiejętności nabyte w SAS pozwalały mu wykonywać zlecenia, które przekraczały możliwości *taddunaghiu* – korsykańskich zabójców. Udając menedżera małej firmy Orsatiego handlującej oliwą, Keller przemierzał zachodnią Europę przez ponad dwadzieścia pięć lat, dokonując zabójstw, które zlecał mu don. Korsykanie uznali go za brata, a on, odwdzięczając się za życzliwość, przejął ich obyczaje. Ubierał się jak oni, jadł i pił jak oni i spoglądał na świat z typowo korsykańską fatalistyczną pogardą. Nosił nawet na szyi korsykański talizman chroniący przed klątwą złego oka – czerwony koral w kształcie ręki. Teraz jednak, po długim czasie, wrócił do swego kraju. W starej fortecy z szarego kamienia górującej nad zimnym granitem morza mieli go wyszkolić na prawdziwego brytyjskiego szpiega. Ale przedtem musiał się nauczyć, jak znów stać się Anglikiem.

Pozostali kandydaci z tego naboru bardziej odpowiadali tradycyjnym kryteriom MI6. Byli to z reguły biali mężczyźni ze średniej lub wyższej klasy społecznej. Niemal wszyscy świeżo ukończyli studia na Oksfordzie lub w Cambridge, z wyjątkiem Thomasa Fincha, absolwenta London School of Economics. Zanim uległ agitacji MI6, Finch pracował w bankowości inwestycyjnej w londyńskim City. Biegle mówił po chińsku i miał o sobie wysokie mniemanie. Podczas pierwszego spotkania ubolewał, na pozór tylko żartem, że honor służby dla kraju kosztuje go utratę sporej części dochodów. Keller

mógłby się chlępić podobnym wyrzeczeniem, ale był zbyt rozsądny. Powiedział nowym kolegom, że trudnił się wcześniej handlem żywnością, a w wolnym czasie uprawiał wspinaczkę, co w obu przypadkach nie odbiegało daleko od prawdy. W kwestii swojego wieku – był bowiem znacznie starszy od pozostałych, może nawet najstarszy z wszystkich dotychczasowych rekrutów – wyjaśnił, że dość późno odkrył swe powołanie, co tym razem z prawdą nie miało wiele wspólnego.

Oficjalna nazwa kursu brzmiała: „Wstępne szkolenie oficerów wywiadu”. Jego celem było przygotowanie do pracy na niższych stanowiskach w Vauxhall Cross. Udział w operacjach terenowych wymagał od kandydatów dodatkowego szkolenia. W przeciwnym razie mogłoby to pociągnąć za sobą nieodwracalne skutki dla interesów kraju, a także ich własnych karier. Kurs prowadzili głównie dwaj instruktorzy – potężny rudowłosy gaduła Andy Mayhew oraz chudy jak chart Tony Quill. Mówiono, że ten były oficer prowadzący potrafił skłonić zakonnicę do tego, by zrzuciła habit, a w chwili nieuwagi skraść jej różaniec. W Vauxhall Cross starannie sprawdzono akta osobowe obu instruktorów, by się upewnić, czy na którymś etapie poprzedniego życia nie zetknęli się z członkiem SAS o nazwisku Keller. Wykluczono jednak tę możliwość. Mayhew zajmował się pracą biurową w kwaterze głównej, a Quill działał za żelazną kurtyną i na Bliskim Wschodzie. Żaden z nich nie postawił stopy w Irlandii Północnej.

Pierwszą część kursu poświęcono brytyjskiej służbie specjalnej MI6 – jej historii, sukcesom i zaskakującym porażkom, a także jej strukturze. Była znacznie mniej liczna niż jej amerykańskie i rosyjskie odpowiedniki, ale, jak mawiał Quill, „potrafiła niezłe przywalić” dzięki wrodzonej przebiegłości i pomysłowości tych, którzy nią kierowali. Podczas gdy Amerykanie opierali się na zaawansowanej technologii, specjalnością MI6 było pozyskiwanie informacji ze źródeł osobowych, a jej pracowników uznawano za najlepszych rekruterów i agentów prowadzących w świecie wywiadu.

Trudnym zadaniem nakłonienia mężczyzn lub kobiet do zdrady swego kraju lub organizacji parął się oddział wywiadowczy. Zatrudniano tu około trzystu pięćdziesięciu agentów, z których większość pracowała w ambasadach brytyjskich na całym świecie pod bezpieczną dyplomatyczną przykrywką. Kolejnych ośmiuset zatrudniano w działach administracyjno-usługowych. Ich pracownicy specjalizowali się w zagadnieniach technicznych bądź zajmowali stanowiska administracyjne w różnych geograficznych obszarach kontroli MI6. Każdy z tych obszarów podlegał kontrolerowi, który składał raporty szefowi. I chociaż Mayhew i Quill o tym nie wiedzieli, sam szef zdecydował już wcześniej, że rekrut nazywający się Peter Marlowe nie będzie podlegał żadnemu z kontrolowanych obszarów. Będzie kontrolował sam siebie. Pojedynczo.

Po omówieniu historii organizacji Mayhew i Quill przeszli do metod pozyskiwania informacji wywiadowczych ze źródeł osobowych, budowania fałszywej tożsamości, sztuki wykrywania i wyprowadzania w pole obserwatorów, a także zasad kryptografii, sposobu korzystania ze skrzynek kontaktowych oraz potajemnej wymiany informacji. Prowadzili też ćwiczenia pamięciowe, gdyż, jak podkreślał Quill, pamięć to jedyny przyjaciel szpiega. No i oczywiście odbywały się jeszcze długie szczegółowe wykłady na temat doboru oraz rekrutacji informatorów.

Keller miał bezsporną przewagę nad kolegami. W końcu w przeszłości rekrutował

i prowadził agentów na terenie, gdzie jeden fałszywy krok groził straszliwą śmiercią. W gruncie rzeczy mógłby wiele nauczyć Mayhew i Quilla na temat organizacji tajnych spotkań agenta z oficerem prowadzącym tak, by obaj wyszli z nich cało. Ale on, przebywając w salach szkoleniowych głównego skrzydła, zachowywał się jak spokojny i uważny student, chłonący wiedzę nie po to, by komuś schlebiać lub robić na kimś wrażenie. Pozostawiał to Finchowi i Bakerowi, studentowi literatury z Oksfordu, który sporządzał notatki do swej pierwszej powieści szpiegowskiej. Keller odzywał się tylko wtedy, gdy tego wymagano, i nigdy dobrowolnie nie zgłaszał się do odpowiedzi. Był tak niewidzialny jak tylko to możliwe w klasie złożonej z dwunastu studentów. Ale na tym polegał jego szczególny dar – stawał się niewidoczny nawet dla tych, którzy go otaczali.

Jednakże na ulicach pobliskiego Portsmouth, gdzie prowadzono większość ćwiczeń terenowych, jego niezwykle umiejętności było trudniej ukryć. Niezauważalnie opróżniał skrzynki kontaktowe i dokonywał tajnej wymiany informacji, zachowując kamienny wyraz twarzy. W szóstym tygodniu kursu MI5 wysłała do ośrodka grupę obserwatorów z sekcji A4, którzy mieli uczestniczyć w całodziennych ćwiczeniach z zakresu kontrobservacji. Zamierzali dowieść, że prawidłowy nadzór fizyczny – rzeczywisty, nie pozorowany – jest wręcz niemożliwy do wykrycia. Żaden z kandydatów nie zauważył w terenie nikogo z obserwatorów MI5, jedynie Keller bezbłędnie wskazał czterech członków grupy, która go tropiła, gdy zwiedzał centrum handlowe Cascades. Nie dając temu wiary, MI5 domagała się powtórzenia zadania, ale rezultaty były podobne.

Nazajutrz odbyły się ćwiczenia, które dla odmiany służyły nie identyfikacji, lecz zgubieniu obserwatorów. Keller dokonał tego w ciągu niecałych pięciu minut, po czym bez śladu zniknął. Znalaziono go późną nocą w pubie Druid's Arms przy Binsteed Road, gdzie z francuskim akcentem śpiewał karaoke. Gdy opuszczał lokal, miał nazwiska, numery telefonów i adresy wszystkich tam obecnych, a na dodatek propozycję małżeństwa. Dzień później Quill połączył się z działem kadr w Vauxhall Cross, by zapytać, skąd wytrzasnęli rekruta o nazwisku Marlowe.

– To nie my – odpowiedziano w kadrach. – To prywatny nabór samego szefa.

– Dajcie mi jeszcze takich dziesięciu – mruknął Quill – a Brytania znów będzie rządzić światem.

Jednakże prawdziwa praca szkoleniowa odbywała się wieczorami w przeznaczonym dla rekrutów prywatnym barze oraz w jadalni. Zachęcano ich do picia, gdyż, jak mówiono, alkohol odgrywa ważną rolę w życiu szpiega. Kilka razy w tygodniu we wspólnej kolacji brali również udział goście specjalni. Bywali tam dyrektorzy wydziałów, eksperci policyjni i legendarni agenci wywiadu. Niektórzy wciąż byli aktywni w służbie, inni – zakurzone figury w pomiętych garniturach – wspominali swoje potyczki z KGB w Berlinie, Wiedniu i Moskwie. Pewien zasuszony bohater z czasów zimnej wojny twierdził, że Rosja jest ponownie dla MI6 głównym celem i przeciwnikiem, a wielka gra zaczęła się od nowa. Quill natomiast ostrzegał swych podopiecznych, że z czasem Rosjanie będą na różne sposoby zabiegać o każdego z nich, uciekając się do pochlebstw, przekupstwa lub szantażu. Od tego, jak odpowiedzą na zew wielkiego niedźwiedzia, zależy, czy będą spać spokojnym snem, czy też będą się smażyć w piekle, które sami sobie zgotowali. Potem wyświetlił nagranie ze słynnej konferencji prasowej

z 1955 roku, podczas której Kim Philby zaprzecza swej agenturalnej działalności na rzecz KGB. Zdaniem Quilla był to najdoskonalszy przykład kłamstwa, jakie widział kiedykolwiek z w życiu.

James Bond mógł posiadać licencję na zabijanie, ale prawdziwi oficerowie MI6 nie mieli takich praw. Zabójstwo jako metoda działania było surowo wzbronione, a większość brytyjskich szpiegów rzadko nosiła broń, nie wspominając już o korzystaniu z niej na służbie. Niemniej nie byli to agenci biurkowi, w każdym razie na pewno nie wszyscy, a przecież świat stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Oznaczało to natomiast, że wszyscy musieli wiedzieć, jak obchodzić się z bronią – gdzie wsunąć magazynkę, jak wprowadzić nabój do komory i jak skierować lufę, żeby nie postrzelić siebie lub kolegi oraz tym podobne rzeczy. Również na tym polu sprawność Kellera nie dała się ukryć. Pierwszego dnia ćwiczeń na strzelnicy instruktor podał mu browninga kaliber 9mm i polecił oddać strzał do ludzkiej sylwetki na tarczy umieszczonej w odległości piętnastu metrów. Keller błyskawicznie uniósł broń i prawie nie celując, władował trzynaście naboju w środek tarczy. Na prośbę, by powtórzyć ćwiczenie, wystrzelił cały magazynkę w lewe oko postaci. Tego dnia został zwolniony z dalszych ćwiczeń z bronią. A po tym, jak niemal wyrwał rękę instruktorowi, który bezmyślnie wymierzył w niego nienaładowaną broń, także z udziału w podstawowym kursie samoobrony. Odtąd już nikt, nawet Mayhew zbudowany jak zawodnik rugby, nie odważył się stanąć z nim na macie.

Byli wprawdzie odizolowani od cywilnej społeczności w sąsiedztwie, ale Mayhew i Quill nie utrudniali im kontaktów ze światem. Sterty brytyjskich i zagranicznych gazet czekały na nich co rano przy śniadaniu, a telewizor w holu odbierał wszystkie globalne i europejskie programy informacyjne. Tego wieczoru, gdy nastąpił atak na Londyn, stłoczyli się przed ekranem. Z rozpaczą i gniewem patrzyli na wojnę, w której wszyscy mieli wziąć udział. Jeden z nich znacznie wcześniej niż pozostali.

Tydzień później szkolenie dobiegło końca. Cała dwunastka zaliczyła kurs bez trudu, przy czym Peter Marlowe uzyskał pierwszą lokatę, natomiast Finch chwalebna, lecz drugą. Wieczorem po raz ostatni zjedli kolację w towarzystwie Mayhew i Quilla, a rano zostawili klucze na starym biurku George'a Hallidaya i wyszli z bagażami na dziedziniec. Reg, kierowca furgonetki, czekał w samochodzie, by odwieźć świeżo upieczonych szpiegów do Londynu. Wciąż jednak brakowało jednego. Szukali go na górze i na dole, w pokojach wschodniego i zachodniego skrzydła, a także w głównym budynku, na strzelnicy, korcie tenisowym, boisku do krokieta i w sali gimnastycznej. W końcu jednak, gdy minęła dziewiąta, Reg ruszył do Londynu z jedenastoma zamiast dwunastu rekrutów.

To Quill spostrzegł kawałek liny pod jego oknem i strzęp materiału zwisający jak proporczyk z drutu ogrodzenia, a także świeże odciski stóp na plaży. Pozostawił je człowiek o wadze około stu kilogramów, który wyraźnie się spieszył. Szkoda, pomyślał Quill. Dziesięciu takich jak on i Brytania znów rządziłaby światem.

Wormwood Cottage, Dartmoor

Dokładna trasa jego ucieczki, podobnie jak trasa ucieczki Saladyna z Ameryki, nigdy nie została wiarygodnie ustalona. Istniały natomiast poszlaki, na przykład jasnoniebieski volkswagen jetta skradziony tego ranka o dziesiątej piętnaście z parkingu przed supermarketem Morrisons w Gosport. Odnaleziono go po południu około pięćdziesięciu kilometrów dalej na zachód w hrabstwie Devon. Stał zaparkowany przez pocztą i sklepem wielobranżowym w maleńkiej wiosce Coldeast. Bak był pełny, a na tablicy rozdzielczej leżała adresowana do właściciela karteczka z odręcznie napisanymi przeprosinami.

Komenda policji w Hampshire, której podlegał teren, wszczęła śledztwo, ale wkrótce gwałtownie je zamknęła po telefonie Tony'ego Quilla do komendanta placówki. Ten posłusznie przekazał mu kartkę z przeprosinami oraz nagranie kamery z parkingu Morrisons, chociaż później słyszano, jak narzekał, że dość już ma wybryków tych koleśi ze starej twierdzy króla Henryka. Zabawy w szpiegów na ulicach Portsmouth to jedno, ale kradzież samochodu jakiegoś pechowca, nawet w ramach ćwiczeń, to już zwykły brak wychowania.

Wioska Coldeast zasługiwała na uwagę jedynie dlatego, że leżała na skraju Parku Narodowego Dartmoor. Tego dnia lał deszcz i wcześniej zapadł mrok, toteż nikt nie zauważył Christophera Kellera idącego przez Old Liverton Road z marynarskim workiem na ramieniu. Gdy dotarł do Liverton Village Hall, noc była czarna jak atrament. Ale nie miało to dla niego znaczenia, znał drogę. Skręcił w trakt prowadzący wśród drzew i ruszył na północ, mijając farmę Old Leys. Tylko raz musiał zejść na skraj drogi, by przepuścić rozklekotaną ciężarówkę. Poza tym miał wrażenie, że jest jedynym człowiekiem na ziemi.

„Brytania jest bardziej bezpieczna, gdy jesteś tu, by jej chronić”.

W Brimley skręcił na zachód i wieloma różnymi ścieżkami dotarł do Postbridge. Tuż za wioską znajdowała się droga nieobecna na żadnej mapie, a przy jej końcu brama budząca cichy respekt. Parish, tutejszy dozorca, zapomniał ją otworzyć. Keller bezszelestnie przeskoczył kute przesłó i długim żwirowanym podjazdem ruszył w stronę budynku z piaskowca, który stał na wzniesieniu nad wrzosowiskiem. Nad zamkniętymi drzwiami frontowymi paliło się żółtawe światło. Wchodząc do środka, ostrożnie wytarł stopy w wycieraczkę. W powietrzu unosił się zapach pieczeni, przypraw i ziemniaków. Zerknął do kuchni i zobaczył pannę Coventry, upudrowaną i dominującą w pomieszczeniu, która stała przed otwartym piekarnikiem w fartuchu opasującym jej słuszną postać.

– Pan Marlowe – powitała go, odwracając się od piekarnika. – Spodziewaliśmy się pana wcześniej.

– Trochę późno wyruszyłem.

– Mam nadzieję, że nie było kłopotów.

– Najmniejszych.

– Ale jak pan wygląda! Biedaczek! Czyżby szedł pan tu pieszo z Londynu?
– Niezupełnie. – Keller lekko się uśmiechnął.
– Cieknie z pana woda na moją czystą podłogę.
– Czy kiedyś mi pani wybaczy?
– Nie sądzę. – Odebrała od niego przemoczoną kurtkę. – Przygotowałam panu ten sam pokój. Są tam czyste ubrania i przybory toaletowe. Zdąży pan jeszcze wziąć gorącą kąpiel przed przyjazdem „S”.
– Co będzie na kolację?
– Zapiekanka wiejska.
– Moja ulubiona.
– Dlatego ją zrobiłam. A może podać herbatę, panie Marlowe? Albo coś mocniejszego?

– Jeśli można, to nieco whiskey dla rozgrzewki.
– Załatwione. A teraz na górę, zanim się pan rozchoruje.
Zostawił buty w holu i wszedł po schodach do swojego pokoju. Ubrania na zmianę leżały starannie złożone na łóżku. Sztruksowe spodnie, ciemnozielony sweter, bielizna i zamszowe mokasyny. Wszystko we właściwym rozmiarze. Była tam również paczka papierosów Marlboro i złota zapalniczka. Przeczytał wygrawerowany na niej napis: „Za przyszłość...”. Bez adresata i podpisu. Nie był konieczny.

Zrzucił z siebie mokre ubranie i długo stał pod prysznicem z gorącą wodą. A gdy wrócił do pokoju, na stoliku nocnym przykrytym białą serwetką z inicjałami MI6 stała karafka whiskey. Ubrał się i z napełnioną trunkiem szklanką w dłoni zszedł do salonu, gdzie ujrzał Grahama Seymoura. Siedział przy kominku w eleganckich tweedach i flanelach, słuchając wiadomości ze staroświeckiego bakelitowego nadajnika.

– Ta kradzież auta – odezwał się, wstając – to był sprytny pomysł.
– W takich przypadkach jak ten nie zaszkodzi zrobić trochę hałasu. Czy nie tak kiedyś mnie uczyłeś?
– Czyżby? – Seymour uśmiechnął się pod nosem. – Cieszę się tylko, że obyło się bez przemocy.

– Oficer MI6 – wyrecytował Keller z szyderczą powagą – nigdy nie stosuje przemocy. A jeśli widzi potrzebę skorzystania z broni lub wymierzenia ciosu, to wyłącznie dlatego, że nie wykonał prawidłowo zadania.

– Powinniśmy przemyśleć ten pogląd – powiedział Seymour. – Nie mogę tylko odżalować, że straciliśmy takiego kandydata jak Peter Marlowe. Słyszę, że ukończył kurs z imponującym wynikiem. Andy Mayhew był tak przygnębiony twoim zniknięciem, że złożył gotowość rezygnacji.

– Ale Quill chyba nie?
– Nie. – Seymour pokręcił głową. – Quill to twarda sztuka.
– Mam nadzieję, że nie pastwiłeś się nad biednym Andym.
– Wziąłem winę na siebie, choć wydałem polecenie, żeby dokładniej zabezpieczono ogrodzenie.

– Kto jeszcze wie o naszym małym przekręcie?

– Kontroler na Europę Zachodnią i dwaj z jego najwyższych rangą

współpracowników.

– A co z Whitehall?

– Połączona Komisja Wywiadu – Seymour pokręcił głową – nie ma o niczym pojęcia.

Komisja nadzorowała i opiniowała pracę MI5 oraz MI6. Ustalała priorytety, oceniała wykonawstwo, pełniła funkcje doradcze wobec premiera i pilnowała, by szpiedzy przestrzegali zasad. Graham Seymour doszedł do wniosku, że brytyjska służba wywiadowcza potrzebuje szerszego pola manewru, że w niebezpiecznym świecie, gdzie wokół czyhają zagrożenia, trzeba czasem odejść od dawnych reguł gry. Dlatego postanowił odnowić kontakt z Christopherem Kellerem.

– Wiesz co – spojrzał na jego atletyczną postać – znów wyglądasz niemal jak jeden z nas. Szkoda, że musisz nas opuścić.

Przeszli do kuchni i usiedli przy stole w przytulnej małej wnęce z witrażowymi oknami, skąd rozciągał się widok na wrzosowiska. Panna Coventry podała zapiekankę z białym winem przyniesionym z dobrze zaopatrzonej piwnicy, a po głównym daniu zieloną sałatę. Przez większość posiłku Seymour wypytywał Kellera o ocenę kursu, ze szczególną uwagą słuchając jego opinii na temat pozostałych kandydatów.

– Nie widziałeś ocen i wyników? – zdziwił się Keller.

– Oczywiście, że widziałem. Ale zależy mi na twojej opinii.

– Finch jest bardzo ostrożny- odrzekł Keller – co oznacza, że ma zadatki na dobrego szpiega.

– Baker też jest niezły.

– Podobnie jak pierwszy rozdział thrillera, nad którym pracuje.

– A sam kurs? – zapytał Seymour. – Czy zdołali cię czegoś nauczyć?

– To zależy.

– Od czego?

– Jak zamierzasz mnie wykorzystać.

Z ostrożnym uśmiechem Seymour przemilczał pytanie Kellera dotyczące jego pierwszej podróży w roli agenta MI6. Gdy strumienie deszczu waliły w okna wnęki, zamiast odpowiedzi zaczął mówić o swoim ojcu. Arthur Seymour szpiegował na rzecz Anglii przez ponad trzydzieści lat. Ale pod koniec kariery, gdy został zdemaskowany przez Philby'ego oraz kilku innych kretów i zdrajców, służby zesłały go do tej szarej twierdzy z kamieni nad brzegiem morza, by rozpałał tajny ogień w nowej generacji brytyjskich szpiegów.

– Nienawidził każdej minuty spędzonej w tym miejscu – ciągnął Seymour. – Nie miał złudzeń, że to koniec drogi. Zawsze uważał Fort za grobową kryptę, do której służby rzuciły jego poturbowane stare ciało.

– Gdyby mógł cię teraz zobaczyć.

– Tak. – Seymour zapatrzył się w dal. – Gdyby mógł...

– Był surowy dla ciebie, ten twój stary?

– Nie tylko dla mnie, dla wszystkich, a zwłaszcza dla mojej matki. Na szczęście byłem spóźnionym dzieckiem, owocem przypadku. W latach sześćdziesiątych mieszkałem z nim w Bejrucie, wtedy, kiedy działał tam Philby. Potem wysłał mnie do

szkoły i stał się dla mnie kimś, kogo widywałem kilka razy w roku.

– Musiał być rozczarowany, gdy dołączyłeś do MI5.

– Groził, że mnie wydziedziczy. Uważał, że MI5 to policjanci i wyrobnicy, jak zresztą wszyscy w MI6.

– Więc czemu to zrobiłeś?

– Bo chciałem, żeby mnie oceniano za własne osiągnięcia. A może – dodał po chwili – brzydziły mnie służby infiltrowane przez zdrajców. Może wolałem łapać szpiegów, niż ich rekrutować. Może chciałem strzec naszych ulic przed bombami IRA. – Zamilkł, po czym dodał: – I wtedy pojawiłeś się ty.

Zapadła cisza.

– Odwaliliśmy w Belfaście dobrą robotę, ty i ja. Powstrzymaliśmy wiele ataków, ratując mnóstwo ludzkich istnień. I co najlepszego zrobiłeś? Uciekłeś i dołączyłeś do bandy zabójców dona Orsatiego.

– Zapomniałeś wspomnieć o tym i owym.

– Jedynie z braku czasu. – Seymour wolno pokręcił głową. – Opłakiwałem cię, stary draniu. Nie mówiąc o twoich rodzicach. Podczas uroczystości żałobnych próbowałem pocieszać twojego ojca, ale nic nie mogło ukoić jego cierpienia. To straszne, co im zrobiłeś.

Keller zapalił papierosa, po czym podał nową złotą zapalniczkę Seymourowi.

– Pamiętasz, co mówi wygrawerowany tu napis?

– Zrozumiałem. To przeszłość. Jesteś w pełni oczyszczony, Christopher. Zaczynasz od nowa. Potrzebujesz tylko jakiejś miłej dziewczyny, która mogłaby z tobą dzielić ten piękny dom w Kensington. – Sięgnął po papierosa, ale się powstrzymał. – Osiem milionów funtów... Niezła sumka. Wedle moich obliczeń zostaje ci jakieś dwadzieścia pięć milionów. I wszystko to ze zleceń dona Orsatiego. Teraz przynajmniej te pieniądze znalazły się w przyzwoitych brytyjskich instytucjach finansowych, a nie w tych szwajcarskich bankach czy gdzieś na Bahamach. Wróciły do kraju, jak i ty.

– Zawarliśmy umowę – przypomniał cicho Keller.

– I zamierzam jej dotrzymać. Nie obawiaj się, możesz zatrzymać tę swoją brudną forszę.

Keller nie odpowiedział.

– A dziewczyna? – Seymour zmienił temat. – Żadnych szans? Wiesz, że będziemy musieli dokładnie każdą sprawdzić?

– Byłem trochę zajęty, Grahamie. Nie miałem okazji spotykać wielu dziewczyn.

– A co z tą, która oświadczyła ci się w Druid's Arms?

– Była mocno wstawiona. A poza tym wzięła mnie za Francuza.

Seymour się uśmiechnął.

– Nie pierwsza i nie ostatnia popełnia ten błąd.

Londyn – Korsyka

Minęło piętnaście lat, odkąd Christopher Keller po raz ostatni pozował do zdjęcia. Usiadł wtedy na chwiejnym drewnianym stołku w małym sklepiku w górach środkowej Korsyki. Ściany pomieszczenia zdobiły portrety narzeczonych, wdów i starców o śmiertelnie poważnych twarzach. Mieszkańcy wioski byli bowiem ludźmi poważnymi i podejrzliwymi zarówno wobec obcych, jak i nowoczesnych urządzeń, takich jak na przykład aparaty fotograficzne, które – w ich przeświadczeniu – rzucały na człowieka klątwę złego oka.

Fotograf był dalekim krewnym dona Antona Orsatiego, bardziej zresztą powiązany z nim przez małżeństwo niż więzy krwi. Mimo to czuł się onieśmielony w obecności poważnego milczącego Anglika, który, jak mówiono, wykonywał na zlecenie Orsatich zadania, którym *taddunaghiu* nie mogli sprostać. Tamtego dnia fotograf zrobił sześć zdjęć, a na każdym z nich Keller wyglądał inaczej. Pojawiły się wkrótce w sześciu fałszywych francuskich paszportach, których miał używać w swej karierze zawodowego zabójcy. Dwa z nich wciąż były aktualne – jeden spoczywał w skrytce bankowej w Zurichu, a drugi w Marsylii. Był to fakt, o którym zapomniał powiedzieć nowym pracodawcom z Tajnych Służb Jej Królewskiej Mości. Uznał, że na wszelki wypadek lepiej mieć asa w rękawie.

Technik z MI6, który teraz robił mu zdjęcia do dokumentów, również czuł się niepewnie w jego obecności, dlatego pracował w niezwykłym pośpiechu. Sesja nie odbywała się w Vauxhall Cross, gdzie wizyty Kellera były ściśle ograniczone, lecz w suterenie w Blooms-bury. Końcowy produkt ukazał pozbawioną uśmiechu twarz mężczyzny około pięćdziesiątki, który, jak się wydawało, niedawno wrócił z długich wakacji w ciepłych krajach.

Według paszportu, w którym umieszczono to zdjęcie, nazywał się Nicholas Evans i miał nie pięćdziesiąt, lecz czterdzieści osiem lat. MI6 wyposażyło go również w brytyjskie prawo jazdy na to nazwisko oraz trzy karty kredytowe i teczkę wypchaną papierami, które potwierdzały jego fałszywą tożsamość, najwyraźniej związaną z handlem i marketingiem. W MI6 przydzielono mu również komórkę, która umożliwiała bezpieczny kontakt z Vauxhall Cross. Keller zakładał jednak, i słusznie, że Vauxhall wykorzysta również ten aparat do obserwacji jego ruchów, a jeśli uzna za konieczne, także do podsłuchu jego rozmów. Dlatego zamierzał przy pierwszej okazji rozstać się z tym służbowym urządzeniem.

Opuścił Londyn nazajutrz o piątej czterdzieści rano pociągiem Eurostar jadącym do Paryża. O dziewiątej piętnaście był na miejscu, a przez kolejne dwie godziny włóczył się bez celu, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Używając technik, z którymi zapoznali go w Forcie Mayhew i Quill, a także kilku innych, które zapamiętał z ulic Zachodniego Belfastu, stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że nie ciągnie za sobą ogona.

Jego następny pociąg, błyskawiczny TGV do Marsylii, odchodził z Gare de Lyon

o wpół do dwunastej. Przez całą podróż wpatrywał się intensywnie w ekran laptopa, by uwiarygodnić nową tożsamość, podczas gdy za oknem krajobraz mienił się jak na obrazach Cézanne'a barwami chromu, sepia, szmaragdowej zieleni i ultramaryny, które migwały mu na granicy pola widzenia jak piękne wspomnienia z dzieciństwa. Przybył do Marsylii o drugiej i znów przez godzinę błąkał się po dobrze znanych brudnych ulicach centrum miasta, aż w końcu uzyskał pewność, że nikt nie zauważył jego przyjazdu.

Wtedy skierował się na place de la Joliette, do prywatnego banku Société Général, gdzie monsieur Laval, opiekun jego konta, udostępnił mu skrytkę. Keller wyjął z niej swój fałszywy francuski paszport oraz pięć tysięcy euro w gotówce. Zdeponował natomiast telefon służbowy MI6, a także paszport, prawo jazdy, karty kredytowe i laptopa.

Po wyjściu ruszył pieszo wzdłuż quai du Lazaret do przystani promowej, gdzie kupił bilet pierwszej klasy na nocny rejs na Korsykę. Mężczyzna w kasie nie wydawał się zdziwiony, że pasażer płaci gotówką. W końcu byli w Marsylii, a prom kursował do Ajaccio. W pobliskiej kawiarence zamówił butelkę różowego wina Bandol i opróżnił ją do połowy, czytając „Le Figaro”, zadowolony po raz pierwszy od miesiąca. Godzinę później rażny, choć lekko wstawiony, stał na dziobie promu, który pruć fale Morza Śródziemnego, kierując się na południe, a w jego uszach wciąż brzmiało stare przysłowie: „Kto ma dwie kobiety, ten traci duszę. Kto ma dwa domy, traci rozum”.

Ocknął się tuż przed świtem. Przez półotwarte okno kabiny przenikała woń rozmarynu i lawendy. Wstał, przywdział swój szaro-biały angielski ubiór i dwadzieścia minut później zszedł z pokładu razem z rodziną krępych Korsykańczyków, bardziej rozłozszczonych niż zwykle to bywa o tak wczesnej porze. W barze naprzeciwko przystani spytał, czy może skorzystać z telefonu, by zadzwonić pod lokalny numer. Z reguły właściciel skitowałby podobną prośbę ze strony przyjeźdnego wzruszeniem ramion. Mógłby też odpowiedzieć, że telefon nie działa od czasu ostatniego sirocco. Ale Keller przemówił płynnym miejscowym dialektem, co tak zszokowało wyspiarza, że z uśmiechem postawił aparat na ladzie. Co więcej, nieproszony przygotował dla gościa filiżankę mocnej kawy i kieliszek koniaku, gdyż poranek był zimny, no więc jak tu znieść taki ziąb bez rozgrzewki.

Numer, z którym się połączył, znało zaledwie kilku mieszkańców wyspy i jeszcze, co ważniejsze, francuskie władze. Mężczyzna, który odebrał telefon, wydał się uradowany, lecz bynajmniej nie zaskoczony, słysząc jego głos. Polecił mu poczekać w kawiarni i obiecał natychmiast wysłać tam samochód. Auto pojawiło się godzinę później. Keller znał od dziecka jego kierowcę. Miał na imię Giacomo i zawsze go ubóstwiał, marząc, by tak jak on zostać *taddunaghiu*. Tymczasem pracował u dona jako chłopiec na posyłki, co jak na Korsykę nie było najgorszym losem dla młodzieńca w wieku dwudziestu pięciu lat.

– Don powiedział, że już tu nie wrócisz.

– Nawet don – odparł filozoficznie Keller – może się czasem mylić.

Giacomo skrzywił się, jakby usłyszał herezję.

– Nasz don jest jak Ojciec Święty. Nieomylny.

– Na wieki wieków – dodał cicho Keller.

Jechali wzdłuż zachodniego brzegu wyspy. W mieście Porto skręcili w głąb lądu

drogą biegnącą wśród oliwnych gajów i sosen czarnych, która niebawem mozolnie zaczęła się wspinać. Keller opuścił szybę. Znow owionęła go woń rozmarynu i lawendy, tak dobrze mu znany zapach *macchii*. Porastała ona Korsykę z zachodu na wschód i z północy na południe jedynym w swoim rodzaju gęstym spletanym dywanem, nieodłącznym dla tej wyspy. Korsykanie używali *macchii* jako przyprawy, ogrzewali nią w zimie domy, a w czasach wojny i wendetty znajdowali w niej schronienie. Wedle tutejszych wierzeń ścigany mógł się ukryć w jej gąszczu i pozostać tam na zawsze bezpieczny. Keller wiedział, że to prawda.

W końcu dotarli do starej wioski Orsatich, grupy domostw z czerwoną dachówką i ścianami barwy piasku, skupionych wokół kościelnej dzwonnicy. Stała tam, jak mówiono, od czasu najazdu Wandalów, kiedy to mieszkańcy wybrzeża ruszyli w góry, by szukać w nich schronienia. Za nią, w małej dolince pełnej gajów oliwnych, z których tłoczono najlepszą oliwę na wyspie, rozciągała się posiadłość dona Orsatiego. Wjazdu strzegli dwaj uzbrojeni strażnicy, którzy z szacunkiem dotknęli swych korsykańskich czapek, gdy Giacomo skręcił w bramę i ruszył długim podjazdem w górę.

Zaparkował w głębokim cieniu dziedzińca, po czym Keller, już sam, wszedł do willi i wspinał się po zimnych kamiennych stopniach na piętro. Don siedział w swoim gabinecie przy wielkim dębowym stole, wpatrując się w jakąś stronę oprawnego w skórę rejestru. Jak na Korsykanina był mężczyzną wysokim. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt, miał szerokie plecy i barczyste ramiona. Nosił szerokie spodnie, wiecznie zakurzone sandały i sztywno uprasowaną białą koszulę, którą jego żona prasowała rankiem, a po raz drugi po południu, gdy budził się z drzemki. Miał czarne włosy i takie same oczy. Obok jego łokcia stała dekoracyjna butelka oliwy produkcji firmy Orsati. Był to kamuflaż, który uwiarygodniał zyski, jakie przynosiła śmierć.

– Jak interes?

– Który? Oliwa czy krew? – W świecie dona Orsatiego krew i oliwa łączyły się bowiem w nierozłączną całość.

– Jedno i drugie.

– Oliwa nie najlepiej. Ta ekonomia hamowanego wzrostu mnie zabija. No i ci Brytyjczycy z tym bzdurnym Brexitem! – Machnął ręką, jakby chciał odpędzić od siebie falę nieznośnego odoru.

– A krew?- spytał Keller.

– Może przypadkiem czytałeś o tym niemieckim biznesmenie, który zniknął w zeszłym tygodniu z hotelu Carlton w Cannes?

– Gdzie on jest?

– Pięć mil na zachód od Ajaccio. – Don się uśmiechnął. – Lub gdzieś w pobliżu.

– W jednej chwili żyjesz – zacytował Keller korsykańskie przysłowie. – W drugiej jesteś martwy.

– Pamiętaj, Christopher, życie trwa tak długo jak minięcie okna. – Don zamknął rejestr ruchem tak ostatecznym, jakby zamykał trumnę, po czym uważnie spojrzał na Kellera. – Nie przypuszczałem, że tak szybko znow cię zobaczę na wyspie. Czyżbyś po raz drugi przemyślał swoje życie?

– A nawet trzeci i czwarty.

To wyraźnie zadowoliło dona, który nadal lustrował go czarnymi oczami jak groźny czujny pies.

– Mam nadzieję, że twoi znajomi z wywiadu brytyjskiego nie wiedzą, że tu jesteś.

– Nie wiem – odparł szczerze Keller. – Ale się nie martw. Nie zagrażają twoim sekretom.

– Brak mi luksusu beztroski, jeśli chodzi o Brytyjczyków – odparł don. – Nie można im ufać. A ty jesteś jedynym mieszkańcem tej ich okropnej wyspy, który coś dla mnie znaczy. Gdyby przestali tu przyjeżdżać na te swoje wakacje, wszystko by się zmieniło.

– Ale to służy waszej gospodarce.

– Za dużo piją.

– Niestety to przypadłość kulturowa.

– A teraz – rzekł don – znów jesteś jednym z nich.

– Prawie.

– Dali ci nowe nazwisko?

– Peter Marlowe.

– Wolałem stare.

– Nie było dostępne. Bo widzisz, biedak nie żyje.

– A twoi nowi pracodawcy? – spytał don.

– W każdym łóżku są wszy – odparł Keller.

– Tylko łyżka – zauważył don – zna kłopoty garnka.

Po tych słowach zapadło przyjazne milczenie. Słysząc było jedynie wiatr w koronach sosen i trzask drewna z *macchii*, którego woń wypełniała wielki gabinet Orsatiego. W końcu zapytał, czemu Keller wrócił na Korsykę, a ten z obojętnym ruchem głowy odparł, że ma to związek z jego nową pracą.

– Wysłał cię tu brytyjski wywiad?

– Mniej więcej.

– Nie odpowiadaj zagadkami, Christopher.

– Nie miałem pod ręką odpowiedniego przysłowia.

– Nasze przysłowia – odrzekł don – są święte i mądre. A teraz mów, dlaczego tu jesteś.

– Szukam pewnego człowieka. To Marokańczyk, ma ksywę Skorpion.

– A jeśli zechcę ci pomóc? – Don klepnął skórzaną oprawę swego rejestru.

Keller nie odpowiedział.

– Ze śpiewania nie ma pieniędzy, Christopher.

– Miałem nadzieję, że mógłbyś mi wyświadczyć osobistą przysługę.

– Porzuciłeś mnie, a teraz chcesz za darmo korzystać z moich usług?

– Czy to też przysłowie?

Don zmarszczył czoło.

– A jeśli znajdę tego człowieka? Co wtedy?

– Moi znajomi z wywiadu brytyjskiego uważają, że byłoby dobrze, gdybym spróbował zrobić z nim interes.

– Czym on się zajmuje?

- Na ogół narkotykami. Ale w wolnych chwilach dostarcza broń dla ISIS.
- ISIS? – Don Orsati poważnie pokręcił głową. – Zapewne się to wiąże z atakiem na Londyn?
- Zapewne tak.
- W takim razie – odrzekł don – zrobię to gratis.

Korsyka

Średnia długość życia *capra aegagrus hircus*, zwanego inaczej kozłem domowym, wynosi piętnaście do osiemnastu lat. Dlatego stary kozioł dona Casabianki, lokalnego notabla i właściciela większej części doliny, która przylegała do posiadłości Orsatic, zdecydowanie wyczerpał limit swych dni. Wedle obliczeń Kellera bestia zużywała cenny tlen przez co najmniej dwadzieścia cztery lata, czyniąc to głównie w cieniu trzech prastarych drzew oliwnych. A tak się składało, że rosły one tuż przed ostrym skretem na zwirowaną ścieżkę, która prowadziła do willi Kellera.

Bezimienna kreatura w płowe plamy i z rudą brodą blokowała drogę, gdy tylko miała ochotę, uniemożliwiając przejazd każdemu, kto jej nie odpowiadał. Do Kellera, człowieka z kontynentu bez kropli korsykańskiej krwi, żywiła szczególną niechęć. Podejmowali niekończące się zapasy woli i na ogół to kozioł wychodził z nich zwycięsko. Keller wielokrotnie się zastanawiał, czy nie rozwiązać sytuacji za pomocą celnego strzału między złośliwe ślepia, ale wiedział, że byłby to poważny błąd. Kozioł cieszył się szczególną sympatią dona Casabianki i gdyby z powodu Kellera choć włos spadł z jego wrednego łba, rozpętałyby się wojna. Oczywiście mogłaby się zakończyć przyjaźnie nad szklanką wina przeprosinami lub jakąś formą rekompensaty. Ale równie dobrze mogła ciągnąć się przez miesiące, a nawet lata. Tak więc Keller nie miał innego wyjścia, niż cierpliwie czekać, aż kozioł zechce się ruszyć. Czuł się jak gnuśny syn, który oblicza swój spadek, podczas gdy bogaty ojciec złośliwie trzyma się życia.

– Miałem nadzieję – rzekł ponuro – że zdołam tego uniknąć.

– W październiku było z nim kiepsko. – Giancomo niecierpliwie uderzał palcem w kierownicę. – A może to był listopad.

– Naprawdę?

– Rak. A może infekcja kiszek. Don Casabianca sprowadził księdza, żeby udzielił ostatniego namaszczenia.

– I jak przeżył?

– Cud. – Giancomo wzruszył ramionami.

– Co za pech! – Keller i kozioł wymienili intensywne spojrzenia. – Spróbuj zatrzeć.

– Chyba pan żartuje.

– Może tym razem podziąła.

– Widać – mruknął Giancomo – że długo pana nie było.

Keller z ciężkim westchnieniem wysiadł z auta. Kozioł buńczucznie uniósł łeb i przybrał bojową postawę, podczas gdy Christopher, zatykając palcami nos, zastanawiał się nad taktyką. Zazwyczaj stosował frontalny atak połączony z głośnymi obelgami i machaniem rąk. W większości wypadków stary cap schodził z drogi i umykał w gąszcz *macchii*, kryjówkę łobuzów i bandytów. Ale tego ranka Keller nie miał sił na konfrontację. Był znużony podróżą i wciąż nękały go mdłości po przeprawie promem.

A poza tym ten stary wyleniały drań wiele ostatnio wycierpiał z powodu raka, infekcji jelit i ostatniego namaszczenia. Ciekawe, od kiedy to Kościół udziela świętych sakramentów parzystokopytnym? – zastanowił się nagle. To możliwe tylko tu, na Korsyce...

– Posłuchaj – odezwał się w końcu, oparty o maskę – życie jest za krótkie na takie wygłupy. – Mógł jeszcze dodać, że tak krótkie jak wyminiecie okna, ale nie sądził, by jego przeciwnik, który mimo wszystko był tylko kozłem, zrozumiał analogię. Zaczął więc mówić o wartości przyjaciół i rodziny. Wyznał, że popełnił w życiu wiele błędów, lecz teraz, po latach spędzonych na obczyźnie, powrócił do domu i jest niemal szczęśliwy. Pozostała mu tylko jedna nierozwiązana sprawa, właśnie ta, i pragnąłby ją załatwić, nim będzie za późno. Czasu, tego wielkiego pogromcy, nie da się na zawsze zatrzymać.

Słyszac te słowa, kozioł przechylił głowę na bok, tak jak to zrobił przed laty pewien człowiek, którego Keller miał zabić na zlecenie. A potem zrobił kilka kroków w przód i polizał wierzch jego dłoni, by na koniec wycofać się w cień trzech prastarych drzew oliwnych. Gdy Giacomo skręcał w podjazd, słońce jasno świeciło nad willą, a w powietrzu unosiła się woń rozmarynu i lawendy.

Keller wszedł do środka i stwierdził, że jego dobytek – w tym obszerna biblioteka i skromna kolekcja francuskich impresjonistów – wygląda dokładnie tak jak w chwili, gdy wyjeżdżał, choć wszystko pokrywała warstwa drobnego jak puder pyłu. Pomyślał, że to pył Sahary, niesiony nad Morzem Śródziemnym przez ostatnie sirocco. Mógł pochodzić z Tunezji, Algieru lub z Maroka, podobnie jak mężczyzna, którego don Orsati obiecał odszukać.

Po wejściu do kuchni spostrzegł, że spiżarnia i lodówka są dobrze zaopatrzone. Don, o dziwo, był uprzedzony o jego powrocie. Nalał sobie szklanek bladego korsykańskiego rosé i poszedł do sypialni. Naładowany pistolet tanfoglio leżał na stoliku nocnym na tomie McEwana, a w szafie, starannie ułożone, wisały liczne garnitury - urzędowy strój dawnego dyrektora północnoeuropejskiego działu sprzedaży firmy Orsati. Natomiast za ukrytymi drzwiami znajdowała się bogata kolekcja odzieży przeznaczonej na różne okoliczności, w tym zlecone zabójstwa – postrzępione dzinsy i swetry wędrownego artysty, jedwabie i złoto wąskiej elity bogaczy, a także polary i goreteksy amatorów górskiej wspinaczki. Były tam nawet sutanna i koloratka katolickiego duchownego, a także brewiarz i podróżny zestaw liturgiczny.

Keller uznał, że wszystkie te kostiumy, podobnie jak jego fałszywe francuskie paszporty, mogą mu się przydać w nowej pracy. Pomyślał też o komórce z MI6 i laptopie z wolną wyczerpującym baterie w bankowej skrytce w Marsylii. Z pewnością do tej pory Vauxhall Cross już ustaliło, że oba urządzenia nie spędziły z nim ostatnich dwunastu godzin. W jakiejś chwili będzie musiał poinformować Grahama Seymoura, że żyje i jest cały. W jakiejś chwili, powtórzył w myślach.

Przebrał się w pomięte chinosa i szorstki wełniany sweter, po czym wyszedł z winem i egzemplarzem McEwana na taras. Wyciągnięty na szezlongu z kutego żelaza, podjął lekturę powieści w miejscu, w którym przerwał ją w pół zdania wiele miesięcy temu. Była to historia młodej kobiety, studentki Cambridge, zwerbowanej do brytyjskiego wywiadu w początkach lat siedemdziesiątych. I choć miał niewiele wspólnego z tą

postacią, czytał z przyjemnością. Wkrótce jednak na książkę padł cień. Przeciągnął szeszlony przez taras do balustrady i został tam do chwili, gdy chłód i mrok zmusiły go do powrotu do domu. Tej nocy lodowaty wiatr tramontana wiał z północnego wschodu i strącił kilka dachówek, ale wcale go to nie zmartwiło. Miał przynajmniej coś do roboty, czekając, aż don odnajdzie mężczyznę zwanego Skorpionem.

Kilka kolejnych dni przeżył bez planu i celu. Naprawa dachu zabrała tylko jeden poranek, z czego dwie godziny spędził w sklepie z artykułami żelaznymi w Porto, omawiając ostatnie ataki tramontany z mieszkańcami sąsiednich wiosek. Najwyraźniej wichura, która nadciągnęła z Po, atakowała częściej niż dotąd, podobnie jak *maestrale* – tak bowiem zaciekle niezależni Korsykańczycy określali wiatr znad doliny Renu. Wszyscy się zgadzali, że zima była ciężka, co wedle korsykańskich przepowiedni wróżyło pomyślną wiosnę. Keller ze swą niepewną przyszłością powstrzymał się od ocen.

Popołudniami wspinał się na skaliste szczyty gór pośrodku wyspy – Rotondo, d'Oro lub Renoso – bądź wędrował wśród gęstwiny *macchii* przez słoneczne doliny. Wieczorami jadał na ogół kolację z don Orsatim w jego posiadłości, a potem, sącząc brandy w gabinecie, delikatnie usiłował wyciągnąć z niego szczegóły dotyczące poszukiwań Skorpiona. Ale don posługiwał się wyłącznie przysłowiami, a Keller, posłuszny dyscyplinie tajnych służb, używał porzekadeł własnego pomysłu. Głównie jednak słuchali szumu tramontany i *maestrale* grasujących pod okapem, co stanowi ulubione zajęcie Korsykańczyków wspólnie spędzających wieczory.

W szóstym dniu pobytu Kellera na wyspie na dworcu kolejowym w Stuttgarcie doszło do zamachu samobójczego, w którym zginęły dwie osoby, a dwadzieścia zostało rannych. Oczywiście jak zawsze pojawiły się pytania. Czy zamachowiec był samotnym wilkiem, czy też działał z ramienia głównego dowódcy w kalifacie ISIS, zwanego Saladynem. Keller do południa oglądał wiadomości telewizyjne, po czym wsiadł do swej wysłużonej furgonetki renault i wyruszył do wioski. Główny plac, położony w najwyższym punkcie miasta, otaczały z trzech stron sklepy i kawiarnie. Z czwartej zamykał go teren należący do starego kościoła.

Keller zajął stolik w jednej z kawiarenek i przyglądał się, jak miejscowi grają w bule do momentu, gdy dzwon wybił piątą. Chwilę później otworzyły się kościelne drzwi i kilkunastu parafian, głównie starszych, zaczęło wolno schodzić po schodach. Była wśród nich stara, ubrana na czarno kobieta. Zatrzymała się na chwilę i spojrzała w jego stronę, po czym weszła do pochylego małego domku przylegającego do plebanii. Gdy nad wioską zapadła ciemność, Keller dopił wino, położył na stoliku kilka monet, a potem ruszył przez plac.

Powitała go jak zawsze frasobliwym uśmiechem, czule dotykając ciepłą dłońią jego policzka. Miała skórę barwy mąki, a swe suche jak popiół białe włosy okrywała czarną chustą. Dziwne, jak czas zaciera wszystkie cechy etniczne i narodowe, pomyślał. Gdyby nie korsykański język, którym się posługiwała, i jej mistyczne katolickie obrzędy, wyglądałaby jak ciotka Beatrice z Ipswich.

– Jesteś już tydzień na wyspie – odezwała się w końcu – i dopiero teraz przychodzisz? – Spojrzała mu głęboko w oczy. – Zło powróciło, mój synu.

– Gdzie mnie znalazło?

– W zamku nad morzem, w ziemi druidów i czarodziei. Był tam człowiek o imieniu ptaka. Strzeż się go w przyszłości. Nie jest ci życzliwy.

Dłoń starej kobiety nadal spoczywała na jego policzku. *Signadora*, jak zwali ją miejscowi, opiekowała się tymi, których dotknęła klątwa złego oka. Ale miała również dar jasnowidzenia. W czasach, gdy pracował dla dona Orsatiego, nigdy nie opuszczał wyspy, nie odwiedzając przedtem tej starej kobiety. A gdy wracał, jej krzywy mały domek na skraju placu był jednym z pierwszych miejsc, które odwiedzał.

W końcu odsunęła dłoń od jego twarzy i dotknęła palcami ciężkiego krzyża na swojej szyi.

– Szukasz kogoś, prawda? – zapytała.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Po kolei, kochany, po kolei.

Gestem ręki poprosiła, by usiadł przy małym drewnianym stole w jej saloniku. Postawiła przed nim talerz z wodą i naczynie z oliwą z oliwek. Keller zanurzył w oliwie palec wskazujący, a potem uniósł go nad talerzem, czekając, aż trzy krople oliwy spadną do wody. Oliwa powinna utworzyć pojedynczą plamę, tymczasem rozpadła się na tysiąc kropli, by na koniec zupełnie zniknąć.

– Jak przypuszczałam. – Staruszka zmarszczyła czoło. – I jest jeszcze gorzej niż zwykle. Świat poza wyspą jest pełen burz i zła. Powinieneś zostać tutaj, z nami.

– Nadszedł czas, żebym odszedł.

– Dlaczego?

Nie umiał odpowiedzieć.

– Wszystko przez tych Izraelczyków. – Pokiwała głową. – A zwłaszcza jednego, tego z imieniem anioła.

– To była moja decyzja, nie jego.

– Niczego się nie nauczyłeś? Nie musisz przede mną kłamać. – Wbiła wzrok w talerz z wodą. – Wiedz, że twoja droga prowadzi znów do niego.

– Do Izraelczyka?

– Niestety.

Bez słowa ujęła go za rękę i zatonęła w modlitwie. A chwilę później zaczęła płakać. Oznaczało to, że zło go opuściło i wstąpiło w jej ciało. Potem zamknęła oczy, jakby zapadła w sen. Gdy się ocknęła, poleciła mu powtórzyć próbę wody. Tym razem oliwa skupiła się w pojedynczą kroplę.

– Następnym razem nie czekaj tak długo – powiedziała. – Lepiej, żeby zło nie zdążyło przeniknąć do krwi.

– Potrzebuję kogoś w Londynie.

– Wiem o pewnej kobiecie w miejscu zwanym Soho. To Greczynka i heretyczka. Zwróć się do niej tylko w ostateczności.

Keller pchnął talerz na środek stołu.

– Powiedz, co wiesz o kimś, kogo nazywają Skorpionem.

– Don znajdzie go w mieście, do którego kursuje jeden z naszych promów. Nie jest w mojej mocy powiedzieć ci który. Ten człowiek sam w sobie nie ma znaczenia, ale może doprowadzić cię do kogoś ważnego.

- Powiedz, do kogo.
- To nie jest w mojej mocy – powiedziała ponownie.
- Jak długo jeszcze mam czekać?
- Po powrocie do domu pakuj torbę. Wkrótce nas opuścisz.
- Na pewno?
- Wątpisz we mnie? – Uśmiechając się, spojrzała mu w oczy. – Jesteś szczęśliwy,

Christopher?

- Jestem. Jak na kogoś takiego jak ja.
- I wciąż tęsknisz za tą, którą straciłeś w Belfaście.

Nie odpowiedział.

- To zrozumiałe, synku. Zginęła w straszny sposób. Ale zabiłeś tego, kto to zrobił.

Nazywał się Quinn, tak? Pomściłeś ją.

- Czy zemsta może zagoić takie rany?

- Pytasz niewłaściwą osobę. Jestem Korsykanką. Ale ty też byłeś jednym z nas. –

Spojrzała na skórzany rzemyk na jego szyi. – Dobrze, że przynajmniej nosisz swój talizman. Będziesz go potrzebował. Ona też.

- O kim mówisz?

Jej powieki zaczęły opadać.

- Jestem już zmęczona, Christopher. Muszę odpocząć.

Ucałował jej dłoń i wsunął w nią zwitek euro.

- To za dużo – powiedziała miękko, gdy wychodził. – Zawsze mi dajesz za dużo.

Korsyka – Nicea

Tego samego wieczoru przy kominku płonącym w gabinecie dona Orsatiego Keller usłyszał, że mężczyzna zwany Skorpionem będzie za dwa dni czekał na niego w barze Saint Étienne przy rue Dabray w Nicei. Udał, że jest zaskoczony. Ale don, który wiedział o jego wizycie u *signadory*, z trudem ukrył irytację, nie mogąc pogodzić się z tym, że ta zagadkowa stara kobieta, którą znał od dziecka, po raz kolejny pozbawiła go satysfakcji.

Jednak nawet *signadora* ze swym darem jasnowidzenia nie mogła się domyślić wielu szczegółów. Nie wiedziała na przykład, że Skorpion nazywał się naprawdę Nouredine Zakaria, że miał dwa paszporty – francuski i marokański, że przez większość życia był ulicznym rzezimieszkiem i że jakiś czas spędził we francuskim więzieniu. Mówiono również, że przez kilka miesięcy przebywał w kalifacie, zapewne w mieście Rakka. Istniała zatem możliwość, że znajdował się pod nadzorem DGSI, francuskich służb specjalnych, choć ludzie dona nie znaleźli na to dowodu. Miał pojawić się w barze Saint Étienne o trzynastej czterdzieści pięć, sam, by spotkać się z Francuzem o nazwisku Yannick Ménard, zawodowym przestępcą, który trudnił się sprzedażą broni. Tyle że Ménard nie mógł stawić się na spotkanie, gdyż leżał o tej porze w wodnym cmentarzu Orsatich pięć mil na zachód od Ajaccio. Natomiast broń, którą Nouredine Zakaria miał od niego kupić – dziesięć bojowych karabinów Kalasznikowa oraz dziesięć kompaktowych pistoletów maszynowych Heckler & Koch MP7 z tłumikiem i celownikiem optycznym firmy Elcan – spoczywała w magazynie Orsatich nieopodal prowansalskiego miasta Gras.

- Ile daliby za to twoi przyjaciele z Londynu? – spytał don.
- Myślałem, że chcesz pracować pro bono.
- Zrób mi tę przyjemność.
- Śmierć Ménarda może skomplikować sprawę – rzekł z namysłem Keller.
- Jak to?
- Brytyjczycy nie lubią krwi.
- Czyżbyś nie miał licencji na zabijanie?
- Nie. – I naprawdę jej nie miał.

Bar Saint Étienne zajmował parter dwupiętrowego budynku na rogu rue Vernier. Pod zieloną markizą stały aluminiowe krzesła i takie same zaplamione lodami stoliki. Był to lokal dla ludzi z sąsiedztwa, miejsce, gdzie w pośpiechu wypijano café crème czy piwo albo przegryzano kanapkę. Turyści rzadko się tu zapuszczali, chyba że przez pomyłkę.

Po przeciwnej stronie skrzyżowania znajdowała się La Fantasia. Tu serwowano pizzę, choć warunki były identyczne. Keller pojawił się o wpół do drugiej i po zamówieniu kawy usiadł przy stoliku na ulicy. Był ubrany jak człowiek z Południa. Tyle że nie zamożny obywatel mieszkający w willi na wzgórzach lub nadmorskim apartamencie, lecz ktoś, kto żyje z dnia na dzień – raz jako kelner, kiedy indziej robotnik, zaś nocą najczęściej jako złodziej. W tej wersji życiorysu Keller miał więzienny staż

i sprawnie operował nożem oraz pięściami. Był też wspaniałym kumplem w kłopotach i niebezpiecznym wrogiem.

Wyciągnął papierosa i zapalił go jednorazową zapalniczką. Miał też jednorazowy telefon. Przez osłonę dymu obserwował cichą ulicę i zamknięte okiennice sąsiednich budynków. Nigdzie nie dostrzegł nic niepokojącego. Mayhew i Quill, jego instruktorzy w Forcie, powiedzieliby, że fachowa obserwacja jest wręcz niemożliwa do wykrycia. Ale on ufał swemu instynktowi. Przez dwadzieścia lat krążył po Francji jako płatny zabójca, a francuska policja uznała, że to zwykła plotka. Nie dlatego jednak, że miał szczęście, lecz dlatego, że był mistrzem w swoim fachu.

Ulicą przejechała zakurzona i poobijana furgonetka peugeot transit. Za kierownicą dostrzegł mężczyznę o północnoafrykańskim wyglądem i podobnego mu pasażera. A więc do tego się sprowadza samotne spotkanie, pomyślał. Ale i on nie był sam. Wbrew wszelkim zasadom MI6, pisanim i niepisanim, ukrył za pasem nielegalny pistolet tanfoglio. Gdyby użył tej broni, strzelając do jakiegokolwiek ludzkiej istoty, jego kariera byłaby zapewne najkrótszą w historii Tajnych Służb Jej Królewskiej Mości.

Peugeot wcisnął się w puste miejsce przy rue Dabray w chwili, gdy drugi samochód, citroën sedan, zahamował przed barem Saint Étienne. W nim też siedziało dwóch mężczyzn o północnoafrykańskiej aparycji. Pasażer wysiadł i zajął jeden ze stolików na dworze, podczas gdy kierowca parkował przy rue Vernier.

Keller zdusił papierosa, oceniając sytuację. Nigdzie nie widział śladu francuskich służb bezpieczeństwa, miał natomiast przed sobą czterech członków jakiegoś marokańskiego gangu najpewniej powiązanego z ISIS. Przypomniał mu się kurs i wykłady na temat unikania i nawiązywania kontaktów. W okolicznościach takich jak ta taktyka MI6 najpewniej doradzałyby pospieszny odwrót. A już na pewno wymagało to nawiązania łączności z kontrolerem w Londynie, by uzyskać wskazówki postępowania. Tyle że jego służbowy telefon spoczywał w skrytce bankowej w Marsylii.

Jednorazowym aparatem sfotografował mężczyznę, który czekał na niego w barze Saint Étienne. Potem wstał, rzucił na stół kilka monet i ruszył przez ulicę. On sam nie ma znaczenia, mówiła stara kobieta, ale może doprowadzić cię do kogoś ważnego.

Rue Dabray, Nicea

Był mieszkańcem zapomnianej Francji, wielkiego pasa przedmieść, które otaczały pierścieniem centra metropolii takich jak Paryż, Lyon i Tuluza. Ich mieszkańcy żyli w zaniedbanych wysokich blokach, gdzie rozpowszechniała się przestępczość, narkotyki i nienawiść społeczna, a wraz z nią coraz bardziej radykalny islam. Większość rosnącej populacji muzułmańskiej Francji pragnęła jedynie spokojnie żyć, troszcząc się o rodziny. Ale pewną jej część uwiódł syreni śpiew ISIS, a niektórzy, tacy jak Nouredine Zakaria, gotowi byli zabijać w imię kalifatu.

W czasach, gdy pracował dla dona Orsatiego, Keller spotkał wielu mu podobnych członków północnoafrykańskich gangów ulicznych. Podejrzał, że Zakaria niewiele wie o islamie, doktrynie dżihadu i salafizmie – religii „przodków”, czyli pierwszych trzech generacji następców Proroka, których rzekomo naśladowali mordercy z ISIS. Ten Marokańczyk jednak posiadał walory znacznie ważniejsze dla ISIS niż znajomość islamu. Jako zawodowy kryminalista był urodzonym kombinatorem. Wiedział, jak zdobyć broń i amunicję, jak kraść samochody i telefony komórkowe, a także gdzie znaleźć kryjówki dla członków komórki terrorystycznej, miejsca, w których mogliby bezpiecznie zatrzymać się przed zamachem i równie bezpiecznie przeczekać tam później. Krótko mówiąc, wiedział, jak postępować, by nie zwrócić uwagi policji. Dla grupy terrorystycznej, jak i dla tajnych służb, była to umiejętność bezcenna.

Kilka centymetrów niższy od Kellera i potężnie zbudowany, nie miał sylwetki rzeźbionej w klubach fitness, lecz muskulaturę więźnia doskonaloną przez bezustanne ćwiczenia w zamkniętej przestrzeni. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, ale Keller nie był tego pewny – nigdy nie potrafił dokładnie określić wieku facetów z Afryki Północnej. Ten zdawał się wzorcem swej przynależności etnicznej: miał wysokie czoło z zakolami na skroniach, szerokie kości policzkowe, pełne usta i ciemne wargi. Żółto barwione okulary przeciwsłoneczne zasłaniały mu oczy, lecz Keller odniósł wrażenie, że są niemal czarne. Na jego prawym nadgarstku widniał duży szwajcarski zegarek, niewątpliwie kradziony, co oznaczało, że to lewą, nie prawą ręką sięgnie po broń, którą ukrył pod częściowo zapiętą skórzaną kurtką. Wybrzuszenie było dość wyraźne. Keller uznał, że celowo.

W tym momencie obok kawiarni wolno przesunął się patrol policji w peugeotcie 308 – przyjaznym dla środowiska gokarcie o krzykliwej barwie. Funkcjonariusz za kierownicą rzucił długie spojrzenie w stronę dwóch mężczyzn siedzących przed barem Saint Étienne. Keller zapalił papierosa i obserwował pojazd do chwili, gdy zniknął za rogiem. Kiedy się w końcu odezwał, użył korsykańskiego dialektu, by uświadomić Zakarii, że nie ma z nim żartów.

– Miałeś przyjechać sam – zaczął ostro.

– Czy widzisz kogoś obok mnie, przyjacielu?

– Przede wszystkim nie jestem twoim przyjacielem. – Keller spojrzał w stronę

citroëna po przeciwnej stronie ulicy oraz na furgonetkę przy rue Dabray. – A ci to kto?

– Jacyś goście z okolicy. – Zakaria obojętnie wzruszył ramionami.

– Powiedz im, żeby zjeżdżali – rzucił i zaczął wstawać.

– Zaczekaj.

Keller znieruchomiał i po chwili wahania opadł ponownie na krzesło. Mayhew i Quill byliby zadowoleni z popisu swego prymusa. Właśnie zdobył dominację nad źródłem osobowym. Ta pozorna rezygnacja z rozmowy była chwytem starym jak bazar. Ale Nouredine Zakaria też był człowiekiem bazaru. Marokańczycy to urodzeni negocjatorzy.

Zaczął sięgać pod skórzaną kurtkę.

– Tylko spokojnie – warknął Keller.

Ręka Zakarii powoli wyjęła z wewnętrznej kieszeni komórkę. Była jednorazowa, podobnie jak telefon Kellera. Ping – i wiadomość pomknęła przez francuską sieć komórkową. Kilka sekund później ozwały się dwa silniki i dwa sztandarowe produkty francuskiego przemysłu samochodowego – peugeot i citroën – włączyły się do ruchu.

– Zadowolony? – spytał Nouredine Zakaria.

– Wniebowzięty.

– Gdzie jest Yannick? – Marokańczyk zapalił gauloise'a.

– Źle się poczuł.

– Więc to ty jesteś szefem?

Keller milczał. Fakt, że jest szefem, był oczywisty.

– Nie lubię zmian – oświadczył Marokańczyk. – Denerwują mnie.

– Zmiany są dobre, Nouredine. Trzymają w pogotowiu.

Brew uniosła się ponad żółtawymi szklami okularów.

– Skąd znasz moje prawdziwe imię?

Keller udał dotkniętego tym pytaniem.

– Nie byłoby mnie tutaj – odrzekł spokojnie – gdybym go nie znał.

– Mówisz jak Korsykanin – zauważył Zakaria. – Ale nie wyglądasz mi na takiego.

– Pozory bywają mylące.

Marokańczyk nie odpowiedział. Keller pomyślał, że taniec, po którym dwaj starzy kryminaliści przechodzą do interesu, dobiega końca. Nie zmierzał jednak do szybkiego zakończenia tych piasów. Nie był już kontraktowym zabójcą, lecz łowcą informacji. A pozyskać mógł je wyłącznie, przeciągając rozmowę. Postanowił zatem wrzucić do grającej szafy jeszcze jedną monetę i pozostać nieco dłużej na parkiecie.

– Yannick mówi, że interesuje cię zakup dwudziestu sztuk.

– Czy to problem?

– Bynajmniej. Na ogół moja organizacja prowadzi transakcje na większą skalę.

– Jak dużą?

Keller spojrział w chmury, jakby chciał powiedzieć, że tam jest granica.

– Prawdę mówiąc, dwadzieścia sztuk to dla nas strata czasu i trudu. Yannick nie powinien niczego obiecywać bez mojej wiedzy. Dobrze się zapowiada, ale to nowicjusz. I czasem – dodał Keller – zapomina o ważnych pytaniach.

– Jakich?

– Moja organizacja działa na wzór państwa – wyjaśnił. – Chcemy wiedzieć, kim są nasi klienci i jak wykorzystują nabyty towar. Amerykanie na przykład, sprzedając samoloty swoim przyjaciółom, Saudyjczykom, żądają zapewnienia, że nie zostaną one użyte przeciw Izraelowi.

– Syjonistyczne świnię – mruknął Marokańczyk.

– Tak czy siak – Keller zmarszczył brwi – mam nadzieję, że rozumiesz, o co chodzi.

Przyjmujemy wasze zamówienie tylko na pewnych warunkach.

– Jakiego rodzaju?

– Musicie zapewnić, że nie wykorzystacie tej broni tu, we Francji, przeciw obywatelom naszej Republiki. Jesteśmy przestępcami, ale i patriotami.

– Tak samo jak my.

– Jesteście patriotami?

– Nie, przestępcami.

– No proszę... – Keller przez chwilę w milczeniu palił papierosa. – Słuchaj, Nouredine, to, co robisz w wolnym czasie, nie jest moją sprawą. Jeśli się parasz dżihadem, proszę bardzo. Pewnie też bym to robił na twoim miejscu. Ale gdybyś chciał użyć tej broni na francuskiej ziemi, to niemal pewne, że dowie się o tym mój szef. I bardzo go to zmartwi.

– Myślałem, że to ty jesteś szefem.

Nad stołem zawisła chmura dymu. Oczy Kellera wbrew jego woli zaczęły łzawić. Gryzący dym gauloise'ów zawsze go drażnił.

– Obiecuj to, Nouredine. Przysięgnij, że nie użyjesz mojej broni przeciw moim rodakom. Obiecuj, że nie dasz mi powodów, żeby dopaść cię i zabić.

– Chyba mi nie grozisz?

– Nawet o tym nie śnię. Nie chciałbym tylko, żebyś zrobił coś, czego pożałujesz. Ale jeśli będziesz grzeczny, mój szef dostarczy ci wszystkiego, czego zechcesz. Jasne?

Marokańczyk wolno zdusił papierosa.

– Słuchaj, *habibi*, zaczynam się wkurzać. Ubijamy biznes czy mam szukać kogoś, kto sprzeda mi te giwery i nie będzie zadawał tylu pieprzonych pytań?

Keller nie odpowiedział.

– Gdzie one są?

Keller zerknął na zachód.

– W Hiszpanii?

– Nie tak daleko. Możemy tam pojechać, ale tylko we dwóch.

– Nic z tego. – Zakaria podniósł telefon i wysłał drugą wiadomość, wzywając kumpli z *citroëna*. – Zmiana planu.

– Nie lubię zmian.

– Zmiany są dobre, *habibi*. Trzymają w pogotowiu.

Gras, Francja

Jak mu polecono, usiadł na miejscu pasażera, a Nouredine Zakaria tuż za nim. Marokańczyk głośno się zastanawiał, czy Keller nie zamierza wyrwać mu kierownicy, co ten skwitował kilkoma korsykańskimi obelgami. Zakaria nawet nie spytał, czy jest uzbrojony. W końcu miał do czynienia z handlarzem broni, więc zakładał, że tamten nosi w tylnej kieszeni co najmniej granatnik RPG.

Citroën zatrzymał się raz. Przystanął na przedmieściu Nicei na tyle tylko, by inny przedstawiciel Afryki Północnej zdążył wsunąć się na tylne siedzenie. Był pomniejszoną wersją Zakarii, tyle że o rok lub dwa młodszą, a jego policzek przecinała głęboka blizna. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Keller znalazł się w otoczeniu trzech zawodowych kryminalistów powiązanych z ISIS, toteż przez następne kilka minut planował strategię ewakuacji z samochodu, w razie gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli.

Początkowo spierali się o to, którą drogą dotrzeć z Nicei do celu. Zakaria upierał się przy autostradzie A8, Keller natomiast przekonywał, że znacznie lepsza będzie dwupasmowa D4. W końcu wjechali na nią tam, gdzie się zaczynała, przy plaży w pobliżu lotniska, by następnie skierować się do podnóża Alp Nadmorskich przez Biot oraz Valbonne i na koniec dotrzeć na przedmieścia Gras. Keller zerknął w lusterko wsteczne, ale droga za nimi była pusta. Nie poprawiło mu to jednak samopoczucia. Ostatni etap transakcji, wymiana towaru na gotówkę, to najbardziej niebezpieczna część imprezy. Nierzadko się wtedy zdarza, że klient lub handlarz kończą z kulą w głowie.

Magazyn firmy Orsatiego w Gras był głównym źródłem dystrybucji produkowanej przez nią oliwy, którą sprzedawano w całej Prowansji. Ale mimo to, podobnie jak inne obiekty należące do Orsatich, nie rzucał się w oczy. Stał przy zakurzonej drodze zwanej chemin de la Madeleine, w przemysłowej dzielnicy, na północny wschód od historycznego centrum miasta. Keller wprowadził kod na panelu przy głównej bramie i pieszo wszedł na teren zabudowań, wskazując drogę kierowcy citroëna. Następnie otworzył drzwi magazynu i zaprosił do środka Zakarię oraz jego towarzysza z blizną. Zakaria przyciskał do siebie walizeczkę ze stali nierdzewnej, która zawierała zapewne sześćdziesiąt tysięcy euro, po trzy tysiące za sztukę czarnorynkowej broni. Keller uznał to za niezbyt wygórowaną cenę. Wcisnął przełącznik i nad ich głowami zamigotał rząd fluorescencyjnych lamp. Ich światło padło na kilkaset drewnianych skrzyń. Trzy zawierały broń, pozostałe oliwę firmy Orsatich.

– Nieźle wykombinowane – stwierdził Marokańczyk.

– A teraz – powiedział Keller – chcę zobaczyć forszę.

Spodziewał się normalnych protestów dotyczących kolejności postępowania, tymczasem Zakaria położył walizeczkę na betonowej posadzce, otworzył zamki szyfrowe i uniósł pokrywę. Pod nią piętrzyły się dziesiątki, dwudziestki, pięćdziesiątki i setki w banknotach ściągniętych gumowymi opaskami. Przysunął do nosa jeden zwitek

i poczuł delikatną woń haszyszu.

Zamknął walizeczkę i gestem wskazał odległy kąt magazynu. Zakaria i drugi Marokańczyk po chwili wahania ruszyli w tamtą stronę. Keller szedł kilka kroków z tyłu, trzymając walizkę w lewej ręce. Gdy w końcu dotarli do starannie ułożonej sterty prostokątnych skrzyń, skinieniem głowy polecił Zakarii, by ten zdjął wieko z najwyższej. Po chwili ich oczom ukazało się pięć karabinów AK-47 z białoruskiej fabryki. Marokańczyk wyjął jeden z nich i uważnie mu się przyjrzał. Najwyraźniej znał się na rzeczy.

– Będziemy potrzebować także amunicji. Jakies pięć tysięcy naboii. Czy to wystarczające zamówienie dla waszej organizacji?

– Myślę, że tak.

– Miałem nadzieję, że usłyszę taką odpowiedź.

Zakaria odłożył kałasznikowa z powrotem do skrzyni, a potem podał Kellerowi złożoną w pół kartkę.

– Co to jest?

– Potraktuj to jako małą demonstrację dobrej woli.

Keller rozłożył kartkę i przeczytał kilka słów napisanych po francusku czerwonym atramentem. Gwałtownie podniósł wzrok.

– Dlaczego? – spytał.

– Żeby mi udowodnić, że nie jesteś gliną. – Zakaria umilkł, a potem dodał: – Albo szpiegiem.

– Czy ja wyglądam na szpiega?

– Pozory – odparł Marokańczyk – bywają mylące. – Jego wzrok spoczął na kumplu z blizną na policzku. – Dowiedz mi tego. Udowodnij, że naprawdę jesteś handlarzem broni, a nie francuskim szpiegiem.

– A jeśli odmówię?

– Wtedy zapewne nie opuścisz tego miejsca żywy.

Ten z blizną stał niecały metr od prawej ręki Kellera, a Zakaria dokładnie na wprost niego, obok skrzyń. Keller z uśmiechem wypuścił kartkę spomiędzy palców. Nim zdążyła opaść na podłogę, wyrwał zza pasa pistolet i wymierzył go w twarz Nouredine'a Zakarii.

– Jestem pod wrażeniem – rzekł Marokańczyk. – W dodatku trzymasz forszę. Ale może nie najlepiej czytasz?

– Czytam nieźle. I równie dobrze słyszę. Ale coś mi się zdaje, że właśnie mi grozisz. To wielki błąd, *habibi*. – Keller zamilkł, by dodać: – Prawdę mówiąc, fatalny.

Zakaria spojrział nerwowo na drugiego Marokańczyka, który niezdarnie sięgał po ukrytą pod kurtką broń. Ręka Kellera skierowała się czterdzieści pięć stopni w prawo i bez wahania nacisnęła spust. Dwukrotnie rozległo się tap-tap wyszkolonego zawodowca. Oba pociski trafiły Marokańczyka w środek czoła. Potem ręka cofnęła się do pierwotnej pozycji. Gdyby Zakaria stał nieruchomo, mógłby wprawić Kellera w rozterkę, ale on też sięgnął po broń. Decyzja Kellera była instynktowna. Tap-tap... i kolejny Marokańczyk leżał martwy.

Wsunął tanfoglio za pas, po czym sięgnął po kartkę leżącą na posadzce i ponownie przeczytał słowa, które Nouredine Zakaria napisał czerwonym atramentem.

„Zabij mojego towarzysza albo ja zabiję ciebie”.

Zmiana planu, pomyślał Keller. Położył aktówkę na podłodze obok martwych ciał i wyszedł z hali na dwór, gdzie za kierownicą Citroëna siedział trzeci z Marokańczyków. Postukał kłękciem w okno od strony kierowcy i szyba zjechała w dół.

– Wydawało mi się, że słyszałem strzały – powiedział Marokańczyk.

– Twój przyjaciel Nouredine nalegał, żeby sprawdzić towar. – Keller otworzył drzwi. – Chodź do środka, kolego. On chce ci coś pokazać.

Spędził tę noc w małym hotelu w pobliżu Starego Portu w Cannes, a rano wynajął samochód, by ruszyć do Marsylii. Przybył tam kilka minut po dziesiątej, wszedł do Soci t  G n rale przy place de la Joliette i zażądał dostępu do skrytki. Baterie w komputerze i komórce dawno się wyczerpały. Doładował je w pociągu TGV do Paryża i zobaczył, że w skrzynce mejlowej ma kilka nieprzeczytanych wiadomości z Vauxhall Cross. Ton każdej z kolejnych brzmiał coraz bardziej alarmująco. Oczekał do chwili, gdy znalazł się bezpiecznie w Eurostar jadącym do Londynu, nim poinformował ich, że jest w drodze do domu. Wątpił, by oczekiwało go miłe przyjęcie.

Vauxhall Cross nie odzywało się do chwili, gdy pociąg wjeżdżał na dworzec St. Pancras International. Dopiero wtedy nadeszła sucha informacja, że jest oczekiwany w hali przyjazdów. W charakterze komitetu powitalnego zjawił się Nigel Whitcombe, młody adiutant Grahama Seymoura, jego degustator i człowiek do wszystkiego. Whitcombe nie odezwał się słowem, gdy wiozł Kellera z Euston Street na zabudowaną po wojnie brudnymi szeregowcami ulicę w pobliżu metra Stockwell.

Idąc ścieżką prowadzącą do drzwi jednego z domów, ścisnął stalową walizeczkę, która zawierała sześćdziesiąt tysięcy euro z kasy ISIS i układał w myślach raport, jaki miał niebawem złożyć swemu szefowi. Odnalazł agenta ISIS o pseudonimie Skorpion i zgodnie z poleceniem próbował z nim nawiązać kontakty handlowe. Niestety pierwsza transakcja przebiegła niezgodnie z planem i trzech członkowie ISIS byli teraz martwi. Poza tym swe pierwsze zadanie w roli agenta Tajnych Służb Jej Królewskiej Mości wypełnił bez większych kłopotów.

Stockwell, Londyn

- Nie mogłeś spudłować?
- Próbowałem – odparł Keller – ale ten idiota wystawił się na strzał.
- Dlaczego miałeś przy sobie pistolet?
- Zastanawiałem się nad pękaniem żonkili, ale pomyślałem, że broń mnie uwiarygodni. W końcu mieli uwierzyć, że nią handluję.
- Gdzie to wszystko teraz jest?
- Karabiny? Sądzę, że wróciły na Korsykę.
- A ciała?
- Kilka mil dalej na zachód.

Seymour rozejrzał się z rozpaczą po małym saloniku. Jego umeblowanie przypominało halę odlotów. Nie był to najbardziej reprezentacyjny z lokali w zasobach tajnych służb. MI6 posiadał znacznie elegantsze mieszkania konspiracyjne w tak drogich dzielnicach jak Mayfair czy Belgravia, ale Seymour często korzystał z tego miejsca ze względu na jego niewielką odległość od Vauxhall Cross. Automatyczny system nagrywania dawno już nie funkcjonował, mimo to postanowił sprawdzić moduł zasilania, by się upewnić, że nie został przypadkiem włączony. Otworzył jedną z szafek ciągu kuchennego, gdzie go umieszczono, i zerknął na czujniki napięcia i sygnalizatory. Nie działały.

Zamknął szafkę i odwrócił się do Kellera.

- Naprawdę musieli zginać?
- To nie były filary społeczeństwa, Grahamie. Poza tym miałem niewielki wybór. Oni albo ja.

– Radziłbym twojemu donowi, żeby starannie wyszorował ten swój magazyn. Krew zostawia trwałe ślady, chyba wiesz.

– Czyżbyś znów oglądał „Kryminalne zagadki Las Vegas”?

Seymour nie odpowiedział.

– Francuscy policjanci nigdy nie odważą się wejść do tego magazynu – oznajmił Keller. – Większość z nich jest u dona na liście płac. Tak to działa w realnym świecie. Dlatego prawdziwi przestępcy żyją na wolności. Przynajmniej ci sprytniejsi.

– Zdarza się jednak – mruknął Seymour – że nawet szpiegdy wpadają. A kiedy w grę wchodzi morderstwo, czasem lądują w więzieniu.

– Zdefiniuj pojęcie „morderstwo”.

– Bezprawne zabicie innego...

– Gdybyśmy chcieli być skautami, dołączylibyśmy do skautów.

Seymour uniósł brew.

– T.S. Eliot?

– Richard Helms^[2].

– Mój ojciec go nienawidził.

– Gdybyś chciał się trzymać podręcznika – odrzekł Keller – zleciłbyś to zadanie pracownikowi kadrowemu, który działałby pod dyktando zwierzchnictwa. Tymczasem wysłałeś tam mnie.

– Miałeś rozpracować komórkę, udając korsykańskiego handlarza bronią. Na pewno nie wspominałem o zabójstwie trzech terrorystów ISIS na francuskiej ziemi.

– I nie taki był plan. Ale nie udawajmy, że wzdramy się przed takimi metodami, Grahamie. Łączy nas zbyt długa znajomość.

– To prawda – przytaknął cicho Seymour. – Sięga aż do tej farmy w Południowym Armagh.

Otworzył inną szafkę i wyjął butelkę tanqueray oraz tonik. Potem zajrzał do wnętrza lodówki. Było puste, nie licząc dwóch wyschniętych limonek barwy papierowego worka.

– To herezja.

– Co znowu?

– Gin z tonikiem bez limonki. – Seymour wyjął z zamrażarki trochę lodu i podzielił go między dwie zmatowiałe szklanki. – Twoje działania pociągają za sobą pewne konsekwencje. Najważniejsza jest taka, że facet, który był jedynym ogniwem łączącym zamach z siatką Saladyna, leży na dnie Morza Śródziemnego.

– Gdzie już nikogo nie zabije.

– Czasem żywy terrorysta jest więcej wart niż martwy.

– Czasem – zgodził się niechętnie Keller. – Do czego zmierzasz?

– Do tego – Seymour podał mu drinka – że teraz nie mamy wyboru. Musimy zdradzić tożsamość Nouredine’a Zakarii naszym przyjaciołom z francuskiego wywiadu.

– A co powiemy Francuzom o obecnym miejscu jego pobytu?

– Jak najmniej.

– Jeśli pozwolisz – rzekł Keller – wolałbym uniknąć tego spotkania.

– W gruncie rzeczy ja też nie chcę w nim uczestniczyć.

– Kogo zamierzasz wysłać?

Kiedy Seymour wymienił nazwisko, Keller się uśmiechnął.

– Czy on coś o tym wie?

– Jeszcze nie.

– Perfidny z ciebie drań.

– Mamy to we krwi. – Seymour, unosząc brwi, wypił łyk drinka. – Czy w tym Forcie niczego cię nie nauczyli?

Bulwar Króla Saula, Tel Awiw

Gdyby istniał oficjalny zapis wydarzeń, którego oczywiście nie było, okazałoby się, że Gabriel Allon spędził większą część tego samego wieczoru w centrum operacyjnym przy bulwarze Króla Saula. O wyprawie Christophera Kellera do Paryża i spotkaniu w konspiracyjnym lokalu w Stockwell nie wiedział nic. Koncentrował się bez reszty na ekranach monitorów, obserwując, jak konwój złożony z czerech ciężarówek posuwa się z Damaszku na zachód w stronę granicy z Libanem. Jeden z ekranów przekazywał ujęcie z OFEK 10 – izraelskiego satelity szpiegowskiego krążącego wysoko nad Syrią. Drugi natomiast przynosił obraz z kamery monitoringu Sił Obronnych Izraela umieszczonej na szczycie góry Hermon.

W obu przypadkach korzystano z technologii podczerwieni, w związku z czym ciężarówka lśniła jaskrawą bielą na czarnym tle. Wedle informacji, które Biuro zdobyło z najbardziej wiarygodnych źródeł, konwój ten miał dostarczyć broń chemiczną Hezbollahowi. Stanowiło to swego rodzaju zapłatę za wsparcie udzielone przez radykalne ugrupowanie szyickie zwalczanemu reżimowi w Syrii. Z oczywistych względów nie należało dopuścić, by broń ta dotarła do celu, którym były magazyny Hezbollahu w Dolinie Bekaa.

Centrum Operacyjne przy bulwarze Króla Saula było znacznie mniejsze niż jego brytyjskie i amerykańskie odpowiedniki, a przy tym bardziej spartańskie i praktyczne. Był tam fotel przeznaczony dla szefa i drugi, dla jego zastępcy. Obaj jednak stali. Navot skrzyżował na piersi swe atletyczne ręce, a Gabriel z lekko przechyloną na bok głową, ujmując dłonią brodę, wpatrywał się swymi zielonymi oczami w obraz z satelity. Na terenie, który obserwował, nie było jego agentów ani informatorów, mimo to śledził sytuację z napięciem i niepokojem. Tak to jest być szefem, myślał przytłoczony ciężarem dowództwa. Nie zachwycaly go również zaawansowane technologie napowietrznej obserwacji. Zdecydowanie wolał stanąć naprzeciwko wroga twarzą w twarz i walczyć na odległość metra, a nie kilometra.

Nagle napłynęły obrazy zapisane głęboko w jego pamięci. Październik 1972 roku, piazza Annibaliano w Rzymie, jego pierwsza misja. Anioł zemsty czekający przy windzie i palestyński terrorysta, zabójca jedenastu izraelskich trenerów i lekkoatletów.

„Przepraszam, czy Wadal Zwaiter?”

„Nie! Proszę, nie!”

Głosny dźwięk telefonu przywrócił go do rzeczywistości. Navot odruchowo wyciągnął rękę, ale się zreflektował. Gabriel z uśmiechem podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym się rozłączył. Znowu stanęli obok siebie, on i Navot, niczym Boaz i Jachin, ponownie wbijając wzrok w ekrany.

W końcu Gabriel się odezwał:

– Izraelskie Siły Powietrzne zaatakują ich z chwilą przekroczenia granicy.

Navot w zamyśleniu skinął głową. Oczekanie, aż konwój znajdzie się na terenie Libanu, eliminowało ryzyko przypadkowego uderzenia w siły rosyjskie lub syryjskie,

a co za tym idzie, wybuchu Trzeciej Wojny Światowej.

- O czym teraz myślałeś? – spytał po chwili.
- O operacji – odparł zaskoczony Gabriel.
- Bzdura.
- Skąd wiesz?
- Prawym palcem wskazującym naciskałeś spust.
- Naprawdę?
- Jedenaście razy.

Gabriel przez chwilę milczał.

- Rzym – powiedział w końcu. – Myślałem o Rzymie.
- Dlaczego teraz?
- Dlaczego w ogóle?
- Myślałem, że zastrzeliłeś go lewą ręką.

Gabriel obserwował, jak cztery wozy posuwają się systematycznie na południe.

O dziewiątej dziesięć czasu Tel Awiwu wjechały do Libanu.

- No, no... – mruknął Navot.
- Powinni sprawdzić nawigację – zakpił Gabriel.

Na linii bezpiecznej łączności rozległ się trzask i kilka sekund później z lewej strony ekranu na prawą śmignęły dwa pociski. Eksplozje, które nastąpiły, były w podczerwieni tak oślepiające, że Gabriel odwrócił wzrok. Gdy znów spojrzął na ekran, ujrzał płonącego człowieka, który uciekał z rozbitego konwoju. Jakże pragnął, by to był Saladyn. Nie, niech to będzie metr, nie kilometr, pomyślał nieco później, opuszczając centrum operacyjne.

Wstąpił do swego gabinetu po płaszcz i teczkę, po czym zjechał do podziemnego garażu i wsunął się na tył pancernego SUV-a. Gdy zbliżał się do przedmieść zachodniej Jerozolimy, zadzwonił telefon służbowy. Wzywano go na ulicę Kaplan. Premier chciał z nim zamienić kilka słów.

W trakcie kolacji złożonej z kurczaka gongbao i sajgonek przez półtorej godziny wypytywał Gabriela o bieżące operacje i ocenę aktualnej sytuacji. Jego główną obsesję stanowił Iran, a w drugiej kolejności nowa administracja w Waszyngtonie. Stosunki z ostatnim amerykańskim prezydentem były fatalne. Niedawno wybrany przywódca zapowiadał zacieśnienie więzów Waszyngtonu z Izraelem. Nadmieniał nawet, że oficjalnie przeniesie ambasadę USA z Tel Awiwu do Jerozolimy, co nieuchronnie wywołałoby burzę protestów w świecie arabskim i muzułmańskim. W koalicji premiera istniały siły, które chętnie wykorzystałyby sprzyjające warunki, by intensywnie rozszerzyć żydowskie osadnictwo na Zachodnim Brzegu. W powietrzu wisiała aneksja.

Gabriel był głosem przestrogi. Jako szef Biura potrzebował wsparcia ze strony arabskich tajnych służb w Ammanie i Kairze, by zabezpieczyć peryferie Izraela. Co więcej, zyskał poważne wpływy wśród Saudyjczyków oraz sunnickich emiratów Zatoki, które obawiały się bardziej Persów niż Żydów. Ostatnią rzeczą, jakiej mógł teraz pragnąć, były solidarne protesty na palestyńskim froncie.

- Kiedy planujesz wyjazd do Waszyngtonu?- spytał premier.
- Nie byłem zaproszony.

– Od kiedy to potrzebujesz zaproszeń? – Szef rządu Izraela chciał ująć sajgonkę pałeczkami, ale wobec niepowodzenia po prostu nadział ją na jedną z nich. – Nie zjadłbyś trochę więcej?

– Nie, dziękuję.

– Może kurczaka?

Gabriel uniósł dłoń obronnym gestem.

– Przecież to gongbao – zdziwił się premier.

Dochodziła północ, gdy SUV skręcał w Narkiss. Ta ulica należała ongiś do najspokojniejszych w mieście, teraz jednak przypominała obóz warowny. Na każdym z jej końców stały posterunki, a przed numerem szesnastym, gdzie mieścił się stary budynek z piaskowca, przez całą dobę czuwał strażnik. Poza tym niewiele się zmieniło. Furtka nadal skrzypiała przy otwieraniu, ogromny eukaliptus nadal zasłaniał trzy małe tarasy, światło na klatce schodowej wciąż miało zimną, zielonkawą barwę.

Dotarłszy na drugie piętro, Gabriel dostrzegł uchylone drzwi. Cicho wszedł i ujrzał Chiare w rogu kanapy z otwartą książką na kolanach. Delikatnie wyjął ją z jej dłoni i zerknął na okładkę. Było to włoskie wydanie jakiejś amerykańskiej powieści szpiegowskiej.

– Nie masz tego dość na co dzień?

– Wydaje się znacznie bardziej efektowne, kiedy o tym czytam.

– Kim jest bohater?

– Zabójcą obdarzonym sumieniem. Trochę jak ty.

– Czy jest również konserwatorem dzieł sztuki?

Zrobiła minę.

– Tego by już nikt nie wymyślił.

Zdjął płaszcz i marynarkę, prowokacyjnie rzucając je na poręcz fotela. Chiara z dezaprobatą pokręciła głową, po czym polizała koniuszek palca wskazującego i przewróciła stronę. Miała na sobie zwykle szare spodnie dresowe i sportową bluzę z kapturem, lecz nawet w tym stroju była zdumiewająco piękna ze swymi długimi niesfornymi włosami przerzuconymi przez ramię. Zbliżała się teraz do czterdziestki, ale ani czas, ani stres związany z pracą Gabriela nie odbiły się na jej twarzy. Widział w niej refleksy Arabii i Północnej Afryki, a także Hiszpanii oraz wszystkich innych miejsc, które przebyli jej przodkowie, nim dotarli do starożytnej żydowskiej dzielnicy w Wenecji. Jednak to jej oczy go usidliły. Miały barwę karmelu rozświetlonego drobinkami złota – połączenie, którego nie zdołał oddać na płótnie. Gdy lśniły szczęściem, przepełniało go uczucie spełnienia, jakiego wcześniej nie znał. A gdy ciemniały z gniewu lub smutku, czuł się najnędrniejszą z ziemskich istot.

– Jak dzieci? – spytał.

– Jeśli je obudzisz... – Polizała palec wskazujący i odwróciła kolejną stronę.

Zdjął buty i w samych skarpetkach wśliznął się bezszelestnie do pokoju dziecinnego. Dwie stykające się z sobą kołyski stały pod ścianą, na której kiedyś namalował chmurki. Dwoje czternastomiesięcznych dzieci, chłopiec i dziewczynka, spało główka przy główce, jak ongiś w łonie matki. Wyciągnął rękę do córki, na pamiątkę swej babci nazwanej Irene, ale się powstrzymał. Była żywołem nocy i miała lekki sen

urodzonego szpiega. Natomiast Rafael, pogrążony w głębokiej nieświadomości, nie poczuł nawet dotyku dłoni ojca o północy.

Gabriel uświadomił sobie nagle, że minęły już trzy doby, od kiedy widział dzieci za dnia.

Kierował Biurem niewiele ponad miesiąc, a już ominęły go ważne etapy ich rozwoju – pierwsze słowo wypowiedziane przez Rafaela, pierwsze niepewne kroki Irene... Obiecywał sobie, że tak się nie stanie, że nie dopuści, by praca zdominowała jego życie. Oczywiście były to czyste fantazje. Dyrektor Biura nie ma prywatnego życia. Jego rodziną i żoną jest kraj, który przysiągł chronić. W końcu to nie dożywocie, pocieszał się w myślach. Zaledwie sześć lat.

Przy końcu kadencji jego dzieci będą siedmiolatkami. Zostanie jeszcze wiele czasu, by nadgonić stracone chwile. Pod warunkiem, rzecz jasna, że premier nie zmusi go, by nadal pełnił swą funkcję. Zaczął obliczać, ile miałby lat przy końcu drugiej kadencji. Wynik go przygnębił. Niemal jak Abraham. Noe...

Wymknął się po cichu i wszedł do kuchni, gdzie mały stolik nakryty był do kolacji, a na nim, jak na obrazku z książki kucharskiej, czekały tagliatelle z bobem i serem, przystawki na grzance oraz omlet z pomidorami i ziołami. Gabriel usiadł i ostrożnie, jakby to był odbezpieczony granat, położył komórkę na środku stołu. Po objęciu stanowiska szefa tajnych służb krótko zastanawiał się nad przeprowadzką na jedno ze świeckich przedmieść Tel Awiwu, by zamieszkać bliżej bulwaru Króla Saula. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że lepiej pozostać w Jerozolimie, w pobliżu gabinetu premiera. Już trzykrotnie wzywano go w środku nocy na Kaplan, raz tylko dlatego, że premier nie mógł zasnąć i potrzebował towarzystwa. Omawiali sytuację światową, oglądając jednocześnie w telewizji jakiś film akcji. Gabriel pożegnał się w punkcie kulminacyjnym, by o świcie z czerwonymi oczami zacząć urzędowanie.

– Napijesz się? – spytała Chiara, unosząc butelkę wytrawnego czerwonego wina z Galilei.

Pokręcił głową.

– Już późno.

Chiara odstawiła butelkę na blat.

– Jak premier?

– Nader zainteresowany problematyką azjatycką.

– Znowu chińska kuchnia?

– Gongbao i sajgonki.

– Jest bardzo konsekwentny.

Usiadła naprzeciwko męża i patrzyła z zadowoleniem, jak nakłada sobie potrawy na talerz.

– A ty? Nie będziesz jadła? – zapytał.

– Jadłam pięć godzin temu.

– Zjedz choć trochę, żebym nie czuł się jak prostak.

Sięgnęła po bruschettę zapiekaną z posiekanymi oliwkami i pietruszką, po czym skubnęła kęs.

– Jak praca?

Wymijająco wzruszył ramionami, okręcając na widelcu makaron.

– Nawet nie próbuj – ostrzegła. – Jesteś moim jedynym kontaktem z prawdziwym światem.

– Biuro to niezupełnie prawdziwy świat.

– Biuro – odparowała – jest tak prawdziwe, jak tylko to możliwe. To reszta jest pozorem.

Przedstawił jej odtajnioną oficjalną wersję wieczornego ataku na konwój, ale w jej pięknych oczach pojawiły się wkrótce oznaki znudzenia. Znacznie bardziej niż szczegóły prowadzonych przez Biuro operacji interesowały ją biurowe plotki – polityka, zażarte walki wewnętrzne, no i romanse. Minęło wiele lat, odkąd wycofała się z aktywnej służby, a przecież, gdyby tylko mogła, powróciłaby do niej na skinienie. Ale Gabriel miał zbyt wielu wrogów, którzy już wcześniej uderzyli w jego rodzinę. Dlatego musiała zadowolić się rolą pierwszej damy, która w przeciwieństwie do żony pierwszego szefa, obłudnej Belli Navot, była uwielbiana przez personel.

– Czy tak ma to wyglądać przez następne sześć lat? – zapytała.

– Co?

– Kolacje o północy, kiedy tylko mogę patrzeć, jak jesz.

– Wiedzieliśmy, że to nie będzie łatwe.

– No tak – przytaknęła bez przekonania.

– Za późno na zmianę zdania, Chiaro.

– Nie zmieniałam zdania. Tylko tęsknię do mojego męża.

– Ja też do ciebie tęsknię. Ale nie da się tego...

– Szamronowie zaprosili nas jutro na kolację – powiedziała nagle.

– Jutro będzie trudno. – Nie wyjaśnił dlaczego.

– To może wybierzemy się w sobotę do Tyberiady?

– Może – powtórzył niepewnie.

Zapadła ciężka cisza.

– Dobrze wiesz, mój drogi, że Bóg nie zawsze był dla ciebie łaskaw.

– Tak, wiem.

– Ale dał ci drugą szansę ojcostwa. Nie zmarnuj tego. Nie stań się dla nich człowiekiem, który przychodzi i wychodzi w ciemności. Bo tak cię zapamiętają. I nie próbuj przekonywać sam siebie, że chronisz je przed niebezpieczeństwem. To nie wystarczy.

W tym momencie rozblęsnął ekran jego komórki. Niechętnie wprowadził hasło i przeczytał wiadomość.

– Premier? – spytała.

– Graham Seymour.

– Czego on chce?

– Prywatnego spotkania.

– Tutaj czy tam?

– Tam – odparł Gabriel.

Nie mówiąc nic więcej, zadzwonił na bulwar Króla Saula, by polecić sekcji podróży załatwienie formalności związanych ze swym pierwszym zagranicznym wyjazdem

w charakterze szefa Biura. Samolot odlatywał z Ben Guriona o siódmej rano i lądował w Londynie o dziesiątej trzydzieści. Dla niego i jego ochrony zarezerwowano bilety pierwszej klasy. Bezpieczeństwo po drugiej stronie mieli zapewnić Brytyjczycy.

Ustaliwszy szczegóły wyjazdu, rozłączył się i podniósł głowę, by ujrzeć, że Chiara zniknęła. Siedząc samotnie w kuchni, połączył się z Uzim Navotem i poinformował go o wyjeździe. Potem włączył telewizję i dokończył kolację. Może zdoła się zdrzemnąć z godzinę lub dwie. Pomyślał również, że znów opuści swe dzieci w ciemnościach i w ciemności do nich powróci. I że zawsze będzie chronił ich bezpieczeństwa. Może w nagrodę zapamiętają dotyk jego dłoni w środku nocy.

Jerozolima – Londyn

Tak więc Gabriel Allon po krótkiej niespokojnej drzemce zerwał się z łóżka, by chwilę później zniknąć we wnętrzu swego pancernego SUV-a. Dotarł na lotnisko kilka minut przed odlotem samolotu i w asyście dwóch ochroniarzy wszedł na pokład już napasie startowym. Nie miał biletu i nie figurował na liście pasażerów. Szef Biura, *ramsad*, jak go nazywano, nigdy nie podróżuje pod własnym nazwiskiem za granicę, nawet na trasach stosunkowo przyjaznych, jak choćby ta do Wielkiej Brytanii. Wrogie siły, takie jak Irańczycy i Rosjanie, również mają dostęp do rejestrów lotniczych. Podobnie jak Amerykanie.

Pięciogodzinny lot spędził, czytając prasę, co było bezcelowe w przypadku człowieka, który wiedział aż nazbyt wiele, a po przylocie na Heathrow zdał się na opiekę komitetu powitalnego MI6. Wjeżdżając do centrum Londynu na tylnym siedzeniu limuzyny marki Jaguar, przez chwilę żałował, że nie wrzucił do teczki krawata. Ale przez większość czasu spoglądał przez okno, wspominając, jak wkradał się do tego miasta pod różnymi nazwiskami, prowadząc różne wojny pod różnymi flagami. Geografia tej metropolii była dla niego polem bitwy – Hyde Park, Westminster Abbey, Covent Garden, Brompton Road... Odnosił tu rany, przeżył głęboką żalobę, a w konspiracyjnym mieszkaniu Biura przy Bayswater Road złożył Chiarze sekretną przysięgę małżeńską, gdyż obawiał się, że nie dożyje następnego dnia. Wiele zawdzięczał brytyjskim tajnym służbom. Dały mu azyl w najtrudniejszym okresie życia i ochronę wówczas, gdy inne kraje bez wahania by go wydały. Odwzajemniając się, podejmował różne niełatwe zadania w imieniu rządu Jej Królewskiej Mości. Wedle jego obliczeń bilans był mniej więcej wyrównany.

W końcu samochód skręcił w Vauxhall Bridge i przemknął nad Tamizą w stronę królującej na przeciwległym brzegu świątyni tajnych służb. Na najwyższym piętrze Gabriel minął atrium z angielskim ogrodem i wszedł do najpiękniejszego gabinetu w całym szpiegowskim świecie. Tam oczekiwał go Graham Seymour wraz z członkami kierownictwa. Nastąpiła seria krótkich zdawkowych prezentacji, po czym egzekutywa zaczęła stopniowo opuszczać gabinet. Niebawem Gabriel i Seymour zostali sami.

Długo spoglądali na siebie w milczeniu. Różnili się tak bardzo, jak tylko to możliwe. Dzielili ich wszystko – wzrost, budowa, maniery i wyznanie. A jednak łączące ich więzi były nierozzerwalne. Utrwaliły się w ciągu licznych wspólnych operacji, w walkach skierowanych na różne cele i wydanych różnej maści wrogom, zarówno terrorowi dżihadu, jak i rosyjskiej mafii w osobie handlarza bronią, który nazywał się Iwan Charkow. Ich wspólne działania obejmowały także irański program nuklearny, a wzajemna nieufność była bardzo ograniczona, co w szpiegowskim fachu oznacza serdeczną przyjaźń.

– No więc – odezwał się w końcu Seymour – jak się miewasz w roli członka klubu?

– Nasz klub nie jest tak imponujący jak wasz. – Gabriel rozejrzał się wymownie po wspaniałym wnętrzu gabinetu. – Ani tak stary.

– Zaraz, czy to aby nie Mojżesz wysłał swych agentów na przespługi do ziemi Kanaan?

– Zaliczając pierwszą porażkę w dziejach wywiadu – odparł Gabriel. – Pomyśl, jak inaczej potoczyłyby się żydowskie losy, gdyby Mojżesz wybrał nie ten, lecz inny kraj.

– A teraz ty masz zapewnić mu ochronę.

– Dlatego co dzień przybywa mi siwych włosów. Kiedy dorastałem w Dolinie Jezreel, miewałem nocne koszmary. Śniły mi się wrogie armie, które najeżdżały nasz kraj. Teraz przeżywam to co noc. A w tych snach – dodał – sam ponoszę za to winę.

– Ja też miewam ostatnio podobne sny. – Seymour spojrział ponad rzeką w stronę West Endu. – I pomyśleć, że mogłoby być jeszcze gorzej, gdyby pewien znany marszand dzieł sztuki nie zauważył, jak terroryści wchodzą do teatru.

– Ktoś, kogo znam?

– Właściwie – odparł wolno Seymour – to całkiem możliwe. Jest właścicielem Galerii Dzieł Starych Mistrzów przy St. James's. Ma siedemdziesiąt pięć lat, ale wciąż go widują z młodymi kobietami. Właśnie tego wieczoru, gdy nastąpił zamach, umówił się w Ivy z kobietą o połowę od niego młodszą. Ale wystawiła go do wiatru. I nic lepszego nie mogło go spotkać. – Seymour uważnie spojrział na Gabriela. – Nie wspomniał ci o tym?

– Staramy się ograniczyć kontakty do minimum.

– Musiałeś wywrzeć na niego silny wpływ. Zachował się jak prawdziwy bohater.

– Czy na pewno mówimy o tym samym Julianie Isherwoodzie?

Seymour uśmiechnął się mimo woli.

– Muszę jednak przyznać, że twój przyjaciel Saladyn – rzekł po chwili – przeprowadził operację nader sprawnie. Do tej pory zdołaliśmy zidentyfikować tylko jedno ogniwo bezpośrednio powiązane ze spiskiem. To zamieszkały we Francji agent, który dostarczał ISIS automatyczne karabiny. Poleciałem jednemu z naszych oficerów zlokalizowanie go, ale niestety nastąpiły pewne komplikacje.

– Jakie komplikacje?

– No cóż... fatalne. W gruncie rzeczy aż trzy.

– Rozumiem. A jak się nazywa ten wasz funkcjonariusz? – spytał Gabriel.

– Peter Marlowe. Służył jakiś czas w Irlandii Północnej, a potem handlował oliwą na Korsyce.

– W takim razie – orzekł Gabriel – macie wiele szczęścia, że są tylko trzy ofiary.

– Wątpię, żeby Francuzi podzielali to zdanie. – Seymour zamilkł, by po chwili dodać: – I dlatego jesteście mi potrzebny. Chciałbym, żebyś pogadał z nimi w moim imieniu.

– Ale dlaczego ja?

– Bo mimo swoich makabrycznych wyczynów na terenie Francji zdołałeś zdobyć wpływowych przyjaciół w tamtejszej służbie bezpieczeństwa.

– Na pewno szybko ich stracę, jeśli się włączę w te wasze podejrzone operacje.

Seymour milczał.

– A jeśli zgodzę się pomóc – spytał Gabriel – to co mi to da?

– Wieczną wdzięczność Tajnych Służb Jej Królewskiej Mości.

– Odpuść, Graham. Stać cię na więcej.

Seymour się uśmiechnął.

– Pewnie tak.

Gdy w końcu opuszczał Vauxhall Cross, zapadał zmierzch. Tym razem nie siedział z tyłu jaguara, lecz na fotelu pasażera w małym fordzie typu hatchback, którym kierował Nigel Whitcombe. Młody Anglik prowadził bardzo szybko, z nonszalancją człowieka, który spędza weekendy na torze wyścigowym. Gabriel, z trudem utrzymując służbową teczkę na kolanach, kurczowo trzymał się oparcia.

– Gdzie on teraz mieszka?

– Ta informacja jest ściśle tajna. – W głosie Whitcombe’a nie było cienia ironii.

– To może powinieneś zawiązać mi oczy?

– Słucham?

– Nieważne, Nigel. Ale czy możesz nieco zwolnić? Wolałbym nie przejść do historii jako pierwszy z szefów Biura, który zginął na służbie.

– Myślałem, że już dawno zginąłeś – odrzekł Whitcombe. – W tym zamachu na Brompton Road przed Harrodsem. Tak pisali w „Telegraphie”.

Whitcombe zmniejszył obroty silnika, lecz niewiele to zmieniło. Przemknął Grosvenor Road wzdłuż Tamizy, a potem skierował się na północ, przez Chelsea i Kensington, do Queen’s Gate Terrace. Tam w końcu zahamował przed dużym georgiańskim budynkiem w kolorze bitej śmietany.

– Cały należy do niego? – zdumiał się Gabriel.

– Tylko dwa dolne piętra. Nadarzyła się okazja za osiem milionów.

Gabriel zajrzał w okno na parterze. Kotary były zsunięte, lecz nic nie wskazywało na to, by wewnątrz paliło się światło.

– Jak myślisz, gdzie on jest? – spytał.

– Nie będę nawet zgadywał – odparł Whitcombe.

– Zadzwoń na jego komórkę.

– On wciąż nie bardzo umie z niej korzystać.

– Co to znaczy?

– Wolałbym, żeby sam ci to wyjaśnił.

Whitcombe wybrał numer. Kilkakrotnie rozległ się sygnał, lecz bez odpowiedzi. Gdy ponowił próbę, efekt był podobny.

– Myślisz, że trzyma klucz pod wycieraczką?

– Wątpię.

– W takim razie pozostaje mi tylko użyć własnego – oznajmił Gabriel.

Wysiadł z samochodu i zszedł po kilku schodkach prowadzących do sutereny. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Whitcombe się skrzywił.

– Myślałem, że masz klucz.

– Bo mam. – Gabriel wyjął z górnej kieszeni płaszcza cienki metalowy przyrząd.

– Chyba żartujesz.

– Trudno się wyzbyć starych nawyków.

– Nie uwierzysz – odezwał się Whitcombe – ale nasz szef nigdy nie nosi wytrycha.

– Może powinien.

Gabriel wsunął pręt w zamek i delikatnie zaczął nim manewrować, przesuując to

w przód, to w tył, aż w końcu mechanizm puścił.

– A jeśli tam jest alarm? – zaniepokoił się Whitcombe.

– Na pewno coś wymyślisz.

Gabriel nacisnął klamkę i uchylił drzwi na kilka centymetrów. Wewnątrz panowała cisza.

– Powiedz Grahamowi, że dziś wrócę do domu sam i jeszcze, że odezwę się z Paryża, kiedy uporam się z Francuzami.

– A co z twoją ochroną?

– Mam przy sobie nie tylko wytrych – odrzekł Gabriel i wszedł do środka.

Drzwi prowadziły do kuchni, która byłaby spełnieniem marzeń Chiary. Kilometry gustownie oświetlonej powierzchni blatu, wyspa z podręcznym zlewem, dwie kuchenki konwekcyjne i kuchnia gazowa marki Vulcan z profesjonalnym okapem. Lodówka ze stali nierdzewnej z trzygwiazdkowym zamrażalnikiem zawierała kilka butelek korsykańskiego rosé i kawałek sera przyprawionego rozmarynem, lawendą i tymiankiem. Wyglądało na to, że przemiana właściciela wciąż nie była kompletna.

Gabriel wyjął z kredensu kieliszek i nalał nieco wina. Potem zgasił kuchenne światła i ruszył z kieliszkiem na górę, do salonu, którego umeblowanie składało się z fotela, otomany i telewizora wielkości billboardu. Podszedł do okna, rozsunął zasłony i wyrzwał na ulicę, gdzie z taksówki wysiadał mężczyzna w eleganckim płaszczu. Ruszył ku frontowym schodom domu, lecz nagle znieruchomiał. Spojrzał w okno, przy którym stał Gabriel, i gwałtownie zawrócił ku schodom prowadzącym do sutereny.

Kilka sekund później rozległ się odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, pstryknięcie przełącznika i przekleństwo wypłute w rdzennym dialekcie korsykańskim. Spowodował to widok folii zerwanej z butelki wina, którą Gabriel zostawił pośrodku blatu. Błąd amatora, pomyślał.

Z kuchni na klatkę schodową przenikało słabe światło, wystarczające jednak, by ukazać sylwetkę mężczyzny, który chwilę później stanął w wejściu do salonu z pistoletem w wyciągniętej ręce. Ale ta część pokoju, w której krył się Gabriel, pogrążona była w głębokim mroku. Obserwował zatem spokojnie, jak tamten obraca się wokół osi w lewo, a potem w prawo, pewnymi ruchami człowieka zdolnego zlikwidować bandę uzbrojonych napastników. Potem, skradając się cicho, ruszył przed siebie. Pstryknął przełącznik i światło zalało całe pomieszczenie. Okręcił się po raz ostatni, mierząc w kierunku Gabriela, po czym błyskawicznie opuścił lufę.

– Ty cholerny durniu! – Christopher Keller był wściekły. – Masz szczęście, że cię nie rozwalilem.

– Bez wątpienia – odparł Gabriel z uśmiechem. – I to nie pierwszy raz.

Kensington, Londyn

– Walther PPK... – Gabriel podziwiał broń Kellera. – Prawdziwy z ciebie James Bond.

– Łatwo go ukryć i ma znaczną siłę rażenia. – Keller się uśmiechnął. – Jak cegła w szybę okienną.

– Nie wiedziałem, że funkcjonariusze MI6 mogą nosić broń.

– Bo nie mogą. – Napełnił kieliszek winem rosé, po czym uniósł butelkę, proponując je Gabrielowi. – Wypijesz?

– Prowadzę.

Keller zmarszczył brwi i napełnił mu kieliszek po brzeg.

– Jak tu wlałeś?

– Zostawiłeś otwarte drzwi.

– Nie pieprz.

Tym razem Gabriel przedstawił wersję zgodną z prawdą.

– Musisz mnie kiedyś nauczyć, jak to się robi. – Keller był pełen uznania.

Zdjął płaszcz i niedbale rzucił go na fotel. W grafitowym garniturze i srebrzystym krawacie budził wręcz respekt.

– Gdzie byłeś? – zaciekał się Gabriel. – Na pogrzebie?

– Na spotkaniu z doradcą inwestycyjnym. Zaprosił mnie na lunch w Royal Exchange i poinformował, że wartość moich aktywów spadła o ponad milion funtów. Z powodu Brexitu zbieram ostatnio ostre cięgi.

– Świat to niebezpieczne i nieprzewidywalne miejsce.

– Opowiedz mi o tym – poprosił Keller. – Ten twój zakątek zaczyna sprawiać wrażenie oazy spokoju, zwłaszcza teraz, pod twoimi rządami. Wybacz, że nie dotarłem na przyjęcie z okazji twojego zaprzysiężenia. Byłem uwięzany w pewnym miejscu i nie mogłem się wymknąć.

– Kurs szkoleniowy?

Keller przytaknął.

– Trzy miesiące nieskończonej nudy nad brzegiem morza.

– Ale uwieńczonej sukcesem – zauważył Gabriel. – Wystrychnąłeś obserwatorów z A4 i uzyskałeś rekordowy wynik na końcowym egzaminie. Szkoda tylko, że tak wyszło z tą Francją. Jak na początek kariery...

– I kto to mówi? Twoja kariera to przecież seria porażek urozmaiconych czasem prawdziwą katastrofą. No i co? I tak zostałeś szefem.

– Szamron zwykł mawiać, że kariera bez wpadek to żadna kariera.

– Jak się staruszek miewa?

– Jakoś się trzyma – odparł Gabriel.

– Zupełnie jak Izrael, prawda?

– Szamron? On jest Izraelem.

Keller zapalił papierosa i wydmuchał dym w stronę sufitu.

– Nowa zapalniczka? – zainteresował się Gabriel.

Wyjął ją z ręki Kellera i przeczytał napis.

– Musiał się bardzo się nad tym napracować.

– Liczą się chęci – odrzekł Keller. A potem spytał: – Co ci powiedział?

– Powiedział, że wysłał cię do Francji, żebyś odszukał Marokańczyka, który dostarczył kałachy londyńskim zamachowcom. Powiedział, że zdołałeś go wytropić w ciągu kilku dni, choć francuskie służby nie umiały nawet ustalić jego danych. Sugerował również, że twój dawny pracodawca, don Anton Orsati, mógł udzielić ci cennego wsparcia. Nie wdawał się w szczegóły.

– Nie bez powodu.

– Podobno spotkałeś się z tym Marokańczykiem, który nazywał się Nouredine Zakaria, w kawiarence w Nicei i zdołałeś go przekonać, że jesteś korsykańskim handlarzem broni. Żeby to udowodnić, zgodziłeś się sprzedać mu dziesięć karabinów Kałasznikowa i tyleż pistoletów maszynowych MP7 Heckler & Koch za bardzo umiarkowaną cenę sześćdziesięciu tysięcy euro. Niestety nastąpiły nieoczekiwane wydarzenia, które zmusiły cię do zabicia Zakarii i jego dwóch współników. W ten sposób zniszczyłeś jedyne znane ogniwo łączące siatkę Saladyna z zamachem w Londynie, zważywszy na co – zakończył Gabriel – rzekłbym, że przekroczyłeś swoje kompetencje.

– Bywa. Gówniana sprawa.

– Fakt. I teraz ja mam posprzątać.

– Między nami – rzucił Keller – to nie ja wpadłem na pomysł, żeby wysłać cię do Francuzów z czapką w garści.

– Chyba mnie z kimś mylisz.

– A kim jesteś?

– Kimś, kto zdejmuje kapelusz, wchodząc do pokoju.

– Więc jak chcesz to rozegrać?

– Najpierw ich zapytam, co wiedzą o człowieku znanym jako Nouredine Zakaria.

A potem zaproponuję, żeby się włączyli do mojej operacji poszukiwania Saladyna.

– Twojej operacji? Francuzi nigdy się na to nie zgodzą. Ani Graham.

– Graham podpisał się pod tym dziś po południu. Zgodził się również użyć cię mi. Teraz pracujesz dla mnie.

– Stary sukinsyn. – Keller zgasił papierosa. – Szkoda, że cię nie załatwiłem, jak miałem okazję.

Wieczorem zjedli kolację w małej włoskiej restauracji w pobliżu Sloane Square, miejscu, w którym nikt ich nie znał. Potem Gabriel pojechał sam taksówką do ambasady Izraela mieszczącej się w spokojnym zakątku Kensington, nieopodal High Street. Zarówno ambasador, jak i szef placówki powitali go ze szczerą radością, podobnie jak jego ochrona.

Na dole, w bezpiecznym pokoju łączności, w slangu Biura zwanym Świętym Świętych, połączył się z prywatnym numerem człowieka, z którym musiał się zobaczyć w Paryżu. Tamten leżał już w łóżku swego smutnego kawalerskiego mieszkańca przy ulicy Saint-Jacques. Dźwięk głosu Gabriela sprawił mu wyraźną przyjemność.

– Czy mógłbyś mi poświęcić jutro chwilę o dowolnej godzinie?

– Cały rano mam spotkanie z ministrem.

- Wyrazy współczucia. A po południu?
- Od drugiej będę wolny.
- No to gdzie?
- Przy rue de Grenelle.

Następnie połączył się z bulwarem Króla Saula i poinformował sekretariat, że przedłuży pobyt za granicą co najmniej o jeden dzień. Sekcja podróży poczyniła niezbędne kroki organizacyjne. Miał ochotę spędzić tę noc w starym lokalu konspiracyjnym przy Bayswater Road, ale ochrona ubłagała go, by pozostał w ambasadzie. Jak w większości placówek Biura była tam mała sypialnia na wypadek nieprzewidzianych sytuacji. Gabriel wyciągnął się na nieznośnie twardej leżance, ale nie mógł zasnąć. Ogarnęły go emocje związane z powrotem do akcji w terenie, mimo że ów teren ograniczał się w tej chwili do budynku położonego w jednej z najbardziej ekskluzywnych okolic na świecie.

W końcu tuż przed świtem zmorzył go sen. Wstał o ósmej, zjadł śniadanie z pracownikami londyńskiej placówki i o dziewiątej wszedł do limuzyny przysłanej przez MI6, by odjechać na Heathrow. Z rezerwacją na lot British Airways numer 334 w ostatniej chwili wszedł w asyście ochrony na pokład samolotu i usiadł w pierwszej klasie na miejscu przy oknie. Gdy maszyna wznosiła się nad południowoschodnią Anglią, spoglądał na zielonoszare pola umykające w dole. W rzeczywistości jednak podążał za pewnym wysokim potężnie zbudowanym mężczyzną, z wyglądu Arabem, który idąc przez hol hotelu w Waszyngtonie, wyraźnie utykał. Włosy można obciąć lub przefarbować, twarz poddać operacji plastycznej, ale ułomność taka jak ta, myślał, jest nieodwracalna.

Mówiono, że Paul Rousseau zaplanował więcej zamachów bombowych niż Osama bin Laden. I choć sam nie przeczył tej opinii, to jednak zawsze podkreślał, że żadna z jego bomb nigdy nie wybuchła. Jako mistrz podstępnych praktyk został uprawniony do podejmowania „aktywnych kroków” w celu usunięcia potencjalnych terrorystów z obiegu, zanim ci skierują swą aktywność przeciw Republice lub jej obywatelom.

Osiemdziesięciu czterech oficerów Grupy Alfa, elitarnej jednostki francuskiego kontrwywiadu, nie traciło cennego czasu i kadr na śledzenie potencjalnych zamachowców, podsłuchiwanie ich rozmów telefonicznych i śledzenie obłąkanych wynurzeń w internecie. Po prostu potrząsali drzewem i czekali, aż trujące owoce same wpadną im w ręce. W innym kraju i w innym czasie jakiś szlachetny libertarianin uznałby ich metody za godne potępienia i graniczące z przemocą. Paul Rousseau również nie polemizował z taką opinią.

W ciągu pierwszych sześciu lat swego istnienia Grupa Alfa stanowiła jedną z najściślej strzeżonych rządowych tajemnic Francji, a jej agenci działali z pełną swobodą. Zmieniło się to jednak po dokonanym przez ISIS ataku na Waszyngton. Amerykańska prasa ujawniła wówczas, że Paul Rousseau został ranny w zamachu bombowym na Narodowe Centrum Antyterrorystyczne powstałe na podmiejskich terenach Północnej Wirginii. Kolejne artykuły, pojawiające się głównie w mediach francuskich, zajęły się badaniem szczegółów mniej chlubnych metod Grupy Alfa. Część przeprowadzonych przez nią operacji spotkała się z potępieniem, a ich uczestnicy zostali zidentyfikowani. Ministerstwo Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz szef DGSI kategorycznie zaprzeczyli istnieniu jakiegokolwiek jednostki o nazwie Grupa Alfa, ale było za późno. Mleko się rozlało. Namawiano więc po cichu Rousseau, by porzucił anonimową kwaterę przy rue de Grenelle i kierował swymi operacjami zza murów siedziby DGSI w Levallois-Perret. Ale Rousseau nie skapitulował. Nigdy nie przepadał za przedmieściami Paryża, a poza tym jego podkomendni nie mogliby właściwie wypełniać obowiązków, gdyby wszyscy widzieli, jak wchodzi i wychodzi zza muru budynku opatrzonego tabliczką z napisem: Ministère de l'Intérieur.

Tak więc mimo nasilającego się zagrożenia Paul Rousseau i Grupa Alfa kontynuowali cichą wojnę z siłami radykalnego islamu, urzędując w eleganckim dziewiętnastowiecznym budynku ekskluzywnej Siódmej Dzielnicy. Dyskretna mosiężna tabliczka informowała, że mieści się tam „Towarzystwo miłośników literatury francuskiej”, co wyraźnie wskazywało na wpływ Paula Rousseau. Wewnątrz jednak kamuflaż się kończył.

Pomocnicze służby techniczne zajmowały przyziemie, obserwatorzy ulokowali się na parterze, na pierwszym piętrze znajdowało się przepastne archiwum – Rousseau przedkładał bowiem staroświeckie papierowe akta nad cyfrowe pliki – a piętro drugie i trzecie stanowiło rezerwat agentury. Większość pracowników wchodziła i wychodziła na rue de Grenelle przez ciężką czarną bramę, jedni pieszo, inni samochodem. Byli jednak i tacy, którzy korzystali z tajnego przejścia łączącego budynek z sąsiadującym z nim

zaniedbanym małym antykwariatem. Jego właściciel, starszy Francuz, był członkiem tajnych służb podczas wojny algierskiej, zaś Rousseau jako jedyny członek Grupy Alfa miał dostęp do przerażającej treści jego akt.

Czwarte piętro było ponure, ciche i mroczne, tylko czasem z otwartych drzwi gabinetu Rousseau dobiegały dźwięki Chopina. Madame Treville, jego długoletnia wytrwała sekretarka, zajmowała pedantycznie uporządkowane biurko w poczekalni, a po drugiej stronie wąskiego korytarza znajdował się gabinet młodego zastępcy Rousseau, ambitnego Christiana Boucharda. Wśród francuskich służb bezpieczeństwa panowało powszechne przekonanie, że Bouchard obejmie kierownictwo Grupy Alfa, kiedy tylko Rousseau zdecyduje się przejść na emeryturę. Chciał to już zrobić wcześniej, po śmierci swej ukochanej Colette. Książka, którą pragnął napisać, wielotomowa biografia Prousta, była zaledwie stertą notatek, a on sądził, że poświęci jej resztę życia. W końcu jednak uznał, że celem jego życia jest walka z islamskim terroryzmem. Tej walki Francja nie może przegrać. Rousseau wierzył, że jej stawką jest niezawisłość Republiki.

W Gabrieli Allonie znalazł chętnego, choć niespodziewanego partnera. Ich więź zrodziła się w efekcie paryskiego debiutu Saladyna – po zamachu na Ośrodek Studiów nad Antysemityzmem we Francji imienia Izaaka Weinberga. Saladyn nie wybrał pochopnie obiektu ataku, który pochłonął wiele śmiertelnych ofiar. Wiedział o sekretnych powiązaniach Gabriela z kobietą, która kierowała tą instytucją. Wiedział o nich również Paul Rousseau i dlatego wspólnie z Gabrielem wprowadzili swojego agenta w ścisłe otoczenie Saladyna. Operacja ta nie zapobiegła wprawdzie atakowi na Waszyngton, ale zakończyła dekady niechęci i nieufności pomiędzy Biurem i tajnymi służbami Francji.

Nieocenioną konsekwencją wspomnianego przymierza było to, że Gabriel mógł teraz swobodnie podróżować po Francji, nienarażony na aresztowanie i prokuratorskie oskarżenia. Długa litania grzechów, które popełnił na terytorium tego kraju – liczne zabójstwa i ich skutki uboczne – została oficjalnie puszczona w zapomnienie. Przebywał tu na tyle legalnie, na ile to możliwe w przypadku zawodowego szpiega.

Nowe zaostrome środki bezpieczeństwa Grupy Alfa wymagały, by Gabriel odprawił swą eskortę samochodową oraz zespół ochrony w pobliżu wieży Eiffla i pozostałą część drogi pokonał pieszo zupełnie sam. Zazwyczaj wchodził do budynku przez bramę przy rue de Grenelle, ale na żądanie Rousseau tym razem wszedł przez antykwariat. Rousseau czekał na niego w przeszklonym dźwiękoszczelnym pokoju konferencyjnym na czwartym piętrze. Miał na sobie pomietą tweedową marynarkę i jak zwykle palił fajkę, łamiąc narzucony przez francuskie prawo zakaz palenia w miejscach publicznych. Gabriel był nieprzejednanym wrogiem palenia, ale w prywatnym buncie Rousseau znajdował coś krzepiącego.

Wyjął fotografię z teczki i pchnął ją przez blat stołu. Rousseau zerknął na twarz, którą przedstawiała, i gwałtownie przeniósł wzrok na Gabriela.

– Nouredine Zakaria?

– Znasz go?

– Ze słyszenia. – Podniósł fotografię. – Skąd to masz?

– To bez znaczenia.

– O, wręcz przeciwnie.

- Dostałem od Brytyjczyków – poddał się Gabriel.
- Których?
- Z MI6.
- A skąd takie zainteresowanie MI6 Zakarią?
- Ponieważ to on dostarczył karabiny zamachowcom w Londynie. Ma ksywę

Skorpion.

Trudno o większy despekt dla zawodowego szpiega, niż usłyszeć od obcych służb o czymś, o czym dawno powinien sam wiedzieć. Paul Rousseau zniósł to upokorzenie, wolno nabijając fajkę.

- Co o nim wiesz? – spytał Gabriel.
- Pracuje dla największej siatki dilerów narkotyków w Europie.
- Jako co?
- Ujmując to oględnie, dba o ich bezpieczeństwo.
- A mniej oględnie?
- Jest egzekutorem i zabójcą. Policja uważa, że zabił osobiście co najmniej dwanaście osób. Tyle że nie mają dowodów – dodał. – Nouredine jest tak ostrożny jak tylko to możliwe. Podobnie jak jego szef.
- Kto to jest?
- Zaraz, po kolei. – Rousseau znów podniósł fotografię. – Skąd to masz?
- Mówiłem już, od Brytyjczyków.
- Owszem, słyszałem. Ale skąd to mają Brytyjczycy?
- Nieważne.
- Och – westchnął Rousseau – wręcz przeciwnie.

Rue de Grenelle, Paryż

– O ilu karabinach mówimy?

– Myślę, że o dwudziestu.

– A skąd ten brytyjski agent wytrzasnął dwadzieścia kałachów i hakaesów?

Twarz Gabriela wyrażała zarazem niewiedzę i obojętność.

– I mówisz, że udawał Korsykanina? – dopytywał się Rousseau. – Jesteś pewny?

– Czy to istotne?

– Może tak. Bo widzisz, tylko ktoś, kto mieszka na tej wyspie przez lata, potrafi sobie przyswoić tamtejszą wymowę.

Gabriel milczał.

– Ten brytyjski agent to twój przyjaciel?

– Znamy się.

– Musi mieć dobre kontakty, skoro to wytropił. No i talent.

– Jeszcze wiele musi się nauczyć.

– Ale co jest powodem twojego zainteresowania tą parszywą sprawą? – spytał Rousseau.

– Powodem mojego zainteresowania – odparł Gabriel – jest Saladyn.

– Tak jak i mojego. I dlatego muszę policzyć do dziesięciu, żeby się uspokoić. Bo całkiem możliwe, że ten twój brytyjski przyjaciel udowodnił coś, co podejrzewałem od bardzo dawna.

– Co mianowicie?

Ale Rousseau nie odpowiedział, a przynajmniej nie zrobił tego wprost. Z profesorską pedanterią cofnął się w przeszłość do pełnej nadziei zimy 2011 roku. W Tunezji i Egipcie gwałtowna fala protestów zrodzonych z goryczy i gniewu zmiotła ze sceny politycznej dwa opresyjne reżimy. Libia była następna w kolejności. Dotkliwe braki rynkowe i powszechna korupcja doprowadziły tam w styczniu do zamieszek, które stopniowo przekształciły się w ogólnonarodowe powstanie. Wkrótce też stało się jasne, że tak despotyczny władca jak Muammar Kaddafi nie pójdzie za przykładem swych odpowiedników w Tunezji oraz Kairze i nie rozplynie się w mrokach arabskiej nocy. Przez ponad cztery dekady rządził w Libii żelazną ręką, grabiąc dochody z ropy naftowej i mordując swych przeciwników, czasem jedynie dla rozrywki. A jako człowiek pustyni dobrze wiedział, jaki czeka go los w przypadku przegranej, i dlatego nie wahał się zepchnąć swego zacofanego narodu w otchłań wojny domowej. By zapobiec niepohamowanemu rozlewowi krwi, Zachód podjął interwencję militarną, w której Francja pełniła wiodącą rolę. W październiku Kaddafi już nie żył, a jego kraj był wolny.

– I co dalej? Cośmy uczynili? Czy zapewniliśmy Libii pomoc materialną lub jakąkolwiek inną? Czy próbowaliśmy wesprzeć przemianę plemienną społeczności w demokrację zachodniego typu? Skądże! – Rousseau pokręcił głową. – Nie zrobiliśmy żadnej z tych rzeczy. W rzeczywistości nie zrobiliśmy prawie nic. I do czego doszło

w konsekwencji naszej bierności? Libia stała się jeszcze jednym z upadłych państw, a w próżnię wokół niej wkroczyło ISIS.

To, że ISIS chętnie skorzysta z bezpiecznego azylu w Afryce Północnej – ciągnął – było oczywiste. Mogło to ułatwić terrorystom eksport bojowników i broni do Europy Zachodniej i zapewniło swobodę ataków wirtualnych. Ale w ciągu kilku miesięcy od przybycia ISIS do Libii służby policyjne od Grecji po Hiszpanię odnotowały inny niepokojący trend. Napływ narkotyków z Afryki Północnej, zwłaszcza haszyszu, przybrał nieznane dotąd rozmiary. Co więcej, nastąpiła zmiana tradycyjnych szlaków przetrzutu. Ongiś gangom narkotykowym do przewozu towaru przez Cieśninę Gibraltarską wystarczała jedna mała łódka lub skuter wodny, transport mógł też wędrować lądem do Egiptu, a stamtąd na Bałkany. Teraz jednak narkotyki zaczęły pokonywać wodę potężnymi frachtowcami.

Weź na przykład przypadek „Apolla”. Tę kupę złomu z floty greckiego armatora włoska marynarka zatrzymała u wybrzeży Sycylii niedługo po tym, jak ISIS ulokowało się w pobliskiej Libii. Od informatora z Afryki Północnej Włosi dostali cynk, że statek przewozi potężny transport haszyszu. Mimo to jednak zszokował ich widok, który ujrzeli po wejściu na pokład. Waga szmuglowanego towaru wynosiła ponad siedemnaście ton, co przekraczało wszelkie dotychczasowe rekordy. Ale – kontynuował Rousseau – była to zaledwie przygrywka. W ciągu kolejnych trzech lat europejskie służby dokonały zatrzymań kilku jeszcze większych nielegalnych transportów. A wszystkie statki, które je przewożyły, łączyło jedno: zawijały do libijskich portów. Policyjne naloty opierały się na wiadomościach od północnoafrykańskich informatorów. Dzięki nim ponad trzysta ton narkotyków o szacowanej wartości trzech miliardów dolarów nie dotarło na rynek. I nagle informatorzy zamilkli, a konfiskaty towaru stały się coraz większą rzadkością.

Po chwili przerwy Rousseau dodał:

– Tylko dlaczego? Skąd ta nagła zmiana szlaków? I dlaczego rynek został zalany potężną ilością towaru pochodzącego z przemytu? A także – pytał retorycznie – czemu zamilkli informatorzy? Tu, we Francji, doszliśmy do wniosku, że na scenę wkroczył nowy i potężny gracz. Ktoś, kto miał środki, żeby przejąć kontrolę nad trasami przetrzutu. Ktoś, kto używał metod zdolnych zastraszyć informatorów i zmusić ich do milczenia. Ktoś, kto gotów był ryzykować utratę wielu ton towaru za cenę szybkiego pozyskania ogromnych kwot. Uznaliśmy, że tylko jedna grupa odpowiada temu profilowi.

– ISIS.

Rousseau z wolna przytaknął.

– Związek między haszyszem i terroryzmem – mówił – jest stary jak świat. Jak wiesz, słowo asasyn pochodzi z arabskiego haszisi, nazwy szyickich skrytobójców, którzy działali pod wpływem haszyszu. Hezbollah, ich obecny spadkobierca w Libanie, częściowo finansuje swoje operacje z handlu haszyszem, który sprzedaje w większości klientom z twojego kraju. Niemal od początków swego istnienia ISIS było aktywnym graczem w świecie narkotyków. Czerpało z nich korzyści, nakładając podatki na towar przechodzący przez podległe islamistom terytorium. Naszym zdaniem tak zwane Państwo Islamskie przejęło obecnie większą część europejskiego handlu narkotykami. A znaczny ich procent przepływa przez organizację należącą do jednej osoby, człowieka, dla którego

pracuje twój przyjaciel – dodał, dotykając zdjęcia Zakarii.

Jego fajka zgasła. Ale ku rozczarowaniu Gabriela Francuz znów sięgnął do woreczka z tytoniem.

– Najbardziej boję się tego – wyznał Rousseau – że te związki wykraczają poza kwestie finansowe. I że ISIS będzie wykorzystywać infrastrukturę należącą do tego człowieka sieci dystrybucji, żeby dokonywać ataków w Europie. Jeśli twój brytyjski przyjaciel ma rację, jeśli Nouredine Zakaria był dostawcą broni, jakiej użyto w Londynie, to moje obawy stały się faktem. Pozostaje pytanie, czy Nouredine działał sam, czy też z błogosławieństwem swojego szefa?

– Może powinniśmy go o to spytać?

– Szefa Nouredine’a? Dobrze sobie! Bo widzisz – tłumaczył – ten człowiek tu, we Francji, jest bardzo popularny. Zwłaszcza w kręgach ludzi bogatych i wpływowych. Jadają w jego restauracjach i bawią się w jego nocnych klubach. Śpią w jego hotelach, kupują w jego butikach, zdobią palce i szyje jego ekskluzywną biżuterią. No i, owszem, od czasu do czasu palą, wachają lub szprycują się dragami, których im dostarcza. Obecny prezydent republiki osobiście się z nim przyjaźni, podobnie jak minister spraw wewnętrznych i wiele figur z francuskiego aparatu bezpieczeństwa. Dbają o to, żeby nikt nie zadawał mu niewygodnych pytań i żadne z toczących się śledztw nie doprowadziło zbyt blisko jego finansowego imperium.

– Czy on się jakoś nazywa?

– Jean-Luc Martel.

– JLM?

Rousseau wydawał się szczerze zdziwiony.

– Słyszałeś o nim?

– W ciągu minionych lat spędziłem sporo czasu w twoim kraju. Jean-Luc Martel jest kimś, kogo trudno przeoczyć.

– Tak, prawdziwy celebryta. To pewne. Jeden z naszych najwybitniejszych biznesmenów. Tak przynajmniej piszą. Ale to wszystko ściema. Prawdziwe interesy Martel robi w narkobiznesie. – Rousseau na chwilę zamilkł. – Tyle że gdybym to powiedział w gabinecie ministra, wyśmiałby mnie i wyrzucił z pokoju. A potem pospieszył na kolację do nowej restauracji Martela na bulwarze Saint-Germain. To ostatni krzyk mody.

– Tak słyszałem.

Rousseau uśmiechnął się wbrew woli.

– Może dałoby się jakoś z nim pogadać? – zastanawiał się Gabriel. – Przemówić do jego patriotyzmu.

– Patriotyzmu Jean-Luca Martela? Odpada.

– No to widzę, że będziemy musieli go nawrócić starymi metodami.

– Jak?

– Zostaw to mnie.

Zapadła cisza.

– A jeśli nam się uda? – spytał Rousseau.

– To mogłoby naprawdę doprowadzić do tego, którego obaj szukamy.

– Tak. – Rousseau pokiwał głową. – Mogłoby. Ale mój minister nigdy tego nie zaaprobuje.

– Twój minister nie musi aprobować czegoś, o czym nie wie.

Francuz chytrze się uśmiechnął.

– A zasady naszej współpracy?

– Takie jak poprzednio. Równorzędne partnerstwo. Ja mam autonomię za granicą, ty prawo weta we wszystkim, co dotyczy Francji.

– A Brytyjczycy?

– Wykorzystam tego, który mówi jak Korsykanin.

– Ile mi ujawniłeś prawdy na temat Nouredine’a Zakarii i tych karabinów?

– Jakies pięćdziesiąt procent.

– Czy mogę żądać więcej?

– Nie ma mowy.

– A zatem – podsumował Francuz – umowa stoi.

Rousseau zadzwonił do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i zamówił kopie akt dwóch osób. Jedne dotyczyły Nouredine’a Zakarii, a drugie człowieka, dla którego ten pracował. Dyrektor archiwum, stuprocentowy francuski urzędnik, natychmiast zakwestionował jego żądanie. Dlaczego bowiem Rousseau, którego zadania ograniczały się do islamskiego terroryzmu, miałby nagle zainteresować się drobnym marokańskim przestępcą, a także jednym z głośnych francuskich biznesmenów? To równie dziwaczne połączenie, twierdził archiwariusz, jak czerwone wino i ostrygi.

Trzeba oddać Rousseau, że nie próbował wyśmiać tej opinii, natomiast ostro podkreślił, że jako szef jednostki DGSI -choćby oficjalnie nieistniejącej – ma prawo wglądu we wszystkie akta znajdujące się we francuskich zasobach. Archiwariusz szybko skapitulował, choć napomknął, że kompletowanie dokumentacji potrwa kilka godzin, gdyż jest nader obszerna. Marnowanie cennego czasu innych, pomyślał Rousseau, to zwycięski odwet biurokracji.

Okazało się jednak, że odszukanie i skopiowanie akt trwało niecałą godzinę. Kurier Grupy Alfa odebrał je o szesnastej pięćdziesiąt dwie i jakimś cudem dotarł motocyklem na rue de Grenelle o siedemnastej jedenaście. Jego rekordowe tempo było niepodważalne, gdyż świeżo zatrudniony strażnik zgodnie z nowym regulaminem Grupy Alfa odnotował godzinę w dzienniku. Niezwłocznie sprawdził przesyłkę, która zawierała pięćset kart spiętych metalowym klipsami, po czym machnięciem ręki zezwolił kurierowi na wjazd. Ten dla treningu wybrał schody zamiast kapryśnej windy i o siedemnastej trzynaście położył dokumenty na biurku madame Treville. Tu również dokładnie potwierdzono czas dostawy. Madame Treville odnotowała go bowiem w leżącym na biurku terminarzu, który później zdołano odzyskać.

W tym momencie Christian Bouchard, zawsze gotów wyczuć niebezpieczeństwo lub pojawiającą się szansę, wysunął głowę z drzwi swego gabinetu i widząc stos świeżo dostarczonych teczek na biurku madame Treville, podszedł, by się im przyjrzeć.

– JLM? Kto to zamówił?

– Monsieur Rousseau.

– Dlaczego?

– Sam go o to spytaj.

– Gdzie on jest?

– W bezpiecznym pokoju konferencyjnym. – Zniżyła głos, dodając: – Z tym Izraelczykiem.

– Z Allonem?

Potwierdziła ponurym skinieniem głowy.

– Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

– Wszedłeś na lunch, kiedy przyjechał. – Brzmiało to jak oskarżenie. – Monsieur Rousseau prosił, żebym przyniosła te akta, gdy tylko tu dotrą. Może chciałbyś to zrobić za mnie?

Bouchard złapał stertę i poniósł ją korytarzem do pokoju konferencyjnego, gdzie Gabriel i Rousseau, widoczni za dźwiękoszczelną szybą, siedzieli pogrążeni w rozmowie. Wprowadził szyfr w zamku cyfrowym, wszedł i cisnął ciężkie akta na stół, jakby ujawniał dowód spisku.

I w tej właśnie chwili, gdy pięćset stron wylądowało z głośnym trzaskiem na blacie, rozległ się huk eksplozji. Zbieżność była tak ścisła, że przez ułamki sekund Gabriel myślał, że jakimś cudem wybuchły dokumenty. Na szczęście niewiele zapamiętał z tego, co nastąpiło potem. Wiedział tylko, że upada pośród gradu szkła, gruzu i deszczu krwi. I że Paul Rousseau i Christian Bouchard padają razem z nim.

Gdy w końcu znieruchomiał, miał wrażenie, że leży zamknięty w trumnie. W ostatnim przeblysku świadomości ujrzał swój pogrzeb – grupę żałobników nad otwartym grobem na Górze Oliwnej i dwoje małych dzieci: córkę nazwaną po babci Irene, i chłopca, który nosił imię wielkiego malarza. Nie będą go pamiętać. Był dla nich jedynie kimś, kto przychodzi i odchodzi w ciemności. I do tej ciemności teraz powrócił.

CZĘŚĆ DRUGA

DZIEWCZYNA TAKA JAK TA

Paryż – Jerozolima

To właśnie papiery – teczki osobowe, raporty obserwacyjne, przechwycone esemesy oraz mejle, a także akta spraw – ujawniły prawdziwą naturę tajemniczej instytucji mieszczącej się w pięknym starym budynku przy rue de Grenelle. Przez kilka godzin po zamachu krążyły nad ulicami Siódmej Dzielnicy, od wieży Eiffla po plac Inwalidów i ogrody muzeum Rodina, unoszone powiewami kapryśnego wiatru. Mówiono o umundurowanych funkcjonariuszach policji i agentach w cywilu, którzy gorączkowo zbierali papiery już wtedy, gdy służby ratunkowe i ratownicy medyczni wydobywali ocalonych spośród gruzów. Mimo to wczesnym wieczorem fotografie odzyskanych dokumentów, każda z logo DGSI, zaczęły się pojawiać na Twitterze i w innych mediach społecznościowych. Pierwszy ujawnił sprawę „Le Monde”, a za nim pozostałe media mainstreamowe. W końcu, nie widząc szansy dalszego zatajenia prawdy, minister spraw wewnętrznych potwierdził to, co było oczywiste. Celem drugiego poważnego zamachu dokonanego w Paryżu w ciągu niespełna roku nie było jakieś nieznanne towarzystwo powołane do promocji literatury francuskiej. Była nim elitarna jednostka służb specjalnych, której istnieniu sam niedawno zaprzeczał. Na koniec zwrócił się do obywateli Republiki z prośbą o przekazanie władzom wszystkich znalezionych dokumentów i nieumieszczanie ich zdjęć w internecie. Odzew na ten apel był jednak rozpaczliwie słaby.

Niestety, wywołany tym wydarzeniem skandal polityczny i liczne zarzuty dotyczące metod działania Grupy Alfa przesłoniły zimną precyzję oraz brutalność samego ataku. Symboliczny był nie tylko cel, ale również sposób, w jaki dostarczono bombę. Przewieziono ją bowiem białą furgonetką renault transit, taką samą, jaką posłużono się dziesięć miesięcy wcześniej w zamachu na Ośrodek Studiów nad Antysemityzmem we Francji imienia Izaaka Weinberga. Ładunek o wadze dwustu kilogramów był znacznie mniejszy niż ten, którego użyto poprzednio. Ale nawet z tą wagą miał podobną siłę rażenia, co uświadomiło ekspertom, że konstruktor bomb dla Saladyna, kimkolwiek był, doskonalił swe rzemiosło.

Wybuch pozostawił jedynie gruzy po siedzibie Grupy Alfa, a budynki stojące dalej, kilkaset metrów w górę i w dół rue de Grenelle, uległy poważnym zniszczeniom. Czterej przechodnie, którzy mijali furgonetkę w chwili wybuchu, zginęli na miejscu, podobnie jak kobieta z córką wchodzące do apteki po drugiej stronie ulicy. Poza tym jedynymi ofiarami byli funkcjonariusze jednostki Alfa.

Z samej furgonetki nie zostało niemal nic. Drzwi wylądowały w pobliżu *boucherie* przy rue Cler, a część dachu opadła na parkowe ścieżki Pola Marsowego. Później zdołano ustalić, że wedle zgłoszenia sprzed trzech tygodni pojazd został skradziony na przedmieściach Brukseli, a do Paryża wjechał autostradą A13 z północnego zachodu. Nigdy nie wykryto, gdzie skonstruowano bombę i nie zidentyfikowano mężczyzny, który zaparkował dokładnie pod oknami gabinetu Paula Rousseau, znajdującego się cztery

piętra wyżej. Widziano tylko, jak wsiadał na motocykl, który czekał przy place de la Tour-Maubourg. Ale zarówno motocykl, jak i mężczyzna, przepadli bez śladu.

Na szczęście w chwili wybuchu połowa personelu Grupy Alfa była w terenie lub po służbie. Największe straty poniósł pion techniczny oraz dział obserwatorów, którzy zajmowali suterенę i parter. Zginęły również dwie młode kobiety z archiwum oraz dziewięciu najbardziej doświadczonych oficerów prowadzących. Paul Rousseau i Christian Bouchard odnieśli dość lekkie obrażenia głównie dzięki temu, że znajdowali się w bezpiecznym pokoju konferencyjnym. Niestety madame Treville postanowiła uporządkować wtedy bałagan w gabinecie Rousseau i fala detonacji uderzyła w nią z pełną siłą. Gdy wydobyto ją z gruzów, jeszcze żyła, ale tej samej nocy zmarła w szpitalu, podczas gdy Francja emocjonowała się skandalem politycznym.

Zagadek jednak było więcej. Nazajutrz po zamachu pojawiły się pytania, czy liczba ofiar wewnątrz budynku ogranicza się wyłącznie do funkcjonariuszy jednostki Alfa. Źródłem tych wątpliwości była pogłoska, że tuż po wybuchu widziano dwóch mężczyzn – młodych, barczystych i uzbrojonych w pistolety, którzy gorączkowo przeszukiwali rumowisko, raz po raz wołając kogoś po imieniu. Brzmiało ono Gavriel, co mogło stanowić hebrajski odpowiednik imienia obecnego szefa tajnych służb Izraela. Rodziły się zatem podejrzenia, że człowiek, którego winy nie zostały we Francji zapomniane, w chwili wybuchu znajdował się w budynku przy rue de Grenelle. Co prawda minister spraw wewnętrznych oraz szef służb bezpieczeństwa zaprzeczali tym pogłoskom, wykluczając nawet obecność Izraelczyka na terenie Francji, ale wobec ostatniej kompromitacji traktowano ich oświadczenia ze zrozumiałym sceptycyzmem.

Mężczyzna, którego los wzbudził powszechne zainteresowanie, faktycznie znajdował się w siedzibie Grupy Alfa, gdy doszło do wybuchu. Zgięty w pół i nienaturalnie skrzyżowany, spędził czterdzieści pięć długich minut pod gruzami, zanim w końcu odnalazły go ochrona i francuskie służby ratunkowe. Zakrwawiony i pokryty pyłem został przewieziony do pobliskiego szpitala wojskowego Val-de-Grâce, gdzie opatrzono i zszyto powierzchowne rany oraz podjęto niezbędną interwencję w związku ze złamaniem kilku żeber, ciężkim wstrząśnieniem mózgu i pęknięciem dwóch kręgów lędźwiowych. Lekarze wspominali później, że mówił po francusku płynnie, choć z lekkim akcentem, i mimo oszołomienia wykazywał nienaganną uprzejmość, a także że mimo doznanych obrażeń nie chciał przyjąć żadnych środków przeciwbólowych. Później jednak, po wizycie wysokich funkcjonariuszy francuskich służb bezpieczeństwa, personel szpitala zaprzeczał, jakoby cokolwiek wiedział na jego temat.

W rzeczywistości spędził on w szpitalu trzy dni, sąsiadując z pokojem, który zajmowali Paul Rousseau i Christian Bouchard. Opiekował się nim połączony zespół lekarzy francuskich i izraelskich, a ochronę zapewniał podobnie dobrany zestaw funkcjonariuszy. W końcu, gdy kolejne zdjęcia rentgenowskie i rezonanse magnetyczne potwierdziły, że nadaje się do podróży, ubrano go w świeżą koszulę oraz garnitur i przewieziono karetką na lotnisko Charles de Gaulle. Tam, odrzucając wszelkie propozycje pomocy, wspiął się po stromym trapie do samolotu, kilkakrotnie przystając, by odpocząć i odzyskać równowagę, po czym wszedł na pokład odrzutowca El Al i skierował się do kabiny pierwszej klasy. Nie było tam nikogo oprócz pięknej kobiety

z burzą niesfornych ciemnych włosów. Opadł na fotel obok, położył głowę na jej ramieniu i zamknął oczy. Jej włosy pachniały wanilią. Dopiero wtedy uwierzył, że wciąż jest wśród żywych.

Po powrocie do Izraela Gabriel został przewieziony wprost na ulicę Narkiss i pozostał tam, z dala od ludzkich oczu, przez większą część kolejnego tygodnia. Początkowo wstawał z łóżka jedynie po to, by przez kilka minut korzystać z późnego zimowego słońca, które popołudniami oświetlało ich mały taras. Ból z powodu doznanych obrażeń, mimo że nad nim panował, trudno było znieść. Każdy oddech zdawał się torturą, a przy najmniejszym ruchu czuł, jak rozżarzone pręty wbijają mu się w kręgosłup. Dolegały mu również skutki wstrząśnienia mózgu – uporczywy ból głowy, wrażliwość na światło i dźwięk, niezdolność koncentracji dłużej niż przez minutę lub dwie.

Czuł się najlepiej w zaciemnionym pokoju przy zamkniętych drzwiach. Leżąc samotnie w towarzystwie swych zmaconych myśli, zaczął się zastanawiać, czy kiedyś się to zmieni. Może odniósł w życiu zbyt wiele ran i wyczerpał potencjał odnowy? Może nic już nie zdoła przywrócić mu sił? Może, niczym bezpowrotnie zniszczony obraz, nie podlega naprawie?

Obywatele Izraela pozostawali w błogiej nieświadomości, że legendarny szef ich wywiadu leży bezsilnie w łóżku z czterema złamanymi żebrami, dwoma pękniętymi kręgami i nieustającym bólem głowy. Pojawiały się wprawdzie jakieś pogłoski, głównie podsycane przez francuską prasę, ale transmisja czternastu sekund nagrania przekazanego izraelskiej telewizji przez gabinet premiera położyła im kres. Wideo przedstawiało spotkanie przy ulicy Kaplan – premier w błękitnym krawacie radośnie się uśmiechał, a Gabriel w swym grafitowym garniturze sprawiał wrażenie równie beztróskiego. Nagranie zrobiono wkrótce po objęciu przez niego urzędu i przechowywano na wypadek nieprzewidzianej sytuacji. Oczywiście były i inne, w innych ubraniach i innym świetle, gdyby przez dłuższy czas nie mógł się udzielać publicznie.

Teraz nadszedł czas, by je wykorzystać, choć nastąpiło to na znacznie wcześniejszym etapie jego kadencji, niż sądził. Szef tajnych służb Izraela był o włos od śmierci podczas zamachu bombowego na siedzibę zaufanego przyjaciela, sprzymierzonego z nim w wojnie z terrorem. W odpowiedzi musiał dokonać odwetu. Takie są zasady gry. Gabriel nie zamierzał powierzyć tego zadania nikomu innemu. Ani też na oślep atakować mało istotnych obiektów na pustyniach Iraku i Syrii. Jego celem był jeden człowiek – ten, który stworzył śmiertcionośną sieć i oplótł nią wielkie miasta cywilizowanego świata. Ten, który finansował swe mordercze czyny ze sprzedaży narkotyków zalewających Europę Zachodnią. Gabriel zamierzał go odnaleźć i zetrzeć z powierzchni ziemi. Tropić go mozolnie i pedantycznie. Nie ma bowiem nic groźniejszego, myślał, niż furia cierpliwego człowieka.

Ale nie mógł wydać wrogowi wojny, mając mętny umysł i słabe ciało. Ból z wolna ustępował niczym wody wielkiej powodzi, ale w myślach wciąż panował chaos. Gabriel wiedział, że prowadzi jakąś operację, ale jej główne wątki i postaci rozplywały się we mgle. Uznał, że konieczne są intensywne ćwiczenia, nie fizyczne, lecz umysłowe. Przypominał sobie zatem stare gry pamięciowe, których uczył go Szamron, i zaczął

szczegółowo odtwarzać monografie Tycjana, Belliniego, Tintoretta i Veronesa. Wysilek go męczył – były to jednak ćwiczenia, ale stopniowo szczegóły operacji nabierały ostrzejszych konturów. Rozmywał się tylko finał. Widział bogatego mężczyznę, który pokonany i zdemaskowany wypełnia jego wolę. Ale jak do tego doprowadzi? Z wolna sobie przypominał: strzeżcie się furii człowieka cierpliwego.

Ból zakłócał mu sen, podobnie jak nawracające koszmary, w których wirował wśród gruzu, szkła i krwi. Ale pewnego dnia ocknął się o czwartej nad ranem i stwierdził, że ból ustąpił, a myśli układają się w spójny ciąg. Wstał, nim zbudziła się Chiara i rozswiergotały dzieci, wszedł do kuchni i zaparzył kawę, którą wypił, oglądając wiadomości. Potem powlókł się do łazienki i spojrzął na swe odbicie w lustrze. Nie podniosło go to na duchu. Lewa strona twarzy wyglądała względnie przyzwoicie, ale prawa, wystawiona na podmuch eksplozji, szokowała czarną opuchlizną wokół oka oraz licznymi otarciami i skaleczeniami przez odłamki gruzu i szkła.

To nie jest twarz szefa, pomyślał. To twarz mściciela.

Napełnił umywalkę gorącą wodą i wolno, zaciskając zęby, zaczął golić tygodniowy zarost na brodzie i policzkach. Każdy ruch brzytwy powodował ból, który niczym prąd elektryczny przeszywał go aż do podstawy kręgosłupa, a nieoczekiwane kichnięcie sparaliżowało go na kilka sekund.

Po prysznicu wrócił do sypialni, gdzie stwierdził, że Chiara już wstała. Wciągnął więc nie bez trudu gabardynowe spodnie i dresową bluzę, ale wysilek, jakiego wymagało zawiązanie sznurówek w butach, niemal zwałił go z powrotem z nóg. Z wymuszonym uśmiechem, który miał pokryć zakłopotanie, wszedł do kuchni, gdzie żona nalewała do dzbanka świeżą kawę.

– Lepiej? – Podała mu filiżankę i zlustrowała wzrokiem od stóp do głów. – Tylko mi nie mów, że wybierasz się na bulwar Króla Saula.

Prawdę mówiąc, tak właśnie było. Ale ton jej głosu skłonił go do refleksji.

– Właściwie – odparł – miałem nadzieję, że spędzę trochę czasu z dziećmi, więc chciałem się upodobnić do jakiejś ludzkiej istoty.

– To oznaka poprawy – sceptycznie stwierdziła Chiara, lecz w tej samej chwili z dziecinnego pokoju dobiegł perlisty śmiech. Uśmiechnęła się z westchnieniem. – I znów się zaczyna.

Popisując się swą sprawnością, pomógł jej ubrać dzieci, co przypłacił ostrym bólem, po czym objął nadzorem chaotyczne potyczki przy jedzeniu zwanym inaczej śniadaniem. Resztę poranka spędził, bawiąc się z nimi w różne gry, czytając im bajki, oglądając pouczające filmy wideo i bez końca zmieniając mokre pieluchy. Głównie jednak się zastanawiał, jak Chiara codziennie radzi sobie z tym wszystkim sama, nie padając z wyczerpania i nie tracąc zmysłów. Kierowanie jednym z najlepszych wywiadów świata zdało mu się nagle błahym wyzwaniem w porównaniu z ogromem jej obowiązków.

Czas drzemki był oazą spokoju. Gabriel również zasnął, a gdy się obudził, wyszedł na taras, by ogrzać swe obolałe ciało słońcem Jerozolimy. Tym razem jednak zabrał z sobą stertę materiałów do czytania – pięćset stron akt Jean-Luca Martela, których kopie przywiózł z Francji.

Martel stanowił obiekt okresowego zainteresowania służb francuskich od ponad dziesięciu lat. Mimo to, oprócz dwóch małych wpadek związanych z zaległościami podatkowymi, które uregulował bez rozgłosu, miał nienaganną reputację. Ostatnie śledztwo w jego imperium finansowym odbyło się przed dwoma laty. Przeprowadzono je za sprawą pewnego drobnego diler narkotyków, który zadeklarował, że złoży obciążające Martela zeznania w zamian za skrócenie wyroku. W końcu jednak sprawę zamknięto z braku dowodów, mimo że główny śledczy, człowiek niepodważalnej prawości, w ramach protestu przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Być może nieprzypadkowo diler, którego oskarżenie spowodowało wszczęcie śledztwa, po pewnym czasie został znaleziony w swej celi z podciętym gardłem.

W trakcie dochodzenia wyprodukowano tony raportów z nasłuchu- niektóre pikantne, wiele trywialnych, wszystkie nieistotne – oraz kilkaset fotografii obserwacyjnych. Rousseau wybrał najlepsze z nich: Jean-Luc Martel na festiwalu filmowym w Cannes, Jean-Luc Martel na Biennale w Wenecji, Jean-Luc Martel w pierwszych rzędach na Fashion Week w Nowym Jorku, Jean-Luc Martel na pokładzie swego czterdziestometrowego jachtu, przy rue du Rhône w Genewie oraz Jean-Luc Martel na olśniewającej gali otwarcia swej nowej restauracji w Paryżu. Było to głośne wydarzenie, na które, jak obliczono, wydał równe pięć milionów euro, by zagwarantować sobie obecność wszystkich francuskich celebrytów, a także amerykańskiej gwiazdy reality show sławnej z bycia sławną oraz pary amerykańskich artystów hiphopowych, którzy nie wyrażali się najlepiej na temat sposobu traktowania przez Francuzów mniejszości rasowych.

Na żadnym ze zdjęć nie występował sam. Wszędzie towarzyszyła mu kobieta – niezwykle wysoka i długonoga, o dużych niebieskich oczach i nordyckich blond włosach, które równo opadały na jej proste ramiona. Okazała się nie Francuzką, lecz Angielką. Dziwne, gdyż Martel był publicznym orędownikiem wszystkiego, co galijskie. Jej imię nic Gabrielowi nie mówiło, ale nieskazitelnie piękna twarz wydawała się skądś znajoma. Wystarczyła wycieczka po internecie, by znaleźć ponad cztery tysiące jej profesjonalnych zdjęć – reklamy odzieży, biżuterii, ekskluzywnej linii zegarków, perfum, strojów kąpielowych i włoskich samochodów sportowych podejrzanej jakości. Ale wszystko to należało do przeszłości.

Teraz była nominalną właścicielką znanej galerii sztuki przy place de l'Ormeau w Saint-Tropez, a francuskie władze nie miały jej nic do zarzucenia. Dalszy przegląd dostępnych powszechnie dokumentów oraz wiadomości prasowych ujawnił, że jest fatalnym kierowcą, była dwukrotnie aresztowana pod zarzutem posiadania niewielkiej ilości narkotyków i angażowała się w liczne wątpliwe związki uczuciowe z piłkarzami i aktorami, a także z pewnym angielskim parlamentarzystą oraz podstarzałym gwiazdorem rocka, który sypiał z co drugą modelką w Wielkiej Brytanii. Nie wyszła za mąż, nie miała dzieci, rodziców ani rodzeństwa. Była, myślał Gabriel, na świecie sama.

Na większości francuskich zdjęć obserwacyjnych odwracała wzrok i pochylała twarz. Ale na jednym, zrobionym na Île Saint-Louis w Paryżu, patrzyła prosto w kamerę. To właśnie tę fotografię pokazał Uziemiu Navotowi jeszcze tego wieczoru, gdy siedzieli przy niewielkim stoliku u niego w kuchni.

Zbliżała się północ. Navot, który większą część ostatniej dekady żył na takiej lub innej modnej diecie, wolno pochłaniał wszystko, co zostało z kolacji podanej im przez Chiare. Między jednym a drugim kęsem wpatrywał się uważnie w fotografię. Jako były rekruter i oficer prowadzący miał oko do talentów.

– Ta kobieta to kłopot – stwierdził. – Unikaj jej.

– Myślisz, że wie, skąd jej słynny chłopiec naprawdę ma forszę?

– Dziewczyna taka jak ta... – Navot wzruszył potężnymi ramionami – wie. One zawsze wiedzą.

– Galeria jest na jej nazwisko.

– Chcesz użyć ostrych metod?

– Wolałbym nie, ale nie należy ograniczać możliwości.

– Jak chcesz to rozegrać?

Gabriel wyjaśnił, podczas gdy Navot dojadał resztki kolacji.

– Będziesz potrzebował rosyjskiego handlarza bronią – powiedział.

– Mam takiego jednego.

– Jest żonaty czy to wolny strzelec?

– Żonaty – odparł Gabriel. – Bardzo żonaty.

– Z kim?

– Z miłą Francuzką.

– Znam ją?

Gabriel nie odpowiedział. Navot długo wpatrywał się w fotografię pięknej długonogiej kobiety.

– Taka dziewczyna jak ta nie będzie tania – zawyrokował. – Potrzebujesz pieniędzy.

– Wiem, skąd możemy wziąć pieniądze, Uzi. – Gabriel się uśmiechnął. – Mnóstwo pieniędzy.

Bulwar Króla Saula, Tel Awiw

W ciągu kolejnych siedemdziesięciu dwóch godzin Jean-Luc Martel, hotelarz, restaurator, producent odzieży, jubiler i międzynarodowy diler narkotyków stał się obiektem całodobowej obserwacji Biura, podobnie jak Olivia Watson, niecałkiem jego żona. To kilkudniowe opóźnienie wiązało się z miejscem ich pobytu, a także z porą roku. Przebywali bowiem na bajkowej karaibskiej wyspie Saint-Barthélemy, a że późna zima jest pełnią sezonu, w całej okolicy nie było żadnej willi do wynajęcia ani pokoju w hotelu. Pod żelazną presją Gabriela dział podróży zdołał wytrzasnąć w końcu położoną w rojącej się od komarów okolicy chatę z widokiem na słone bagna Saliny. Mordechaj i Oded, dwaj terenowi agenci do wszystkiego, ruszyli tam niezwłocznie w towarzystwie dwóch agentek, które mówiły z amerykańskim akcentem. Francuzi nie wysłali nikogo, choć technicznie rzecz biorąc, była to ich ziemia. Grupa Alfa kierowana przez Paula Rousseau stała się niezdolna do działania. Nadal pogrążona w żałobie po stracie towarzyszy poszukiwała miejsca dla swej nowej tajnej siedziby. Natomiast według reszty oficjalnej Francji – różnych ministrów, szefów służb wywiadu i bezpieczeństwa, policji oraz śledczych – nie było żadnej operacji.

Obiekt tej nieistniejącej operacji nie miał jednak kłopotu ze znalezieniem lokum na Saint-Barthélemy. Posiadał dużą willę w górach nad wioską Saint-Jean, skąd mógł nadzorować swój luksusowy hotel, butik z damskimi strojami kąpielowymi, a także restaurację, którą nazwał Chez Olivia. Pierwsza partia fotografii obserwacyjnych ukazywała ją, jak leży nago, rozciągnięta nad basenem w willi Martela, zaś kolejna przedstawiała etapy jej negliżu. Gabriel doradził obserwatorom, by wykorzystali energię nie tylko na zdjęcia Olivii. Wiedział już, jak wygląda panna Watson. Teraz oczekiwał istotnych informacji. W odpowiedzi dostał jeszcze jedno zdjęcie, tym razem ukazujące Martela in flagranti z jedną z ekspedientek z jego butiku. Na wszelki wypadek zachował fotografię, choć wątpił w jej moc przetargową. Dla kobiety, która wiąże się z Francuzem, zwłaszcza tak atrakcyjnym jak Jean-Luc Martel, niewierność jest częścią umowy. Zastanawiał się tylko, czy Olivia Watson hołduje podobnym zasadom.

Martel z Olivią spędzili na Saint-Barthélemy kolejnych dziesięć dni, nieświadomi, że tysiące kilometrów dalej, w anonimowym biurowym budynku w Tel Awiwie, całe ich życie podlega starannej inwigilacji. Eli Lavon, biegły kontroler skarbowy, grzebał w dokumentach firmy JLM, która, choć ostentacyjnie francuska, miała siedzibę tuż za granicą, w dyskretnej Genewie. Za pomocą Jednostki 8200 – supertajnej izraelskiej cyberagencji wywiadowczej pozyskującej dane z kanałów łączności – Lavon mógł swobodnie się zagłębiać w bilanse finansowe i zeznania podatkowe. Wszystkie wykazywały bardzo wysokie zyski. Wręcz niewiarygodne wedle Lavona, który instynktownie potrafił wyczuć brudne pieniądze. Zaczął więc badać po kolei każdy fragment imperium JLM – restauracje, hotele, kluby nocne, butiki i sklepy jubilerskie. Wszystkie wykazywały zyski, co w czasach zastoju na rynku zdawało się zjawiskiem

niezwykłym. Z podobnym rozmachem działała galeria Olivii Watson w Saint-Tropez. Po wielkiej recesji, gdy cały świat sztuki borykał się z poważnymi trudnościami, w ciągu zaledwie osiemnastu miesięcy Olivia sprzedała obrazy wartości ponad dwustu milionów dolarów.

– Calder, Pollock, Rothko, Basquiat, trzy prace Roya Lichtensteina, trzy de Kooninga, dwie Rauschenberga i więcej dzieł Warhola, niż mogę zliczyć.

– Imponujące – potwierdził Gabriel.

– I to zważywszy na ceny, które uzyskiwała. Zestawiłem je z cenami domów aukcyjnych w Nowym Jorku i Londynie.

– I?

– Są nieporównanie wyższe.

– Może dobrze negocjuje,

– Powiem tylko jedno. Jest dyskretna. Niemal wszystkie transakcje mają charakter prywatny.

– Zdołałeś znaleźć jakieś listy przewozowe?

– W rzeczy samej.

– No i?

– W ciągu ostatniego półrocza wysłała cztery obrazy na ten sam adres w genewskim porcie bezcłowym.

Początkowo Lavon prowadził dochodzenie ze swego pokoju na najwyższym piętrze. Ale z chwilą, gdy już zarzucił sieci, zebrał wszystkie akta i przez cały budynek wyemigrował na sam dół, do zagraconego pomieszczenia w podziemiu zwanego pokojem 456C. Wkrótce dołączyła tam reszta starej ekipy operacyjnej o nazwie Barak: wysoki łysejący Jossi Gawisz z brytyjskim akcentem i belferską miną oraz Rimona Stern z włosami barwy piasku, krągłymi biodrami i ostrym językiem. Jakow Rossman, były oficer prowadzący, a obecnie szef specoperacji, odzyskał dawne miejsce przy ogólnym stole tuż obok ostatniej w całym Biurze czarnej tablicy. Dina Sarid, chodząca baza danych na temat palestyńskiego i islamskiego terroryzmu, wcisnęła się jak zawsze w odległy kąt.

Na pustej ścianie nad biurkiem powiesiła powiększoną kopię ostatniej znanej fotografii Saladyna, operacyjne zdjęcie zrobione na terenie potrójnej granicy w Ameryce Południowej – terytorium położonym między trzema miastami przygranicznymi: Puerto Iguazú, Ciudad del Este oraz Foz do Iguacu. Przekaz dla reszty był jasny: Jean-Luc Martel i Olivia Watson to jedynie szczeble prowadzące do celu, którym jest Saladyn.

Udręczony bólem zeber i kręgosłupa Gabriel nie musiał sobie o tym przypominać. Od czasu do czasu wsuwał głowę w drzwi, by sprawdzić postępy prac, ale większość dnia spędzał na najwyższym piętrze. Zmagał się tam z wyzwaniami administracyjnymi, wcielając się na przemian w rolę szefa oraz oficera operacyjnego i stratega. Od epoki Ariego Szamrona żaden dyrektor generalny nie angażował się tak osobiście w losy operacji. Mimo to codzienna praca Biura – dziesiątki drobnych operacji, bieżąca rekrutacja kadr, jak też analiza i ocena aktualnych zagrożeń – toczyła się normalnie, w dużej mierze dzięki Uziemiu Navotowi, który urzędował po przeciwnej stronie korytarza. Wobec nowej relacji z Gabrielem był to ich dziewiczy rejs, który na szczęście odbywał się bez zakłóceń. Navot towarzyszył mu nawet w spotkaniach z premierem, choć

w przeciwieństwie do Gabriela nie potrafił się oprzeć kurczakowi gongbao.

– To wszystko przez sól – wyznał, gdy opuścili budynek przy Kaplan. – Gdyby był smażony w oleju i polany sosem sojowym, wolałbym zjeść własny but.

Podczas gdy Eli Lavon zgłębiał podejrzany konglomerat zwany JLM Enterprises, Jossi Gawisz i Rimona Stern skupili uwagę na osobie Jean-Luca Martela. Historia jego skromnego pochodzenia była dobrze znana i wcale jej nie ukrywał. Podobnie jak długie, niemal czarne włosy, dodawała mu jeszcze tajemniczego uroku. Urodził się i wyrastał w małej wiosce pośród gór Prowansji. Lubił powtarzać, że piękni i bogaci przejeżdżali tamtędy w drodze nad morze. Jego ojciec układał płytki, a matka czyściła je i myła. Była częściowo Algierką, a przynajmniej tak mówiono. Ojciec Jean-Luca często ją bił. Bił również syna. Zniknął, gdy chłopak miał siedemnaście lat. Parę miesięcy później znaleziono jego ciało na dnie odludnego jaru, kilka kilometrów za wioską. Miał zmiażdżoną czaszkę, co, jak wykazano, nastąpiło w wyniku silnego uderzenia ciężkim przedmiotem, zapewne młotkiem. We francuskich organach ścigania panowało powszechne przekonanie, że to robota Jean-Luca, jego pierwsze zabójstwo.

W wywiadach dla prasy Martel często podkreślał, że był biednym i trudnym uczniem, toteż nawet nie myślał o studiach. W wieku osiemnastu lat wyruszył do Marsylii, gdzie zatrudnił się jako kelner w restauracji nieopodal Starego Portu. Uważnie przyglądał się sztuce biznesu – a przynajmniej tak brzmiała jego wersja – aż w końcu zebrał sumę wystarczającą na otwarcie własnej restauracji. Z czasem otworzył drugą, a potem trzecią. I tak zrodziło się jego imperium.

Ale pięćset stron francuskich akt nieco inaczej przedstawiało okres jego pobytu w Marsylii. To prawda, że krótko pracował jako kelner, ale restauracja, w której się zatrudnił, nie była zwykłą restauracją, lecz pralnią brudnych pieniędzy. Prowadził ją Philippe Renard, ważna figura francuskiego półświatka, człowiek zajmujący się importem i dystrybucją nielegalnych narkotyków. Renard z miejsca polubił przystojnego młodego człowieka z gór, tym bardziej gdy się dowiedział, że Jean-Luc zabił własnego ojca. Nauczył swego młodego czeladnika wszystkiego, co należy wiedzieć o biznesie, i przedstawił go dostawcom z Afryki Północnej oraz Turcji. Udzielał mu też rad, jak pokonać konkurencję ze strony innych gangów, unikając zbędnego rozgłosu i rozlewu krwi, a także jak wykorzystywać na pozór legalne firmy do prania pieniędzy i ukrywania zysków. Martel odwdzieczył się Renardowi za zaufanie, zabijając go dokładnie tak, jak zabił ojca, czyli młotkiem, po czym przejął kontrolę nad interesem.

Z dnia na dzień stał się jedną z najważniejszych postaci narkotykowego podziemia Francji. Ale nie zadowalała go pozycja jednego spośród wielu. Chciał być jedyny. Zebrał więc armię ulicznych zbirów, głównie Marokańczyków i Algierczyków, których poszczuła na swych rywali. Kiedy w końcu krew przestała płynąć, dopiął swego. Miał monopol na rynku. Umocnieniu jego pozycji w handlu narkotykami towarzyszył, o dziwo, wzrost popularności w praworządym świecie. Sukcesy jednej strony dawały napęd drugiej, a tymczasem JLM Enterprises, przedsiębiorstwo na wskroś przestępcze, potężna pralnia pieniędzy, rokrocznie wypuszczało miliony czystych euro.

Był żonaty raz, i to krótko, z piękną aktorką grywającą niewielkie role w wiejskich filmach. W trakcie sprawy rozwodowej zapowiedziała, że zezna wszystko, co wie na

temat prawdziwych źródeł dochodów męża. Przedawkowanie tabletek nasennych w połączeniu z alkoholem położyło kres jej życiu. Później przez wiele miesięcy Martel unikał publicznej demonstracji swych romansów, co prasa uznała za wzruszającą wrażliwość. Policja nie była równie wzruszona. Dyskretnie próbowała wykryć związek Martela ze śmiercią żony. Ale śledztwo niczego nie wykazało.

Kiedy w końcu wyłonił się na światło dzienne, u jego boku stała już Olivia Watson. W owym czasie trzydziestotrzyletnia, należała do zaginionego plemienia angielskich emigrantów, którzy dotarli do Prowansji i okazali się niezdolni do powrotu. Za stara, by kontynuować karierę modelki, zarządzała małą galerią trudniącą się sprzedażą drobnych wyrobów artystycznych dla turystów, którzy każdej wiosny oblegali miejscowość. Prawdziwy dowód miłosierdzia, westchnęła Rimona Stern. Potem z pomocą finansową Martela otworzyła własną galerię, a ponadto projektowała linię strojów plażowych i kolekcję mebli w prowansalskim stylu. Podobnie jak galeria oba produkty nosiły jej imię.

- Najwidoczniej – dorzuciła Rimona – kolej na perfumy.
- Jaki zapach? – zaciekawiał się Gabriel.
- Haszyszu.

Ale czy było jeszcze jedno oblicze imperium JLM? Inne niż gościnność i prochy? Przypadek Nouredine'a Zakarii wskazywał, że tak. Marokańczyk zdołał dostarczyć co najmniej piętnaście karabinów bojowych Kałasznikowa do Zjednoczonego Królestwa, co stanowiło imponujący rekord przemytniczy i logistyczny. Niewątpliwie wykorzystał w tym celu tę część siatki, która szmuglowała narkotyki Martela do Wielkiej Brytanii i reszty Europy. Ale czy był wyjątkiem, czy też jednym z wielu? Szczęściem Biuro znajdowało się w posiadaniu pięciu tysięcy francuskich dokumentów wywiadowczych, które Paul Rousseau przekazał po zamachu na Ośrodek Weinberga w Paryżu. Z pomocą paryskiego analityka Grupy Alfa Dina Sarid porównała nazwiska z bazy danych z nazwiskami podejrzanych oraz znanych członków armii dilerów i egzekutorów Jean-Luca Martela, pochodzących w większości z Afryki Północnej. Sześć nazwisk widniało na obu listach – trzech Marokańczycy, dwaj Algierczycy i jeden Tunezyjczyk. Czterech z nich odsiedziało we Francji wyroki więzienia za przestępstwa narkotykowe, a dwaj zapewne spędzili jakiś czas w Syrii, walcząc po stronie ISIS. Kiedy jednak Dina rozszerzyła pole poszukiwań, włączając powiązania drugo- i trzeciorzędne, pojawiły się alarmujące wyniki.

- JLM Enterprises – zakomunikowała – to rezerwowy batalion ISIS.

Gabriel przekazał analizę Diny Paulowi Rousseau w Paryżu, a ten objął obserwacją najbardziej podejrzanych. Tego samego wieczoru ostatni członek grupy Barak przyleciał do Tel Awiwu z Zurychu, gdzie spędził kilka dni w związku z inną sprawą. Wchodząc do pokoju 456C, zatrzymał się na krótko przed powiększonym zdjęciem Saladyna. Rzucił coś niemilego i usiadł przy swoim starym biurku, na którym Gabriel osobiście położył dwie sterty akt. Otworzył pierwszą teczkę i zmarszczył brwi.

- Iwan Charkow – mruknął. – Kopę lat, ty nędzny sukinsynu.

Ari Szamron powiedział kiedyś, że Michaił Abramow „to Gabriel bez sumienia”. Może i nie była to całkiem sprawiedliwa ocena, lecz nieodległa od prawdy. Michaił,

urodzony w Moskwie syn małżeństwa radzieckich naukowców i dysydentów, służył w elitarnym Sajjeret Matkal, izraelskiej wersji brytyjskich sił specjalnych SAS, nim podjął pracę dla Biura. Jego niezwykle talenty nie ograniczały się jednak do mistrzowskiej sztuki władania bronią. I to dlatego Gabriel zostawił mu na biurku dwa stopy akt.

Wyglądem skrajnie się różnili. Wysoki i smukły Michaił z bezkrwistą cerą i jasnoszarymi oczami zdawał się księciem lodu przy księciu ognia. W trakcie intensywnych dni przygotowań do operacji całkowicie ignorował Jean-Luca Martela i Oliwię Watson. Byli dla niego niczym światełka na odległym brzegu lub, jak ostatnio mawiał Gabriel, na przeciwnym brzegu zatoki w kształcie podkowy. Michaił miał jedno zadanie: przygotować się do roli, jaką wkrótce odegra. Nie przypadkiem postać, w którą się wcielał, posiadała wiele wspólnych cech ze swą ofiarą. Podobnie jak Jean-Luc Martel był to bowiem człowiek o dwóch twarzach, z których jedną demonstrował przed całym światem, a drugą przed nim ukrywał.

Większość wiadomości zdobył sam, gdyż dotyczyły rosyjskiego uzbrojenia, tematu dobrze mu znanego. Gabriel jednak, znów ignorując tradycję Biura, osobiście sprawdzał stan przygotowania Michaiła. Tego wieczoru, gdy Martel i Olivia opuścili Saint-Barthélemy, poprosił go do swego gabinetu na końcowy egzamin. Stał przy monitorze wideo z pilotem w dłoni, podczas gdy Michaił, rozparty na dyrektorskiej skórzanej kanapie, opierał długie nogi na stoliku do kawy, z ostentacyjnym znużeniem przysmykając powieki.

– Tintoretto – powiedział.

Gabriel nacisnął pilota i na ekranie pojawił się inny obraz.

– Tycjan. – Michaił teatralnie stłumił ziewnięcie.

Obraz się zmienił.

– Rembrandt, na miłość boską. Następny.

Gdy się pojawił, Michaił położył dłoń na czole, udając głęboki namysł.

– Czyżby to był Parmigianino, czy może Perugino?

– No więc? – naciskał Gabriel.

– Parmigianino.

– No i dobrze.

– Może masz coś bardziej ambitnego?

– A co byś powiedział na to?

Na ekranie pojawiła się twarz. Tym razem jednak nie był to obraz, lecz fotografia kobiety.

– Natalie Mizrahi – odparł Michaił.

– Nie o to pytam.

– Czy jest gotowa? To chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Chcesz, żebym z nią porozmawiał?

Gabriel wyłączył monitor i wolno pokręcił głową. To nie jest zadanie dla kochanka, myślał. Tylko szef może prosić o coś podobnego.

Dolina Jezreel, Izrael

Nazajutrz wczesnym popołudniem, po sprawdzeniu mejli i załatwieniu niezbędnych telefonów, Gabriel wsunął się na tył opancerzonego SUV-a i wyruszył do doliny swej młodości. Krajobraz za oknem pożółkł jak stara fotografia. Poprzedniej nocy palestyński podpalacz podłożył ogień na grzbiecie góry Karmel. Niesione silnym wiatrem płomienie strawiły trzy tysiące akrów łatwopalnych sosen alepskich i teraz rozprzestrzeniały się ku przedmieściom Hajfy. Izraelskie ekipy nie zdołały opanować pożaru, co zmusiło premiera do wezwania pomocy międzynarodowej. Pograżona w ekonomicznej zapaści Grecja wysłała dwustu strażaków, Rosja zaproponowała samolot tankowiec, nawet walczący o przetrwanie prezydent Syrii kpiąco zaoferował Izraelowi wsparcie. Gabriela głęboko poruszyła nieudolność własnego państwa. Żydzi osuszili malaryczne bagna, nawodnili pustynie i wygrali trzy egzystencjalne konflikty przy znacznej przewadze wroga. I oto jakiś Palestyńczyk z pudełkiem zapalek miałby sparaliżować całą północno-zachodnią część kraju, zagrażając trzeciemu z największych miast?

Autostrada 6, główna trasa prowadząca z północy na południe, była zablokowana przy węźle Iron Interchange. Kolumna samochodów Gabriela skręciła w drogę ekspresową 65 i ruszyła na wschód w stronę Megiddo, wzgórza, na którym wedle Księgi Objawienia dojdzie do starcia między hordami szatana a anielskimi hufcami pod wodzą Chrystusa. Będzie to ostateczna bitwa między siłami dobra i zła, która poprzedzi koniec dni.

Starożytne wzgórze wyglądało spokojnie, choć otulał je dym barwy sepia unoszący się znad odległych zboczy. Kierowali się na północ ku Dolinie Jezreel, korzystając z bocznych dróg, by uniknąć objazdów, aż w końcu dotarli do metalowej najeżonej szpikulcami bramy, która zamykała drogę. Dalej rozciągało się spółdzielcze osiedle rolnicze -moszaw Nahalal. Zbudowali je Żydzi z Europy Wschodniej w 1921 roku, gdy Palestyna należała jeszcze do Imperium Brytyjskiego. Nie było to jednak pierwsze Nahalal, lecz drugie. Pierwsze żydowskie osiedle na tej ziemi powstało tysiące lat wcześniej, po podboju Kanaan, i – jak głosi dziewiętnasty rozdział Księgi Jozuego – stanowiło dziedzictwo rodu Zabulona, jednego z dwunastu plemion starożytnego Izraela.

Gabriel wychylił się z okna i wprowadził szyfr na panelu. Brama się otworzyła, ukazując nieco krętą drogę, wzdłuż której rosły oleandry i eukaliptusy. Współczesny Nahalal powstał na planie okręgu. Frontem do ulicy stały parterowe domy, a za nimi, niczym fałdy wachlarza, rozciągały się łąki i pola uprawne. Dzieci, które gromadnie wylały się z jedynej szkoły w moszawie, z ciekawością obserwowały potężnego czarnego SUV-a. Wielu spośród tutejszych mieszkańców wywodziło się ze służb bezpieczeństwa izraelskich sił obronnych. Na cmentarzu w Nahalal pochowany został również Mosze Dajan, być może najsłynniejszy z generałów Izraela.

Na południowym końcu osady SUV skręcił w podjazd nowoczesnego domu. Na

zacienionej werandzie niezwłocznie pojawił się strażnik w kamizelce khaki. Widząc Gabriela, który wolno wysiadał z pojazdu, podniósł rękę w powitalnym geście. Drugą ścisnął korpus automatu.

– Właśnie wyszła.

– Dokąd?

Ochroniarz skinął głową w stronę pól.

– Dawno?

– Jakies dwadzieścia minut temu, może pół godziny.

– Tylko mi nie mów, że sama.

– Próbowała, ale wysłałem za nią dwóch chłopaków. Wzięli quada. Nikt nie może dotrzymać jej tempa.

Gabriel, uśmiechając się, wszedł do bungalowu. Skąpo i funkcjonalnie umeblowane wewnątrz bardziej przypominało biuro niż dom. Kiedyś wisiały tu na ścianach wielkie czarno-białe fotografie palestyńskiej niedoli – długie zakurzone drogi wiodące na wygnanie, nędza obozów przesiedleńczych, wyniszczone twarze starców śniących o utraconym raj. Teraz zastąpiły je obrazy. Część z nich stanowiły młodociane, raczej wtórne prace Gabriela. Pozostałe, pełne bólu i pasji, wyszły spod pędzla jego matki u szczytu jej twórczego rozkwitu. Były to dzieła kubizmu i abstrakcyjnego ekspresjonizmu. Jedno z nich przedstawiało półprofil wychudzonej, półżywej kobiety w łachmanach. Przypomniawszy sobie, kiedy matka go malowała. Było to w tygodniu egzekucji Eichmanna. Wysilek tak ją wyczerpał, że całymi dniami nie mogła wstać z łóżka. Wiele lat później natknął się na zeznanie, które nagrała, by przekazać je do archiwów Jad Waszem. Dopiero wtedy zrozumiał, że kubistyczny obraz wyniszczonej kobiety był jej autoportretem.

Wyszedł do ogrodu. Dym unosił się nad zboczami Karmelu niczym pióropusz nad eksplodującym wulkanem, ale niebo nad doliną było czyste, a powietrze przesycone zapachem ziemi i bydłęcego nawozu. Zerknął przez ramię i zorientował się, że jest sam. Ochrona jakby o nim zapomniała. Ruszył więc polną drogą obok zagrody dla zwierząt, odprowadzany obojętnym wzrokiem mlecznych krów. Roztaczała się przed nim szachownica pól należących do farmy.

Teren najbliższy bungalowowi był czymś obsadzony – Gabriel wykazywał niechętną obojętność dla wiedzy tego rodzaju. Natomiast dalsza część pól, zaorana lecz pusta, najwyraźniej czekała na zasiew. Za granicami farmy rozciągał się Ramat Dawid – kibuc, w którym się urodził i dorastał. Powstał kilka lat później niż Nahalal, w roku 1926, a jego nazwa nie pochodziła od imienia starożytnego żydowskiego króla. Kibuc otrzymał ją na cześć Davida Lloyd George'a, premiera rządu brytyjskiego, który popierał ideę odtworzenia żydowskiej ojczyzny na ziemiach Palestyny.

Mieszkańcy Ramat Dawid nie przybyli ze wschodniej Europy. Byli to głównie niemieccy Żydzi. Matka Gabriela, Irene Frankel, przyjechała tu jesienią 1948 roku i wkrótce poznała swego przyszłego męża. Pochodził z Monachium, był pisarzem i intelektualistą, a w Izraelu przybrał hebrajskie nazwisko Allon. Marzyła o sześciorgu dzieciach – jednym za każdy milion zamordowanych w Holokauście, ale zdołała wydać na świat tylko jedno. Chłopcu nadano imię Gabriel, tak bowiem zwał się posłaniec Boży,

obrońca Izraela i tłumacz wizji proroka Daniela. W ich domu panował smutek, tak jak we wszystkich domach Ramat Dawid. Palily się tam świece za rodziców, rodzeństwo i bliskich, którzy nie ocalili z Zagłady, a nocami rozlegały się krzyki pogrążonych w otchłani koszmarnych snów. Gabriel spędzał dni, wędrując po starożytnej dolinie plemienia Zabulon, którą jako dziecko uważał za własną. Teraz zrozumiał, że otrzymał ją po to, by strzec jej i chronić.

Słońce zsunęło się za płonący grzbiet góry. Światło dnia z wolna gasło, gdy w oddali rozległo się wołanie brzmiące jak prośba o pomoc. Były to pierwsze tony wezwania do modłów docierające z wysoko położonej arabskiej wioski na wschodniej stronie. Jako dziecko Gabriel znał tam pewnego chłopca. Nazywał się Jusuf, a jego nazywał Dżibrilem, co było arabską wersją imienia Gabriel. Opowiadał mu różne historie, również o tym, jak wyglądało życie w dolinie przed powrotem Żydów. Ich znajomość stanowiła ściśle strzeżoną tajemnicę. Gabriel nigdy nie był w wiosce Jusufa, a i Jusuf nigdy go nie odwiedził. Podział był ugruntowany i trwały.

Wezwanie do modłów z wolna cichło, zamierając wraz z resztką światła. Gabriel spojrział ponad ciemniejącymi polami w stronę bungalowu. Gdzie, u diabła, podziela się ochrona? Jednocześnie z ulgą przyjął tę chwilę wytchnienia. Nie pamiętał już, kiedy był sam. Jednak w tej samej chwili rozległ się kobiecy głos wołający go po imieniu. Przez chwilę miał wrażenie, że słyszy matkę, ale gdy się obrócił, dostrzegł na polnej ścieżce smukłą sylwetkę. Zbliżała się długimi susami. Za nią podążał quad, a w nim dwaj mężczyźni. Nagle poczuł gwałtowne ukłucie u podstawy kręgosłupa. Czyżby wyrzuty sumienia? Taka jest nasza praca, przekonywał sam siebie, jednocześnie próbując rozmasować bolące miejsce. To kara za to, że przetrwaliśmy na tej ziemi.

Nahalal, Izrael

Podobnie jak on, doktor Natalie Mizrahi też miała wątpliwą przyjemność oglądania Saladyna twarzą w twarz. Ale w odróżnieniu od Gabriela, którego kontakt z potworem był przelotny, Natalie musiała spędzić z nim kilka dni. W domu o wielu pokojach i podwórzach nieopodal Mosulu w północnym Iraku ratowała mu życie, lecząc z ran, które odniósł podczas amerykańskiego nalotu. Miał ciężkie obrażenia klatki piersiowej i prawej nogi. Niestety po pewnym czasie mieli się spotkać ponownie. Tym razem nastąpiło to w wiejskiej chacie o spadzistym dachu, na odludziach Wirginii Północnej. Przerazająca scena, którą Gabriel ujrzał, przybywając w ostatniej chwili, wciąż dominowała w makabrycznej galerii jego wspomnień. Mimo wielu prób nie potrafił jej zatrzeć w pamięci. To również łączyło go z Natalie.

Historia jej pobytu w mrocznym sercu kalifatu ISIS weszła do annałów Biura jako jedna z najbardziej brawurowych misji wywiadu izraelskiego. W końcu to sam Saladyn, który znał zaledwie jej część, przepowiedział, że pewnego dnia napiszą o tym książkę. Urodzona i wykształcona we Francji, płynnie posługująca się algierskim dialektem arabskiego, Natalie wyemigrowała z rodzicami do Izraela, uciekając przed rosnącą falą antysemityzmu we własnym kraju. Zatrudniła się na oddziale ratunkowym szpitala Hadassa w zachodniej Jerozolimie, co nie uszło uwadze tropicieli talentów z izraelskich służb wywiadu. Kiedy rozpoczęły się poszukiwania agenta w celu infiltracji siatki Saladyna, Biuro podjęło z nią rozmowy. W małym domu na farmie Nahalal pod kierunkiem Gabriela zbudowano jej nową tożsamość. Stała się Lajlą Hadawi – Arabką o palestyńskim rodowodzie. Odtąd miała być czarną wdową – muzułmańską kobietą, która żyje wyłącznie dla zemsty.

Z pomocą Paula Rousseau i Grupy Alfa weszła w środowisko islamistów z Francji oraz innych krajów Europy, których przetrucano do Syrii, by zasilili szeregi ISIS.

Przez blisko miesiąc żyła w kalifacie. Początkowo mieszkała w centrum Rakki, nieopodal parku Ar-Raszida, a następnie wysłano ją do obozu szkoleniowego w starożytnej Palmyrze. Ostatnie dni swej misji spędziła w domu nieopodal Mosulu, gdzie pod przymusem ratowała życie największego terrorysty od czasów Osamy bin Laden.

W okresie rekonwalescencji okazywał jej zyczliwość i nazywał swoim Majmonidesem, nawiązując do postaci filozofa i uczonego Talmudu, a zarazem jednego z medyków na dworze prawdziwego Saladyna w Kairze. Pozwalał jej przebywać w swojej obecności z odsłoniętą twarzą, ona zaś nie odstępowała od jego łóżka. Monitorowała funkcje jego życiowych organów, zmieniała zakrwawione opatrunki, uśmierzała ból zastrzykami morfiny. I choć wielokrotnie chciała go uśmiercić, przedawkowując narkotyki, jednak wierna przysiędze lekarskiej i głęboko przekonana o wadze świadectwa, które miało przekazać prawdę o kalifacie, pielęgnowała Saladyna z pełnym poświęceniem. On zaś odpłacił za ten akt miłosierdzia, wysyłając ją na

samobójczą misję do Waszyngtonu.

Od tamtej pory minęły trzy miesiące, ale mimo to Gabriel nadal dostrzegał w zachowaniu i spojrzeniu ciemnych oczu Natalie cechy Lajli Hadawi. Zrzuciła wprawdzie z twarzy zasłonę i wyzbyła się gniewu, który trawił Palestynkę, ale zachowała jej dostojeństwo i cichą pobożność. Poza tym jednak trudno byłoby doszukać się w niej śladów tego, co przeżyła w islamskim kalifacie, i traumatycznych wydarzeń na pustkowiu Wirginii, gdzie Saladyn osobiście poddał ją brutalnemu przesłuchaniu. Zamierzał dokonać jej egzekucji w ulubiony przez ISIS sposób, przez ścięcie głowy, a nieuchronność wyroku rozwiązała mu język.

Przyznał, że służył w irackim Muchabaracie pod rządami Saddama Husajna, że dostarczał wsparcia materialnego i logistycznego terrorystom palestyńskim, takim jak Abu Nidal, a po amerykańskiej inwazji w 2003 roku włączył się do irackiego powstania. Te trzy fakty z jego życiorysu pokrywały się z wiedzą wywiadów zachodnich. Poza tym jednak nawet prawdziwe nazwisko człowieka zwanego Saladynem pozostawało tajemnicą. Natomiast Natalie uzyskała do niego nieograniczony dostęp w czasie, gdy był fizycznie bezsilny. Poznała każdy centymetr jego potężnego silnego ciała, każde znamię, każdy znak szczególny i każdą bliznę. Ale był to tylko jeden z powodów, dla których Gabriel przyjechał na farmę Nahalal w dolinie swego dzieciństwa.

Niebawem zapanował wieczorny chłód, jak zwykle w Galilei. Oni jednak zostali w ogrodzie i usiedli przy tym samym stole, przy którym przed dziesięcioma miesiącami prowadzili wstępne rozmowy. Tak jak wtedy, Natalie usiadła bardzo prosto, kładąc ręce na kolanach. Miała na sobie obcisły dres i pokryte polnym kurzem neonowozielone adidasy. Odrzucone w tył ciemne włosy spięła nisko na karku opaską elastyczną, a jej pełne zmysłowe usta ułożyły się w półuśmiech. Po raz pierwszy od miesiący wydawała się szczęśliwa. Gabriel poczuł nagle ponowne ukłucie bólu. Tym razem czysto fizyczne.

– Wiesz co – powiedziała z poważnym wyrazem twarzy – szybciej się wykurujesz, jeśli zaczniesz brać leki przeciwbólowe.

– Czy to aż tak widoczne?

– Przechylasz się w bok, żeby osłabić ucisk na pęknięte kręgi.

Krzywiąc się, spróbował usiąść prosto jak ona.

– I bardzo płytko oddychasz – zauważyła.

– Bo oddech sprawia ból. A kiedy kichnę lub kaszlę, gwiazdy stają mi w oczach.

– Sypiasz trochę?

– Wystarczy. – I cicho dodał: – A ty?

Wyjęła korek z butelki białego galilejskiego wina i napełniła dwa kieliszki. Upiła łyk ze swojego i odstawiła go na blat. Przez wiele miesięcy, wcielając się w postać nabożnej muzułmanki, stroniła od alkoholu. Od czasu powrotu do Izraela jej dzienna konsumpcja białego wina gwałtownie spadła, co rekruterzy Biura uznali za jedyną wadę doktor Natalie Mizrahi.

– No więc jak sypiasz? – spytał ponownie.

– No cóż, nigdy nie było z tym dobrze, nawet przedtem. A poza tym – spojrzała na bungalow – to nie jest dyskretny azyl, prawda? W każdym pokoju jest podsłuch i każdy mój ruch jest rejestrowany i analizowany przez waszych psychiatrów.

Gabriel nie usiłował nawet zaprzeczać. Bungalow był istotnie naszpikowany kamerami i aparaturą nasłuchową, a zespół lekarzy zatrudnionych przez Biuro szczegółowo notował każdy aspekt rekonwalescencji Natalie. Opracowany przez nich portret psychologiczny przedstawiał osobę wciąż zmagającą się z objawami stresu pourazowego. Przejawiało się to długotrwałymi okresami bezsenności, koszmarami sennymi i atakami depresji. Codzienne biegi, jakie urządziła sobie na farmie, korzystnie wpłynęły na stan jej zdrowia i łagodziły skoki nastroju. Podobnie jak romantyczny związek z Michaiłem, który regularnie odwiedzał Nahalal. W sumie jednak, wedle opinii lekarzy mogła podjąć jedynie mało obciążające zadanie. Mało obciążające zadanie nie leżało jednak w planach Gabriela. On miał na celu ujęcie Saladyna.

Zmienił pozycję, próbując wygodniej usiąść. Natalie zmarszczyła brwi.

– Spróbuj wypić łyk wina. Powinno trochę pomóc.

Zrobił, jak radziła. Nie pomogło.

– Był taki sam – powiedziała.

– Kto?

– Saladyn. Odrzucał środki przeciwbólowe. Wręcz go torturowałam, aby zrozumiał, że są niezbędne. I za każdym razem, kiedy podawałam mu morfinę, walczył, żeby nie stracić przytomności. Gdybym wtedy...

– Postąpiłaś właściwie.

– Nie sądzę, żeby ofiary z Londynu były tego zdania. A także z Paryża – dodała. – Ty też masz szczęście, że żyjesz. A przecież nigdy by do tego wszystkiego nie doszło, gdybym go zabiła, kiedy miałam okazję.

– Nie jesteśmy tacy jak oni, Natalie. Nie uznajemy samobójczych misji. Zresztą – ciągnął Gabriel – ktoś inny zająłby jego miejsce.

– Nie ma nikogo takiego jak on. Jest wyjątkowy. Uwierz, ja to wiem.

Ogrzała dłoń nad świecą, która płonęła pośrodku stołu. Wiatr nieco zmienił kierunek, niosąc gryzącą woń pożaru. Gabriel wolał ją jednak od zapachów farmy, których od dzieciństwa nie znosił.

Odsunęła rękę od płomienia.

– Zaczynałam już myśleć, że o mnie zapomniałeś.

– Ani na minutę. Nie zapomniałem także, co przeżyłaś.

– No to jest nas dwoje.

Sięgnęła po kieliszek, ale się wstrzymała. Tak, jakby zrobiła to Lajla.

– Michaił zapewnia, że pewnego dnia o wszystkim zapomnę, że będzie to odległe, jak przykre wspomnienie z dzieciństwa. Jak chwila, kiedy bawiąc się nożem, omal nie obciąłem sobie palca. – W ciemności uniosła rękę. – Wciąż mam bliznę.

Wiatr ucichł, płomień znów się wyprostował.

– Czy ty go aprobujesz? – spytała.

– Michaiła?

– Tak.

– To bez znaczenia.

– Wręcz przeciwnie. Przecież jesteś szefem.

Uśmiechnął się.

- Tak, Natalie, aprobuję. I to z całego serca.
 - A czy aprobowałaś tę Amerykankę, z którą był związany? Tę, która pracowała dla CIA? Jej imię – dodała chłodno – wypadło mi z głowy.
 - Miała na imię Sarah.
 - Sarah Bancroft – dokończyła, kładąc nacisk na pierwszą sylabę snobistycznie brzmiącego nazwiska.
 - Tak, Sarah Bancroft.
 - Bancroft... To nie brzmi jak nazwisko żydowskie.
 - Z oczywistych powodów. A ja – Gabriel pokręcił głową – nie aprobowałem tego związku. Przynajmniej na początku.
 - Bo nie była Żydówką?
 - Bo związki między agentami wywiadu są z natury skomplikowane. A związki agentów, którzy należą do służb różnych krajów, są niespotykane.
 - Ale blisko współpracowała z Biurem.
 - Bardzo.
 - I lubiłeś ją.
 - Lubilem.
 - Kto to zakończył?
 - Nie byłem wtajemniczony we wszystkie szczegóły.
 - Proszę cię... – prychnęła.
 - Myślę – rzekł ostrożnie – że Michaił.
- Wydawało się, że Natalie starannie rozważyła jego ostateczne zdanie. Miał nadzieję, że nie powiedział nic niewłaściwego. W końcu nie wiadomo, do czego przyznają się sobie kochankowie, zwłaszcza gdy dotyczy to dawnych związków. Możliwe przecież, że Michaił przedstawił się jako pokrzywdzony. Nie, pomyślał Gabriel, to nie w jego stylu. Miał wiele wspaniałych cech, ale jego serce wykute było ze stali.
- Przypuszczam, że wkrótce wyjedzie – powiedziała.
 - Muszę jeszcze dokończyć kilka spraw.
 - Operacyjna czarna robota?
- Uśmiechnął się tylko.
- Wiesz, jak długo go nie będzie?
 - Trudno powiedzieć.
 - Słyszałam, że chcesz z niego zrobić handlarza bronią.
 - Bardzo bogatego.
 - Więc przyda mu się dziewczyna. W przeciwnym razie Jean-Luc Martel nie uwierzy, że jest prawdziwy.
 - Co o nim wiesz?
 - O JLM? – Wzruszyła ramionami. – Tylko tyle, ile wyczytałam w gazetach.
 - Myślisz, że siedzi w narkobiznesie?
 - Tak mówiono. Wiesz, że wyrosłam w Marsylii.
 - Wiem – odparł z obojętną miną. – Chyba coś o tym czytałem w twoich aktach.
 - I widziałam wiele przypadków przedawkowania heroiny, kiedy tam pracowałam
- ciągnęła. – Mówiono, że to z dostaw Martela. Ale przecież nie można we wszystko

wierzyć.

– Czasem można.

Zapadła cisza.

– A więc kim jest ta szczęściara? – spytała w końcu.

– Dziewczyna Michaiła? Mam pewną kandydatkę – odparł – ale nie jestem pewien, czy się zgodzi.

– Pytałeś ją o to?

– Jeszcze nie.

– Więc na co czekasz?

– Na wybaczenie.

– Za co?

Wtem zerwał się wiatr i zgasił płomień świecy. Siedzieli sami w ciemnościach, milcząc i patrząc, jak palą się góry.

W ciągu kilku minut wrzuciła do torby swoje rzeczy. Potem, nie zmieniając nawet dresu, usadowiła się z tyłu SUV-a i wraz z Gabrielem wróciła do Tel Awiwu. Zgodnie z regulaminem Biura powinna się zatrzymać w „punkcie wypadowym”, czyli lokalu konspiracyjnym, gdzie agenci ostatecznie wcielają się w operacyjną tożsamość. Gabriel jednak zawiózł ją do mieszkania Michaiła na tyłach ulicy ha-Jarkon, Uznał, że nie będzie to całkowite złamanie zasad. W końcu Michaił i Natalie mieli odgrywać małżeństwo, więc przy odrobinie szczęścia mogliby się o coś pospierać. A wtedy już na pewno nikt nie zwątpi w autentyczność ich ról.

Zbliżała się dziewiąta, gdy SUV Gabriela zaczął długą wspinaczkę przez Bab al-Wad w stronę Jerozolimy. Zakładając, że nie będzie żadnych wypadków ani alarmów bezpieczeństwa, a także telefonów od premiera, powinien być przy ulicy Narkiss najpóźniej o wpół do dziesiątej. Dzieci pewnie już będą spały, ale przynajmniej zje spokojną kolację z Chiarą.

Gdy się zbliżali do zachodniej granicy miasta, jego komórka rozbłysła nową wiadomością. Patrzył na nią długo, zastanawiając się, czy nie mógłby udać, że przepadła gdzieś w eterze. Niestety nie mógł. Miał odbyć drugą zagraniczną podróż w roli szefa. Tym razem do Ameryki.

Mauzoleum Lincolna, Waszyngton

Langley wysłało po niego samolot, co nigdy dobrze nie wróżyło. Był to Gulfstream G650 z fotelami ze skóry i drewna tekowego, bogatym wyborem filmów i pełnymi kosztami niezdrowych przekąsek. W tyle kadłuba znajdowała się prywatna kabina. Gabriel wyciągnął się na wąskim łóżku, lecz nie znajdował pozycji, która nie sprawiałaby mu bólu. Za oknem nieprzerwanie trwał mrok. Kierując się na zachód, ścigali noc. Bezsensowności towarzyszyła niepewność. Nie potrafił odgadnąć przyczyny nieoczekiwanego wezwania do Waszyngtonu. Wątpił, by miało charakter towarzyski. Nowa ekipa Białego Domu nie bawiła się w zbędne uprzejmości.

Samolot wylądował na lotnisku Dullesa o trzeciej trzydzieści w nocy i pokołował do prywatnego hangaru, gdzie czekały już trzy opancerzone suburbany. W chłodnym wilgotnym powietrzu delikatnie dymiły rury wydechowe. O tak wczesnej porze ruch był niewielki. Gdy jechali Capital Beltway, Gabriel spojrzął w stronę kampusu Liberty Crossing, byłej siedziby Dyrektora Wywiadu Narodowego oraz Centrum Antyterrorystycznego. Gąszcz drzew zasłaniał obraz zniszczeń. Kongres wciąż jeszcze nie przydzielił miliardów dolarów niezbędnych do odbudowy Liberty Crossing, symbolu umocnienia amerykańskiego bezpieczeństwa narodowego po 11 września. Podobnie jak członkowie Grupy Alfa kierowanej przez Paula Rousseau, Biuro Dyrektora Wywiadu Narodowego (ODNI) oraz Centrum Antyterrorystyczne (NCTC) szukały schronienia w innym miejscu. Pewne było jedno – Saladyn zdołał pozbawić dachu nad głową wielu szpiegów i analityków.

Karawana SUV-ów skręciła w Route 123 i podążyła w stronę McLean. Gabriel zaniepokoił się, że wiozą go do kwatery CIA, czego wolał uniknąć. Minęli jednak główne wejście, nie zwalniając, i posuwali się w kierunku George Washington Memorial Parkway, by brzegiem Potomacu po stronie Wirginii dotrzeć do szklanych i stalowych wieżowców Rosslyn. Po przeciwnej stronie rzeki wznosiły się uroczne wieżyczki Uniwersytetu Georgetown, ale jego wzrok przyciągnęła brzydka prostokątna bryła hotelu Key Bridge Marriott. Natalie spędziła tam wiele godzin, uwięziona w pokoju z francusko-algierską terrorystką Safią Bourihane. Przez ukrytą kamerę widział, jak w imię Allaha wygłasza i nagrywa przesłanie pożegnalne, po czym opasuje się śmiercionośną kamizelką. Dopiero później, w chacie na pustkowiach Wirginii, dowiedziała się, że kamizelka jest atrapą i że Saladyn ją oszukał. Ale Gabriel zdawał sobie sprawę, że on też.

Jechali na południe wzdłuż rzeki, mijając obrzeża cmentarza Arlington i kierując się na Memorial Bridge. Na przeciwległym brzegu, rozświetlone, jakby promieniowało od wewnątrz, stało Mauzoleum Lincolna. Z reguły samochody jadące z Wirginii do Waszyngtonu zjeżdżały stąd w Dwudziestą Trzecią Ulicę. Tymczasem niewielka kawalkada Gabriela zwolniła obok betonowej bariery, by zaparkować na esplanadzie przy południowym skrzydle mauzoleum. Stało tam w ciemnościach kilku umundurowanych funkcjonariuszy amerykańskiej Park Police, poza tym jednak było pusto. W tej samej

chwili telefon zawibrował, anonsując nadchodzącą wiadomość. Gabriel wysiadł z SUV-a, ruszył ku stopniom mauzoleum i przyciskając rękę do swego obolałego krzyża, zaczął wchodzić po schodach.

Rozwieszony nad wejściem ciężki brezent lekko falował na wietrze. Gabriel wsunął się w otwór i z wahaniem wszedł do środkowej komnaty. Lincoln spoglądał w zamyśleniu ze swego marmurowego tronu, jakby rozgniewany obrazem zniszczeń. Cokół pomnika znaczyły małe kratery, podobnie wyglądały murale Julesa Guérina i jońskie kolumny dzielące komnatę centralną od bocznych – północnej i południowej. Poważne uszkodzenie podstawy jednej z kolumn groziło zawaleniem. To właśnie tutaj wysłannik Saladyna zostawił plecak wypełniony materiałami wybuchowymi i łożyskami kulowymi. Podmuch eksplozji był tak silny, że zatrzęsł Białym Domem. Wewnątrz mauzoleum zginęły dwadzieścia dwie osoby, zaś kolejnych siedem na stopniach, gdzie terrorysta otworzył ogień z pistoletu. Ale to był dopiero początek.

Gabriel minął dwie nadwerężone kolumny i wszedł do północnej komnaty, gdzie Adrian Carter, wyciągając do góry głowę, czytał słowa drugiej inauguracyjnej mowy Lincolna. Opuścił wzrok na Gabriela i zmarszczył brwi.

- Widzę, że pogłoski były prawdziwe – rzekł na powitanie.
- Jakie pogłoski?
- Podobno składałeś wizytę w biurze Rousseau, kiedy wybuchła bomba.
- Mam kiepskie wyczucie czasu.
- To twoja specjalność.

Carter ponownie odwrócił się do ściany. Był w budrysówce, wymiętych chinosach i butach zdawałoby się przeznaczonych do marszu wśród lasów Nowej Anglii. Ze mierzwionymi przerzedzonymi włosami i niemodnym wąsem wyglądał na profesora prowincjonalnego uniwersytetu, który, będąc orędownikiem szlachetnych spraw, wciąż naraża się swemu dziekanowi.

W rzeczywistości pełnił funkcję szefa Dyrekcji Operacji i miał najdłuższy staż w historii CIA. Wezwanie Gabriela do Waszyngtonu stanowiło pogwałcenie protokołu, *ramsad* bowiem nigdy nie umawia się na spotkania z niższymi mu rangą. Adrian Carter jednak był przypadkiem szczególnym. Ów superszpieg i legenda agencji w mrocznych dniach po 11 września opracował plan zniszczenia Al-Kaidy i jej globalnej sieci. Tajne więzienia, polityka wydalania osób podejrzanych, zastrzone techniki przesłuchań – wszystko to nosiło ślady jego ręki. Przez piętnaście lat mógł odpowiadać nie tylko krytykom swych metod, lecz i samemu sobie, że mimo wielu grzechów zdołał uchronić amerykańską ojczyznę przed drugim spektakularnym aktem terroru. I oto w mgnieniu oka Saladyn zadał kłam jego słowom.

– Mój ojciec przywiózł mnie tutaj w sześćdziesiątym trzecim, żeby zobaczyć doktora Kinga – odezwał się po chwili. – Tata był pastorem Kościoła episkopalnego i działał w ruchu praw obywatelskich. – Zerknął na Gabriela. – Czy o tym wspominałem?

– Raz lub dwa.

– Pamiętam dumę z mojego kraju, która ogarnęła mnie tamtego dnia – ciągnął. – Czuję, że wszystko jest możliwe. I byłem równie dumny, kiedy wybraliśmy po raz pierwszy afroamerykańskiego prezydenta, mimo wszystkich paskudnych rzeczy, jakie

w trakcie kampanii powiedział o naszej agencji. W ciągu następnych lat wielokrotnie różniliśmy się opiniami, ale nigdy nie zapomniałem, co sobą reprezentował. Jego elekcja była cudem. I nigdy by nie nastąpiła, gdyby nie słowa, które tamtego dnia Martin Luther King wygłosił w tym miejscu. To nasza święta przestrzeń, miejsce największej czci. Dlatego nigdy nie wybaczę Saladynowi tego, co zrobił.

Odwrócił się od ściany i wolno ruszył do środkowej komnaty, by przystanąć u stóp Lincolna.

– Jesteś znawcą sztuki. Myślisz, że można to naprawić?

– Nie znam się na marmurze – odparł Gabriel. – Ale tak, niemal wszystko można naprawić.

– A co z moim krajem? – rzucił nagle Carter. – Czy to też jest możliwe?

– Wasze podziały są cienkie jak włos w stosunku do naszych. Ameryka odnajdzie swoją drogę.

– Czyżby? Nie jestem taki pewny. – Carter wziął go za rękę. – Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Georgetown, Waszyngton

Przechadzka szefa Biura i zastępcy dyrektora CIA po Waszyngtonie nie może zostać niezauważona nawet w godzinach przed świtem. Starali się więc, jak mogli, zachować anonimowość. Tylko jeden ochroniarz podążał za nimi ścieżką nad brzegiem Potomacu, zaś pozostali krążyli po orbicie we wnętrzu czarnych chevroletów suburbanów. Carter szedł wolnym krokiem, w zamyśleniu. Przynajmniej za to Gabriel był mu wdzięczny. Jego plecy przeszywał palący ból, którego nie mógł ukryć przed starym towarzyszem.

– Tak trudno to znieść? – Carter przyjrzał mu się ze współczuciem.

– Zapewniają, niestety, że będę żyć.

– Mam nadzieję, że lot ci nie zaszkodził.

– Dzięki gulfstreamowi jakoś wytrzymałem.

– To własność mojego kumpla Billa Blackburna – wyjaśnił Carter. – Służył kiedyś w Sekcji Zadań Specjalnych, ostry zawodnik. Działał głównie w Ameryce Centralnej, a po jedenastym września dał ostatni popis w Afganistanie. Teraz ma prywatną agencję wywiadu. Nazwał ją Black Ops.

– Sprytnie.

– Bo i jest cwany. Nieźle sobie radzi. Zlecam mu zadania, które wymagają szczególnej dyskrecji.

– Myślałem, że to moja specjalność.

– Bill i jego ludzie nie mają zahamowań – ciągnął Carter. – Oszczędzam cię dla bardziej finezyjnych spraw.

– Miło słyszeć, że ktoś nas docenia.

Przez chwilę szli w milczeniu. Miasto wokół nich budziło się do życia.

– Bill od lat mnie zadręcza, żebym do niego dołączył – podjął Carter. – Obiecuję siedmiocyfrową sumę już w pierwszym roku. Nie miałbym wielu zajęć. Facet chciałby skorzystać z moich kontaktów, żeby zapewnić sobie intratne zamówienia. Globalna walka z terroryzmem to niezły biznes dla wielu w tym mieście. Jestem jedynym idiotą, który nie zrobił na tym pieniędzy.

– Słyszysz z tego, Adrianie.

– Wzięłbyś taką robotę?

– Nigdy w życiu.

– Ani ja. Poza tym mam ważniejsze sprawy do załatwienia, zanim w Langley pokażą mi drzwi.

– Na przykład?

– Na przykład dorwać tego sukinsyna, który to zrobił.

Podniósł wzrok na Centrum Sztuki Kennedy’ego. Kilka minut po ataku na Mauzoleum Lincolna zamachowiec samobójca zdetonował ładunek wybuchowy w Hall of States. Następnie trzech terroryści metodycznie przeczesywali pozostałą część

kompleksu – teatr Eisenhowera, operę i salę koncertową – mordując wszystkich po drodze.

– Znałem dwie z tych ofiar – ciągnął. – Młodą parę, która mieszkała niedaleko mnie w Herndon. On był informatykiem, ona doradcą finansowym. Mieli przed sobą całe życie, perspektywy zawodowe, stabilne dochody i dwoje ślicznych dzieci. Teraz dom wystawiono na sprzedaż, a sieroty mieszkają z ciotką w Baltimore. Tak się kończy każdy nasz błąd. Giną ludzie. Mnóstwo ludzi.

– Zrobiliśmy wszystko, żeby powstrzymać tę rzeź, Adrianie.

– Mój nowy dyrektor sądzi inaczej. To twardy doktryner. Osobiście zawsze uważałem, że mieszanie ideologii z wywiadem jest niebezpieczne – mówił. – Mąci osąd i sprawia, że widzimy tylko to, co chcemy. Ale nowy szef jest innego zdania, podobnie jak młodzi entuzjaści, których wprowadził do agencji. Uważają mnie za oferę, co w ich świecie jest najgorszą z możliwych obelg. Kiedy domagam się operacyjnej ostrożności, oskarżają mnie o słabość, a kiedy przedstawiam opinię niezgodną z ich poglądem, zarzucają mi nielojalność.

– Wybory władz mają swoje konsekwencje... – Gabriel pokiwał głową.

– Podobnie jak zamachy na Amerykę. Oczywiście wszystko to jest moją winą, pomijając fakt, że powtarzałem każdemu, kto tylko chciał słuchać, że ISIS szykuje się do naprawdę silnego uderzenia. Mówi się, że jestem skończony.

– Jak myślisz, ile zostało ci czasu?

– Kilka tygodni, może mniej. Chyba że – dodał cicho – dokonam czegoś, co całkowicie zmieni sytuację.

Dopiero w tej chwili Gabriel zrozumiał, dlaczego Carter wysłał po niego prywatnego gulfstreama, który należał do współpracownika agencji, Billa Blackburna.

– Czy twój dyrektor wie, że tu jestem?

– Chyba zapomniałem mu o tym wspomnieć.

Dotarli do przystani żeglarskiej, przeszli przez kładkę nad Rock Creek i mijając ambasadę szwedzką, weszli na teren Harbor Place. Być może nieprzypadkowo była to ta sama trasa, którą obrali trzej zabójcy ISIS po opuszczeniu Centrum Kennedy'ego. Świadectwa ich morderczego dzieła wciąż były tu żywe. Popularny lokal turystyczny Nick's Riverside Grill stał zamknięty na głucho aż do odwołania, podobnie jak nieco dalsza Sequoia i Fiola Mare.

– Jak twój kręgosłup? Wytrzymasz jeszcze trochę? – zaniepokoił się Carter, gdy przechodzili przez K Street poniżej autostrady Whitehurst.

– Zależy, jak długo chcesz mnie ciągać.

– Niedługo. Chcę ci pokazać jeszcze tylko jedno.

Skęcili w Wisconsin Avenue i wspięli się po zboczu na M Street. Przecnicę dalej na północ biegła Prospect Street. Weszli za róg i po kilku krokach stanęli przed wejściem do Café Milano. Podobnie jak restauracje w Harbor Place była zamknięta. W tym miejscu zginęło czterdzieści dziewięć osób, a liczba ofiar byłaby znacznie większa, gdyby nie Michaił Abramow, który w pojedynkę zdołał zabić czterech terrorystów. Ale ta restauracja zasługiwała na uwagę z jeszcze jednego powodu. Był to bowiem jedyny z obiektów zamachu, w którym Saladyn pojawił się osobiście.

– To dość tragiczny symbol naszego długiego partnerstwa – zauważył Carter. – Michaił uratował tego wieczoru wielu ludzi. Ale nigdy by do tego wszystkiego nie doszło, gdybym wziął na serio twoją informację i zajął się mężczyzną, którego widziałeś w holu Four Seasons.

– Wiesz, co się mówi o spóźnionych żalach, Adrianie.

– Owszem, zawsze uważałem je za dowód klęski.

Carter obrócił się bez słowa i poprowadził Gabriela do centrum mieszkalnej dzielnicy Georgetown. Okolica budziła się do życia. W kuchennych oknach zapalały się światła, a psy ciągnęły zaspanych właścicieli po chodnikach z czerwonej kostki. W końcu stanęli przed okrągłymi schodami dużego budynku w stylu federalnym przy N Street. Był to najbardziej ekskluzywny z konspiracyjnych lokali agencji. Ale wewnątrz dostojnej starej budowli panował lodowaty ziąb – kolejny dowód, że spotkanie w Waszyngtonie miało charakter prywatny.

– Czy ktoś tu zapomniał zapłacić za prąd? – zaciekawiał się Gabriel.

– Nowe obyczaje. Agencja jest teraz proekologiczna. Zaproponowałbym ci kawę, ale...

– Nie szkodzi, Adrianie. Naprawdę powinienem już wracać.

– Nagłace sprawy w domu?

– Praca szefa nigdy się nie kończy.

– Jakbym nie wiedział. – Carter podszedł do termostatu i ze zdziwieniem przyjrzał się skali.

– Mam nadzieję, że nie ciągnąłeś mnie do Waszyngtonu po to, żeby przejść szlakiem tych koszmarnych wydarzeń. Byłem tutaj, pamiętasz? Wprowadziłem agentkę do operacji Saladyna.

– Mistrzowskie posunięcie... – potwierdził Carter. – Tyle że nic nie dało. Saladyn w końcu wygrał. A wiem, jak nie znosisz przegrywać, i to z kimś takim jak on.

– Do czego zmierzasz?

– Chodzą słuchy, że pichcisz coś z Francuzami. I że nie jest to *coq au vin*. Podobno chodzi o Saladyna. Chciałem ci przypomnieć, że to mój kraj, nie twój, padł ofiarą zamachu w listopadzie. I jeśli ktoś ma go dopaść, to przede wszystkim ja.

– Nie prowadzicie żadnych działań?

– Na kilku frontach.

– Są rezultaty?

– Żadnych. A ty?

Gabriel milczał.

– Nigdy się nie wahałem przed rozbiciem przymierzy operacyjnych – ostrzegł Carter. – Wystarczy jeden telefon do szefa DGSI i przejmę kierownictwo.

– On nic o tym nie wie.

– A więc musi to być niezły plan.

– Musi – zgodził się Gabriel.

– Może mógłbym się włączyć?

– I w ten sposób zachować kierownictwo Dyrekcji Operacji?

– To oczywiste.

- Doceniam twoją szczerłość, Adrianie. To krzepiące w takiej pracy jak nasza.
- Straszne czasy. – Carter rozłożył ręce.
- Czego potrzebujesz, żeby utrzymać pozycję?
- W tym momencie nic mniejszego niż sprawa Saladyna nie zdoła mnie uchronić.
- W takim razie myślę – odparł Gabriel – że mógłbym ci pomóc.

Rozmawiali w salonie zawinięci w płaszcze, bez przerwy na przekąskę. Przedstawiona przez Gabriela wersja dotychczasowych działań operacyjnych, choć skrótowa, nie pomijała niczego istotnego. Carter nawet nie mrugnął na wzmiankę o Jean-Lucu Martelu. Żył w realnym świecie. Zaproponował wszelką możliwą pomoc, głównie w postaci monitoringu cyfrowego i elektronicznego, co stanowiło mocną stronę amerykańskiego wywiadu. W zamian Gabriel pozwolił mu poinformować Langley o swojej operacji i przedstawić ją na siódmym piętrze kwatery CIA jako wspólne przedsięwzięcie Agencji i przyjaciół z Tel Awiwu. Z jego punktu widzenia była to cena wysoka i niepozbawiona ryzyka. Ale skoro miała utrzymać Cartera na stanowisku, warta była swej wagi w złocie.

Opuścili budynek wkrótce po ósmej rano i pojechali na lotnisko Dullesa, gdzie zatankowany gulfstream Billa Blackburna czekał gotów do odlotu. Załoga zdążyła już wypełnić plan lotu, wskazując Ben Guriona jako port docelowy. Tymczasem po wejściu na pokład Gabriel poprosił, by zawieziono go do Londynu. Wyciągnął się na łóżku w zamkniętej kabinie i zapadł w sen bez snów. Po raz pierwszy od wielu dni ogarnął go spokój. Miał okazję zapewnić staremu przyjacielowi dostatnią przyszłość. Przynajmniej tyle mógł zrobić.

Mayfair, Londyn

Julian Isherwood miał wiele wad, ale skąpstwo było mu obce. W gruncie rzeczy zarówno w interesach, jak i w życiu prywatnym dość swobodnie rozporządzał pieniędzmi. Kupił aż zbyt wiele obrazów, które należało zignorować – mówiono, że jego kolekcja profesjonalna i osobista może rywalizować ze zbiorami samej królowej – a każdego wieczoru w barze Wilton's jego karta kredytowa lądowała na tacy na datki. Trudno się zatem dziwić, że jego finanse znajdowały się w opłakanym stanie. A ostatnio wręcz katastrofalnym. Jego ponury księgowy o stosownym nazwisku Blunt sugerował błyskawiczną wyprzedaż wszystkich możliwych aktywów w połączeniu z ostrą redukcją wydatków. Isherwood się opierał. Twierdził, że większość jego zbiorów to prace drugorzędne. Niewarte funta kłaków. Złamanego szeląga. Doprawdy nic. A jeśli chodzi o ograniczenia wydatków, no cóż, to już zupełnie nie wchodziło w grę. Przecież w końcu trzeba jakoś żyć, zwłaszcza będąc człowiekiem w jego wieku. Ponadto czyny, których dokonał podczas ataku terrorystów, napełniły go wiarą w siebie. Jeśli taki lekkoduch jak on, Julian Isherwood, mógł dla innych ryzykować własne życie, to już nie ma rzeczy niemożliwych.

Powodowany nadzieją na pomyślną odmianę losu późnym popołudniem przyjął w swej galerii przy Mason's Yard dyrektora małego, lecz cenionego muzeum na środkowym zachodzie Stanów. Brady Boswell cieszył się uzasadnioną opinią oglądacza, który niemal nigdy nic nie kupował. Przez blisko dwie godziny obmacywał kolekcję Juliana, nim w końcu wyznał, że jego budżet jest w gorszym stanie niż konto Isherwooda, i nie pokryje nawet kosztu wykładzin na podłogę w muzeum, a co dopiero obrazów na ściany. Isherwooda kusilo, by powiedzieć, że jeśli znów zechce obejrzeć w Londynie starych mistrzów, powinien się raczej wybrać do National Gallery. Niemniej przyjął zaproszenie Amerykanina na kolację choćby tylko po to, by nie spędzić kolejnego wieczoru na słuchaniu, jak tłusty Oliver Dimbleby opisuje swe ostatnie podboje seksualne.

Boswell zaproponował restaurację Alain Ducasse w hotelu Dorchester, a Isherwood, z braku innych pomysłów, wyraził na to zgodę. Raczyli się krabem z Dorset i solą z Dover, popijając dwoma butelkami Domaine Billaud-Simon Les Clos grand cru Chablis. Boswell przez większość wieczoru lamentował nad opłakaną polityką swego kraju. Isherwood uważnie go słuchał, choć zastanawiał się w duchu, dlaczego świątli Amerykanie zawsze muszą walić w swój kraj, gdy tylko się pojawią w starej ojczyźnie.

– Myślę o wyjeździe. – Boswell aż prychnął z oburzenia. – Jak wszyscy.

– Wszyscy?

– No, może nie wszyscy. Tylko tacy jak ja.

Tylko śmiertelni nudziarze. Ameryka, pomyślał Isherwood, wkrótce stanie się znacznie bardziej interesująca.

– I dokąd się wybierasz?

- Mam prawo do irlandzkiego obywatelstwa.
- Irlandia? Wielkie nieba!
- Mógłbym również kupić coś tu, w Anglii, aż wszystko to minie.
- Mamy tutaj własne problemy. Lepiej się nie narażaj.

Myśl, że współczesna Anglia może nie być kulturalnym rajem, wręcz zszokowała Brady'ego Boswella. Był jednym z Amerykanów, których poglądy na życie w Zjednoczonym Królestwie opierały się na powtórkach seriali telewizyjnych.

- Te zamachy terrorystyczne są straszne – westchnął.
- Owszem – odparł zdawkowo Isherwood.
- Miałem nadzieję, że obejrzę coś na West Endzie, gdy tu będę, ale nie jestem pewny, czy to bezpieczne.
- Nonsens.
- Może teraz koniak?
- Czemu nie?

Boswell zamówił najdroższy gatunek w karcie, a gdy dostał rachunek, przybrał typową dla Olivera Dimbleby'ego minę bezgranicznego zdumienia.

– Z kim się jutro spotykasz? – spytał Isherwood, dyskretnie wsuwając swoją kartę kredytową do czytnika w nadziei, że nie ulegnie w nim automatycznej autodestrukcji.

– Rano z Jeremym Crabbe'em, a po południu z Roddym Hutchinsonem. Ufam, że im nie zdradzisz, jak skromne mam fundusze. Nie chciałbym, żeby myśleli, że nie gram fair.

- Możesz być spokojny, twój sekret jest bezpieczny.

Ale w rzeczywistości nie był. Isherwood zamierzał już z rana zadzwonić do Roddy'ego i poradzić mu, by padł ofiarą nagłego ataku malarii. W przeciwnym razie jako następny opłaci rachunek za wyżywienie Boswella.

Gdy wyszli na zewnątrz, Isherwood podziękował mu za wieczór, który był najcięższą próbą od czasu jego heroicznego wyczynów w Ivy. Potem wsadził Amerykanina – który zatrzymał się w jakimś tanim hoteliku przy Russell Square – do taksówki i odetchnął z ulgą. Następną taksówka już czekała. Podał kierowcy adres swojego domu w Kensington i wsunął się na tylne siedzenie. Ale gdy skręcili w Park Lane, poczuł na piersi wibracje komórki. Przypuszczał, że to konwencjonalne podziękowanie od Boswella i przez chwilę zamierzał zignorować wiadomość.

W końcu jednak wyciągnął telefon i zerknął na ekran. Tekst był zwięzły, brzmiał bardziej jak rozkaz niż prośba i nie ujawniał nadawcy. Dlatego mógł pochodzić tylko od jednej osoby. Isherwood się uśmiechnął. Wieczór zaczyna się zapowiadać znacznie bardziej interesująco.

- Zmiana planów – poinformował kierowcę. – Jedziemy na Mason's Yard.

Galeria Isherwoda zajmowała trzy piętra podupadłej wiktoriańskiej hurtowni, która ongiś należała do Fortnum & Mason. Po jednej stronie znajdowały się biura niewielkiej greckiej spółki żeglugowej, a po drugiej pub. Jadały tam śliczne dziewczęta z biur, jeżdżące na skuterach. Drzwi z kuloodpornego szkła, zabezpieczone trzema najbardziej nowoczesnymi zamkami, stały otworem, zaledwie ich dotknął.

- Niech to diabli – szepnął, nieruchomiejąc.

Ograniczona przestrzeń zmusiła Isherwooda do pionowej aranżacji swojego imperium. Magazyny były na parterze, biura na pierwszym piętrze, a na drugim wspaniała sala wystawowa zaprojektowana na wzór słynnej paryskiej galerii Paula Rosenberga, gdzie spędził jako dziecko wiele szczęśliwych godzin. Cicho wszedł i sięgnął ręką do przełącznika.

– Nie! – odezwał się głos z drugiego końca sali. – Zostaw tak, jak jest.

Isherwood niepewnie ruszył w przód, omijając po omacku muzealną otomanę, i po chwili stanął obok mężczyzny, który – jak mogłoby się wydawać – kontemlował wielki krajobraz pędzla Claude’a. Podobnie jak obraz, mężczyzna tonął w mroku, ale jego zielone oczy utkwione w Isherwoodzie jaśniały, jakby czerpały z wewnętrznego źródła energii.

– Zaczynałem się już zastanawiać – odezwał się Gabriel – czy ta wasza kolacja kiedykolwiek się skończy.

– Podobnie jak i ja – odparł ponuro Isherwood. – Czy mógłbyś mi zdradzić, jak się tu dostałeś?

– Może przypominasz sobie, że to my zakładaliśmy twój system alarmowy?

Istotnie tak było. Isherwood przypomniał sobie jeszcze, że ów system został znacznie udoskonalony po operacji związanej z rosyjskim handlarzem broni o nazwisku Charkow.

– Gratulacje, Julianie. Moi koledzy z wywiadu brytyjskiego mówią, że tamtej nocy zachowałeś się jak bohater.

– Ach, to... – Isherwood lekceważąco machnął ręką.

– Nie bądź taki skromny. Odwaga ostatnio jest rzadkością. I pomyśleć, żebyś jej nie wykazał, gdyby ta ślicznotka cię nie wykiwała.

– Fiona? Jak się, u diabła, dowiedziałeś?

– Brytyjczycy przekazali mi kopię wiadomości, którą ci wysłała, kiedy siedziałeś w restauracji.

– Nie ma już nic świętego?

– Pokazali mi również kilka minut nagrania z ulicznych kamer – ciągnął Gabriel. – Jestem z ciebie dumny, Julianie. Ocaliłeś tego wieczoru wiele istnień ludzkich.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądałem. Podstarzały Don Kichot w walce z wiatrakami.

Nad ich głowami nocny deszcz bębnił w świetlik.

– No więc co cię sprowadza do miasta? – spytał Isherwood. – Interes czy rozrywka?

– Nie mam rozrywek, Julianie. W każdym razie już nie.

– No to jest nas dwóch.

– Aż tak źle?

– Posucha w interesie, mówiąc najogólniej.

– Jak duża?

– Jak Sahara – odparł Isherwood.

– Może mógłbym zesłać trochę deszczu.

– Mam nadzieję, że to nie jest niebezpieczne. Nie wiem, czy zniósłbym więcej wrażeń.

– Nie, Julianie, to zupełnie co innego. Potrzebuję doradcy dla przyjaciela, który pragnie stworzyć własną kolekcję.

– Izraelczyk?

– Prawdę mówiąc, Rosjanin.

– Na Boga! Skąd wziął forszę?

– Nie lubi o tym mówić.

– Rozumiem. – Isherwood pokiwał głową. – Ale nie ma to nic wspólnego z tymi wszystkimi bombami, które ostatnio wybuchły?

– Może mieć.

– A jeśli się zgodzę na to doradztwo?

– Obowiązują standardowe warunki takich usług.

– Chcesz przez to powiedzieć, że będę mógł pobierać opłatę za każdy obraz, który zarekomenduję?

– W gruncie rzeczy – odrzekł Gabriel – możesz z niego ciągnąć, ile zechcesz. Nie zwróci na to uwagi.

– Ten twój człowiek lubi starych mistrzów?

– Uwielbia, ale ceni również sztukę współczesną.

– To mu nie uwłacza. Ile gotów jest wydać?

– Dwieście – odparł Gabriel. – Może trzysta.

Isherwood zmarszczył brwi.

– Nie zda się to na wiele.

– Milionów, Julianie. Mówię o milionach.

– Dwa razy po sto milionów? – powtórzył Isherwood.

– Może trzy.

– Trzy jest na pewno lepsze niż dwa.

Gabriel wzruszył ramionami.

– No to niech będzie trzy.

Londyn – Genewa

Nazajutrz rano o ósmej trzydzieści Saladyn znów uderzył. Celem była centralna stacja kolejowa w Antwerpii. Dwaj zamachowcy samobójcy i dwaj uzbrojeni terroryści zabili sześćdziesiąt dziewięć osób. Gabriel był w tym czasie na londyńskim dworcu St. Pancras, czekając na Eurostar do Paryża. Pociąg odjechał z czterdziestominutowym opóźnieniem, ale przyczyny nie podano. Wyglądało na to, że Saladyn zdołał wprowadzić w Europie Zachodniej nowe kryteria normalności.

– Jeśli się nie zatrzyma – zauważył Christian Bouchard – to wkrótce zabraknie mu celów.

Odebrał Gabriela w hali przyjazdów na Gard du Nord. Teraz siedział za kierownicą służbowego Citroëna Grupy Alfa, mknąc na wschód bulwarem de la Chapelle. Obrażenia, których doznał w zamachu przy rue de Grenelle, nie zostawiły widocznych śladów. Jeśli już, to przystojny Francuz wyglądał lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

– Przy okazji – dodał – chciałbym przeprosić za moje zachowanie na chwilę przed eksplozją. Pocieszam się tylko, że nie było to ostatnie wrażenie, jakie wywarłem.

– Szczerze mówiąc, Christianie, nie pamiętam nawet, że cię widziałem tamtego dnia.

Bouchard uśmiechnął się mimo woli.

– Dokąd mnie wiesz?

– Do kryjówki w Dwudziestej Dzielnicy.

– Nie znaleźliście dotąd nowej siedziby?

– Jeszcze nie. Jesteśmy trochę jak starożytni Izraelici – odrzekł Bouchard. – Rozproszeni na cztery strony świata.

Lokal znajdował się w nowoczesnym bloku mieszkalnym nieopodal supermarketu z kosztownymi produktami. Paul Rousseau, siedząc w kuchni za tanim stołem pokrytym ceratą, nie wyjmował fajki z ust, gdy Gabriel mówił. Rousseau miał powody do niepokoju. Dopuścił obcy wywiad do sprawy znanego francuskiego biznesmena, a teraz spożywał owoc z zatrutego drzewa. Krótka mówiąc, balansował na cienkiej linie.

– Nie cieszę mnie ci Amerykanie. Mam wrażenie, że ostatnio zajmują się wyłącznie fuzjami i przejęciami.

– Zrobiłem to z jednego jedyne powodu.

– Mimo to... – Rousseau z namysłem przygryzł ustnik fajki. – Jaką masz pewność co do tej galerii?

– Do wieczora powinienem wiedzieć więcej.

– Bo jeśli zdołasz dowieść, że to brudny...

– O to mi przecież chodzi, Paul.

– Kiedy chcesz zacząć operację?

– Gdy tylko dostanę konieczne fundusze – odparł Gabriel.

– Czego jeszcze od nas oczekujesz?

- Jakiej nieruchomości w pobliżu Saint-Tropez.
- Jest wiele na wynajem, zwłaszcza o tej porze roku.
- Prawdę mówiąc, nie chodzi o wynajem.
- Chcesz kupić posiadłość?

Gabriel skinął twierdząco głową.

- Właściwie – dodał – to mam już coś na oku.
- Co takiego?

Gdy odpowiedział, Rousseau spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Ta, która należała do...
- Owszem, ta.
- Jest zamrożona.
- No to ją odmroź. Wierz mi, sprawię, żeby to się opłaciło. Francuscy podatnicy będą mi wdzięczni.

- Ile gotów jesteś zaoferować?
- Jakieś dwanaście milionów powinno wystarczyć – odparł Gabriel, patrząc w sufit.

- Ta willa z pewnością podupadła i wymaga gruntownego remontu.
- Zamierzamy to zrobić.
- W Prowansji? – Rousseau potrząsnął głową. – Życzę powodzenia.

Pięć minut później, po sprawdzeniu kilku prozaicznych szczegółów operacyjnych, Gabriel znowu siedział w fotelu pasażera w citroënie Boucharda. Tym razem jechali z Dwudziestej do Dwunastej Dzielnicy i zatrzymali się przy bulwarze Diderota przed Gare de Lyon. Dworzec wyglądał jakby był obleżony przez wojsko, podobnie jak wszystkie inne stacje kolejowe we Francji.

- Na pewno chcesz tam wejść? – spytał Bouchard. – Mogę ci załatwić samochód, jeśli wolisz.
- Poradzę sobie.

Przed wejściem na dworzec ciągnęły się długie kolejki, a uzbrojona po zęby policja przeszukiwała torebki i walizki, z reguły przesłuchując młodych mężczyzn o choć w przybliżeniu arabskiej powierzchowności.

Nowe kryteria normalności, ponownie pomyślał Gabriel, gdy w końcu go wpuszczono do wysokiej hali odjazdów. Słynny zegar wskazywał godzinę piętnastą pięć. Pociąg wjeżdżał na tor D. Jak *dalet*, czwarta litera hebrajskiego alfabetu, która oznacza też drzwi. Nie potrafił oprzeć się skojarzeniu. Dlaczego właśnie ten? Nie mogli wybrać innego?

Ruszył przez peron do wagonów pierwszej klasy i usiadł w wyznaczonym miejscu. Dopiero gdy wspomnienia odpłynęły w dal, wyciągnął komórkę. Numer, który wybrał, połączył go z Bernem. Jakiś męski głos odpowiedział po niemiecku w szwajcarskim dialekcie, Gabriel natomiast zwrócił się do niego z berlińskim akcentem swojej matki.

- Jestem w drodze do waszego pięknego kraju i zastanawiam się, czy mógłbyś mi pokazać coś ciekawego.

Nastąpiła cisza, jakby ktoś wciągnął powietrze, po czym je wypuścił.

- O której tu będziesz?

- Szósta piętnaście.
- Czym jedziesz?
- TGV z Paryża.
- O co chodzi tym razem?
- O to samo, co poprzednio. Rzut oka, tylko tyle.
- Na pewno nic nie wybuchnie?

Gabriel zakończył rozmowę i patrzył, jak platforma peronu z wolna umyka za oknem. Znowu napłynęły wspomnienia. Ujrzał zeszpeconą bliznami, przedwcześnie osiwiałą kobietę na wózku inwalidzkim oraz mężczyznę, który biegł jak szalenciec w jej stronę z pistoletem w dłoni. Zamknął oczy i silnie ścisnął oparcie, by opanować drżenie ręki. Poradzę sobie, myślał.

NDB, szwajcarskie służby wywiadowcze, podobnie jak sama Szwajcaria były małe, lecz sprawne. Ze swej siedziby w ponurym biurowcu w Bernie nadzorowały bezpieczeństwo kraju, nie dopuszczając wielu problemów rozpasanego świata na terytorium Konfederacji Szwajcarskiej. Szpiegowały szpiegów, którzy uprawiali swój fach na szwajcarskiej ziemi, obserwowały cudzoziemców, którzy ukrywali pieniądze w szwajcarskich bankach i monitorowali aktywność rosnącej liczby muzułmanów, którzy znaleźli w Szwajcarii swój dom. Do tej pory nie dotknął tego kraju żaden poważny atak terrorystyczny ze strony ugrupowań podobnych Al-Kaidzie czy ISIS. Nie działa się to jednak przypadkiem. Christopher Bittel, szef sekcji antyterrorystycznej NDB, był naprawdę znakomitym fachowcem.

Był też punktualny jak szwajcarski zegarek. Wysoki i smukły, stał oparty na masce niemieckiego sedana, gdy Gabriel wyłonił się z Gare de Cornavin w Genewie o osiemnastej trzydzieści. Tajny szwajcarski policjant zmarszczył brwi. W Szwajcarii osiemnasta piętnaście to osiemnasta piętnaście.

- Znasz przynajmniej adres tej skrytki?
- Budynek numer trzy, korytarz numer osiem, skrytka dziewiętnaście.
- Kto ją wynajmuje?
- Ma to nazwę TXM Capital, ale przypuszczam, że rzeczywistym najemcą jest

JLM.

- Jean-Luc Martel?
- We własnej osobie.

Bittel cicho zaklął.

– Nie chcę żadnych kłopotów z Francuzami. Potrzebuję DGSI do ochrony mojej zachodniej flanki.

– Nie martw się o Francuzów. A co do zachodniej flanki, to nie byłbym zbyt spokojny.

- Czy to prawda, co mówią o Martelu? Że po uszy siedzi w narkotykach?
- Wkrótce się dowiemy.

Minęli Ren, a po chwili zielonkawę wody Aar. W południowej części Genewy znajdowała się dzielnica rzadko odwiedzana przez turystów. Był to teren schludnych magazynów i niskich budynków biurowych, a także siedziba tajemniczej genewskiej strefy wolnocłowej, gdzie globalni bogacze przechowują aktywa wszelkiego rodzaju –

sztaby złota, biżuterię, bezcenne roczniki win, samochody i, oczywiście, dzieła sztuki. Nie były to jednak dzieła, które można oglądać i podziwiać. Pozostając w ukryciu, miały tylko wartość handlową, stanowiły zabezpieczenie w niepewnych czasach.

– Od kiedy byliśmy tu ostatni raz, wiele się zmieniło – powiedział Bittel. – Ostatnią kroplą, która przelała czarę, był skandal z Modiglianem, tym skradzionym przez Niemców podczas drugiej wojny światowej. Wielu kolekcjonerów wycofało potem swoje zbiory i przeniosło je do takich miejsc jak Delaware i Londyn. Władze kantonu wyznaczyły nowego dyrektora zarządzającego strefą. To były szwajcarski minister finansów, służbista zbzikowany na punkcie litery prawa.

– Może mimo wszystko jest jeszcze dla was nadzieja.

– Pomińmy tę część – odrzekł Bittel. – Wolę, żebyśmy byli po tej samej stronie.

Z prawej strony wyłonił się rząd bezkształtnych białych zabudowań, otoczony pełnym ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym i zabezpieczony kamerami monitoringu. Można by pomyśleć, że to więzienie, gdyby nie czerwono-biały znak z napisem Ports Francs. Bittel skręcił do wejścia i czekał, aż otworzy się brama. Potem znów ruszył i wjechał na teren strefy.

– Budynek numer trzy, korytarz osiem, sejf dziewiętnaście.

– Bardzo dobrze – potwierdził Gabriel.

– Chyba nie ma tam narkotyków, co?

– Nie.

– Skąd ta pewność?

– Bo dilerzy nie chowają towaru w bezpiecznych magazynach bezcłowych, tylko sprzedają idiotom, którzy go palą, wdychają i wstrzykują sobie w żyły. Tak się robi pieniądze.

Bittel wszedł do biura ochrony. Przez półzasunięte żaluzje Gabriel widział, że poufale rozmawia z atrakcyjną brunetką, najwyraźniej nie w dialekcie niemieckim, lecz francuskim. Na koniec nastąpiło kilka gorących zapewnień i gestów aprobaty. Po czym klucz przeszedł z rąk do rąk. Bittel wrócił do samochodu i siadł za kierownicą.

– Jesteś pewien, że nic was nie łączy? – Gabriel spojrzał na niego z ukosa.

– Tylko znów nie zaczynaj.

– Może byś mnie przedstawił? Oszczędziłoby ci to wypraw do Berna za każdym razem, kiedy chcę sprawdzić schowek jakiegoś kryminalisty.

– Obecny system zupełnie mi odpowiada.

Bittel zaparkował przed budynkiem numer trzy i wprowadził Gabriela do środka. Od wejścia ciągnął się korytarz z niekończącym się szeregiem drzwi. Weszli po schodach na drugą kondygnację i skierowali się w stronę korytarza numer osiem. Drzwi do sejfu dziewiętnaście zrobione były z szarego metalu. Bittel wsunął klucz w zamek i wchodząc, zapalił światło.

Znaleźli się w przestrzeni podzielonej na dwa pomieszczenia. Wypełniały je płaskie prostokątne skrzynie z drewna, jakich używa się do transportu cennych dzieł sztuki. Wszystkie o tych samych rozmiarach, metr osiemdziesiąt na metr dwadzieścia.

– Tylko nie to! – jęknął Bittel.

– Nie – powtórzył Gabriel. – Tylko nie to.

Obejrzał jedną ze skrzyń. Dołączony do niej list przewozowy wskazywał jako nadawcę galerię Olivii Watson w Saint-Tropez. Gabriel szarpnął wiekiem, ale nawet nie drgnęło, mocno przybite gwoździami.

- Nie masz w tylnej kieszeni młotka do wyciągania gwoździ?
- Wybacz.
- A klucz do kół?
- Może znajdę coś w bagażniku.

Gdy Bittel wyszedł, Gabriel przyjrzał się pozostałym skrzyniom. Zliczył czterdzieści osiem. Wszystkie pochodziły z galerii Olivii Watson. Adresatem dwudziestu siedmiu była firma TXM Capital. Pozostali odbiorcy mieli podobne nazwy – z gatunku tych, myślał, jakie wymyślają chytry prawnicy i prywatni doradcy bankowi.

Bittel wrócił z kluczem, którego Gabriel użył do podważenia wieka pierwszej skrzyni. Robił to powoli i delikatnie, chcąc zostawić na drewnie jak najmniej śladów. Zawartość wyglądała na obraz owinięty w papier pergaminowy i zabezpieczony ramą z poliuretanu. Wszystko sprawiało nader profesjonalne wrażenie z wyjątkiem samego płótna.

- Cóż za nowoczesność – orzekł Bittel.
- Trudno oceniać gusta – odparł Gabriel.

Otworzył następną skrzynię. Zawartość była identyczna. Podobnie jak zawartość trzeciej. I czwartej. Płótna w pergaminowym papierze, zabezpieczone ramą z poliuretanu. Wszystko bardzo profesjonalne oprócz samych płócien.

Te były bowiem puste.

- Mógłbyś mnie oświecić, co to znaczy? – Bittel nic nie rozumiał.
- To znaczy, że Jean-Luc Martel czerpie dochody z narkotyków, a galerię przyjaciółki wykorzystuje do legalizacji zysków.
- Tego tylko nam tu potrzeba. Kolejnego skandalu w Ports Francs.
- Nie martw się, Christoph. To będzie nasz mały sekret.

Tel Awiw – Saint-Tropez

Pozostawały jeszcze pieniądze. Miały służyć wprowadzeniu operacji Gabriela w życie. Jakieś dwieście lub trzysta milionów, by stworzyć efektowną kolekcję dzieł sztuki. Ze dwanaście milionów na luksusową rezydencję na francuskim Lazurowym Wybrzeżu i plus minus pięć, by stosownie ją urządzić. No i jeszcze fundusz na drobne wydatki – samochody, biżuterię, restauracje, podróże prywatnym samolotem i wystawne przyjęcia. Gabriel zsumował wszystko w pamięci, doliczając na wszelki wypadek jeszcze dwadzieścia milionów. Operacje, podobnie jak życie, bywają nieprzewidywalne.

– To mnóstwo forsy – zauważył premier.

– Pół miliarda znaczy mniej niż kiedyś.

– Gdzie jest ten bank?

– Mamy kilka możliwości, ale najlepszą wydaje się Narodowy Bank Panamy. Kompleksowa usługa – wyjaśnił Gabriel – i niewielkie ryzyko odwetu, zwłaszcza po skandalu kwitów z Panamy. Mimo to dla kamuflażu zatknijemy kilka fałszywych flag.

– Kogo zamierzacie obciążyć?

– Koreę Północną.

– Dlaczego nie Iran?

– Następnym razem – obiecał Gabriel.

Docelowe fundusze zdeponowano na ośmiu różnych rachunkach bankowych należących do jednej fasadowej korporacji inwestycyjnej. Stanowiły część potężnej fortuny zagrabionej swemu państwu przez przywódcę Syrii, jego najbliższych współpracowników i krewnych. Krótco przed objęciem funkcji szefa Biura Gabriel wytropił i następnie przejął lwią część tych kwot, by ograniczyć mordercze działania dyktatora podczas wojny cywilnej w Syrii. Został jednak zmuszony do zwrotu ponad ośmiu miliardów dolarów w zamian za jedno ludzkie życie. Zapłacił okup bez żalu, twierdząc, że była to najlepsza transakcja, jakiej kiedykolwiek dokonał. Ale mimo to szukał powodu, jakiegokolwiek, by mieć ostatnie słowo. Odnalezienie Saladyna było najlepszym z możliwych.

Gabriel nie oddał owych ośmiu miliardów bezpośrednio syryjskiemu przywódcy. Zdeponował je zgodnie z instrukcją w moskiewskim Gazprombanku, przekazując tym samym do dyspozycji rosyjskiego cara, sprzymierzeńca i dobroczyńcy syryjskiego dyktatora. Car połowę tej kwoty zachował dla siebie – na pokrycie kosztów administracyjnych, spedycyjnych i manipulacyjnych. Pozostałe fundusze, nieco poniżej czterech miliardów dolarów, zostały ukryte na tajnych kontach w Szwajcarii, Luksemburgu, Lichtensteinie, Dubaju, Hongkongu i, oczywiście, w Narodowym Banku Panamy.

Gabriel wiedział o tym, gdyż z pomocą supertajnej jednostki hakerów komputerowych obserwował każdy ruch na tych kontach. Jednostka nie posiadała oficjalnej nazwy, gdyż oficjalnie nie istniała. Ci, którym składała raporty, zwali ją

Minianem, składała się bowiem z dziesięciu członków wyłącznie płci męskiej. Dotknięciem komputerowej klawiatury potrafili zaciemnić miasto, zakłócić sieć kontroli ruchu lotniczego lub wprowadzić w niekontrolowane obroty wirówki w irańskich zakładach jądrowych. Krótko mówiąc, potrafili obrócić twory technologii przeciwko ich twórcom. Prywatnie Uzi Navot widział w Minianie dziesięć solidnych powodów, dla których nikt o zdrowych zmysłach nigdy nie powinien używać komputera ani telefonu komórkowego.

Minian zajmował pokój znajdujący się nieco dalej w głębi tego samego korytarza, w którym zespół Gabriela dokonywał ostatnich korekt planu operacji. Nominalny lider hakerów, młodzieniec o imieniu Ilan, był cybernetycznym odpowiednikiem Mozarta. Pierwszy kod komputerowy złamał w wieku pięciu lat, pierwszy raz włamał się do sieci, mając lat osiem, a pierwszą tajną operację skierowaną przeciw Irańczykom podjął w wieku dwudziestu jeden lat. Był chudy jak szczapa i miał niezdrową bladą cerę człowieka, który nigdy nie widzi słońca.

– Wystarczy tylko nacisnąć klawisz – oznajmił z figlarnym uśmiechem – i bęc... forsa zniknie.

– Nie zostawiając żadnych śladów?

– Tylko północnokoreańskie.

– I w żaden sposób nie zdołają prześledzić transferu z banku w Panamie do HSBC w Paryżu?

– W żaden.

– Przypomnij mi – mruknął Gabriel – żebyś trzymał pieniądze pod materacem.

– Proszę trzymać swoje pieniądze pod materacem.

– To było stwierdzenie retoryczne, Ilan. Wolałbym jednak, żebyś nie ty mi o tym przypominał.

– Uhm.

– Powinieneś co jakiś czas wychodzić na prawdziwy świat.

– Ależ ja jestem w prawdziwym świecie.

Gabriel skierował spojrzenie na ekran komputera. Ilan też nie odrywał od niego wzroku.

– No więc? – Gabriel patrzył na niego pytająco.

– Co?

– Na co jeszcze czekasz?

– Na autoryzację, żeby ukraść pół miliarda dolarów.

– To nie jest kradzież.

– Wątpię, żeby Syryjczycy widzieli to podobnie. Albo Panamczycy.

– Wciśnij klawisz, Ilan.

– Wolałbym, żeby pan to zrobił.

– Który?

Ilan pokazał mu „enter”. Gabriel nacisnął klawisz. Potem ruszył przez korytarz do swego zespołu, by przekazać najświeższe nowości. Fundusze dotarły. Mogą zaczynać.

Po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę tydzień później, w środę, gdy wychodził z domu aukcyjnego Bonhams przy New Bond Street w towarzystwie Juliana Isherwooda. Przypadek zrządził – choć, patrząc uważnie wstecz, okazało się, że nie był to wcale

przypadek – że na chodniku obok stała Amelia March z ARTnews, czekając na spotkanie z dyrektorem oddziału sztuki powojennej i współczesnej. Jako dziennikarka zajmująca się sztuką, mimo że niezbyt fachowo, miała zmysł obserwacji i wyczucie tematu. „Wysoki, elegancki jasny blondyn, o bladej cerze i niemal bezbarwnych oczach. Kosztowny garnitur i płaszcz, nawet jego woda kolońska pachnie pieniędzmi”. Zdziwiła ją tylko relacja z tym starym Isherwoodem. Jej zdaniem powinien raczej gustować w nowoczesności niż aniołach, świętych i męczennikach. Julian pospiesznie przedstawił jej swego towarzysza, po czym obaj wsunęli się na tył czekającego jaguara. Dmitri jakiś tam. Oczywiście.

Po wejściu do Bonhams Amelia zdołała ustalić, że Isherwood i jego wysoki bladolicy przyjaciel spędzili kilka godzin w towarzystwie Jeremy’ego Crabbe’a, najwybitniejszego znawcy starych mistrzów w domu aukcyjnym. Jeszcze tego samego wieczoru dopadła Jeremy’ego w barze restauracji Wilton’s. Szeptali jak para szpiegów umówionych po wojnie w wiedeńskiej kawiarence.

– Nazywa się Antonow. Dmitri Antonow. Zapewne Rosjanin, choć nie wynikało to z rozmowy. Dosłownie rzyga forszą. Chyba zbił ją na surowcach naturalnych. Jak oni wszyscy zresztą – mówił Jeremy, przeciągając sylaby. – Julian dosłownie się do niego przykleił. Najwyraźniej służy mu nie tylko jako doradca, lecz i przedstawiciel handlowy. Bardzo wygodne z finansowego punktu widzenia. Mam wrażenie, że ten Dmitri kupił od niego kilka płócien, a teraz wspólnie ruszają na wielkie łowy. Ale nie powołuj się na mnie w tej sprawie. Zresztą w ogóle się na mnie nie powołuj. Mówię ci to wszystko poufnie. Wyłącznie *entre nous*, skarbie.

Amelia obiecała zachować dyskrecję, ale Jeremy bynajmniej się nią nie wykazał. W gruncie rzeczy powtórzył to samo wszystkim znajomym w Wilson’s, łącznie z Oliverem Dimblebym. Pod koniec wieczoru mówiono już tylko o tym.

W połowie marca widziano ich zarówno w Christie’s, jak i w Sotheby’s. Odwiedzili również galerię Olivera przy Bury Street, gdzie po godzinie przyjaznych negocjacji postanowili kupić pejzaż z wydmami holenderskiego malarza Jacoba van Ruisdaela, dwie weneckie sceny z kanałami Francesca Guardiego i złożenie do grobu Zelottiego. Roddy Hutchinson sprzedał mu łącznie pięć płócien, w tym martwą naturę z owocami i jaszczurką Ambrosiusa Bosschaerta Młodsze. Nazajutrz Amelia March zamieściła niewielką wzmiankę o młodym Rosjaninie, który ożywił londyński rynek sztuki. Julian Isherwood, który występował w roli jego rzecznika, odmówił komentarza.

– Wszystkie zakupy dokonane przez mojego klienta służą celom prywatnym – oświadczył. – I tak pozostanie.

Wczesny kwiecień zastał Isherwooda i jego rosyjskiego przyjaciela po drugiej stronie Atlantyku, w Nowym Jorku, gdzie niecierpliwie ich oczekiwano. Odwiedzali galerie i domy aukcyjne, jadali w odpowiednich restauracjach, a nawet obejrzeliby musical na Broadwayu. Plotkarskie kolumny dziennika „Post” informowały, że kupili kilka płócien starych mistrzów od spółki Otto Naumanna przy Osiemdziesiątej Wschodniej Ulicy, ale Isherwood znów domagał się w imieniu swego klienta prawa do prywatności. Najwyraźniej jednak były to czcze słowa. Ci bowiem, którzy go spotkali, odnieśli wrażenie, że lubi być dostrzegany. Podobnie zresztą jak piękna młoda kobieta, zapewne

jego żona, choć tego nie potwierdzono, która towarzyszyła mu w drodze do Ameryki. Była zgrabna, ciemnowłosa, francuska i bardzo opryskliwa.

– Nie straciła żadnej okazji, żeby spojrzeć na swoje odbicie w lustrze – komentował ich wizytę kierownik ekskluzywnego salonu jubilerskiego przy Piątej Alei. – Ciężka praca.

Ale kim był właściwie mężczyzna o nazwisku Dmitri Antonow? I, co może ważniejsze, skąd miał pieniądze? Wkrótce jak Wielki Gatsby stał się obiektem plotek, częściowo złośliwych, częściowo trafnych. Mówiono, że zabił człowieka, a nawet wielu ludzi, a także, że jego majątek pochodzi z niejasnych źródeł. Nie wpływało to jednak na jego atrakcyjność dla handlujących sztuką. Jeśli płatność się nie opóźniała i nie przysparzał kłopotów, nie dociekali, jak zbił fortunę. A kłopotów nie przysparzał żadnych. Korzystał z usług szacownego paryskiego oddziału HSBC, lecz o dziwo, wszystkie swe nabytki wysyłał do genewskiego Ports Frانس.

– To jeszcze jeden z tych... – bąknęła kobieta z biura handlowego Sotheby's. Ale zwierzchnik spokojnie jej przypomniał, że to dzięki takim jak on ich firma utrzymuje się na powierzchni.

Wydawało się, że jego jedynym stałym adresem jest sejf w genewskim Ports Frانس, czyli Freeport, jak mówili Anglicy. Będąc w Londynie, zatrzymywał się w Dorchester, w Paryżu korzystał z hotelu Crillon, a gdy interesy zawiodły go do Turynu, w grę wchodził wyłącznie Terrazza Suite przy Dolder Grand. Nawet Julian Isherwood, pozostający z nim w stałym kontakcie telefonicznym, twierdził, że nie wie, gdzie Rosjanin pojawi się nazajutrz. Krążyły jednak plotki, ale jedynie plotki, że podobno kupił we Francji zamek.

– Traktuje Freeport jako tymczasowy magazyn – szepnął Isherwood do ucha Oliverowi Dimbleby'emu. – Ma jakieś duże plany. – Potem zaklął go, by zachował rzecz w sekrecie, tym samym zyskując pewność, że wiadomość do rana okraży całe miasto.

We Francji, ale gdzie? Znów powstały plotki, bowiem w dniu, gdy niejaki Dmitri Antonow opuścił Nowy Jork, w „Nice-Matin” pojawiła się niewielka wzmianka dotycząca pewnej znanej nieruchomości w pobliżu Saint-Tropez. Olbrzymia rezydencja nad śródziemnomorską zatoką Baie de Cavalaire należała ongiś do Iwana Charkowa, rosyjskiego oligarchy i handlarza bronią, który zginął zastrzelony przed ekskluzywną restauracją w Saint-Tropez. Na niemal dekadę nieruchomość przeszła w ręce francuskich władz i oto, z niewyjaśnionych przyczyn, władze postanowiły ją zbyć. Zapewne znalazł się kupiec. Dziennik „Nice-Matin” mimo usilnych starań nie zdołał go zidentyfikować.

Prace nad remontem obiektu rozpoczęto niezwłocznie. W dniu, w którym pojawił się artykuł, armia malarzy, hydraulików, elektryków, kamieniarzy i projektantów krajobrazu wtargnęła na teren Villa Soleil, by zostać tam dopóty, dopóki olbrzymi pałac nad morzem nie odzyska dawnego blasku. Impet przedsięwzięcia wywołał falę pretensji wśród okolicznych mieszkańców, z reguły ciężko doświadczonych weteranów inwestycji budowlanych w Prowansji. Nawet Jean-Luc Martel, który mieszkał w imponującej rezydencji po przeciwnej stronie zatoki, był pod wrażeniem tempa prac. Gabriel i jego zespół wiedzieli o tym, gdyż dzięki pomocy potężnej amerykańskiej agencji bezpieczeństwa NSA, kontrolującej także wywiad elektroniczny, uzyskali wgląd w całą

prywatną korespondencję Martela. Znali również treść mejla, którego wysłał do szefa ekipy budowlanej, rozwścieczony dwumiesięcznym opóźnieniem w renowacji pawilonu nad swym basenem.

„Jeśli nie skończysz tego do końca kwietnia – pisał – wynajmę firmę, która remontowała dawny dom Iwana”.

Wnętrza Villa Soleil powstawały w tym samym, nietypowym dla Prowansji tempie pod nadzorem jednej z najlepszych firm projektowych na Lazurowym Wybrzeżu. Jedyne opóźnienie wiązało się z dostawą dwóch bliźniaczych kanap, które zamówiono w galerii sztuki Olivii Watson w Saint-Tropez. Z powodu drobnego błędu urzędnika, w rzeczywistości w pełni zamierzonego, na formularzu zamówienia pojawiło się nazwisko właściciela rezydencji. Olivia natychmiast poinformowała o tym Martela, on zaś przekazał wiadomość dziennikarzowi z „Nice-Matin”, który wcześniej pochlebnie o nim pisał. Gabriel i jego ludzie wiedzieli o tym dzięki wszechwiedzącej amerykańskiej NSA.

Pozostały jeszcze obrazy – płótna nabyte pod nieomylnym okiem Juliana Isherwooda i zdeponowane w genewskim Freeport. W połowie maja odbył się ich transport do Prowansji w konwoju furgonów nadzorowanych przez prywatną firmę ochroniarską i kilku agentów tajnej jednostki DGSI, zwanej Grupą Alfa. Isherwood rozmieścił je na ścianach rezydencji z pomocą francuskiej żony właściciela. Następnie wszyscy odlecieli do Paryża, gdzie właściciel zamieszkał w swym stałym apartamencie w Crillon.

Tego samego wieczoru jedli kolację w słynnej restauracji Martela przy bulwarze Saint-Germain. Towarzyszył im atletycznie zbudowany mężczyzna mówiący po francusku z charakterystycznym akcentem korsykańskim. Martel również tam przybył w towarzystwie swej pięknej Angielki. Ale jego obecność nie zaskoczyła ludzi Gabriela. Wiedzieli o tym już od kilku dni i dlatego zamówili czteroosobowy stolik na Dmitriego Antonowa. Kilka minut po ich przybyciu na stoliku pojawiła się butelka szampana. Był to Dom Pérignon rocznik 1998. Dołączona do niej wizytówka zawierała ręczny dopisek: „Witajcie w sąsiedztwie. Do zobaczenia w Saint-Tropez...”. Był to co najmniej obiecujący początek.

Lazurowe Wybrzeże, Francja

- Myślę, że trochę później pojedę do miasteczka.
- A to po co?
- Dziś jest dzień targowy. Wiesz przecież, jak uwielbiam targi.
- Ach tak, cudownie.
- Pojedziesz ze mną?
- Niestety nie mogę. Muszę załatwić kilka telefonów.
- Cóż, trudno.

Od kiedy Michaił i Natalie, obecnie Dmitri i Sophie Antonow, zamieszkali w swym nowym domu nad Baie de Cavalaire, minęło zaledwie dziesięć dni. Tymczasem oni wydawali się już znudzeni. I nie było to znużenie operacyjne, lecz typowo małżeńskie. Gabriel doszedł do wniosku, że związek Antonowów nie może być idyllą. Niewiele jest małżeństw doskonałych, utrzymywał, a małżeństwo rosyjskiego kryminalisty z Francuzką podejrzanego pochodzenia nie będzie układne. Domagał się również, by oboje konsekwentnie zachowywali fałszywą tożsamość, nawet wtedy, gdy czują się bezpieczni za wysokim murem Villa Soleil.

Lodowata wymiana zdań przy śniadaniu stanowiła więc element gry. Rozmawiali po angielsku, gdyż francuski Dmitriego Antonowa był fatalny, a rosyjski jego małżonki teoretyczny. Służba domowa, bez wyjątku złożona z agentów Grupy Alfa, zwracała się wyłącznie do madame Sophie, unikając monsieur Antonowa. Ich zdaniem był prymitywny i opryskliwy. On zaś, nie bez podstaw, uważał ich za najgorszą obsługę w Prowansji. Gabriel podzielał tę opinię. Prywatnie nalegał, by Rousseau przywołał podwładnych do porządku, gdyż w przeciwnym razie mogą zaprzepaścić całą operację.

Michaił i Natalie, niczym bohaterowie filmowi, usiedli za stołem pod kolumnami szerokiego tarasu nad basenem. W tym miejscu od dziewięciu dni jadali śniadania, gdyż monsieur Antonow lubił je bardziej od innych. Zaczął dzień od energicznego półgodzinnego pływania w basenie, a teraz narzucił na swe blade ciało śnieżnobiały płaszcz kąpielowy. Oczy Natalie przyciągała strużka wody spływająca między rzeźbionym splotem mięśni jego brzucha ku paskowi spodenek kąpielowych. Ale szybko odwróciła wzrok. Przypomniała sobie, że madame Sophie ma pretensje do małżonka. Nie mógłby odzyskać jej względów demonstracją swych fizycznych zalet.

Nalała do filiżanki mocną czarną kawę ze srebrnego dzbanka, po czym z francuskim wdziękiem dopełniła ją gorącym mlekiem. Na koniec wyciągnęła z paczki gitane'a i zapaliła. Papierosy, podobnie jak nonszalanckie zachowanie, miały uwiarygodnić jej nową tożsamość. Jako lekarka, która dobrze знаła zabójczy wpływ tytoniu na ludzki organizm, w rzeczywistości była żarliwym wrogiem palenia. Przy pierwszej próbie zaciągnięcia się dymem niemal się udusiła i dopiero łyk kawy pomógł jej stłumić kaszel.

Kawa była bliska ideału. Natalie pomyślała, że tylko na południu Francji może mieć

taki smak. W pięknym czystym poranku łagodny wiatr poruszał wierzchołkami cyprysów rosnących na granicy Villa Soleil i jej sąsiedztwa. Nad lekko zmarszczonymi wodami Baie de Cavalaire rozpoznawała słabe zarysy rezydencji Jean-Luca Martela – hotelarza, restauratora, producenta odzieży i biżuterii oraz międzynarodowego dilera narkotyków.

– Croissanta? – spytała.

– Pardon? – Michaił czytał coś z uwagą w tablecie i nie podniósł nawet wzroku.

– Pytałam, czy nie chcesz croissanta.

– Nie.

– A co robimy z lunchem?

– Teraz?

– W Saint-Tropez. Możemy się tam spotkać.

– Spróbuję. O której?

– W porze lunchu, kotku. W czasie, kiedy ludzie zwykle jadają lunch.

Przesunął palcem wskazującym po powierzchni tableta, lecz nie odpowiedział. Natalie zdusiła papierosa i ruchem Sophie Antonow gwałtownie wstała. Potem nachyliła się i przyłożyła usta do ucha Michaiła.

– Chyba zbyt cię to bawi – szepnęła po hebrajsku. – Na twoim miejscu bym się tak nie przyzwyczajała.

Weszła do willi i bosą minęła liczne przepastne pokoje, aż w końcu dotarła do stóp majestatycznych głównych schodów. Pomyślała, że tym razem ma nieco lepsze lokum niż kwatery, na które była skazana podczas swej pierwszej operacji – nędzne mieszkanko w paryskiej dzielnicy Aubervilliers, brudny pokój w internacie ISIS w Rakce, pustynny obóz szkoleniowy nieopodal Palmyry oraz izba w domu w Mosulu, gdzie ratowała Saladyna przed śmiercią.

„Mój Majmonides...”

Satynowa pościel w sypialni wciąż leżała w nieładzie. Najwyraźniej pokojówki z Grupy Alfa nie znalazły w swym pracowitym dniu czasu, by zasłać łóżko. Natalie uśmiechnęła się zawstydzona. Był to jedyny pokój w całym domu, gdzie z Michaiłem nie musieli ukrywać swych prawdziwych uczuć. Z formalnego punktu widzenia tej nocy swym zachowaniem złamali regulamin Biura, który nie dopuszczał intymnych relacji między agentami w trakcie operacji. Wiadomo było również, że jest to jedna z najmniej przestrzeganych zasad w tej służbie. W końcu wszyscy wiedzieli, że obecny szef i jego żona wielokrotnie lekceważyli ten zakaz. Ponadto, myślała Natalie, namiętny seks potwierdzał wiarygodność ich związku. Przecież nawet skłócone pary nie potrafią się oprzeć mrocznej sile pożądania.

Garderobę wielkości pokoju wypełniały ubrania, buty i dodatki słynnych projektantów, których koszt w pełni pokryły fundusze krwawego przywódcy Syrii. Wszystko z najwyższej półki, pomyślała. Wyjęła z szuflady sportowy stanik i legginsy z lycry, po czym sięgnęła po adidas stojące obok tenisówek Bruno Magliego. Ubrała się i przeszła przez chłodny marmurowy hol do siłowni, gdzie stanęła na bieżni. Nie znosiła biegania w zamkniętym pomieszczeniu, ale nie miała wyboru. Madame Sophie musi przestrzegać zasad bezpieczeństwa. Podobnie jak Natalie Mizrahi.

Nałożyła słuchawki i ruszyła spokojnym krokiem, z każdym kilometrem

zwiększając tempo, aż w końcu osiągnęła zadowalający rytm. Jej równy kontrolowany oddech dowodził, że w ciągu tygodni spędzonych na farmie w Nahalal zbudowała znakomitą kondycję. Zakończyła krótkim sprintem, po czym przez pół godziny ćwiczyła z ciężarkami. Na koniec wróciła do sypialni, by wziąć prysznic i się przebrać. Wybrała białe spodnie typu capri, przylegający do ciała elastyczny sweterek, który podkreślał kształt jej piersi i talię, oraz złote sandały na płaskiej podeszwie. Stojąc przed lustrem, znów pomyślała o swej ostatniej roli, a także o hidżabie i pobożnym stroju doktor Lajli Hadawi. Pomyślała również, że Lajla nie pochwalałaby zachowań Sophie Antonow. W tej kwestii tak ona, jak i Natalie były całkowicie zgodne.

Wyszła na balkon i zerknęła w stronę tarasu, gdzie Michaił, wyciągnięty na szezlongu, wystawiał swe bezkrwiste ciało na poranne promienie słońca. Przez dziesięć dni kolor jego skóry się nie zmienił. Antonow wydawał się całkowicie odporny na działanie słońca.

– Na pewno się ze mną nie wybierzesz?! – zawołała.

– Jestem zajęty.

Wrzuciła do torebki telefon służbowy i ruszyła w dół, na dziedziniec, gdzie przy szemrzącej fontannie czekał czarny maybach Antonowów. Za kierownicą limuzyny siedział funkcjonariusz Grupy Alfa, Roland Girard. W poprzedniej operacji odgrywał rolę dyrektora małej kliniki w Aubervilliers, gdzie doktor Lajla Hadawi prowadziła praktykę lekarską. Teraz był ulubionym ochroniarzem madame Sophie. Krążyły słuchy, że łączy ich namiętny romans. Dotarło to nawet do uszu monsieur Antonowa, który kilkakrotnie chciał zwolnić ochroniarza, ale madame Sophie nawet nie chciała o tym słyszeć. Gdy maybach minął imponującą bramę posiadłości, zapaliła kolejnego gitane'a i z kwaśną miną patrzyła przez okno. Tym razem nie zdołała opanować kaszlu.

– Słuchaj – rzekł Girard – naprawdę nie musisz palić tych świństw, kiedy jesteśmy sami.

– Inaczej nigdy do nich nie przywyknę.

– Jakie masz plany? – spytał.

– Targ.

– A potem?

– Chciałam zjeść lunch z mężem, ale chyba nie jest zainteresowany.

Girard uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. W tej samej chwili brzęknął jej telefon. Nadeszła wiadomość. Przeczytała ją, znów wrzuciła aparat do torebki i kaszląc, dopaliła ostatniego papierosa. Zbliżało się nieuchronne spotkanie madame Sophie z madame Olivią. Pora na próbę.

Saint-Tropez, Francja

Gdy mijali skręt na plażę Pampelonne, pamięć Natalie przywołała wspomnienia. Tym razem nie Lajli, lecz własne. W cudowny poranek pod koniec sierpnia jedzie z rodzicami trudną drogą z Marsylii do Saint-Tropez, gdyż żadna inna plaża Francji, a nawet świata, nie dorównuje Pampelonne. Jest rok 2011. Ukończyła właśnie staż i podjęła obiecującą pracę we francuskim systemie państwowej opieki zdrowotnej. Czuje się francuską obywatelką i nie wyobraża sobie życia gdziekolwiek indziej. Ale Francja zmienia się w jej oczach i dla Żydów przestaje być miejscem bezpiecznym.

Każdy dzień przynosi kolejne groźne wiadomości. Znowu pobito lub opluto jakieś dziecko, znowu w jakimś sklepie wybito okna, znowu zabazgrano graffiti mury synagogi lub zbezczeszczono nagrobki. Dlatego owego sierpniowego dnia na plaży w Pampelonne Natalie i jej rodzice robią wszystko, by ukryć swe żydowskie pochodzenie. Okazuje się to niemożliwe. Wciąż napotyka ją wzgardliwe spojrzenia, a kelner, niechętnie podając im lunch, mruczy pod nosem coś obraźliwego. W drodze powrotnej jej rodzice podejmują przełomową decyzję. Postanawiają opuścić Francję i osiedlić się w Izraelu. Proszą, by Natalie, ich jedyne dziecko, wyjechała wraz z nimi. Zgadza się bez wahania. I oto, myśli, patrząc przez przyciemnioną szybę w oknie limuzyny, znowu tu jestem.

Za plażą ciągnęły się nowo posadzone winnice i małe wille w cieniu cyprysów oraz pinii. Ale w pobliżu Saint-Tropez wokół rezydencji zaczęły pojawiać się mury pokryte kwitnącą winoroślą. Wciąż jednak były to domy ludzi zamożnych, lecz nie tak bogatych jak Dmitri Antonow, a wcześniej Iwan Charkow. Jako dziecko Natalie marzyła o mieszkaniu w takim wielkim domu za murami. Gabriel spełnił jej pragnienie. Nie, to nie Gabriel, uzmysłowiła sobie nagle. To Saladyń.

Kierowca maybacha wjechał w aleję Focha i skierował się do centrum. Czerwiec nie jest jeszcze początkiem sezonu, toteż nawet na place des Lices, gdzie odbywa się popularny targ na świeżym powietrzu, nie było tłumu. Wolno przechadzając się wśród stoisk, Natalie poczuła, że ogarnia ją dotkliwy żal. Przecież to mój kraj, myślała z goryczą. Dlaczego odwieczna nienawiść zmusiła jej rodzinę, by go opuścić? Po chwili na widok Rolanda Girarda przypomniała sobie o bieżącym zadaniu. Roland nie szedł obok niej, lecz nieco z tyłu, tak by nikt nie mógł go wziąć za jej męża. Jego jedynym obowiązkiem była ochrona madame Sophie Antonow, nowej rezydentki owianego złą sławą pałacu nad Baie de Cavalaire.

Nagle usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu z kawiarenki przy bulwarze Vasserot.

– Madame Sophie, madame Sophie! To ja, Nicolas. Tu jestem, madame.

Podniosła wzrok i ujrzała Christophera Kellera, który machał do niej znad stolika w Le Clemenceau. Uśmiechając się, przeszła przez ulicę pod eskortą Girarda, który podążał krok za nią. Keller wstał i odsunął dla niej krzesło. Gdy usiadła, Girard powrócił na place des Lices, by tam cierpliwie czekać w cętkowanym cieniu platanu.

– Cóż za miła niespodzianka – zaczął Keller, gdy zostali sami.

– Istotnie. – Głos Natalie brzmiał chłodno. Tak bowiem madame Sophie zwracała się do ludzi, którzy pracowali dla jej męża. – Co cię tu sprowadza?

– Mam sprawę do załatwienia. A ty?

– Wpadłam na zakupy. – Rozejrzała się po targu. – Ktoś nas obserwuje?

– Oczywiście, madame. Zwraca pani uwagę.

– O to przecież chodziło, prawda?

Keller sączył campari.

– Zwiedziłaś może jakąś galerię sztuki? – zapytał.

– Jeszcze nie.

– Jest jedna nie najgorsza w pobliżu Starego Portu. Z przyjemnością cię zaprowadzę. To najwyżej pięć minut pieszo.

– Właścicielka tam będzie?

– Myślę, że tak.

– Jak nasz przyjaciel chciałby to rozegrać?

– Chyba myśli, że przydałby się jakiś dotkliwy afront.

Natalie się uśmiechnęła.

– Myślę, że madame Sophie da sobie z tym radę.

Szli w stronę Starego Portu, mijając liczne sklepy przy rue Gambetta. Keller miał na sobie białe spodnie, czarne mokasyny i obcisły czarny pulower. Z ciemną opalenizną i nażelowanymi włosami wyglądał dość podejrzanie. Natalie, odgrywając rolę madame Sophie, demonstrowała głębokie znużenie. Przystanąła przed kilkoma wystawami, nie wyłączając butiku Olivii Watson, podczas gdy Roland Girard, rzekomy ochroniarz, czujnie trwał u jej boku.

– Co byś powiedział na to? – zapytała, wskazując niemal przezroczystą szatę, która wisiała na bezgłowym manekinie. – Myślisz, że Dmitri by mnie zauważył, gdybym to włożyła? Albo to. Tak, to mogłoby zwrócić jego uwagę.

Nie uzyskawszy odpowiedzi, posuwała się dalej, wymachując torebką jak krnąbrna uczennica. Jossi Gawisz i Rimona Stern, trzymając się za ręce, zmierzali w ich stronę wąską uliczką, rozbawieni jakimś dowcipem. Dina Sarid oglądała z uwagą sandaalki na wystawie sklepowej Minelli, a nieco dalej w głębi ulicy Natalie dostrzegła Eliego Lavona, który pędził do apteki, jakby dopadł go gwałtowny rozstrój żołądka.

W końcu dotarli na place de l'Ormeau. Nie był to typowy skwer, jak choćby place des Lices, lecz niewielki trójkąt u zbiegu trzech ulic. Pośrodku stała stara studnia w cieniu drzewa, po jednej stronie był sklep odzieżowy, a po drugiej kawiarnia. Obok kawiarni wznosił się elegancki trzypiętrowy budynek, duży jak na standardy Saint-Tropez, przy tym nie jasnobrazowy, lecz bladoszary. Galeria Olivii Watson.

Ciężkie drewniane drzwi były zamknięte. Obok widniała mosiężna tabliczka informująca po francusku i angielsku, że wstęp do galerii wymaga wcześniejszych ustaleń. Na wystawie stały trzy obrazy – Lichtensteina, Basquiata oraz francuskiego malarza i rzeźbiarza Jeana Dubuffeta. Natalie podeszła, by przyjrzeć się bliżej Basquiatowi, podczas gdy Keller sprawdzał swą komórkę. Chwilę później poczuła, że ktoś za nią stoi. Oszałamiający zapach bzu wykluczał Rolanda Girarda.

– Piękny, prawda? – spytał po francusku damski głos.

– Basquiat?

– Tak.

– Właściwie – odparła Natalie, nie oglądając się za siebie – to wolę Dubuffeta.

– Ma pani dobry gust.

Natalie obróciła się powoli i ujrzała przed sobą czwarte dzieło sztuki. Tuż obok niej na place de l’Ormeau stała szokująco wysoka kobieta. Tak wysoka, że Natalie musiała podnieść wzrok, by na nią spojrzeć. Powiedzieć, że jest piękna, to za mało, pomyślała, widząc twarz znaną jej dotąd z fotografii. Była nieskazitelnie piękna. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy z różnicy między tymi pojęciami.

– Chciałaby pani zobaczyć go z bliska?

– Słucham?

– Mówię o Dubuffecie. Mam jeszcze chwilę do następnego spotkania. – Kobieta uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. – Proszę mi wybaczyć, powinnam się przedstawić. Jestem Olivia Watson – dodała – a to moja galeria.

Natalie ujęła wyciągniętą rękę. Była niezwykle długa, a nagie ramię, z którego wyrastała, gładkie i złociste. Lśniące błękitne oczy patrzyły z twarzy tak doskonale, że wręcz nierzeczywistej. Malował się w nich wyraz zyczliwego zaciekawienia.

– Pani Sophie Antonow, prawda?

– My się znamy?

– Jeszcze nie. Ale Saint-Tropez to małe miasteczko.

– Bardzo małe – odparła chłodno Natalie.

– Mieszkamy naprzeciwko państwa, po drugiej stronie zatoki – wyjaśniła Olivia Watson. – W gruncie rzeczy z naszego domu widać waszą willę. Może będziecie kiedyś do nas wpadli?

– Niestety mój mąż jest bardzo zajęty.

– Zupełnie jak Jean-Luc.

– Ten Jean-Luc to pani mąż?

– Partner – odparła Olivia. – Nazywa się Jean-Luc Martel. Może pani o nim słyszała? Kilka tygodni temu w Paryżu jedliście z mężem kolację w jego nowej restauracji. Przesłał państwu butelkę szampana. – Spojrzała na Kellera bez reszty pochłoniętego czymś w komórce. – On też tam był.

– Pracuje dla mojego męża.

– A ten? – Wskazała Girarda.

– Pracuje dla mnie.

Wielkie błękitne oczy znów spoczęły na Natalie. Przygotowując się do spotkania z Olivią, Natalie przestudiowała setki jej fotografii, ale zderzenie z rzeczywistością mimo to było szokujące. Tamta lekko się teraz uśmiechała. Był to uśmiech podstępny, kuszący, a zarazem wyniosły. Miała pełną świadomość wrażenia, jakie jej uroda wywiera na innych kobietach.

– Pani mąż jest kolekcjonerem dzieł sztuki – powiedziała tonem pytającym.

– Jest biznesmenem, który docenia sztukę – sprostowała czujnie Natalie.

– Może zechciałby odwiedzić moją galerię?

– Mój mąż przedkłada starych mistrzów nad malarstwo współczesne.

– Tak, wiem. Tej wiosny wiele o nim mówiono w Londynie i Nowym Jorku. – Olivia sięgnęła do torebki i wyciągnęła firmową wizytówkę, by podać ją Natalie. – Mój prywatny numer jest na odwrocie. Mam kilka prac, które, jak myślę, mogłyby zainteresować pani męża. I zapraszam do nas w ten weekend na lunch. Jean-Luc marzy o tym, żeby was poznać.

– Mamy już plany weekendowe – ucięła szorstko Natalie. – Do widzenia, pani Wilson. Miło było poznać.

– Watson! – zawołała Olivia za odchodzącą. – Nazywam się Watson.

Wciąż trzymała wizytówkę między kciukiem i palcem wskazującym. Keller podszedł i wyjął ją z jej dłoni.

– Madame Sophie miewa różne nastroje. Proszę się nie martwić. Szepnę szefowi słówko w pani imieniu. – Podał jej rękę. – A tak przy okazji, nazywam się Nicolas. Nicolas Carnot.

Wrócił pieszo z Natalie i Rolandem Girardem na place des Lices i odprowadził ich do stojącego tam maybacha. Kilka sekund później, wzbijając czarny obłok pyłu, limuzyna opuściła *centre ville*, odprowadzana zazdrosnym wzrokiem miejscowych i turystów. Samotny teraz Keller przeszedł wśród straganów na drugą stronę placu, gdzie wskoczył na siedzenie motoru peugeot satelis, który tam zostawił. Ruszył z miejsca, kierując się na zachód brzegiem Zatoki Saint-Tropez, po czym skręcił na południe w stronę górzystego Var, aż w końcu dotarł do miejscowości o nazwie Ramatuelle. Podobnie jak wioska Orsatich na Korsyce, było to skupisko małych brunatnych domków o czerwonych dachach, wzniesionych na szczycie wzgórza. Niżej, na zalesionych terenach, kryły się domy większe, a wśród nich willa o nazwie La Pastorale. Keller sprawdził, czy nie jest śledzony, po czym zatrzymał się przed prowadzącą do niej żelazną bramą. Była ogromna i pomalowana na zielono. Wcisnął przycisk interkomu, po czym obrócił się, obserwując ciężarówkę, która go mijała.

– *Oui?* – odezwał się po chwili metalicznie brzmiący głos.

– *C'est moi* – odparł. – Otwórz tę pieprzoną bramę.

Kręty długi podjazd wił się w cieniu sosen i topoli, prowadząc na zwirowany dziedziniec. Stała tam willa z szarego kamienia o oknach przesłoniętych żółtymi żaluzjami. Keller skierował się do salonu, który przekształcono w prowizoryczne centrum operacyjne.

Gdy wszedł, Gabriel i Paul Rousseau pochylali się nad laptopem. Rousseau powitał go nieufnym skinieniem głowy – wciąż z dystansem traktował utalentowanego agenta MI6, który mówił jak Korsykanin i czuł się nader swobodnie w towarzystwie kryminalistów. Gabriel jednak szeroko się uśmiechał.

– Dobra robota, monsieur Carnot. A ten ruch z wizytówką był naprawdę trafny.

– Ważne jest pierwsze wrażenie.

– O tak, bez wątpienia. A teraz posłuchaj.

Dotknął klawiatury laptopa i po kilku sekundach rozległ się kobiecy głos, który wrzeszczał coś po francusku. Strumień wulgarnych słów płynął gładko, lecz z wyraźnym angielskim akcentem.

– Do kogo ona mówi?

– Oczywiście do Jean-Luca Martela.

– A co on na to?

– Zaraz usłyszysz.

Keller aż się skrzywił, gdy z głośników ryknął męski głos.

– Najwyraźniej – orzekł Gabriel – nie nawykł do odmowy.

– Co dalej?

– Następny afront. A właściwie kilka.

W głośnikach zapadła cisza, gdy Olivia Watson po kolejnym potoku wyzwisk i wulgarnych wrzasków przerwała połączenie.

Keller podszedł do szeregu monitorów i patrzył, jak maybach skręca na podjazd pałacowej rezydencji nad morzem. Kobieta, która wysiadła z limuzyny, minęła przepastne pokoje z obrazami starych mistrzów na ścianach i wyszła na taras nad ogromnym basenem.

Drzemał tam mężczyzna, którego skóra lekko się zaczerwieniła w bezlitosnych promieniach słońca. Kobieta szepnęła mu do ucha coś, czego mikrofony nie mogły wychwycić, i poprowadziła go na górę, do pokoju, w którym nie było kamer. Keller się uśmiechnął, gdy zamknęły się za nimi drzwi. Może jednak jest jeszcze nadzieja dla madame Sophie i monsieur Antonowa.

Lazurowe Wybrzeże, Francja

Nie było prawdą, że madame Sophie i monsieur Antonow mieli jakieś plany na ten weekend. Tymczasem jednak jakimś cudem, z czyjąś ukrytą pomocą, a może za sprawą czarów, plany te istotnie się ziściły. I tak, nim zaszło słońce tego pięknego piątkowego popołudnia, wzdłuż brzegów Baie de Cavalaire rozciągnął się diamentowy sznur świateł samochodów sunących ku bramom Villa Soleil. Oślepiając blaskiem i mieniając się w oczach, samochody pulsowały rytmem muzyki tak głośnej, że niosła się nad zatoką na przeciwległy brzeg. I o to właśnie chodziło.

Goście napływali zewsząd – aktorzy, pisarze, zubożeli arystokraci i zwykli złodzieje. Był tam syn włoskiego producenta samochodów, który przybył z grupą półnagich kobiet, i gwiazda pop, która nie nagrała żadnego hitu od czasu, gdy muzyka weszła w erę cyfrową. Przybyło pół londyńskiego świata sztuki, a także kontyngent z Nowego Jorku, który, jak głosiła plotka, przyleciał przez Atlantyk wynajętym samolotem na koszt gospodarza. Było tam jeszcze wielu innych, którzy przyznali później, że nie dostali żadnego zaproszenia. Owi goście niższej kategorii usłyszeli o tej imprezie ze standardowych źródeł – plotek na forum Riwiery i mediów społecznościowych, nim tłumnie ruszyli do złotych wrót monsieur Antonowa.

Jeśli nawet tego wieczoru był w domu, to nikt go nigdzie nie widział. Żaden z gości nie mógłby przedstawić wiarygodnego naocznego świadectwa choćby śladu jego obecności. Nawet Julian Isherwood, jego artystyczny doradca, nie potrafił określić miejsca jego pobytu. Zorganizował natomiast prywatny pokaz imponującej kolekcji dzieł starych mistrzów zdobiących rezydencję dla garstki gości, którzy wykazali cień zainteresowania.

Potem, jak wszyscy pozostali, oddał się nieokiełznanemu pijaństwu. Do północy bufet opustoszał, a nagie kobiety pływały w basenie i fontannach. Doszło do walki na pięści, publicznego aktu seksualnego oraz groźby procesu. Odżyły dawne rywalizacje, rozpadły się małżeństwa, a wiele pięknych aut doznało uszkodzeń. Wszyscy zgodnie przyznali, że świetnie się bawili.

Ale przyjęcie nie skończyło się tej nocy, jedynie na krótko przygasło. Późnym rankiem samochody znów zablokowały drogi, a flotylla białych jachtów motorowych zacumowała wokół przystani należącej do willi pod opieką przybrzeżnej obsługi monsieur Antonowa. Następnego wieczoru zabawa nabrała jeszcze większego impetu, gdyż większość gości przybyła pijana bądź wciąż nie wytrzeźwiała po atrakcjach poprzedniego. Liczna ekipa ochroniarzy monsieur Antonowa bacznie pilnowała obrazów, a kilku spośród najbardziej niesfornych gości dyskretnie usunięto z terenu posiadłości. Nadal jednak nie było nikogo, kto uściskałby dłoń gospodarza lub widział go choć przelotnie. Owszem, pewna Amerykanka, rozwódka w średnim wieku o cerze spalonej słońcem, twierdziła, że niczym Wielki Gatsby obserwował bal z tarasu na górze pałacu. Była jednak mocno wstawiona i nikt nie traktował serio jej zapewnień. Upokorzona, próbowała

niezręcznie poderwać przystojnego młodego kierowcę Formuły 1, ale w końcu musiała się zadowolić towarzystwem Olivera Dimbleby'ego. Po raz ostatni widziano ich, gdy znikali w mroku nocy, a Dimbleby trzymał dłoń na jej pośladku.

W niedzielę wydano lunch z szampanem, po czym goście się rozeszli. Zdolni do chodzenia sami dotarli do drzwi, pogrążeni we śnie i nieświadomi sytuacji opuścili dom z pomocą innych środków transportu. Niezwłocznie pojawiła się armia pracowników, by usunąć wszelkie dowody weekendowej orgii.

A w poniedziałek rano monsieur Antonow i madame Sophie znów pojawili się na swym ulubionym tarasie nad basenem – monsieur Antonow bez reszty skupiony na tablecie, madame pogrążona w myślach. W południe wyruszyła w towarzystwie Rolanda Girarda do miasta, gdzie w Starym Porcie razem z monsieur Carnotem zjedli lunch w restauracji Jean-Luca Martela. Olivia Watson siedziała tam z koleżanką niemal tak piękną jak ona, kilka stolików dalej. Wychodząc, bez słowa minęła stolik madame Sophie, nie obdarzając jej nawet spojrzeniem, choć monsieur Carnot był pewien, że słyszał obelgę tak sprośną, że nawet on, mężczyzna kiepskiej reputacji, wahałby się jej użyć.

Następnego weekendu odbyła się kolejna impreza, nieco mniej liczna, lecz równie upojna, zaś tydzień później huczne przyjęcie, które pobiło wszelkie rekordy skarg wniesionych na policję Lazurwego Wybrzeża. W tym momencie Antonowowie ogłosili zawieszenie broni i życie nad Baie de Cavalaire powróciło do jako takiej normy. Przez większość czasu byli więźniami rezydencji, choć kilka razy w tygodniu madame Sophie, po porannych ćwiczeniach na bieżni, wyjeżdżała limuzyną na zakupy lub lunch. Zwykle jadała w towarzystwie Rolanda Girarda lub monsieur Carnota, choć dwukrotnie widziano ją z wysokim opalonym Anglikiem, który wynajął na lato willę w pobliżu górskiej wioski Ramatuelle. Miał pulchną żonę o ciętym języku, którą madame Sophie wręcz uwielbiała.

Ale nie tylko oni zajmowali wynajętą willę. Była tam jeszcze niska, lekko utykająca brunetka o zbolącej twarzy, która sprawiała wrażenie świeżo owdowiałej. A także pozbawiony charakterystycznych cech mężczyzna, którego nigdy nie widziano dwukrotnie w tym samym ubraniu. Inny, z poznaczoną bliznami groźną twarzą, sprawiał wrażenie, jakby wciąż rozważał kolejny akt przemocy. Był również pewien Francuz z belferskim zadęciem, który zatruwał powietrze dymem nieodłącznej fajki. No i jeszcze jeden – zielonooki mężczyzna o siwych skroniach, który nie przestawał namawiać Francuza, by porzucił nałóg i zastąpił go takim, który nie zagraża wszystkim wokół.

Mieszkańcy tej willi nie demonstrowali swego lenistwa i nie szukali tu relaksu ani wypoczynku. Przybyli do Prowansji w śmiertelnie ważnej sprawie. Francuz o wyglądzie profesora i zielonooki mężczyzna byli rzekomo partnerami, ale w praktyce pierwszy z nich ustępował drugiemu niemal we wszystkim. Obaj zresztą rzadko przebywali w willi. Francuz kursował nieustannie między Prowansją a Paryżem, natomiast zielonooki kilkakrotnie odbywał tajemnicze podróże do Tel Awiwu. Podróżował również do Londynu, by negocjować warunki kolejnej fazy operacji, i do Waszyngtonu, gdzie łajano go z powodu opieszałego działania. On jednak wyrozumiale traktował złe humory swego amerykańskiego partnera. Amerykanie nawykli do rozwiązywania problemów za naciśnięciem guzika. Cierpliwość nie należała do ich cnót.

Tymczasem zielonooki mężczyzna był wcieleniem cierpliwości, zwłaszcza gdy

przebywał w willi pod Ramatuelle. Cenne obrazy monsieur Antonowa i madame Sophie nie budziły jego zainteresowania. Miał inną obsesję. Była nią piękna Angielka, która prowadziła galerię sztuki przy place de l'Ormeau. Przy pomocy pozostałych mieszkańców willi obserwował ją dzień i noc. Zaś z pomocą kolegi z Ameryki miał dostęp do każdego z jej mejli i każdej wiadomości oraz możliwość podsłuchu wszystkich połączeń telefonicznych.

Angielka nienawidziła głośnej pary małżeńskiej mieszkającej po przeciwnej stronie Baie de Cavalaire, To było oczywiste. Ale jednocześnie ci ludzie ją intrygowali. Nade wszystko nie mogła pojąć, dlaczego zapraszali do swej rezydencji wszystkich celebrytów z południa Francji, pomijając tylko ją. Jej niby-mąż miał podobne zdanie. Przecież sam był znany i bogaty. W końcu cieszył się prawdziwą sławą w odróżnieniu od tych pozerów, którzy wkradli się na podejrzaną orbitę Antonowów. Niebawem rozpoczął prywatne śledztwo dotyczące nowych sąsiadów i źródeł ich niezwykle dochodów. Im więcej się dowiadywał, tym mocniej był przekonany, że monsieur Dmitri Antonow to pokrewna dusza. Poleciał swej niby-żonie, by wystosowała kolejne zaproszenie. Odparła, że prędeziej podetnie sobie żyły, niż spędzi choć minutę w towarzystwie tej zepsutej kreatury z drugiego brzegu zatoki, lub coś w tym rodzaju.

Tymczasem zielonooki mężczyzna cierpliwie czekał. Obserwował jej każdy ruch, słuchał każdego słowa, czytał każdy elektroniczny komunikat. I zastanawiał się, czy warta jest jego obsesji. Czy naprawdę jest dziewczyną z jego marzeń, czy też złamie jego operacyjne serce. Czy ulegnie mu z własnej woli, czy też będzie musiał użyć przymusu. Jeśli tak, to miał wystarczające środki. A konkretnie czterdzieści osiem pustych płócien, które odkrył w genewskim Freeport. Ufał jednak, że nie będzie do tego zmuszony. Widział w niej bowiem obraz, który rozpaczliwie wymaga naprawy. I gotów był się podjąć tego zadania. Ale gdyby okazała się zbyt głupia, by oddać się w jego ręce, sprawy mogłyby się potoczyć niezbyt przyjemnie.

W pierwszej połowie lipca stwierdził, że widział już i słyszał wystarczająco wiele. Zbliżało się święto narodowe Francji, a wraz z nim szczyt letniego sezonu. Jak jednak zasypać rów, który sam wykopał? Uznał, że wymaga to oficjalnego zaproszenia. Napisał je własnoręcznie pismem tak wykaligrafowanym, jakby wyszło z drukarki laserowej, i polecił monsieur Carnotowi, by dostarczył je do galerii przy place de l'Ormeau. Zrobił to pięknego prowansalskiego poranka o godzinie jedenastej piętnaście, a po południu nazajutrz dostali odpowiedź, na którą liczyli. Jean-Luc Martel, hotelarz, restaurator, producent odzieży, właściciel sklepów jubilerskich i międzynarodowy diler narkotyków miał przybyć na lunch do Villa Soleil. A Olivia Watson, dziewczyna z marzeń Gabriela, przybywała wraz z nim.

Lazurowe Wybrzeże, Francja

– Jak myślisz, skarbie? Brać gnata?

Michaił stał przed wysokim lustrem w garderobie, spoglądając na siebie z satysfakcją. Włożył lniany garnitur – zbyt ciemny jak na tę okazję i temperaturę wyższą niż zazwyczaj na Lazurowym Wybrzeżu – oraz sztywną białą koszulę rozpiętą aż do mostka. Jedynie mokasyny za tysiąc pięćset euro na bosych stopach zdawały się odpowiednie do okoliczności. Ich złote sprzączki harmonizowały ze złotym zegarkiem, który sterczał na jego nadgarstku niczym źle umieszczony barometr. Było to zamówione w Genewie dzieło znanego jubilera, kupione okazyjnie za półtora miliona.

– Nie brać – orzekła Natalie. – Mogą to źle zrozumieć.

Stała obok niego, oglądając się w tym samym lustrze. Miała na sobie białą sukienkę bez rękawów i zbyt ciężką biżuterię jak na popołudniowy lunch w ogrodzie. Jej cera mocno pociemniała z powodu godzin spędzonych w słońcu, co, jak się obawiała, zbyt mocno kontrastowało z barwą włosów, które przed wylotem z Tel Awiwu rozjaśniła o kilka odcieni.

– Myślisz, że w końcu się nam to znudzi?

– Co?

– Takie życie.

– Sądzę, że to kwestia alternatywy.

W tym momencie zawibrowała jej komórka.

– O co chodzi?

– Martel i Olivia właśnie wyjechali z domu.

Michaił zmarszczył brwi, sprawdzając czas na swoim chronometrze.

– Powinni już tu być dwadzieścia minut temu.

– JLM ma własne poczucie czasu – odparła z westchnieniem Natalie.

Komórka zawibrowała ponownie.

– Co znowu?

– Mówią, że dobrze się prezentujemy.

Pocałowała go w policzek i wyszła. Na dole trzyosobowa obsługa rekrutująca się z Grupy Alfa z przesadną pedanterią nakrywała stół na ocienionym tarasie. W jego odległym krańcu Christopher Keller popijał rosé. Natalie wyciągnęła papierosa z pudełka marlboro.

– Nie mógłbyś choć udawać, że trochę się denerwujesz? – spytała po francusku.

– Prawdę mówiąc, to nie mogę się doczekać tego spotkania. O, już jadą.

Podniosła wzroki zobaczyła na horyzoncie dwa range rovery sunące brzegiem zatoki – w jednym siedzieli Martel z Olivią, w drugim ich ochrona.

– Lunch z ochroniarzami. – Skrzywiła się wzgardliwie, udając ton madame Sophie.

– Cóż za prymityw. – Zapaliła papierosa i przez chwilę zdołała powstrzymać kaszel.

– Zaczynasz nabierać wprawy.

– Obrzydliwy nawyk.

– Znam gorsze. Właściwie to nawet kilka. – Keller patrzył na zbliżające się range rovery. – Spróbuj się zrelaksować, madame Sophie. Przecież to przyjęcie.

– Jean-Luc pochodzi z tej samej części Francji, co ja. Boję się, że kiedy na mnie spojrzy, zobaczy żydowską dziewczynę z Marsylii.

– Zobaczy wszystko, co pozwolisz mu zobaczyć. A poza tym – dodał – jeśli wzmówiłaś Saladynowi, że jesteś Palestynką, to nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych.

Natalie stłumiła kaszel i patrzyła, jak funkcjonariusze Grupy Alfa perfekcyjnie upiększają stół.

– Po co te świece? – mruknęła. – Jesteśmy bandą straceńców.

W końcowych godzinach przygotowań do długo oczekiwanego spotkania Jean-Luca Martela z monsieur Antonowem pomiędzy Gabrielem i Paulem Rousseau rozgorzała gorąca dyskusja na temat pozornej błahostki. Chodziło bowiem o to, czy imponująca brama rezydencji gospodarzy ma być na przyjazd Martela otwarta czy raczej zamknięta, w ten sposób stawiając przed nim ostatnią symboliczną przeszkodę. Rousseau opowiadał się za przyjaznym powitaniem, gdyż – jak przekonywał – Martel dość już wycierpiał. Ale Gabriel był mniej ugodowy i po kilkuminutowym sporze wymógł na Francuzie, by bramę zamknęto.

– Niech użyje dzwonka jak wszyscy – upierał się przy swoim. – Z pozycji Dmitriego Antonowa Martel to łachmyta. I tak go trzeba traktować.

Skończyło się więc na tym, że o pierwszej dwadzieścia dziewięć kierowca Martela musiał nacisnąć guzik interkomu nie raz, lecz dwa razy, zanim brama rozwarła się z niechętnym zgrzytem. Roland Girard w ciemnym garniturze, krawacie i z krótkofalówką przy uchu smażył się na zalanym słońcem dziedzińcu, oczekując gości. Ci zaś po opuszczeniu samochodu nie ujrzeni przed sobą pana domu, lecz twarz agenta Grupy Alfa. Martel wystroił się na tę okazję w kremowobiały popelinowy garnitur, a jego słynna grzywa powiewała w podmuchach ciepłego wiatru, który falował wokół tańczących wód fontanny. Ich przyjazd rejestrowało sześć kamer, a nadajnik Girarda przekazał szorstką wymianę zdań dotyczącą dalszych losów obstawy. Martel najwyraźniej zamierzał wprowadzić ochroniarzy z sobą do wnętrza willi, lecz Girard uprzejmie, choć stanowczo to wykluczył. Rozwścieczony Francuz okręcił się wówczas na pięcie i przemierzył dziedziniec z błyskawiczną zręcznością drapieznika. W ruchach przypominał gangsterskiego bossa, mafijną gwiazdę. Olivia była jedynie dodatkiem. Podążała kilka kroków za nim, jakby już układała w głowie przeprosiny za jego zachowanie.

Antonowowie czekali w cieniu portyku upozowani jak do fotografii, co zresztą nie było bezcelowe. Nastąpiło powitanie wedle kryterium płci. Madame Sophie potraktowała Olivię Watson tak, jakby lodowata rozmowa przed galerią nigdy się nie wydarzyła. Mężczyźni natomiast uścisnęli sobie dłonie jak zawodnicy przed walką na ringu. Martel ze skąpym uśmiechem oświadczył, że wiele słyszał o monsieur Antonowie i miło mu w końcu go poznać. Posługiwał się angielskim, co wskazywało na to, że wiedział, iż tamten nie zna francuskiego.

– Pańska willa jest imponująca. Ale zapewne zna pan jej historię.

– Słyszałem, że należała kiedyś do członka brytyjskiej rodziny królewskiej.
– Miałem na myśli Iwana Charkowa.
– Właściwie to jeden z powodów, dla których zgodziłem się ją kupić od francuskiego rządu.
– Znał pan Iwana Charkowa?
– Tak się składa, że Iwan i ja obracaliśmy się w zupełnie innych kręgach.
– A ja znałem go dobrze – chełpił się Martel, krocząc z gospodarzem przez główny hol pod czujnym okiem kamer. Madame Sophie i Olivia dreptały tuż za nimi. – Wielokrotnie gościłem Charkowa w moich restauracjach w Saint-Tropez i w Paryżu. Zginął w straszny sposób.
– Sprawka Izraelczyków. Takie krążyły pogłoski.
– To więcej niż pogłoski.
– Czyżby miał pan pewność?
– Tu, na Lazurowym Wybrzeżu, niewiele jest rzeczy, o których bym nie wiedział. Wyszli na taras, gdzie ostatni uczestnik przyjęcia czekał przy kolumnadzie.
– Chciałbym przedstawić panu Nicolasa Carnota – oznajmił Dmitri – mojego najbliższego współpracownika i doradcę. Pochodzi z Korsyki, ale proszę nie mieć mu tego za złe.

W willi nieopodal Ramatuelle Gabriel patrzył w skupieniu, jak Jean-Luc Martel reaguje na wyciągniętą do niego rękę. Nastąpiło kilka pełnych napięcia sekund, gdy dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, jak robią to tylko istoty do siebie podobne z urodzenia, wychowania i ambicji. Najwyraźniej Martel dostrzegł coś znajomego w twarzeniu z Korsyki. Gdy przedstawiał Carnota Olivii, ta wyjaśniła, że spotkali się już dwukrotnie w galerii. Ale wydawało się, że jej nie słyszy. Podziwiał butelkę Bandol rosé mrozącą się w wiaderku z lodem. Jego aprobatą nie była przypadkowa. Obecność win tej marki rzucała się w oczy we wszystkich barach i restauracjach Martela. Gabriel zamówił wystarczającą ilość tego trunku, by zwodować statek wypełniony haszyszem.

Na zaproszenie madame Sophie usiedli na kanapach i fotelach ustawionych w głębi tarasu. Zachowywała się chłodno, z dystansem obserwatora. Podobnie jak Gabriel. Stał przed monitorem i lekko przechylając głowę, obejmował dłonią brodę. Drugą ręką podtrzymywał kręgosłup, który nieustannie sprawiał mu ból. Obok stał Eli Lavon, a przy nim Paul Rousseau. Patrzyli z niepokojem, jak członek Grupy Alfa w śnieżnobiałej kelnerskiej tunice wyjmuje opróżnioną butelkę rosé z lodu i zręcznie umieszcza tam nową. A także jak madame Sophie dyskretnie poleca, by podał przekąski.

Gdy i te czynności nie pociągnęły za sobą ofiar ani skutków ubocznych, Rousseau z ulgą nabił fajkę i wydmuchał w stronę ekranu chmurę dymu. Madame Sophie również się odprężyła. Zapaliła gitane'a i z pomocą kciuka oraz palca serdecznego niepostrzeżenie zdjęła odrobinę tytoniu z koniuszka języka.

Zgodnie ze wskazówkami Gabriela konwersacja była uprzejma, lecz ostrożna. Prowadzili ją po angielsku ze względu na Dmitriego Antonowa, choć chwilami niekontrolowane wybuchy francuskiego wykluczały go z udziału w rozmowie. Nie czuł się obrażony. W gruncie rzeczy cieszyły go te chwile spokoju, pozwalały bowiem odetchnąć od Martela, który natarczywie wypytywał o jego interesy. Wyjaśnił mu, że

zrobił pieniądze na handlu rosyjskimi surowcami naturalnymi, które zdołał spieniężyć przed wielką recesją i spadkiem cen ropy. Natomiast ostatnio zaangażował się w liczne inicjatywy finansowe w Azji i na Zachodzie. Kilka, jak się okazało, było wysoce dochodowych.

– Niewątpliwie. – Martel zlustrował wzrokiem otoczenie.

Monsieur Antonow tylko się uśmiechnął.

– W co pan inwestuje?

– Och, w to co zawsze – odparł wymijająco. – Głównie folguję swojej namiętności do sztuki.

– Razem z Olivią marzymy, żeby zobaczyć pańską kolekcję.

– Może później, po lunchu.

– Powinien pan również obejrzeć jej galerię. Ma wiele interesujących prac.

– Z przyjemnością.

– Kiedy? – spytał szybko Martel.

– Jutro – powiedział Gabriel do ekranów i kilka sekund później Dmitri Antonow powtórzył:

– Jeśli można, wpadłbym jutro.

W końcu zasiedli do lunchu. Tu również Gabriel nie szczędził środków i nie pozostawił niczego przypadkowi. Co więcej, wynajął szefa kuchni słynnej paryskiej restauracji i prywatnym samolotem przewiózł go do Prowansji. Menu ułożyła madame Sophie: glazurowane kartofelki z kawiozem, tapioką i ziołami; carpaccio z tuńczyka żółtopłetwego z awokado, ostrą rzodkwią i imbirową marynatą; przegrzebki w sosie kaparowo-rodzyнковym z karmelizowanym kalafiozem; czarnomorski okoń zapiekany w ziarnach i orzechach z brązowym słodko-kwaśnym sosem. Martel był pod wrażeniem i zapragnął poznać kucharza. Ale madame Sophie, zapalając kolejnego gitane'a, wyraziła sprzeciw. Oświadczyła, że nigdy nie zezwala, by szef i jego zespół opuszczali kuchnię.

Przy deserze rozmowa zeszła na politykę – wybory w Stanach, wojnę w Syrii, dzihad w Europie. Na wzmiankę o islamie Martel gwałtownie się ożywił. Francja, którą kiedyś znali, już nie istnieje, pomstował. Wkrótce zmieni się w kolejną prowincję islamskiego Maghrebu. Gabriel uznał to za dość przekonujące przedstawienie, choć wydawało się, że Olivia nie podziela zdania partnera. Znudzona, poprosiła madame Sophie, by zechciała ją poczęstować papierosem.

– Jean-Luc ma bardzo radykalne podejście do mniejszości we Francji – wyznała. – Chciałabym mu jednak przypomnieć, że gdyby nie Arabowie i Afrykanie, nie znalazłby nikogo do zmywania naczyń w swych restauracjach i zmiany pościeli w hotelach.

Mina madame Sophie jasno wskazywała, że temat budzi jej niesmak. Poleciała obsłudze z Grupy Alfa, by przyniesiono kawę. Zbliżała się już piąta. Wszyscy się zgodzili, że oględziny kolekcji muszą poczekać do następnej okazji, choć widzieli już kilka arcydzieł, gdy przemierzali pod okiem kamer przepastne bawialnie i hole o różowych ścianach.

– Naprawdę chciałby pan odwiedzić jutro galerię? – zapytała Olivia, zatrzymując się przed parą weneckich scen z kanałami pędzla Guardiiego.

– Jak najbardziej – potwierdził Antonow.

– Jestem wolna o jedenastej.

– Raczej po południu – powiedział Gabriel do ekranu i po chwili Dmitri Antonow wyjaśnił, że rano musi załatwić kilka ważnych telefonów i wolałby odwiedzić galerię po lunchu.

– Oczywiście, jeśli to możliwe.

– Jak najbardziej. Bardzo proszę.

– Monsieur Carnot ustali szczegóły. Zdaje się, że ma numer pani telefonu.

Antonowowie pożegnali gości na portyku, o tej porze zalany łagodnym pomarańczowym światłem. Chwilę później znów stali na swym ulubionym tarasie, patrząc, jak czarne range rovery mkną w stronę willi po przeciwnej stronie Baie de Cavalaire. Jednocześnie odezwała się komórka madame Sophie.

– No i co? – spytał jej mąż.

– Mówią, że byliśmy świetni.

– Goście dobrze się bawili?

– Martel jest przekonany, że handlujesz bronią, udając ucziwego biznesmena.

– A Olivia?

– Nie może się doczekać jutra.

Dimitri Antonow z uśmiechem zdjął garnitur i poszedł popływać w basenie. Madame Sophie i monsieur Carnot patrzyli na niego z tarasu, dopijając resztę rosé. Wtem komórka Sophie zawibrowała, zwiastując nadchodzącą wiadomość.

– Co znowu? – spytał Carnot.

– Martel najwyraźniej uważa, że wyglądam na Żydówkę. – Zapaliła kolejnego papierosa i się uśmiechnęła. – Saladyn mówił to samo.

Saint-Tropez, Francja

Nazajutrz o dziesiątej rano place de l'Ormeau był niemal pusty, jedynie jakiś mężczyzna w późnym wieku średnim mył ręce pod studnią. Olivia miała wrażenie, że widziała go już w miasteczku wcześniej, raz, a może dwa, ale przyjrząwszy mu się bliżej, uznała, że się myli. Ciepłe kamienie bruku grzały jej stopy w sandałach, gdy szła przez plac do galerii. Wygrzebała z torebki klucze, stając przed drewnianymi drzwiami, otworzyła je i weszła do dusznego przedsionka. Potem otworzyła kolejne, z kuloodpornego szkła, i wyłączyła system alarmowy. Drzwi automatycznie się zablokowały, gdy je za sobą zamknęła.

Mroczny chłód wnętrza niósł upragnione wytchnienie po upale przedpołudnia. Olivia weszła do swego gabinetu i wcisnęła przełącznik, rozsuwając żaluzje i kraty. Potem jak zawsze ruszyła na górę do sal wystawowych, by sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu. Obrazy Lichtensteina, Basquiata i Dubuffeta w oknie wystawowym stanowiły zaledwie ułamek zasobów galerii. W jej profesjonalnej kolekcji znajdowali się Warhol, Twombly, de Kooning, Gerhard Richter i Pollock, a także wielu współczesnych artystów francuskich i hiszpańskich. Kupowała te dzieła rozważnie i zdobyła sobie godną zaufania klientelę wśród największych bogaczy Lazurowego Wybrzeża. Takich jak Dmitri Antonow, pomyślała.

Było to niezwykle osiągnięcie dla kobiety bez wyższego wykształcenia i fachowej wiedzy. Aż trudno uwierzyć, że przed kilkoma laty prowadziła podrzędną galerię, sprzedając kicze lokalnych artystów spoconym turystom, którzy chwiejnie schodzili ze statków wycieczkowych lub wysiadali z autokarów. Czasami próbowała uwierzyć, że zawdzięcza to wszystko własnej determinacji i zmysłowi handlowemu, ale przecież dobrze знаła prawdę. Była publiczną twarzą galerii, która nosiła jej nazwisko, tyle że całą kolekcję kupił Jean-Luc Martel. Podobnie jak i ją.

Spokojna, że obrazy przetrwały noc bez szwanku, poszła na dół, gdzie ujrzała swą recepcjonistkę, Monique, która stała przy ekspresie, napełniając kubek café crème. Była to chuda dwudziestoczterolatka o niemal płaskim biuście, żywa kopia tancerki Degasa. Wieczorami pracowała jako hostessa w jednej z restauracji Jean-Luca Martela, a teraz wydawała się półprzytomna z powodu zarwanej nocy. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej.

– Chcesz? – spytała, gdy ostatnia kropla gorącego mleka spłynęła do jej kubka.

– Proszę.

Monique podała Olivii kawę i odwróciła się do ekspresu, czekając na kolejną porcję.

– Masz przed południem jakieś spotkania? – spytała znudzonym tonem.

– Chyba ty powinnaś lepiej wiedzieć?

Monique skrzywiła się boleśnie.

– Kto to był tym razem?

– Amerykanin. Cudoowny... Z jakiejś Wirginii. – W jej ustach brzmiało to jak najbardziej egzotyczne i kuszące miejsce na świecie. – Hoduje konie.

– Myślałam, że nie znosisz Amerykanów.

– Jasne, że nie. Ale on jest bardzo bogaty.

– Zobaczycie się jeszcze?

– Może dziś wieczorem.

Albo nie, pomyślała Olivia. Kiedyś była taką dziewczyną jak Monique. Może jeszcze wciąż nią jest...

– Jeśli zechcesz zajrzeć do swojego kalendarza – powiedziała -to zobaczysz, że o jedenastej przychodzi Herr Müller.

Monique zmarszczyła brwi.

– Her Müller wciąż gapi się na moje cycki.

– Na moje też.

W gruncie rzeczy Herr Müller wolał oglądać Olivię niż jej obrazy. Nie on jeden zresztą. Jej uroda stanowiła oczywisty atut, lecz rozpraszała przy tym uwagę klientów i narażała na niepotrzebną stratę czasu. Bogaci i nie tylko bogaci mężczyźni umawiali się na wizyty w galerii jedynie po to, by spędzić kilka chwil w towarzystwie jej właścicielki. Niektórzy mieli czelność składać jej dwuznaczne propozycje, inni znikali, nie zdradziwszy swych prawdziwych intencji. Olivia zawsze umiała stworzyć wokół siebie aurę nieprzystępności. Choć nie żyła w formalnym związku, była dziewczyną JLM. We Francji wszyscy o tym wiedzieli. Równie dobrze mogła wypisać to sobie na czole.

Monique usiadła za szklanym blatem recepcji. Poza telefonem i terminarzem, w którym zapisywała umówione wizyty, nie było tam nic. Olivia niezbyt jej ufała. Wszystkie transakcje oraz sprawy administracyjne załatwiała sama, czasem z pomocą Jean-Luca. Monique była tylko kolejnym artystycznym obiektem, który, jeśli tak się złożyło, mógł najwyżej odebrać telefon. To Martel zatrudnił ją w galerii. Olivia nie miała wątpliwości, że byli kochankami. Ale nie żywiła niechęci do Monique. W gruncie rzeczy nieco jej współczuła. Wiedziała, jak to się skończy. Zawsze tak się kończyło.

Herr Müller spóźnił się dziesięć minut, co dotąd się nie zdarzało. Gruby i rumiany, miał oddech tchnący wczorajszym winem. Ostatni kontakt z chirurgiem plastycznym w Zurychu utrwalił na jego twarzy wyraz nieustannego zdziwienia. Interesował go obraz amerykańskiego artysty Philipa Gustona. Ostatnio podobna praca osiągnęła na aukcji w Stanach kwotę dwudziestu pięciu milionów. Herr Müller liczył, że kupi go od Olivii za piętnaście. Ona jednak zdecydowanie odmówiła.

– Ale ja muszę go mieć! – wykrzyknął zdesperowany, gapiąc się bezwstydnie na przód jej bluzki.

– A więc musi pan znaleźć jeszcze pięć milionów.

– Muszę się z tym przespać. Tylko proszę nikomu go nie pokazywać.

– W gruncie rzeczy zamierzam to zrobić jeszcze dziś po południu.

– Na Boga! Komu?

– Ależ Herr Müller! Byłabym niedyskretna.

– Czy to ten cały Antonow?

Nie odpowiedziała.

– Niedawno byłem na przyjęciu w jego willi. Ledwie to przeżyłem. Inni mieli mniej szczęścia. – Przygryzł wargę. – Szesnaście. Moje ostatnie słowo.

– Zaryzykuję i poczekam na monsieur Antonowa.

– Wiedziałem!

O dwunastej trzydzieści Olivia zdołała go wypchnąć na południowy żar. Gdy wróciła do biurka, dostrzegła w telefonie wiadomość od Jean-Luca. Leciał swym śmigłowcem do Nicei, gdzie przez całe popołudnie miał spotkania handlowe. Próbowwała odpowiedzieć, ale nie zareagował. Pomyślała, że jest już w powietrzu.

Odłożyła aparat na biurko, ale kilka sekund później zadzwonił. Nie poznała numeru, odebrała jednak połączenie i podniosła aparat do ucha.

– *Bonjour.*

– Madame Watson?

– Tak.

– Mówi Nicolas Carnot. Jedliśmy wczoraj lunch u...

– Tak, oczywiście. Jak się pan miewa?

– Chciałem zapytać, czy nadal jest pani gotowa przedstawić monsieur Antonowowi swoją kolekcję?

– Odwołałam w tym celu inne spotkania – skłamała. – O której chciałby przyjść?

– Czy godzina druga pani odpowiada?

– Jak najbardziej.

– Będę musiał wpaść nieco wcześniej, żeby się rozejrzeć.

– Słucham?

– Monsieur Antonow dba o swoje bezpieczeństwo.

– Zapewniam pana, że moja galeria jest zupełnie bezpieczna.

Odpowiedziało jej milczenie.

– O której chciałby pan przyjść? – spytała rozdrażniona.

– Jeśli można, to nawet zaraz.

– Proszę bardzo. Jestem teraz wolna.

– Znakomicie. Och, i jeszcze jedno, madame Watson.

– Tak?

– Pani recepcjonistka.

– Monique? Co z nią?

– Proszę dać jej jakieś polecenie. Tak, żeby na kilka minut wyszła z galerii. Zechce pani to dla mnie zrobić, madame?

Minęło pięć minut, nim recepcjonistka wyłoniła się w końcu z budynku. Przystanąła w południowym upale, rozglądając się w lewo i prawo. Potem, zwieszając ręce jak zwiędłe lodygi, przeszła apatycznie obok Kellera, który siedział w kawiarence obok. Szybko napisał krótki esemes i wysłał go do willi pod Ramatuelle. Odpowiedź przyszła natychmiast: „Helikopter Martela jest na wschód od Cannes. Działaj wedle planu”.

Jak każdy doświadczony agent terenowy z góry opłacił rachunek. Wstał, podszedł do drzwi galerii i nacisnął kciukiem dzwonek. Nikt nie odpowiedział. No cóż, pomyślał, zwrot akcji należy do reguł tej gry. Zadzwonił ponownie. Zamki otworzyły się z trzaskiem

i wszedł do środka.

Był jakiś inny. Bez wątpienia. Na pozór zdawał się tym samym gładkim obojętnym facetem, z którym jedli lunch u Antonowów – małowmnym, o niejasnej roli – ale jego zachowanie się zmieniło. Nagle wydał jej się bardzo pewny siebie i wagi swego zadania. Idąc przez galerię, zdjął okulary słoneczne i wsunął je na głowę. Uśmiechał się życzliwie, ale jego błękitne oczy miały poważny wyraz. Nie wyciągnął ręki na powitanie, tylko poinformował:

– Nastąpiła pewna zmiana planu. Niestety monsieur Antonow nie będzie mógł przyjść.

– Dlaczego?

– Wydarzyło się coś, co wymaga jego obecności. Nic groźnego, bynajmniej. Nie ma powodu do obaw. – Powiedział to wszystko z korsykańskim akcentem, nie przestając przyjaźnie się uśmiechać.

– A więc po co pan telefonował? – zapytała. – I dlaczego pan tu przyszedł?

– Ponieważ pewni przyjaciele monsieur Antonowa interesują się pani galerią i chcieliby zamienić prywatnie kilka słów.

– Cóż ich tak interesuje?

– Kilka z pani ostatnich transakcji. Niesłychanie korzystnych, lecz dość nietypowych.

– Transakcje w tej galerii – odparła chłodno – są sprawą prywatną.

– Nie tak prywatną, jak się pani zdaje.

Olivia czuła, że zaczyna ją palić twarz. Podeszła wolno do biurka Monique i podniosła telefon z ładowarki. Jej ręka drżała, gdy wybierała numer.

– Nie fatyguj się, Olivio. Twój mąż nie odpowie.

Gwałtownie podniosła wzrok. Nie mówił po francusku, lecz czysto brytyjskim angielskim.

– On nie jest moim mężem – usłyszała swój głos.

– Och tak, zapomniałem. Wciąż znajduje się w powietrzu – ciągnął. – Gdzieś między Cannes a Niceą. Ale podjęliśmy dodatkowe środki ostrożności, blokując wszystkie połączenia z jego numerem.

– My?

– Wywiad brytyjski – odparł spokojnie. – Proszę się nie niepokoić. Jesteś w dobrych rękach.

Przycisnęła telefon do ucha i usłyszała nagranie skrzynki głosowej Jean-Luca.

– Odłóż telefon, Olivio, i weź głęboki oddech. Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Jestem tu, żeby ci pomóc. Potraktuj to jako swoją ostatnią szansę. Na twoim miejscu bym ją wykorzystał.

Odłożyła telefon.

– Bardzo mądrze – powiedział.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Nicolas Carnot i pracuję dla monsieur Antonowa. Musisz to zapamiętać. A teraz weź torebkę, telefon i kluczyki do tego twojego pięknego range rovera. I proszę, pospiesz się. Nie mamy wiele czasu.

Ramatuelle, Prowansja

Range rover stał tam gdzie zawsze, nieprawidłowo zaparkowany przed restauracją Jean-Luca w Starym Porcie. Olivia wsunęła się za kierownicę i zgodnie z poleceniem Kellera ruszyła na zachód drogą biegnącą nad Zatoką Saint-Tropez. Dwukrotnie prosiła go o wyjaśnienie, dlaczego jej galeria interesuje wywiad brytyjski na tyle, by stosować równie wymyślne fortele. On zaś dwukrotnie zbył ją uwagami na temat krajobrazu i pogody, nie wychodząc z roli Nicolasa Carnota, przyjaciela Dmitriego Antonowa.

– Jakim cudem nauczyłeś się tak mówić?

– Czyli jak?

– Jak prawdziwy Korsykanin.

– Moja ciocia Beatrice pochodziła z Korsyki. Zaraz przeoczysz skręt.

– Gdzie mam teraz jechać?

Wskazał zakręt w kierunku Gassin i Ramatuelle. Ostro szarpnęła kierownicą w lewo i chwilę później kierowali się na południe w stronę górzystych terenów dzielących zatokę i Baie de Cavalaire.

– Dokąd jedziemy?

– Oczywiście spotkać się z przyjaciółmi pana Antonowa.

Dała za wygraną i odtąd zapadło milczenie. Żadne z nich nie odezwało się aż do chwili, gdy mijali Ramatuelle. Wtedy wskazał jej małą boczną drogę, która prowadziła wprost do willi. Brama była otwarta w oczekiwaniu na ich przyjazd. Olivia zaparkowała na dziedzińcu i wyłączyła silnik.

– Nie jest taka piękna jak Villa Soleil – powiedział – ale naprawdę wygodna.

Nagle w drzwiach samochodu stanął jakiś mężczyzna. Rozpoznała go. Widziała tego człowieka rano na place de l’Ormeau. Pomógł jej wysiąść i ruchem ręki wskazał wejście do domu. Natomiast mężczyzna, który przedstawiał się jako Nicolas Carnot – mówiący po francusku jak Korsykanin i po angielsku z eleganckim akcentem West Endu – podążał za nią.

– Czy on też jest z brytyjskiego wywiadu?

– Kto?

– Ten, który otworzył mi drzwi.

– Nikogo nie widziałem.

Odwróciła się, ale nieznajomy zniknął. Może był tylko wytworem halucynacji? Pomyślała, że to przez ten upał. Była bliska omdlenia.

Gdy podeszła do drzwi, te natychmiast się otworzyły. W wejściu stał Dmitri Antonow.

– Olivia! – zawołał serdecznie, jakby byli starymi przyjaciółmi. – Wybacz, że cię fatygowałem, ale niestety nie miałem wyjścia. Wejdz, proszę, i czuj się jak w domu. Wszyscy już są i nie mogą się doczekać, żeby w końcu poznać cię osobiście.

Mówił po angielsku z rosyjskim akcentem, ale nie wiedziała, na ile to wiarygodne.

W tym momencie nie była nawet pewna gruntu pod stopami.

Ruszyła za nim przez hol wejściowy i pod sklepieniem prowadzącym do salonu. Był wygodnie umeblowany, a na ścianach wisiały w ramach liczne płótna.

Wszystkie były czyste jak prześcieradło.

Poczuła, że uginają się pod nią nogi. Monsieur Antonow podtrzymał ją i delikatnie skierował w przód.

Nieco dalej zobaczyła kolejnych trzech mężczyzn. Jeden, wysoki i elegancki, wyglądał na stuprocentowego Anglika. Mówił coś spokojnie po francusku do wymiętoszonej postaci w tweedowym płaszczu, która wyglądała jak wyciągnięta z głębi antykwariatu. Obaj zamilkli, gdy weszła, a ich twarze obróciły się w jej stronę jak słoneczniki do porannego brzasku. Natomiast trzeci zdawał się nieświadomy jej obecności.

Z dłonią przyciśniętą do brody i lekko przechyloną w bok głową stał wpatrzony w jedno z pustych płócien. Miało identyczne wymiary jak wszystkie pozostałe, ale ustawiono je na sztalugach. Olivia zauważyła, że mężczyzna stoi przed nim w pozie tak naturalnej, jakby parał się na co dzień malarskim faszem. Był średniego wzrostu i szczupłej budowy. Krótko ostrzyżone włosy posiwiały już na jego skroniach, a wpatrzony w płótno oczy miały niespotykany odcień zieleni.

– Myślę – odezwał się w końcu – że wybrałbym ten. Subtelna technika rysunku, surowa dyscyplina warsztatu, a gra światła i barw tak wyrafinowana, że wręcz niewidoczna. Doprawdy podziwiam ich paletę.

Wyrzucił to z siebie w nieprzerwanym potoku francuskich słów z akcentem, którego nie umiała określić, gdyż był dziwaczną mieszanką niemieckiego i włoskiego. Mężczyzna nadal przyglądał się płótnu, nie zmieniając pozy.

– Kiedy zobaczyłem go pierwszy raz – ciągnął – pomyślałem, że jest wyjątkowy. Ale się myliłem. Identyczne dzieła zdają się specjalnością twojej galerii. Wygląda na to, że zmonopolizowałaś rynek pustych płócien. – Zielone oczy zwróciły się w końcu w jej stronę. – Gratulacje, Olivio. To prawdziwe osiągnięcie.

– Kim pan jest?

– Przyjacielem monsieur Antonowa.

– Też z wywiadu brytyjskiego?

– Ja? Skądże! Ale on tak. – Wskazał wytwornego mężczyznę, którego uznała za Anglika. – Jest nawet szefem brytyjskiej służby specjalnej, nazywanej czasem MI6. Jego nazwisko dawniej stanowiło tajemnicę państwową, ale czasy się zmieniły. Obecnie zdarza się nawet, że udziela wywiadów i pozwala się fotografować. Ongiś byłaby to herezja, ale tak już nie jest.

– A on? – spytała, patrząc na postać w pomiętych tweedach.

– To Francuz – wyjaśnił jej zielonooki rozmówca. – Kieruje czymś o nazwie Grupa Alfa. Może o nich słyszałaś? Nie tak dawno doszło do zamachu na ich siedzibę w Paryżu i wielu członków grupy straciło życie. Jak możesz się domyślać, chciałby odnaleźć tego, kto to zrobił. I liczy na twoją pomoc.

– Moją? – spytała z niedowierzaniem. – Jaką?

– Przejdziemy do tego za chwilę. Co do mnie, to jestem outsiderem. Pochodzę

z miejsca, o którym niechętnie się mówi.

Dopiero wtedy zdołała umiejscowić jego szczególny akcent.

– Jest pan z Izraela.

– Niestety tak. Ale wróćmy do rzeczy – dodał szybko. – To znaczy do ciebie i twojej galerii. To nie jest prawdziwa galeria, Olivio, prawda? Oczywiście od czasu do czasu sprzedajesz jakieś obrazy, jak choćby tego Gustona, którego próbowałaś wcisnąć biednemu Müllerowi za nieprzyzwoitą cenę dwudziestu milionów euro. Ale głównie służy jako maszyna do prania pieniędzy, które Jean-Luc Martel uzyskuje ze swego prawdziwego interesu, czyli handlu narkotykami.

Zapadła ciężka cisza.

– W tym momencie – podjął – powinnaś mi powiedzieć, że twój... – Urwał. – Przepraszam, ale jestem drobiazgowy. Jak właściwie określasz Jean-Luca?

– Jako swojego partnera.

– Partnera? To niefortunne.

– Dlaczego?

– Ponieważ słowo „partner” zakłada wspólnotę interesów.

– Chyba powinnam zadzwonić do mojego adwokata.

– Jeśli to zrobisz, stracisz jedyną szansę ratunku. – Zamilkł, jakby ważąc znaczenie tych słów. – Twoja galeria jest małą, lecz ważną częścią szeroko zakrojonej przestępczej działalności opartej na narkotykach. Napływają głównie z Afryki Północnej i przechodzą przez ręce grupy terrorystycznej o samozwańczej nazwie Państwo Islamskie. Jean-Luc Martel trudni się dystrybucją tych narkotyków tu, w Europie Zachodniej. Ma z ISIS wspólne interesy. Chcąc lub nie chcąc, pomaga finansować ich operacje. A zatem i ciebie obciąża odpowiedzialność.

– Niełatwo będzie to udowodnić we francuskim sądzie.

Uśmiechnął się pierwszy raz. Zimno i krótko.

– Godna podziwu odwaga – stwierdził z ironią – ale jakoś nie negujesz powiązań swojego męża.

– On nie jest moim mężem.

– Och, tak – rzucił wzgardliwie. – Zapomniałem.

To samo powiedział w galerii mężczyzna podający się za Nicolasa Carnota.

– A co do adwokata – ciągnął Izraelczyk – to nie będzie konieczny. Przynajmniej na razie. Bo widzisz, Olivio, w tym pokoju nie ma policji. Jesteśmy oficerami wywiadu. Oczywiście nie podważamy zasług policji, w żadnym wypadku. Oni robią swoje, a my swoje. Oni tropią przestępstwa i aresztują podejrzanych, my zdobywamy informacje. Ty je masz, a my ich potrzebujemy. Otwierasz nowy rozdział, Olivio. To twoja jedyna szansa. Gdybym był twoim prawnikiem, radziłbym ją wykorzystać. Lepszej oferty nigdy już nie dostaniesz.

Znów zapadło milczenie, tym razem dłuższe niż poprzednio.

– Przykro mi – odezwała się w końcu – ale nie mogę pomóc.

– Nie możesz, Olivio, czy nie chcesz?

– Nic nie wiem o interesach Jean-Luca.

– Czterdzieści osiem pustych płócien, które znalazłem w genewskiej strefie

bezcłowej, świadczy o czymś innym. Zostały tam wysłane z galerii Olivii Watson, a zatem na tobie, nie na nim ciążyą podejrzenia. I jak myślisz, co zrobi ten twój partner? Przybędzie z odsieczą? Własną pierśią osłoni cię przed kulami? – Wolno pokręcił głową.
– Nie, Olivio, nic podobnego. Z tego, co słyszałem o Jean-Lucu Martelu, nie jest to ten rodzaj mężczyzny.

Milczała.

– A więc co teraz zrobisz, moja droga? Czy zechcesz nam pomóc?

Potrząsnęła głową.

– Dlaczego nie?

– Bo jeśli to zrobię – odparła martwym głosem – Jean-Luc mnie zabije.

Znów się uśmiechnął. Tym razem chyba szczerze.

– Czy powiedziałam coś śmiesznego? – zapytała.

– Nie. Powiedziałas prawdę. – Zielone oczy przesunęły się z jej twarzy ponownie na puste płótna. – Co widzisz, kiedy na to patrzysz?

– Widzę coś, do czego zmusił mnie Jean-Luc, żebyśmy mogła zachować galerię.

– Ciekawa interpretacja. A wiesz, co ja widzę?

– Co?

– Widzę ciebie bez Jean-Luca.

– I jak wyglądam?

– Chodź tutaj, Olivio. – Odsunął się od płótna. – Zobacz to sama.

Ramatuelle, Prowansja

Zdjęto ze ścian puste płótna i wyniesiono sztalugi. Gdy ciemnowłosa, około trzydziestopięcioletnia kobieta podała zimne napoje, poproszono Olivię, by usiadła. Następnie elegancki Anglik i jego wymiętoszony francuski współnik zostali jej formalnie przedstawieni. Ich nazwiska miały znajome brzmienie. Również ostre rysy zielonookiego mężczyzny były jej skądś znane. Miała pewność, że już kiedyś go widziała. Nie potrafiła jednak przypomnieć sobie gdzie. Przedstawił się biblijnym imieniem Gideon, a teraz wolnym krokiem przemierzał pokój, podczas gdy wszyscy siedzieli znękanymi bezlitosnym upałem. Wiatrak w kącie pokoju obracał się jednostajnie, lecz bez efektu, a przez otwarte przeszklone drzwi wlatywały i wylatywały wielkie muchy. Nagle Izraelczyk zatrzymał się i błyskawicznym ruchem złapał którąś w powietrzu.

– Lubiałś to? – zapytał.

– Co?

– Oglądać swoją twarz w magazynach i na billboardach.

– To nie takie łatwe, jak może się wydawać.

– I nie uszczęśliwia?

– Nie zawsze.

– A imprezy i pokazy mody?

– Dla mnie te pokazy były ciężką pracą. A co do imprez... – dodała – to po chwili wszystkie stają się nudne.

Wyrzucił martwą muchę w oślepiający blask ogrodu i obracając się, zlustrował Olivię od stóp do głów.

– Czemu więc wybrałaś takie życie?

– Nie wybrałam. To ono wybrało mnie.

– Ktoś cię odkrył?

– Tak się to nazywa.

– Miałaś wtedy szesnaście lat, prawda?

– Widzę, że czytałeś o mnie w gazetach.

– Z dużym zaciekawieniem – przyznał. – Starłaś się o rolę statystki w filmie kostiumowym kręconym na wybrzeżu Norfolk. Nie dostałaś jej, ale ktoś z produkcji ci poradził, żebyś spróbowała modelingu. Dlatego postanowiłaś rzucić studia i wyjechać do Nowego Jorku w nadziei na karierę. W wieku osiemnastu lat byłaś jedną z najbardziej popularnych modelek w Europie. Czy coś przeoczyłem? – spytał po chwili milczenia.

– W istocie bardzo wiele.

– Na przykład?

– Na przykład Nowy Jork.

– No to może teraz ty opowiadaj. Od Nowego Jorku.

– To było prawdziwe piekło – oznajmiła.

Po podpisaniu umowy ze znaną agencją została ulokowana w zachodniej części

Manhattanu w mieszkaniu, gdzie zakwaterowano osiem innych dziewcząt. Spały na zmianę na piętrowych łózkach, a w ciągu dnia biegały na castingi i przesłuchania do potencjalnych klientów oraz młodych fotografików, którzy próbowali utorować sobie drogę do kariery. Jeśli miała szczęście, fotografik zgadzał się zrobić kilka testowych ujęć, które mogła umieścić w swym portfolio. Jeśli nie, wychodziła ze studia z niczym, by powrócić do zatłoczonej nory i walczyć z karaluchami i mrówkami. Wieczorami, podobnie jak reszta dziewcząt, zatrudniała się w nocnych klubach, by zarobić nieco na życie. Dwukrotnie napastowano ją seksualnie. Z drugiej napaści wyszła z podbitym okiem, co uniemożliwiło jej pracę na blisko miesiąc.

– Ale wytrwałaś – stwierdził.

– Chyba tak.

– A co się wydarzyło po Nowym Jorku?

– Wydarzył się Freddie.

Freddie, czyli Freddie Mansur. Znany w branży agent i drapieżny biznesmen o złej sławie. Freddie zabrał ją do Paryża i zaciągnął do łóżka. Podstawiał jej również narkotyki – marihuanę, kokainę i barbituraty na sen. Gdy jej dzienne spożycie kalorii spadło do głodowej normy, spadła również waga. Wkrótce pozostały z niej skóra i kości. Kiedy była głodna, zapalała papierosa lub wciągała kokę. Koka i tytoń. Freddie nazywał to dietą modelki.

– Ciekawe, że to nieźle działało. Im byłem chudsza, tym lepiej wyglądałam. Wewnątrz z wolna umierałam, ale kamera mnie kochała. A także reklamodawcy.

– Zostałaś supermodelką?

– Do tego daleko, ale nieźle sobie radziłam. Podobnie jak Freddie. Zabierał jedną trzecią moich zarobków. I jedną trzecią dochodów wszystkich innych dziewcząt, nad którymi roztaczał opiekę.

– I z którymi sypiał?

– Powiedzmy, że nasz związek nie był monogamiczny.

Gdy osiągnęła wiek dwudziestu sześciu lat, typ urody wychudzonej narkomanki, z jakim ją kojarzono, zaczął wychodzić z mody. Jej gwiazda z wolna gasła. Teraz głównie zatrudniano ją na wybiegach, gdzie wciąż istniało zapotrzebowanie na wysokie długonogie modelki. Prawdziwym punktem zwrotnym okazały się dla niej trzydzieste urodziny. Wyjaśniła, że życie modelki dzieli się na dwie części – przed i po trzydziestce. A po trzydziestce oferty z wolna wysychają. Borykała się jeszcze, walcząc o pracę, przez kolejne trzy lata, aż w końcu nawet Freddie poradził jej z tym skończyć. Najpierw napomknął o tym delikatnie, a gdy się opierała, zerwał z nią umowę oraz więzy osobiste i wyrzucił ją na ulicę. Była trzydziestotrzyletnią kobietą bez wykształcenia, pracy i domu.

– Ale za to bogatą – przypomniał Izraelczyk.

– Trudno tak to nazwać.

– To co zrobiłaś z tymi wszystkimi pieniędzmi?

– Pieniądze przychodzą i wychodzą.

– Narkotyki...

– I nie tylko.

– Lubiałaś brać.

– Potrzebowałam ich, a to różnica. Niestety Freddie porzucił mnie z kilkoma kosztownymi nałogami.

– I co wtedy zrobiłaś?

– Zrobiłam to, co zrobiłaby każda kobieta w mojej sytuacji. Spakowałam się i pojechałam do Saint-Tropez.

Za pieniądze, które jej zostały, wynajęła w górach dom, a właściwie rudere nieopodal stąd, i kupiła używany skuter. Spędzała dni na plaży Pampelonne, a noce w miejscowych klubach i dyskotekach. Oczywiście spotykała tam wielu mężczyzn – Arabów, Rosjan, siwowłosych europejskich podrywaczy. Z kilkoma poszła do łóżka w zamian za prezenty i pieniądze, choć czuła się jak prostytutka. Ale przede wszystkim szukała odpowiedniego partnera – kogoś, kto pomógłby jej utrzymać poziom życia, do którego przywykła. I nie budził wstrętu. Niebawem doszła do wniosku, że wybrała niewłaściwe miejsce, a ponieważ pieniądze topniały, podjęła pracę w małej galerii sztuki należącej do jakiegoś brytyjskiego emigranta. I wtedy przypadkowo poznała człowieka, który zmienił jej życie.

– Jean-Luca Martela?

Uśmiechnęła się mimo woli.

– Gdzie go spotkałaś?

– Gdzieżby, jak nie na przyjęciu? Jean-Luc był zawsze na przyjęciu. To jego życie.

Właściwie, jak wyjaśniła, nie było to ich pierwsze spotkanie. Poznali się wcześniej, na Tygodniu Mody w Mediolanie, ale Jean-Luc przyszedł wtedy z żoną i podając Olivii rękę, nawet nie podniósł wzroku. Kiedy jednak spotkali się ponownie, był już wdowcem, który z wolna odzyskiwał wolę życia po swej stracie i znów wchodził do gry. Olivia szaleńczo się w nim zakochała.

– Byliśmy jak Rosemary i Dick. W żaden sposób nie potrafiłam się oprzeć tej miłości.

– Rosemary i Dick?

– Rosemary Hoyt i Dick Diver. To bohaterowie powieści...

– Wiem, kim są, Olivio. Ale pochlebiasz sobie tym porównaniem.

Jego słowa były jak policzek. Okryła się rumieńcem.

– Czy jak inni dawał ci prezenty i pieniądze?

– Jean-Luc nie musiał płacić kobietom. Był szaleńczo przystojny i odnosił same sukcesy. Był... sobą.

– Jak sądzisz, co w tobie zobaczył?

– Sama zadawałam sobie to pytanie.

– I jaką znalazłaś odpowiedź?

– Uważał, że tworzymy zgrany zespół.

– A więc od początku było to partnerstwo?

– Mniej więcej.

– Czy kiedykolwiek rozważaliście małżeństwo?

– Ja tak, ale Jean-Luc nie był zainteresowany. Prowadziło to do strasznych awantur.

Powtarzałam, że nie chcę tracić najlepszych lat życia jako jego konkubina. Chciałam wyjść za mąż i mieć dzieci. W końcu jednak osiągnęliśmy kompromis.

- Jakiego rodzaju?
- Dał mi coś zamiast małżeństwa i dzieci.
- Co takiego?
- Galerię Olivii Watson.

Ramatuelle, Prowansja

Olivia przywykła do spojrzeń, jakimi pozerali ją mężczyźni. Na jej widok tracili oddech, zaczęli ciężko dyszeć, a w ich oczach pojawiał się obleśny wyraz pożądania. Zrobiliby wszystko, zapłacili każdą cenę, byle tylko wciągnąć ją do łóżka. Trzej mężczyźni stojący teraz przed nią – brytyjski superszpieg, francuski agent tajnych służb i ten Izraelczyk bez określonej przynależności, lecz z dziwnie znajomą twarzą – również się jej przypatrywali, ale z zupełnie innego powodu. Zdawali się zupełnie obojętni na moc jej urody. Nie była dla nich również obiektem podziwu. Stanowiła środek prowadzący do celu, którego na razie nie zamierzali ujawnić. I choć nie wiedziała, czy im się podoba, odczuwała ulgę, że mężczyźni tacy jak oni wciąż jeszcze istnieją. Kariera w przemyśle mody i dziesięć lat spędzonych w sztucznym świetle Saint-Tropez sprawiły, że nie miała najlepszego zdania na temat ich płci.

Galeria Olivii Watson...

Ta nazwa nie była jej pomysłem. To Jean-Luc ją wymyślił. Chciała powiesić nad wejściem znane wszystkim inicjały JLM, ale nalegał, by galeria nosiła jej nazwisko. Dał jej pieniądze na zakup starego pięknego budynku przy place de l'Ormeau, a potem sfinansował światowej rangi kolekcję sztuki współczesnej. Olivia pragnęła budować swoje zbiory powoli i z umiarem, kładąc szczególny nacisk na sztukę basenu Morza Śródziemnego. Ale Jean-Luc nie chciał o tym słyszeć. Nie tolerował wolnej żmudnej pracy, tłumaczyła. Uznawał tylko to, co imponuje klasą i rozmiarem. Galerię otwarto ze splendorem, jaki tylko on mógł zapewnić. Potem jednak usunął się w cień, oddając Olivii pełną kontrolę finansową i artystyczną.

– Ale tylko do pewnej granicy – dodała.

– Co to znaczy? – zniecierpliwiał się Izraelczyk. – Albo jest pełna kontrola, albo nie. Nie ma nic pośredniego.

– Owszem, jest, jeśli wchodzi w to Jean-Luc.

Poprosił o wyjaśnienie.

– Jean-Luc prowadził moje księgi podatkowe.

– Nie wydało ci się to dziwne?

– Wręcz przeciwnie, przyjąłam to z ulgą. W końcu byłam tylko eksmodelką, a on należał do czołówki biznesmenów.

– Kiedy się zorientowałaś, że coś nie gra?

– Po dwóch latach. A może trochę później.

– Jak to się stało?

– Zaczęłam sprawdzać pod jego nieobecność wyniki finansowe.

– I co odkryłaś?

– Że kupuję i sprzedaję więcej obrazów, niż wydaje się możliwe.

– Twoja galeria aż tak intensywnie się rozwijała?

– To zbyt oględnie powiedziane. W rzeczywistości w zaledwie drugim roku

działalności przekroczyliśmy dochody rządu trzystu milionów euro. Większość sprzedaży była czysto prywatna i dotyczyła obrazów, których nigdy nie widziałam.

– I co zrobiłaś?

– Doszło do konfrontacji.

– Jak zareagował?

– Poradził, żebym pilnowała własnych interesów. – Zamilkła, po czym dodała: –

I wcale nie żartował.

– A ty?

Zawahała się, po czym wolno pokręciła głową.

– Dlaczego?

Gdy milczała, sam udzielił sobie odpowiedzi.

– Bo miałaś idealne życie i nie chciałaś, żeby cokolwiek je zmieniło.

– Wszyscy idziemy na jakieś kompromisy.

– Ale nie wszyscy ich szukamy w ramionach międzynarodowego dilerka narkotyków. – Na chwilę zamilkł, by te słowa zdołały ją ugodzić. – Wiedziałaś, że na tym właśnie polegają interesy Jean-Luca.

– Wciąż tego nie wiem.

Izraelczyk przyjął jej odpowiedź z uzasadnioną wzgardą.

– Nie mamy wiele czasu, Olivio. Lepiej go nie traćmy na bezcelowe zaprzeczenia.

Znów nastąpiła cisza. Zakłóciło ją wejście Anglika, który się przedstawiał jako Nicolas Carnot. Podszedł do półki z książkami i przychyłając głowę, wyjął stamtąd tom w podniszczonej okładce. Była to powieść amerykańskiego pisarza Paula Bowlesa o tytule „Pod osłoną nieba”. Wsunął ją pod pachę i zerknąwszy na Olivię, znów wymknął się z pokoju. Spojrzała na Izraelczyka, ale jego wzrok jej nie osądzał.

– Miałaś mi powiedzieć – odezwał się w końcu – kiedy zrozumiałaś, że twój życiowy i biznesowy partner handluje narkotykami.

– Słyszałam plotki, jak wszyscy.

– Ale w odróżnieniu od wszystkich mogłaś sprawdzić, czy te plotki są prawdziwe.

Byłaś przecież oficjalnie właścicielką galerii, którą wykorzystywał jako jedną z najbardziej wiarygodnych pralni swych pieniędzy.

Uśmiechnęła się.

– Jest pan taki naiwny.

– Dlaczego?

– Bo Jean-Luc jak nikt potrafi ukrywać sekrety. – I dodała: – Niemal tak dobrze jak pan i pańscy koledzy.

– Jesteśmy fachowcami.

– On też – powiedziała ze smutkiem.

– Czy kiedykolwiek go spytałaś?

– Czy handluje narkotykami?

– Tak.

– Tylko raz. Roześmiał się. A potem powiedział, żebym nigdy więcej nie pytała o jego interesy.

– A ty?

– Już nigdy nie próbowałam.

– Dlaczego?

– Ponieważ słyszałam również inne plotki – odparła. – O tym, co stało się z tymi, którzy mu się narazili.

– A jednak z nim zostałam.

– Zostałam – odparowała – bo bałam się odejść.

– Bałaś się zerwania czy utraty galerii?

– Jednego i drugiego – przyznała.

Cień uśmiechu pojawił się w jego oczach, lecz zaraz zniknął.

– Podziwiam twoją szczerość, Olivio.

– I nic poza tym.

– Tak jak Nicolas Carnot, wstrzymuję się od ocen. Zwłaszcza że chodzi tu o ważną informację.

– Jaką informację?

– Taką jak na przykład organizacja firmy Jean-Luca. Na pewno wiele wiesz na temat jej struktur. Mówiąc najogólniej, są dosyć mętne. Obserwując to z zewnątrz, zdołaliśmy jednak zidentyfikować kilku z jego wspólników. Wiemy, że wszystkie branże – restauracje, hotele, sprzedaż detaliczna – mają swoich szefów. Ale mimo starań nie zdołaliśmy wskazać szefa komórki nielegalnych narkotyków, która podlega JLM.

– Pan żartuje.

– Tylko trochę. Czy to jeden człowiek, czy jest ich dwóch? A może sam nią kieruje?

Milczała.

– Czas, Olivio. Nie mamy wiele czasu. Musimy się dowiedzieć, jak Jean-Luc zarządza tym biznesem. Jak wydaje polecenia. Jak doprowadził do tego, że policja nawet nie próbuje go kontrolować. To nie sprawa osmozy czy telekinezy. Za tym wszystkim stoi ktoś zaufany. Ktoś, kto dba o jego interesy. Kto krąży w jego orbicie i wycofuje się, nie budząc niczyich podejrzeń. Ktoś, z kim kontaktuje się tylko osobiście, bez rozgłosu, w pomieszczeniu bez telefonów. Musisz wiedzieć, kim ten człowiek jest, Olivio. Może go znasz? A nawet się z nim przyjaźnisz?

– Nie przyjaźnię się z nim – odezwała się po chwili – ale go znam. I wiem, co robi, jeśli zdradzę, kim jest. Zabije mnie. Nawet Jean-Luc nie zdoła go powstrzymać.

– Nie pozwolimy cię skrzywdzić, Olivio.

Spojrzała na niego sceptycznie, on zaś udał, że czuje się lekko dotknięty.

– Pomyśl, ile kosztowało nas trudu, żeby doprowadzić do tego spotkania. Czy nie dowiedliśmy naszej fachowości? Nie uważasz nas za godnych zaufania?

– A kiedy stąd znikniecie, kto będzie mnie chronił?

– Ochrona nie będzie ci potrzebna – odparł. – Bo i ty znikniesz z nami.

– Dokąd mnie zabierzecie?

– To już zależy od ciebie i twojego rodaka. – Skinął w stronę szefa wywiadu brytyjskiego. – Oczywiście mógłbym ci zaoferować miłe lokum z widokiem na morze w Tel Awiwie, ale sądzę, że wybierzesz starą Anglię.

– Jak miałabym tam żyć?

– Oczywiście prowadząc galerię.

– Jaką galerię?

– Galerię Olivii Watson. – Uśmiechnął się. – Bo choć jej zbiory pochodzą z nielegalnych środków, pozwolimy ci ją zachować. Z dwoma wyjątkami.

– Jakimi?

– Gustona i Basquiata. Monsieur Antonow pragnie wystawić ci czek na pięćdziesiąt milionów za obie te prace. Powinno to zapobiec wszelkim podejrzeniom, jakie mógłby powziąć Jean-Luc w kwestii tego, jak spędziłaś dzisiejsze popołudnie. I bez obaw – dodał. – W odróżnieniu od monsieur Antonowa, pieniądze są prawdziwe.

– To bardzo hojnie z waszej strony – powiedziała, patrząc na niego zdumiona – ale wciąż nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– Chodzi o Paryż – odparł. – O Londyn i Antwerpię. A także Amsterdam, Stuttgart i Waszyngton. Chodzi również o setki innych zamachów, o których nie słyszałaś.

– Jean-Luc nie jest aniołem, ale nie jest też terrorystą.

– To prawda. Jesteśmy jednak pewni, że prowadzi z nimi interesy, co znaczy, że pomaga finansować ich akcje. Niestety więcej nie mogę ci powiedzieć. Im mniej wiesz, tym lepiej. To zasada, której w naszej branży przestrzegamy. Musisz natomiast wiedzieć, że dostałaś właśnie swoją życiową szansę. Możesz zacząć od nowa. Oto stoi przed tobą białe płótno, na którym namalujesz wszystko, co tylko zechcesz. Stracisz na tym tylko swoje obecne nazwisko. – Uśmiechnął się i spytał: – Zawieramy umowę, miss Wilson?

– Watson. Nazywam się Olivia Watson. I... tak – potwierdziła po chwili. – Zgadzam się.

Rozmawiali do późnego popołudnia, aż w końcu upał zelżał, a w ogrodzie i gaju srebrzystych drzew oliwnych pnących się po sąsiednim zboczach cienie się wydłużyły. Mówili o możliwości jej powrotu do Zjednoczonego Królestwa. O tym, jak odtąd ma się zachowywać w obecności Jean-Luca, a także jak postępować w przypadku nieprzewidzianego zagrożenia. Na tę okoliczność Izraelczyk przedstawił jej plan, który nazwał „wybiciem szyby”, uprzedzając, że należy go wdrażać tylko w ostateczności. Przekreśliłby on bowiem ogromny nakład czasu i wysiłku wielu osób, powodując milionowe straty z tytułu bezpowrotnie zmarnowanych kosztów operacji.

Dopiero wtedy spytał ją o nazwisko człowieka, któremu Jean-Luc powierzył swe narkotykowe imperium wartości miliardów euro. Brudną część JLM Enterprises, jak to określił. A zarazem część, która wspierała obroty pozostałych sektorów – restauracji, hoteli, sklepów i butików oraz galerii sztuki przy place de l’Ormeau. Gdy Olivia wymówiła to nazwisko po raz pierwszy, jej głos brzmiał tak cicho, jakby czyjaś dłoń zaciskała się na jej gardle. Izraelczyk poprosił, by zechciała je powtórzyć, a gdy zrobiła to głośniej, wymienił długie porozumiewawcze spojrzenie z Paulem Rousseau. Francuz powoli skinął głową i z uwagą zaczął przyglądać się swej fajce, podczas gdy w drugim końcu pokoju Nicolas Carnot wsuwał tom Bowlesa na poprzednie miejsce.

Potem nie wracali już do narkotyków, terroryzmu i powodów, dla których przywieźli ją do skromnej willi pod Ramatuelle. Znowu pojawił się monsieur Antonow z promiennym uśmiechem i rosyjską wylewnością, by dokonać przelewu pięćdziesięciu milionów euro z jego rachunku na konto galerii. Na koniec otwarto butelkę szampana, by uczcić transakcję. Olivia nie przełknęła nawet kropli z kieliszka, który wsunięto w jej

dłoń. Izraelczyk również nie tknął trunku. Pomyślała, że jest człowiekiem godnej podziwu dyscypliny.

Wkrótce po szóstej Nicolas Carnot oddał jej komórkę. Nie miała pojęcia, kiedy i jak ją zabrał. Przypuszczała, że wyciągnął aparat z jej torebki w drodze z Saint-Tropez. Na ekranie dostrzegła kilka nieprzeczytanych wiadomości. Ostatnią wysłał Jean-Luc chwilę wcześniej. Zawiadamiał, że właśnie wchodzi na pokład śmigłowca i za godzinę będzie w domu.

Spłoszona podniosła wzrok na Izraelczyka.

– Co mam mu odpowiedzieć?

– A co odpowiadasz zazwyczaj?

– Życzę mu bezpiecznej podróży.

– A więc to zrób. Mogłabyś też wspomnieć, że czeka go niespodzianka w postaci pięćdziesięciu milionów euro. To powinno poprawić mu nastrój. Ale nie pisz za dużo, bo osłabisz efekt.

Odpisała i pokazała mu tekst.

– Dobra robota.

Puknęła palcem w ekran i wysłała wiadomość w eter.

– Czas się żegnać – powiedział – bo inaczej twój powóz może się przemienić w dynię, prawda? – rzucił z uśmiechem.

Po wieczornym niebie pędziły z wiatrem ciemne chmury. Gdy kierowali się na południe w stronę Baie de Cavalaire, Nicolas Carnot mówił wyłącznie po francusku, i to tylko na temat obrazów oraz monsieur Antonowa. Należało je niezwłocznie dostarczyć do jego rezydencji, gdy pieniądze wpłyną na konto galerii.

– Madame Sophie – zakończył – wybrała już dla nich miejsce.

– Ona mnie nienawidzi – powiedziała Olivia.

– Przy bliższym poznaniu okazuje się znacznie miłsza.

– To Francuzka?

– A niby kto?

Antonowowie mieszkali na zachodnim brzegu zatoki, zaś Jean-Luc i Olivia na wschodnim. Gdy zbliżali się do małego marketu na rogu bulwaru Saint-Michel, Carnot polecił, by się zatrzymała. Mocno uścisnął jej dłoń i tym razem po angielsku zapewnił, że nie ma powodu do obaw i że postępuje właściwie. Potem życzył jej udanego wieczoru i uśmiechając się, jakby nic się nie wydarzyło, wysiadł z samochodu. Po raz ostatni widziała go w lusterku wstecznym, jak mknął w przeciwną stronę małym motocyklem. Ucieczka z miejsca zbrodni, pomyślała.

Ruszyła dalej wzdłuż zatoki i po kilka minutach dotarła do luksusowej willi, gdzie mieszkała z mężczyzną, którego właśnie zdradziła. Weszła do kuchni, nalała sobie duży kieliszek rosé i wyszła na taras. W ostrym świetle zachodzącego słońca widziała dalekie kontury monstrualnej willi monsieur Antonowa. W tej samej chwili zawibrował jej telefon. Spojrzała na ekran.

„Będę za pięć... Co to za niespodzianka?”

– Niespodzianka – powiedziała głośno – jest taka, że twój rosyjski przyjaciel i ta suka, jego żona, właśnie wypisali mi czek na pięćdziesiąt milionów euro. – Powtórzyła to

raz i jeszcze raz, aż w końcu sama w to uwierzyła.

Marsylia, Francja

Nazajutrz o jedenastej czterdzieści pięć kwota pięćdziesięciu milionów euro pojawiła się na koncie Galerii Olivii Watson, 9 place de l'Ormeau, Saint-Tropez, France. Pieniądze nie musiały daleko podróżować, gdyż zarówno nadawca, jak i odbiorca korzystali z banku HSBC mieszczącego się w Paryżu przy bulwarze Haussmanna. Wczesnym popołudniem spoczywały już natomiast spokojnie w renomowanym szwajcarskim banku w Genewie, na koncie kontrolowanym przez JLM Enterprises. Jednocześnie, o godzinie siedemnastej dwa obrazy – pędzla Gustona i Basquiata – dostarczono nieoznakowaną furgonetką do Villa Soleil. Za nią podążała swym czarnym range roverem Olivia Watson. W holu minęła Christophera Kellera, który właśnie wychodził. Pocałował ją serdecznie w oba policzki, skomplementował wygląd, istotnie olśniewający, po czym wskoczył na swój motor. Chwilę później mknął na zachód wzdłuż brzegu Morza Śródziemnego.

Zapadał zmierzch, gdy zbliżał się do przedmieść Marsylii. Na północy miasta, zwłaszcza w okolicach blokowisk Bassens i Paternelle, grasował groźny gang narkotykowy, ale Keller wybrał trasę prowadzącą przez spokojniejsze dzielnice po stronie wschodniej. Tunelem Prado-Carénage dotarł do Starego Portu, a stamtąd przebił się do rue Grignan, wąskiej i prostej jak linia. Wzdłuż niej jeden przy drugim pyszniły się sklepy Bossa, Vuittona i Armaniego. Był tam nawet salon jubilerski JLM. Gdy przejeżdżał obok, gotów był przysiąc, że czuje charakterystyczną woń haszyszu.

Kiedy opuścił centrum Marsylii i zagłębił się w *quartier* o nazwie Le Camas, pojawiły się brudne biedne ulice, a sklepy i kawiarnie wypełniała klientela złożona w głównej mierze z imigrantów i klasy robotniczej. Jedna z małych firm, ulokowana na parterze pokrytego graffiti bloku, który wychodził na place Jean Jaurès, handlowała przecenionymi artykułami elektronicznymi i telefonami komórkowymi. Kupowali je głównie klienci pochodzenia marokańskiego i algierskiego, ale właściciel sklepiku był Francuzem. Nazywał się René Devereaux. Posiadał wiele podobnych małych interesów w Marsylii, wszystkie były wysoce zyskowne, choć część z nich należała do kategorii zwanej ogólnie mianem rozrywki dla dorosłych. Sklep z elektroniką stanowił coś w rodzaju jego kwatery głównej. W biurze znajdującym się na pierwszym piętrze nie było żadnych telefonów ani elektroniki. Wydawało się to dość dziwaczne, zważywszy na to, że urzędował tam człowiek, który rzekomo zarabiał na życie sprzedażą nowoczesnych urządzeń tego typu. Ale René Devereaux nie używał telefonów. Mówiono również, że ponoć nigdy nie wysłał mejla ani esemesa. Komunikował się ze swymi kontrahentami i podwładnymi wyłącznie osobiście, najczęściej na zwirowanym placyku lub przy ulicznym stoliku dość przyjemnej kawiarni Au Petit Nice, położonej kilka kroków od jego sklepu.

Keller wiedział to wszystko, gdyż Devereaux był ważną postacią w świecie, w którym sam ongiś żył. Każdy, kto się otarł o kryminalne podziemie Francji, zdawał

sobie sprawę, że prawdziwy biznes Devereaux to handel narkotykami. Ale nie uliczna dilerka, tylko interesy na skalę kontynentu. Policja francuska również musiała o tym wiedzieć, ale w odróżnieniu od licznej konkurencji Devereaux nigdy nie spędził nocy za kratkami. Należał do mafii i był nietykalny. Aż do dziś, pomyślał Keller. Bo to właśnie jego nazwisko padło z ust Olivii Watson w konspiracyjnym domu pod Ramatuelle. To on kierował ruchem i to on rozprowadzał haszysz z doków południa Europy na ulice Paryża, Amsterdamu i Brukseli. To również on znał wszystkie sekrety Jean-Luca Martela. Mieli jedną jedyną szansę, by dyskretnie go zdjąć. Na szczęście dostali wsparcie najlepszych speców w branży.

Keller zostawił motor na skraju place Jean Jaurès i ruszył pieszo w stronę sklepiku Devereaux. Gdy oglądał towar w zagraconej witrynie, dostrzegł dwóch mężczyzn, z wyglądu Francuzów, którzy obserwowali go zza lady wewnątrz. Na pierwszym piętrze, za żaluzjami przeszklonych drzwi, które wychodziły na wałący się balkon, paliło się światło.

Keller odwrócił się i ruszył przed siebie. Po jakichś pięćdziesięciu metrach stanął obok zaparkowanej furgonetki. Za kierownicą siedział Giacomo, chłopak na posyłki Antona Orsatiego. Kolejni dwaj podkomendni dona, skuleni z tyłu, w części towarowej, nerwowo palili papierosy. Ale Giacomo sprawiał wrażenie spokojnego. Keller podejrzewał, że się przed nim popisuje.

- Kiedy ostatnio go widziałeś?
- Jakieś dwadzieścia minut temu. Wszedł na balkon zapalić.
- Jesteś pewien, że wciąż tam jest?
- Nasz człowiek obserwuje tył budynku.
- Gdzie są pozostali?

Młody Korsykanin skinął głową w stronę place Jean Jaurès. Roilo się tam od mieszkańców dzielnicy, często ubranych w tradycyjne stroje afrykańskie i arabskie. Nawet Keller nie potrafił wyłuskać w ich tłumie ludzi dona.

Spojrzał na Giancoma.

– Żadnych błędów, słyszysz? Bo będziesz odpowiadał za rozpoczęcie wojny. A wiesz, jak don to lubi.

- Wojny są dobre dla interesów.
- Ale nie dla kombatantów.
- Bez obaw, nie jestem już dzieciakiem. No i mam to. – Giacomo dotknął talizmanu na szyi. Był taki jak talizman Kellera. – A poza tym masz od niej pozdrowienia.
- Dodała coś jeszcze?
- Coś o kobiecie.
- Co?

Giancomo wzruszył ramionami.

– Znasz *signadore*. Mówi zagadkami.

Keller palił papierosa, kierując się do Au Petit Nice. Wewnątrz panował harmider. Marsylia grała z Lyonem. Ale na chodniku było kilka wolnych stolików. Przy jednym z nich siedział mężczyzna średniej budowy o gęstych, przetykanych srebrną siwizną włosach. Miał grube ciemne okulary. Dwaj siedzący obok ciemnoocy

dwudziestokilkuletni młodzieńcy z niezwykłą uwagą obserwowali przechodniów. Keller podszedł do siwowłosego mężczyzny i nieproszony usiadł przy jego stoliku. Na blacie stała butelka pastis i jedna szklanka. Dał znak kelnerowi, by przyniósł drugą.

– Wiesz – odezwał się po francusku – naprawdę powinieneś coś wypić.

– To ma smak benzyny słodzonej lukrecją – odparł Gabriel. Patrzył na dwóch przechodniów w długich szatach, którzy spacerowali pod rękę. – Nie mogę uwierzyć, że znów tu jesteśmy.

– W Au Petit Nice?

– W Marsylii.

– To nieuchronne. Nikt, kto chce przeniknąć europejską siatkę narkotykową, nie może ominąć Marsylii. – Keller również przyglądał się przechodniom. – Myślisz, że Rousseau dotrzyma słowa?

– A dlaczego nie?

– Ponieważ jest szpiegiem. Co oznacza, że kłamie dla zasady.

– Ty też nim jesteś.

– Ale nie tak dawno pracowałem dla dona Antona Orsatiego. Tego samego – dodał – który ma nam dziś pomóc w tej brudnej robótce. Ale jeśli Rousseau i jego kumple z Grupy Alfa przypadkiem nas obserwują, to don znajdzie się w dosyć kłopotliwej sytuacji.

– Rousseau nie chce mieć nic wspólnego z tym, co się tu wydarzy. A jeśli chodzi o dona – ciągnął Gabriel – to pomoc w tej brudnej robótce, jak to bezdusznie nazywasz, jest najlepszą decyzją, jaką podjął od czasu, gdy cię zatrudnił.

– Dlaczego?

– Bo po dzisiejszej nocy nikt nie tknie go nawet palcem. Będzie nietykalny.

– Masz mentalność przestępcy.

– To konieczne w naszej branży.

Kelner przyniósł drugą szklankę. Keller napełnił ją likierem, podczas gdy Gabriel sprawdzał coś w telefonie.

– Jakież problemy?

– Madame Sophie i monsieur Antonow kłócą się, gdzie powiesić nowe obrazy.

– A tak dobrze im szło.

– Owszem – przytknął Gabriel bez przekonania, wsuwając telefon do kieszeni kurtki.

– Myślisz, że im się uda?

– Mam pewne wątpliwości.

Keller upił nieco pastis.

– A co zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi obrazami po zakończeniu operacji?

– Coś czuję, że monsieur Antonow odkryje w sobie żydowskie korzenie i dokona hojnej darowizny na rzecz Muzeum Izraela.

– A pięćdziesiąt milionów euro, które dałeś Olivii?

– Niczego jej nie dałem. Kupiłem dwa obrazy z jej galerii.

– W tym rozróżnieniu – odrzekł Keller – nie widzę różnicy.

– To niewielka cena, jeśli doprowadzi nas do Saladyna.

- Jeśli... – zadumał się Keller.
- Czy to złudzenie – ocknął się nagle Gabriel – czy coś jest między tobą a...
- Owszem, złudzenie.
- To piękna dziewczyna. A kiedy wszystko się skończy, będzie bardzo zamożna.
- Trzymam się z dala od dziewczyn, które polują na bogatych francuskich dilerów

narkotyków.

- Czyżbyś już zapomniał, jak sam zrobiłeś pieniądze?

Keller, marszcząc brwi, wypił kolejny łyk pastis.

- A więc monsieur Antonow jest Żydem?

– Najwyraźniej.

– Nigdy bym nie zgadł.

Gabriel obojętnie wzruszył ramionami.

- Ja też jestem trochę Żydem. Wspominałem ci o tym?

– Być może.

Zapadła cisza. Gabriel posępnie wpatrywał się w ulicę.

- Nie mogę uwierzyć, że znów tu jesteśmy.

– To już nie potrwa długo.

Keller obserwował, jak dwaj mężczyźni zeskokczyli z tylnej części furgonu i weszli do sklepu René Devereaux. Potem spojrział na zegarek.

- Jakies pięć minut. Może mniej.

Ze swego stolika przed Au Petit Nice mieli ograniczony widok na to, co nastąpiło. Sekundy po tym, jak dwaj mężczyźni weszli do sklepiku, okno wystawowe rozjaśnił kilkakrotny błysk, który oświetlił ulicę. Był jednak tak słaby, że można by go wziąć za migotanie ekranu telewizora. Nie towarzyszył mu też żaden dźwięk, a przynajmniej nie taki, który mógłby dotrzeć do hałaśliwej kawiarni. Potem sklep pograżył się w głębokim mroku, jedynie mały neonowy panel na drzwiach oświetlał napis: FERMÉ. Wzdłuż chodnika obok spieszylu przechodnie, jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło.

Oczy Kellera skierowały się teraz na furgonetkę, z której Giancomo wyciągał wielkie prostokątne tekturowe pudło. Miało nietypowy kształt, gdyż zrobiono je na wymiar w papierni na Korsyce wedle zamówienia dona Orsatiego. Najwyraźniej było puste, gdyż Giancomo bez trudu przeszedł z nim przez ulicę, po czym wniósł je frontowymi drzwiami do sklepu. Ale po kilku minutach, gdy pudło znów się wyłoniło, dźwigało je dwóch mężczyzn, którzy weszli tam pierwsi, Giancomo zaś podtrzymywał z boku, jakby niósł trumnę. Dwaj mężczyźni wepchnęli pudło na tył furgonetki i wcisnęli się za nim, a Giancomo ponownie usiadł za kierownicą. Wóz bezgłośnie zjechał z krawężnika i po chwili zniknął za rogiem ulicy. Wewnątrz Au Petit Nice rozległ się gromki aplauz. Marsylia zdobyła nad Lyonem przewagę jednego gola.

- Nieźle – stwierdził Gabriel.

Keller sprawdził czas.

- Cztery minuty dwanaście sekund.

– Nie do przyjęcia na standardy Biura, ale na dziś więcej niż zadowalające.

– Na pewno nie chcesz przyłączyć się do zabawy?

- Wystarczy mi tego do końca życia. Ale przekaz donowi moje najlepsze życzenia

– odparł Gabriel. – I powiedz, że czek jest w drodze.

Keller wstał i go opuścił. Chwilę później, siedząc na motorze, przemknął obok Au Petit Nice, gdzie szpakowaty mężczyzna w grubych ciemnych okularach siedział samotnie, zastanawiając się, ile potrwa, nim Jean-Luc Martel odkryje, że szef jego narkotykowej sekcji zaginął.

Morze Śródziemne

„Celine”, superjacht Baia Atlantica 78, miał trzy kabiny, silnik diesla MTU zdolny rozwinąć prędkość pięćdziesięciu czterech węzłów i długi smukły dziób, który mógłby pomieścić mały helikopter. Ale Keller dotarł do niego mniej ostentacyjnym środkiem transportu, mianowicie małym pontonem, który czekał na niego w odludnej przystani przy ujściu Rodanu w pobliżu miasteczka Saintes-Maries-de-la-Mer. Przywiązał go do platformy kąpielowej i wspiał się do głównego salonu, gdzie don Orsati oglądał w telewizji mecz Marsylia-Lyon. W swym prostym korsykańskim odzieniu i zakurzonych sandałach uderzająco odstawał wyglądem od luksusowego wnętrza wykończonego skórą i egzotycznym drewnem. Giancomo stał na mostku ze sternikiem.

– Marsylia znów strzeliła gola. – Don był niepokieszony. Skierował pilota w stronę ekranu i ten niebawem zgasł.

Keller rozejrzył się po wnętrzu.

– Spodziewałem się czegoś nieco skromniejszego.

– Jestem za stary, żeby włóczyć się po Morzu Śródziemnym na rybackim kutrze. Poza tym będziesz się cieszył, że masz pod stopami dwadzieścia cztery metry pokładu. Podobno będzie wiać.

– Skąd to wytrzasnąłeś?

– Od przyjaciela przyjaciela.

– A sternik?

– Ten jest mój.

Keller spojrział w dół i po raz pierwszy spostrzegł kilka kropli wysychającej krwi.

– Miał na biurku broń, kiedy weszli – wyjaśnił don. – Dostał w ramię.

– Będzie żył?

– Niestety tak.

– Widział twoją twarz?

– Jeszcze nie.

– Zabrałeś młotek?

– Bardzo foremny – odparł don.

– Gdzie jest Devereaux?

– W jedyńce. Obawiałem się, że pobrudzi główną sypialnię.

Keller znów spojrział na podłogę.

– Ktoś naprawdę musi to zmyć.

– Nie ja. – Don się wzdrygnął. – Nie znoszę widoku krwi.

Jeden z ludzi donu czuwał przed drzwiami pojedynczej kabiny. Z wnętrza nie dochodził żaden odgłos.

– Jest przytomny?

– Sam zobacz.

Keller wszedł do środka i zamknął drzwi. W ciemnym pokoju unosiła się woń potu

i lęku, zmieszana ze słabym zapachem krwi. Włączył lampę w zabudowie i skierował światło na nieruchomą postać wyciągniętą na podwójnym łóżku. Srebrna taśma izolacyjna zasłaniała oczy i usta. Związane ręce przymocowano do torsu, a nogi skrzepowano w kostkach. Keller obejrzał ranę na prawym ramieniu. Spowodowała znaczny wpływ krwi, ale krwotok został zahamowany. Mimo to poślanie nasiąkło krwią. Przyjaciel przyjaciela, pomyślał, będzie musiał zmienić materac, kiedy to się skończy.

Zerwał taśmę z oczu leżącego. René Devereaux kilkakrotnie zamrugał powiekami. A gdy Keller nachylił się do światła, diler narkotyków drgnął z przerażenia. Najwyraźniej dobrze go znał.

– *Bonsoir*, René. Dzięki, że wpadłeś. Jak ramię?

Oczy tamtego groźnie się zwęziły, lęk zniknął. Chciał zasygnalizować Anglikowi z Korsyki, że nie można go zastrzelić, porwać ani związać jak zwierzynę łowną. Keller zerwał mu taśmę z ust, pozwalając, by wyraził swe zdanie.

– Jesteś trupem. Ty i ten tłusty Korsykanin, który cię najął.

– Masz na myśli dona Orsatiego?

– Sram na dona Orsatiego.

– To bardzo nierozważne słowa. Ciekaw jestem, czy powtórzyłbyś je donowi w twarz.

– Nasrałbym na niego. I tę jego rodzinę.

– Czyżby?

Keller wyszedł, mówiąc do Korsykanina stojącego przed drzwiami:

– Poproś jego wysokość, żeby tu zszedł.

– On ogląda mecz.

– Na pewno zdoła się oderwać – odrzekł Keller. – I przyniesiesz młotek.

Korsykanin wdrapał się zejściówką na górę i po chwili, nie bez trudu, don Orsati znalazł się na dole. Keller wprowadził go do kajuty i ustawił tak, by Devereaux mógł mu się przyjrzeć. Don uśmiechnął się, widząc jego nieskrywane zakłopotanie.

– Monsieur Devereaux pragnie ci coś powiedzieć – poinformował go Keller. – No proszę, René. Proszę, powtórz donowi Orsatiemu to, co przed chwilą powiedziałeś.

Wobec przeciągającego się milczenia Keller wyprowadził dona z kajuty. Potem stanął groźnie nad uwięzionym dilerem.

– Powiem tylko, że nie masz wielkiego wyboru. Dowiem się tego, co chcę wiedzieć, albo powtórzę donowi wszystkie te brzydkie rzeczy, które wygadywałeś o nim i jego ukochanej rodzinie. A wtedy... – Keller wznosił ręce, by wyrazić niepewność co do losu Devereaux w tym pełnym napięcia scenariuszu.

– Od kiedy to zbierasz informacje? – spytał Devereaux.

– Od kiedy zmieniłem fach. Teraz pracuję dla brytyjskiego wywiadu. Nie słyszałeś, René?

– Ty? Brytyjski szpieg? Nie wierzę.

– Czasem i ja w to nie wierzę. Ale tak się składa, że to prawda. I ty mi w tym pomożesz. Będziesz naszym zaufanym źródłem, a ja twoim oficerem prowadzącym.

– Chyba żartujesz.

– Pomyśl o swojej obecnej sytuacji. Jest naprawdę poważna. Tak jak nasza misja.

Musisz nam pomóc odnaleźć człowieka, który dyryguje wszystkimi zamachami terrorystycznymi tu, w Europie, a także w Ameryce.

– Jak miałbyś to zrobić? Na miłość boską, ja tylko handluję narkotykami.

– Cieszę się, że wyjaśniliśmy choć tyle. Ale przecież nie jesteś zwykłym dilerem, prawda? To słowo nie wystarczy, żeby opisać to, czym się naprawdę zajmujesz. Bo z tej nory na place Jean Jaurès kierujesz globalną siatką. A robisz to – dodał Keller – dla Jean-Luca Martela.

– Kogo? – spytał Devereaux.

– Jean-Luca Martela. Tego z restauracjami, hotelami i bujnymi włosami.

– A także z piękną angielską dziewczyną – dodał Devereaux.

– A więc go znasz?

– Jasne. Chodziłem do jego pierwszej restauracji w Marsylii. Był wtedy nikim. Teraz to wielka gwiazda.

– Dzięki narkotynom – dokończył Keller. – A dokładniej dzięki haszyszowi z Maroka. Haszyszowi, który rozprowadzasz po całej Europie. Imperium Martela nie istniałoby bez haszyszu. Ale tobie nigdy nie przyszło do głowy, żeby się od niego odciąć, bo wtedy musiałbyś szukać nowych sposobów prania pięciu lub sześciu miliardów rocznych profitów z twoich narkotyków. Te twoje rzekomo legalne interesy mogą ci zapewnić względną wiarygodność w oczach francuskich służb podatkowych, ale w żaden sposób nie mogłyby uzasadnić dochodów z globalnej sieci narkotykowej. W tym celu potrzebne jest wielkie wielobranżowe przedsięwzięcie. Konglomerat, który obraca setkami milionów dolarów rocznie w postaci kwitów fiskalnych. I który realizuje potężne projekty deweloperskie.

– A ponadto kupuje i sprzedaje obrazy. – Po chwili przerwy Devereaux dodał: – Od kiedy ją poznałem, wiedziałem, że będą kłopoty.

– Kogo?

– Te angielską sukę.

Keller zacisnął prawą dłoń w pięść i uderzył nią z całej siły w zakrwawione ramię Devereaux.

– Ale wracając do sprawy – ciągnął, gdy Francuz związał się z bólu – masz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o Jean-Lucu Martelu. Podasz mi dane dostawców w Maroku. Trasy przetrzutu narkotyków do Europy. Metody, którymi wprowadzacie uzyskane pieniądze w finansowy krwiobieg JLM Enterprises. Wszystko, René.

– A co, jeśli to zrobię?

– Nakręcimy wideo – odrzekł Keller.

– A jeśli nie?

– Zastosujemy metodę JLM. I nie będzie to miła kolacja ani nocleg w luksusowym apartamencie hotelowym.

Devereaux wykrzywił twarz w uśmiechu. A potem, z głębi gardła, obficie splunął gęstą flegmą Kellerowi w twarz. Ten spokojnie otarł się kawałkiem prześcieradła, po czym wyszedł do Korsykanina, by wziąć od niego młotek. Chwilę później wymierzył Devereaux kilka ciosów, koncentrując się na jego prawym ramieniu, lecz oszczędzając głowę i twarz. Gdy skończył, wspiął się po schodkach do głównego salonu, gdzie don

Orsati nadal oglądał mecz.

– Za to, co powiedział, czy za to, czego nie powiedział?

– Za to, co zrobił.

– Była krew?

– Trochę.

– Dobrze, że poczekałeś, aż wyjdę. Nie znoszę widoku krwi.

Telewizor zadrżał grzmiącym aplauzem.

– To pogrom – rzekł ponuro don.

– Tak – potwierdził Keller. – Miejmy nadzieję.

Morze Śródziemne

Christopher Keller jeszcze trzykrotnie odwiedzał najmniejszą z kabin na „Celine”. Pierwszy raz o jedenastej, drugi tuż po północy. Trzecią, najdłuższą wizytę rozpoczął o wpół do drugiej, doprowadzając Devereaux, bezwzględnego marsyjskiego kryminalistę winnego niejednej zbrodni, do spazmatycznych łkań i błagań o litość. Keller przystał na to, lecz pod jednym warunkiem. Devereaux miał odpowiedzieć na wszystkie pytania przed kamerą. W przeciwnym razie, zapewnił, złamie mu każdą kość, niespiesznie i z namysłem, przerywając jedynie dla chwili wytchnienia i refleksji.

Poczynił już zresztą w tym kierunku znaczne postępy. Prawe ramię Devereaux – to, w którym utkwiał pocisk – miało liczne złamania, podobnie jak jego łokcie, zarówno prawy, jak i lewy. Obie ręce znajdowały się w opłakanym stanie, a obrażenia prawego kolana wymagały interwencji medycznej, gdyż w przeciwnym razie przesłuchiwany diler mógł, niczym Saladyn, trwale utykać.

Transport Devereaux do salonu, gdzie na trójnogu umieszczono kamerę, był niełatwym zadaniem. Giancomo wciągał go po schodkach od góry, natomiast Keller pchał z dołu, odciążając jego pogruchotaną nogę. Podano mu koniak oraz środek przeciwbólowy tak silny, że znieczuliłby nawet brak kończyny, po czym Keller pomógł mu nałożyć jasnożółtą bluzę i przyczesał grzebieniem jego cienkie, przerzedzone włosy. Następnie włączył kamerę, starannie nastawił obiektyw i zadał pierwsze pytanie:

- Jak się nazywasz?
- René Devereaux.
- Gdzie pracujesz?
- Prowadzę sklep z elektroniką przy place Jean Jaurès.
- A czym naprawdę handlujesz?
- Narkotykami.
- Gdzie po raz pierwszy spotkałeś Jean-Luca Martela?
- W restauracji w Marsylii.
- Kto był jej właścicielem?
- Philippe Renard.
- Co faktycznie robił Renard?
- Handlował narkotykami.
- Gdzie on teraz jest?
- Nie żyje.
- Kto go zabił?
- Jean-Luc Martel.
- Jak go zabił?
- Młotkiem.
- Co teraz robi Jean-Luc Martel?
- Ma liczne restauracje, hotele i firmy handlowe.

– A co jest prawdziwym źródłem jego dochodu?

– Narkotyki – odparł René Devereaux.

Odwieźli go do Ajaccio o wpół do dziesiątej. Lotnisko leżało w zasięgu przyjemnego spaceru krętym brzegiem zatoki. Keller dotarł tam o jedenastej piętnaście po krótkim postoju na późne śniadanie i zakup ubrań na zmianę. Następny samolot do Marsylii startował w południe. Przebrał się w toalecie, po czym przeszedł przez odprawę celną, mając przy sobie jedynie portfel, paszport brytyjski i służbowy telefon z MI6. Znajdowało się w nim zabezpieczone licznymi szyframi skompresowane nagranie z przesłuchania René Devereaux. W tym momencie była to zapewne najważniejsza informacja pozyskana w globalnej wojnie z terroryzmem.

Wyłączył komórkę przed startem i włączył ją dopiero, gdy przechodził przez terminal w Marsylii. Michaił czekał na zewnątrz w maybachu Dmitriego Antonowa. Za kierownicą siedział Jakow Rossman. Wysłuchali nagrania przez wspaniałe samochodowe nagłośnienie, jadąc autostradą na wschód.

– Miñałeś się z powołaniem – orzekł Michaił. – Mógłbyś prowadzić wywiady w telewizji. Albo być wielkim inkwizytorem.

– Żałuj za grzechy, mój synu.

– Myślisz, że będzie żałował?

– Martel? Nie bez oporu.

– Po tym wideo w żaden sposób nie zdoła się wykręcić. Jest już nasz.

– Zobaczymy – stwierdził Keller.

Zbliżała się czwarta po południu, gdy maybach skręcał w bramę domu pod Ramatuelle. Po wejściu do środka Keller natychmiast przegrał plik z nagraniem do głównej operacyjnej sieci komputerowej. Chwilę później na monitorach pojawiła się twarz Devereaux.

„Gdzie jest teraz Philippe Renard?”

„Nie żyje”.

„Kto go zabił?”

„Jean-Luc Martel”.

„Jak go zabił?”

„Młotkiem”.

I tak to wyglądało przez blisko dwie godziny. Nazwiska, daty, miejsca, trasy, metody, pieniądze... Wszystko sprowadzało się do pieniędzy. Pod bezlitosnym gradem pytań Kellera – i niewidoczną w nagraniu groźbą w postaci młotka – René Devereaux zdradzał najcenniejsze sekrety swojej siatki. Opowiadał, jak zbierano pieniądze od ulicznych dilerów i jak przechodziły do pralni, którą była JLM Enterprises. A także w jaki sposób po wypraniu i wyprasowaniu je rozmieszczano. Odpowiedzi były szczegółowe niczym obraz wysokiej rozdzielczości. Niepodważalne. Jean-Luc znalazł się na ich celowniku. Ale kto miałby podać mu pomocną dłoń? Paul Rousseau zadeklarował gotowość.

– Martel – powiedział – to francuski problem. I tylko francuskie rozwiązanie wchodzi w rachubę.

Tak więc z pomocą Gabriela przygotowali odpowiedni fragment przesłuchania

długości trzydziestu trzech sekund. Był to na razie zwiastun, przystawka. Miłosny zew, jak to określił Gabriel.

Martel brylował w barze swej restauracji w Starym Porcie, kiedy dostał ten fragment wraz z anonimowym esemesem. Jego aparat pozostawał pod pełną obserwacją, co pozwoliło Gabrielowi, Rousseau i pozostałym członkom zespołu widzieć kolejne etapy ogarniającej go paniki. Na dokładkę kilka minut później nadeszło drugie nagranie. Przedstawiało krótki seksualny kontakt Martela z Monique, recepcjonistką z galerii Olivii. Nagrał je ten sam aparat, który Martel trzymał teraz w dłoni. Ta zaś, z perspektywy zespołu obserwatorów, drżała w niekontrolowany sposób.

W tym momencie Rousseau bezpośrednio się z nim połączył. Brak odpowiedzi nikogo nie zdziwił, ale w związku z tym Francuz musiał nagrać swoje warunki na pocztę głosową. Sprowadzały się jednoznacznie do bezwzględnej kapitulacji.

Jean-Luc Martel miał stawić się niezwłocznie w Villa Soleil, i to sam, bez obstawy. Każda próba ucieczki, ostrzegął Rousseau, zostanie udaremniona. Jego samoloty i helikoptery nie otrzymają zgody na start, a potężny jacht nie opuści przystani.

– Oczywiście wszelkie twoje ruchy i kontakty są objęte nadzorem – mówił. – Masz tylko jedną szansę, żeby uniknąć aresztowania i ruiny finansowej. Radziłbym z niej skorzystać.

Na tym skończył nagranie. Nim Martel odsłuchał wiadomość, upłynęło pięć minut. Od tej pory rozpoczęło się oczekiwanie. Gabriel stał przed monitorami, obejmując dłonią brodę i lekko przechylając głowę, podczas gdy w ogrodzie Christopher Keller miazdzył młotkiem swój służbowy telefon z MI6.

Rousseau przyglądał się tej akcji przez przeszklone drzwi. Gotów był zaproponować Martelowi jedną jedyną szansę ratunku. Miał tylko nadzieję, że ten wykaże dość rozsądku, by z niej skorzystać.

Lazurowe Wybrzeże

Tym razem zostawili bramę otwartą, choć za sugestią Gabriela zablokowali drogę wokół willi na wypadek, gdyby Jean-Luc zmienił plany i próbował uciekać na zachód wzdłuż Lazurowego Wybrzeża. Przyjechał jeszcze tego wieczoru, o dwudziestej pierwszej piętnaście, po serii napiętych rozmów telefonicznych z Paulem Rousseau. Był sam i z miejsca oświadczył, że jego obecność tutaj wcale nie oznacza przyznania się do zarzutów. Nigdy nie widział człowieka z nagrania wideo, a jego oskarżenia są groteskowe.

Zajmuje się hotelarstwem i sprzedażą luksusowych towarów, z narkotykami nie ma nic wspólnego. A każdy, kto będzie rozgłaszał co innego, odpowie za to przed prawem. Rousseau spokojnie mu wyjaśnił, że rzecz nie dotyczy indywidualnego problemu prawnego, lecz narodowego bezpieczeństwa Francji. W trakcie ostatniej ostrej wymiany zdań Martel sprawiał wrażenie zaniepokojonego i domagał się kontaktu z prawnikiem.

– Żadnych prawników – oświadczył Rousseau. – Będą nam tylko przeszkadzać.

Tym razem, jak poprzednio, oczekiwał go na dziedzińcu Roland Girard z Grupy Alfa. Powitanie było jednak znacznie mniej przyjazne.

– Jesteś uzbrojony?

– Nie bądź śmieszny.

– Podnieś ręce do góry.

Martel niechętnie usłuchał. Girard starannie go przeszukał, począwszy od karku, a kończąc na kostkach stóp. Potem wyprostował się i spojrzał w rozwścieczone ciemne oczy.

– Chciałbyś mi coś powiedzieć, Jean-Luc?

Martel jednak nie podjął rozmowy.

– Tędy. – Girard ujął go pod łokieć i wprowadził do willi.

– Jean-Luc! Wybacz, proszę, okoliczności tego zaproszenia, ale chcieliśmy jakoś przyciągnąć twoją uwagę. – Były to ostatnie francuskie słowa wypowiedziane przez Kellera. Odtąd posługiwał się czysto brytyjskim angielskim. – Nie mamy dużo czasu, a stawką jest wiele ludzkich istnień. Tędy, proszę.

Martel stał znieruchomiały.

– Coś nie tak, Jean-Luc?

– Ty nie jesteś...

– Nie, nie jestem Francuzem – skończył za niego Keller. – I nie pochodzę z Korsyki. Sfingowaliśmy wszystko na twój użytek. Muszę przyznać, że stanowiłeś obiekt dość skomplikowanego spisku.

Oszołomiony Martel ruszył za nim do największego z salonów. Długie białe zasłony wydymały się i trzepotały jak żagle na wieczornym wietrze. Natalie, w dresie i swych neonowo zielonych adidasach, siedziała na jednym końcu kanapy, a Michał – w dżinsach i bawełnianej bluzie – na drugim. Paul Rousseau oglądał jeden z obrazów,

a w odległym rogu pokoju, sam na swej prywatnej wyspie, Gabriel przypatrywał się uważnie Martelowi. To Rousseau, obracając się, przemówił pierwszy.

– Pragnąłbym powiedzieć, że miło nam cię poznać. Ale tak nie jest. Patrząc na ciebie, zastanawiam się, dlaczego robimy to, co robimy. Dlaczego tyle poświęcamy. I tak ryzykujemy. Mówiąc szczerze, bezpieczeństwo takich jak ty niewarte jest tej ceny. Nie o to jednak dziś chodzi. Dziś potrzebna jest nam twoja pomoc. Dlatego jesteśmy skłonni, choć niechętnie, powitać cię wśród nas.

Oczy Martela przesuwają się z jednej osoby na drugą – z rzekomego monsieur Carnota na rzekome małżeństwo Antonowów, a potem na milczącą postać, która obserwowała go z samotnego stanowiska w odległym kącie pokoju. Na koniec znów spoczęły na twarzy Rousseau.

– Kim jesteś? – spytał.

– Moje nazwisko – usłyszał w odpowiedzi – nie ma żadnego znaczenia. W branży, w której pracujemy, nazwiska są nieważne, co zapewne do tej pory zdążyłeś zauważyć.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla jednego z wydziałów ministerstwa spraw wewnętrznych.

– DGSİ?

– To też nieistotne. W rzeczywistości – dodał Rousseau – jedyny znaczący aspekt mojej pracy polega na tym, że nie jestem funkcjonariuszem policji.

– A tamci? – Martel rozejrzał się po pokoju.

– To moi współpracownicy.

– Ten też? – Zerknął na Gabriela.

– Możesz go uznać za obserwatora.

Martel zmarszczył brwi.

– Co ja tu robię? O co chodzi?

– O narkotyki – odparł bez ogródek Rousseau.

– Już mówiłem, że nie zajmuję się narkotykami.

Francuz wolno wypuścił powietrze z płuc.

– Zostawmy to na razie, dobrze? Doskonale wiesz, jak zarabiasz, i my też wiemy.

W sprawiedliwym świecie byłbyś teraz skuty kajdankami. Ale nie muszę mówić, że to nie jest sprawiedliwy świat, lecz tonący w chaosie, niebezpieczny bajzel. Tyle tylko, że ta twoja praca – Rousseau wzgardliwie zaakcentował ostatnie słowa – stawia cię w wyjątkowej sytuacji. Daje ci szansę, żeby coś z tym zrobić. Jeśli nam pomożesz, jesteśmy gotowi potraktować cię nader tolerancyjnie. I równie nietolerancyjnie w przypadku, gdybyś odmówił.

Martel wyprostował ramiona, co sprawiło, że stał się jakby wyższy.

– To wasze wideo – powiedział – niczego nie dowodzi.

– Słyszałeś tylko niewielki fragment. Całość nagrania trwa ponad dwie godziny i jest niezwykle szczegółowa. Mówiąc w skrócie, obnaża wszystkie twoje brudne sekrety. Gdyby taki dokument wpadł w ręce policji, bez wątpienia spędziłbyś resztę dni za kratkami. Bo tam – Rousseau spojrzął mu w twarz – jest twoje miejsce. Gdyby zaś nagranie dostało się w ręce jakiegoś nieprzekupnego reportera, który nie chce uwierzyć w bajkowe dzieje fortuny JLM, twoje handlowe imperium poniosłoby katastrofalne

konsekwencje. A wszyscy twoi potężni przyjaciele, ci, którym fundujesz luksusowe kolacje, drogie alkohole i hotelowy blichtr, opuściliby cię jak szczury, które uciekają z tonącego okrętu. Nikt by cię już nie chronił.

Martel otwierał usta, by coś powiedzieć, ale Rousseau nie przerywał:

– No i jest jeszcze sprawa galerii Olivii Watson. Mielśmy okazję przyjrzeć się kilku z jej transakcji. Najogólniej mówiąc, są podejrzane. Zwłaszcza te czterdzieści osiem pustych płócien, które zostały wysłane do genewskiego Freeport. Postawiłeś madame Watson w godnej pożałowania sytuacji. Jej galeria, jak i reszta twojego imperium, to kryminalny biznes. Cóż, zapewne sam zdołałbyś się z tego wywinąć, ale twoja żona...

– Ona nie jest moją żoną.

– Och, tak, wybacz – wycofał się Rousseau. – Jak zatem ją określać?

– Ją też w to wciągasz? – Martel zignorował pytanie.

– Madame Watson nic nie wie i wolelibyśmy, żeby tak zostało. Nie należy włączać jej w tę sprawę. Przynajmniej na razie. – Rousseau urwał, po czym spytał: – Jak wyjaśniłeś swoje obecne wyjście?

– Powiedziałem, że mam służbowe spotkanie.

– Uwierzyła?

– Dlaczego nie?

– Bo masz na swoim koncie już nie jeden grzech. – Rousseau uśmiechnął się poufale. – To nie moja sprawa, co robisz w wolnym czasie. Obaj jesteśmy Francuzami i ludźmi światowymi. Chcę cię zapewnić, że nie miałyby dla nas znaczenia, gdyby madame Watson nabrała podejrzeń, że byłeś dziś z inną kobietą.

– Może dla was nie – rzekł Martel. – Ale dla mnie...

– Och, na pewno coś wymyślisz. Zawsze to przecież robisz. Ale wracając do sprawy – ciągnął Rousseau. – Do tej pory chyba już zrozumiałeś, że jesteś celem starannie zaplanowanej operacji. Czas więc przejść do następnego etapu.

– Następny etap?

– Twoja stawka – potwierdził Rousseau. – Musisz nam pomóc go znaleźć. Bo jeśli nie, poświęcę resztę życia, żeby cię zniszczyć. A także madame Watson. – Po chwili ciszy dodał: – Może zresztą mało cię obchodzi, że to ona zapłaci za ciebie rachunek. Może takie sentymenty uznasz za staromodne. Chyba że nie jesteś facetem tego rodzaju.

Martel spokojnie odparł jego wzrok. Ale gdy spojrzał w stronę Gabriela, utracił nieco pewności siebie.

– A teraz – orzekł Rousseau – zapewne nadszedł już czas, żebyś wysłuchał reszty zeznań Devereaux. Nie całości, gdyż trwałoby to za długo. Tylko pewnej części.

Zerknął na Michaiła, który wcisnął klawisz laptopa. Pokój wypełniły głosy dwóch mężczyzn mówiących po francusku. W jednym brzmiał wyraźny akcent korsykański, w drugim tłumiony ból.

„Skąd sprowadzacie te narkotyki?”

„Sprowadzamy je zewsząd. Z Turcji, Libanu, Afganistanu, zewsząd”.

„A haszysz?”

„Haszysz pochodzi z Maroka”.

„Kto jest waszym dostawcą?”

„Było ich kilku. Ale teraz pracujemy z jednym. To największy producent w tym kraju”.

„Nazwisko?”

„Muhammad ”.

„Jaki Muhammad ?”.

„Bakkar”.

Michaił zatrzymał nagranie. Rousseau spojrział na Martela i się uśmiechnął.

– Właśnie stąd moglibyśmy zacząć – powiedział. – Od Muha-mmada Bakkara.

Lazurowe Wybrzeże, Francja

Jest wiele powodów, z których człowiek zgadza się podjąć współpracę ze służbami specjalnymi, z czego tylko nieliczne zasługują na szacunek. Czasem skłania do tego zwykła chciwość, kiedy indziej przekonania polityczne. Bywa również, że jest to reakcja ludzi zawiedzionych, takich, którzy nie awansują, podczas gdy inni, w ich mniemaniu gorsi, pną się szybko po drabinie sukcesu. Odrobina pochlebstwa i worek pieniędzy skłania te godne pogardy indywidua do zdrady tajemnic, o które się otarli lub do których zyskali dostęp w trakcie obsługi sieci komputerowych. Zawodowi agenci nader chętnie korzystają z usług takich osób, choć po cichu głęboko nimi gardzą. Podobnie jak gardzą tymi, którzy dopuszczają się zdrady swego kraju, powołując się na sumienie. W branży są traktowani jako pożyteczni idioci, zaś z fachowego punktu widzenia stanowią najniższą formę bytu.

Zaufania fachowców nie budzą również ci, którzy dobrowolnie oferują gotowość współpracy. Trudno bowiem ocenić ich faktyczne motywy. Dlatego rekruterzy zdecydowanie wolą sami dokonać wyboru kandydata, a dopiero potem zrobić pierwsze kroki, by go pozyskać. Zazwyczaj służą temu różnego rodzaju prezenty. Bywa jednak, że w grę wchodzi mniej przyjazne metody. Dlatego rekruter zawsze bacznie obserwuje wszelkie słabości i błędy – pozamałżeńskie związki, skłonność do pornografii, matactwa finansowe. To najważniejsze klucze dostępu, otwierają bowiem dowolne drzwi. Ponadto środki przymusu jasno precyzują intencje, oświetlają ciemne zaułki ludzkich serc. Człowiek, który szpieguje z braku wyboru, jest bardziej czytelny niż ten, który wkracza do ambasady z walizką pełną skradzionych dokumentów. Z drugiej strony agent zwerbowany pod przymusem nigdy nie budzi pełnego zaufania. Wiadomo bowiem, iż w końcu zechce się odegrać za doznane krzywdy, a presji ulega dopóty, dopóki lęka się ujawnienia swych występków. Stąd nierzadko się zdarza, iż szpieg i jego opiekun wikłają się nawzajem w obopólnie niszczące relacje.

To właśnie do tej kategorii należał Jean-Luc Martel – hotelarz, restaurator, producent odzieży i biżuterii, ale nade wszystko międzynarodowy diler narkotyków. Nie oferował dobrowolnie swych usług i nie skłoniła go do tego perswazja. Został zidentyfikowany, oszacowany i wybrany w wyniku skomplikowanej i kosztownej operacji. Gruntownie przebadano jego związek z Olivią Watson, bezlitośnie poturbowano współnika, a jemu samemu zagrożono więzieniem i ruiną finansową. Na tym jednak rekrutacja się nie kończyła. Środki przymusu otwierały wprawdzie drzwi, lecz zawarcie umowy wymagało kunsztu i zachęty. Za wszelką cenę należało osiągnąć kompromis. Bezwarunkowo. Potrzebowali Jean-Luca znacznie bardziej niż on ich. Handlarzy narkotyków są tysiące. Saladyń był tylko jeden.

Martel nie poddał się bez walki swemu losowi, ale tego należało oczekiwać. W końcu niełatwo zastraszyć człowieka, który zamordował nie tylko własnego ojca, lecz i opiekuna. Robił uniki, atakował, uciekał się do gróźb. Ale Rousseau nie dał się

sprovokować. Był szermierzem wytrawnym – na pozór niegroźnym, a przy tym opanowanym i wręcz przesadnie cierpliwym. Martel często testował jego wyrozumiałość, choćby żądając gwarancji dożywotniego immunitetu na oficjalnym druku z pieczęcią ministerstwa spraw wewnętrznych. Takiego przywileju Rousseau nie mógł mu zapewnić, działał bowiem nie tylko bez pełnomocnictw ministerstwa, lecz i bez wiedzy zwierzchnictwa DGSI. Z uśmiechem odnosząc się do tych żądań, skinął tylko głową w stronę Michaiła, który włączył zeznania René Devereaux.

– On kłamie – warknął Martel, gdy nastąpiła przerwa. – To oczywiste bzdury.

Jednak w tej samej chwili – jak wspominał później Gabriel, a potwierdziła ukryta kamera – zapal go opuścił. Ciężko usiadł obok Michaiła, co sprawiało dość dziwne wrażenie, i wbił wzrok w Natalie, która z kolei zapatrzyła się w podłogę. Nastąpiła długa cisza. Tak długa, że Rousseau postanowił włączyć kolejny fragment nagrania. Dotyczył niejakiego Muhammada Bakkar, jednego z największych producentów haszyszu w Maroku, a zdaniem niektórych największego. Człowiek ten obwołał się królem gór Rif, regionu upraw haszyszu, który tam przetwarzano, a następnie eksportowano nie tylko do Europy, lecz i poza jej granice. Wedle słów Devereaux, Bakkar był wyłącznym dostawcą Martela.

– Przypuszczam – odezwał się spokojnie Rousseau – że słyszałeś to nazwisko.

I wtedy Martel niewidzialnie skinął głową, potwierdzając. Zaraz też przesunął wzrok z Natalie na Kellera, który w opiekuńczej pozie stanął za nią. Keller go oszukał i zdradził, a jednak w tym momencie wydawało się, że Jean-Luc Martel w nim właśnie szuka oparcia.

– Mógłbyś nas wprowadzić nieco w temat? – zasugerował Rousseau. – Mimo wszystko jesteśmy amatorami. Zwłaszcza jeśli chodzi o biznes narkotykowy. Oświeć nas, jak to działa. Ukaz nam zawile drogi twojego świata.

Prośba ta nie była tak niewinna, jak się zdawało. René Devereaux już wcześniej podał Kellerowi linki do stron Muhammada Bakkar w sieci. Ale skłaniając Martela do mówienia, Rousseau mógł ocenić jego prawdomówność. Nie spodziewał się pełnej szczerości. To byłoby zbyt wiele. Postanowił żądać absolutnej prawdy tylko wtedy, gdyby miało to istotne znaczenie.

– Opowiedz nam trochę o tym Muhammadzie Bakkarze – poprosił. – Jaki on jest? Wysoki czy niski? Chudy czy gruby jak ja? Ma gęstą czuprynę czy jest łysy? Poślubił kilka żon czy tylko jedną? Pali? Pije? Jest religijny?

– Jest niski – odrzekł Martel po chwili. – I nie, wcale nie pije. Muhammad jest religijny. A nawet bardzo religijny.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – Rousseau starał się podtrzymać wątlą nić rozmowy.

– Jak producent haszu może być religijny?

– Czy ja mówiłem, że Muhammad Bakkar jest producentem haszu? Jego branża to pomarańcze.

– Pomarańcze?

– Tak, pomarańcze. I nie, nie dziwię się, że jest religijny. W górach Rif wszyscy żyją z pomarańczy. Król przez lata próbował namówić rolników, żeby uprawiali co innego, ale pomarańcze są bardziej opłacalne niż fasola czy rzodkiew. Znacznie bardziej

– dodał Martel z uśmiechem.

– Może król niezbyt się starał?

– Jeśli chcesz wiedzieć, to istotnie wolałby nic nie zmieniać.

– Dlaczego?

– Bo pomarańcze przynoszą jego krajowi kilka miliardów dolarów rocznie.

Pomagają utrzymać pokój. – Martel zniżył głos i dodał: – Muhammad Bakkar nie jest jedynym religijnym człowiekiem w Maroku.

– Mają tam wielu ekstremistów?

– Powinieneś wiedzieć to lepiej niż ja.

– Dużo jest komórek ISIS?

– Podobno. Ale król nie lubi o tym mówić – dodał Martel. – To zniechęca turystów.

– Prowadzisz tam interesy, prawda? Masz hotel w Marrakeszu, jeśli się nie mylę.

– Dwa – potwierdził chełpliwie.

– Jak idzie?

– Dołuje.

– Och, przykro mi to słyszeć.

– Poradzimy sobie.

– Bez wątpienia. A czym tłumaczysz tę zapaść? – dociekał Rousseau. – Czy powodem jest ISIS?

– Ataki na hotele w Tunezji miały znaczny wpływ na spadek rezerwacji. Ludzie obawiają się, że następne będzie Maroko.

– Turyści są tam bezpieczni?

– Są bezpieczni – odrzekł Martel – dopóki nie jest niebezpiecznie.

Rousseau lekko się uśmiechnął wobec logiki tej odpowiedzi. A potem zauważył, że jego interesy pozwalają wjeżdżać i wyjeżdżać ze słynącego z produkcji haszyszu Maroka bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń. Martel wzruszył ramionami, lecz nie zaprzeczył.

– Czy przyjmowałeś Muhammada Bakkara w swym hotelu w Marrakeszu?

– Nigdy.

– Dlaczego?

– On nie lubi Marrakeszu. A raczej, powinienem powiedzieć, tego, czym stał się Marrakesz.

– Zbyt wielu cudzoziemców?

– I gejów.

– Nie toleruje cudzoziemców z powodu swych przekonań religijnych?

– Tak myślę.

– Więc gdzie się z nim spotykałeś?

– W Casa. – Martel użył miejscowego skrótu nazwy Casablanka. – Lub w Fezie.

Ma *riad* w sercu miasta. A także kilka willi w górach Rif i w środkowej części Atlasu.

– Dużo podróżuje?

– Pomarańcze to niebezpieczny biznes.

Rousseau znów się uśmiechnął. Nawet on nie potrafił się oprzeć urokowi Martela.

– A kiedy spotykacie się z monsieur Bakkarem, to o czym rozmawiacie?

– O tym, co wszyscy. O Brexicie. O nowym amerykańskim prezydencie i pokojowych szansach na Bliskim Wschodzie.

– Oczywiście – skwitował Rousseau – raczysz żartować.

– Ależ skąd. Muhammad jest inteligentny i ciekawi go świat poza górami Rif.

– Jakbyś określił jego poglądy polityczne?

– Nie jest wielbicielem Zachodu, a szczególną niechęcią darzy Francję i Amerykę.

No i z zasady nie wymawiam w jego obecności słowa Izrael.

– Drażni go?

– Można to tak ująć.

– A jednak prowadzisz interesy z człowiekiem tego rodzaju.

– Jego pomarańcze – wolno odparł Martel – mają najlepszą jakość.

– A gdy skończycie już naprawiać świat, co wtedy?

– Omawiamy ceny, cykl produkcji i daty dostaw, tego rodzaju sprawy.

– Ceny się wahają?

– Kwestia podaży i popytu – wyjaśnił poważnie.

– Kilka lat temu – kontynuował Rousseau – zauważyliśmy wyraźną zmianę tras przerzutu pomarańczy pochodzących z Afryki Północnej. Przestały płynąć partiami na małych łodziach przez Morze Śródziemne. Teraz wyruszają z portów Libii na potężnych wielotonowych statkach handlowych. Czy nastąpiło nagle przesylenie rynku? Czy może istnieje inne wyjaśnienie tej strategii.

– Owszem, przyczyna jest inna – odrzekł Martel.

– A mianowicie?

– Muhammad znalazł współnika.

– Jednego?

– Tak.

– Przypuszczam, że to mężczyzna, bo przecież ktoś taki jak on nie zadawałby się z kobietą.

Martel skinął głową.

– Chce wprowadzić bardziej agresywną taktykę rynkową?

– Znacznie bardziej agresywną.

– Dlaczego?

– Pragnie szybko zmaksymalizować dochody.

– Spotkałeś go?

– Dwukrotnie.

– Jak się nazywa?

– Chalil.

– Chalil? I co jeszcze?

– Nic. Po prostu Chalil.

– To Marokańczyk?

– Nie, na pewno nie Marokańczyk.

– Skąd pochodzi?

– Tego nie zdradził.

– A gdybyś miał zgadywać?

Jean-Luc Martel wzruszył ramionami.
– Powiedziałbym, że to Irakijczyk.

Lazurowe Wybrzeże, Francja

Dla wszystkich w pokoju było oczywiste, i znów potwierdziła to ukryta kamera, że Jean-Luc Martel nie rozumiał znaczenia słów, które właśnie wybrzmiały. „Powiedziałbym, że to Irakijczyk”. Irakijczyk, który przyjął imię Chalil. Bez nazwiska, patronimikum czy nazwy rodowej siedziby przodków. Po prostu Chalil. I ten oto Chalil znalazł wspólnika w Muhammadzie Bakkarze, producencie haszyszu i głęboko religijnym muzułmaninie, który nienawidził Zachodu oraz Ameryki i wpadał w szał na wzmiankę o Izraelu. Chalil, który chciał zmaksymalizować dochody, zalewając swoją produkcją europejski rynek. Gabriel, milczący obserwator operacji, którą obmyślił i zrealizował, upominał się w duchu, by nie wyciągać pochopnych wniosków. Przecież możliwe, że mężczyzna o imieniu Chalil wcale nie jest tym, kogo szukają. Że to zwyczajny przestępca powodowany żądzą zysku, mylny trop prowadzący jedynie do straty cennego czasu i środków. Ale nawet on z trudem mógł zapanować nad biciem swego serca. Pociągnął za luźną nić i połączył pozostawione przez nią dziurki, a szlak, który powstał, doprowadził go tutaj, do dawnego domu pokonanego wroga.

Tymczasem pozostali członkowie jego zespołu zdawali się całkowicie obojętni na rewelację Martela. Wszyscy – Natalie, Michał i Christopher Keller – pogrążyli się we własnych myślach, natomiast Paul Rousseau wykorzystał tę chwilę, by po raz pierwszy w tym dniu nabić fajkę. Zaraz też rozbłysnął płomień zapalniczki i chmura dymu przepłynęła nad dwoma weneckimi scenami kanałowymi pędzla Guardiogo. Gabriel, konserwator dzieł sztuki, mimowolnie się wzdrygnął.

Jeśli Rousseau był choć słabo zainteresowany Irakijczykiem o imieniu Chalil, to nie dał temu wyrazu. Chalil był dla niego dodatkiem. Nie miał żadnego znaczenia. Rousseau znacznie bardziej chciał zbadać, a przynajmniej tak się zdawało, związki Martela z Bakkarem. Kto grał w tej spółce pierwsze skrzypce? Dystrybutor Martel czy marokański producent Bakkar?

- Nie znasz się na interesach, co?
- Jestem naukowcem – odparł przeproszającym tonem Rousseau.
- To zależy – wyjaśnił Martel – ale na ogół producent ma przewagę.
- Bo może odstawić dystrybutora, kiedy mu się spodoba?
- Jak najbardziej.
- I nie umiałbyś znaleźć innego dostawcy haszyszu?
- Pomarańczy.
- Jasne, że pomarańczy.
- To nie takie proste.
- Bo Muhammad Bakkar ma taki dobry towar?
- Bo Muhammad Bakkar ma władzę i wpływy.
- Zniechęciłby do ciebie innych producentów?
- Bez wątplenia.

– A jak zareagowałeś, kiedy Muhammad Bakkar zapowiedział, że chce zwiększyć transporty pomarańczy wysyłanych do Europy...

– Odradzałem mu ten krok.

– Dlaczego?

– Z wielu powodów.

– Jak na przykład?

– Bo duże transporty są z natury rzeczy niebezpieczne.

– Można je łatwiej namierzyć?

– To chyba oczywiste.

– Co jeszcze?

– Obawiałem się, że zaleją rynek.

– Tym samym obniżając cenę pomarańczy w Europie Zachodniej.

– Podaż i popyt – powtórzył Martel, wzruszając ramionami.

– A gdy przedstawiłeś swoje zastrzeżenia?

– Dał mi prosty wybór.

– Wolna wola. Możesz zostać lub odejść.

– Jakbyś zgadł.

– No i zostałeś. – Rousseau pokiwał głową.

Martel milczał.

– Transport. – Rousseau zmienił nagle kurs. – Kto odpowiada za transport?

– Muhammad. To on nadaje przesyłkę, my tylko ją odbieramy.

– Zakładam, że wiesz, kiedy się jej spodziewać.

– Jasne.

– Jak wygląda praktyka przetrzutu towaru?

– W dawnych czasach korzystał z małych statków, które płynęły przez Morze Śródziemne z Maroka wprost do Hiszpanii. Ale z czasem, w miarę jak Hiszpanie zaostrzali kontrolę wybrzeża, zaczął korzystać z trasy prowadzącej przez Afrykę Północną na Bałkany. Była to droga długa i kosztowna, gdyż transporty ponosiły poważne straty, zwłaszcza w Libanie i na Bałkanach.

– Padały łupem lokalnych gangów?

– Mafia serbska i bułgarska bardzo lubią owoce cytrusowe – odrzekł Martel. – Muhammad przez lata próbował wysłać swoje pomarańcze do Europy, omijając ich terytorium. I nagle rozwiązanie wyłoniło się samo.

– Okazała się nim Libia – dokończył Rousseau.

Martel wolno przytaknął.

– Marzenie Bakkara spełnili prezydent Francji i jego przyjaciele z Waszyngtonu, a także Londynu, uznając jednomyślnie, że Kaddafi musi odejść. Gdy upadł reżim, Libia otworzyła się na liczne interesy. To był prawdziwy Dziki Zachód. Bez centralnych władz, bez policji, bez jakiegokolwiek kontroli oprócz młodzieżowych jednostek milicji i islamistycznych psycholi. Ale tu powstał problem.

– Jaki?

– Z milicjami i islamskimi psycholami.

– Nie chcieli pomarańczy?

– Odwrotnie. Domagali się części towaru. W przeciwnym razie zamierzali blokować dostęp do libijskich portów. Muhammad potrzebował lokalnego partnera, kogoś, kto utrzymałby w ryzach milicję i świętych bojowników. Kogoś, kto mógłby zagwarantować bezpieczny transfer towaru na handlowe statki.

– Takiego partnera jak Chalil? – spytał Rousseau.

Martel nie odpowiedział.

– Pamiętasz może statek o nazwie „Apollo”? – zagadnął Rousseau. – Włosi aresztowali go u wybrzeży Sycylii z siedemnastoma tonami pomarańczy pod pokładem.

– Ta nazwa – w głosie Martela brzmiało wyraźne napięcie – nie jest mi obca.

– Jak sądzę, to był twój transport.

Martel, patrząc na niego bez wyrazu, skinął głową.

– Czy przed „Apollem” były jakieś statki, których nie przechwycono?

– Owszem, kilka.

– Zechciej mi przypomnieć – Rousseau znów pozorował ignorancję – kto ponosi koszty konfiskaty towaru. Producent czy dystrybutor?

– Nie mogę sprzedawać pomarańczy, których nie dostałem.

– Proszę mi wybaczyć, monsieur Martel, gdyż nie chcę drażnić tej sprawy, ale rozumiem, że Muhammad Bakkar osobiście stracił miliony euro, kiedy aresztowano statek „Apollo”.

– Zgadza się.

– Musiał być wściekły.

– W dodatku – dodał Martel – wezwał mnie do Maroka i obciążył winą za donos złożony Włochom.

– Dlaczego miałbyś to zrobić?

– Bo od początku byłem przeciwny tak dużym transportom. A najlepiej mogłem zapobiec tej taktyce, doprowadzając do straty jednej lub dwóch dostaw.

– Przyczyniłeś się jakoś do powstania tego przecieku?

– Skądże. Nie przebierając w słowach, powiedziałem Muhammadowi, że problem leży po jego stronie.

– Przez co – domyślił się Rousseau – miałeś na myśli Afrykę Północną.

– Libię – uściślił Martel.

– A gdy nastąpiły kolejne przejścia?

– Chalil zlikwidował przecieki. I odtąd pomarańcze podróżowały znów bezpiecznie.

Oto znów pojawiło się imię nowego, agresywnego współnika Muhammada Bakkara. I choć Paul Rousseau nie wydawał się nim przesadnie zainteresowany, po długiej przerwie, w trakcie której nabijał i zapalał kolejną fajkę, spytał jednak Martela, kiedy po raz pierwszy spotkał Irakijczyka o imieniu Chalil. Człowieka bez nazwiska, bez patronimikum, bez rodowej siedziby. Po prostu Chalila. Martel odparł, że było to w roku 2012. Chyba wiosną. Gdzieś z końcem marca, lecz nie miał pewności. Rousseau jednak nie dawał za wygraną. Wiedział, że Martel jako filar potężnej afery kryminalnej musi pamiętać podobne szczegóły.

– Nie sądzę – upierał się – żebyś nie umiał odtworzyć daty tak ważnego spotkania.

– To było dwudziestego dziewiątego marca.
– W jakich okolicznościach? Zostałeś zawiadomiony czy zaplanowano to już wcześniej?

Martel wyjaśnił, że stawił się na wezwanie.

– Jak to się zwykle odbywa? Może to szczegół, ale jestem ciekaw.

– Zostawiają wiadomość w moim hotelu w Marrakeszu.

– Wiadomość głosową?

– Tak.

– A jak wyglądało twoje pierwsze spotkanie z Chalilem?

– To było w Casa. Poleciałem tam swoim samolotem i zameldowałem się w hotelu.

Kilka godzin później dostałem instrukcje, dokąd mam iść.

– Muhammad wezwał cię osobiście?

– Przez jednego ze swoich ludzi. On nie lubi używać telefonu w sprawach biznesowych.

– A hotel? Wybacz, ale chciałbym wiedzieć, gdzie się zatrzymałeś.

– W Sofitelu.

– Byłeś sam?

– Nie, przyjechałem z Olivią.

Rousseau z namysłem zmarszczył czoło.

– Wszędzie ją zabierasz?

– Gdy tylko to możliwe.

– Dlaczego?

– Bo wygląd robi wrażenie.

– Była na tym spotkaniu?

– Nie. Została w hotelu, kiedy pojechałem do Anfy.

– Do Anfy?

– Anfa to bogata enklawa na wzgórzu po zachodniej stronie miasta – wyjaśnił Martel. – Wzdłuż ulic rosną palmy, za murami wznoszą się wspaniałe rezydencje, a ceny za metr kwadratowy mogą konkurować z Londynem i Paryżem.

Muhammad Bakkar miał tam nieruchomość. Nim Martelowi pozwolono wejść, musiał się poddać rutynowemu przeszukaniu. Przypomniawszy sobie teraz, że było dokładniejsze niż zwykle. Spodziewał się, że jak zawsze, wewnątrz czeka na niego jedynie Bakkar. Ale tym razem towarzyszył mu jakiś mężczyzna.

– Mógłbyś go opisać?

– Wysoki, szeroki w barach, duża twarz, duże ręce.

– Kolor skóry?

– Ciemny, ale nie bardzo.

– Jak ubrany?

– W zachodnim stylu. Ciemny garnitur, biała koszula, bez krawata.

– Jakies blizny lub znaki szczególne?

– Żadnych.

– Tatuaze?

– Widziałem tylko ręce.

– I?

Martel przecząco pokręcił głową.

– Zostałeś przedstawiony.

– Ledwie.

– Odzywał się?

– Nie do mnie. Wyłącznie do Muhammada.

– Jak mniemam, po arabsku.

– Owszem.

– Muhammad Bakkar posługuje się arabskim z Maghrebu.

– Dariją – uściślił Martel.

– A ten drugi? Też mówił marokańskim dialektem?

Martel pokręcił głową.

– Potrafisz to rozróżnić?

– W dzieciństwie mówiłem trochę po arabsku. Matka mnie nauczyła – dodał. – I owszem, widzę różnice. Tak jak on mówią w Iraku.

– I nie zastanowiły cię koneksje tego człowieka teraz, kiedy ISIS opanowało większą część Iraku oraz Syrii i utworzyło bazę operacyjną w Libii? A może wolałeś nie wiedzieć? – rzucił wzgardliwie Rousseau. – Może w takiej sytuacji lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań?

– Na ogół – odparł spokojnie Martel – nie jest to korzystne dla interesów.

– Zwłaszcza gdy w grę wchodzi kontakty z ISIS. – Rousseau z trudem się opanował. – A kolejne spotkanie? Kiedy to było?

– W grudniu.

– Po zamachu na Waszyngton?

– Zdecydowanie tak.

– Proszę o dokładną datę.

– Myślę, że dziewiętnastego.

– Powód?

– To było doroczne zimowe spotkanie.

– Gdzie do niego doszło?

– Muhammad wciąż zmieniał lokalizację. W końcu spotkaliśmy się w małej wiosce w górach Rif.

– Jaki był temat obrad?

– Ceny i przybliżone daty dostaw w nowym roku. Muhammad i ten Irakijczyk chcieli wpompować w rynek jeszcze więcej towaru. Ogromne ilości. I to szybko.

– Jak tym razem wyglądał?

– Jak Marokańczyk.

– To znaczy?

– Był ubrany w dżelabę.

– Tradycyjną marokańską szatę z kapturem?

Martel przytaknął.

– Poza tym miał szczuplejszą twarz i bardziej wyostrzone rysy.

– Stracił na wadze?

- Poddał się operacji plastycznej.
- Czy dostrzegłeś coś jeszcze?
- Owszem – odparł. – Wyraźnie utykał.

Lazurowe Wybrzeże, Francja

Gdzieś w głębi duszy Paul Rousseau nie miał przekonania do układu, który musieli zawrzeć. Jak komentował to później, Jean-Luc Martel stanowił bezsporny dowód na to, że Francja popełniła błąd, wycofując gilotynę. Ale Chalil – Irakijczyk, któremu zmieniono twarz i który wyraźnie utykał – wart był tej ceny. Same środki przymusu nie wystarczały jednak, by zapewnić sobie lojalność Martela. Należało go przeistoczyć w pełnoprawnego agenta Grupy Alfa.

– Funkcjonariusz wywiadu francuskiego! Boże, dopomóż! – lamentował Rousseau.

Ale tylko obietnica pełnej wolności od ścigania karnego mogła zagwarantować dobrowolną współpracę Martela. Rousseau nie mógł wydać takiej decyzji. Te uprawnienia leżały w gestii zwierzchnictwa. Co z kolei stawiało szefa Grupy Alfa w obliczu kolejnego problemu, gdyż minister wciąż nie miał pojęcia o podjętej operacji. Znany był również z tego, że nie znosi żadnych niespodzianek. Pozostawała jedynie nadzieja, że tym razem głos sumienia mu podszepta, by zrobił wyjątek.

Do tej pory Rousseau, pokonując obrzydzenie, starał się wydobyć z Martela jak najwięcej informacji. Odtwarzał wszystko od nowa, powoli i starannie, cofając się, wychodząc w przód i wypatrując choć cienia sprzeczności, które mogłyby podważyć wiarygodność informatora. Szczególną uwagę poświęcił treści zimowych obrad z udziałem Chalila Irakijczyka, a głównie skupił się na kolejności planowanych dostaw. W ciągu następnych dziesięciu dni wyruszały bowiem w morze trzy duże transporty towaru, wszystkie ukryte na statkach handlowych wypływających z Libii. Dwa z nich kierowały się do portów francuskich, Marsylii i pobliskiego Tuluzy, ale trzeci miał przybić do włoskiej Genui.

– Strata tych narkotyków – orzekł Martel – będzie cholernie kosztowna.

– Pomarańczy – skorygował Rousseau. – Pomarańczy.

W tym momencie po raz pierwszy do akcji włączył się Gabriel, który w jednej ręce trzymał kilka czystych kartek, a w drugiej ołówek i temperówkę. Przedstawiając się skrótowo, usiadł obok człowieka, którego życie wyrzucił do góry nogami, i przez blisko godzinę szkicował z jego pomocą portrety pamięciowe dwóch wcieleń Chalila Irakijczyka – z roku 2012, gdy nosił zachodnie garnitury, i drugiego, po ataku na Waszyngton, gdy przybył do Maroka w tradycyjnej dżelabie, silnie utykając. Martel zawsze przykładał wagę do szczegółów. Chętnie się tym wielokrotnie w wywiadach dla prasy, twierdząc, że nigdy nie zapomina raz widzianej twarzy. Okazało się również, że był bardzo wymagający, co zademonstrował, odrzucając dwa kolejne szkice chirurgicznie spreparowanej wersji Chalila. Dopiero trzeci zyskał jego aprobatę, czemu dał wyraz z zaskakującym entuzjazmem.

– Tak, to on! To jest człowiek, którego widziałem w grudniu.

– Jesteś pewien? – dopytywał się Gabriel. – Nie ma pośpiechu. Jeśli chcesz, możemy zacząć od nowa.

- Nie, nie trzeba. On właśnie tak wygląda.
- A co z nogą? – dociekał Gabriel. – Nie powiedziałaś jeszcze, na którą utyka.
- Na prawą.
- Masz pewność?
- Absolutną.
- Czy próbował to skomentować?
- Powiedział, że miał wypadek samochodowy. Ale gdzie do tego doszło, już nie.

Gabriel przez długą chwilę spoglądał na gotowe szkice, zanim podał je Natalie. Mimo woli szeroko otworzyła oczy. Potem, odzyskując równowagę, oderwała wzrok od rysunków i powoli skinęła głową. Gabriel odłożył na bok pierwszy szkic i długo wpatrywał się w drugi. Oto miał przed sobą nową twarz terroru. To była twarz Saladyna.

Zaciągnęli go na górę, do sypialni madame Sophie, i wysmarowali szyję szkarłatną szminką. Potem złali go tak obficie jej perfumami, że zostawiał za sobą smugę woni, gdy o brzasku wracał do swej willi po przeciwnej stronie Baie de Cavalaire. Nie sam. W fotelu obok siedział Nicolas Carnot, znany również jako Christopher Keller, w jednej ręce trzymając komórkę Martela, a w drugiej pistolet. Za nimi, w kolejnym pojeździe, podążało czterech funkcjonariuszy Grupy Alfa. Poprzednio zatrudnieni przez Dmitrija Antonowa w Villa Soleil, teraz, podobnie jak Carnot, pracowali dla Martela. Okoliczności, w jakich zdecydowali się porzucić jednego pracodawcę dla drugiego, nie były jasne, ale takie rzeczy zdarzały się latem w Saint-Tropez.

Było dokładnie pięć po piątej, gdy dwa samochody skrzyżowały się w podjazd. Olivia Watson, która przez całą noc nie zmrużyła oka, dopadła okna sypialni, słysząc dobiegający z dziedzińca odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Teraz jednak, gdy łóżko ugięło się pod ciężarem jej niewiernego kochanka, udawała, że śpi. Przewróciła się jednak na bok tak, by ich oczy spotkały się w półświatle wstającego dnia.

- Gdzie byłeś, Jean-Luc?
- Interesy – mruknął. – Śpij.
- Masz jakieś kłopoty?
- Już nie.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale mój telefon nie działa. Podobnie jak internet i linia naziemna.

- Pewnie coś wyłączyli – wymamrotał, zamykając oczy.
- Dlaczego przyjechałeś z Nicolasem? I kim są tamci mężczyźni?
- Wyjaśnię ci to rano.
- Już jest rano, Jean-Luc.

Nie odpowiedział. Przysunęła się bliżej.

- Pachniesz inną kobietą.
- Olivio, proszę.
- Kto to jest, Jean-Luc? Gdzie byłeś?

Paryż

Rozprawa, której tak się obawiał Paul Rousseau, nastąpiła wczesnym popołudniem w paryskim ministerstwie spraw wewnętrznych. Nie ruszył jednak sam naprzeciw swemu losowi. Towarzyszył mu Gabriel. Przeszli przez dziedziniec ramię w ramię i po majestatycznych schodach wspięli się na do imponującego gabinetu ministra. Rousseau, całkowicie niezdolny do grzecznościowych frazesów, natychmiast wyznał wszystkie swoje zawodowe winy.

Oświadczył, że wywiad brytyjski zidentyfikował dostawcę karabinów bojowych wykorzystanych podczas zamachu w Londynie i że jest nim francuski Marokańczyk Nouredine Zakaria, zawodowy kryminalista powiązany z jedną z największych francuskich sieci handlarzy narkotyków. Przyznał również, że bez wiedzy i zgody swego szefa oraz ministerstwa spraw wewnętrznych on i cała Grupa Alfa pracowali z dwoma sprzymierzonymi wywiadami, brytyjskim i oczywiście izraelskim, by zinfiltrować tę siatkę i pozyskać jej lidera dla swych celów. Operacja, jak stwierdził, przebiegła pomyślnie. Na podstawie informacji otrzymanych z pozyskanego źródła Grupa Alfa, tak jak i jej partnerzy, mogą ze sporym prawdopodobieństwem stwierdzić, że ISIS przejęło kontrolę nad znaczną częścią nielegalnego handlu haszyszem w Afryce Północnej i że Saladyn, tajemniczy mózg sekcji operacji zewnętrznych tej grupy, zapewne ukrywa się w Maroku, dawnym protektoracie francuskim.

Minister zareagował tak, jak należało oczekiwać, czyli jak najgorzej. Nastąpiła tyrada, głównie obraźliwa. Rousseau złożył rezygnację, którą napisał odręcznie w drodze powrotnej z Prowansji, i przez długą chwilę wyglądało na to, że minister zamierza ją przyjąć. W końcu jednak wrzucił ją do niszcarki. Ostateczna odpowiedzialność za ochronę francuskiej ziemi przed zamachem terrorystycznym, islamskim bądź innym, spoczywała na jego wątłych barkach. Nie mógł sobie pozwolić na utratę takiego człowieka jak Paul Rousseau.

– Gdzie jest teraz Nouredine Zakaria?

– Zaginął – powiedział Rousseau.

– Zbiegł do kalifatu?

Rousseau zawahał się przed odpowiedzią. Mógł uciekać się do wykrętów, ale w żadnym wypadku nie dopuściłby się jawnego kłamstwa.

– Nouredine Zakaria – powiedział cicho – zmarł.

– Jak to zmarł? – nie pojmował minister.

– Myślę, że to nastąpiło w trakcie transakcji handlowej.

Minister spojrział na Gabriela.

– Przypuszczam, że miałeś z tym cos wspólnego.

– Zgon Zakarii poprzedzał nasze zaangażowanie w tę sprawę – odparł Gabriel z prawniczą precyzją.

To nie uspokoiło ministra.

– A ten herszt siatki? Wasz nowy agent?

– Nazywa się – odparł wolno Rousseau – Jean-Luc Martel.

Minister opuścił wzrok i zaczął porządkować papiery na biurku.

– To by tłumaczyło twoje zainteresowanie teczką Martela w dniu, w którym nastąpił zamach na waszą siedzibę.

– Zgadza się – odparł Rousseau już pewniejszym tonem.

– Jean-Luc był obiektem licznych dochodzeń. Wszystkie zakończyły się podobnym wnioskiem. Nie ma nic wspólnego z handlem narkotykami.

– Ten wniosek – rzekł ostrożnie Rousseau – jest niesłuszny.

– Masz lepszą wiedzę?

– Mam wiedzę z najlepszego źródła.

– Od kogo?

– Od Jean-Luca Martela.

Minister parsknął drwiąco.

– I sam ci to wszystko powiedział?

– Nie miał wielkiego wyboru.

– Dlaczego?

– René Devereaux.

– Coś mi to mówi.

– Powinno – przytaknął Rousseau.

– Gdzie jest teraz Devereaux?

– Tam gdzie Nouredine Zakaria.

– *Merde* – zaklął łagodnie minister.

Zaległa cisza. W padającej z okna smudze słońca pyłek kurzu krążył jak rybka w akwarium. Rousseau lekko odchrząknął, sygnalizując, że wkracza na niebezpieczny teren.

– Wiem, że przyjaźnisz się z Martelem – odezwał się w końcu.

– Znamy się – odparł szybko minister – ale nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Martel byłby zdziwiony, gdyby to słyszał. W rzeczy samej kilkakrotnie powoływał się na twoje nazwisko, zanim w końcu zgodził się współpracować.

Minister nie potrafił ukryć złości na Rousseau, który odkrywał brudne domowe sekrety w obecności cudzoziemca, na dodatek Izraelczyka.

– O co ci chodzi? – uciął krótko.

– Chodzi mi o to – odrzekł niespeszony Rousseau – że współpraca Martela jest dla nas niezbędna, a to wymaga gwarancji jego nietykalności prawnej. Taka gwarancja, zważywszy na wasze relacje, może być źle widziana, jest jednak konieczna dla rozwoju naszej operacji.

– Jaki jest wasz cel?

– Eliminacja Saladyna. To oczywiste.

– I zamierzacie wykorzystać Martela do współpracy?

– To nasza jedyna szansa.

Minister teatralnie się zamyślił.

– Masz rację. Wydanie immunitetu byłoby trudne. Ale gdybyś to ty wystąpił...

– Jeszcze dziś otrzymasz stosowny dokument – zakończył Rousseau. – Szczerze mówiąc, to najlepsze rozwiązanie. Nie ty jeden w obecnym rządzie uchodzisz za znajomego Martela.

Minister powrócił do układania papierów na biurku.

– Zostawiliśmy ci dużą swobodę, powołując Grupę Alfa, ale nie ulega kwestii, że nadużyłeś swojego stanowiska.

Rousseau przyjął naganę w pokornym milczeniu.

– Odtąd mam być o wszystkim informowany. Czy to jasne?

– Tak jest, panie ministrze.

– Jak zamierzacie dalej postępować?

– W ciągu najbliższych dziesięciu dni marokański dostawca Martela, człowiek nazywający się Muhammad Bakkar, zamierza wysłać kilka dużych partii haszyszu z portów libijskich. Za wszelką cenę musimy je przechwycić.

– Znasz nazwy tych statków?

Rousseau przytaknął.

– Bakkar i Saladyn będą podejrzewać, że macie informatora.

– Słusznie.

– Będą wściekli.

Rousseau się uśmiechnął.

– Na to właśnie liczymy, panie ministrze.

Pierwszy statek, pływająca trumna pod maltańską banderą o nazwie „Mediterranean Dream”, miał opuścić Libię dopiero za cztery dni. Statek wypływał z Al-Chums, niewielkiego portu handlowego na wschód od Trypolisu, i po krótkim postoju w Tunisie, skąd zabierał produkty spożywcze, kierował się wprost do Genui. Pozostałe dwa, jeden pod flagą Bahamów, drugi Panamy, wedle planu wypływały z Syrty dopiero za tydzień. Dla Gabriela i Rousseau stanowiło to pewien problem. Obaj byli zgodni, że przejęcie „Mediterranean Dream”, podczas gdy dwa pozostałe statki wciąż będą znajdowały się w Libii, pokrzyżowałoby ich plan. Pozwoliłoby to bowiem Bakkarowi i Saladynowi na zmianę trasy opóźnionych jednostek. Postanowili zatem nie podejmować działań, dopóki wszystkie trzy statki nie wpłyną na wody międzynarodowe.

Oczekiwanie nie było czasem beztroski dla żadnego z nich, zwłaszcza dla Gabriela, który wciąż przyglądał się rysunkowi nowej twarzy Saladyna. Nie rozstawał się z tym szkicem nigdy, nawet we własnym łóżku w Jerozolimie, gdzie spędził cztery bezsenne noce u boku żony. W gabinecie przy bulwarze Króla Saula uczestniczył w niekończących się odprawach dotyczących spraw, które powierzył sprawnemu zarządowi Uziego Navota, ale wszyscy widzieli, że jest nieobecny. Również podczas spotkania rządu, w trakcie nieustannych sporów ministrów, jego myśli krążyły gdzieś daleko. W notatniku szkicował twarz lekko zakrytą kapturem dżelaby.

Rousseau obudził Gabriela wczesnym rankiem z wiadomością, że „Mediterranean Dream” opuścił w nocy Tunis i wypłynął na wody międzynarodowe. Ale czy na pewno szmuglował haszysz z Maroka? Informacja pochodziła tylko z jednego źródła – był nim człowiek mieszkający naprzeciwko Sophie i Dmitriego Antonowów, po przeciwnej stronie Baie de Cavalaire. Jego grzechy zostały zapomniane i teraz znajdował się pod

pełną kontrolą trzech sprzymierzonych wywiadów.

Niewtajemniczone oko nie dostrzegłoby żadnej zmiany w jego trybie życia, poza tym, że wszędzie towarzyszył mu Christopher Keller. Bez względu na to, gdzie się wybierał, Keller podążał za nim. Nie odstępował go w podróży do Monako i Madrytu, gdzie Martel stawił się na kilka umówionych wcześniej spotkań biznesowych. Uczestniczył wraz z nim w wielce pouczającej rozmowie ze szwajcarskim bankierem o wątpliwej etyce zawodowej. Towarzyszył mu również w Marsylii, tam, gdzie zniknął szef komórki narkotykowej, filar jego imperium, zostawiając dwóch martwych ochroniarzy za kontuarem sklepu z elektroniką przy place Jean Jaurès.

W przeświadczeniu policji marsylskiej René Devereaux zginął z rąk przestępczej konkurencji. Podobnego zdania byli też jego współnicy, w tym niejaki Henri Villard. Podczas spotkania z Martelem i Kellerem w konspiracyjnym lokalu w pobliżu Gare Saint-Charles, Villard wykazywał silne zdenerwowanie w związku z oczekiwaną dostawą. Obawiał się, i słusznie, że gdzieś powstał przeciek. Martel usmierzył jego obawy i polecił mu odebrać towar zgodnie z dotychczasową praktyką. Dokładna analiza nagrania tej rozmowy z pomocą komórki w kieszeni Kellera, a także obserwacja ruchów i kontaktów Villarda po spotkaniu, nie wskazywały na to, by Martel próbował ukradkiem przekazać jakieś ostrzeżenie swojej starej siatce. Haszysz był w drodze, a płatność w pogotowiu. Wydawało się, że zarówno dla dilerów narkotyków, jak i dla asów wywiadu, wszystko toczy się bez przeszkód.

Wiadomość, która miała uruchomić kolejny etap działania, została przekazana rutynowo przez jednego ministra spraw wewnętrznych do drugiego. Bez zbędnej ekscytacji. Płatny informator wewnątrz jednego z największych gangów narkotykowych Francji utrzymywał, że nazajutrz na pokładzie maltańskiego statku „Mediterranean Dream” przybędzie do Genui duży transport północnoafrykańskiego haszyszu. Jeśli włoskie służby nie mają ważniejszych spraw na głowie, mogłyby na wszelki wypadek sprawdzić wiarygodność tej informacji. Tak się też stało. Jednostki Guardia di Finanza, włoskiej straży celnej zwalczającej handel narkotykami, weszły na pokład minuty po przybyciu statku do portu i zaczęły otwierać kolejne kontenery. Przeszukanie ujawniło cztery tony marokańskiego haszyszu, co nie stanowiło może rekordu, lecz było niewątpliwie wynikiem godnym podziwu. Po fakcie minister włoskiego rządu połączył się telefonicznie ze swym francuskim odpowiednikiem, by przekazać mu podziękowania za przekazaną informację. Minister Francji ucieszył się, że mógł pomóc.

Podczas gdy we Włoszech była to wiadomość dnia, we Francji aresztowanie statku nie wzbudziło szerszego zainteresowania, a niemal żadnego w dawnej rybackiej wiosce Saint-Tropez. Kiedy jednak francuskie służby celne wtargnęły nazajutrz na pokład dwóch innych statków, „Africa Star” w Tulonie i „Caribbean Endeavor” w Marsylii, nawet senne Saint-Tropez nieco oprzytomniało. „Africa Star” przewoził trzy tony haszyszu, „Caribbean Endeavor” tylko dwie. Ale oprócz tego władze skonfiskowały jeszcze jedno – coś, czego Gabriel i Paul Rousseau nie przewidywali. Był to ołowiany cylinder wysokości czterdziestu centymetrów i średnicy dwudziestu, ukryty wewnątrz szpuli izolowanego drutu wyprodukowanego w jednym z zakładów przemysłowej części Trypolis.

Cylinder nie posiadał żadnych oznaczeń, ale mimo to francuska policja celna, szkolona w postępowaniu z potencjalnie niebezpiecznymi materiałami, postanowiła go nie otwierać. Po licznych telefonach i sygnałach alarmowych, zachowując wszelkie środki ostrożności, wczesnym rankiem przewieziono cylinder do laboratorium pod Paryżem. Specjaliści przebadali znajdujący się wewnątrz puder o konsystencji talku i w krótkim czasie ustalili, że jest to wysoce radioaktywny cez 137 lub chlorek cezu. Paul Rousseau i minister spraw wewnętrznych dowiedzieli się o tym odkryciu o dwudziestej, a kwadrans później, z Gabrielem podążającym krok z tyłu, wbiegli do Pałacu Elizejskiego, by przekazać wiadomość prezydentowi Republiki. Saladyn zamierzał uderzyć w nich ponownie, tym razem posługując się brudną bombą.

CZEŚĆ TRZECIA

W NAJCIEMNIEJSZYM ZAKĄTKU

Surrey, Anglia

Nikt nigdy nie zdołał zadowalająco wyjaśnić, przynajmniej Francuzom, w jaki sposób Amerykanie dowiedzieli się o ukrytym na statku cezie. Była to jedna z tajemnic, które pokutowały jeszcze długo po tym, jak opadł operacyjny pył. Niemniej dowiedzieli się o wykrytej substancji tej samej nocy i przed nastaniem dnia zażądali, by wszystkie zainteresowane strony stawily się w Waszyngtonie na szczyt bezpieczeństwa. Graham Seymour i Amanda Wallace, najbliżej z nimi związani, uprzejmie się sprzeciwili. Materiały radioaktywne w rękach siatki Saladyna stanowiły zbyt poważne zagrożenie, by mogli publicznie zdawać się w tej sprawie na pomoc dawnych kolonii. Wszyscy oczywiście opowiadali się za współpracą transatlantycką i w rzeczywistości byli od niej rozpaczliwie zależni, ale tym razem w grę wchodziła duma narodowa. Jednak gdy Gabriel i Paul Rousseau również zgłosili zastrzeżenia, Amerykanie skapitulowali.

Gabriel był pewien, że tak się stanie. Doskonale wiedział, na czym im naprawdę zależało. Nade wszystko pożądaliby głowy Saladyna, a zdobyć ją mogli tylko w jeden sposób – przejmując kontrolę nad całością operacji. Uznał zatem, że lepiej będzie oderwać ich od ojczyzstego zaplecza. Pięciogodzinna różnica czasu powinna wystarczyć, by osłabić nieco ich impet.

Nadzieje, że wyślą małą delegację, okazały się złudne. Przybyli boeingiem oznaczonym godłem Stanów Zjednoczonych i wyruszyli do ośrodka szkoleniowego MI6 w Surrey długą głośną kawalkadą, ścinając zakręty wiejskich dróg, jakby kluczyli wśród min „trójkąta sunnickiego” Iraku. Kiedy w końcu zatrzymali się na podjeździe rozłożystej wiktoriańskiej budowli, pierwszy wysiadł z pojazdu Morris Payne, nowy dyrektor Agencji, absolwent West Point oraz jednej z prestiżowych uczelni Ivy League, a także prywatny przedsiębiorca i były głęboko konserwatywny członek Kongresu z ramienia którejś z Dakot. Potężny Payne o twarzy kolosa z Wyspy Wielkanocnej i barytonie wstrząsającym belkami sklepienia starej rezydencji najpierw przywitał się z gospodarzami, Grahamem Seymourem i Amandą, ale zaraz potem całym impetem swej zwalistej postaci naparł na Gabriela.

– Wielki Allon! – ryknął. – Żywa legenda! W końcu się spotykamy! Szkoda, że tak późno. Adrian mówi, że niedawno wpadłeś do naszego miasta. Nie odezwałeś się do mnie, ale nie mam ci tego za złe. W końcu znacie się z Adrianem całe wieki i odwaliliście kawał dobrej roboty. Mam nadzieję, że będziemy kontynuować tę tradycję.

Ściskając rękę nowego dyrektora największej agencji wywiadu na świecie, Gabriel przyjrzał się jego asyście. Składała się z młodych szczupłych mężczyzn o surowych twarzach, byłych wojskowych podobnie jak ich szef, i dobrze wyszkolonych w biurokratycznych zapasach Waszyngtonu. Zmiana w stosunku do poprzedniej administracji była uderzająca. Pewną pociechę stanowiło jedynie to, że wydawali się dość życzliwie nastawieni do Izraela. Może zbyt życzliwie, uznał Allon. Kolejny dowód na to, że lepiej zachować ostrożność w swych życzeniach.

Znamienne, że w najbliższej orbicie dyrektora nie było Adriana Cartera. W tym momencie gramolił się z kolejnego SUV-a razem z resztą kierownictwa. Większość tego zespołu była Gabrielowi obca, ale rozpoznał Kyle'a Taylora, szefa podległego CIA Centrum Antyterrorystycznego. Jego obecność stanowiła niepokojący sygnał intencji Langley. Mówiono, że Taylor gotów byłby skierować atak dronów na własną matkę, gdyby mogło mu to zapewnić stanowisko zajmowane teraz przez Cartera i jego gabinet na siódmym piętrze. Swe nieposkromione ambicje miał wręcz wypisane na twarzy. Carter natomiast zachowywał się tak, jakby właśnie ocknął się z drzemki. Przeszedł obok Gabriela, ledwie skinąwszy głową.

– Nie podchodź – syknął. – Roznoszę zarazę.

– Jaką?

– Trąd.

Tymczasem Morris Payne potrząsał ręką Paula Rousseau, jakby chciał pozyskać jego głos wyborczy, ale w tej samej chwili Graham Seymour zaprosił wszystkich do jadalni, którą już dawno przekształcono w bezpieczny pokój konferencyjny. Przed wejściem stał kosz przeznaczony na telefony, a na wiktoriańskim bufecie czekały napoje i przekąski, których nikt nawet nie tknął. Payne usiadł za długim prostokątnym stołem, mając po jednej stronie swych młodych posepnych adiutantów, a po drugiej ambitnego Kyle'a Taylora. Cartera upchnięto na szarym końcu. Mógł tam spokojnie gryzmolić sobie na kartce, snując marzenia o przejściu do sektora prywatnego.

Gabriel zajął wyznaczone miejsce, szybko odwracając wizytówkę z nazwiskiem, którą ustawił jakiś gorliwy funkcjonariusz MI6. Po jego lewej stronie, a naprzeciwko Morrisa Payne'a, zasiadł Graham Seymour, zaś po lewej stronie Seymoura ulokowała się Amanda Wallace, która najwyraźniej obawiała się rozlewu krwi. Reputacja Morrisa Payne'a wyprzedzała osobę. W czasie swego krótkiego urzędowania zdołał niemal w pełni przekształcić CIA z agencji wywiadu w organizację paramilitarną. Język szpiegowski go nudził. Był człowiekiem akcji.

– Wiem, że jesteście w krytycznej sytuacji – zaczął Payne – i dlatego nie będę marnował czasu. Należy się wam wszystkim uznanie. Zapobiegliście katastrofie, a przynajmniej zdołaliście ją opóźnić – dodał. – Ale Biały Dom nalega, a my się z tym zgadzamy, żeby operację przejęło Langley i przeniosło ją na nasz teren. Z całym szacunkiem, ale to najlepsze rozwiązanie. Mamy warunki, potencjał i technologię.

– Ale my mamy informatora – przerwał mu Gabriel. – I nie zastąpi tego żaden potencjał ani technologia. Namierzyliśmy go, zdemaskowaliśmy i zwerbowali. Jest nasz.

– A teraz – oznajmił Payne – przekażecie go nam.

– Wybacz, Morris, ale to nie wchodzi w rachubę.

Gabriel zerknął w stronę końca stołu i zobaczył, że Adrian Carter próbuje powstrzymać uśmiech. Nie był to pomyślny początek. Wkrótce zaś sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

Podniesione głosy, walenie pięściami w stół, pogrożki zerwania współpracy i wstrzymania pomocy w sytuacjach kryzysowych. Jeszcze nie tak dawno Gabriel nie wahałby się ich ośmieszyć. Teraz jednak musiał postępować ostrożnie. Nie tylko Brytyjczycy byli zależni od technologicznej potęgi Langley. Izrael jeszcze bardziej

potrzebował Amerykanów. Dlatego za żadną cenę nie należało antagonizować najcenniejszego partnera strategicznego i operacyjnego. Poza tym, mimo swej zuchwałości i arogancji, Payne był człowiekiem, który z grubsza rzecz biorąc, widział świat podobnie jak Gabriel. Poprzedni dyrektor Agencji, znający biegle arabski, mówiąc o Jerozolimie, chętnie nazywał ją Al-Quds, jak Arabowie. Sprawy mogłyby więc przybrać jeszcze gorszy obrót.

Na propozycję Grahama Seymoura zrobili przerwę na posiłek, po którym nastrój znacznie się poprawił. Morris Payne podszedł do Gabriela i powiedział, że w trakcie lotu nad Atlantykiem zapoznał się z jego aktami, które znajdują się w zbiorach Agencji.

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem – dodał.

– A mnie dziwi, że zmieściły się w samolocie.

Uśmiech Payne'a był tym razem szczery.

– Obaj dorastaliśmy na farmie – ciągnął. – Ja w głębi Dakoty Południowej, a ty w Dolinie Jezreel.

– Obok arabskiej wioski.

– U nas nie było Arabów. Tylko wilki i niedźwiedzie.

Tym razem to Gabriel się uśmiechnął. Payne skubnął podsuszoną kanapeczkę.

– Jakiś czas temu działałeś na terenie Afryki Północnej. Osobiście. W osiemdziesiątym ósmym prowadziłeś w Tunezji operację przeciwko Abu Dżihadowi. Razem z ekipą wylądowaliście na plaży i wtargnęliście do jego willi. Zginął w swoim gabinecie w obecności dzieci. W chwili, gdy oglądał nagranie intifady.

– To nieprawda – zaprzeczył po chwili Gabriel.

– W której części?

– Nie zabiłem Abu Dżihada w obecności rodziny. Jego córka weszła do gabinetu, gdy już nie żył.

– I co zrobiłeś?

– Powiedziałem, żeby zajęła się matką. Potem wyszedłem.

W pokoju zapadła cisza. Przerwał ją Payne.

– Myślisz, że mógłbyś to powtórzyć? Tym razem w Maroku?

– Pytasz, czy mamy takie możliwości?

– Pociesz mnie – mruknął Payne.

Gabriel odparł, że Maroko leży w zasięgu działań operacyjnych Biura.

– Macie niezłe stosunki z królem – zauważył Payne. – Może im to zagrozić, jeśli coś nie przebiegnie pomyślnie.

– Wy też macie niezłe stosunki z królem.

– Zamierzasz współpracować z marokańskimi służbami?

– A ty współpracowałeś z Pakistańczykami, kiedy ścigaliście bin Ladena?

– A więc rozumiem, że nie.

– Wszystko wskazuje na to – odparł Gabriel – że Saladyn ukrywa się w warunkach zbliżonych do tych, w jakich bin Laden ukrywał się w Abbottabadzie. Co więcej, korzysta z ochrony jakiegoś barona narkotykowego, który bez wątplenia ma wysoko ustawionych przyjaciół. Informując Marokańczyków o tej operacji, równie dobrze moglibyśmy ostrzec samego Saladyna.

– Jaką masz pewność, że on tam jest?

Gabriel położył na stole dwa portrety pamięciowe. Stuknął palcem w pierwszy, który przedstawiał Saladyna wiosną 2012 roku, wkrótce po tym, jak ISIS ulokowało się w Libii.

– To dokładna podobizna mężczyzny, którego widziałem w Georgetown, w holu Four Seasons tuż przed zamachem. Jeśli sprawdzisz nagrania z kamer hotelowych, na pewno się z tym zgodzisz. – Wskazał drugi szkic. – A tak wygląda teraz.

– Wedle opisu handlarza narkotyków, niejakiego Jean-Luca Martela.

– Nie zawsze wybieramy naszych informatorów, Morris. Czasem to oni nas wybierają.

– Ufasz mu?

– Ani trochę.

– I mimo to jesteś gotów wyruszać z nim na wojnę?

– Masz lepszy pomysł?

Najwyraźniej nie miał.

– A jeśli Saladyn nie zareaguje? – zastanawiał się Morris Payne.

– Właśnie stracił towar wartości stu milionów euro. No i cez.

Amerykanin spojrział na Paula Rousseau.

– Czy wasi ludzie zdołali zidentyfikować źródło cezu?

– Najbardziej prawdopodobna wydaje się Rosja – odparł Rousseau – a także któraś z dawnych republik radzieckich lub kraj satelicki. Sowieci dość beztrudnie wykorzystywali cez i porzucali kanistry z tą substancją w przypadkowych miejscach. Możliwe również, że pochodzi z Libii. Kiedy upadł reżim, rebelianci i bojówki milicji zajęły libijskie zakłady nuklearne. Międzynarodową Agencję Energii Atomowej szczególnie niepokoiły zakłady badawcze w Tajurze. Może o tym słyszałeś?

Payne skinął twierdząco głową.

– Kiedy wasz rząd zamierza wydać oficjalny komunikat? – spytał.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie cezu! – warknął Payne.

– Nie zamierza.

Payne zaniemówił. Ale tym razem Gabriel podjął się wyjaśnień.

– Komunikat wywołałby zbędną panikę. Co gorsza, upewniłby Saladyna, że wykryliśmy ich radioaktywny materiał.

– A jeśli gdzieś wysłali inny transport z cezem? Jeśli brudna bomba wybuchnie w centrum Paryża? Londynu? Albo na Manhattanie?

– Publiczny komunikat nie zmniejszy i nie zwiększy zagrożenia. Za to dyskrecja ma pewne zalety. – Gabriel położył rękę na ramieniu Grahama Seymoura. – Miałeś może okazję poznać i jego akta, dyrektorze Payne? W czasie drugiej wojny światowej ojciec Grahama pracował dla wywiadu brytyjskiego. W Komitecie Dwadzieścia. Anglicy zataili przed Niemcami fakt aresztowania ich szpiegów w Wielkiej Brytanii. Utrzymywali niemieckich kontrolerów w przeświadczeniu, że ci agenci funkcjonują, wykorzystując ich tymczasem do przekazania wrogom mylących informacji. Niemcy nie próbowali wymienić swych szpiegów na innych, gdyż mieli pewność, że nadal wykonują swe

zadania.

– A więc jeśli Saladyn pomyśli, że jego cez dopłynął, nie będzie próbował wysłać go ponownie. Czy to chcesz mi powiedzieć?

Gabriel milczał.

– Niegłupie. – Amerykanin się uśmiechnął.

– To nie nasze pierwsze rodeo.

– Czy w Dolinie Jezreel mieliście rodeo?

– Nie – odparł Gabriel. – Nie mieliśmy.

Pozostała jeszcze tylko jedna sprawa. Nie do załatwienia w pokoju pełnym szpiegów. Wymagała rozmowy na najwyższym szczeblu – szefa z szefem. Żadne z bocznych pomieszczeń, nawet odosobnione, nie wchodziło w rachubę. Jedynie otoczony murem ogród z walącymi się fontannami i zachwaszczonymi ścieżkami zapewniał niezbędną dyskrecję.

Mimo letniej pory było szaro i chłodno. Wybujale żywopłoty ociekały wodą po niedawnej ulewie. Gabriel i Morris Payne, zamyśleni, szli powoli obok siebie. Wielki muskularny Amerykanin z którejś z Dakot i drobny Izraelczyk z prastarej Doliny Jezreel, widziani z okien starego domostwa, tworzyli dziwaczną parę. Morris Payne, bez marynarki, energicznie gestykułował rękami na poparcie swych argumentów. Gabriel słuchał, pocierał kark i w stosownych chwilach potakiwał.

W piątej minucie rozmowy zatrzymali się i stanęli twarzą w twarz, jakby w postawie konfrontacyjnej. Payne wbił gruby palec wskazujący w pierś rozmówcy, co wyglądało niepokojąco, lecz Gabriel z uśmiechem odwdzieczył się tym samym. Potem uniósł nad głowę lewą rękę, zakreślając okrąg, prawą dłonią zaś uniesioną na wysokości biodra wskazywał ziemię. Tym razem Payne skinieniem wyraził akceptację. Ci, którzy obserwowali ich z domu, zrozumieli znaczenie tej chwili. Nastąpiło przymierze operacyjne. Amerykanie przejmują niebo i cyberprzestrzeń, Izraelczycy prowadzą operację naziemną, a jeśli pojawi się szansa, bez zbędnego rozgłosu wyślą Saladyna do bram raj.

Potem obrócili się i ruszyli z powrotem. Dla tych, którzy widzieli ich z okien, było oczywiste, że to, co teraz mówił Gabriel, rozdrażniło Payne'a. Po chwili znów się zatrzymali i kolejny raz zaczęli wytykać coś sobie palcami. Na koniec Payne zwrócił ku ponuremu niebu swą twarz kolosa z Wyspy Wielkanocnej i z głębokim westchnieniem skapitulował. Przechodząc przez salę konferencyjną, ściągnął marynarkę z oparcia krzesła i ruszył do wyjścia, a za nim podążyła jego ponura świta. W pewnym odstępie pochod zamykali Adrian Carter i Kyle Taylor. Gabriel i Graham Seymour zamachali do nich z portyku, jakby żegnali niepożądane towarzystwo.

– Załatwiłeś wszystko, co chciałeś? – spytał Seymour z wciąż zastygłym na ustach sztucznym uśmiechem.

– Za chwilę zobaczymy.

Tłum Amerykanów zaczął dzielić się na mniejsze grupy, z których każda zmierzała do jednego z czekających SUV-ów. Payne nagle przystanął i odwrócił się w stronę Cartera, wołając, by do niego dołączył. Carter oderwał się od reszty i zazdrośnie obserwowany przez Kyle'a Taylora, wspiął się do dyrektorskiego SUV-a.

- Jak tego dokonałeś? – spytał Seymour, gdy ryknęły silniki i kawalkada ruszyła.
- Grzecznie poprosiłem.
- Myślisz, że on długo przetrwa?
- To – odparł Gabriel – zależy tylko od Saladyna.

Bulwar Króla Saula, Tel Awiw

Wszystkie ręce na pokład! W myśl tego hasła nazajutrz wszyscy na bulwarze Króla Saula włączyli się do akcji. Nawet Uzi Navot, który gasił inne pożary w trakcie przedłużających się licznych nieobecności Gabriela, został wciągnięty do intensywnego planowania. Biuro walczyło o prawo do kontroli nad operacją i wygrało. Ale ten przywilej oznaczał również ogromną odpowiedzialność. Od czasu amerykańskiego ataku na budynek w Abbottabadzie, gdzie ukrywał się Osama bin Laden, żaden wywiad nie organizował operacji na taką skalę. Saladyn dzierżył stery globalnej sieci terrorystycznej zdolnej wejść w posiadanie materiałów radioaktywnych i przemycić je na próg Europy Zachodniej. Trudno o wyższą stawkę. Powtarzano to sobie nieustannie. Bezpieczeństwo cywilizowanego świata zawisło dosłownie na jednej szali. Podobnie jak kariera Gabriela. Sukces mógł jedynie umocnić jego reputację, ale klęska przekreśliłaby wszystkie wcześniejsze zasługi, dołączając jego nazwisko do listy skompromitowanych szefów, którzy przeliczyli się i ponieśli klęskę.

Jeśli nawet Gabriel niepokoił się o własną opinię, to nie dał temu wyrazu. Nawet wobec Uziego Navota, który wydeptał ścieżkę na dywanie łączącym drzwi jego obecnego gabinetu z tym, w którym ongiś urzędował. Krążyły pogłoski, że próbował nakłonić Gabriela, by się wycofał i podarował Jean-Luca Martela Amerykanom, a sam skierował uwagę na zagrożenia bliższe, na przykład Iran. Navot lamentował również, że ryzyko planowanej akcji jest zbyt duże jak na domniemane korzyści. Tak przynajmniej szeptano w korytarzach i chronionych szyframi pokojach przy bulwarze Króla Saula. Ale szeptano również, że Gabriel nigdy nie zrezygnuje z tej operacji.

– Czemu miałby to zrobić? – dywagował jakiś wszechwiedzący z działu podróży.
– Przecież Saladyn pokonał naszego szefa tej strasznej nocy w Waszyngtonie.

No i była jeszcze Hannah Weinberg, jego przyjaciółka, a czasem współpracowniczka, która zginęła w paryskim zamachu.

– Nie – przekonywał mądrała – Gabriel nie odda Saladyna tym z Waszyngtonu. Chce sam go wysłać na tamten świat. Najchętniej osobiście. To już nie jest dla niego sprawa zawodowa, lecz osobista.

Ale osobiste zaangażowanie bywa niebezpieczne. Nikt nie wiedział o tym lepiej niż sam Gabriel. Potwierdzała to cała jego kariera. Dlatego silnie naciskał na Navota i innych pracowników, by starannie badali każdy szczegół. Za planowanie i realizację zadania odpowiadał organizacyjnie Jakow Rossman, kierownik operacji specjalnych. A ponieważ szef nieustannie zerkał mu przez ramię, przygotował wszystko w ekspresowym tempie. Maroko nie było Libią ani Syrią, stanowiło jednak terytorium nieprzyjazne. Ponad dwudziestokrotnie większe od Izraela, miało zróżnicowane tereny uprawne, surowe góry, saharyjskie piaski i kilka dużych miast, jak Casablanka, Rabat, Tanger, Fez i Marrakesz. Odszukanie tu Saladyna nawet przy pomocy Jean-Luca Martela było nie lada wyzwaniem. A wykonanie wyroku bez przypadkowych ofiar i zapewnienie ekipie bezpiecznego

odwrotu stanowiło jedno z najtrudniejszych zadań w dziejach Biura.

Wybrzeże było ich sprzymierzeńcem, podobnie jak wybrzeże Tunezji w kwietniu 1988 roku. Tamtej nocy Gabriel z dwudziestosześcioletnią elitarną jednostką Sajjeret Matkal przybili na pontonach do brzegu nieopodal willi Abu Dżihada, a po wykonaniu zadania w ten sam sposób odpłynęli. W tygodniach poprzedzających operację wielokrotnie ćwiczyli ten manewr na plaży Izraela. Zbudowali nawet atrapę nadmorskiej willi Abu Dżihada pośrodku pustyni Negew po to, by Gabriel mógł trenować przejście od drzwi frontowych do gabinetu na piętrze, gdzie zastępca dowódcy Organizacji Wyzwolenia Palestyny zazwyczaj spędzał wieczory. Tak pedantyczne przygotowania nie były jednak możliwe w przypadku Saladyna, gdyż nikt nie miał pojęcia, w której części Maroka się ukrywa, a nawet czy w ogóle tam jest. Wiedzieli tylko, że mężczyzna o podobnej powierzchowności widziany był tam przed kilkoma miesiącami, wkrótce po zamachu na Waszyngton. Krótko mówiąc, mieli znacznie mniej danych niż Amerykanie przed rajdem na Abbottabad. I znacznie więcej do stracenia.

Oznaczało to, że muszą być gotowi na wszelkie ewentualności lub przynajmniej na tyle, ile to możliwe. Potrzebna była zatem duża ekipa, większa niż w trakcie poprzednich operacji, a każdy z jej członków musiał mieć paszport. Sekcja legalizacji, która przechowywała legendy operacyjne, szybko wyczerpała zasoby fikcyjnych życiorysów, tym samym zmuszając Gabriela, by zwrócił się do partnerów – Francuzów, Brytyjczyków oraz Amerykanów – w celu uzupełnienia braków. Początkowo wszyscy się opierali, ale pod jego nieugiętą presją musieli skapitulować. Amerykanie zgodzili się nawet wskrzesić jakiś stary paszport opiewający na Jonathana Albrighta z fotografią, którą można było od biedy uznać za zdjęcie Gabriela.

– Chyba nie wybierasz się tam teraz? – zaniepokoił się Adrian Carter w trakcie rozmowy przez bezpieczny link wideo.

– W lecie? O, nie! – zapewnił Gabriel. – Za nic w świecie. W Maroku jest za gorąco o tej porze.

Trzeba było wypożyczyć samochody i motocykle, zarezerwować otwarte bilety lotnicze i znaleźć zakwaterowanie. Większość ekipy miała zamieszkać w hotelach, tuż pod okiem marokańskiej służby bezpieczeństwa – Direction de la Surveillance du Territoire, czyli DST – lecz dla centrum dowodzenia operacyjnego Gabriel domagał się lokalu odpowiednio zakonspirowanego. Rozwiązanie znalazł Ari Szamron urzędujący w swej twierdzy w Tyberiadzie. Jeden z jego przyjaciół, marokański Żyd i zamożny biznesmen, który uciekł z kraju po katastrofie wojny sześciodniowej w 1967 roku, nadal miał dużą willę w starej kolonialnej części Casablanki. Obecnie na terenie posiadłości mieszkało tylko małżeństwo dozorców, które zajmowało domek gościnny. Szamron bezapelacyjnie doradzał kupno, a nie krótkoterminowy najem, a Gabriel przyznał mu rację.

Na szczęście pieniądze nie stanowiły problemu. Dmitri Antonow mimo niedawnego szaleństwa zakupowego wciąż miał ich nadmiar. Z miejsca wypisał czek na całość sumy i wysłał do Casablanki francuskiego prawnika, a w rzeczywistości oficera Grupy Alfa, by podpisać akt kupna. Jeszcze tego dnia Biuro weszło w posiadanie wysuniętej bazy operacyjnej w sercu miasta. Teraz potrzebowało już tylko Saladyna.

W owych długich dniach planowania operacji jego siatka nie wykazywała cienia aktywności. Nie odnotowano żadnych ataków, ani tych dokonanych z ramienia organizacji, ani z inicjatywy samotnych wilków. Natomiast liczne media społecznościowe ISIS aż wrzały od plotek, że szykuje się coś wielkiego. Coś, co przyćmi nawet ataki na Waszyngton i Londyn. Nasilało to jeszcze atmosferę napięcia w budynku przy bulwarze Króla Saula, a także w Langley i Vauxhall Cross. Należało jak najszybciej wyeliminować Saladyna z obiegu.

Ale czy jego śmierć położy kres rozlewowi krwi? Czy wraz z nim zginie jego organizacja?

– Mało prawdopodobne – orzekła Dina Sarid.

A najbardziej obawiała się tego, że Saladyn zbudował w swej siatce rodzaj przełącznika, który w przypadku jego śmierci automatycznie uruchomi serię morderczych ataków. Poza tym ISIS zdołała już niejednokrotnie wykazać niezwykle zdolności adaptacyjne. Dina mówiła, że jeśli kalifat w Iraku i Syrii ulegnie fizycznej likwidacji, w jego miejsce powstanie kalifat wirtualny. Cyberkalifat, jak to określiła. A wtedy stare metody utracą skuteczność. Kandydaci na męczenników będą się radykalizować w ukrytym zakątku ciemnej strony sieci, prowadzeni do celów przez mistrzów, których nigdy nie widzieli. Taki jest nowy wspaniały świat, który narodził się wraz z internetem, mediami społecznościowymi i szyfrowanymi wiadomościami.

Natychmiastowej uwagi wymagała jednak trzystugramowa porcja chlorku cezu znajdująca się w rządowym laboratorium pod Paryżem – substancja radioaktywna, która w przeświadczeniu Saladyna wciąż znajdowała się pod pokładem handlowca aresztowanego w tulońskim porcie. Czyżby jednak powierzył cały swój arsenał jednej pokątnej dostawie? Czy też jakaś jego część już się znajdowała w rękach komórki zamachowej? Czy następna bomba, która wybuchnie w jednym z europejskich miast, nie będzie zawierać radioaktywnego jądra?

W miarę jak mijały dni, a kontakt z marokańskim dostawcą Jean-Luca Martela wciąż nie dochodził do skutku, Paul Rousseau i jego minister zaczęli się zastanawiać, czy nie nadszedł czas, by ostrzec europejskie kraje przed rosnącym zagrożeniem. Jednak Gabriel z pomocą Grahama Seymoura i Amerykanów skłonili ich do milczenia. Ostrzeżenie, nawet najbardziej rutynowe, wiązało się z ryzykiem ujawnienia operacji. Nieuchronnie nastąpiłby wtedy przeciek. A to wystarczyło, by Saladyn zdał sobie sprawę, że konfiskata jego narkotyków łączy się z ujawnieniem radioaktywnego proszku ukrytego w szpuli izolowanego drutu.

– Może zresztą już to zrozumiał – stwierdził Rousseau z przygnębieniem. – Może i tym razem wygrał.

W głębi duszy Gabriel również się tego obawiał. Podobnie jak Amerykanie. Dlatego w trakcie nerwowej wideokonferencji, która odbyła się w drugi piątek sierpnia, ponowili żądanie, by Gabriel przekazał Jean-Luca Martela, a tym samym całą operację, pod kontrolę Langley. Gabriel odmówił, a gdy Amerykanie nadal wywierali naciski, przyjął jedyną możliwą taktykę. Życzył im miłego weekendu i zakończył rozmowę. Potem zadzwonił do Chiary i powiedział, że jadą do Tyberiady na szabasową kolację.

Tyberiada, Izrael

Tyberiada, jedno z czterech świętych miast judaizmu, leży na zachodnim brzegu wód, które większość świata nazywa Jeziorem Galilejskim, a Izraelczycy jeziorem Kinneret. Tuż za granicami miejskich przedmieść wyrósł niewielki moszaw Kefar Chittim. Powstał on w miejscu, gdzie w upalne letnie popołudnie 1187 roku prawdziwy Saladyn pokonał wycieńczoną armię krzyżowców w ostatecznej bitwie, po której Jerozolima ponownie przeszła w ręce muzułmanów. Nie okazał miłosierdzia nieprzyjaciółom. W swym namiocie osobiście obciął rękę Raynaldowi z Châtillon, gdy Francuz odmówił przejścia na islam. Resztę pokonanych krzyżowców skazał na ścięcie, tradycyjną karę dla niewiernych.

Jakiś kilometr lub dwa na północ od Kefar Chittim wznosi się skalna skarpa z widokiem na jezioro oraz spaloną słońcem równinę, gdzie rozegrała się dawna bitwa. I to właśnie w tym miejscu Ari Szamron postanowił zbudować swój dom. Twierdził, że przy pomysłnym wietrze słyszy stąd szcęk mieczy i jęki konających. I przypomina mu to o nietrwałości władzy politycznej oraz wojskowej w tym burzliwym zakątku wschodniej części Morza Śródziemnego.

Kananejczycy, Hetyci, Amalekici, Moabici, Grecy, Rzymianie, Persowie, Arabowie, Turcy i Brytyjczycy – wszyscy oni przybyli i odeszli. Jedynie Żydzi, wbrew odwiecznej regule, mieli po raz drugi odegrać tu wielki akt historyczny. Dwa tysiące lat po upadku Drugiej Świątyni powrócili, by ponownie objąć tę ziemię. Ale Szamron, czerpiąc z doświadczeń historii, uważał, że ich czas jest też policzony.

Niewiele osób może sobie przypisać zasługę budowy kraju, a jeszcze mniej – utworzenia państwowych służb wywiadu. Ari Szamron miał do tego pełne prawo. Urodzony we wschodniej Polsce, wyemigrował do brytyjskiej Palestyny w 1937 roku, gdy nad europejskimi Żydami zawisła groźba katastrofy. Walczył w wojnie, która rozpętała się w wyniku powstania Państwa Izrael w 1948 roku, a po zakończeniu konfliktu, gdy świat arabski sprzysiągł się, by zniszczyć u zarania nowe państwo żydowskie, dołączył do małej organizacji przez jej członków krótko zwanej Biurem.

Do jego pierwszych zadań należało wytropienie i likwidacja kilku nazistowskich naukowców, którzy na życzenie prezydenta Egiptu Gamala Abdela Nasera uczestniczyli w budowie bomby atomowej. Ale ukoronowanie jego agenturalnej kariery nie nastąpiło na Bliskim Wschodzie, lecz w San Fernando, na przemysłowym przedmieściu Buenos Aires. To tam pewnej deszczowej nocy w maju 1960 roku Szamron wciągnął Adolfa Eichmanna, głównego koordynatora i wykonawcę tak zwanego „Ostatecznego rozwiązania”, na tylne siedzenie czekającego samochodu. Był to pierwszy przystanek podróży, która dla niemieckiego zbrodniarza wojennego zakończyła się na izraelskiej szubienicy.

Natomiast dla Szamrona był to dopiero początek. W ciągu zaledwie kilku lat wywiad, do którego wstąpił u początków jego istnienia, zyskał w nim legendarnego szefa,

a kraj – niezłomnego obrońcę.

Ze swej jaskini przy bulwarze Króla Saula wypełnionej po sufit stalowoszarymi szafami akt i przesyconej wonią tureckiego tytoniu tropił tajemnice królewskich dworów, wykradał sekrety tyranów i zabijał niezliczonych wrogów. Sprawował urząd szefa dłużej niż ktokolwiek z jego poprzedników. A po odejściu na emeryturę znów go przywołano z końcem lat dziewięćdziesiątych, by po szeregu operacji spartaczonych przez jego następców skierował fregatę na właściwy kurs i przywrócił Biuru dawną chwałę. Znalazł wspólnika w pewnym boleśnie doświadczonym agencie operacyjnym, który odizolował się od świata i zamieszkał w Kornwalii, w małym domku nad brzegiem Helford Passage. I oto teraz, po latach, ów agent został szefem. Ciężar odpowiedzialności za dzieło Szamrona spoczął na jego barkach.

Szamron został wybrany do akcji ujęcia Eichmanna z powodu swych rąk, wyjątkowo dużych i silnych jak na tak małego człowieka. Obie spoczywały na gałce laski z oliwnego drewna, gdy Gabriel wszedł, niosąc na każdym z ramion jedno z dzieci. Powierzył je staremu przyjacielowi, po czym zawrócił do swego pancernego SUV-a po trzy półmiski dań, które Chiara gotowała przez całe popołudnie. Gila, cierpliwa żona Szamrona, zapaliła o zachodzie szabasowe świece, on zaś z intonacją jidysz – języka młodości, którą spędził w Polsce – wygłosił błogosławieństwo chleba i wina. W tej chwili Saladyn i plany operacyjne straciły dla Gabriela znaczenie. Cała treść i sens istnienia sprowadzały się tylko do rodziny i wiary.

Nie na długo jednak zdołał się oderwać od rzeczywistości. Gdy pozostali uczestnicy kolacji plotkowali na temat polityki i lamentowali nad bieżącymi doniesieniami, jego wzrok raz po raz kierował się w stronę leżącej obok komórki. Szamron, który go obserwował z miejsca u szczytu stołu, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wyraźne zdenerwowanie jego pupila nie budziło w nim współczucia. Sam potrzebował ryzykownych akcji jak tlenu. I nawet nieudana operacja zadowalała go bardziej niż żadna.

Po kolacji poprowadził Gabriela na dół, do pokoju, który pełnił funkcję podwójną – gabinetu i warsztatu. Na roboczym stole, jak gruz po bombardowaniu, leżały rozrzucone części staroświeckiego radia. Szamron usiadł, pstryknął starą zapalniczką zippo i zapalił jeden ze swych okropnych tureckich papierosów. Odpędzając ręką dym, Gabriel zaczął się przyglądać pamiątkowym zdjęciom starannie ustawionym na półkach. Jego wzrok padł niebawem na fotografię Szamrona z Goldą Meir. Tamtego pamiętnego dnia to właśnie ona poleciła mu „wysłać chłopców”, by pomścili jedenastu izraelskich trenerów i zawodników zamordowanych na olimpiadzie w Monachium. Obok fotografii stała szklana szkatułka, a w niej na czarnym atlasie leżało jedenaście łusek po nabojach kalibru 22.

– Zachowałem je dla ciebie.

– Nie chcę ich.

– Dlaczego?

– Są makabryczne.

– To przecież ty wykombinowałeś, jak wcisnąć jedenaście naboji w magazynek na dziesięć.

– Może się obawiam, że ktoś zechce mieć podobną szkatułkę z moim imieniem.

– Ktoś już ją ma, synu. – Szamron włączył silną lampę do pracy.
– Wykazujesz niezwykłą powściągliwość. – Gabriel spojrzął na niego spod oka.
– Dlaczego?
– Nie spytałeś nawet o plan operacji.
– Po co miałbym to robić?
– Bo jesteś patologicznie wścibski.
– Jak każdy szpieg. – Starannie ustawił lampę i zaczął się przyglądać zużytej części obwodu.

– Co to za radio?
– RCA, model Art Deco z marmurkową obudową z polimeru. Długo- i krótkofalowe. Rocznik tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć. Wyobrażasz sobie? – Wskazał oryginalną etykietę na podstawie. – Gdzieś w Ameryce w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku ktoś budował to radio, podczas gdy twój ojciec i twoja matka próbowali zbudować swoje życie.

– To zwykłe radio, Ari. Nie ma nic wspólnego z Szoah.
– Tak sobie tylko pomyślałem. – Szamron się uśmiechnął. – Jesteś jakiś spięty. Coś cię niepokoi?

– Nie, skądże.
Nastąpiła cisza, podczas której Szamron zabrał się do majsterkowania. Oprócz ingerencji w życie Gabriela naprawa starych odbiorników była jego jedynym hobby.

– Uzi mówi, że wybierasz się do Maroka – odezwał się w końcu.
– Po co to robi?
– Ponieważ nie potrafi cię zmusić do zmiany planu i myśli, że mnie się to uda.
– Jeszcze nie podjąłem decyzji.
– Ale poprosiłeś Amerykanów, żeby przedłużyli twój paszport.
– Wznowili – uściślił Gabriel.
– Przedłużyli, wznowili, co za różnica? Nie należało go przyjmować. Powinien leżeć w takiej samej małej szklanej urnie jak te łuski z naboju.
– Był bardzo użyteczny w różnych okolicznościach.
– Pamiętaj, błękit i biel. – Szamron się wyprostował. – Mamy własne sprawy i nie pomagamy innym rozwiązywać problemów, które sami stworzyli.
– Może kiedyś tak było – odparł Gabriel. – Ale nie możemy tak działać dłużej. Potrzebujemy partnerów.

– Partnerzy potrafią zawieść. A ten paszport cię nie ochroni, jeśli coś się nie uda w Maroku.

Gabriel sięgnął po szkatułkę z łuskami po naboju kalibru .22.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, a jestem pewien, że nie, to ty siedziałeś z tyłu samochodu na piazza Annibaliano, kiedy wchodziłem do budynku rozprawić się z Zwaiterem.

– Byłem wtedy szefem operacji specjalnych. Brałem udział w działaniach terenowych. Znacznie lepszym porównaniem – ciągnął, wypuszczając dym – jest sprawa Abu Dżihada. Wtedy, jako szef Biura, nie opuściłem stanowiska na okręcie marynarki, kiedy ty z ekipą zeszedłeś na ląd.

– O ile sobie przypominam, towarzyszył ci minister obrony.

– To była ważna operacja. Niemal tak ważna – powiedział cicho – jak ta, którą planujesz. Czas, żeby Saladyn opuścił scenę bez bisów i podnoszenia kurtyny. Tylko uważaj, żeby nie dostał tego, czego naprawdę chce.

– To znaczy czego?

– Ciebie.

Gabriel odłożył szkatułkę na miejsce.

– Pozwolisz, że zadam ci parę pytań? – spytał Szamron.

– Jeśli cię to uszczęśliwi...

– Środki odwrotu?

Gabriel wyjaśnił, że przewiduje dwa. Jednym jest izraelska korweta, a drugim liberyjski statek handlowy „Neptun”, a w rzeczywistości pływający radar i stacja nasłuchowa kontrolowana przez AMAN, izraelski wywiad wojskowy. „Neptun” będzie stacjonował w pobliżu Agadiru, na atlantyckim wybrzeżu Maroka.

– A korweta?

– W małym śródziemnomorskim porcie Al-Dżabha.

– Jak mniemam, to tam wyląduje ekipa Sajjeret.

– Jeśli tam polecę. Poza tym – rzekł Gabriel – mam do dyspozycji byłego oficera Sajjeret i weterana SAS.

– Obaj będą musieli nieustannie nadzorować tego całego Jean-Luca Martela. – Szamron wolno pokręcił głową. – Czasem najgorszą rzeczą w udanej rekrutacji jest to, że nie można spuścić agenta z oczu. Cokolwiek chcesz zrobić, nie możesz mu ufać.

– Nawet o tym nie marzę.

Papieros zgasł. Szamron zapalił kolejnego i znów zaczął majstrować przy radiu, podczas gdy Gabriel patrzył na fotografię na półce, próbując zestawić czarno-biały portret wschodzącej gwiazdy wywiadu z widokiem siedzącego obok starego człowieka. To stało się tak szybko, myślał. Wkrótce i jego to czeka. Upływ czasu jest nieuchronny. Nawet Rafael i Irene nie zdołają go powstrzymać.

– Nie zamierzasz odpowiedzieć? – spytał nagle Szamron.

– Na co?

– Twój telefon. To mnie rozprasza.

Gabriel spojrzał na ekran. Tak się zamyślił, że nie zauważył wiadomości, która nadeszła z willi pod Ramatuelle.

– No i? – nie wytrzymał Szamron.

– Wygląda na to, że Muhammad Bakkar chce pogadać z Jean-Lukiem Martelem na temat tych skonfiskowanych narkotyków. Pyta go, czy może przyjechać do Maroka z początkiem przyszłego tygodnia.

– Będzie miał czas?

– Martel? Myślę, że jakoś to wciśniemy w jego harmonogram.

Szamron wsunął kabel do kontaktu na roboczym stole i włączył odbiornik. Chwilę później, gdy go dostroił, rozległa się muzyka.

– Nie znam tego – zdziwił się Gabriel.

– Nie możesz. Jesteś za młody. To Artie Shaw. Kiedy po raz pierwszy to

słyszałem... – Nie dokończył myśli.

– Jaki ma tytuł? – spytał Gabriel.

– „You’re a Lucky Guy”.

Ale w tej samej chwili radio zamilkło, piosenka się urwała.

Szamron zmarszczył brwi.

– A może nie.

Casablanka, Maroko

Droga łącząca Międzynarodowy Port Lotniczy Muhammad V w Casablance z centrum największego marokańskiego miasta i finansowego pępka kraju była gładką czteropasmówką z czarnego jak węgiel asfaltu. Ale Dina Sarid, brawurowy kierowca z natury, prowadziła z niezwykłą ostrożnością.

– Czym się tak przejmujesz? – spytał Gabriel.

– Tobą.

– Co znów zrobiłem?

– Nic. Po prostu nigdy jeszcze nie wiozłam prawdziwego szefa.

– No cóż... – Spojrzał za okno. – Zawsze coś robimy pierwszy raz.

Torbę rzucił na tylne siedzenie, lecz aktówkę trzymał na kolanach. Był w niej amerykański paszport, który zapewnił mu spokojne przejście przez marokańską kontrolę graniczną i celną. W Waszyngtonie wiele się zmieniło, ale w większości krajów obywatelstwo amerykańskie wciąż miało swe zalety.

Ruch nagle zwolnił, aż w końcu się zatrzymał.

– Posterunek kontrolny – wyjaśniła Dina. – Są wszędzie.

– Jak myślisz, czego szukają?

– Może szefa wywiadu izraelskiego?

Szereg pomarańczowych pachołków kierował pojazdy na pobocze, gdzie dwóch żandarmów sprawdzało samochody i pasażerów pod okiem ponurych osiłków z DST w cywilnych ubraniach i ciemnych okularach. Dina opuściła okno, rzucając coś do Gabriela płynnym niemieckim, był to bowiem język jej nowej tożsamości potwierdzonej fałszywym paszportem. Znudzeni żandarmi machnęli ręką, by przejeżdżała, jakby opędzali się od much. Twardziele z DST najwyraźniej błędzili myślami gdzie indziej.

Szybko podniosła szybę, blokując wdzierającą się do wnętrza falę bezlitosnego upału, i ustawiła klimatyzację na maksimum. Minęli dużą bazę wojskową i wjechali po chwili na tereny rolnicze, między poletka żyznej czarnej ziemi, uprawianej przez mieszkańców okolicznych wiosek. Rzędy eukaliptusów przypomniały Gabrielowi dom.

Na koniec wyłoniły się zaniedbane przedmieścia Casablanki, drugiego z największych miast Afryki Północnej, ustępującego wielkością tylko gigantycznemu Kairowi. Ale tereny rolne nie znikły bez śladu. Wcisnęły się pomiędzy eleganckie apartamentowce i skupiska bud skleconych z zardzewiałych blach i żużlobetonowych pustaków – domów setek tysięcy najbiedniejszych mieszkańców Casablanki.

– Nazywają je bidonvilles. Miasta w bidonach. – Dina wskazała jedno z takich siedlisk. – Chyba brzmi lepiej niż slumsy. Ci, którzy tu mieszkają, nie mają nic. Ani bieżącej wody, ani jedzenia. Co pewien czas władze próbują zlikwidować te osiedla i wpuszczają tu buldożery, ale ci ludzie wracają i na nowo klecą swoje budy. Bo co im pozostaje? Gdzie mają iść?

Minęli spłachetek rzadkiej wyschniętej trawy, na której dwaj bosi chłopcy paśli

stadko wychudzonych kóz.

– Jedyne, co mają w tych bidonvilles – ciągnęła – to islam, który dzięki wahabickim i salafickim kaznodziejom staje się coraz bardziej radykalny. Pamiętasz zamachy z dwa tysiące trzeciego roku? Wszyscy ci chłopcy, którzy wysadzili się w powietrze, pochodzili z bidonville w dzielnicy Sidi Mumen.

Oczywiście Gabriel pamiętał, ale większość mieszkańców Zachodu już o tym zapomniała. Czternaście zamachów bombowych skierowanych przeciw zachodnim społeczeństwom i Żydom. Czterdziestu pięciu zabitych, ponad stu rannych. Dokonała tego stowarzyszona z Al-Kaidą organizacja Salafia Dżihadia, powiązana również z Marokańską Islamską Grupą Bojowników. Przy całym swym pięknie i ożywionej turystyce Maroko jest bowiem wylęgarnią radykalnego islamu, miejscem, w którym ISIS głęboko zapuściło korzenie i utworzyło liczne komórki.

Ponad tysiąc trzystu Marokańczyków wyruszyło do kalifatu, by walczyć w szeregach tak zwanego Państwa Islamskiego, podobnie jak kilkuset etnicznych Marokańczyków z Francji, Belgii i Niderlandów. Marokańczycy odegrali również główne role w ostatnich akcjach terrorystycznych na terenie zachodniej Europy. Głośnym echem odbiła się śmierć reżysera i pisarza Theo van Gogha. Holenderski Marokańczyk Mohammed Bouyeri na ulicy Amsterdamu oddał do niego kilka strzałów, a następnie poderżnął mu gardło. I nie był to spontaniczny akt szaleńca. Bouyeri okazał się członkiem mocno osadzonej w Hadze komórki radykalnych północnoafrykańskich muzułmanów, zwanej siatką z Hofstad. Marokańskie służby bezpieczeństwa w znacznej mierze wyparły ekstremistyczne ugrupowania z terenu swego kraju, niemniej wciąż pojawia się tam wiele nowych spisków. Ministerstwo spraw wewnętrznych ostatnio z dumą informowało, że zdołało udaremnić ponad trzysta zamachów terrorystycznych, w tym jeden z użyciem iperytu. Są rzeczy, o których lepiej nie mówić, pomyślał Gabriel.

Gdy wspięli się na wzgórze, otworzył się przed nimi widok na jasny błękit Atlantyku. Potężne Marokańskie Centrum Handlowe ze swym futurystycznym IMAX-em i butikami zachodnich projektantów zajmowało świeżo zagospodarowany teren wzdłuż brzegu. Dina skierowała się nadmorską drogą do centrum, mijając kluby plażowe, restauracje i lśniące białą wille nadmorskie, z których jedna miała wielkość zakładu przemysłowego.

– Należy do jakiegoś saudyjskiego księcia. A tam – wskazała – jest Four Seasons.

Zwolniła, by Gabriel mógł się przyjrzeć hotelowi. Przy bramie wjazdowej dwaj ochroniarze w ciemnych garniturach sprawdzali podwozia samochodów, szukając ładunków wybuchowych. Dopiero po kontroli wjeżdżały na podjazd prowadzący pod zadaszony parking.

– Tuż za drzwiami wejściowymi jest magnetometr – informowała Dina. - Sprawdzają torby i wszystkich gości, bez wyjątku. Będziemy musieli przynieść broń później, z plaży. Nie powinno być z tym problemu.

– Myślisz, że chłopcy z Salafia Dżihadia też o tym wiedzą?

– Oby nie. – Uśmiechnęła się, co rzadko się zdarzało.

Podążali dalej nadmorską Corniche, mijając potężny meczet Hassana II, mury starej twierdzy i rozległy port. Na koniec wjechali do starego kolonialnego centrum z jego

szerokimi krętymi bulwarami i unikalną mieszanką stylu mauretańskiego, secesji i art déco. Ongiś było to miejsce, gdzie kosmopolityczni mieszkańcy Casablanki przechadzali się wśród eleganckich kolumnad w najnowszych paryskich kreacjach i jadali w najlepszych restauracjach świata. Teraz stało się obrazem upadku i symbolem zagrożenia. Bogate stiuki elewacji pokryła sadza, a kute żelazne balustrady zżerała rdza. Lepsze towarzystwo lokowało się w nowych dzielnicach – modnym Gauthier i Maarif, pozostawiając starą Casablankę mężczyznom w długich szatach, zawołanym kobietom oraz ulicznym złodziejom, którzy sprzedawali zepsute owoce i tanie kasety z nagraniami kazań oraz wersetów Koranu.

Jedyną oznaką postępu był lśniący nowy tramwaj, który jeździł bulwarami Muhammeda V, mijając zabite deskami sklepy i arkady, pod którymi bezdomni drzemali na posłaniach z tektury. Przez kilka przecznic Dina jechała za tramwajem, po czym skręciła w wąską boczną ulicę i zaparkowała. Z jednej strony wznosił się tu ośmiopiętrowy blok mieszkalny, który niemal chylił się pod ciężarem anten satelitarnych wyrastających jak grzyby z balkonów. Z drugiej stał zniszczony, porośnięty winem mur z ozdobnymi ongiś cedrowymi drzwiami. Strzegł ich dyszący pies o zdziwiałym wejrzeniu.

– Czemu stoimy? – spytał Gabriel.

– To jest to.

– Co?

– Centrum dowodzenia.

– Żartujesz sobie.

– Bynajmniej.

Gabriel podejrzliwie obejrzał czworonoga.

– A co z nim?

– Jest nieszkodliwy. Znacznie bardziej powinny niepokoić cię szczury.

W tej samej chwili jeden z nich przemknął chodnikiem obok. Miał wielkość szopa. Pies aż się wzdrygnął. Podobnie Gabriel.

– Może lepiej wrócić do Four Seasons?

– Tam nie jest bezpiecznie.

– Podobnie jak i tu.

– Tu można wytrzymać, jak się przywyknie.

– A jak jest w środku?

Dina wyłączyła silnik.

– Coś straszy. Poza tym całkiem przyjemnie.

Zrobili duży krok nad dyszącym psem i przez cedrowe drzwi weszli do ukrytego raj. Był tam basen z lazurową wodą, czerwony kort ziemny i zdawałoby się bezkresny ogród pełen bugenwilli, hibiskusów, drzew bananowych i palm daktylowych. Zbudowany w marokańskim stylu olbrzymi dom o wyłożonych płytkami wewnętrznymi dziedzińcach stopniowo tłumiał miejski szum Casablanki. Długi labirynt pokoi jakby zastygł w czasie. Może nastąpiło to w roku 1967, gdy właściciel rezydencji wrzucił do torby kilka rzeczy i zbiegł do Izraela. A może, myślał Gabriel, w epoce bardziej eleganckiej. Wówczas gdy wszyscy w sąsiedztwie mówili po francusku i zastanawiali się z niepokojem, czy Niemcy

naprawdę mogą wkroczyć na Champs-Élysées.

Dwaj dozorczy, Tarek i Hamid, odkupili tę pracę od poprzedniej pary stróżów, za starej, by dłużej obsługiwać willę. Nie wchodzili do środka. Na ogół przebywali w ogrodzie, a nocowali w małym domku dla gości. Ich żony, dzieci i wnuki mieszkały w pobliskim bidonville.

– Jesteśmy nowymi właścicielami – zauważył Gabriel. – Czemu nie możemy ich po prostu zwolnić?

– To nie jest dobry pomysł – odparł Jakow Rossman. Nim podjął pracę w Biurze, działał w Szabak, izraelskiej służbie bezpieczeństwa wewnętrznego, jako oficer prowadzący agentów na Zachodnim Brzegu i w strefie Gazy. Znał płynnie arabski i był ekspertem w zakresie kultury arabskiej i muzułmańskiej. – Ich zwolnienie wywoła wielki szum. To nam nie posłuży, jeśli chcemy utrzymać konspirację.

– No to damy im hojną odprawę.

– To jeszcze gorsze rozwiązanie. Ich krewni z wszystkich zakątków kraju zaczną szturmować nasze drzwi, licząc na datki. – Jakow z naganą pokręcił głową. – Mało wiesz o tych ludziach, co?

– No to zatrzymajmy dozorców – westchnął Gabriel. – Ale co to za bzdury z tymi strachami?

Stali w chłodnej ciszy wewnętrznego dziedzińca. Jakow nerwowo zerknął na Dinę, która z kolei spojrzała na Lavona. I to on, najstarszy z przyjaciół Gabriela, w końcu odpowiedział:

– Na imię ma Aisza.

– Żona Mahometa?

– Nie ta Aisza. Inna Aisza.

– Jaka inna?

– Aisza to dżin.

– Co takiego?

– Demon.

Gabriel spojrzał na Jakowa, oczekując wyjaśnień.

– Muzułmanie wierzą, że Allah ulepił człowieka z gliny. Natomiast dżiny powstały z ognia.

– To źle?

– Bardzo. W ciągu dnia żyją w martwych przedmiotach i niczym się nie wyróżniają. Ożywają dopiero po zmroku, przybierając dowolną postać.

– Są zmiennokształtne? – spytał Gabriel z powątpiewaniem.

– I źle – przytaknął ponuro Jakow. – Nic ich bardziej nie cieszy niż ludzka krzywda. Tu, w Maroku, wiara w dżiny jest szczególnie silna. To zapewne spadek po przedmuzułmańskich wierzeniach Berberów.

– Z faktu, że Marokańczycy w to wierzą, nie wynika, że to prawda. Coś mi umknęło?

– Tak głosi Koran – nie poddawał się Jakow.

– Co też niczego nie dowodzi.

Gdy trójka weteranów wywiadu izraelskiego wymieniła nerwowe spojrzenia,

Gabriel zmarszczył brwi.

- Chyba nie wierzycie w te brednie, co?
- Zeszłej nocy słyszeliśmy dziwne hałasy – odparła niepewnie Dina.
- Najwyraźniej grasują tu szczury.
- Albo dziny – dorzucił Jakow. – One mogą przybierać postać szczurów.
- Myślałem, że mamy tylko jednego dzina.
- Aisza to przywódca. Ale jest wiele innych.
- Kto tak mówi?
- Hamid. To ekspert.
- Czyżby? I co Hamid radzi?
- Zaleca egzorcyzmy. Obrzęd trwa kilka dni i wymaga ofiary z kozła.
- To mogłoby utrudnić czynności operacyjne. – Gabriel sprawiał wrażenie, jakby

poważnie rozważał tę kwestię.

- Mogłoby – zgodził się Jakow.
- Nie ma na nie innych sposobów niż egzorcyzmy?
- Można tylko uważać, żeby jej nie rozgniewać.
- Aiszy?
- A kogo?
- Co ją tak irytuje?
- Otwieranie okien, śmiechy i śpiewy. A także niestety podniesione głosy.
- To wszystko?
- Hamid rozsypał sól w kątach wszystkich pokoi, a ponadto skropił je krwią

i mlekiem.

- Co za ulga.
- Radzi też nie używać nocą prysznic ani toalety.
- Bo co?
- Bo dziny mieszkają tuż pod powierzchnią wody. Jeśli zakłócimy ich spokój...
- To?
- Hamid mówi, że spotka nas wielka tragedia.
- To brzmi groźnie. – Gabriel rozejrzał się po pięknym dziedzińcu. – Czy ten dom

ma jakąś nazwę?

- Nikt tego nie pamięta – odparła Dina.
- Więc jak go nazwiemy?
- Dar al-Dzinns – zaproponował ponuro Lavon. – Dom Dzinów. Może być?
- To może rozgniewać Aiszę – orzekł Gabriel. – A inaczej?
- Co byście powiedzieli na Dar al-Dzawasis? – spytał Jakow.

Tak, to brzmi lepiej, pomyślał Gabriel. Dar al-Dzawasis. Dom Szpiegów.

Poprosili, by żony i starsze córki Tareka i Hamida przyszły do willi i przygotowały tradycyjny marokański posiłek. Niebawem pojawiły się dwie tęgie kobiety w nikabach i cztery piękne dziewczęta obładowane koszami mięs i warzyw z targowisk starej dzielnicy. Przez całe popołudnie gotowały w olbrzymiej kuchni, gawędząc w dariji tak cicho, by nie przebudzić dzinów. Wkrótce cały dom wypełniła woń kuminu, imbiru, kolendry i pieprzu cayenne.

Gdy około siódmej wieczorem Gabriel wsunął głowę przez kuchenne drzwi, jego oczom ukazały się niezliczone półmiski marokańskich sałatek i przekąsek oraz potężne gliniane garnki kuskusu i tadżinu. Można było wyżywić tym miasto, toteż na jego wyraźne polecenie kobiety zwołały na ucztę wszystkich krewnych z bidon-ville.

Pod baldachimem lśniących jak diamenty gwiazd nędzarze z marokańskich slumsów i czwórka cudzoziemców wspólnie zasiedli do posiłku na największym z dziedzińców. Ukrywając znajomość arabskiego, przybysze posługiwali się francuskim. Rozmawiano o domowych dżinach, o złamanych obietnicach Arabskiej Wiosny, a także o morderczej organizacji, która nadała sobie miano Państwa Islamskiego. Tarek powiedział, że kilku młodych ludzi z bidonville, w tym syn jego dalekiego kuzyna, wyjechało do kalifatu. I że służba bezpieczeństwa DST od czasu do czasu wkracza do bidonville, skąd wywozi salafitów do tajnego więzienia w Temarze, gdzie poddawani są torturom.

– Wstrzymali wiele zamachów – ciągnął – ale już niedługo nastąpi kolejny potężny atak, taki jak ten w dwa tysiące trzecim roku. To tylko kwestia czasu.

Na tym posiłek się zakończył. Kobiety i ich krewni wrócili do bidonville, zabierając wszystko, co zostało z kolacji, natomiast Tarek i Hamid poszli do ogrodu wypatrywać dżinów. Gabriel, Jakow, Dina i Eli Lavon, życząc sobie dobrej nocy, rozeszli się do pokoi. W swej sypialni z widokiem na morze Gabriel zauważył, że któryś ze stróżów zakreślił węglem okrąg wokół łóżka, zabezpieczając je przed demonami, a ponadto spryskał kąty mlekiem i krwią.

Zmęczony położył się i natychmiast zapadł w głęboki sen. Ale tuż przed świtem obudził się, chcąc skorzystać z toalety. Długo leżał, zastanawiając się, co zrobić, po czym spojrzął na zegarek. Było kilka minut po piątej. Słońce wschodziło o szóstej czterdzieści dziewięć. Zamknął oczy. Lepiej nie kusić losu, pomyślał. Lepiej nie drażnić Aiszy i jej ziomków.

Casablanka, Maroko

Nieco później tego samego rana Jean-Luc Martel – hotelarz, restaurator, producent odzieży i biżuterii, a także międzynarodowy handlarz narkotyków i agent wywiadów francuskiego oraz izraelskiego – wszedł na pokład swego prywatnego gulfstreama JLM Deux na lotnisku w Nicei i odleciał do Casablanki. Towarzyszyli mu: niebędąca jego żoną kobieta, niebędący jego przyjaciółmi mężczyźni mieszkający w monstrualnej willi po drugiej stronie zatoki oraz brytyjski szpieg, który do niedawna uprawiał zawód zabójcy.

Żadna z operacji w historii wojny z globalnym terroryzmem nie miała takiego początku. Ta była pierwsza i wszyscy to potwierdzali. Wbrew wszelkim racjom i bez żadnego uzasadnienia wierzyli też, że będzie ostatnia.

Martel zamówił dwa mercedesy, które miały przewieźć całe towarzystwo z lotniska do Four Seasons. Limuzyny z rykiem przemknęły obok olśniewających nowych apartamentowców i nędznych bud bidonvilles, by skrócić w nadmorską Corniche i w rajdowym tempie dotrzeć do starannie strzeżonego wjazdu na teren hotelu. JLM oraz jego goście byli oczekiwani, dzięki czemu samochody poddano zaledwie pobieżnym oględzinom, by spiesznie otworzyć bramę prowadzącą na parking.

Mały batalion pomocników czekał na ich przyjęcie. Usłużnie otwierali drzwi samochodów i ładowali stosy eleganckich bagaży na przygotowane wózki. Następnie bagaż i jego właściciele przeszli przez kontrolę magnetometru, gdzie zatrzymano tylko Kellera, który dwukrotnie wzbudził alarm. Szef hotelowej ochrony, nie znajdując przy nim nic podejrzanego, rzucił żartem, że zapewne cały jest z metalu. Zdawkowy zimny uśmiech, którym Keller zareagował, w najmniejszym stopniu nie wzbudził podejrzeń ochroniarza.

W klimatyzowanym holu panowała klasztorna cisza. W szczycie marokańskiego lata nadmorskie hotele nie miały nadmiaru gości. JLM i jego ekipa z karawaną bagaży ruszyli w stronę recepcji. Martel i Olivia Watson olśniewali bielą swych kreacji, Michaił i Natalie udawali znudzonych, a Keller wciąż się dąsał po incydencie w drzwiach. Klucze do pokoi wręczył im sam dyrektor – monsieur Martel jak zawsze został zameldowany wcześniej – i wygłosił kilka przesadnie serdecznych słów powitania.

– Czy zamierzają państwo zjeść kolację w hotelu?

– Tak – odparł szybko Keller. – Proszę o stolik dla pięciu osób.

Hotel sprawiał wrażenie stojącego do góry nogami. Hol znajdował się na najwyższym piętrze, a pokoje dla gości na niższych. JLM wraz ze świtą zjechali na trzecie piętro. Martel i Olivia zajęli jeden pokój, mając po jednej stronie Michaiła i Natalie, a po drugiej Kellera. Kiedy obsługa wniosła bagaże, dostała napiwki i zniknęła, Michaił i Keller otworzyli wewnętrzne drzwi między pokojami, łącząc je we wspólną przestrzeń.

– Tak jest znacznie lepiej – stwierdził Keller. – A teraz pora na lunch.

Wiadomość dotarła do Domu Szpiegów tuż po południu, gdy Hamid i Tarek stali nad toaletą w łazience Gabriela, recytując wersety Koranu, by przepędzić dziny.

Informowała, że JLM z asystą przybyli bezpiecznie do Four Seasons, że Muhammad Bakkar ani jego zastępcy nie nawiązali dotąd kontaktu i że całe towarzystwo spożywa teraz lunch na tarasie hotelowej restauracji. Gabriel przesłał wiadomość bezpiecznym kanałem do Op Center przy bulwarze Króla Saula, skąd przekazano ją do Langley, Vauxhall Cross i siedziby DGSI w Levallois-Perret, gdzie wzbudziła zainteresowanie znacznie przewyższające swą operacyjną wartość.

Modły nad muszlą klozetową zakończyły się kilka minut po pierwszej, a lunch o wpół do drugiej. Dina i Jakow Rossman opuścili Dom Szpiegów kilka minut później jednym z wynajętych samochodów. Dina miała na sobie luźne bawełniane spodnie i białą bluzkę, a na ramieniu torebkę z logo ekskluzywnego francuskiego projektanta. Jakow natomiast wyglądał tak, jakby planował nocny wypad do Strefy Gazy. Nim wybiła druga, byli już w klubie Tahiti Beach przy Corniche i relaksowali się w prywatnym bungalowie. Gabriel polecił im tam zostać do odwołania. Potem wzmocnił nasłuch z trzech połączonych pokoi w Four Seasons.

– Ktoś musi w końcu przynieść tę torbę z plaży – odezwał się Eli Lavon.

– Dzięki, Eli – odparł Gabriel. – Nigdy bym na to nie wpadł.

– Chciałem tylko być przydatny.

– Wybacz, to przemówiły dziny.

Lavon się uśmiechnął.

– Komu chcesz to zlecić?

– Oczywiście kandydatem wydaje się Michał.

– Nawet mnie wydałby się podejrzany.

– Więc może kobieta?

– Albo dwie – zasugerował Lavon. – Poza tym czas już, żeby zawarły rozejm, nie sądzisz?

– E tam, po prostu obie wstały lewą nogą.

Lavon wzruszył ramionami.

– To może zdarzyć się każdemu.

Przy bramie, która z ogrodzonego terenu na tyłach hotelu prowadziła na Plage Lalla Meriem, główną publiczną plażę w Casablance, stał funkcjonariusz ochrony.

Ubrany w czarny garnitur mimo palącego południowego upału obserwował dwie kobiety – wysoką Angielkę, którą widział kilka razy przedtem, i Francuzkę z kwaśną miną. Brnęły w stronę wody przez gładki ciemny piach. Angielka miała na sobie lśniące kwieciste pareo związane w smukłej talii oraz top z przezroczystej materii. Francuzka w bawełnianej plażowej sukience wyglądała mniej wyzywająco. Natychmiast zjawili się chłopcy z obsługi. Ustawili dwie leżanki na skraju wody i rozłożyli parasole chroniące przed słońcem. Angielka poprosiła o napoje, a kiedy je przynieśli, dała im dużo za wysokie napiwki. Mimo licznych wizyt w Maroku zupełnie się nie знаła na tutejszych pieniądzech. Z tego, i nie tylko z tego powodu chłopcy walczyli o to, by ją obsługiwać.

Ochroniarz powrócił do przerwanej gry w swej komórce, a chłopcy z plaży do cienia swej kabiny. Natalie zdjęła sukienkę i włożyła ją do torby plażowej z logo Vuittona. Olivia rozwiązała pareo i zdjęła top, a potem wyciągnęła na leżance swe długie ciało, obracając do słońca nieskazitelnie piękną twarz.

– Niezbyt mnie lubisz, prawda? – zwróciła się do Natalie.

– Odgrywałam tylko swoją rolę.

– I to bardzo dobrze.

Natalie ułożyła się w takiej samej pozycji jak ona i zamknęła oczy przed słońcem.

– Prawdę mówiąc, to nie warto cię nawet nie lubić. Jesteś tylko środkiem prowadzącym do celu.

– Ten cel to Jean-Luc?

– On też jest tylko środkiem. Ale jeśli chcesz wiedzieć, to lubię go nawet mniej niż ciebie.

– A więc jednak mnie lubisz – zażartowała Olivia.

– Troszeczkę – przyznała Natalie.

Dwaj muskularni Marokańczycy pod trzydziestkę, brnąc po kostki w wodzie, przeszli obok nich. Z ożywieniem mówili coś w dariji. Natalie się uśmiechnęła.

– Rozmawiają o tobie.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Olivia.

Natalie otworzyła oczy i obojętnie na nią spojrzała.

– Znasz marokański? – dociekała Olivia.

– Marokański nie jest językiem, Olivio. Tu występują trzy języki: francuski, berberyjski z grupy afroazjatyckiej oraz...

– Chyba popełniłam błąd – przerwała jej towarzysząca.

Natalie uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Skąd znasz arabski? – Olivia nie dawała za wygraną.

– Moi rodzice pochodzili z Algierii.

– Jesteś Arabką?

– Nie. – Natalie pokręciła głową. – Oczywiście, że nie.

– A więc jednak Jean-Luc miał rację. Kiedy tamtego popołudnia wyjechaliśmy z waszej willi, powiedział...

– Że wyglądam jak Żydówka z Marsylii.

– Skąd wiesz?

– A jak myślisz?

– Podstuchiwaliście?

– Zawsze to robimy.

Olivia wcierała w ramiona olejek.

– Co ci Marokańczycy o mnie mówili?

– Trudno byłoby przetłumaczyć.

– Mogę sobie tylko wyobrazić.

– Chyba już do tego przywykłaś.

– Tak jak i ty. Jesteś bardzo piękna.

– Jak na Żydówkę z Marsylii.

– Naprawdę nią jesteś?

– Kiedyś byłam – odparła Natalie. – Ale teraz już nie.

– Aż tak źle?

– Być Żydem we Francji? Owszem – powiedziała. – Bardzo źle.

– To dlatego zostałam szpiegiem?

– Nie jestem żadnym szpiegiem. Nazywam się Sophie Antonow i mieszkam niedaleko ciebie, po przeciwnej stronie zatoki. Mój mąż prowadzi interesy z twoim chłopakiem. Teraz robią wspólnie coś, o czym nie chcą mówić.

– Z partnerem – poprawiła Olivia. – Jean-Luc nie chce być moim chłopakiem.

– Jakież problemy?

– Między nim a mną?

Natalie przytaknęła.

– Chyba mówiłaś, że podsłuchujecie – odcięła się Olivia.

– Owszem. Ale znasz go lepiej niż ktokolwiek inny.

– Nie byłabym taka pewna. Ale nie – zaprzeczyła. – Chyba nie podejrzewa, że to ja go zdradziłam.

– To nie jest zdrada.

– Więc jak to nazwiesz?

– Postąpiłaś słusznie.

– Choć jeden raz – westchnęła Olivia.

Dwaj muskularni Marokańczycy powrócili. Jeden bez skrępowania gapił się na nią.

– Powiesz mi w końcu, co my tu robimy? – spytała.

– Im mniej wiesz – odparła Natalie – tym lepiej.

– Taka jest zasada w twoim fachu?

– Właśnie.

– Coś mi grozi?

– Jeśli zdejmiesz z siebie jeszcze więcej...

– Mam prawo wiedzieć.

Natalie milczała.

– Pewnie chodzi o te dostawy haszyszu, które skonfiskowano.

– Jakiego haszyszu?

– Nieważne.

– Właśnie – potwierdziła Natalie. – Bo wszystko, co powiem, utrudni ci tylko odegranie twojej roli.

– Co to za rola?

– Rola kochającej partnerki Jean-Luca Martela, która nie ma pojęcia, skąd naprawdę biorą się jego pieniądze.

– Ależ ja wiem. Z hoteli i restauracji.

– A także z jego galerii – dodała Natalie.

– Galeria jest moja – sprostowała Olivia i zaraz sennie zauważyła: – Idzie tu twoja koleżanka.

Natalie podniosła wzrok i zobaczyła Dinę, która wolno zmierzała w ich stronę skrajem wody.

– Wydaje się bardzo smutna. – Olivia nie spuszczała z niej wzroku.

– Ma po temu powody.

– Co stało się z jej nogą?

– To bez znaczenia.

– Chcesz powiedzieć, że nic mi do tego?

– Próbowałam być uprzejma.

– To nowość. – Olivia uniosła dłoń, osłaniając oczy przed blaskiem słońca. – Zabawne, ale wydaje mi się, że ma taką samą torbę jak ty.

– Doprawdy? – Natalie się uśmiechnęła. – Cóż za niezwykły zbieg okoliczności.

Do obowiązków pracownika ochrony należała obserwacja każdego, kto przechodził wzdłuż plaży, by zapobiec powtórce tragicznego wydarzenia, do jakiego doszło w Tunisie w 2015 roku. Salaficki terrorysta wyciągnął tam ze swego parasola bojowy karabin AK-47 i dokonał masakry w pięciogwiazdkowym hotelu. Zabił trzydziestu ośmiu gości, w większości obywateli brytyjskich, Tyle że ochroniarz niewiele mógłby zdziałać w obliczu podobnej sytuacji. Był nieuzbrojony i dysponował jedynie radiem. W przypadku ataku miał zaalarmować służby i podjąć „wszelkie dostępne środki”, by zneutralizować zamachowca lub zamachowców. Oznaczało to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, że straci życie, osłaniając grupę półnagich zamożnych przybyszów z zachodniej Europy. Nie tak chciał umierać. Ale w Casablance trudno było znaleźć pracę, tym bardziej chłopcom z bidonvilles. Wolał więc czuwać przy Plage Lalla Meriem, niż sprzedawać owoce z ręcznie pchanego wózka w starej dzielnicy. Zresztą i przez to przeszedł.

Było spokojne leniwe popołudnie nawet jak na sierpień, toteż kobieta nadchodząca z zachodu, od strony Tahiti i innych plażowych klubów, zwróciła jego uwagę. Drobna i ciemnowłosa, w odróżnieniu od większości kobiet z Zachodu wyglądała przyzwoicie w swej skromnej sukni plażowej. Tchnął od niej taki smutek, jakby niedawno owdowiała. Na prawym ramieniu trzymała plażową torbę z logo Louisa Vuittona, tego lata bardzo modną. Ochroniarz zastanawiał się, czy ta kobieta zdaje sobie sprawę, że jej torba kosztuje więcej, niż wielu Marokańczyków zarabia przez całe swoje życie.

W tym samym momencie jedna z dwóch kobiet leżących na skraju wody, niesympatyczna Francuzka, uniosła rękę w geście pozdrowienia. Smutna dziewczyna podeszła do niej i przysiadła na brzegu leżanki. Chłopcy z plaży podbiegli, gotowi przynieść trzeci leżak, ale odmówiła. Najwyraźniej nie zamierzała dłużej zostać. Wysoka piękna Angielka sprawiała wrażenie niezadowolonej z jej obecności. Ze znudzeniem wpatrywała się w morze, podczas gdy Francuzka i ta smutna cicho z sobą rozmawiały, paląc papierosy. Francuzka wyjęła całą paczkę ze swej plażowej torby, również modelu Vuittona, w gruncie rzeczy identycznego.

W końcu tamta wstała, by odejść. Francuzka narzuciła sukienkę i przeszła z nią wzdłuż plaży jakieś sto metrów. Potem się objęły i rozstały. Smutna ruszyła w stronę plażowych klubów, a Francuzka w kierunku leżanki, gdzie wymieniła kilka słów ze swą piękną towarzyszką. Wtedy Angielka wstała, mocno zawiązała wokół pasa swoje pareo, lecz ku zachwytowi ochroniarza zapomniała nałożyć przezroczysty top. Osłupiały na widok jej zjawiskowej figury, rzucił zaledwie zdawkowe spojrzenie na ich plażowe torby, gdy chwilę później znów wchodziły przez bramę na teren hotelu.

Razem wsiadły do windy i wjechały na trzecie piętro, gdzie wpuszczono je do trzech połączonych z sobą pokoi. Wysoka piękność weszła do tego, który dzieliła z monsieur Martelem.

Ten przyciągnął ją blisko siebie i szepnął w ucho coś, czego Francuzka nie dosłyszała. Nie szkodzi, pomyślała. W Domu Szpiegów słyszą wszystko. Zawsze.

Casablanka, Maroko

Ani Muhammad Bakkar, ani jego zastępcy nie nawiązali kontaktu tego wieczoru, a także nazajutrz rano. Od bulwaru Króla Saula po Langley, i w kilku miejscach pośrodku, nastroje znacznie się pogorszyły. Wątpliwości ogarnęły nawet Paula Rousseau zagrzebanego w głębi kwatery DGSI w Levallois-Perret. Obawiał się, że gdzieś, jakoś, nastąpił przeciek i operacyjny okręt nabiera wody. Najbardziej prawdopodobnym winowajcą wydawał się jego nieprawdopodobny informator – agent, którego zdemaskował i zwerbował bez zgody swego szefa oraz ministra. I któremu zagwarantował pełny immunitet.

Młodzi twardziele z orbity dyrektora CIA Morrisa Payne’a podzielali pesymizm Francuza. Ale w przeciwieństwie do niego nie zamierzali w nieskończoność czekać na telefon. Jako zawodowcy wojskowi, a nie szpiedzy, uznawali tylko bezpośrednią konfrontację z wrogiem. Wydawało się, że Payne również się ku niej skłania. Wezwał do siebie Adriana Cartera i jasno wyłożył swoje stanowisko. Carter niezwłocznie skierował się do podległego Agencji Centrum Antyterrorystycznego, skąd połączył się bezpiecznym kanałem wideo z prowizorycznym centrum operacyjnym w Domu Szpiegów.

– Żadnych ruchów – powiedział Gabriel.

– Czyli?

– Muhammad Bakkar to gwiazda programu. A gwiazda sama ustala czas i miejsce spotkania.

– Nawet gwiazda od czasu do czasu wymaga dobrej rady.

– To byłoby odstępstwo od dotychczasowej praktyki. Jeśli polecę Martelowi, żeby sam zainicjował kontakt, Bakkar może coś zwęszyć.

– Chyba że już to zrobił...

– Wasza interwencja tego nie zmieni.

– Siódme piętro jest zdania, że należy wreszcie wyjaśnić sprawę.

– Doprawdy?

– A Biały Dom...

– Od kiedy się w to włączył to Biały Dom?

– Od początku. Podobno prezydent ostrożnie monitoruje sytuację.

– Cóż za ulga. Ile jeszcze osób w Waszyngtonie o tym wie, Adrianie?

– Trudno powiedzieć. – Carter zmarszczył czoło. – Co to za hałasy?

– Nic takiego.

– Mam wrażenie, że ktoś się tam modli.

– Bo tak jest.

– Kto?

– Tarek i Hamid. Próbuja odpędzić dżiny.

– Co takiego?

– Dżiny – odparł spokojnie Gabriel.

– Ja nalewam tonik i wyciskam cytrynę.

Gabriel zapytał jeszcze o aktualny stan dronów, które Morris Payne obiecał włączyć do operacji. Jednym był niewykrywalny satelita obserwacyjny typu sentinel, a drugim bojowy predator. Carter odparł, że sentinel czeka w bazie i pojawi się nad Marokiem, gdy otrzyma niezbędne współrzędne. Natomiast predator z dwoma śmiertcionośnymi rakietami hellfire trwa w pogotowiu. Tyle że wydanie rozkazu ataku na terytorium Maroka nie leży w gestii CIA. Takie uprawnienia posiada wyłącznie prezydent. Ale nawet wtedy, zastrzegł Carter, byłaby to ostateczność. Marokańscy wpadliby w szal.

– Ile trwa przygotowanie predatora?

– Zależy od lokalizacji celu. Ale najmniej dwie godziny.

– Za długo.

– Nie są to najszybsze koty w dżungli. Ale dopóki Muhammad Bakkar nie zawoła twojego chłopca na spotkanie, bijemy tylko pianę – stwierdził Carter.

– Zawoła. – Gabriel przerwał połączenie.

Jednak prywatnie nie był taki pewny. A gdy minęło południe i wciąż nie nawiązano kontaktu, uległ chwilowemu przygnębieniu, podobnie jak jego partnerzy w Paryżu i Waszyngtonie. Próbuąc się oderwać od ponurych wizji, zajął się aktorami swego teatru – Antonowami oraz Jean-Lukiem Martelem i Olivią Watson.

Wysłał więc Martela i Michaiła w labirynt Casablanki, by rozejrzeli się w poszukiwaniu potencjalnej lokalizacji dla nowego hotelu, którego JLM Enterprises nie zamierzało budować. Natomiast Natalie i Olivia, uzbrojone w karty kredytowe Martela, wyruszyły na jego polecenie do potężnego Marokańskiego Centrum Handlowego, gdzie ogołociły kilka ekskluzywnych butików. Po zakupach poszły na późny lunch do Quartier Gauthier, gdzie czekał na nie Keller. Gdy we troje wrócili, poinformował, że nikt ich nie śledził, ani marokańskie służby, ani inni. Eli Lavon, który tropił Martela i Michaiła rzekomo poszukujących nieruchomości, zeznał dokładnie to samo.

Po południu, w miarę jak nastrój Gabriela się pogarszał, nastąpił kolejny kryzys z dżinami. Hamid dostrzegł w jednym z pokoi otwarte okno – prawdę mówiąc, chodziło o sypialnię Diny – i był przerażony, że do domu wdarły się nowe demony. Wraz z Jakowem wystąpili z propozycją egzorcyzmów. Hamid znał pewnego człowieka z bidonville, który mógłby odprawić obrzęd za godziwe wynagrodzenie, dostarczając również ofiarnego kozła. Gabriel orzekł jednak, że muszą się zadowolić solą, krwią i mlekiem, a także nadzieją na lepsze jutro. Hamid miał poważne wątpliwości.

– Jak pan sobie życzy – rzekł ponuro. – Ale to się może źle skończyć. Dla nas wszystkich.

O piątej po południu nawet Gabriel uwierzył, że Dom Szpiegów jest nawiedzony i że Aisza ze swą bandą uparcie przeciw nim coś knują. Wysłał Natalie i Olivię na plażę, by skorzystały z ostatnich promieni słońca, a sam, bez broni i ochrony, ruszył na przechadzkę pod brudnymi arkadami starej Casablanki. Przez pewien czas włączył się bez celu po tłumnych placach i bulwarach tętniących wieczornym ruchem, aż w końcu dostrzegł jakąś kawiarenkę, gdzie większość gości ubrana była na zachodnią modłę. Przy stoliku w najciemniejszym kącie siedziało troje Amerykanów – dwaj młodzi mężczyźni

i dziewczyna.

Zamówił po francusku café noir, lecz zorientował się zbyt późno, że nie wziął marokańskich pieniędzy. Okazało się to bez znaczenia. Kelner z radością przyjął banknot euro. Hałas wdzierający się z ulicy był nieznośny. Zagłuszał dźwięk telewizora nad barem, rozmowę trojga Amerykanów i wibrację telefonu, którą Gabriel wyczuł dwadzieścia po szóstej. Chwilę później przeczytał wiadomość i się uśmiechnął. Wyglądało na to, że Muhammad Bakkar chce pogadać z Jean-Lukiem nazajutrz w Fezie.

Wysłał krótką wiadomość do Adriana Cartera w Langley i wsunął telefon do kieszeni. Potem zamówił kolejną kawę, sącząc ją jak człowiek, który ma nadmiar czasu.

Fez, Maroko

Nazajutrz, nieco przed południem, Christopher Keller stał przed hotelowym wejściem, patrząc, jak portierzy ładują ich bagaże do samochodów. Martel, który nadszedł chwilę później wraz z Michałem, Natalie i Olivią, trzymał w ręku wydruk rachunku. Podał go Kellerowi.

- Przekaż to swoim ludziom. Powiedz, że oczekuję zwrotu kosztów.
- Zajmę się tym – odparł Keller.

Wyrzucił rachunek do kosza na śmieci i wsunął się na tył pierwszego z mercedesów. Martel usiadł obok, pozostali zaś wcisnęli się do drugiego samochodu. Ruszyli wzdłuż wybrzeża, kierując się w stronę Rabatu, lecz po pewnym czasie skręcili w głąb lądu i przez lasy dębów korkowych dotarli do podnóża Atlasu Średniego. Wiosną było tu zielono od deszczu i topniejących śniegów, ale teraz zbocza zbrązowiały i wyschły. Na grzbietach wzgórz rosły oliwki, a w dolinach ciągnęły się rzędami nawadniane pola uprawne. Martel ponuro spoglądał przez okno, podczas gdy Keller sprawdzał w jego telefonie napływający strumień mejli, esemesów i wiadomości głosowych. Z pomocą Martela krótko odpowiadał na te, które wymagały natychmiastowej reakcji, ignorując pozostałe. Niech sobie myślą, uznał, że nawet Jean-Luc Martel potrzebuje czasem urlopu.

Zgodnie z instrukcją Gabriela zatrzymali się na lunch w Meknes, najmniejszym z czterech starożytnych królewskich miast Maroka. To tam Eli Lavon utwierdził się w przekonaniu, że są obserwowani. Mężczyzna około czterdziestki, z wyglądu Marokańczyk, w ciemnych okularach i amerykańskiej bejsbolówce, włóczył się za nimi wśród ruin rzymskiego Volubilis, które zwiedzali w największym popołudniowym skwarze. Lavon pstryknął mu zdjęcie w chwili, gdy ten udawał, że podziwia łuk triumfalny, i natychmiast wysłał je Gabrielowi do lokum w Casablance. Gabriel niezwłocznie przesłał zdjęcie Kellerowi, ten zaś pokazał je Martelowi, gdy wrócili do samochodu.

- Poznajesz go?
- Może.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że może kiedyś go widziałem.
- Gdzie?
- Na spotkaniu w Rif, w grudniu. Po ataku na Waszyngton.
- Z kim był? Z Bakkarem?
- Nie – odparł Martel. – Był z Chalilem.

Zbliżała się szósta, gdy dotarli do Ville Nouvelle, nowoczesnej dzielnicy wymarzonej przez większość mieszkańców Fezu. Palais Faraj, hotel, w którym się zatrzymali, stał u progu starej części miasta. Był to labirynt wykładanych kolorowymi płytkami podłóg i chłodnych ciemnych przejść. Właściciel bez namysłu przeznaczył

Królewski Apartament dla Martela i Olivii. Keller zajął mniejszy pokój obok, a Michał i Natalie ulokowali się nieco dalej w głąb korytarza. Zaraz też zabrali Oliwię na spacer wśród suków starego miasta, podczas gdy Keller z Martelem usiedli na tarasie Apartamentu Królewskiego i czekali na telefon. W upalnym nieruchomym powietrzu unosił się zapach drzewnego dymu i lekka woń pobliskich garbarni.

– Jak długo każe nam czekać? – spytał Keller.

– To zależy.

– Od czego?

– Myślę, że od nastroju. Czasem dzwoni natychmiast. Kiedy indziej...

– Co?

– Zmienia zdanie.

– Wie, że tu jesteśmy?

– Muhammad Bakkar – odrzekł Martel – wie wszystko.

Kiedy upłynęło kolejne dwadzieścia minut bez telefonu i wiadomości, Martel gwałtownie wstał.

– Muszę się napić.

– Zamów coś do pokoju.

– Na górze jest bar – powiedział i nim Keller zdążył zaprotestować, skierował się ku drzwiom.

W holu wcisnął przycisk windy, a gdy ta natychmiast nie nadjechała, ruszył pieszo po schodach. Z małego ciemnego baru na najwyższym piętrze roztaczał się widok na dachy starego miasta. Martel wybrał z listy win butelkę najdroższego chablis. Keller zamówił małą czarną.

– Na pewno się nie napijesz? – Martel uniósł kieliszek do światła, z uznaniem patrząc na wino.

Keller pokręcił głową. Wolał kawę.

– Nie pijesz na służbie?

– Coś w tym rodzaju.

– Nie wiem, jak ty to robisz – dziwił się Martel. – Nie śpisz już od kilku dni. Pewnie przywykłeś do tego w swoim fachu. – I dodał z namysłem: – Mówię o szpiegostwie.

Keller zerknął na barmana. Poza nim w pokoju nie było nikogo.

– Zawsze byłeś szpiegiem? – spytał Martel.

– A ty zawsze handlowałeś narkotykami?

– Nigdy w życiu nie handlowałem narkotykami.

– Jasne – poprawił się Keller. – Oczywiście pomarańczami.

Martel uważnie mu się przyglądał znad krawędzi kieliszka.

– Chyba kiedyś musiałeś służyć w wojsku.

– Nie jestem typem żołnierza. Nigdy nie lubiłem rozkazów ani działań zespołowych.

– No to może byłeś w jakiejś jednostce specjalnej, na przykład w SAS? Czy powinienem raczej powiedzieć „regiment”? Bo tak się chyba mówi między wami?

– Nie mam pojęcia.

– Pieprzysz – rzucił Martel bezbarwnym tonem.

Uśmiechając się ze względu na marokańskiego barmana, Keller wyjrzał przez okno. Nad starożytną dzielnicą zapadł mrok, ale najwyższy z górskich szczytów tonął w różowej poświacie.

– Nie wyrażaj się brzydko, Jean-Luc. Ten gość za barem może się poczuć urażony.

– Znam Marokańczyków lepiej niż ty. I równie dobrze rozpoznaję tych, co byli w SAS. Każdego wieczoru do moich hoteli i restauracji przyjeżdża jakiś bogaty Brytol z prywatną obstawą. I zawsze są to faceci z SAS. Chyba jednak lepiej być szpiegiem niż wysługiwać się jakiemuś maklerowi, który udaje ważniaka.

W tej samej chwili do baru weszli Jossi Gawisz z Rimoną Stern i usiedli przy stoliku po drugiej stronie pokoju.

– Twoi kumple z Saint-Tropez – mruknął Martel. – Zaprosimy ich tutaj?

– Wracajmy z tą butelką na dół.

– Jeszcze nie – sprzeciwił się Martel. – Zawsze lubiłem tu oglądać zachody słońca. Ten kwartał miasta jest na liście Światowego Dziedzictwa. Wiedziałaś? A jednak większość ludzi, którzy tu mieszkają, z radością oddałaby swój rozsypujący się *rijad* czy *dar* jakiemuś zachodniemu deweloperowi w zamian za miłe czyste mieszkanie w Ville Nouvelle. To naprawdę żenujące. Nie chcą zrozumieć, co mają. I że czasem lepiej żyć po staremu.

– Oszczędź mi tej kawiarnianej filozofii. – Keller miał znudzoną minę.

Rimona zaśmiewała się z czegoś, co mówił Jossi. Keller sprawdził kolejne esemesy i mejle w telefonie Martela, podczas gdy ten kontemplował pogrążający się w mroku krajobraz.

– Bardzo dobrze mówisz po francusku – odezwał się po chwili.

– Doprawdy mi pochlebiasz, Jean-Luc.

– Gdzie się tak nauczyłeś?

– Moja matka była Francuzką, w młodości spędzałem tam wiele czasu.

– Gdzie?

– Głównie w Normandii, ale także w Paryżu i na południu.

– Wszędzie, tylko nie na Korsyce.

Odpowiedziała mu cisza, lecz zaraz ją przerwał.

– Przed wieloma laty, gdy jeszcze mieszkałem w Marsylii, chodziły tam słuchy, że gang Orsatich zatrudnił płatnego mordercę. Anglika. Mówili, że był w SAS i jest dezerterem. – Po chwili znacząco dodał: – A więc tchórzem.

– To brzmi jak fabuła powieści szpiegowskiej.

– Czasem prawda jest dziwniejsza niż fikcja. – Martel wytrzymał ciężkie spojrzenie Kellera. – Skąd wiedzieliście o René Devereaux?

– Wszyscy wiedzą o Devereaux.

– Na nagraniu był twój głos.

– Naprawdę?

– Mogę sobie tylko wyobrazić, co z nim robiłeś, jeśli zaczął sypać. Ale musiałeś mieć jeszcze jedno źródło – dodał Martel. – Kogoś, kto wiedział o moich związkach z René. Kogoś mi bliskiego.

– Nie było potrzeby. Słyszeliśmy twoje rozmowy i czytaliśmy mejle.

– Nie było żadnych telefonów ani mejli. – Martel uśmiechnął się zimno. – Myślę, że wystarczyło sypnąć forszą. Ja też ją tak kupiłem. Olivia kocha kasę.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Martel wyraźnie w to wątpił.

– Czy naprawdę może to zatrzymać?

– Co?

– Pięćdziesiąt milionów, które daliście jej za te malowidła. Pięćdziesiąt milionów, które zapłaciliście, żeby mnie zdradziła.

– Pij to swoje wino, Jean-Luc, i podziwiał widoki.

– Pięćdziesiąt milionów to kupa szmalu – ciągnął Martel. – Ten Irakijczyk o imieniu Chalil musi być bardzo ważny.

– I jest.

– A jeśli się pojawi? Co się z nim stanie?

– To samo – wyszeptał Keller – co stanie się z tobą, jeśli choć dotkniesz Olivii.

Martel nie wydawał się poruszony groźbą.

– Może ktoś powinien na to odpowiedzieć – rzucił od niechcienia.

Keller spojrział na telefon, który wibrował na niskim stoliku między nimi. Sprawdził numer wychodzący i podał aparat Martelowi. Rozmowa, mieszanka francuskiego i arabskiego, była krótka. Martel się rozłączył i odłożył aparat.

– No i? – spytał Keller.

– Muhammed zmienił plan.

– Gdzie masz się z nim spotkać?

– Jutro wieczór. I nie tylko ja – powiedział. – Wszyscy jesteśmy zaproszeni.

Casablanka, Maroko

Nie tylko Christopher Keller monitorował telefon Jean-Luca Martela. Gabriel na swym posterunku w Casablance też miał wgląd w jego kontakty. Przez całe popołudnie wsłuchiwał się w monotony strumień wiadomości głosowych i czytał dziesiątki mejli oraz esemesów. O dziewiętnastej piętnaście nastąpiła krótka wymiana zdań między Martelem a człowiekiem, który się nie przedstawił. Gabriel trzykrotnie, od początku do końca, odsłuchał nagranie tej rozmowy, po czym nastawił czas na 19:16:13 i wcisnął „play”.

„Muhammad i jego wspólnik chcieliby poznać twoich przyjaciół. A zwłaszcza jednego”.

„Którego?”.

„Tego wysokiego. Z tą ładną francuską żoną i kupą forsy. To Rosjanin, tak? Handlarz broni?”.

„Kto ci to powiedział?”.

„Nieważne”.

„Czemu chcą go poznać?”.

„Propozycja handlowa. Myślisz, że będzie zainteresowany? Powiedz, że to bardzo mu się opłaci”.

Gabriel wcisnął „pause” i spojrział na Jakowa Rossmana.

– Co o tym myślisz? W jaki sposób Bakkar i jego wspólnik odkryli źródło dochodów Dmitrija Antonowa?

– Może dotarły do nich te same pogłoski, które słyszał Martel. Rozpuściliśmy je wszędzie, gdzie tylko się dało, od Londynu po Nowy Jork, no i na południu Francji.

– A propozycja handlowa?

– Wątpię, żeby szło o haszysz.

– Albo pomarańcze – dodał Gabriel. – Wygląda mi na to, że osobą, która naprawdę chce poznać Dmitriego Antonowa, jest partner Muhammada. Tylko dlaczego?

– Czy możemy przyjąć, że tak zwanym partnerem Muhammada jest Saladyn?

– Powiedzmy, że tak.

– Może chce kupić broń? Albo jakiś materiał radioaktywny porzucony przez Rosjan, żeby zastąpić skonfiskowaną dostawę.

– A może po prostu chce go zabić. – Gabriel zamilkł, a po chwili dodał: – A także jego piękną francuską żonę.

Wcisnął „play”.

„Gdzie?”

„Kieruj się na południe do Arfudu i...”.

„Arfud? To będzie...”.

„Siedem godzin o tej porze roku, może mniej. Muhammad załatwił dwa wozy z napędem na cztery koła. Te wasze sedany będą bezużyteczne tam, gdzie jedziecie”.

„Czyli gdzie?”

„To obóz na Saharze. Bardzo luksusowy. Dotrzecie tam o zachodzie. Służba przygotowuje dla was tradycyjny marokański posiłek. Bardzo dobry. Muhammad przybędzie po zmroku”.

Gabriel zatrzymał nagranie.

– Obóz na Saharze. Bardzo tradycyjny, bardzo dobry...

– I bardzo odludny – pokiwał głową Jakow.

– Może Saladyn też tak uważa...

– Boisz się, że nas rozpracowali?

– Płacą mi za to, Jakow.

– Podejrzewasz kogoś?

– Tylko jedną osobę.

Otworzył w komputerze plik dźwiękowy, ustawił czas i znów kliknął „play”.

„Bardzo dobrze mówisz po francusku”.

„Doprawdy mi pochlebiasz, Jean-Luc”.

„Gdzie się tak nauczyłeś?”

„Moja matka była Francuzką, w młodości spędzałem tam wiele czasu”.

„Gdzie?”

„Głównie w Normandii, ale także w Paryżu i na południu”.

„Wszędzie, tylko nie na Korsyce”.

Gabriel przerwał nagranie.

– Musiał to w końcu skojarzyć – orzekł Jakow. – Pochodzą z tego samego świata.

Są jak dwie strony tej samej monety.

– Keller nie parał się nigdy handlem narkotykami.

– Nie. – Jakow się uśmiechnął. – Tylko zabijał dla forsy.

– Wierzę w odkupienie.

– Ja też powinienem.

Gabriel zmarszczył czoło i wcisnął „play”.

„Ale musiałeś mieć jeszcze jedno źródło. Kogoś, kto wiedział o moich związkach z René. Kogoś mi bliskiego”.

„Nie było potrzeby. Słyszeliśmy twoje rozmowy i czytaliśmy mejle”.

„Nie było żadnych telefonów ani mejli. Myślę, że wystarczyło tylko sypnąć forszą. Ja też ją tak kupiłem. Olivia kocha kasę”.

Znów przerwał nagranie.

– Do tego też musiał dojść – powtórzył cicho Jakow.

W Domu Szpiegów nastąpiła cisza, ale w Apartamencie Królewskim hotelu Palais Faraj rozgorzała kłótnia. Uczestnicy operacji ostro się spierali, gdzie zjeść kolację – w hotelu czy którejs z restauracji starego miasta. Zachowywali się jak znudzeni bogacze, w dodatku tak przekonująco, że nawet Gabriel, twórca całego spektaklu, nie wiedział, czy ich kłótnia jest prawdziwa, czy tylko odgrywana na rzecz DST, marokańskich służb bezpieczeństwa, które bez wątpienia ich podsłuchiwały.

– Może straciliśmy Martela – powiedział w końcu Gabriel. – Kto wie? A może się nam wymknął już na początku.

– Czyżby znów mówiły za ciebie dziny?

Nie odpowiedział.

– Był pod nadzorem od chwili, kiedy został rozpracowany – argumentował Jakow.

– Objęliśmy go ścisłą kontrolą elektroniczną, cybernetyczną i fizyczną. Keller praktycznie spał z nim w jednym pokoju. Mieliśmy jego ciało i duszę.

– Może coś nam umknęło?

– Na przykład co?

– Jakieś powiedzenie albo bezosobowy kontakt.

– Gazeta, brak gazety? Parasol, brak parasola?

– No właśnie.

– Nikt już dziś nie czyta gazet, a w Maroku nie pada o tej porze. Poza tym – ciągnął Jakow – gdyby Muhammad Bakkar wyczuł, że Martel gra na dwie strony, nigdy by go nie wezwał.

Tymczasem w Fezie kłótnia o kolację coraz bardziej się rozgrzewała. Zirytowany Gabriel położył jej kres, wysyłając cierpki tekst do Michaiła. JLM i całe towarzystwo miało dziś zostać w hotelu.

– Bardzo mądrze – wyraził swe uznanie Jakow. – Niech idą wcześniej spać. Jutro czeka ich długi dzień.

Gabriel milczał.

– Chyba nie myślisz o tym, żeby się wycofać?

– Oczywiście, że myślę.

– Zaszliśmy już za daleko – oponował Jakow. – Niech jada do tego obozu. Niech się tam spotkają z Bakkarem i jego kompanią. Zidentyfikujesz Saladyna, a kiedy będzie wychodził, wskażesz go Amerykanom. Niech użyją dronów i zamienią go w obłok pary.

– Jak to łatwo brzmi.

– Bo jest łatwe. Amerykanie robią to co dzień.

Nie było odpowiedzi.

– Co zamierzasz? – zaniepokoił się Jakow.

Gabriel wyciągnął rękę i wcisnął „play”.

„Dotrzecie tam o zachodzie słońca. Służba przygotowuje tradycyjny posiłek marokański. Bardzo dobry. Muhammad przybędzie po zmroku”.

Fez, Maroko

Natalie zbudziła się w pościeli mokrej od potu, oślepiąca jaskrawym słońcem. Mrużąc oczy, spojrzała w kwadrat nieba w okiennej ramie, nie bardzo wiedząc, gdzie jest. W Fezie? Casablance? Saint-Tropez?

Czy może znów w wielkim domu o licznych pokojach i dziedzińcach nieopodal Mosulu. „Mój Majmonides...”. Przewróciła się, by sięgnąć ręką po sznurek żaluzji, ale był poza jej zasięgiem. Połowa łóżka, na której leżał Michał, znajdowała się jeszcze w cieniu, on zaś głęboko spał z odkrytą nagą pierśią.

Mocno zacisnęła powieki, usiłując powiązać fragmenty porannego snu. Szła pośród rzymskich ruin, ale nie były to ruiny Volubilis, które zwiedzali dzień wcześniej, tylko Palmyra w Syrii. Co do tego nie miała wątpliwości. Jako jedna z nielicznych osób z Zachodu odwiedziła to starożytne miasto, gdy zajęło je Państwo Islamskie, i na własne oczy widziała zniszczenia, których dokonali „święci” bojownicy ISIS. Oglądała te ruiny w świetle księżyca, eskortowana przez egipskiego dżihadystę o imieniu Ismail, z którym odbywali szkolenie w tym samym obozie. Ale we śnie towarzyszył jej inny mężczyzna. Był wysoki, potężnie zbudowany i lekko utykał. Z jego prawej ręki zwisało coś mokrego i niekształtnego. I dopiero teraz, w gorącym powietrzu poranka, Natalie pojęła, że tym czymś była jej głowa.

Usiadła na łóżku powoli, by nie obudzić Michała, i postawiła stopy na nagiej podłodze. Płytki parzyły tak silnie, jakby właśnie wyjęto je z pieca. Nagle ogarnęły ją mdłości. Może spowodował to ten sen. A może coś, co zjadła na kolację. Pewnie jakiś marokański przysmak.

Cokolwiek to było, chwilę później wybiegła do łazienki, nim dopadł ją atak torsji. Gdy się uspokoił, poczuła w skroniach nagły przeszywający ból – pierwszy sygnał nieuchronnej migreny. Że też właśnie dzisiaj, pomyślała z rozpaczą. Połknęła dwie tabletki przeciwbólowe, popijając wodą z kranu, i przez kilka minut stała pod zimnym prysznicem. Potem, owinięta w cienki płaszcz kąpielowy, wyszła do małego saloniku, by nalać sobie filiżankę mocnej czarnej kawy. Na stole leżały i kusiły papierosy madame Sophie. Wypaliła jednego, by – jak sobie wmawiała – utrwalić swą rolę. Ale nic jej to nie pomogło.

„Jesteś bardzo dzielna, Majmonides. Zbyt dzielna, by wyszło ci to na dobre...”.

Gdyby to była prawda, myślała. Gdyby wtedy miała odwagę, ilu ludzi wciąż mogłoby żyć. W Waszyngtonie, Londynie, Paryżu, Amsterdamie, Antwerpii i tylu innych miejscach. Gdyby pozwoliła mu umrzeć... Tak, Amerykanie pożądaliby jego głowy. Ale ona również jej pożałowała.

Weszła do dużej garderoby, gdzie na półce leżało jej złożone ubranie. Również torba była spakowana do drogi, tak jak i torba Michała. Na ich bagażach widniały ekskluzywne metki, ale były to jedynie podróbki. Podobnie jak osoba Dmitrija Antonowa. Najmniejsza z toreb miała podwójne dno, co pozwalało schować tam berettę 92 FS, dwa

magazynek z nabojami 9mm oraz tłumik.

Gdy postanowiła pracować dla Biura, Michaił nauczył ją prawidłowo ładować i rozładowywać broń. Teraz, kucnąwszy na podłodze garderoby, szybko nałożyła aluminiowy tłumik na lufę, wsunęła jeden z magazynków w kolbę pistoletu i wprowadziła nabój do komory. Potem uniosła broń, trzymając ją oburącz wedle wskazówek Michaiła, i wycelowała w człowieka, który niósł jej głowę.

„No proszę, Majmonides, udowodnij, że kłamię...”.

– Co ty wyrabiasz? – rozległ się męski głos.

Wyrwana z transu, obróciła się wokół własnej osi, by zdać sobie sprawę, że mierzy w pierś Michaiła. Z trudem łapała powietrze, a uchwyt beretty stał się aż mokry w jej drżących dłoniach. Michaił wolno się zbliżył i delikatnie skierował lufę w dół. Wypuściła pistolet z ręki i patrzyła, jak sprawnie go rozładowuje, a potem umieszcza w schowku podrabianej torby.

Wyprostował się i położył na jej wargach palec wskazujący, jednocześnie podnosząc wzrok na sufit, by zwrócić jej uwagę na wszechobecne nadajniki podsłuchowe marokańskiego DST. Potem wyprowadził ją na taras i mocno przytulił.

– Kim jesteś? – szepnął w jej ucho ze swym rosyjskim akcentem.

– Jestem Sophie Antonow – odparła potulnie.

– Co robisz w Maroku?

– Mój mąż załatwia coś z Jean-Lukiem Martelem.

– Czym się zajmuje twój mąż?

– Dawniej handlował surowcami. Teraz jest inwestorem.

– A Jean-Luc Martel?

Nie odpowiedziała. Nagle ogarnął ją chłód.

– Możesz mi wyjaśnić, co ci się stało?

– Koszmary.

– Jakie koszmary?

Opowiedziała.

– To był tylko sen.

– Omal się nie ziścił.

– Nigdy się nie ziści.

– Tego nie możesz wiedzieć – odparła. – Nie znasz jego możliwości.

– My jesteśmy lepsi.

– Masz pewność?

Zapadło milczenie.

– Wyślij wiadomość do centrum dowodzenia – szepnęła w końcu. – Powiedz im, że nie mogę tego zrobić. Powiedz, że nie mogę go zobaczyć. Boję się, że położę całą operację.

– Nie – odrzekł Michaił. – Nie wyślę takiej wiadomości.

– Dlaczego?

– Bo tylko ty jedna możesz go wskazać.

– Przecież też go widziałeś. W tej restauracji w Georgetown.

– Prawdę mówiąc – odparł – robiłem wszystko, żeby na niego nie patrzeć. Prawie

nie pamiętam jego twarzy.

– A co z nagraniami kamer w Four Seasons?

– Są bardzo niewyraźne.

– Nie mogę do niego podejść – powtórzyła po chwili. – Musiał mnie zapamiętać.

To oczywiste. Przecież uratowałam jego nędzne życie.

– Tak – potwierdził Michaił. – A teraz pomożesz nam go zabić.

Położył ją z powrotem do łóżka i zrobił wszystko, by zapomniała o swoim śnie.

Później razem wzięli prysznic i się ubrali. Natalie długo siedziała przed lustrem, układając i poprawiając włosy.

– Jak wyglądam? – spytała na koniec.

– Jak Żydówka z Marsylii – odparł z uśmiechem.

W jadalni na górze obsługa hotelowa sprzątała już po śniadaniu. Przy kawie i grzance Michaił przeglądał w tablecie poranną prasę, a ona, udając znudzenie, wsłuchiwała się w odwieczny zgiełk starej dzielnicy. Tuż przed jedenastą zeszli do holu, gdzie Martel i Christopher Keller regulowali w recepcji rachunek. Olivia była na zewnątrz i patrzyła, jak portierzy wrzucają ich bagaże do oczekujących samochodów.

– Dobrze spałeś? – spytała.

– Jak nigdy – odparła Natalie.

Potem zanurzyła się w głąb drugiego z samochodów i zajęła miejsce przy oknie.

Z szyby spoglądała na nią twarz, której nie rozpoznała.

„Majmonides... jak miło znów cię spotkać...”.

Langley, Wirginia

Centrum Antyterrorystyczne zajmowało kiedyś pojedynczy pokój w korytarzu F szóstego piętra siedziby CIA. Ze swymi nieustannie dzwoniącymi telefonami, monitorami telewizyjnymi i stosami teczek przypominało redakcję podupadającego stołecznego dziennika. Pracownicy tworzyli tu małe zespoły, z których każdy skupiał się na konkretnych sprawach, takich jak na przykład Frakcja Czerwonej Armii, Irlandzka Armia Republikańska, Organizacja Wyzwolenia Palestyny, Abu Nidal czy Hezbollah. Istniała również grupa śledząca poczynania mało znanego saudyjskiego ekstremisty zwanego Osamą bin Ladenem oraz szybko rozwijającej się pod jego kierownictwem siatki islamskiego terroryzmu.

Trudno się jednak dziwić, że po zamachu 11 września 2011 roku Centrum znacznie się rozrosło. Zajmowało teraz dwa tysiące metrów kwadratowych najbardziej reprezentacyjnej części Agencji na parterze jej nowej siedziby, z własnym wejściem, holem i bramką bezpieczeństwa. Również ze względów bezpieczeństwa przestano upubliczniać prawdziwe nazwisko szefa CTC. Na użytek świata zewnętrznego i reszty ludzi w Langley nadano mu imię Roger.

Kyle Taylor bardzo je lubił. W jego przekonaniu człowiek o imieniu Kyle nie mógł oczekiwać respektu. Ale Roger to zupełnie co innego. Roger budził lęk. Zwłaszcza gdy rozporządzał armią bojowych dronów i miał prawo oraz środki, by unicestwić każdego, kto znalazłby się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Uzi Navot poznał Kyle'a Taylora przed dziesięcioma laty, gdy ten pracował w placówce CIA w Londynie. Ich niechęć była wzajemna i natychmiastowa. Taylor nie znał żadnego języka oprócz angielskiego i dlatego nie mógł sprawdzić się w terenie. Z tego względu Navot uważał go najwyżej za biurowego szpiega i konferencyjnego wojownika. Natomiast Taylor, który dzielił tradycyjną niechęć CIA do Biura oraz Izraela, uważał, że Navot to intrygant niegodny zaufania. Poza tym byli w znakomitych stosunkach.

– Jesteś w Centrum po raz pierwszy? – spytał Taylor, prowadząc Navota przez punkt kontrolny.

– Nie, ale od mojej ostatniej wizyty minęło wiele lat.

– Pewnie widzisz znaczne różnice. Rozbudowaliśmy się od tamtego czasu, ale to było konieczne. Każdego dnia prowadzimy operacje w Afganistanie, Pakistanie, Jemenie, Syrii, Somalii i Libii.

Zachowywał się jak handlowiec z korporacji, który zachwala rekordowe tempo rozwoju firmy w trzecim kwartale.

– A teraz w Maroku – dodał Navot spokojnie, by sprowokować go do rozwinięcia tematu.

– Prawdę mówiąc, ze względu na delikatny politycznie charakter tej misji, w CIA niewiele o niej wie. A nawet tutaj, w Centrum – ciągnął Taylor – dostęp do niej ma

ograniczone grono. Korzystamy z jednego z najmniejszych pomieszczeń. Wszystko jest utajnione.

Prowadził Navota korytarzem z szeregiem licznych drzwi, za którymi bezimienni i niewidzialni analitycy oraz operatorzy tropili terrorystów i ujawniali spiski na całym globie. Na końcu korytarza znajdował się krótki ciąg metalowych schodów oraz kolejny punkt kontrolny, przy którym nawet się nie zatrzymali. Zaraz potem weszli do słabo oświetlonego holu i stanęli przed drzwiami z cyfrowym zabezpieczeniem. Taylor szybko wprowadził kod na panelu i spojrzał wprost w soczewkę biometrycznego czytnika. Rozległ się cichy trzask i drzwi stanęły otworem.

– Witaj w Czarnej Dziurze – powiedział, wprowadzając Navota do środka. – Wszyscy już tu są. – Przedstawił go najpierw Grahamowi Seymourowi, być może zapominając, że ci dobrze się znają, a może nie. Potem powtórzył procedurę z Paulem Rousseau, a przy Carterze rzucił: – Przypuszczam, że z Adrianem dobrze się znacie.

– Nawet bardzo dobrze. – Navot potrząsnął wyciągniętą ręką Cartera. – Stoczyliśmy wspólnie liczne boje i odnieśliśmy trwale blizny.

Minęła chwila, nim jego oczy przywykły do mroku. Na zewnątrz wczesny poranek zapowiadał gorący letni dzień, a w tym izolowanym pokoju operacyjnym, ukrytym w głębi Langley, panowała niezmienna noc. Wokół za biurkami siedziało kilku techników, na ich młodzieńcze twarze padała poświata z ekranów komputera. Dwaj, ubrani w lotnicze mundury, pilotowali parę dronów, które błędziły teraz nad wschodnią częścią Maroka bez wiedzy władz i mieszkańców tego kraju. Obrazy przekazywane z kamer wysokiej rozdzielczości migwały na ekranach ustawionych z frontu pokoju. Predator ze swymi dwoma rakietami hellfire był już nad Arfudem. Natomiast niewykrywalny sentinel znajdował się na południowy wschód od Fezu, gdzie przed jego kamerą otwierał się niezakłócony widok na Palais Faraj. Navot mógł więc patrzeć, jak Christopher Keller i Jean-Luc Martel wychodzą na hotelowy dziedziniec i jak kilka sekund później dwa mercedesy wyjeżdżają pod sklepieniem bramy, by skręcić na południe w stronę gór.

Navot usiadł obok Grahama Seymoura. Natomiast Kyle Taylor zaciągnął Adriana Cartera w jakiś kąt, by prywatnie coś omówić. Napięcie między nimi było wręcz wyczuwalne.

– Wiesz może, kto tu teraz dyryguje? – zagadnął Navot.

– W tej chwili – odparł Seymour – rzekłbym, że batuta jest w rękach Gabriela.

– Na jak długo?

– Do czasu, gdy Saladyn ukaże twarz. Jeśli do tego dojdzie – zakończył – wszystko się może zdarzyć.

Ruch w Ville Nouvelle był koszmarny, ale w starożytnej dzielnicy Fezu też nie zdołali uniknąć paralizujących korków. W końcu jednak wielkie biurowce się przerzedziły, ustępując miejsca małym uprawnym poletkom i nowym blokom mieszkalnym. Były to dwupiętrowe przedwcześnie podupadłe budynki z naziemnymi garażami. Większość z nich przekształcono w małe restauracje i sklepiki lub wykorzystywano na zagrody dla zwierząt. Owce i kozy pasły się wśród świeżo posadzonych drzew oliwnych, a całe rodziny spożywały południowy posiłek w każdym

dostępnym skrawku cienia.

W miarę jak odległe szczyty Atlasu Średniego rysowały się wyraźniej, teren stopniowo zaczął się wznosić. Gaje oliwne znikwały, a w ich miejsce pojawiały się gęste skupiska arganii i drzew karobu, a także sosen alepskich. Nad głowami krążyły orły, wypatrując szakali. A nad orłami drony wypatrują Saladyna, pomyślał Christopher Keller.

Pierwszą większą miejscowością na ich trasie był Imouzzet. Zbudowali go Francuzi, a obecnie zamieszkiwało tu około trzynaście tysięcy członków Aït Seghrouchen, ważnego plemienia Berberów posługującego się odrębnym dialektem starożytnego języka berberyjskiego. Powietrze znacznie się ochłodziło, znajdowali się teraz na wysokości ponad tysiąca dwustu metrów. W sukach oraz przeznaczonych wyłącznie dla mężczyzn kawiarniach przy głównej ulicy panował tłok. Keller przyglądał się twarzom zarówno ludzi młodych, jak i starych. Wyraźnie różniły się od tych, które widzieli w Casablance i Fezie. Przeważały europejskie rysy, jaśniejsze włosy i oczy. Miał wrażenie, że przekroczyli jakąś niewidzialną granicę.

W chwili gdy nad tym rozmyślał, komórka zaczęła wibrować, zapowiadając nadejście wiadomości. Przeczytał ją i spojrzał na Martela.

– Nasi przyjaciele uważają, że znów nas ktoś śledzi. Sądzą, że to ten sam człowiek, który był wczoraj w Meknes i Volubilis. Chcą, żebyśmy zrobili mu lepsze zdjęcie.

– W jaki sposób?

Keller polecił kierowcy, by zatrzymał się przed kioskiem na granicy miasteczka. Samochód z Michałem, Natalie i Oliwią stanął z nimi, podobnie jak i zakurzony renault. Keller obejrzał pasażera w lusterku wstecznym – miał krótko ostrzyżone, ciemne włosy, szerokie kości policzkowe, okulary i amerykańską bejsbolówkę. Kierowca był niewidoczny.

– Przynieś nam dwie butelki wody – polecił Martelowi.

– To niezbyt gościnna miejscowość.

– Na pewno sobie poradzisz.

Martel wygramolił się z samochodu i ruszył w stronę kiosku. Keller ponownie zerknął w lusterko i dostrzegł, że pasażer renault też wysiada. Gdy przechodził obok, pstryknął mu zdjęcie przez mocno przyciemnioną tylną szybę mercedesa. W efekcie uzyskał tylko zamazany profil. Ale chwilę później, gdy mężczyzna wracał do renault, ponowił próbę i tym razem objął obiektywem trzy czwarte twarzy. Pokazał zdjęcie Martelowi, gdy Francuz wsunął się do auta z dwiema zmrożonymi butelkami wody mineralnej sisi ali.

– To na pewno on – stwierdził Martel. – To on był zimą w Rif z Chalilem.

Gdy samochód wolno zjeżdżał z krawężnika, Keller wysłał zdjęcie do Casablanki. Potem spojrzał w lusterko. Drugi mercedes jechał tuż za nim. A za mercedesem podążał zakurzony renault z dwoma mężczyznami wewnątrz.

Wiele lat bliskiej i czasami kontrowersyjnej współpracy CIA i marokańskiego DST umożliwiło Langley dostęp do długiej listy znanych dżihadystów oraz ich współpracowników. Dzięki temu w ciągu kilku minut analitycy z Centrum Antyterrorystycznego zidentyfikowali mężczyznę z fotografii Kellera. Był to Nazir Bensaïd, były członek marokańskiej organizacji Salafia Dżihadia, osadzony w więzieniu

po zamachu bombowym dokonany w 2003 roku. Zwolniony w roku 2012 przedostał się do Turcji, a stamtąd do kalifatu ISIS. Marokańskie władze żywiły przeświadczenie, że nadal tam jest. Najwyraźniej się myliły.

Niebawem na monitorach Czarnej Dziury w Centrum Antyterrorystycznym pojawiło się zdjęcie Bensaïda z okresu, gdy przebywał w więzieniu, a obok drugie, z roku 2012, zrobione w chwili przybycia Marokańczyka na lotnisko Atatürka w Stambule. Oba przekazano Gabrielowi, który wysłał je do Kellera. Ten zaś potwierdził, że człowiek, którego przed chwilą widział, to Nazir Bensaïd.

Ale co Nazir Bensaïd robił w miasteczku zamieszkanym przez trzynaście tysięcy Berberów pośrodku gór Atlasu? I dlaczego śledził Kellera oraz jego kompanię w ich drodze do Arfudu? Niewykluczone, że na powrót wkradł się do Maroka, by zatrudnić się u Muhammada Bakkara w jego narkotykowym biznesie. Bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że pilnował interesów jego wspólnika, wysokiego Irakijczyka, który przybrał imię Chalil i wyraźnie utykał.

W Czarnej Dziurze technicy oznaczyli cyfrowo sedana renaulta i jego dwóch użytkowników, natomiast w Fort Meade w Maryland NSA namierzyła sygnały emitowane przez ich komórki. Adrian Carter zadzwonił na siódme piętro, by przekazać wiadomość dyrektorowi CIA Morrisowi Payne'owi, który niezwłocznie poinformował o tym Biały Dom. O siódmej trzydzieści czasu waszyngtońskiego prezydent i Rada Bezpieczeństwa Narodowego zebrali się w Pokoju Dowodzenia, by obserwować transmisję z dwóch dronów.

W Domu Szpiegów w Casablance Gabriel i Jakow Rossman też ją oglądali, podczas gdy w głębi holu dwaj dozorczy wznosili modły o wybawienie od demonów zrodzonych z ognia. Przez głośniki swego laptopa Gabriel słyszał podniecone głosy zebranych w Centrum w Langley. Pragnął podzielać ich optymizm, ale nie był w stanie. Wynik całej operacji leżał w rękach człowieka, którego zwerbował oszustwem i szantażem. Nie zawsze wybieramy naszych agentów, przypomniał sobie. Czasem to oni wybierają nas.

Arfud, Maroko

W Arfudzie, na gorącym zakurzonym placu przed Café Dakar, czekały na nich auta z czterokołowym napędem – dwie toyoty land cruisery, świeżo umyte i białe jak kość. Kierowcy w bawełnianych spodniach i kamizelkach khaki zachowywali się z fachową uprzejmością zawodowych przewodników. Ale nimi nie byli. Byli chłopakami Muhammada Bakkara.

Na południe od Arfudu leży wielka oaza Tafilalt z wielkimi uprawami palm daktylowych, których liczba miała sięgać ośmiuset tysięcy. Tak przynajmniej informował francuskojęzyczny przewodnik po Maroku, który Natalie mocno ścisnęła w rękę. Spoglądając przez okno, znów nie mogła się oprzeć myślom o Palmyrze i swym porannym śnie. Saladyn idący obok niej w groźnym świetle księżyca, jej głowa w jego rękę... Odwróciła się i dostrzegła baczne spojrzenie Olivii z drugiego końca tylnego fotela toyoty.

– Nic ci nie jest? – spytała.

Natalie nie odpowiedziała. Milcząc, patrzyła przed siebie. Michaił siedział obok kierowcy, a druga toyota, z Kellerem i Jean-Lukiem Martelem, jechała jakieś sto metrów przed nimi. Z tyłu droga była pusta. Zniknął gdzieś nawet renault, który ich śledził od Fezu.

W miarę jak palmowe gaje stopniowo się przerzedzały, teren stawał się nierówny i skalisty. Utwardzona droga kończyła się w Ar-Risani i niebawem ukazała się ich oczom wielka piaszczysta pustynia Irk asz-Szabbi. Wioska Chamlia, skupisko niskich domów barwy błota, leżała na południowym krańcu wydm. Mijając ją, zjechali z głównej drogi w poorany pustynny trakt. Natalie śledziła trasę w komórce – byli niebieską kropką, która posuwała się przez piaszczyste odludzia na wschód, w stronę granicy z Algierią. W pewnej chwili błękitny punkt znieruchomiał – stracili zasięg. Przewidując, że to nastąpi, Michaił zabrał również telefon satelitarny, który leżał teraz razem z beretą w torbie za Natalie.

Jechali przez pół godziny, podczas gdy zapadający zmierzch oblewał purpurą rzeźbione wiatrem wydmy. W drodze minęli mały obóz wędrownych Berberów, którzy gotowali wodę na herbatę w wejściu do czarnego namiotu z wielbłądziej wełny. Poza tym nigdzie nie było żywej duszy, tylko majestatyczne wydmy i bezkresny dach nieba. Pustka stawała się nieznośna. Natalie odczuwała dotkliwą samotność mimo bliskości Olivii i Michaiła. Przeglądała zdjęcia w telefonie, ale były to wspomnienia madame Sophie, nie jej własne. Niemal nie pamiętała już farmy w Nahalal, a szpital Hadassa, miejsce dawnej pracy, zdawał się zupełnie nierzeczywisty.

Na koniec pojawił się obóz – grupa kolorowych namiotów w rozpadlinie między wydmami. Stał tam biały land cruiser, który musiał przyjechać wcześniej. Przypuszczała, że dowiózł obsługę. Pozwoliła, by służący w długiej szacie wniósł do namiotu jej bagaż, natomiast Michaił z wyniosłą miną Dmitrija Antonowa odsunął pomoc i osobiście zajął

się swą torbą. Wokół centralnego dziedzińca stały trzy namioty, a nieopodal, w czwartym, zainstalowano prysznic i toalety. Dziedziniec pokryty był dywanami, na których rozrzucono wielkie poduszki, a przy niskim stole stały dwie sofy. Dywany zdobiły też podłogę namiotów, które wyposażono ponadto w wygodne łóżka oraz stoliki do pisania. Nic nie wskazywało na obecność generatora prądu, gdyż wszędzie paliły się świece, a na dziedzińcu płonął ogień, rzucając cienie na zbocza wydmy.

Natalie policzyła służących. Było ich sześciu, z czego dwaj uzbrojeni w automaty. Przypuszczała, że pozostali też mają broń.

O zachodzie powietrze się oziębiło. Naciągnęła sweter, po czym wyszła z namiotu, by umyć się przed kolacją. Chwilę później dołączyła do niej Olivia.

– Po co tu jesteśmy? – spytała cicho.

– Żeby spożyć romantyczną kolację na pustyni – odparła Natalie.

Oczy Olivii spotkały się w lustrze z jej spojrzeniem.

– Proszę, powiedz, czy ktoś nas obserwuje?

– Oczywiście, że tak. A także podsłuchuje.

Wyszła bez słowa. Na dziedzińcu stał bogato zastawiony stół, który ugiął się od marokańskich potraw. Służba zachowywała stosowny dystans, zbliżając się tylko po to, by napełnić ich szklanki mdląco słodką miętową herbatą. Poza tym byli sami. Mimo to jednak konsekwentnie trzymali się swych ról. Natalie i Michaił wcielali się w Sophie i Dmitrija Antonowów, zaś Christopher Keller asystował im jako Nicolas Carnot, przyjaciel i współnik. Zamieszkali w Saint-Tropez z początkiem tego lata i po krótkich staraniach zaznajomili się z Jean-Lukiem Martelem i piękną Olivią Watson, nie całkiem jego żoną. A teraz wszyscy tkwili gdzieś na krańcach Ziemi, czekając na potwora, który miał się wyłonić z mroku nocy.

„Majmonides... Jak miło znów cię widzieć...”

Wkrótce po dziewiątej służba sprzątnęła półmiski z potrawami. Natalie niemal nic nie tknęła. Oddaliła się samotnie na skraj obozu, by wypalić jednego z gitane'ów madame Sophie. Przystanąła na granicy światła, które rzucał ogień, i patrzyła na otaczającą ją ciemność, myśląc, że stoi nad ostrą krawędzią Ziemi. Jakies czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów dalej w głąb pustyni pełnił wartę uzbrojony strażnik w białej szacie i turbanie typowym dla Berberów z południa. Udając, że go nie widzi, rzuciła papierosa w piasek i ruszyła przed siebie. Zaskoczony mężczyzna zagroził jej drogę, gwałtownie gestykulując.

– Ja chcę tylko zobaczyć wydmy – zaprotestowała po francusku.

– To niedozwolone. Można je obejrzeć dopiero rano.

– Ale ja wolę teraz – odparła. – W nocy.

– To niebezpieczne.

– No to chodź ze mną. Wtedy będzie bezpieczne.

Z tymi słowami skierowała się ku pustyni, zaś oszołomiony Berber podążył za nią. Jego szaty lśniły w świetle księżyca, a czarna jak węgiel twarz stapała się z mrokiem. Gdy spytała, jak ma na imię, odparł, że Azûlay. I dodał, że to znaczy „mężczyzna o miłych oczach”.

– Bo takie masz – potwierdziła.

Zakłopotany odwrócił wzrok.

– Przepraszam – zreflektowała się zaraz.

Dalej szli w milczeniu. W górze Mleczna Droga jarzyła się jak fosforyzujący pył, a cienki sierp księżycy lśnił jasnym ostrym światłem. Przed nimi ukazały się trzy wydmy wznoszące się stopniowo coraz wyżej z północy na południe. Natalie zdjęła buty i w nieodłącznej asyście Azûlaya zaczęła wspinać się na najwyższą. Gdy po kilku minutach dotarła na szczyt, osunęła się na kolana w ciepły miękki piach, z trudem łapiąc oddech.

Potem podniosła głowę i rozejrzała się wokół. Na zachodzie cienkie pasmo światel ciągnęło się nieprzerwanie od Arfudu, przez palmowe gaje oazy w Tafilalt, do Ar-Risani i Chamlii. Na wschodzie i południu otwierał się bezmiar pustyni, lecz gdy skierowała wzrok na północ, dostrzegła podskakujące między wydmami światła dwóch reflektorów. Wydawało się, że zmierzają w jej stronę, lecz szybko zniknęły. Pomyślała, że to tylko miraż, kolejna iluzja. Ale chwilę później znów się pojawiły.

Odwróciła się i zbiegła po zboczu w miejsce, gdzie zostawiła buty. „Tylko ty jedna możesz go rozpoznać...” Ale on też mnie pozna, myślała rozpaczliwie. Bez wątpienia. Przecież to ja ocaliłam jego nędzne życie.

Langley, Wirginia

Drony wypatrzyły pojazd znacznie wcześniej niż Natalie, o dwudziestej pierwszej pięć czasu marokańskiego, gdy wyłonił się z południowo-wschodniego zakątka pustyni Irk asz-Szabbi. W białym land cruiserze oprócz kierowcy było sześciu mężczyzn. Zatrzymali się na skraju obozu. Sześciu mężczyzn wysiadło, lecz kierowca został w samochodzie. Na obrazie termowizyjnym przekazanym z drona żaden z pasażerów toyoty nie utykał. Pięciu, wyraźnie uzbrojonych, otoczyło obóz, natomiast szósty ruszył w stronę namiotów. Na dziedzińcu przywitał się z Jean-Lukiem Martelem, a kilka sekund później z Michailem. Jak należało oczekiwać, podsłuch nie działał z powodu braku zasięgu. Telefony były więc bezużyteczne. Siedzący w głębi centrum operacyjnego Kyle Taylor przełączył się na jedyny dostępny kanał dźwiękowy. Rozległ się głos Martela:

– Muhammadzie, chciałbym ci przedstawić mojego przyjaciela Dmitrija Antonowa. Dmitri, pozwól, to jest Muhammad Bakkar.

– Może to on – rzekł Carter. – Ale możliwe również, że Saladyn poprawił sobie nie tylko twarz, lecz i nogę.

– Nie mógł ukryć tego defektu wtedy, w Waszyngtonie – rozważał Navot. – Ani przed kilku miesiącami, gdy Martel ostatnio go widział. A i Michał nie wygląda na kogoś, kto rozmawia z najgroźniejszym terrorystą od czasu bin Ladena.

– Zawsze mi się wydawał zimny jak głaz. – Carter nie był przekonany.

– Nie jest aż tak zimny.

Obserwowali obraz z kamery z sentinela. Michał, w przekazie termowizyjnym zielonkawy i czerwony, stał podparty pod boki niecały metr od ognia i z niewzruszonym spokojem prowadził rozmowę z człowiekiem, którego właśnie poznał. Keller i Olivia opuścili dziedzińiec i weszli do jednego z namiotów. Natalie dołączyła do nich po powrocie z wydm. Tymczasem predator przeszukiwał otaczającą ich pustynię, wypatrując innych sygnatur ciepłych. Bez skutku.

Navot odwrócił się do Kyle'a Taylora.

– Czy NSA namierzyło w obozie jakieś nowe telefony?

– Wciąż nad tym pracują.

– Nie sądzisz, że to dziwne? Na ogół łatwo je znaleźć. Nam to już nieźle idzie, a przecież jesteście lepsi.

– Chyba że nie ma zasięgu i wyjęto karty SIM.

– A telefon satelitarny?

– To proste.

– Więc dlaczego Bakkar go nie używa? Podróż przez pustynię bez łączności nie jest zbyt bezpieczna.

– Saladyn wie, że telefon to wyrok śmierci.

– To prawda – zgodził się Navot – tyle że jak Bakkar ma go zawiadomić, żeby przybył do obozu?

– O co ci chodzi, Uzi?

– O to – odparł Navot – że Muhammad Bakkar nie ma telefonu satelitarnego, bo go nie potrzebuje do kontaktu z Saladynem.

– A to dlaczego?

– Ponieważ Saladyn już tam jest. – Navot wskazał ekran. – Siedzi za kierownicą tej toyoty.

Sahara, Maroko

Podany przez Jean-Luca Martela opis Muhammada Bakkar okazał się dokładny przynajmniej pod jednym względem – Marokańczyk z gór Rif był niski i mocno zbudowany, mógł mieć z metr sześćdziesiąt wzrostu. Jego żarliwość religijna nie wydawała się przesadna. Nie nosił kufii, nie miał niechlujnej brody, a w dodatku palił papierosa, łamiąc zakaz wydany przez Państwo Islamskie. Europejski i kosztowny ubiór – kaszmirowy sweter na zamek błyskawiczny, gabardynowe spodnie i zupełnie nieodpowiednie na pustynię zamszowe mokasyny – uzupełniał szwajcarski zegarek, duży i złoty. W jego kryształowym szkłe odbijało się światło ognia. Bakkar mówił znakomicie zarówno po francusku, jak i po angielsku. I w tym języku zwrócił się do Michaiła.

– Monsieur Antonow! Miło mi wreszcie poznać. Tyle o panu słyszałem.

– Od Jean-Luca?

– Jean-Luc nie jest jedynym z moich przyjaciół we Francji – odparł. – Tego lata wywołał pan w Prowansji prawdziwą sensację.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– Czyżby? – Uśmiechnął się przyjaźnie. – Pańskie przyjęcia były ostatnim krzykiem mody. Opowieści o nich dotarły aż do Marrakeszu. Dość bulwersujące.

– Każdy żyje, jak umie.

– Oczywiście. Ale są też granice, prawda?

– Nigdy bym na to nie wpadł.

Muhammad Bakkar zareagował uśmiechem.

– Mam nadzieję, że posiłek nie sprawił państwu zawodu.

– Był znakomity.

– Lubi pan marokańska kuchnię?

– Bardzo.

– Czy odwiedzał pan wcześniej Maroko?

– Nie, nigdy.

– Jak to możliwe? Mój kraj jest bardzo popularny wśród wybrednych Europejczyków.

– Ale nie Rosjan.

– To prawda. Rosjanie z jakiegoś powodu wolą Turcję. Ale pan nie jest prawdziwym Rosjaninem, monsieur Antonow, prawda?

Serce Michaiła aż podskoczyło.

– Wciąż mam rosyjski paszport.

– Ale mieszka pan we Francji.

– Na razie.

Muhammad Bakkar przesadnie długo to rozważał.

– A ten obóz? – spytał, rozglądając się wokół. – Odpowiada panu?

– Bardzo.

– Chciałem, żeby sprawiał jak najbardziej autentyczne wrażenie. Mam nadzieję, że nie zraża państwa brak elektryczności. Turyści z Zachodu przyjeżdżają na Saharę, oczekując takich samych wygód, jakie mają w domu. Elektryczności, telefonów, internetu...

– Tu nie ma internetu. – Michaił podniósł swój telefon. – Nie działa.

– Tak, wiem, dlatego wybrałem to miejsce.

Michaił zmienił pozycję, jakby zamierzając odejść.

– Gdzie pan się wybiera? – zaniepokoił się Bakkar.

– Podobno Jean-Luc i pan macie coś do omówienia.

– To dotyczy także pana. Przynajmniej w części. – Bakkar wskazał mu gestem sofę.

– Proszę usiąść, monsieur Antonow. – Znów się uśmiechnął. – Naprawdę bardzo proszę.

Czuwając na posterunku dowodzenia w Casablance, Gabriel patrzył, jak Michaił siada na wskazanym przez Bakkara miejscu. Zaraz pojawił się ktoś z obsługi, by nalać mu herbaty. Natomiast po prawej stronie obrazu termowizyjnego, wewnątrz jednego z namiotów, poruszały się trzy sygnatury ciepłe. Były tam bez wątplenia dwie kobiety, a w trzeciej sylwetce Gabriel rozpoznał Kellera. Chwilę później wysłał zaszyfrowaną wiadomość na jego telefon satelitarny, informując o tożsamości mężczyzny, który siedział za kierownicą świeżo przybyłego land cruisera. Keller przeczytał i jego ręce zaczęły wykonywać błyskawiczne ruchy. Gabriel nie mógł dostrzec, co dokładnie robi. Zimny metal w podczerwieni jest niewidoczny.

Widział jednak, że Keller wsunął coś za pas i szybko ruszył do wyjścia z namiotu. Stał tam przez kilka sekund, zapewne lustrując otoczenie. Potem wyjął telefon i napisał kilka słów. Sekundy później w komputerze Gabriela pojawiła się wiadomość:

„Jestem gotów...”.

Dzięki kamerom dronów Gabriel też lustrował obraz terenu. Widział czterech mężczyzn, którzy niczym wskazówki kompasu stali wokół obozu od strony północy, południa, wschodu i zachodu. Wszyscy uzbrojeni. Przybyli z Muhammadem Bakkarem też mieli broń. Być może miał ją i Bakkar. Natomiast Michaił, licząc się z przeszukaniem, nie mógł się zabezpieczyć. Szanse były zatem dziesięć do jednego. Gabriel nie miał złudzeń – jeśli dojdzie do wymiany ognia z bliskiej odległości, jego ludzie nie wyjdą z tego cało. Nawet przy wsparciu kompana, który pobił wszelkie rekordy odnotowane w dziejach Domu Zabójców, niesławnego ośrodka szkoleniowego SAS. Istniała też możliwość, że Uzi Navot i Langley mylili się co do człowieka w toyocie. Lepiej jeszcze poczekać. Lepiej pozwolić, by odsłonił twarz, i oddać strzał bez ryzyka przypadkowych ofiar. W tym momencie to odludne miejsce w najciemniejszym zakątku południowo-wschodniego Maroka było im wrogiem. Nie na długo. Wkrótce, pomyślał Gabriel, pustynia stanie się ich sprzymierzeńcem.

Poleciał Kellerowi, by się wycofał. Potem poprosił Langley o skierowanie kamery drona na toyotę stojącą na skraju obozu. Chwilę później na jego ekranie pojawił się przekaz z predatora. W samochodzie, z rękami na kierownicy, siedział zakapturzony człowiek w dżelabie. Gabriel zakładał, że z czasem przyłączy się do pozostałych, ale w tym celu musi wysiąść z samochodu i zrobić kilka kroków. Wtedy się zdemaskuje. Wygląd można zmienić na wiele sposobów. Włosy obciąć lub przefarbować, a twarz

poddać operacji plastycznej. Lecz kalectwo, które dotknęło Saladyna, było nieodwracalne.

Sahara, Maroko

Początkowo Muhammad Bakkar mówił tylko w dariji, i tylko do Jean-Luca Martela. Jego ton i zachowanie wskazywały, że jest wściekły. Podczas służby w Sajjeret Matkal, jednostce rozpoznawczej Izraelskich Sił Zbrojnych, Michaił zaznajomił się trochę z palestyńskim arabskim, przynajmniej na tyle, by sobie radzić podczas nocnych zadań operacyjnych w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu, a także w południowym Libanie. I choć nie mówił tak dobrze, by rozmawiać, niemniej potrafił zrozumieć sens tego, o czym mówią Marokańczycy z gór Rif.

Wyglądało na to, że z niewyjaśnionych przyczyn utracono niedawno kilka dużych transportów towaru, nazwy którego Bakkar nie wymieniał. Jego organizacja poniosła ogromne straty, sięgające w istocie setek milionów dolarów. Gdzieś nastąpił przeciek. I to nie z jego strony, zapewniał, gdyż trzyma swoich ludzi żelazną ręką. Odpowiedzialność ciąży na Martelu. Jego wina jest oczywista. Bakkar sugerował ponadto, że Martel działał celowo. Przecież od początku sprzeciwiał się gwałtownej ekspansji produktu, którym wspólnie handlowali. Bakkar domagał się teraz rekompensaty. W przeciwnym razie, oznajmił, znajdzie innego dystrybutora i całkowicie zerwie z Martelem.

Wybuchła gwałtowna kłótnia. Wyrzucając z siebie gwałtowny potok arabskich słów, Martel zarzucił Bakkarowi, że to on doprowadził do niedawnych strat. Przypomniał mu, że właśnie z uwagi na bezpieczeństwo sprzeciwiał się powiększaniu transportów płynących do Europy. Wedle jego obliczeń w wyniku przejścia statku przepadła ponad czwarta część towaru – strata nie do odrobienia – zamiast standardowych dziesięciu procent w kalkulowanych w zysk. Podstawą jest ostrożność, powtarzał. Mniejsze transporty i żadnych kontenerowców.

Michaił uznał ten występ za bardzo przekonujący. Zawodowy agent nie odegrałby go lepiej. Pod koniec nawet Muhammad Bakkar stracił pewność, czy jakimś cudem do przecieku nie doszło po jego stronie. Postanowił skrupulatnie zbadać sprawę. Teraz jednak czekało na transport dwadzieścia ton towaru zmagazynowanego w tajnym zakładzie produkcyjnym. Dla Bakkara liczył się czas. Najwyraźniej potrzebne były nowe fundusze.

– Nie będę sam ponosić kosztów tej katastrofy. To niesprawiedliwe – oświadczył nieco łagodniej.

– W porządku – zgodził się Martel. – Co proponujesz?

– Pięćdziesiąt procent podwyżki. Jednorazowo.

– Pięćdziesiąt procent! – Martel z oburzeniem wyrzucił w górę rękę. – Nie ma mowy.

– To ostatnia oferta. Jeśli chcesz zostać moim dystrybutorem, radziłbym z niej skorzystać.

Ale nie była to ostatnia oferta Muhammada Bakkara. Ani przedostatnia. Martel o tym wiedział, podobnie jak sam Bakkar. Znajdowali się przecież w Maroku. Tu nawet

dzielenie się chlebem podlega negocjacjom.

Targi trwały jeszcze kilkanaście minut, podczas których pięćdziesiąt procent spadło do czterdziestu pięciu, potem do czterdziestu, aż w końcu, z ciężkim westchnieniem, Bakkar przystał na trzydzieści. Przez cały ten czas Michaił obserwował człowieka, który z kolei obserwował jego. Mężczyzna za kierownicą toyoty miał niezakłócony niczym widok na centralną część obozu. W nasuniętym na głowę spiczastym kapturze dżelaby siedział nieruchomo, ukrywając twarz w głębokim cieniu. Mimo to Michaił wręcz fizycznie czuł ołowiany ciężar jego spojrzenia. I równie dotkliwie odczuwał brak broni za pasem.

– W końcu! – rzekł Bakkar, zacierając dłonie. – Dwadzieścia pięć, płatne przy odbiorze towaru. To śmiesznie mało, ale co robić? Może jeszcze zedrzesz ze mnie koszulę, Jean-Luc? Chyba znajdzie się jakaś inna.

Martel słuchał z uśmiechem. Muhammad Bakkar przypieczętował umowę uściskiem dłoni, po czym zwrócił się do Michaiła.

– Proszę wybaczyć, ale mieliśmy ważną sprawę do omówienia.

– Tak mi się zdawało.

– Mówi pan po arabsku, monsieur Antonow?

– Nie.

– Ani trochę?

– Nawet słowo „kawa” jest dla mnie wyzwaniem.

Bakkar współczująco pokiwał głową.

– Wymowa tego słowa wszędzie się różni. Egipcjanin wymawia je inaczej niż Marokańczyk, Jordańczyk czy Palestyńczyk.

– Albo Rosjanin – zaśmiał się Michaił.

– Który mieszka we Francji.

– Mój francuski jest niemal tak zły jak arabski.

– A więc rozmawiajmy po angielsku.

Zapadła cisza.

– Co pan wie od Jean-Luca o naszych wspólnych interesach? – spytał w końcu Bakkar.

– Bardzo mało.

– Ale jednak coś.

– Pomarańcze – odparł Michaił. – Wiem, że dostarcza pan pomarańcze dla jego restauracji i hoteli.

– A także granaty – dodał zyczliwie Bakkar. – Jeśli chce pan wiedzieć, marokańskie granaty są najlepsze na świecie. Ale europejskie służby graniczne nie tolerują naszych pomarańczy i granatów. Ostatnio skonfiskowano nam kilka dużych transportów. Jean-Luc i ja dyskutowaliśmy właśnie o tym, co się stało i jak temu zapobiec.

Michaił słuchał go z kamienną twarzą.

– Niestety wraz z ostatnio skonfiskowanym transportem straciliśmy nie tylko owoce. Było tam coś jeszcze. Nie do zastąpienia. – Bakkar z namysłem spojrzał na Michaiła. – A może się mylę?

Skinął na służącego, by dolał im herbaty. Gdy ten napełniał szklanki, Michaił obserwował mężczyznę w toyocie.

– Czym się pan trudni, monsieur Antonow?

– Słucham?

– Czym się pan zajmuje? – powtórzył Bakkar. – Jaka jest pańska branża?

– Pomarańcze – odrzekł Michaił. – I granaty.

Bakkar się uśmiechnął.

– Jak rozumiem, handluje pan bronią.

Michaił nie odpowiedział.

– Jest pan ostrożny, monsieur Antonow. Bardzo to cenię.

– Ostrożność się opłaca. Przepada mniej transportów.

– A więc zgadłem!

– Jestem inwestorem, panie Bakkar. Ale zawierałem również kontrakty związane z transportem towarów z Europy Wschodniej oraz byłych republik radzieckich do najbardziej niespokojnych części świata.

– Jakich towarów?

– Zdam się na pańską wyobraźnię.

– Bronie?

– Uzbrojenia – sprostował Michaił. – Broń palna to zaledwie część naszego asortymentu.

– Co jeszcze macie w ofercie?

– Wszystko, od kałasznikowa po helikoptery i myśliwce.

– Samoloty? – powtórzył Bakkar z niedowierzaniem.

– Interesują pana? A może czołg lub scud? Mamy w tym miesiącu ofertę specjalną.

Na pana miejscu złożyłbym już teraz zamówienie. To nie potrwa długo.

– Ja nie... – Bakkar podniósł ręce obronnym gestem – ale mój wspólnik byłby zainteresowany.

– Scudami?

– Ma specyficzne potrzeby. Wolałbym jednak, żeby sam je sprecyzował.

– Nie tak szybko. – Michaił udał wahanie. – Chciałbym coś o nim wiedzieć, zanim zdecyduję się na rozmowę.

– To rewolucjonista – odrzekł Bakkar. – Ale zapewniam, że w imię słusznej sprawy.

– Jakżeby inaczej – stwierdził sceptycznie Michaił. – Skąd pochodzi?

– Nie ma własnego kraju, a przynajmniej nie w pojęciu zachodnim. Granice są dla niego nieistotne.

– Ciekawe. To gdzie miałbym wysłać mu tę broń?

Wyraz twarzy Bakkara nabrał powagi.

– Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że ostatnie polityczne zajścia w naszym regionie zatarły wiele starych granic wytyczonych przez dyplomatów w Paryżu i Londynie. Mój wspólnik pochodzi z takiego właśnie miejsca. Z centrum zacieklego konfliktu.

– Konflikty ożywiają mój biznes.

- Tak mniemam. – Bakkar skinął ze zrozumieniem głową.
- Jak nazywa się pański wspólnik?
- Może pan używać imienia Chalil.
- A przed wojną? – spytał szybko Michał, jakby nic mu to nie mówiło. – Skąd pochodził?
- W dzieciństwie mieszkał nad brzegiem jednej z rzek, które wzięły początek z Rajskiego Ogrodu.
- Było ich cztery – przypomniał Michał.
- To prawda. Pizzon, Giszon, Eufrat i Tygrys.
- A więc pański wspólnik jest Irakijczykiem.
- Kiedyś nim był. Ale nie teraz. Teraz jest obywatelem islamskiego kalifatu.
- Chyba w tej chwili nie jest w kalifacie?
- Nie. Jest tam. – Bakkar przechylił głowę w stronę toyoty, a potem zerknął na Michała. – Jest pan uzbrojony, monsieur Antonow?
- Oczywiście, że nie.
- Zechce pan wybaczyć, jeśli ktoś z nas to sprawdzi? – Uśmiechnął się przyjaźnie.
- W końcu sprzedaje pan broń.

Przy toyocie od strony kierowcy zrobiło się tłoczno. W ocenie Gabriela otoczyło ją pięciu mężczyzn, wszyscy uzbrojeni. Na koniec drzwi się otworzyły i człowiek siedzący wewnątrz z pewnym trudem wysiadł. Stał przy samochodzie w kręgu ochrony i czekał tam do chwili, gdy przeszukanie Michała dobiegło końca. Dopiero wtedy ruszył w stronę obozu. Uzbrojona straż otaczała go zwartym pierścieniem, mimo to jednak Gabriel zdołał zauważyć, że oszczędza prawą nogę. To zamykało pierwszy z dwuetapowego procesu identyfikacji. Drugi natomiast nie był wykonalny z wysokości amerykańskich dronów. Wymagał kontaktu bezpośredniego, twarzą w twarz.

Gabriel wysłał wiadomość do Kellera, informując, że obiekt wszedł do obozu i że wyraźnie utyka. Potem, patrząc, jak wyciąga rękę do oficera wywiadu izraelskiego, mruknął do siebie pod nosem:

– Monsieur Antonow, chciałbym przedstawić mojego przyjaciela Salady. Salady, to jest Dmitri Antonow.

W pustynnym obozie na odludziu dwoje agentów izraelskiego wywiadu miało potencjalną możliwość dokonania ostatecznej identyfikacji obiektu. Był to warunek dalszych działań operacyjnych, które prowadziłyby do likwidacji owego obiektu na terytorium kraju ongiś sprzymierzonego w walce z globalnym terroryzmem. Pierwszy z agentów siedział na wprost niego, pozbawiony broni i środków łączności. Drugi przebywał niewiele ponad metr dalej w komfortowo urządzonym namiocie. Pierwszy zaledwie przelotnie zetknął się z nim w osławionej restauracji w Georgetown. Drugi miał o wiele bogatsze doświadczenia. Kobieta przebywająca teraz w namiocie mieszkała bowiem przez kilka dni nieopodal Mosulu i tam, w domu o wielu pokojach i dziedzińcach, dopuszczona do kontaktów z obiektem, często z nim rozmawiała. A gdy go ujrzała ponownie w chacie na skraju okręgu Shenandoah w Wirginii, wydał na nią wyrok śmierci. Nie mogła tego zapomnieć. Nie musiała widzieć twarzy kata, by wiedzieć, że to on. Wystarczył jego głos.

Był jeszcze jeden agent, który zetknął się z nim osobiście – izraelski oficer czekający niecierpliwie w nawiedzonym domu, w starej kolonialnej dzielnicy Casablanki. Kiedy w jego komputerze pojawiło się potwierdzenie tożsamości obiektu, natychmiast przekazał wiadomość do centrum operacyjnego w Langley.

– Mamy go! – wrzasnął Kyle Taylor.

– Jeszcze nie – hamował jego entuzjazm Uzi Navot, wpatrując się w ekran. – Jeszcze długo nie.

Sahara, Maroko

Był wyższy, niż Michaił zapamiętał. Miał też szersze ramiona i klatkę piersiową. Być może zdążył już odzyskać formę od czasu, gdy został ranny, a może, myślał Michaił, sprawił to oficjalny ciemny garnitur, w którym wystąpił tego wieczoru. Posadzono go na honorowym miejscu, naprzeciw pięknej młodej kobiety o ciemnych włosach przefarbowanych na blond. Od czasu do czasu zerkał na ekran telewizora ustawionego nad barem, by ocenić efekty swych działań. Eksplozje bomb w Centrum Antyterrorystycznym w Wirginii i w Mauzoleum Lincolna przyniosły spektakularny sukces. Ale to nie był koniec. Miał kolejne plany. Niezliczone.

Patrząc na nową twarz Saladyna, Michaił mimowolnie zauważył, że dziwnie do niego nie pasuje. Miał zbyt wąski nos, słabo zarysowane kości policzkowe, a podbródek amanta filmowego jakby wycięty z magazynu w klinice chirurgii plastycznej. Wiele pracy włożono, by zmienić kształt jego oczu, ale źrenice Saladyna były takie, jak zapamiętał: szerokie, ciemne i przepastne. A także lśniące niezwykłą inteligencją. I nie było w tych oczach szaleństwa, lecz chłodny profesjonalizm. Tylko nierozwaga mogłaby kogoś skłonić do podjęcia z nim gry losowej bądź konfrontacji w sali przesłuchań. Albo w obozie w głębi Sahary, rozmyślał Michaił, osaczony ze wszystkich stron przez dżihadystów z automatami. Postanowił szybko zakończyć spotkanie i rozstać się z Saladynem. Jednak nie nazbyt szybko, gdyż ten miał przedstawić listę zamawianej broni, ujawniając tym samym bezcenne informacje. Tak niepowtarzalnej okazji nie można zmarnować.

Prezentacja odbyła się krótko i rzeczowo. Michaił bez wahania uściśnął wyciągniętą rękę, która tak wielu skazała na śmierć. Była kształtna, mocna i bardzo ciepła. A także sucha, zauważył. Saladyn nie wykazywał cienia zdenerwowania, niepokoju lub zakłopotania. Podobnie jak jego imiennik był człowiekiem pustyni i bardziej niż ktokolwiek czuł się tu u siebie. Tylko herbata z mięty najwyraźniej mu nie smakowała.

– Za słodka – skrzywił się z niesmakiem. – Dziw, że Marokańczycy mają jeszcze zęby.

– Nie mają – zaprzeczył Muhammad Bakkar.

Rozległy się tłumione śmiechy. Nagle Saladyn podniósł głowę i z uwagą przyjrzał się gwiazdom.

– Słyszysz pan?

– Co? – spytał Michaił.

– Pszczoły – odparł. – Jakby brzęczenie pszczoł.

– Tutaj? Niemożliwe. Może muchy, ale na pewno nie pszczoły.

– Zapewne ma pan rację. – Mówił po angielsku z silnym akcentem, ale płynnie.

Opuścił wzrok i uważnie spojrział na Michaiła.

– Zakładam, że wyjaśniliśmy wszelkie wątpliwości dotyczące pańskiego fachu.

– Wyjaśniliśmy.

– I naprawdę jest pan Rosjaninem?
– Niestety tak.
– Trudno mi pana winić, ale wasz rząd, wspierając reżim, dokonał w Syrii straszliwych zbrodni.
– Jeśli chodzi o zbrodnie w Syrii – odrzekł Michaił – to Rosja nie ma monopolu. Państwo Islamskie przelało tam morze krwi.
– Gdy się smaży omlet, trzeba rozbić jajka.
– Albo wymordować niewinnych cywili?
– W tej wojnie nie ma niewinnych. Skoro niewierni zabijają nasze kobiety i dzieci, my robimy to samo. – Wzruszył potężnymi ramionami. – To oczywiste. A poza tym człowiek z pańskiej branży nie może pouczać na temat skutków ubocznych.
– Jest pewna różnica między skutkami ubocznymi a celowymi atakami na ludność cywilną.
– Bardzo mała. – Wypił łyk herbaty. – Niech mi pan powie, monsieur Antonow, czy jest pan szpiegiem?
– Mieszkam na południu Francji. Moja rezydencja pełna jest dzieł sztuki. Nie param się szpiegostwem.
– Rosja ma mnóstwo szpiegów wszelkiego rodzaju – odrzekł z przekonaniem Saladyn.
– Nie jestem i nigdy nie byłem agentem rosyjskiego wywiadu.
– Ale ma pan kontakty z Kremlem.
– Mówiąc szczerze, robię wszystko, żeby ich unikać.
– Bez przesady, monsieur Antonow. Wszyscy wiemy, że to Kreml decyduje, komu dać, a komu zabrać. Bez przyzwolenia cara nikt w Rosji nie staje się bogaczem.
– Bardzo dobrze zna pan mój kraj.
– W swoim czasie miałem z nim kontakty. Wiem, jak ten system działa. I wiem też, że w pańskiej branży nie można się utrzymać bez pomocy przyjaciół z wywiadu i Kremla.
– To prawda – zgodził się Michaił. – Ale szybko bym ich wszystkich stracił, gdyby się dowiedzieli, że zamierzam robić interesy z kimś takim jak wy.
– To nie brzmi jak komplement.
– Bo nim nie jest.
– Doceniam pańską szczerłość.
– I wzajemnie – odparował Michaił.
– Jest pan z zasady przeciwny interesom z naszą organizacją?
– Nie mam wielu zasad.
– Współczuję.
– Bez potrzeby.
Saladyn się uśmiechnął.
– Zależy mi na towarze niezbędnym do przyszłych operacji.
– Chodzi o broń palną?
– Niezupełnie. – Saladyn jakby się zastanawiał nad określeniem. – Mam na myśli pewien materiał.
– Jaki materiał?

– Taki – wyjaśnił – jaki były Związek Radziecki produkował w dużych ilościach w czasach zimnej wojny.

Michaił odczekał chwilę, nim się odezwał.

– To brudny interes.

– Bardzo brudny – zgodził się Saladyn. – I bardzo opłacalny.

– O co dokładnie chodzi?

– Chlorek cezu.

– Zakładam, że do wykorzystania w celach medycznych.

– Raczej rolniczych.

– Sądziłem, że wasza organizacja przejęła podobne materiały w Syrii i Libii.

– Gdzie pan się tego dowiedział?

– Tam, gdzie pan się dowiedział, że handluję bronią.

– To prawda. Ale ostatnio utraciliśmy część zasobów. – Mówiąc to, uważnie patrzył na Jean-Luca Martela.

– A reszta?

– To nie pańska sprawa.

– Proszę wybaczyć. Nie zamierzałem...

Saladyn podniósł rękę na znak, że nie żywi urazy.

– Czy to możliwe – spytał – by dostarczył nam pan ten materiał?

– Możliwe. – Michaił przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. – Ale bardzo ryzykowne.

– Bez ryzyka trudno coś osiągnąć.

– Przykro mi – Michaił pokręcił głową – ale nie mogę brać w tym udziału.

– W czym?

Zapadło krótkie milczenie.

– Mógłbym choć przedstawić swoją ofertę?

– Nie chodzi o pieniądze.

– Ależ tak – ożywił się Saladyn. – Zawsze chodzi o pieniądze. Proszę tylko podać cenę, a ja ją zapłacę.

Michaił udał, że się zastanawia.

– Będę musiał zdobyć informacje – powiedział w końcu.

– Ile to potrwa?

– Tyle, ile będzie konieczne. Tego nie da się szybko załatwić.

– Rozumiem.

– Czy w grę wchodzi również pomoc techniczna?

Saladyn pokręcił głową.

– Zależy mi wyłącznie na materiale.

– A jeśli to załatwię? Jak mam się z panem skontaktować?

– Nie ma takiej potrzeby – zbył go Saladyn. – Skontaktuje się pan ze swym przyjacielem Jean-Lukiem Martelem, a monsieur Martel zawiadomi Muhammada.

Gwałtownie wstał i wyciągnął rękę.

– Czekam na wiadomość.

– Dam znać. – Michaił ponownie ujął wyciągniętą dłoń i mocno ją ścisnął.

Saladyn cofnął rękę, po czym znów zwrócił twarz ku niebu.

– Słyszysz pan?

– Czyżby wróciły pszczoły?

Nie odpowiedział.

– Podziwiam pański słuch – rzekł Michaił. – Bo ja zupełnie nic nie słyszę.

Ale Saladyn nadal wpatrywał się w gwiazdy. Potem opuścił wzrok na Michaiła, a jego oczy jakby się zwęziły.

– Pańska twarz wydaje mi się znajoma, monsieur Antonow. Czy to możliwe, żebyśmy się kiedyś spotkali?

– Nie. – Michaił pokręcił głową. – Niemożliwe.

– Może w Moskwie? W naszym poprzednim życiu?

Wolno przesunął spojrzenie z Michaiła na Jean-Luca Martela, a potem na Muhammada Bakkara. Na koniec znów powrócił do Michaiła.

– Pańska żona nie jest Rosjanką. – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie. Jest Francuzką.

– Ale ma bardzo ciemną cerę. Prawie jak Arabka. – Saladyn się uśmiechnął, po czym wyjaśnił, skąd o tym wie. – Dwaj moi ludzie widzieli, jak opalała się na plaży w Casablance. A wczoraj znów ją widzieli w starej dzielnicy Fezu. Miała zakryte włosy. Są pod wrażeniem.

– Żona głęboko szanuje islamską kulturę.

– Ale nie jest muzułmanką.

– Nie.

– Więc może Żydówką?

– Moja żona – odparł zimno Michaił – nie powinna pana obchodzić.

– Może jednak powinna. Czy pozwoli pan, że ją poznam?

– Nigdy nie mieszam rodziny w interesy.

– Bardzo mądrze – zgodził się Saladyn. – Niemniej chciałbym ją zobaczyć.

– Nie ma zakrytej twarzy.

– Maroko to nie kalifat, monsieur Antonow. Inszallah, wkrótce nim będzie, ale na razie widzę odkryte twarze wszędzie, gdzie tylko spojrzę.

– A co pan by zrobił, gdybym to ja się domagał obejrzenia pańskiej żony bez zasłony?

– Pewnie bym pana zabił.

Z tymi słowy wyminął go i ruszył do namiotu.

Sahara, Maroko

Odsunął klapę i wszedł do środka. Świece paliły się na biurku, przy którym siedział Keller, czytając podniszczoną powieść w miękkiej oprawie, a także obok łóżka, na którym Natalie i Olivia wyciągnęły się nad planszą do tryktraka. Spokojnie gawędziły, jak robią to osoby, które nigdzie nie muszą się spieszyć.

Keller leniwie podniósł głowę.

– Oto człowiek, na którego czekałem! – zawołał po francusku. – Zechciałbyś nam przynieść herbatki? I trochę ciasteczek, tych z miodem. Okej? Równy z ciebie chłop.

Przewrócił kartkę w książce. Świece przygasły, gdy Saladyn trzema szybkimi krokami pokonał odległość dzielącą go od łóżka. Natalie rzuciła właśnie żeton na planszę i zadowolona z wyniku zastanawiała się nad kolejnym ruchem. Olivia, widząc tuż obok mężczyznę, wbiła w niego oburzony wzrok.

– Co ty tu robisz?

Ale on bez słowa przyglądał się Natalie. Leżała półprofilem z twarzą skierowaną ku planszy i częściowo zasłoniętą przez opadający jasny lok. Gdy wyciągnął rękę, by odgarnąć jej włosy, gwałtownie się cofnęła.

– Jak śmiesz mnie dotykać! – warknęła po francusku. – Wynoś się, bo zawołam męża.

Ale on się nie ruszył. Natalie bez mrugnięcia spojrzała mu w oczy.

„Majmonides... Miło cię znów widzieć...”

– O co ci chodzi?- spytała spokojnie.

Jego wzrok przesunął się na Kellera, po czym znów spoczął na niej.

– Przepraszam – powiedział po chwili. – To pomyłka.

Odwrócił się i wyszedł w mrok nocy.

Natalie spojrzała na Kellera.

– Powinieneś był go zabić. Miałeś okazję.

W Czarnej Dziurze w Langley rozległo się głośnie westchnienie ulgi, gdy Saladyn wyłonił się z namiotu. Drony obserwowały, jak szepnął coś wprost do ucha Muhammada Bakkara. Potem obaj ruszyli na skraj obozu i długo dyskutowali, szczelnie otoczeni ochroną. Saladyn kilkakrotnie wskazywał niebo. Raz wydawało się nawet, że patrzy wprost w obiektyw kamery predatora.

– Gra skończona – oznajmił Taylor. – Dziękujemy za udział.

– Nie bez powodu przetrwał przez te wszystkie lata – zauważył Uzi Navot. – To bardzo dobry gracz.

Patrzył, jak tymczasem Michaił wśliznął się do namiotu i wziął jakiś przedmiot z rąk Kellera. Na obrazie termowizyjnym nie był on widoczny, ale Navot zakładał, że teraz obaj weterani jednostek specjalnych są uzbrojeni. I dramatycznie słabsi liczebnie od gospodarzy.

– Jaka jest odległość między Saladynem a ich namiotem? – spytał.

- Dwanaście metrów – odparł Taylor. – Może mniej.
- A promień rażenia hellfire?
- Nawet o tym nie myśl.

Muhammad Bakkar powrócił na główny dziedziniec i teraz mówił coś do Martela. Mimo sześciu tysięcy metrów odległości było widoczne, że wymiana zdań jest nerwowa. W obozie rozpoczął się ruch. Ochroniarze wskakiwali do land cruiserów, włączano silniki, zapalały się światła.

- Co jest, do cholery? – parsknął Taylor.
- Wygląda mi na to – zastanawiał się Navot – że chce zmylić tropy.
- Bakkar?
- Nie – odparł Navot. – Saladyn.

On tymczasem znów wpatrywał się w niebo, wprost w nieruchome oko drona. Z uśmiechem, jak zauważył Navot. Tak, Saladyn wyraźnie się uśmiechał. W pewnej chwili podniósł rękę i cztery identyczne SUV-y zawirowały wokół niego w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, wzbijając chmury piasku i pyłu.

- Cztery wozy, dwie rakiety – obliczał Navot. – Jakie są szanse trafienia?
- Statystycznie – odrzekł Taylor – fifty-fifty.
- No to może odpalić je teraz?
- Wasi ludzie tego nie przeżyją.
- Jesteś pewny?
- Robiłem to już raz czy dwa, Uzi.
- Właśnie. – Navot nie odrywał wzroku od ekranu. – Tak jak i Saladyn.

Gabriel i Jakow Rossman widzieli to samo w Casablance. Cztery SUV-y wirowały wokół mężczyzny, którego sygnatura cieplna stopniowo znikła w chmurze piasku i pyłu. Na koniec zwolniły i stanęły zaledwie na tyle, by ów mężczyzna mógł wsiąść do jednego z nich. Którego? Nikt nie umiał powiedzieć. Potem wszystkie cztery ruszyły przez pustynię w takiej odległości, by pojedyncza pięćdziesięciopuntowa głowica rakiety, celując w jednego, nie mogła trafić dwóch naraz.

Predator podążył za SUV-ami na północ przez pustynię, podczas gdy sentinel, nie zmieniając pozycji, nadal prowadził obserwację obozu. Czterech wartowników stojących na obrzeżach wycofało się na środkowy dziedziniec, gdzie Muhammad Bakkar znów nerwowo rozmawiał z Jean-Lukiem Martelem. Po chwili jakiś przedmiot przeszedł z jego rąk w ręce podejrzanego informatora Gabriela. Był niewidoczny dla termowizyjnych sensorów drona. Jean-Luc wsunął go do prawej kieszeni marynarki.

- Jasny szlag... - mruknął Jakow.
- W pełni się zgadzam.
- Myślisz, że przeszedł na ich stronę?
- Zaraz się dowiemy.
- Po co czekać?
- Masz lepszy pomysł?
- Pisz do Michaiła i Kellera. Niech wyskakują z namiotu i grzeją.
- A co, jeśli tamci odpowiedzą ogniem z kałachów?
- Nawet nie zdążą ich zdjąć.

– A Martel? – spytał Gabriel. – Co, jeśli stanie w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie?

– To tylko handlarz narkotyków.

– Bez niego nie byłoby nas tutaj, Jakow.

– Sądzisz, że nas nie zdradzi, żeby ratować własną skórę? Myślisz, że co teraz robi?

Wyślij ten rozkaz – upierał się Jakow. – Załatw ich wszystkich i wyciągajmy stamtąd naszych ludzi, zanim Amerykanie rozpalą pustynię rakietami.

Gabriel szybko wysłał nie jedną, lecz dwie wiadomości – do Diny Sarid i do Kellera. Dina odpowiedziała natychmiast. Keller się nie spieszył.

– Z całym szacunkiem, ale nie mogę się zgodzić – oznajmił Jakow.

– Przyjąłem do wiadomości.

Gabriel patrzył na obraz z predatora. Cztery identyczne SUV-y mknęły na północ przez pustynię.

– Jak myślisz, w którym on jest?

– W drugim – odparł Jakow. – Na pewno w drugim.

– Z całym szacunkiem, ale nie mogę się zgodzić.

– A więc w którym?

Gabriel wciąż patrzył na ekran.

– Nie mam pojęcia.

Hotel Kasbah stał na zachodnim skraju wielkiego morza piasku Irk asz-Szabbi. Gdy nadeszła wiadomość od Gabriela, Dina i Eli Lavon pili herbatę na tarasie baru, a Jossi i Rimona byli na basenie. Pięć minut później, po gruntownym uprzątnięciu pokoi, wszyscy czworo stali w ciasnym holu, pytając kierownika nocnej zmiany o najbliższy klub, gdzie można by potańczyć i posłuchać muzyki. Podał im nazwę lokalu w leżącym na północ Arfudzie. Wtedy niezwłocznie ruszyli na południe. Jossi i Rimona wynajętym dżipem cherokee, Dina i Eli Lavon nissanem pathfinderem. W Chamlii zjechali z głównej drogi na pustynię i czekali, aż zapali się niebo.

Langley, Wirginia

Ale którym z land cruiserów podróżował cel ich poszukiwań? Po miesiącach planowania, spiskowania, rekrutowania i pertraktacji wszystko sprowadzało się do tego jednego pytania. Cztery pojazdy, dwie rakiety. Szansa na sukces wynosiła jeden do dwóch. Porażka groziła zerwaniem stosunków z ważnym arabskim sojusznikiem, a może jeszcze gorzej. Martwe ciało Saladyna mogłoby stanowić rekompensatę za wszystkie grzechy wywiadu. Ale Saladyn przemierzający się swobodnie po terytorium Maroka w wyniku zatajonej, a następnie chybionej operacji oznaczał katastrofę dyplomatyczną i zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. Ważyły się na szali liczne kariery. A także życie wielu ludzkich istnień.

Mnożyły się również opinie. Graham Seymour przysięgał, że ich cel znajduje się w trzeciej toyocie, Paul Rousseau twierdził, że w czwartej. Adrian Carter skłaniał się do pierwszej, choć nie wykluczał też drugiej. W Pokoju Dowodzenia Białego Domu prezydent i zespół doradców byli równie podzieleni. Dyrektor CIA Morris Payne nie miał wątpliwości, że widział, jak Saladyn wsiadał do trzeciego SUV-a. Ale prezydent, podobnie jak Paul Rousseau, stanowczo obstawał przy czwartym. Dla zebranych w Czarnej Dziurze w Langley był to wystarczający powód, by wyłączyć pojazd numer cztery z dalszych spekulacji.

Zdania ekspertów podobnie się różniły. Grupa obsługująca drony analizowała zapis ucieczki Saladyna z obozu na podstawie nagrania na żywo i danych sensorów. Dane te z wysokim prawdopodobieństwem wskazywały na numer trzy, choć jeden z młodszych analityków był przekonany, że Saladyna nie ma w żadnym z pojazdów, gdyż uciekł z obozu pieszo, a teraz samotnie przemierza pustynię.

– Przecież on kuleje – rzucił cierpko Uzi Navot. – Wędrowałby dłużej niż Mojżesz i Żydzi po wyjściu z Egiptu.

W końcu pozostawili decyzję Kyle'owi Taylorowi. Ten doświadczony oficer operacyjny nadzorował ponad dwieście skutecznych ataków dronów w Pakistanie, Afganistanie, Iraku, Syrii, Libii, Jemenie i Somalii. Teraz miał wyznaczyć cel. Zrobił to stanowczo i szybko, nie zadając sobie nawet trudu konsultacji z Adrianem Carterem. O 17.47 czasu waszyngtońskiego, czyli o 22.47 marokańskiego, operatorzy dronów otrzymali rozkaz odbezpieczenia rakiet. Siedemdziesiąt cztery sekundy później dwa land cruisery, pierwszy i trzeci, eksplodowały w oślepiającym blasku białego światła. Uzi Navot jako jedyny spośród zebranych w Langley oraz Białym Domu nie chciał na to patrzeć.

Odgłos eksplozji dotarł do obozu sekundę lub dwie po tym, jak na horyzoncie pojawił się słup światła. Keller i Michał trzymali w dłoniach beretty, gdy Jean-Luc Martel wpadł do namiotu.

– Co robicie! Chcecie mnie zastrzelić?

– Być może – odparł Keller.

– Poważny błąd. – Martel zerknął w stronę północy. – Co tam się stało?
– Chyba uderzył piorun.
– Nie sądzę, żeby Muhammad w to uwierzył. Zwłaszcza po tym, co przed wyjazdem powiedział jego przyjaciel Irakijczyk.
– A co powiedział?
– Że Dmitri i Sophie Antonowowie to izraelscy agenci nasłani, żeby go zabić.
– Mam nadzieję, że wyprowadziłeś Muhammada z błędu.
– Próbowałem – odparł Martel.
– I dlatego dał ci tego gnata?
– Jakiego gnata?
– Tego, którego trzymasz w prawej kieszeni marynarki. – Keller wysilił się na uśmiech. – Drony nie zasypiają.
Martel wolno wyciągnął broń.
– FN Five-seveN – stwierdził Keller.
– Standardowa broń boczna SAS – uzupełnił Martel.
– W zasadzie mówimy Regimentu. – Keller, który trzymał oburącz berettę, zdjął z niej lewą rękę i wyciągnął ją do Martela. – Oddaj to.
Francuz tylko się uśmiechnął.
– Chyba nie zamierzasz zrobić nic głupiego, prawda, Jean-Luc?
– Raz już to zrobiłem. Teraz sam się o siebie zatroszczę. – Zerknął na Olivię, która siedziała na krawędzi łóżka. – I oczywiście o nią.
Keller opuścił lufę.
– Powiedz Muhammadowi, że chciałbym z nim zamienić kilka słów.
– Po co mam to robić?
– Żeby mógł poznać moją propozycję.
– Twoją propozycję? Jaką?
– Nasze bezpieczne wyjście w zamian za życie Muhammada i jego ludzi.
Martel parsknął niskim szyderczym śmiechem.
– Chyba nie pojmujesz swojej sytuacji. Jesteście na celowniku automatów.
– Ale mamy drony – odrzekł Keller. – I jeśli coś nam się stanie, z Muhammada zostanie kupka prochu. Tak jak i z ciebie.
– Predatory przenoszą dwie rakiety hellfire. A ja mam dziwną pewność, że właśnie słyszałem dwie eksplozje.
– Nad nami jest jeszcze jeden dron.
– Czyżby?
– Skąd bym wiedział, że masz w kieszeni broń?
– Po prostu zgadłeś.
– Jak uważasz...
Martel powoli podszedł do Kellera i spojrzał mu w oczy.
– Pozwól, że ci wyjaśnię, co teraz nastąpi – oświadczył spokojnie. – Ja i Olivia stąd wyjdziemy, a wtedy Muhammad i jego ludzie otworzą ogień z AK-47 i rozniosą was na strzępy.
Keller milczał.

– Nie jesteś taki twardy bez ochrony swojego dona, co?

– Już nie żyjesz.

– Gadaj sobie, co chcesz.

Martel odwrócił się od Kellera i wyciągnął rękę do Olivii. Ale ta siedziała bez ruchu obok Natalie.

Jego oczy gniewnie się zwęziły.

– Ile ci zapłacili, żebyś mnie zdradziła, skarbie? Wiem, że nie zrobiłaś tego z dobroci serca. Przecież go nie masz.

Chwycił ją za rękę, ale się wyrwała.

– Cóż za lojalność – warknął. A potem przyłożył lufę FN do jej skroni. – Wstawaj. Keller uniósł pistolet i wymierzył w jego pierś.

– Chcesz mnie zastrzelić? Spróbuj, a zginiemy wszyscy.

Keller milczał.

– Nie wierzysz? To naciśnij spust – prowokował Martel. – Zobaczysz, co się stanie.

W Langley jedynie Navot obserwował transmisję z sentinela, która przedstawiała rozwój sytuacji w obozie. Wszyscy pozostali wpatrywali się bez ruchu w sąsiedni ekran, gdzie na piaskach Sahary wystrzelił słup ognia. Płonęły dwa land cruisery, ale nie tylko one zostały zniszczone. W chwili uderzenia rakiety kierowca SUV-a numer dwa stracił kontrolę nad pojazdem i z dużą prędkością uderzył w skalne wypiętrzenie. Zdemolowany wóz leżał teraz na boku od strony pasażera, nadal świecąc reflektorami. Wewnątrz było dwóch mężczyzn, ale choć od kolizji upłynęło dziewięćdziesiąt sekund, żaden się nie poruszył.

– Trzy za cenę dwóch – orzekł Taylor, ale nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy byli zbyt skupieni na jedynym sprawnym SUV-ie, który zawrócił i podjechał do wozu leżącego na boku. Chwilę później dwaj mężczyźni gorączkowo wyciągali kogoś z wraku.

– Jakie są szanse – spytał Kyle Taylor – że to Saladyn?

Adrian Carter patrzył, jak dwaj mężczyźni pośpiesznie ładują trzeciego na tył swojego SUV-a.

– Rzekłbym, że niemal stuprocentowe. Pozostaje pytanie, czy wciąż żyje.

Samochód natychmiast ruszył na północ, nie zapalając świateł. Za nim podążał rozbrojony już predator. Wedle sensorów drona prędkość pojazdu przekraczała sto czterdzieści kilometrów na godzinę.

– Poza szlakiem – stwierdził Carter. – I bez świateł.

– Chyba nie został trafiony. – Taylor spuścił wzrok.

– Taa... – Carter wolno pokiwał głową. – Wciąż żyje.

Na posterunku w Casablance Gabriel wpatrywał się wyłącznie w obraz z sentinela. Zielonkawe widmowe sylwetki Kellera i Michaiła celowały w Jean-Luca Martela, ten zaś przyciskał broń do skroni jednej z kobiet, Natalie lub Olivii. Trudno powiedzieć. Natomiast Muhammad Bakkar i czterej inni mężczyźni stali przed namiotem, mierząc z automatów w otwór wejściowy. Ze względu na ograniczoną przestrzeń dziedzińca byli ciasno stłoczeni. Gabriel obliczył szanse i doszedł do wniosku, że lepiej działać niż beczynnie czekać. Zaczął pisać wiadomość, ale zaraz przerwał i wybrał numer. Kilka sekund później zobaczył, jak zielonkawa sylwetka Kellera sięga do kieszeni kurtki.

– Odpowiedz – mruknął, zaciskając zęby. – Odbierz, do cholery, ten telefon.

Keller trzymał w prawej ręce berettę, a w lewej wibrujący telefon satelitarny, przesuwał kciukiem po ekranie.

– Nie próbuj – wychrypiał Martel.

– Co chcesz zrobić, Jean-Luc?

On tymczasem złapał Olivie za włosy, przyciskając do jej głowy lufę FN. Keller trafił wreszcie na „odbierz” i błyskawicznie podniósł aparat do ucha.

W słuchawce rozległ się spokojny głos Gabriela.

– Stoją przed wejściem do namiotu, Bakkar i czterech innych. Ciasno zgrupowani, złożeni do strzału.

– Jakies inne dobre wiadomości?

– Saladyn wciąż żyje.

Nie rozłączając się, Keller opuścił rękę z telefonem i spojrzał na Michaiła.

– Czekają przed namiotem, żeby nas zabić. Pięciu, wszyscy uzbrojeni. Na wprost wejścia – zaakcentował.

– Wszyscy razem? – spytał Michaił.

Keller skinął głową, a potem spojrzał na Martela.

– Chalil Irakijczyk to już zwęglony kawałek mięsa. A raczej kilka kawałków. Powiedz Muhammadowi, żeby nas wypuścił, albo będzie następny.

Martel wlokł Olivie za włosy w stronę wyjścia, nie odrywając lufy od jej skroni. Keller wypuścił telefon z lewej ręki i błyskawicznie uniósł prawą. Tap-tap, ozwała się dwukrotnie beretta nieomylnego zawodowca. Oba pociski trafiły Martela w twarz. Potem Keller obrócił się w prawo i razem z Michaiłem otworzyli ciągły ogień w stronę pięciu mężczyzn stojących na zewnątrz.

Gdy tamci odpowiedzieli serią z automatów, Natalie pchnęła Olivie na ziemię. Martel leżał tuż obok nich, wciąż ściskając FN w martwej ręce. Natalie wyrwała mu broń, wycelowała w stronę wejścia i nacisnęła spust. A przez cały ten czas w Domu Szpiegów w Casablance Gabriel patrzył i słuchał. Patrzył, jak jego ludzie walczą o życie. I słuchał odgłosu strzałów oraz krzyków Olivii Watson.

Sahara, Maroko

Gabriel miał wrażenie, że trwa to wieczność. Keller – że sekundę lub dwie. Kiedy ogień na zewnątrz ustał, wyjął pusty magazynek ze swej beretty i wsunął zapas. Obok Michaił zrobił to samo. Potem spojrzął w dół na Natalie i ze zdumieniem ujrzał, że dziewczyna trzyma w wyciągniętej ręce pistolet Martela. Leżąca przy niej Olivia histerycznie wrzeszczała.

– Co jej jest?

Bok twarzy Olivii pokrywały krew i strzępy tkanki mózgu. Natalie szybko sprawdziła, czy nie jest ranna, ale nie znalazła obrażeń. Krew i materia mózgu wypływały z głowy Martela.

– Wszystko w porządku.

Może kiedyś będzie, pomyślał Keller. Ale nieprędko. Schylił się i chwycił telefon.

– Co widzisz na zewnątrz?

– Niewiele – odparł Gabriel.

– Ktoś się rusza?

– Jeden pośrodku. Stąd wygląda na to, że reszta nie żyje.

– Szkoda – mruknął Keller. – Co teraz?

Piętnaście kilometrów dalej na północ jedyny ocalały land cruiser pędził przez odludną pustynię pod czujnym okiem predatora.

– Znasz długość lotu tego drona? – spytał Navot.

– Mniej więcej osiem godzin – odparł Adrian Carter. – Jeśli Marokańczycy nie wykryją, że prowadzimy tajną operację na ich terytorium. Wtedy znacznie mniej.

– A tego? – Navot wskazał obraz z sentinela.

– Czternaście.

– Na ile jest niewykrywalny?

– Na tyle, żeby Marokańczycy nie zdołali go namierzyć.

Jeden z telefonów leżących przed Carterem sygnalizował połączenie. Podniósł słuchawkę do ucha, wysłuchał, a potem cicho zaklął.

– Co jest? – spytał Navot.

– NSA rejestruje wzmożoną emisję sygnałów radiowych z Maroka.

– Jakiego rodzaju?

– Wygląda na to, że gówno trafiło w wiatrak.

Ponownie zapaliła się dioda w telefonie. Tym razem Morris Payne dzwonił z Pokoju Dowodzenia.

– Zrozumiałem. – Carter się rozłączył, po czym spojrzął na Navota. – Ambasador Maroka właśnie telefonował do Białego Domu z pytaniem, czy Stany Zjednoczone zaatakowały jego kraj.

– Co zamierzasz?

– Czas lotu dronów właśnie się skrócił.

- Tego niewykrywalnego również?
- Jakiego niewykrywalnego?

Carter wydał rozkaz operatorom. Predator natychmiast gwałtownie skręcił na wschód w stronę granicy z Algierią. Kamera termowizyjna jeszcze przez dwie minuty rejestrowała trasę ocalałego SUV-a, ale sygnatury cieplne z wolna zanikały na ekranach Czarnej Dziury. Następny był sentinel. Ostatni transmitowany obraz ukazywał dwóch mężczyzn, którzy wysunęli się z namiotu na pustyni, trzymając broń w wyciągniętych rękach.

Prawda, że kule dosięgły wszystkich pięciu mężczyzn zebranych na dziedzińcu obozu, ale dwaj z nich jeszcze żyli. Jednym był Muhammad Bakkar, drugim jakiś strażnik. Michał położył kres jego życiu strzałem w głowę, podczas gdy Keller sprawdzał w świetle gwiazd stan Bakkara. Marokański producent haszyszu został dwukrotnie postrzelony w klatkę piersiową. Krew zalewała jego pulower i sączyła się z ust. Nie zostało mu wiele czasu.

Keller przykucnął obok.

- Muhammadzie, dokąd on jedzie?
- Kto? – spytał Bakkar, krztusząc się krwią.
- Saladyn.
- Nie znam nikogo takiego.
- Może to odświeży ci pamięć?

Przyłożył lufę beretty do kostki Bakkara i nacisnął spust. Krzyki Marokańczyka rozdarły nocną ciszę.

- Gdzie on jest?
- Nie wiem!

– Jasne, że wiesz, skurwielu. Po zamachu w Waszyngtonie ukryłeś go tu, w Maroku. Dałeś mu forsę, żeby mógł uderzyć w mój kraj.

- A co to za kraj? Francja? Czy może też jesteś pieprzonym Żydem jak on?

Bakkar patrzył na Michała, który stał nad ramieniem Kellera. Ten ponownie przyłożył pistolet do podudzia Marokańczyka i nacisnął spust.

- Prawdę mówiąc, jestem Brytyjczykiem.
- W takim razie – wykrztusił Bakkar, zwijając się z bólu – pieprzę i twój kraj.

Rozległ się kolejny strzał. Tym razem w kolano.

– *Allahu akbar!*

- Niech ci będzie – rzekł spokojnie Keller. – Gdzie on jest?
- Już mówiłem...

Tym razem pocisk trafił w resztki kolana. Bakkar zaczynał tracić przytomność. Keller mocno uderzył go w twarz.

- Czy kazał ci nas zabić?

Marokańczyk z trudem to potwierdził.

- Co miałeś zrobić potem?

Jego powieki opadały. Tracił kontakt.

- Gdzie, Muhammadzie? Gdzie on jedzie?
- Do jednego z moich... domów.

– Gdzie? W Rif? W Atlasie?

Bakkar dławił się krwią.

– Gdzie, Muhammadzie? – Keller gwałtownie nim potrząsał. – Powiedz, gdzie on jedzie, żebym mógł ci pomóc.

– Fez – wyszeptał Bakkar. – Jedzie do Fezu.

Jego oczy gasły. Ale pomimo krwi i bólu sprawiał wrażenie głęboko zadowolonego.

– Kłamiesz, Muhammadzie, prawda?

– Tak.

– Dokąd jedzie?

– Kto?

– Saladyn.

– Do rajy – westchnął Bakkar. – Ja też idę do rajy.

– Raczej wątpię – odrzekł Keller, po czym przyłożył mu lufę do czoła i po raz ostatni nacisnął spust.

Z pięciu mężczyzn zabitych w centrum obozu tylko Muhammad Bakkar miał telefon komórkowy. W przedniej kieszeni jego spodni znajdował się samsung galaxy bez baterii i karty SIM. Keller na powrót go złożył i zaraz włączył, a tymczasem Michał z Natalie zajęli się Olivią. W obozie nie został żaden z pojazdów. W desperackiej próbie ucieczki Saladyn zabrał wszystkie. Oznaczało to, że nie mają innego wyjścia, niż ruszyć przez pustynię pieszo. Zabrali tylko to, co mogli unieść – ciepłą odzież, telefony, paszporty, portfele i dwa kałasznikowy z pełnymi magazynkami. Nie próbowali nawet szukać latarki wśród obozowych zapasów. Księżyc wystarczająco jasno oświetlał im drogę.

Opuścili obóz pięć po jedenastej lokalnego czasu i ruszyli wprost na zachód w stronę morza piasku. Keller otwierał pochód, za nim szły kobiety, a na koniec Michał. W prawej ręce Keller trzymał komórkę Muhammada Bakkara, sprawdzając poziom baterii. Dwanaście procent.

– Jasny szlag! – zaklął. – Czy ktoś ma ładowarkę?

Nawet Olivia zdołała się roześmiać.

W Casablance Gabriel i Jakow Rossman spokojnie sporządzali bilans operacji. Jej szczątki leżały rozrzucone na pustyni południowego Maroka, począwszy od granicy z Algierią po wydmy Irk asz-Szabbi. Z dwóch land cruiserów zostały tłące się zgliszcza, zaś pogruchotany wrak trzeciego, przewrócony, leżał na boku. Natomiast czwarty, ten, w którym zapewne znajdował się Saladyn wymagający – jak wszystko wskazywało – niezwłocznej pomocy lekarskiej, był ostatnio widziany, gdy mknął na północny zachód w stronę Średniego Atlasu. Jean-Luc Martel, słynny, lecz głęboko zdeprawowany biznesmen francuski, leżał martwy w pustynnym obozie, podobnie jak Muhammad Bakkar, największy marokański producent haszyszu, a także jego czterej pomocnicy. Komórka Bakkara znajdowała się natomiast w posiadaniu oficera wywiadu brytyjskiego. Poziomu baterii wynosił dziesięć procent i gwałtownie spadał.

– Poza tym wszystko przebiegło zgodnie z planem.

– Byłoby już po nim, gdyby Amerykanie trafili we właściwy samochód.

Gabriel nie odpowiedział.

– Chyba nie myślisz o...

– Oczywiście, że tak.

Spojrzał na ekran komputera, gdzie pojawiła się mapa południowego Maroka. Od strony Chamlii posuwały się na wschód przez pustynię dwa niebieskie światła. Natomiast pojedyncze czerwone światełko wolno wędrowało na zachód. Dzielila je odległość najwyżej trzech kilometrów.

– Za chwilę – orzekł Jakow – południowo-wschodni kraniec Maroka zaroi się od żołnierzy i żandarmerii. Nie minie wiele czasu, nim odkryją dwie spalone toyoty i obóz pełen martwych ciał. A wtedy rozpęta się piekło.

– Już się rozpętało.

– I dlatego wydaj rozkaz, żeby pozbyli się broni i jechali do kryjówki w Agadirze. Jeśli im się uda, dotrą tam przed świtem, a wtedy ich wyciągniemy. Jeśli nie, będą musieli przeczekać w jakimś hotelu przy plaży i opuszczą go jutro po zmroku.

– To bezpieczny plan.

– Prawdę mówiąc, nie ma w nim nic bezpiecznego.

– A co z nami? – spytał Gabriel.

– Żandarmeria wkrótce zablokuje drogi w całym kraju. Lepiej zostańmy tu na noc. Wylecimy rano samolotem. Najpierw do Paryża albo Londynu, a stamtąd na Ben Gurion.

– A Saladyn?

– Musi sam się zatroszczyć o trasę podróży.

– Tego właśnie się obawiam.

Na ekranie komputera światła błękitne spotkały się z czerwonym i po chwili razem ruszyły na zachód w kierunku wioski Chamlia.

– Co chcesz im powiedzieć? – spytał Jakow.

Gabriel szybko wystukał wiadomość i kliknął „send”. Były to trzy słowa: „Włącz ten telefon...”.

Sahara, Maroko

W komórkowej próżni południowej części pustyni nie było możliwości bezpiecznego przesyłania danych. Przeszukali więc samsunga starymi sposobami – rozmowa po rozmowie, wiadomość po wiadomości. Natalie, znająca arabski w mowie i piśmie najlepiej z nich, zajmowała się tłumaczeniem, natomiast Keller przysyłał informacje na posterunek w Casablance za pomocą telefonu satelitarnego. Siedzieli teraz z tyłu nissana pathfindera, którym kierowała Dina z pomocą nawigatora i obserwatora w osobie Eliego Lavona. Michaił i Olivia jechali w dziupie.

– Jak ona się czuje? – spytał Gabriel.

– Jak należało przypuszczać. Trzeba ją stąd wywieźć. Najlepiej jeszcze dziś wieczór.

– Pracuję nad tym. A teraz podaj mi następny numer.

Okazało się, że Muhammad Bakkar nie miał samsunga zbyt długo. Pierwsze połączenie odebrał poprzedniego wieczoru o 19.19. Korespondowało z czasem, w którym Jean-Luc Martel odebrał telefon, siedząc z Kellerem w barze Palais Faraj w Fezie. Numer też był ten sam. Wyglądało na to, że człowiek, który dzwonił do Martela, polecając mu zorganizowanie spotkania w obozie, połączył się zaraz z Bakkarem, by to potwierdzić. Następnie o 19.21 Bakkar sam do kogoś zadzwonił.

– Podaj mi tamten numer – powiedział Gabriel.

Keller wyrecytował kolejne cyfry.

– Powtórz.

Keller powtórzył.

– To numer Nazira Bensaïda.

Bensaïd był marokańskim dżihadystą i członkiem ISIS, który śledził Martela i ekipę z Casablanki w drodze do Fezu, a potem z Fezu w góry Atlasu Średniego.

– Kilka minut później Bakkar znów do kogoś dzwonił – powiedział Keller.

– Numer?

Gdy Keller go podał, Gabriel polecił im sprawdzić, czy pojawia się gdzieś jeszcze.

Natalie szybko przejrzała listę połączeń. Bakkar łączył się z tym numerem ponownie o 17.17, a o 17.23 ktoś do niego oddzwonił.

Keller przekazał tę informację.

– Jak myślisz, kto to był? – spytał Gabriela.

– Nasz gość honorowy? – Gabriel odpowiedział pytaniem.

Zakończył połączenie i skontaktował się przez bezpieczny link z Adrianem Carterem w Langley.

– Gdzie jest Nazir Bensaïd? – spytał Carter.

– Jego telefon jest w Fezie. Ale nie wiemy, czy Nazir ma go przy sobie.

Następnie podał Carterowi numer, z którym Muhammad Bakkar łączył się trzykrotnie. Raz dzień wcześniej o 19.21 i dwa razy tego popołudnia, przed spotkaniem

na pustyni.

– Jak myślisz, do kogo należy?- spytał Carter.

– Gdybym miał zgadywać – odparł Gabriel – powiedziałbym, że do Saladyna.

– Gdzie go znalazłeś?

– W informacji telefonicznej.

– Że też nie wpadliśmy na to... Przekażę go NSA. A tymczasem – rzekł Carter – powiedz swoim ludziom, żeby nie zgubili tego telefonu.

Dwadzieścia minut po tym, jak minęli obozowisko berberskich nomadów, telefon Bakkara odzyskał zasięg. Nie pojawiły się jednak żadne nieodebrane wiadomości tekstowe czy głosowe. Nie było również nowych połączeń. Keller przekazał informację Gabrielowi i spytał o dalsze instrukcje. Gabriel polecił im kontynuować jazdę drogą N13 na północ do wioski Ar-Risani położonej na skraju oazy w Tafilalt. Stamtąd mieli skręcić w N12 i podążać na zachód do Agadiru.

– Zakładam, że czeka tam na nas Saladyn.

– Wątpliwe – odparł Gabriel.

– Więc po co tam jedziemy?

– Bo Agadir jest znacznie przyjemniejszy niż biuro śledcze w Temarze.

– A co z bronią?

– Wyrzucicie ją na pustyni. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa natkniecie się na blokadę.

– I co wtedy?

– Improvizujcie.

Połączenie zostało przerwane.

– Jakie są instrukcje? – spytał Lavon.

– Mamy improvizować.

– A co z bronią?

– Myśli, że lepiej ją zatrzymać – odparł Keller. – Na wszelki wypadek.

Było już po północy, gdy dotarli do wioski Chamlia. Kiedy Dina skręcała na północ w N13, nad ich głowami przeleciały z hukiem na wschód dwa helikoptery.

– To może być zwykły patrol – odezwał się Keller.

– Może – powtórzył sceptycznie Lavon.

Keller włożył kałasznikowa do torby w bagażniku. Berettę wsunął za pas. Zerknął przez ramię. Światła dzipa cherokee były jakieś sto metrów za nim. Zastanawiał się, jak Olivia wytrzyma szczegółowe przesłuchanie marokańskich służb, i stwierdził, że nie najlepiej.

Obrócił się i dostrzegł zbliżające się gwałtownie światła alarmowe. Pojazdy przemknęły obok nich, wzbijając chmurę pyłu.

– To nie wygląda dobrze – orzekł Lavon. – Jesteś pewien, że Gabriel nie polecił nam pozbyć się broni?

Keller milczał. Wpatrywał się w telefon Bakkara, wibrujący mu w dłoni. Nadeszła wiadomość z tego samego numeru, z którym Bakkar rozmawiał po południu. Napisana arabskim alfabetem. Podał aparat Natalie. Czytając tekst, szeroko otwierała oczy.

– Co tam jest? – spytał.

- Pyta, czy nas zabili.
- Naprawdę? Ciekawe, kto taki.

Wziął telefon satelitarny i zaczął wybierać numer, ale przerwał na widok żandarma stojącego pośrodku drogi z policyjną latarką w ręce.

- Co mam robić? – spytała Dina.
- Bezwarunkowo musisz się zatrzymać – odparł.

Zjechała na pobocze i zahamowała. Jadący za nią dżipem cherokee Jossi Gawisz zrobił to samo.

- Co mam im powiedzieć? – spytała ponownie Dina.
- Improvizuj – poradził jej Keller.
- A jeśli mi nie uwierzą?

Spojrzał na wiadomość w telefonie Muhammada Bakkara.

- Jeśli ci nie uwierzą – powiedział – to zginą.

Ar-Risani, Maroko

Dina mówiła do żandarma po niemiecku, bardzo szybko i bardzo wystraszona. Wyjaśniła, że razem z przyjaciółmi kempingowali na pustyni, ale nagle usłyszeli jakieś wybuchy i odgłosy strzelaniny. Bojąc się o życie, uciekli z obozu tak jak stali.

- Po francusku, madame. Proszę mówić po francusku.
- Nie mówię po francusku – odpowiedziała po niemiecku.
- A po angielsku?
- Tak, znam angielski.

Mówiła jednak z tak ciężkim akcentem, że równie dobrze mógłby to być niemiecki. Zrezygnowany żandarm sprawdził jej paszport, podczas gdy jego partner powoli okrążał samochód. Światło latarki przez chwilę zatrzymało się na twarzy Kellera, który już zaczął rozważać, czy nie sięgnąć po berettę. W końcu jednak żandarm przeszedł na tył SUV-a i zapukał w szybę.

– Proszę otworzyć – polecił po arabsku, ale jego towarzysz przesądził sprawę. Oddał Dinie paszport z pytaniem, dokąd się teraz wybierają. Gdy znów odpowiedziała po niemiecku, machnął latarką, by przejeżdżała. Dżip cherokee również.

Keller podał Natalie telefon Bakkara.

- Odpowiedz mu.
- Co mam napisać?
- Oczywiście, że nas zabili.
- Ale...
- Spiesz się – przerwał. – Za długo czeka.

Napisała jedno słowo: „Tak”. Odpowiedź nadeszła po kilku sekundach. Było to też jedno słowo w arabskim alfabecie.

- Co to znaczy?
- *Alhamdulillah*, czyli...
- Dzięki niech będą Bogu.
- Mniej więcej.
- Ale naprawdę – rzekł Keller – znaczy to, że go mamy.
- Albo kogoś, kto jest przy nim.
- Też nieźle.

Zadzwoił do Gabriela z telefonu satelitarnego i przekazał informację.

- Mogłeś się odezwać, nim wysłaliście tę wiadomość.
- Nie było czasu.
- Podtrzymaj z nim kontakt.
- Jak?

– Spytaj, czy jest ranny.

Keller przekazał Natalie, by wysłała esemes tej treści. Po minucie brzęknęła odpowiedź.

- Jest ranny – przeczytała.
- Spytaj, czy ktoś zginął w ataku drona – dyktował Gabriel.
- Chyba przesadzasz. – Keller się zaniepokoił.
- Wyślij, do cholery, tę wiadomość.

Natalie wysłała. Odpowiedź przyszła natychmiast.

- Zginęło wielu naszych braci.
- Spytaj, ilu braci jest przy nim.

Znów wystukała pytanie.

- Dwóch – powiedziała po chwili.
- Są ranni?

Nastąpiła kolejna wymiana esemesów.

- Nie.
- Czy potrzebuje lekarza?
- Ostrożniej – ostrzegł Keller.
- Wyślij to – warknął Gabriel.

Odpowiedź przyszła po blisko dwu minutach.

- Tak – przełożyła Natalie. – Potrzebuje.

Gabriel zamilkł.

- Musimy się dowiedzieć, dokąd jadą – powiedział w końcu.
- No to namierzcie jego telefon – niecierpliwił się Keller.
- Jeśli go wyłączy, stracimy wszelkie szanse. Musicie o to spytać.

Natalie napisała i wysłała wiadomość. Odpowiedź nie była jasna.

„Ar-rijad”. Ten dom.

- To nam nie wystarczy – orzekł Gabriel.
- Przecież nie możesz pytać, który to dom.
- Napisz, że wysyłasz Nazira, żeby się nim opiekował do przyjazdu lekarza.
- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – mruknął Keller.
- Wyślij.

Natalie posłusznie wysłała. A potem napisała drugą wiadomość i wysłała ją do Nazira Bensaïda. Na odpowiedź musieli czekać pięć długich minut.

- Mamy go! – zawołała. – Jest w drodze.

Keller podniósł telefon do ucha.

- Czy nadal mamy zwiedzać Agadir?
- Nie wszyscy – odparł Gabriel.
- Szkoda tylko tej broni.
- Może dałoby się ją odnaleźć?
- Taak – odparł Keller. – Chyba wiem, gdzie jej szukać.

Następny połączył się z Casablanką Adrian Carter.

- Mieliśmy jego telefon przez trzy lub cztery minuty, ale nam zniknął.
- Tak, wiem – odparł Gabriel.
- Skąd?
- Bo wymienialiśmy z nim esemesy.
- Co?

Gabriel opisał sytuację.

– Masz choć pojęcie, gdzie jest ten dom?

– Nie ryzykowałem dalszych pytań. Poza tym mamy Nazira Bensaïda. On nam go wskaże.

– Już tam wyruszył – poinformował Carter.

– Gdzie jest?

– Wyjeżdża z Fezu w kierunku Atlasu Średniego.

– Gdzie będzie się zajmować rannym Saladynem – dokończył Gabriel. – Do czasu przybycia lekarza.

– Czyżbyś zamierzał złożyć im wizytę?

– Taki jest styl Biura.

– Obawiam się, że wam nie pomożemy.

– Nie moglibyście choć użyczyć któregoś z tych obserwacyjnych dronów?

– Nie ma mowy.

– Kiedy przewidywany jest przelot waszego satelity?

Carter wykrzyknął pytanie do funkcjonariuszy zebranych w Czarnej Dziurze. Chwilę później dostał odpowiedź.

– Będzie nad wschodnim Marokiem o czwartej rano.

– Życzę udanego spektaklu.

– Chyba się tam nie wybierasz, co?

– Nie wyjadę stąd bez niego, Adrianie.

– Niepokoi mnie tylko pierwsza część tego zdania.

Gabriel bez słowa się rozłączył i spojrzał na Jakowa.

– Musimy tu posprzątać i ruszamy.

Jakow znieruchomiał.

– Jesteś przeciwny?

– Nie o to chodzi. Tylko że...

– Chyba się nie boisz tych cholernych dżinów, co?

– Nie powinniśmy nocą hałasować.

Gabriel zamknął laptopa.

– W takim razie wymkniemy się po cichu. Tak będzie najlepiej.

Pięć minut później marokańskie siły zbrojne oraz służby bezpieczeństwa zostały postawione w stan pełnej gotowości. W ogólnym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na dwa małe, lecz istotne incydenty. Pierwszy z nich miał miejsce w nocy na skraju wioski Ar-Risani, gdzie džip cherokee i nissan pathfinder zatrzymały się na krótko na skrzyżowaniu pustynnych dróg. Nastąpiła wymiana dwóch pasażerów. Niski człowiek o wyglądzie naukowca zajął miejsce wysokiego smukłego mężczyzny.

Chwilę później samochody się rozdzieliły. Dżip ruszył na zachód, w stronę morza. Nissan na północ, w stronę podnóża Atlasu. Pasażerowie džipa wiedzieli, co ich czeka. Los jadących nissanem był znacznie mniej pewny. Mieli przy sobie dwa pistolety, dwa bojowe kałasznikowy, paszporty, karty kredytowe, gotówkę, komórki i telefon satelitarny. Ważniejsze jednak, że posiadali również telefon, z którego krótko korzystał największy producent haszyszu. Wierzyli, że doprowadzi ich do Saladyna.

Drugi incydent miał miejsce jakieś sześćset kilometrów dalej na północny zachód, w Casablance. Dwaj mężczyźni wymknęli się nocą z podupadłej starej willi, po cichu, by nie obudzić zamieszkałych tam demonów. Wrzucili bagaże do wynajętego peugeota i ruszyli przed siebie pustymi bulwarami starej kolonialnej dzielnicy. Mijając zniszczone secesyjne budynki, nowoczesne apartamentowce nowej warstwy bogaczy, a wreszcie nędzne bidonvilles, dotarli w końcu do autostrady. Prowadził młodszy z nich. Starszy wypełniał czas, ładując i rozładowując berettę. Nie powinien się tam znajdować. To fakt. Był szefem Biura, a dotąd każdy szef znał swoje miejsce. Ale przecież kiedyś trzeba zrobić coś pierwszy raz.

Wsunął załadowaną broń za pas i sprawdził komórkę. A potem patrzył przez okno w niekończące się światła Casablanki.

- O czym myślisz? – spytał młodszy.
 - Myślę, że powinieneś jechać szybciej.
 - Nigdy jeszcze nie wiozłem prawdziwego szefa.
- Starszy lekko się uśmiechnął.
- Nie myślałeś o niczym więcej? – dociekał młodszy.
 - Dlaczego pytasz?
 - Bo zdawało mi się, że naciskasz spust.
 - Którą ręką?
 - Lewą – odparł młodszy. – Zdecydowanie lewą.
- Starszy odwrócił się od okna.
- Ile razy?

Góry Atlasu Średniego, Maroko

Telefon wolno sunął na południe przez nizinne tereny Fezu w stronę zboczy Atlasu. Nie mieli pewności, czy rzeczywiście znajduje się w rękach Nazira Bensaïda. Teraz, gdy drony zniknęły, stracili cel z oczu i ani NSA, ani Jednostka 8200, supertajna cyberagencja izraelskiego wywiadu wojskowego, nie były w stanie aktywować mikrofonu lub kamery w tym aparacie. Wiedzieli tylko, że znajduje się na platformie ciężarówki i że Nazir Bensaïd krąży gdzieś w labiryncie starej dzielnicy Fezu.

Była pierwsza trzydzieści w nocy, gdy telefon dotarł do berberskiego miasteczka Imouzzer. Zwolnił tempo, wjeżdżając główną ulicą do centrum. Gabriel, który otrzymywał bieżące informacje od Adriana Cartera, zaczął się już zastanawiać, czy nie jest bliski celu. Taka miejscowość jak Imouzzer, myślał, to dla zbiega atrakcyjna propozycja. Wprawdzie mieszkaniec Zachodu rzuciłby się tu w oczy, ale mężczyzna w dżelabie nie zwróciłby niczyjej uwagi na ruchliwych uliczkach. W razie konieczności ucieczki miał w pobliżu odludne zbocza Atlasu, a uroki Fezu znajdowały się zaledwie o godzinę jazdy samochodem. Wyobraźnia podsunęła Gabrielowi obraz wysokiego, potężnie zbudowanego zakapturzonego Araba w dżelabie, który, utykając, wędruje wśród wąskich zaułków starej dzielnicy.

Ale o 1.35 telefon opuścił Imouzzer i zwiększając tempo, skierował się do Ifranu, sztucznego miasteczka turystycznego, jakby w całości przeniesionego ze szwajcarskich Alp do Północnej Afryki. I znów Gabriel zaczął się zastanawiać, czy cel nie znajduje się w ich zasięgu. Lecz tym razem odziany nie w dżelabę, lecz w spodnie i wełniany sweter, jak przystało na kogoś, kto – po zamachu na Waszyngton – spędza zimę w luksusowym kurorcie. Jednak gdy telefon opuścił Ifran, nałożył na ten obraz kryjącą farbę zapomnienia i czekał na następną wiadomość od Adriana Cartera.

- Szybciej – ponaglał. – Jedź szybciej.
- Jadę tak szybko, jak mogę – odparł Jakow.
- Nie ty – sprostował Gabriel. – On.

Następnym miastem na trasie telefonu było Azru. Tam skręcił w N13, główną drogę łączącą góry Atlasu Średniego z Saharą, tą samą, którą Keller, Michał, Natalie i Dina kierowali się teraz na północ. Minął ciąg małych berberskich wiosek – Timahdite, Aït Oufella, Boulaajoul – by w końcu się zatrzymać kilkaset metrów od miasteczka Zaida, w miejscu, które jedynie próbowali sobie wyobrazić. Mógł to być dom, twierdza lub namiot z wielbłądziej wełny na kamienistym ugorze. Dziesięć niekończących się minut upłynęło, nim na ekranie telefonu Muhammada Bakkara pojawiła się kolejna wiadomość. Keller przeczytał ją Gabrielowi.

- Nazir pisze, że brat jest ciężko ranny.
- To smutne.
- Twierdzi, że natychmiast potrzebuje lekarza. Inaczej nie przeżyje.
- Trudno o lepsze rozwiązanie.

– Chyba nie chcesz pozwolić mu umrzeć śmiercią naturalną?

– Ani przez chwilę – odparł Gabriel. – Napisz, że lekarz jest w drodze. I że jedzie tam z Fezu.

Na chwilę zapadła cisza, w czasie gdy Natalie układała i wysyłała wiadomość po arabsku. Kilka sekund później usłyszeli sygnał nadchodzącej odpowiedzi.

– *Alhamdulillah* – powiedział Keller.

– W pełni się zgadzam.

Rozległ się kolejny brzdęk.

– Co teraz?

– Pyta, gdzie jestem.

– Nie wiedziałem, że się przyjaźnicie.

– On myśli, że jestem...

– Tak, wiem – rzekł szybko Gabriel. – Powiedz, że były trudności z organizacją transportu. I że będziesz tam za dwie godziny, może mniej.

Nastąpiła kolejna przerwa, w czasie której Natalie wysyłała wiadomość.

– Jest odpowiedź?

– Nie.

– Może ją układa?

– Nie wygląda na to.

– No to napisz, że martwisz się o bezpieczeństwo brata.

Minęło kilka sekund, po których Keller zakomunikował:

– Wysłane.

– Teraz spytaj, ilu braci jest z nim w tym *rijad*.

Nastąpiła kolejna wymiana esemesów. W końcu Keller powtórzył:

– Czterech.

– Spytaj, czy mają broń do walki z niewiernymi.

Niebawem dostali odpowiedź.

– Wygląda na to, że są dobrze uzbrojeni – stwierdził Keller. – Masz jeszcze jakieś pytania?

– Już nie. Resztę powie nam satelita.

– Gdzie teraz jesteście? – spytał Keller.

Gabriel spojrział przez okno w ciemny krajobraz.

– Na Marsie – odparł ponuro. – A wy?

– W małej wiosce Kerandu. Jakies sto kilometrów od Zaidy. Jeśli nie będzie blokad, dotrzemy na miejsce za półtorej godziny.

– Będziemy wkrótce po was.

Gabriel zakończył rozmowę i połączył się z Langley.

– Mamy go – poinformował Adriana Cartera.

– Nasz ptak przeleci nad nimi o czwartej waszego czasu.

– Na pewno?

– Bez obaw. To satelita szpiegowski – odparł. – Tam na górze nie ma raczej korków.

Zaida, Maroko

Ujrzeni ponure brudne miasteczko o niskiej brązowej zabudowie. O tej porze w sklepach i kawiarniach wzdłuż szerokiej głównej ulicy okiennice były szczelnie zamknięte. Jedynie trzech mężczyźni czekający na autobus pod rozwaloną wiatą stanowili tu jakiś ślad życia. Dżip cherokee pełen zachodnich twarzy wydał im się wart uwagi. Ale ich ponure spojrzenia nie budziły wątpliwości, że obcy nie są tu mile widziani, zwłaszcza o w pół do czwartej nad ranem.

– To w sam raz miejsce dla Saladyna – orzekł Keller.

– Myślisz, że słyszeli o pewnym wysokim Irakijczyku, który mieszka po wschodniej stronie miasta?

– Wątpię.

– Chętnie zerknąłbym na tę nieruchomość, gdy będziemy tamtędy przejeżdżać.

– Zbyt ryzykowne. Lepiej zaczekać na ptaka.

Dina, nie zwalniając, przejechała przez miasto, za którym otwierał się nagi i ponury krajobraz. Dwa kilometry dalej na północ dotarli do gruntowej drogi prowadzącej do małego jeziora, jednego z tych, przy których rodzina marokańska w chłodny jesienny dzień może rozłożyć koc i na kilka godzin zapomnieć o swych kłopotach. Dina zgasła silnik, a Keller zadzwonił do Gabriela, informując, gdzie są. Kilka minut później nadszedł esemes od Bensaïda. Stan brata najwyraźniej się pogarszał. Kiedy przybędzie doktor? Wkrótce, zapewniła Natalie. Inszallah.

– Jadą – spostrzegła Dina.

Gdy mignęła światłami, zbliżający się samochód zjechał z głównej drogi i stanął. Keller z Natalie podeszli do niego i wśliznęli się na tylne siedzenie. Jednocześnie Keller sprawdził czas w telefonie Bakkara. Była 3.45.

– Cóż za miłe spotkanie – zagał. – Jak podróż?

Gabriel i Jakow nie odpowiedzieli.

Keller spojrzał za okno, lustrując drogę.

– Ciekawe, co zatrzymuje Bakkara i tego doktora? – zastanawiał się głośno.

– Może ma kłopoty z samochodem? – zasugerował Gabriel.

– A może z lewą nogą – rzucił Keller. – Albo z głową.

Znów sprawdził czas: 3.46.

– Myślisz, że Marokańczycy znaleźli już obóz?

– Myślę, że tak.

– I zidentyfikowali ofiary?

– Pewnie jedną lub dwie.

– Ciekawa historia, co? Największy producent haszyszu i francuski hotelarz znaleźieni martwi na pustyni.

– Nie gorsza niż chybiony atak amerykańskiego drona na terytorium Maroka.

– Ciekawe, ile potrwa, nim podadzą to do publicznej wiadomości. Bo wtedy....

Keller nie dokończył myśli.

3.47...

Gabriel zadzwonił do Cartera punkt czwarta. Zanim kamery i aparatura sensoryczna rozpoznały cel, upłynęło kolejnych dziesięć minut.

– To ogrodzone murem zabudowania. Jeden duży dom i dwa mniejsze – poinformował Carter.

– Jak wysoki jest mur?

– Trudno po ciemku stwierdzić. Musicie tamtędy przejechać i sami ocenić.

– A brama? Otwarta czy zamknięta?

– Zamknięta – odparł Carter. – I na pewno stoi za nią renault Nazira Bensaïda.

– Ilu mają ludzi?

– Dwóch na zewnątrz i trzech w środku, w głównym budynku. Ciasno zgrupowanych.

– Pełnią straż przy rannym.

– Na to wygląda.

– A gdzie są ci w domu?

– Pierwsze piętro, część południowo-wschodnia.

– W stronę Mekki.

– W tym pokoju jest jeszcze wiele innych sygnatur ciepła – dodał Carter. – Kyle myśli, że to sprzęt komputerowy.

– A przecież wszyscy wiedzą, że Kyle nigdy się nie myli.

– Możliwe, że znaleźliście centrum operacyjne. Te komputery mogą zawierać dane kluczowe dla ich organizacji.

– Sugerujesz, że mamy zabrać wszystko, co zdołamy udźwignąć?

– Niezły pomysł.

– Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Wygląda również na to, że są tam dwa psy. Duże.

Gabriel cicho zaklął. Jego lęk przed psami był dobrze znany międzynarodowemu bractwu szpiegów.

– Wybacz, że przynoszę złe wiadomości. – W głosie Cartera brzmiało współczucie.

– Jaki szanujący się muzułmański ekstremista trzyma w domu psy?

– Taki, który nie wierzy, że koty ostrzegą go przed najściem. I jeszcze jedno – dodał. – NSA odnotowuje wzmożoną aktywność sygnałów elektronicznych w marokańskiej policji i wojsku.

– I?

– Już się połapali, że zeszłej nocy nasz dron zaatakował na ich terytorium. Wiedzą również, że Muhammad Bakkar i Jean-Luc Martel nie żyją.

– Kiedy ogłoszą to publicznie?

– Gdybym miał zgadywać, rzekłbym, że obywatele dowiedzą się o tym, spożywając płatki na śniadanie.

– To może powinniśmy im podrzucić jakiś inny temat?

– My?

– Daj znać, gdyby za tym murem coś się zmieniło.

Gabriel odłożył aparat, nie kończąc połączenia.

– Jakież kłopoty? – spytał Keller.

– Dwa psy i zamknięta brama.

– Brama nie stanowi problemu, ale psy to co innego.

Keller podał telefon Bakkara Natalie, która ułożyła wiadomość i wysłała ją do Nazira Bensaïda przebywającego w budynku za murem. Odpowiedź nadeszła po kilku sekundach.

– Zrobione – oznajmiła.

Gabriel i Jakow wynieśli z Domu Szpiegów w Casablance nie tylko komputery i bezpieczne środki łączności. Zabrali również dwa pistolety jericho, kaliber .45 i dwa kompaktowe pistolety maszynowe uzi pro. Jakow dostał po jednym z obu rodzajów broni, Natalie – uzi pro, a Gabriel zachował dla siebie tylko jericho.

– W sam raz do samoobrony – orzekł sceptycznie Keller.

– Oraz eliminacji tych, którzy udzielają zbędnych rad.

– Nie chcę się wtrącać w sprawy rodziny, ale...

– Więc się nie wtrącaj – uciął Gabriel.

Keller udał, że się zastanawia.

– Ile tam jest psów? Jeden czy dwa?

Gabriel milczał.

– Zostaw to Michaiłowi i mnie – ciągnął Keller. – Albo jeszcze lepiej – dodał – wyślijmy tam Jakowa. Wydaje się, że robił to nie raz.

Jakow fachowo wsunął magazynek w uzi pro i spojrzał na Gabriela.

– On ma rację, szefie.

– Tylko i ty nie zaczynaj.

– Ten satelita nie powie nam więcej. Nie wie, czy w zabudowaniach są jakieś kryjówki i czy ci chłopcy nie noszą kamizelek wybuchowych.

– Musimy więc założyć, że noszą.

Jakow położył dłoń na ramieniu Gabriela.

– Nie jesteś byle kim. Jesteś szefem. Daj to załatwić nam trzem, a ty zostań tutaj z...

– Z kobietami?

– Nie o to mi chodzi. – Jakow pokręcił głową. – Ale faktycznie ktoś powinien się nimi zająć.

– Dina była w Siłach Obronnych Izraela jak my wszyscy. Potrafi sama o siebie zadbać.

– Ale...

– Przyjąłem do wiadomości, Jakow. Prowadzisz, czy ja mam to zrobić?

Jakow zawahał się, ale siadł za kierownicą. Miejsce obok zajął Michaił, a Gabriel i Keller wsunęli się na tył. Natalie patrzyła, jak ich samochód rusza w stronę Zaidy. Potem podeszła do dzipa cherokee i wspięła się na fotel pasażera. Położyła uzi pro na podłodze między stopami i sprawdziła czas w komórce Bakkara. Była 4.11.

– Może byśmy posłuchały wiadomości?

Dina włączyła radio, szukając czegoś, co brzmiałoby jak serwis informacyjny. Gdy

rozległ się spokojny męski głos, spojrzała pytająco na Natalie.

– To wersety z Koranu.

Znów zaczęła wędrować po skali odbiornika.

– A to lepsze?

– Tak.

– O czym ona mówi?

– O pogodzie.

– I co?

– Będzie gorąco.

– W pełni się zgadzam.

Natalie parsknęła cichym śmiechem.

– Pamiętasz ten dzień w Nahalal? – spytała po chwili. – Kiedy chciałam odrzucić waszą propozycję?

Dina uśmiechnęła się na tamto wspomnienie.

– A teraz spójrz... Jesteś jedną z nas.

Drogą przejechała ciężarówka. A potem druga. Gwiazdy po wschodniej stronie nieba zaczynały blednąć.

– Jaki on był? – spytała Dina.

– Kto?

– Saladyn.

– Nieważne. – Natalie znowu sprawdziła czas. – Za chwilę go nie będzie.

Zaida, Maroko

Jak wszystkie małe miasteczka Zaida wcześniej się budziła. Jedna z kawiarni przy głównym skwerze była już otwarta, a dymiący autobus do Fezu zbierał pasażerów z przystanku po przeciwnej stronie placu. Dusząca woń spalin diesla wdarła się do samochodu, gdy przejeżdżając obok, Jakow ostro skręcił, by ominąć zbłąkaną kozę. Jechał z idealną prędkością, jak ocenił Gabriel. Nie za szybko, ale też nie za wolno, co było znacznie ważniejsze. Jedna z jego rąk lekko dotykała kierownicy, druga spoczywała nieruchomo na dźwigni biegów. Michaił, w odróżnieniu od niego, bębnił palcami w deskę rozdzielczą, podczas gdy Keller wydawał się zupełnie nieświadomy tego, co ma nastąpić. Gdyby nie kałasznikow leżący na jego kolanach, można by go wziąć za turystę zwiedzającego egzotyczny kraj.

– Nie mógłbyś choć udawać, że trochę się przejmujesz? – rzucił Gabriel.

– Czym?

– Choćby tą spluwą. Wygląda na eksponat muzealny.

– Ten kałach to cholernie dobra broń. Nieźle się spisał w obozie na pustyni. Spytaj zresztą swego przyjaciela Dmitrija Antonowa. Sam ci to powie.

Ale Michaił nie słuchał, tylko nadal bębnił palcami w deskę.

– Mógłbyś coś zrobić, żeby przestał? – spytał Keller.

– Próbowałem.

– No to się bardziej postaraj.

Jakow zdjął prawą rękę z drążka i położył ją na dłoni Michaiła. Palce znieruchomiały.

– Wielce zobowiązany – mruknął Keller.

Kilka metrów za placem miasteczko się kończyło. Przecięli wyschnięte łożysko potoku i wjechali w niezamieszkaany teren dzielący cywilizację od pustkowia. Z brązowej ziemi po obu stronach szosy sterczały resztki jakichś ruin, a dalej na wschód, niczym wyspa w morzu kamieni, majaczyła sylweta ogrodzonej murem budowli. Trudno było z dala ocenić, co to jest: budynek mieszkalny, fabryka, tajny obiekt rządowy czy może kryjówka najgroźniejszego terrorysty świata. Mury, wysokie na ponad trzy metry, zwieńczone były zwojami drutu kolczastego, a prywatny nieutwardzony trakt łączący obiekt z szosą stanowił gwarancję, że każdy zbliżający się pojazd wywoła hałas i wzbije chmury pyłu.

Gabriel podniósł do ucha telefon nadal połączony z Adrianem Carterem w Langley.

– Widzicie nas?

– Trudno byłoby nie zauważyć.

– Są jakieś zmiany?

– Dwóch na zewnątrz, trzech wewnątrz. Wszyscy w tym samym pokoju. Jeden ostatnio się nie rusza.

Gabriel odłożył telefon. Jakow spojrzał na niego w lusterku wstecznym.

– Z chwilą, gdy skęcimy – powiedział – utracimy przewagę zaskoczenia.

– Przecież my nie chcemy ich zaskoczyć, Jakow. Jesteśmy oczekiwani.

Wjechali w prywatną drogę i ruszyli w stronę zabudowań.

– Włącz długie światła – polecił Gabriel.

Jakow wykonał polecenie i snop białego światła rozjaśnił surowy kamienisty krajobraz.

– Teraz nas widzą.

Gabriel podniósł do ucha drugi aparat, połączony z Natalie. Polecił, by zadzwoniła do drzwi.

Natalie już wcześniej wpisała wiadomość do telefonu Muhammada Bakkara i teraz, na żądanie Gabriela, wysłała ją w eter.

– No i? – spytał.

– Czekam na odpowiedź.

Wiadomość nadeszła po chwili.

– Mówi, że zaraz otworzą bramę.

– To miłe z ich strony, ale napisz, żeby się pospieszyli. Doktor bardzo niepokoi się o brata.

Natalie wysłała wiadomość z samsunga Bakkara, a potem włączyła głośnik we własnym telefonie i czekała na odgłos strzałów.

W tym czasie Gabriel już rozmawiał z Adrianem Carterem w Langley.

– Jakies zmiany?

– Dwaj otwierają bramę, trzeci idzie na dół. Chyba ma broń.

– Cała arabska gościnność. – Gabriel odłożył aparat.

Znajdowali się niespełna pięćdziesiąt metrów od obiektu, posuwając się z umiarkowaną prędkością. Reflektory skierowane były wprost na dwuskrzydłową bramę z nierdzewnej stali, a wokół nich jak mgła unosiła się chmura pyłu. Jakow zwolnił, po czym się zatrzymał. Przez kilka sekund nic się nie działo.

Gabriel podniósł telefon łączący go z Langley.

– Co tam się dzieje?

– Wygląda na to, że otwierają bramę.

– Gdzie ten trzeci?

– Czeką przed budynkiem.

– Gdzie jest wejście w stosunku do nas?

– Na waszej godzinie drugiej.

Gabriel odłożył telefon, gdy między skrzydłami bramy pojawiła się szczelina. Przekazał otrzymane informacje pozostałej trójce w samochodzie i wydał krótkie instrukcje.

Keller zmarszczył brwi.

– Zechciałbyś to powtórzyć w jakimś zrozumiałym języku?

Gabriel nie zdawał sobie sprawy, że mówi po hebrajsku.

Brama zaczęła się otwierać pod naciskiem dwóch par rąk. Jakow oparł uzi pro na kierownicy i wycelował w prawo. Michaił mierzył z kałasznikowa w ręce po lewej stronie.

– Okej – rzucił Keller. – Nie musisz tłumaczyć.

W końcu brama otworzyła się na tyle, by zmieścić samochód. Dwaj mężczyźni, każdy z automatem, stanęli po obu stronach, machając, by wjeżdżali. W tym momencie Jakow otworzył ciągły ogień do tego z prawej, podczas gdy Michaił z fotela pasażera przejechał serią z kałasznikowa po tym z lewej strony. Żaden z nich nie zdążył oddać strzału, ale gdy Jakow na pełnym gazie wjeżdżał na dziedziniec, z wejścia do budynku rozległa się kanonada. Michaił odpowiedział przez otwarte boczne okno, a Gabriel siedzący za nim wypalił serię z jericho. W ciągu kilku sekund zapadła cisza.

Jakow ostro zahamował i wrzucił jałowy bieg, podczas gdy Michaił i Gabriel wyskoczyli z wozu i biegiem ruszyli przez podwórze. Michaił szybko zdystansował Gabriela, a kilka kroków dalej Keller też go wyprzedził. Dwaj weterani jednostek specjalnych zatrzymali się na krótko przy wejściu obok ciała trzeciego z terrorystów. Gabriel spojrzął z góry na martwą twarz. Był to Nazir Bensaïd.

Weszli na błękitny w świetle księżycy mauretański dziedziniec. Po jego czterech stronach widniały ciężkie cedrowe drzwi. Keller i Michaił, okręcając się wokół osi, pchnęli te z prawej strony i ruszyli przez hol w stronę kamiennych schodów. Natychmiast powitała ich z góry seria z automatu. Obaj przypadli do ziemi, kryjąc się przed ostrzałem, jeden na lewo, drugi na prawo, podczas gdy Gabriel zastygł nieruchomo na dziedzińcu na zewnątrz. Kiedy ogień ustał, wśliznął się do holu i przykucnął obok Michaiła. Keller, który zajął pozycję na wprost nich, wsunął kałasznikowa pomiędzy schody i po omacku kilkakrotnie wypalił w ciemność. Chwilę później Michaił zrobił to samo.

Gdy przerwali, by przeładować, na górze zapadła cisza. Gabriel wyjrzał zza krawędzi ściany. Podest schodów wydawał się pusty, ale w ciemności nie mógł być tego pewien. W końcu jednak Keller i Michaił weszli na pierwszy stopień. Nagle rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk. Religijne przesłanie nie pozostawiało złudzeń co do kolejnych wydarzeń. Gabriel złapał Michaiła za koszulę z tyłu i pociągnął ze wszystkich sił, podczas gdy Keller błyskawicznie zeskoczył ze schodów. Eksplozja nastąpiła o sekundę za późno. Wyglądało na to, że Saladyn stracił wyczucie czasu.

Gabriel miał w kieszeni dwa telefony – jednym był połączony z Adrianem Carterem, drugim z Natalie i Diną. Carter i eksperci zebrani w Czarnej Dziurze mieli do dyspozycji kamery satelitarne i aparaturę sensoryczną. Natalie i Dina były zdane wyłącznie na mikrofon. Mimo to wyraźnie słyszały, co dzieje się w budynku za murem. Krótka, lecz intensywna wymiana ognia, kobiecy krzyk: „*Allahu akbar!*”, nieomylny odgłos eksplozji. A potem cisza. Dina szybko zapaliła silnik. Chwilę później pędziły główną ulicą Zaidy. Małe miasteczko u podnóża Atlasu Średniego w pełni się rozbudziło.

Na wszystkich stopniach leżały rozrzucone szczątki kobiety, zapewne dwudziestoparoletniej, niewysokiej i ładnej. Tu noga, tam część tułowia, gdzie indziej ręka, prawa, wciąż ściskająca detonator. Głowa stoczyła się do podnóża schodów i zatrzymała u stóp Gabriela. Odsunął z twarzy czarny woal i ujrzał delikatne rysy zastygłe w maskę religijnego szaleństwa. Oczy miała niebieskie jak górskie jezioro. Była żoną czy konkubiną? A może córką? Albo jeszcze jedną z czarnych wdów, zagubioną dziewczyną, którą Saladyn zatruł ideologią śmierci, a na koniec opasał ładunkiem wybuchowym.

Gabriel zamknął jej niebieskie oczy i przykrył twarz, po czym cicho ruszył za Kellerem i Michałem schodami na górę. Na podeście leżał kałasznikow, który wypadł kobiecie z rąk, a obok łuski całego magazynka nabojów. Na prawo korytarz prowadził w ciemność. W głębi dostrzegli drzwi. Za nimi, myślał Gabriel, jest pokój, którego okna wychodzą na południowy wschód, w stronę Mekki. W tym pokoju leży ranny mężczyzna, teraz samotny i pozbawiony ochrony.

Ostrożnie, by nie potrącić łusek, minęli podest i skradając się, przeszli korytarz. Gdy dotarli do drzwi, Keller poruszył klamką. Były zamknięte. Bez słów porozumiał się z Michałem i gestem wskazał Gabrielowi, by się odsunął. Ale Gabriel sam teraz decydował. Był szefem operacji i wołał mierzyć się z wrogiem na odległość metra niż mili.

Keller nie protestował. Nie było czasu. Kopniakiem wyważył drzwi, po czym wpadł do środka za Gabrielem i Michałem. Saladyn leżał w najciemniejszym kącie na gołym materacu, z twarzą oświetloną przez ekran komórki. Zaskoczony sięgnął po kałasznikowa leżącego obok. Gabriel znalazł się przy nim w kilku skokach. Ściskając jericho w wyciągniętej ręce, oddał jedenaście strzałów wprost w serce Saladyna. Potem schylił się po jego telefon, który upadł na podłogę. Wibrował, sygnalizując nadejście wiadomości.

„Inszallah, tak się stanie...”.

Maroko – Londyn

W ostatnim akcie odwetu Saladyn nie użył broni, lecz telefonu Nokia 5 z Androidem. Wokół niego leżały jeszcze inne komórki, w tym samsungi galaxy oraz iPhone'y, a także osiem laptopów i tuziny pendrive'ów. Michał i Keller szybko wrzucili wszystko do torby, podczas gdy Gabriel fotografował martwą twarz Saladyna. Nie było to trofeum. Pragnął niezbitcie udowodnić, że potwór zginął, a tym samym zadać śmiertelny cios nie tylko państwu islamskiemu, lecz całemu globalnemu dżihadyzmowi.

Gdy wraz z Michałem i Kellerem wychodzili z budynku, a Jakow wyciągał kolejną nokię 5 z kieszeni Nazira Bensaïda, Dina i Natalie wjechały w otwartą bramę. Wynajęty peugeot z wybitą przednią szybą i dziurawą od kul karoserią nie nadawał się do użytku, toteż wszyscy wpakowali się do dżipa. Od sforsowania obiektu do pospiesznej ewakuacji minęło niecałe pięć minut.

Odgłosy strzałów i eksplozji musiały dotrzeć do centrum Zaidy. Pędzącego główną ulicą dżipa cherokee odprowadzały liczne spojrzenia – jedne zdziwione, inne otwarcie wrogie. Nikt jednak nie próbował go zatrzymać. Dopiero gdy dotarli do małej berberskiej wioski jakieś piętnaście kilometrów dalej, zobaczyli pierwsze jednostki zandarmerii mknące na pełnym gazie w stronę gór.

Pojazdy minęły ich, nie zwalniając, i skierowały się w stronę Zaidy. Za dwadzieścia minut, a może mniej, myślał Gabriel, dotrą do budowli za murem. Tam, w pokoju na piętrze, znajdą leżącego samotnie potężnego Araba, a w jego dżelabie ślady jedenastu kul. Gdyby mówił, zwróciliby uwagę na silny iracki akcent, a gdyby chodził, dostrzegliby, że mocno utyka. Żył w służbie przemocy. I od przemocy zginął. Ale czy w ostatnich sekundach życia nie wydał rozkazu? Czy nie zainicjował kolejnego ataku, gdy kurtyna podniosła się ostatni raz?

„Inszallah, tak się stanie...”.

Możliwe, że odpowiedź, a także inne ważne informacje, kryły się gdzieś w komórkach, komputerach i nośnikach pamięci, które zabrali z pokoju Saladyna. Dlatego nie mogli dopuścić, by cały ten sprzęt trafił w ręce Marokańczyków. Tych bowiem bardziej interesowałoby rozwiązanie zagadki długiej krwawej nocy niż udaremnienie kolejnego zamachu. Mimo to Gabriel wydał zakaz użycia broni na wypadek konfrontacji. Przelali już dosyć krwi. A teraz, skoro Saladyn już nie żył, Marokańczycy zapewne nie byłiby skłonni do wszczynania wojny dyplomatycznej czy czegoś tak głupiego, jak oskarżenie szefa izraelskiego wywiadu o morderstwo.

Zbliżała się siódma, gdy dotarli do Fezu. Stamtąd skierowali się na północ przez góry Rif ku wybrzeżu Morza Śródziemnego. W miasteczku Dżaba czekała na nich bezpieczna kryjówka, ale dopiero po zmroku mogliby bezpiecznie przenieść pontony na brzeg. Oznaczało to, że upłynie cały dzień, a może więcej, zanim technicy zaczną sprawdzać telefony i komputery w poszukiwaniu informacji. Dlatego Gabriel postanowił opuścić Maroko promem. Oczywistym wyborem był port w Tangerze, skąd regularnie

kursowały statki do Hiszpanii, Francji, a nawet Włoch. Ale nieco dalej na wschód znajdował się mniejszy port z bezpośrednimi połączeniami z Gibraltarem, brytyjskim terytorium zamorskim. W ostatniej chwili zdążyli na rejs o dwunastej piętnaście. Gabriel i Keller stali w słońcu przy relingu, jeden z papierosem, drugi z komórką w dłoni, gdy białe wapienne klify słynnych gibraltarskich skał ukazały się ich oczom.

– Nareszcie w domu – westchnął Keller.

Ale Gabriel go nie słuchał. Wpatrywał się w zdjęcie martwej twarzy Saladyna. Keller zerknął mu przez ramię.

– To najlepsza z jego fotografii.

Gabriel pozwolił sobie na krótki uśmiech. A potem bezpiecznym kanałem wysłał zdjęcie do Adriana Cartera w Langley. Odpowiedź przyszła natychmiast.

– Co on pisze? – spytał Keller.

– *Alhamdulillah.*

Keller wyrzucił papierosa w morze.

– To się jeszcze okaże.

Tylko krótki spacer przez Winston Churchill Avenue dzielił port w Gibraltarze od lotniska. Tam czekał już na nich odrzutowiec, Falcon 2000, wycarterowany za zgodą Tajnych Służb Wywiadu Jej Królewskiej Mości. Graham Seymour zaopatrzył go w kilka butelek znakomitego francuskiego szampana, ale nikt na pokładzie nie był w nastroju do świętowania. Zaraz po starcie zaczęli włączać zdobyte telefony i komputery. Ale jak należało przypuszczać, wszystkie były zabezpieczone hasłami, podobnie jak pendrive'y.

Wylądowali w porcie lotniczym Londyn City w Docklands późnym popołudniem. Podstawiono tam dla nich dwa pojazdy – zamknięty furgon oraz czarną limuzynę, jaguara. Furgon zawiózł Michała, Jakowa, Dinę i Natalie na Heathrow, skąd mieli nocne połączenie z lotniskiem Ben Guriona. Natomiast Gabriel i Keller, zabierając torbę, pojechali jaguarem do Vauxhall Cross.

Weszli do budynku przez podziemny parking i ruszyli z torbą do gabinetu Grahama Seymoura. Ten przed kilkoma godzinami wrócił z Waszyngtonu i nie wyglądał dużo lepiej niż oni.

– Ustaliliśmy z Amandą Wallace, że podzielimy się tymi telefonami i komputerami – poinformował. – My weźmiemy połowę sprzętu, a MI5 resztę. Nasze laboratoria są w stanie gotowości.

– To zdumiewające, że zdołaliście utrzymać Amerykanów na dystans – stwierdził Gabriel.

– Nie zdołaliśmy. Agencja i FBI wysyłają tu oficerów łącznikowych, żeby patrzyli nam na ręce. A przy okazji, gdybyś jeszcze się zastanawiał – dodał Seymour – mamy już niezbitą pewność, że to on. Agencja potwierdziła to na podstawie ośmiopunktowej analizy obrazu twarzy. – Wyciągnął rękę. – Należy ci się uznanie. Gratulacje i podziękowania.

Gabriel z ociąganiem uściśnął jego dłoń.

– To nie mnie dziękuj, Grahamie, lecz jemu. – Wskazał głową Kellera. – I oczywiście Olivii. Nigdy byśmy nie zdołali dotrzeć do Saladyna, gdyby nie ona.

– Marynarka Królewska zabrała ją z tego twojego rzekomo handlowego statku mniej więcej przed godziną – oznajmił Seymour. – Chyba nie muszę przypominać, że

musimy utrzymać jej rolę w ścisłej tajemnicy.

– To nie będzie łatwe.

– Niestety. – Seymour skinął głową. – Internet aż huczy od pogłosek, że Saladyn nie żyje. Biały Dom chce w tej sprawie złożyć formalne oświadczenie, nim uprzedzą go Marokańczycy.

– Kiedy?

– W czasie wieczornych wiadomości. Pytali, czy Biuro oczekuje oficjalnego potwierdzenia swojego udziału w operacji.

– Wielki Boże, nie!

– Liczyli na to. Marokańczycy przejdą z czasem do porządku nad naruszeniem ich granic przez Amerykanów, ale w przypadku Izraelczyków rzecz mogłaby się skomplikować.

– A co z Brytyjczykami?

– Prawo zabrania nam udziału w akcjach prowadzących do zabójstwa. Dlatego my też nie zabierzemy głosu. – Seymour spojrzął na Kellera. – Niemniej oficerowie przesłuchujący chcieliby zamienić z tobą kilka słów. A także prawnicy.

– To nie jest dobry pomysł – odparł Keller.

– Czy to ty jesteś tym, który...

– Nie. – Keller pokręcił głową. – Nie miałem tyle szczęścia.

Była szósta wieczór, gdy eksperci zaczęli pracę nad przejętym sprzętem. Do telefonu pierwsi włamali się ci z MI5, do komputera – z MI6. Jak należało oczekiwać, wszystkie dokumenty były gęsto zaszyfrowane. Ale do godziny siódmej technicy obu służb mogli już swobodnie je przetwarzać, by następnie przekazać analitykom, którzy z kolei szukali w nich istotnych wskazówek. Pierwsza partia nie wniosła nic istotnego. Ale Gabriel i Keller, monitorujący badania z gabinetu Grahama Seymoura, ostrzegali przed zbytnim zadowoleniem. Obaj widzieli wyraz oczu Saladyna, gdy wysyłał swą ostatnią wiadomość.

O 21.00 czasu londyńskiego prezydent Stanów Zjednoczonych i dyrektor CIA Morris Payne wkroczyli do Centrum Prasowego Białego Domu. Wobec licznie zebranych przedstawicieli prasy i mediów ogłosili, że tajna operacja amerykańska w górach Atlasu Średniego w Maroku przyniosła oczekiwane rezultaty. Ostatniej nocy zlikwidowano tam bowiem szefa siatki terrorystycznej ISIS, zwanego Saladynem. W ich interpretacji był to rezultat amerykańskiej misji specjalnej wymierzonej w imię sprawiedliwości w sprawcę zamachu na Waszyngton, a ponadto dowód determinacji nowych władz w walce z radykalnym islamem. Wedle oficjalnego oświadczenia Marokańczycy zostali poinformowani o planowanej operacji i dostarczyli cennego wsparcia, ale poza tym była to od początku do końca inicjatywa amerykańska. Której wyniki, jak chęłpił się prezydent, mówiły same za siebie.

– Nie żałujesz? – spytał Seymour.

– Nie – odparł Gabriel. – Wolę wchodzić i wychodzić bez hałasu.

Kiedy prezydent i dyrektor CIA skończyli, reporterzy i wynajęci eksperci do spraw terroryzmu starali się szybko uzupełnić ewidentne luki w oficjalnym oświadczeniu. Niestety większość posiadanych przez nich informacji pochodziła wprost od Adriana

Cartera i jego zespołu, co oznaczało, że całkowicie mijała się z prawdą.

O 22.30 Gabriel i Keller mieli już dość. Wykończeni wsiedli do jaguara i ruszyli na drugą stronę rzeki w stronę zachodniego Londynu – Keller do swego luksusowego domu w Kensington, Gabriel do starej kryjówki Biura przy Bayswater Road z widokiem na Hyde Park.

Wchodząc, usłyszał kobiecy głos cicho nucący włoską piosenkę. Z uśmiechem zamknął drzwi. Chiara zawsze śpiewała, kiedy czuła się szczęśliwa.

Bayswater, Londyn

– Gdzie są dzieci?

– Kto?

– Dzieci – powtórzył wolniej Gabriel. – Irene i Rafael. Nasze dzieci.

– Zostawiłam je u Szamronów.

– Chcesz powiedzieć, że zostawiłaś je z Gilą. Ari nie potrafi zająć się nawet sobą.

– Nic im się nie stanie.

Wziął z jej ręk kieliszek schłodzonego gawi i usiadł na stołku przy kuchennym blacie. Chiara tymczasem myła i suszyła porcję grzybów, które potem kilkoma zręcznymi ruchami noża pocięła w równe plasterki.

– Nie gotuj – zaprotestował. – Jest za późno na jedzenie.

– Nigdy nie jest za późno na jedzenie, skarbie. A poza tym wyglądasz jak ktoś, komu to dobrze robi. – Zmarszczyła nos. – Nie mówiąc o prysznicu.

– Hamid i Tarek utrzymują, że prysznic drażni dziny.

– Kim są Hamid i Tarek?

– To nieświadomi pracownicy izraelskiego wywiadu.

– A dziny?

Gabriel zaczął opowiadać.

– Żałuję, że nie byłam tam z tobą.

– A mnie to bardzo cieszy.

Chiara rzuciła grzyby na patelnię i po chwili woń ciepłej oliwy wypełniła powietrze. Gabriel upił nieco gawi.

– Skąd wiedziałaś, że będę w Londynie?

– Mam swój kontakt w Biurze.

– Czy ten kontakt jakoś się nazywa?

– Woli zachować anonimowość.

– Aha.

– To były szef. Ważna osobistość. – Potrzasnęła patelnią i grzyby zaczęły skwierczeć. – Kiedy się dowiedziałam, że jedziecie do Gibraltaru, natychmiast zamówiłam lot do Londynu. Gospodarze byli uprzejmi zostawić nam w lodówce kilka produktów.

– A dlaczego nikt nie uprzedził o tym obecnego szefa?

– Bo o to prosiłam. Chciałam zrobić mu niespodziankę. – Uśmiechnęła się. – Nie zauważyłeś mojej ochrony na dole przed domem?

– Byłem zbyt zmęczony, żeby się przyglądać.

– Twoja czujność słabnie, kochanie. Ponoć dotyka to tych, którzy siedzą zbyt długo za biurkiem.

– Wątpię, żeby Saladyn to potwierdził.

– Naprawdę? – Chiara zerknęła na telewizor, który cicho szumiał na blacie. – Bo

w BBC mówią, że to ściśle amerykańska operacja.

– Amerykanie – odparł – udzielili nam wsparcia. Ale to myśmy go dopadli z wielką pomocą Christophera Kellera.

– I pomyśleć, że kiedyś chciał cię zabić. – Upiła łyk wina z jego kieliszka.

– Co powiedział ci Uzi?

– Prawdę mówiąc, niewiele. Wiem, że atak drona niezbyt się powiódł i że w końcu zdołaliście znaleźć Saladyna w jakiejś kryjówce w górach. Potem wszystko stało się nieco mgliste.

– Dla mnie też.

– Byłeś tam?

Gabriel się zawahał się, a potem wolno skinął głową.

– Czy ty...

– Jakie to ma znaczenie?

Nie odpowiedziała.

– Tak – przyznał. – To ja. Ja go zabiłem.

A potem opowiedział jej o wszystkim. O kobiecie, która zdetonowała na schodach ładunek wybuchowy, o telefonach i komputerach w pokoju, w którym Saladyn spędził swe ostatnie godziny. I ostatniej wiadomości, którą dostał.

„Inszallah, tak się stanie...”

– To pewnie tylko słowa – próbowała go uspokoić.

– Ten człowiek zdołał niemal przemycić do Francji chlorek cezu w ilości wystarczającej na skonstruowanie kilku brudnych bomb. Gdyby wybuchły, centra miast zostałyby skażone na długie lata. – Urwał, po czym dodał: – Teraz widzisz, o co mi chodzi.

Chiara odczekała, aż grzyby się zrumienią, by posypać je solą, pieprzem i świeżym tymiankiem. Potem wrzuciła kilka garści suszonego fettuccine do garnka z wrzącą wodą.

– Jak długo chcesz zostać w Londynie?

– Do czasu, aż Brytyjczycy sprawdzą telefony i komputery, które miał przy sobie.

– Myślisz, że to w nas zamierzał uderzyć?

– Jego pierwszym celem był Ośrodek Badań nad Antysemityzmem we Francji Izaaka Weinberga. Muszę być obecny w trakcie przetwarzania tych materiałów i dopilnować, żeby niczego nie przeoczono.

– Tylko już bez brawury – ostrzegła.

– Tak – przytaknął posłusznie. – Przecież jestem szefem.

– W Maroku też nim byłeś. – Nadgryzła wstążkę fettuccine, a potem spojrzała na małą kuchnię i się uśmiechnęła. – Wiesz, zawsze lubiłam to mieszkanie. Przeżyliśmy tu piękne chwile, Gabrieliu.

– A także złe.

– Wzięliśmy tu ślub, pamiętasz?

– To nie był prawdziwy ślub.

– Myślałam, że był. – Jej twarz spoważniała. – Tak dobrze to pamiętam. To noc przed...

Jej głos odplynął. Wlała na patelnię nieco wina i śmietanę, a potem przełożyła

wszystko na fettuccine i posypała tartym serem. Przygotowała tylko jeden talerz, który postawiła przed mężem. Wbił widelec w makaron i zaczął nim obracać.

– A ty nic nie zjesz? – spytał.

– Och, nie. – Chiara spojrzała na zegarek. – Jest o wiele za późno na jedzenie.

Gabriel tak często korzystał z tego mieszkania, że w szafie wisiały jego ubrania, a w łazience stały przybory toaletowe. Po zjedzeniu drugiej porcji fettuccine z grzybami wziął prysznic, ogolił się i wyczerpany padł na łóżko obok Chiary. Miał nadzieję, że czeka go spokojna noc u boku żony, ale tak się nie stało. We śnie wspinał się po nieskończonej ilości schodów pokrytych krwią i szczątkami kobiety. A gdy znalazł jej głowę i odsunął zasłonę, ujrzał twarz Chiary.

„Inszallah, tak się stanie...”

Tuż przed piątą rano ocknął się gwałtownie, jakby go wyrwał ze snu huk eksplozji. Lecz gdy otworzył oczy, ujrzał, że na blacie nocnego stolika wibruje komórka. Podniósł ją szybko do ucha i w milczeniu słuchał. Potem wstał, w ciemności się ubrał. I do ciemności powrócił.

Thames House, Londyn

Limuzyna czekała na dole przy Bayswater Road. Nie zawiozła go jednak do Vauxhall Cross, lecz do Thames House, siedziby MI5. Miles Kent, zastępca dyrektora, spiesznie zaprowadził go na górę, do gabinetu Amandy Wallace. Wyglądała na wyczerpaną fizycznie i wykończoną nerwowo. Graham Seymour również tam był, w tym samym garniturze, który miał na sobie poprzedniego wieczoru, tyle że bez krawata klubowego. Młodszy pracownicy to wbiegali, to wybiegali z pokoju, gdyż właśnie zaczynała się tajna wideokonferencja z udziałem Scotland Yardu i Downing Street.

Fakt, że zebrali się tutaj, a nie po drugiej stronie rzeki, mógł znaczyć tylko jedno: ktoś odkrył w telefonach i komputerach Saladyna informację, że atak jest bliski. I że jego celem znów jest Londyn.

- Od kiedy o tym wiecie? – spytał Gabriel.
- Odkopaliśmy pierwszy ślad około drugiej w nocy – odparł Seymour.
- Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?
- Uznaliśmy, że musisz się przespać. Poza tym to nasz problem, nie twój.
- Cel?
- Westminster.
- Kiedy?
- Dziś rano – informował Seymour. – Myślimy, że koło dziewiątej.
- Sposób?
- Zamachowiec samobójca.
- Znacie jego tożsamość?
- Wciąż próbujemy ją ustalić.
- Tylko jeden? Jesteś pewien?
- Na to wygląda.
- Dlaczego jeden?

Seymour podał Gabrielowi stos wydruków.

- Bo jeden wystarczy – odrzekł, spuszczając głowę.

Wiadomość wysłano poprzedniej nocy o trzeciej piętnaście czasu marokańskiego, gdy jej prawdopodobny nadawca znajdował się w głębokim stresie, a ponadto cierpiał z powodu obrażeń fizycznych. Dlatego pominął standardowe podwójne i potrójne protokoły szyfrowania stosowane przez jego siatkę. Umożliwiło to informatykom MI5 wydobyć informacji z jednego z telefonów przejętych w budynku pod Zaidą. Tekst, choć zakodowany, nie pozostawiał złudzeń. Był to rozkaz przeprowadzenia zamachu samobójczego. I choć nie znaleziono w nim wzmianki o celu, to pośpiech, z jakim wysłano wiadomość, ułatwił technikom odnalezienie powiązanych z nią informacji i dokumentów, które wskazywały czas i miejsce, w którym atak nastąpi. Znaleziono liczne zdjęcia obserwacyjne, a nawet dokument dotyczący dominujących kierunków wiatru oraz prawdopodobny wzór rozprzestrzeniania się materiałów radioaktywnych.

Organizatorzy mieli nadzieję, jeśli Bóg da, że obszar skażenia rozciągnie się od Trafalgar Square aż do Thames House. Eksperci z MI5, którzy przestudiowali podobne scenariusze, orzekli, że atak tego rodzaju unicestwi centrum władzy brytyjskiej na długie miesiące lub lata. Koszt ekonomiczny, nie mówiąc o efektach psychologicznych, byłby katastrofalny.

Odbiorca wiadomości wykazał większą ostrożność niż jej nadawca. Ale ta ostrożność nie miała znaczenia wobec wcześniejszego błędu nadawcy. Dzięki temu informatyk z MI5 zdołał odtworzyć całą odnośną korespondencję łącznie z samobójczym nagraniem potencjalnego zamachowca. Przemawiał on do kamery z londyńskim akcentem i zakrytą twarzą. Eksperci językowi z MI5 stwierdzili, że pochodzi z północnego Londynu, jest rodowitym mieszkańcem Wielkiej Brytanii i prawdopodobnie Egipcjaninem z pochodzenia. Z pomocą GCHQ, brytyjskiego wywiadu radioelektronicznego, MI5 dokonywał gorączkowych porównań głosu tego człowieka z głosami znanych islamskich radykałów. Ponadto MI5 oraz SO13, antyterrorystyczna komórka Londyńskiej Policji Metropolitalnej, prowadziły obserwację znanych ekstremistów i podejrzanych o członkostwo w ISIS. Krótko mówiąc, cały postawiony w stan alarmowy aparat bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii działał sprawnie i spokojnie.

Do godziny szóstej, gdy niebo za oknami gabinetu Amandy zaczęło się rozjaśniać, wszystkie wysiłki zmierzające do identyfikacji i zlokalizowania zamachowca okazały się bezowocne. Premier Jonathan Lancaster w swym gabinecie przy Downing Street 10 o szóstej trzydzięci zarządził wideokonferencję. Otworzył ją pytaniem, którego żaden specjalista do spraw walki z terroryzmem nie chciałby nigdy usłyszeć:

– Czy należy odciąć kordonem Westminster i zarządzić ewakuację sąsiednich dzielnic?

Starsi ministrowie, urzędnicy administracji państwowej, szefowie wywiadów i komendanci policji jeden po drugim udzielali odpowiedzi. Ich opinie brzmiały jednogłośnie: odciąć Westminster i wyłączyć wszystkie środki komunikacji prowadzące do centrum Londynu – pociągi, autobusy i ruch dojazdowy. Rozpocząć systematyczną pełną ewakuację.

– A jeśli to wszystko bujda? – zastanawiał się premier. – Zwyczajny blef? Jeśli opiera się na fałszywej informacji? Wyjdziemy na zupełnych durniów. I kiedy następny raz wydamy ostrzeżenie, nikt nam już nie uwierzy.

Wszyscy się zgadzali, że informacja jest na tyle wiarygodna, na ile to możliwe. Ale nikt nie miał innych pomysłów, jak zapobiec niewyobrażalnej katastrofie.

W pewnej chwili Lancaster zmrużył oczy.

– Czyżby to był pan, panie Allon?

– Owszem, panie premierze.

– A jakie jest pańskie zdanie?

– Nie jestem uprawniony, sir.

– Proszę, nie róbmy ceregieli. Zbyt dobrze się obaj znamy. A poza tym nie ma na to czasu.

– W mojej opinii – zaczął ostrożnie Gabriel – ewakuacja i zamknięcie centrum byłoby błędem.

- Dlaczego?
- Bo oznacza stratę jednej jedynej szansy powstrzymania zamachu.
- Mianowicie jakiej?
- Znacze czas i miejsce, w którym ma nastąpić. Jeśli otoczycie kordonem centrum Londynu, wywołacie masową panikę, a zamachowiec bez trudu wybierze inny cel.
- Proszę mówić – nalegał premier.
- Należy mu ułatwić wejście do Westminsteru. Rozmieścić ekipy CBRN oraz ukryć snajperów SCO19 w punktach strategicznych wokół parlamentu i Whitehall.
- I wciągnąć go w pułapkę? O to chodzi?
- Tak jest, panie premierze. Jego wygląd nie powinien zmylić uwagi służb. Jak na lato będzie zbyt grubo ubrany i nie da się przeoczyć, że w jednej z rąk trzyma detonator. Zapewne będzie również pocić się ze strachu i recytować modły. Może nawet cierpieć na chorobę popromienną. A gdy przejdzie obok licznika Geigera – zakończył – ten aż rozbłyśnie. Należy się tylko upewnić, że strzelec, który go namierzy, będzie na tyle opanowany i doświadczony, by zrobić, co konieczne.
- Są jacyś kandydaci?
- Tylko dwaj – odparł Gabriel.

Parliament Square, Londyn

– To mi wygląda na początek pięknej przyjaźni.

– Albo jej koniec.

– Dlaczego jesteś zawsze takim fatalistą? – spytał Keller. – To nie Sahara, tylko centrum Londynu.

– No tak. – Gabriel rozejrzał się wokół. – Cóż może się tu stać?

Siedzieli obaj na ławce po zachodniej stronie Parliament Square. Był piękny letni poranek, chłodny i rześki, z obietnicą deszczu w ciągu dnia. Tuż za sobą mieli Sąd Najwyższy, siedzibę najwyższej władzy sądowniczej w Królestwie, na prawo – Opactwo Westminsterskie i średniowieczny kościół Świętej Małgorzaty, a na wprost przez plac, za zielonym trawnikiem, Pałac Westminsterski. Zegar na słynnej wieży wskazywał 8.55. W porannym szczyście ruch szeroką rzeką płynął przez most Westminsterski, wzdłuż Whitehall, obok Królewskiego Urzędu Podatkowego i Celnego, Biura Spraw Zagranicznych i Wspólnoty, Ministerstwa Obrony, a potem wejścia na Downing Street, oficjalnej siedziby premiera. Tak, znów pomyślał Gabriel. Cóż może się tu stać?

W prawym uchu miał słuchawkę radioodbiornika, a z tyłu, za pasem, pistolet. Był to glock 17, kaliber 9mm, standardowa broń boczna SCO19, taktycznej jednostki bojowej Londyńskiej Policji Metropolitalnej. Radio należało do bezpiecznej sieci łączności Met. Akcję prowadził szef SO15 – Dowództwa Operacji Antyterrorystycznych, z pomocą Amandy Wallace z MI5.

Do tej pory wytypowali dwóch potencjalnych podejrzanych zbliżających się do Westminsteru. Jeden nadchodził przez most od strony Lambeth, drugi podążał Victoria Street i dokładnie w tej chwili mijał siedzibę New Scotland Yard. Obaj mieli plecaki, jak wielu w Londynie, i wyglądali na Azjatów z Bliskiego Wschodu lub Południa, co również nie było niczym szczególnym. Mężczyzna idący przez most rozpoczął wędrówkę we wschodnim Londynie w gminie Tower Hamlets. Ten zaś, który mijał New Scotland Yard, nadszedł przez Edgware Road od północy. Był grubo ubrany i wyglądał, jakby chorował na gripę.

– Chyba to jest nasz człowiek – orzekł Gabriel. – Stawiam na Edgware Road i gripę.

– Zaraz się dowiemy. – Keller przeglądał poranne wydanie „Timesa”. Wypełniały je wiadomości o śmierci Saladyna.

– Mógłbyś przynajmniej...

– Co?

– Nieważne.

Mężczyzna z Tower Hamlets dotarł na kraniec mostu po stronie Westminsteru. Minął kawiarnię Caffè Nero i wejście do metra Westminster. Potem przeszedł obok tajnej ekipy Rządowego Centrum Bezpieczeństwa i dwóch oficerów taktycznych sił bojowych w cywilu. Nie wykazywał cienia stresu ani śladu radioaktywności, nie ścisnął w dłoni

detonatora. Mylny trop. Przeszedł przez ulicę na Parliament Square i dołączył do małego smutnego protestu, który miał coś wspólnego z wojną w Afganistanie. Czyżby nadal trwała? – pomyślał Gabriel. Ale nie umiał sobie tego wyobrazić.

Obrócił głowę kilka stopni w prawo, by przyjrzeć się drugiemu mężczyźnie – temu, który nadszedł Edgware Road od strony północnego Londynu. Teraz przechodził przez Broad Sanctuary, mijając Północną Wieżę Opactwa. Keller udawał, że czyta wiadomości sportowe.

– Jak on wygląda?

– Ledwie zipie.

– Czyżby coś zjadł?

– Nie, za ciepło się ubrał. I chyba świeci w ciemności.

Ekipa z Rządowego Centrum Bezpieczeństwa oraz kolejna jednostka SCO19, udając turystów, pozowały do zdjęć na trawniku od północnej strony Opactwa. Ci z Centrum zdołali już odnotować podwyższony poziom radiacji, ale gdy przybysz z Edgware Road podszedł bliżej, wskaźniki gwałtownie podskoczyły.

– Pieprzony Czarnobyl – mruknął Keller. – Mamy go.

W radiu wybuchło zamieszanie, kilka głosów jednocześnie zaczęło coś wykrzykiwać. Gabriel zmusił się, by odwrócić głowę w drugą stronę.

– Jakie są szanse?

– Na co?

– Że wybierze nas?

– Myślę, że coraz większe.

Mężczyzna przeszedł przez Broad Sanctuary do budynku Sądu Najwyższego i wkroczył na Parliament Square od strony południowo-zachodniej. Kilka sekund później, bladej jak śmierć, pocąc się i poruszając ustami, zaczął się zbliżać do ławki, na której siedzieli Gabriel i Keller.

– Ktoś powinien skrócić męki tego nieszczęśnika – uznał Keller.

– Tylko na rozkaz premiera.

Mężczyzna minął ławkę.

– Ile tyknęliśmy? – spytał Keller.

– Dziesięć tysięcy rentgenów.

– A ile miałeś?

– Jedenaście tysięcy – odparł Gabriel. A potem szepnął: – Spójrz na jego lewą dłoń. Keller podniósł wzrok. Dłoń ścisnęła detonator.

– A teraz na kciuk – dodał Gabriel. – Już teraz naciska spust. Wiesz, co to znaczy?

– Taa... – Keller skinął głową. – Ma brudną bombę z przełącznikiem trupa.

Big Ben wybijał dziewiątą, gdy przyszedły męczennik dotarł na wschodnią stronę placu. Zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na manifestację i, jak uznał Gabriel, rozważyć możliwości – Pałac Westminsterski na wprost czy Whitehall znajdujący się po lewej stronie. Eksperci rządowi do spraw bezpieczeństwa również rozważali swoje możliwości. W tej chwili istniała tylko jedna. Ktoś musiał go obdarzyć dobrodziejstwem śmierci, której tak bardzo pragnął, a ktoś inny mocno przycisnąć jego kciuk do detonatora. W razie niepowodzenia zginie kilka osób, a siedziba władz brytyjskich oraz historyczne centrum

miasta staną się radioaktywnym pustkowiem.

W końcu dżihadysta obrócił się w lewo, w stronę Whitehall. Gabriel i Keller deptali mu po piętach. Łagodny wiatr z północy owiewał im twarze. Gdyby nastąpiła eksplozja, rozniósłby radioaktywny pył po całym Westminsterze i Victorii. Ekipa CBRN, która urzędowała wcześniej w Caffè Nero, stała teraz przed budynkiem Urzędu Podatkowego i Celnego. Gdy mężczyzna przechodził obok, wskazówki liczników przekroczyły skalę pomiaru. Premier uznał to za wystarczający dowód.

– Załatwcie go – zdecydował. Szef Dowództwa Operacji Antyterrorystycznych przekazał polecenie Gabrielowi i Kellerowi, a potem premier cicho dodał: – I niech Bóg was wspiera.

Ale po czyjej stronie, zastanawiał się Gabriel, jest Bóg tego ranka? Po stronie fanatyka wyposażonego w broń masowego rażenia czy dwóch mężczyzn, którzy chcą zapobiec katastrofie? Pierwszy ruch należał do Kellera. Musiał żelaznym chwytem unieruchomić lewą rękę zamachowca, zanim Gabriel odda śmiertelny strzał. W przeciwnym razie kciuk samobójcy zwolni nacisk na przełącznik detonatora, powodując eksplozję.

Minęli łukowe sklepienie przed King Charles Street oraz wejście do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Wspólnoty. Ruch na White-hall wyraźnie osłabł. Zapewne policja zablokowała go przy Parliament Square w stronę południa i od Trafalgar Square na północ. Zamachowiec jakby tego nie widział. Kroczył ku swemu przeznaczeniu, zmierzał ku śmierci. Gabriel wyciągnął glocka i przyspieszył kroku. Keller, koncentrując się na zadaniu, głęboko wciągnął powietrze.

Przed nimi spocony, silnie napromieniowany fanatyk, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, minął grupę turystów i ruszył w stronę strzeżonej bramy przy wejściu na Downing Street. Najwyraźniej dotarł do celu. Zwolnił jednak i stanął na widok policjantów w czarnych mundurach stojących na chodniku. Jednocześnie zdał sobie sprawę z braku samochodów na zazwyczaj ruchliwej ulicy. A potem, gdy się obrócił, ujrzał biegnących ku niemu dwóch mężczyzn, z których jeden trzymał pistolet. Szeroko otworzył oczy, uniósł ręce i rozstawił je na wysokości barków.

Dopadli go w kilku skokach. Gabriel podniósł glocka i czekał do momentu, gdy Keller unieruchomi rękę zamachowca. Wtedy nacisnął spust. Pierwsze dwa strzały skasowały twarz islamisty. Pozostałe padły, gdy leżał na chodniku. Gabriel strzelał, aż opróżnił cały magazynek. Strzelał, jakby pragnął wbić go w głąb ziemi; tam, gdzie otwierają się bramy piekieł.

Nagle zewsząd nadbiegli policjanci i pirotechnicy. Obok stanął samochód i otworzyły się tylne drzwi. Gabriel wsunął się do środka i natychmiast znalazł się w objęciach Chiary. Odjeżdżając, widział, jak Christopher Keller kuca przy martwym mężczyźnie, przyciskając jego kciuk do przełącznika detonatora.

CZEŚĆ CZWARTA

GALERIA WSPOMNIENÍ

Londyn

Ewakuacja Westminsteru i Whitehall trwała znacznie krócej, niż pragnął Saladyń, ale mimo to była traumatyczna. Przez dziewięć długich dni religijne i polityczne epicentrum ongiś wspaniałej cywilizacji i potężnego imperium zostało odcięte od reszty kraju i wyłączone z udziału w życiu publicznym. Martwa strefa rozciągała się od Trafalgar Square na północy do Milbank na południu oraz na wschód przez Victorię do New Scotland Yardu. Wielkie gmachy ministerstw opustoszały, podobnie jak budynek parlamentu i Opactwo Westminsterskie. Premier Lancaster i jego pracownicy opuścili Downing Street 10 i przenieśli się do tajnej wiejskiej rezydencji, a królowa, wbrew swej woli, została przewieziona do zamku Balmoral w Szkocji. Jedynie członkowie ekipy CBRN mogli przebywać w zakazanej strefie i to przez czas ograniczony. Przemieszczali się po wyludnionych ulicach i placach w jasnozielonych kombinezonach ochronnych, wypatrując śladów promieniowania, a żałobne uderzenia Big Bena odmierzały upływ godzin.

Ponowne otwarcie zamkniętego sektora nie wywołało radości. Premier wraz z żoną, Dianą, wkradli się pod numer 10, jakby włamywali się do własnego domu, a w tym samym czasie na całej długości Whitehall urzędnicy administracji państwowej oraz stali sekretarze powracali do swych biur. W Izbie Gmin zarządzono minutę ciszy, w Opactwie odbyło się spotkanie modlitewne. Burmistrz Londynu oświadczył, że w wyniku niedosłej katastrofy miasto stało się silniejsze, choć nie wyjaśnił, z jakiego powodu. Nagłówek jednego z głównych konserwatywnych tabloidów głosił: „Witajcie w nowej normalności”.

Była środa, co oznaczało, że premier zobowiązany jest stawić się w południe w Izbie Gmin i odpowiedzieć na pytania opozycji. Początkowo były one neutralne, lecz nie trwało to długo. Wkrótce zażądano wyjaśnień, jak to możliwe, by zaledwie sześć miesięcy po krwawym zamachu na West End ISIS zdołało przeszmygłać do Zjednoczonego Królestwa materiały i technologię budowy brudnej bomby. A także dlatego, mimo podwyższonego stopnia zagrożenia, służby bezpieczeństwa zdołały zidentyfikować zamachowca dopiero w dniu ataku. Premier miał ochotę odpowiedzieć, że fatalna sytuacja bezpieczeństwa, z jaką boryka się Wielka Brytania, jest rezultatem błędów wielu generacji przywódców tego kraju, błędów, które sprawiły, że ojczysta ziemia Szekspira, Locke’a, Hume’a i Burke’a stała się światowym centrum ideologii salaficko-dżihadystycznej. Nie uległ jednak pokusie.

– Wróg jest zdeterminowany – powiedział. – My też.

– A sposób zneutralizowania podejrzanego? – dociekał poseł z Washwood Heath w okręgu Birmingham, gęsto zaludnionego przez muzułmanów miasta w West Midlands, kolebki licznych spisków i matecznika terrorystów.

– Ten człowiek nie był podejrzanym – przerwał mu premier. – Był terrorystą uzbrojonym w brudną bombę i radioaktywny chlorek cezu.

– Czyżby jednak nie było innych możliwości niż egzekucja dokonana z zimną krwią? – nie dawał za wygraną parlamentarzysta.

– Nie, nie było.

Wedle uzgodnionego stanowiska Rządu Jej Królewskiej Mości i Scotland Yardu dwaj mężczyźni, którzy unieszkodliwili terrorystę, byli członkami SCO19, specjalnej policyjnej jednostki bojowej. Londyńska Policja Metropolitalna odmówiła upublicznienia ich nazwisk. Nie uległa również żądaniom mediów, by ujawnić fragmenty nagrania operacji na kamery CCTV. Pojawiło się jednak pojedyncze wideo nagrane przez amerykańskiego turystę, który o dziewiątej rano stał przy strzeżonej bramie przed Downing Street. Ukazywało niewyraźną, zamazaną postać mężczyzny, który strzelał w głowę zamachowca, podczas gdy inny mężczyzna niemal miażdżył jego lewą dłoń.

Strzelec natychmiast zniknął w głębi jakiegoś samochodu, ale gdy wóz mknął przez Whitehall, widziano, jak siedzi z tyłu, obejmując kobietę. Jego twarz skrywał cień, mignęło tylko pasmo włosów barwy popiołu na skroni.

Ale największą ciekawość mediów wzbudził jego partner. Ten, który przez trzy godziny przyciskał kciuk martwego terrorysty do detonatora, podczas gdy pirotechnicy rozbrajali brudną bombę. Z dnia na dzień stał się bohaterem narodowym, człowiekiem, który bezinteresownie ryzykował życiem dla królowej i kraju. Ale takie historie nie trwają długo, a już na pewno nie w niewdzięcznym świecie całodobowych serwisów informacyjnych i mediów społecznościowych. Wkrótce więc pojawiły się liczne artykuły podające w wątpliwość jego tożsamość i przynależność.

„Independent” twierdził, że jest on byłym członkiem SAS, który chwalebnie służył w Irlandii Północnej i podczas pierwszej wojny z Irakiem. Ale „Guardian” podważył tę wersję, lansując hipotezę, że w rzeczywistości jest funkcjonariuszem MI6. Wedle tego poczytnego dziennika usunięto, a być może nawet zmylono wskazujące na to dowody. Łamiąc dotychczasowe procedury, Graham Seymour oficjalnie zdementował rewelacje prasowe. Tajne Służby Wywiadu, oświadczył, nie są organami ścigania i dlatego niewielu z ich funkcjonariuszy kiedykolwiek nosi broń. Spekulacje tego rodzaju są po prostu śmieszne.

W chaosie wzajemnych oskarżeń i podejrzeń niemal przeoczono to, że Saladyn, inspirator międzykontynentalnego rozlewu krwi i materialnych zniszczeń, przestał istnieć. Początkowo legion jego wielbicieli, w tym i takich, którzy otwarcie demonstrowali na ulicach Londynu, nie chciał przyjąć do wiadomości, że naprawdę odszedł.

Twierdzili, że to typowo amerykańska czarna propaganda, która zmierza do osłabienia wpływu ISIS na pokolenie młodych islamskich radykałów. Fotografia zmienionej chirurgicznie twarzy martwego Saladyna nie przesądziła sprawy, gdyż niewiele miała wspólnego z oryginałem. Ale gdy ISIS potwierdziło śmierć przywódcy w jednym z głównych kanałów swych mediów społecznościowych, nawet jego najgorętsi zwolennicy uznali to za fakt. Najbliżsi współpracownicy Saladyna nie mieli jednak czasu, by pogrążyć się w żalobie, gdyż musieli się chronić przed nalotami bombowymi i raketami. Atakując Londyn, przebrali miarę. Rozpętała się ostateczna bitwa – ta, która wedle nadziei ISIS miała doprowadzić do powrotu Mahdiego i rozpocząć odliczanie czasu

do kresu dni.

Ale jak dokładnie wyglądały okoliczności śmierci Saladyna? Wiadomo było, że zginął w strzeżonym obiekcie, gdzieś w marokańskich górach Atlasu Średniego. I nic poza tym. Biały Dom, jak i sam prezydent, podali kilka sprzecznych wersji wydarzeń. Jeszcze bardziej skomplikowała sprawę zamieszczona w niezależnym marokańskim serwisie internetowym informacja na temat trzech land cruiserów, które znaleziono w południowo-wschodnim zakątku kraju nieopodal piaszczystej pustyni Irk asz-Szabbi. Jeden z SUV-ów sprawiał wrażenie rozbitego w wyniku zderzenia, ale z dwóch innych pozostały tylko wypalone kadłuby. Serwis twierdził, że zostały zniszczone przez amerykańskiego predatora, zamieszczając na poparcie swych rewelacji fotografię fragmentów rakiety hellfire. Biały Dom w najostrzejszych słowach zaprzeczył tej informacji. Rząd Maroka zrobił to samo, po czym, dopełniając miary, zamknął stronę, która publikowała zdjęcia, i wtrącił jej wydawcę do więzienia.

Podejrzanie, że amerykański dron zaatakował marokańskie terytorium, wywołało protesty w całym kraju, a zwłaszcza w bidonvilles, gdzie rekruterzy ISIS skutecznie uprawiali swój śmiercionośny fach. Zamieszki niemal przyćmiły wiadomość o brutalnym zabójstwie Muhammada Bakkara, największego marokańskiego producenta haszyszu, samozwańczego króla gór Rif. Opłakany stan, w jakim znaleziono jego ciało, wskazywał zdaniem policji, że Bakkar padł ofiarą wendetty narkotykowej. Trudniej było wytłumaczyć fakt, że znany francuski hotelarz i restaurator Jean-Luc Martel został znaleziony obok niego z dwoma precyzyjnymi śladami kul w twarzy. Marokańczycy nie byli szczególnie zainteresowani ustaleniem, jak i dlaczego dokonał się los Martela. Pragnęli jak najszybciej odciąć się od tej sprawy. Dostarczyli jego ciało do ambasady Francji, podpisali niezbędne protokoły i z ulgą pożegnali JLM.

Ale we Francji gwałtowna śmierć Jean-Luca Martela zainicjowała poważne śledztwo, zarówno ze strony prasy, jak i władz, stając się ponadto impulsem do powszechnego rachunku sumienia. Jej okoliczności sugerowały bowiem, że krążące wcześniej pogłoski nie odbiegały od prawdy i że nie był to biznesmen, który przemieniał w złoto wszystko, czego dotknął, lecz międzynarodowy handlarz narkotyków. Gdy informacje te dotarły na strony „Le Monde” i „Le Figaro”, wiele obiecujących karier legło w gruzach.

Prezydent Francji został zmuszony do złożenia wyrazów ubolewania z powodu swej przyjaźni z Martelem, podobnie jak minister spraw wewnętrznych i połowa członków Zgromadzenia Narodowego. Prasa francuska jak zwykle podeszła do sprawy filozoficznie, przedstawiając Jean-Luca Martela jako ucieleśnienie wszystkich bolączek nowoczesnej Francji. Jego grzechy były grzechami Francji, a kariera dowodem na to, że coś jest nie w porządku z Piątą Republiką.

Wkrótce nastąpiły aresztowania, począwszy od siedziby JLM Enterprises w Genewie aż po ulice Marsylii. Hotele Martela zostały zamknięte na kłódkę, podobnie jak restauracje i sklepy, a nieruchomości i konta bankowe uległy konfiskacie. Rząd francuski nie rościł sobie praw jedynie do jego ciała, które przez wiele dni poniewierało się w paryskiej kostnicy, zanim jakiś daleki krewny z wioski w Prowansji zgłosił się, by w końcu je odebrać. Pogrzeb i pochówek nie zgromadziły wielu uczestników.

Szczególnie uderzała nieobecność Olivii Watson, pięknej eksmodelki, która była przyjaciółką i współniczką interesów zmarłego.

Wszystkie wysiłki odnalezienia miss Watson, zarówno ze strony francuskich władz, jak i mediów, spełzły na niczym. Jej galeria w Saint-Tropez była zamknięta, a z okna wystawy z widokiem na place de l'Ormeau zniknęły obrazy. To samo spotkało elegancki butik przy rue Gambetta. Willa, którą miss Watson dzieliła z Martelem, wyglądała na opuszczoną. O dziwo, zniknęli również lokatorzy pretensjonalnego pałacu po drugiej stronie zatoki.

Czyżby jednak istniał związek między śmiercią Jean-Luca Martela i zabójstwem szefa siatki terrorystycznej ISIS zwanego Saladynem? Związek, który nie sprowadzałby się jedynie do zbieżności czasu i miejsca? Nawet najbardziej podejrzliwi dziennikarze uznali to za mało prawdopodobne. Było jednak wiele drobnych powodów, które skłaniały do ponownego zbadania sprawy. I zaczęto badać ją ponownie – od londyńskiego West Endu po Siódmą Dzielnicę w Paryżu, od opuszczonej galerii sztuki w Saint-Tropez do zalanego krwią chodnika przed wejściem na Downing Street. Reporterzy, którzy specjalizowali się w tematyce związanej z bezpieczeństwem i wywiadem, zaczęli dostrzegać zależności. Twierdzili, że czują dym. A tam, gdzie pojawiał się dym, obecny był zazwyczaj księżę ognia.

Z czasem pruje się nawet najbardziej wyszukany splot. Wystarczy jedna luźna nić albo człowiek powodowany poczuciem honoru bądź obowiązkiem ujawnienia prawdy. Oczywiście nie całej, to nie byłoby bezpieczne. Jedynie małego jej fragmentu. Na tyle, by dotrzymać złożonej obietnicy. Ten człowiek więc przekazał swą relację Samancie Cooke z londyńskiego „Telegraphu”, a ona zdążyła ją zamieścić w niedzielnym wydaniu. W ciągu kilku godzin wywołało to poruszenie w czterech odległych stolicach. Amerykanie wysmiali artykuł, twierdząc, że cała historia jest wyssana z palca. Opinie Brytyjczyków i Francuzów były niemal równie złośliwe. Jedynie Izraelczycy wstrzymali się od komentarza, ale takie mieli procedury w kwestii operacji wywiadu. Nauczyli się w bolesny sposób, że lepiej milczeć niż zaprzeczać wówczas, gdy nikt w to nie wierzy. Przynajmniej pod tym względem cieszyli się zasłużoną reputacją.

Tymczasem główny bohater artykułu Samantha Cooke był widziany na cotygodniowym spotkaniu gabinetu swego premiera, a później tego samego dnia z żoną i dwojgiem dzieci w restauracji Focaccia przy ulicy Rabbiego Akiwy w Jerozolimie. Co do Olivii Watson, eksmodelki, właścicielki galerii sztuki i nie całkiem żony skompromitowanego Jean-Luca Martela, miejsce jej pobytu pozostawało tajemnicą. Znany francuski dziennikarz śledczy zastanawiał się, czy Olivia żyje. I choć reporter nie mógł o tym wiedzieć, Olivia zastanawiała się nad tym samym.

Wormwood Cottage, Dartmoor

Ukryli ją w Wormwood Cottage, zdaną jedynie na towarzystwo gospodyni, panny Coventry, i dwóch ochroniarzy, którzy mieli jej strzec. Był tam również, co oczywiste, Parish, stary dozorca. Ale Parish zachowywał dystans. W ciągu wielu lat pracy w tym domu doglądał wielu przyjezdnych – uciekinierów politycznych, zdrajców, spalonych agentów terenowych, a nawet jednego dziwnego Izraelczyka. Ale nowo przybyła kobieta dziwnie go denerwowała. Vauxhall Cross, jak zawsze, ze względów bezpieczeństwa nie podał jej nazwiska. Mimo to Parish dobrze wiedział, kim jest. Trudno byłoby to ukryć. Jej twarz zajmowała pierwsze strony wszystkich gazet w kraju. Jej ciało zresztą również, ale tylko w bardziej skandalizujących tabloidach. Była piękną mieszkanką Norfolk, która pojechała do Ameryki, by zrobić karierę modelki. Zadawała się z kierowcami Formuły 1, gwiazdami rocka i aktorami, a na koniec z tym strasznym dilerem narkotyków z południa Francji. To jej rzekomo usilnie poszukiwała policja francuska. Dziewczyny JLM.

Była ludzkim wrakiem, gdy przybyła tam pewnego wieczoru, zdawało się, że nigdy nie dojdzie do siebie. Jej długie splecione włosy bezładnie zwisały z ramion, a nieobecny wyraz błękitnych nordyckich oczu skłaniał do przypuszczeń, że widziała coś, czego nie powinna zobaczyć. Mimo że cienka jak witka, wciąż traciła na wadze. Panna Coventry próbowała gotować dla niej zdrowe angielskie potrawy, ale wszystko zostawało na talerzu. Niemal przez cały czas siedziała w swym pokoju na piętrze, paląc papierosa za papierosem i wpatrując się w ponurą dal wrzosowiska. Co rano panna Coventry zostawiała pod jej drzwiami stertę gazet, a gdy zabierała je później, zawsze brakowało w nich kilku stron, zaś w dniu, gdy twarz nowej lokatorki pojawiła się w „Sun” pod szczególnie niepocholebnym nagłówkiem, cała gazeta została podarta na strzępy. Ocalała jedynie jej fotografia. Pochodziła sprzed wielu lat, zanim jeszcze Olivia stała się bohaterką skandalu. „Dziewczyna JLM”, wypisano czerwonym atramentem na jej czole.

– Dostała za swoje. Po co się zadawała z tym dilerem? – orzekł Parish. – W dodatku to żabojad.

Nie miała żadnych ubrań. Tylko to, w czym stała. Panna Coventry, chcąc jej pomóc, zaproponowała, że wybierze się do miasta i kupi w Marks & Spencer kilka niezbędnych rzeczy. Oczywiście nie do tego przywykła, w końcu miała własną linię projektową, ale lepsze było to niż nic. A nawet znacznie lepsze. W gruncie rzeczy wszystko, co wybrała panna Coventry, zdawało się zaprojektowane i uszyte specjalnie na jej wysoką smukłą sylwetkę.

– Dałabym wszystko, żeby choć przez pięć minut mieć jej figurę – westchnęła gospodyni.

– I widzisz, co jej to dało... – mruknął Parish.

– Tak, widzę.

Z końcem pierwszego tygodnia zaczęła się dusić w zamknięciu. Za radą panny Coventry wyszła więc na krótki spacer po wrzosowiskach w asyście dwóch ochroniarzy,

którzy wyglądali na bardziej zadowolonych niż zwykle. Potem jeszcze chwilę spędziła w ogrodzie, wystawiając twarz do słońca. I znów nie do tego przywykła. Słońce w Dartmoor znacznie się różniło od blasku Saint-Tropez, a jednak miało na nią zbawienny wpływ. Na kolację zjadła niemal całą porcję zapiekanki z kurczakiem, a potem przez kilka godzin siedziała w salonie, oglądając wiadomości w telewizji. Właśnie tego wieczoru CNN przedstawiło nagranie z komórki amerykańskiego turysty, który stał przed wejściem na Downing Street. Kiedy na ekranie ukazało się zbliżenie – niewyraźny ziarnisty obraz funkcjonariusza, który przyciskał kciuk terrorysty do detonatora – gwałtownie się zerwała.

– Wielki Boże! To przecież on!

– Kto taki? – zdziwiła się panna Coventry.

– Mężczyzna, którego poznałam we Francji. Mówił, że nazywa się Nicolas Carnot.

Ale przecież on nie jest z policji. On jest...

– Nie rozmawiamy o takich sprawach – przerwała jej gospodyni. – Nawet w tym domu.

Piękne niebieskie oczy przesunęły się z ekranu na jej twarz.

– Pani też go zna?

– Tego człowieka z nagrania? Ależ skąd! Jakim cudem? Jestem tylko kucharką.

Nazajutrz Olivia spacerowała nieco dłużej, a po powrocie do Wormwood Cottage poprosiła o rozmowę z kimś, kto mógłby dokładniej określić jej sytuację. Twierdziła, że uzyskała stosowne obietnice. Że otrzymała gwarancje. Sugerowała, że zlecił to sam „S”. Parish zupełnie w to nie wierzył.

– Jakby „S” zawracał sobie głowę kimś takim jak ona! – mrucał pod nosem.

Ale panna Coventry nie wykluczała tej możliwości. Podobnie jak Parish była świadkiem wielu dziwnych wydarzeń w tym domu. Pamiętała choćby, jak przebywający tu znany oficer wywiadu izraelskiego dostał pewnej nocy gazetę, która informowała o jego śmierci. A po chwili, gdy się zastanowiła, doszła do wniosku, że tenże oficer wywiadu izraelskiego był łudząco podobny do mężczyzny, który zastrzelił terrorystę na chodniku przy Whitehall. Nie, to już naprawdę niemożliwe, pomyślała.

Ale nawet zajmująca najniższy szczebel w drabinie wywiadu zachodniego panna Coventry wiedziała, że jest to możliwe. Tak więc nie była zdziwiona, gdy na pierwszej stronie niedzielnego wydania „Telegraphu” pojawił się długi artykuł na temat operacji, dzięki której wytropiono i zlikwidowano przywódcę terrorystycznej siatki ISIS zwanego Saladynem. Z tekstu wynikało, że Jean-Luc Martel, francuski handlarz narkotyków i były partner obecnej lokatorki Wormwood Cottage, aktywnie uczestniczył w tym przedsięwzięciu. Co więcej, zdaniem redakcji gazety, był jego cichym bohaterem.

Panna Coventry położyła gazetę przed sypialnią Olivii obok tacy z kawą. Gdy weszła tam nieco później, ujrzała, że starannie wycięty artykuł leży na stoliku obok łóżka. Tego samego wieczoru przy mocnym wietrze, który wiał od wrzosowisk Dartmoor, pewien mężczyzna bezgłośnie sforsował bramę strzeżonego obiektu i ruszył po zwirowanym podjeździe do drzwi frontowych. Wchodząc, wytarł nogi i powiesił przemoczony płaszcz na wieszaku.

– Co mamy na kolację? – zawołał.

– Wiejską zapiekankę – odparła z uśmiechem panna Coventry. – Napije się pan herbatki, panie Marlowe? A może coś mocniejszego?

Podawała im kolację na małym stoliku w kuchennej niszy, a potem nałożyła płaszcz deszczowy i zawiązała pod brodą chustę.

– Zostawię wam zmywanie, panie Marlowe, dobrze? Tylko tym razem proszę użyć płynu, mój drogi. To bardzo pomocne.

Chwilę później drzwi frontowe zamknęły się z cichym trzaskiem i w końcu zostali sami. Olivia uśmiechnęła się pierwszy raz od wielu dni.

– Panie Marlowe? – spytała z niedowierzaniem.

– Nawet to polubiłem.

– Jak masz na imię?

– Podobno Peter.

– Jest prawdziwe?

Pokręcił przecząco głową.

– A Nicolas Carnot? – spytała.

– To tylko rola, którą grałem krótko i z umiarkowanym powodzeniem.

– Odegrałeś ją dobrze. Nawet bardzo.

– Przypuszczam, że znałeś wielu takich jak on.

– Jean-Luc przyciągał ich do siebie jak magnes. – Przyjrzała mu się ostrożnie. – A więc jak to zrobiłeś? Jak udało ci się sprostać tej roli?

– Liczą się drobiazgi. – Wzruszył ramionami. – Włosy, ubiór, takie rzeczy.

– A może już ją grałeś? – dociekała. – Może to była powtórka?

– Twoja kolacja stygnie – zauważył spokojnie.

– Nigdy nie lubiłam wiejskiej zapiekaneki. Przypomina mi dom. – Zmarszczyła czoło. – I zimne deszczowe noce, takie jak ta.

– Nie są takie złe.

Przełknęła kęs.

– No i? – Spojrzał na nią pytająco.

– Wprawdzie to nie to samo co na południu Francji, ale myślę, że jest niezła.

– A może to ją poprawi? – Keller napełnił jej kieliszek bordeaux.

Podniosła go do ust.

– To naprawdę nowość.

– Co takiego?

– Wspólna kolacja z mężczyzną, który zabił mojego... – Zająknęła się. Nawet ona nie bardzo wiedziała, jak określić Jean-Luca Martela. – Na początku zdołałeś go omamić. Ale kiedy zdradziłeś, że jesteś Brytyjczykiem, szybko odgadł resztę. Wiedział, że byłeś w SAS i że przez kilka lat ukrywałeś się na Korsyce. A także, że jesteś zawodowym...

– Wystarczy – uciął.

– Cieszę się, że wyjaśniliśmy to sobie. – A po chwili milczenia dodała: – Nie tak bardzo się od siebie różnimy, ty i ja.

– Jesteś znacznie bardziej cnotliwa.

Uśmiechnęła się.

– Nigdy mnie nie osądzałeś?

– Nigdy.
– A twój izraelski przyjaciel?
– Nigdy pierwszy nie rzuca kamieniem.
– Widziałam go na tym wideo – powiedziała. – Ciebie też. To on zabił tego bandytę z brudną bombą. A ty przyciskałeś detonator. Przez trzy godziny – dodała łagodnie. – To musiało być straszne.

Keller nie odpowiedział.

– Nie zaprzeczasz?

– Nie.

– Dlaczego?

No właśnie, dlaczego? – myślał, patrząc, jak deszcz uderza w szyby małej przytulnej niszy.

Olivia upiła nieco wina.

– Czytałeś może dzisiejszą prasę? – spytała.

– Pytasz o tę historię z Victorią Beckham w „Daily Mail”?

– Nie, o tę w „Telegraphie” na temat śmierci Saladyna. Piszą, że Jean-Luc pomagał wywiadowi brytyjskiemu i izraelskiemu rozpracować jego siatkę, a potem odszukać go w Maroku.

– Ciekawe – stwierdził Keller. – I dla odmiany prawdziwe.

– Chyba nie całkiem.

– Ach, ci reporterzy... – Lekceważąco machnął ręką.

– Przypuszczam, że to robota twojego izraelskiego przyjaciela.

– Na ogół tak bywa.

– Dlaczego to wymyślił? Dlaczego zrehabilitował Jean-Luca mimo tego, co zrobił w obozie na Saharze?

– Czy na pewno uważnie przeczytałaś artykuł? – spytał. – Zwłaszcza fragment, w którym mowa o tym, że piękna brytyjska przyjaciółka Martela nie miała pojęcia, skąd naprawdę czerpał pieniądze. A także, że francuskie władze nie zamierzają jej ścigać, biorąc pod uwagę udział Martela w likwidacji najgroźniejszego terrorysty na świecie.

– Owszem, czytałam.

– A więc musisz zdawać sobie sprawę, że nie zrobił tego dla Jean-Luca, tylko dla ciebie. Możesz wrócić do normalnego życia, Olivio. – Urwał, po czym dodał: – Zostałaś oczyszczona.

– Tak jak ty?

– Znacznie bardziej. Odzyskujesz całą swoją kolekcję oraz pięćdziesiąt milionów, które dostałaś od nas za Basquiata i Gustona. Nie wspominając o drobnych, które znaleźliśmy pod poduszkami kanapy w galerii. Sam budynek ma wartość co najmniej ośmiu milionów. Chyba nie musisz dodawać, że jesteś bardzo bogatą kobietą.

– I skompromitowaną.

– „Telegraph” nie podziela tego zdania. Podobnie będzie z londyńskim światem sztuki. Zresztą to i tak banda złodziei. Doskonale sobie z nimi poradzisz.

– Mogę prowadzić galerię?

– Taką obietnicę dał ci mój przyjaciel w willi pod Ramatuelle – przypomniał

Keller. – Dostajesz puste płótno, na którym namalujesz obraz, jaki zechcesz. Życie bez Jean-Luca Martela.

– Bez nikogo. – Opuściła głowę.

– Coś mi mówi, że nie będziesz cierpieć na brak adoratorów.

– Kto chciałby się wiązać z kimś takim jak ja? Jestem dziewczyną JLM...

– Jedz – upomniał ją Keller.

Przełknęła kolejny kęs zapiekanki.

– Jak długo mam tu zostać?

– Do czasu, kiedy Tajne Służby Wywiadu Jej Królewskiej Mości uznają, że możesz bezpiecznie wyjechać. Ale nawet wtedy byłoby rozsądnie, gdybyś korzystała z usług dobrej firmy ochroniarskiej. Przydzielą ci miłych chłopaków, którzy byli w SAS, takich, jakich Jean-Luc zawsze nienawidził.

– Jest szansa, żebyś znalazł się w tej ekipie?

– Niestety mam inne zobowiązania.

– A więc nigdy się nie zobaczymy?

– Zapewne tak będzie dla ciebie lepiej. Łatwiej zapomnisz o tym, co widziałas tamtej nocy w Maroku.

– Nie chcę o tym zapomnieć. Jeszcze nie. – Odsunęła talerz i zapaliła papierosa. – Jak się nazywasz? – spytała ponownie.

– Marlowe. – A potem, jakby po namyśle, dodał: – Peter Marlowe.

– Pytam, jak naprawdę się nazywasz, panie Marlowe. Chcę poznać twoje prawdziwe nazwisko.

– Nie wolno mi go zdradzić.

Sięgnęła ręką przez stół i położyła dłoń na jego ręce. A potem cicho spytała:

– A czy wolno ci zostać, żebym nie musiała być sama w tę zimną i ponurą angielską noc?

Keller odwrócił wzrok od jej błękitnych oczu i zapatrzył się w szybę zalewaną deszczem.

– Nie – odparł w końcu. – Aż tyle szczęścia nie mam.

King Street, Londyn

Nie miała zamiaru urządzać hucznego otwarcia, ale jakimś cudem, z czyjąś ukrytą pomocą, a może za sprawą czarów, stało się inaczej. Drugiej soboty listopada, nim zaszło słońce, cały świat sztuki i liczne niezidentyfikowane postaci zaczęły cisnąć się do jej drzwi. Byli tam marszandzi, kolekcjonerzy i krytycy. Byli reżyserzy filmowi i teatralni, pisarze, dramaturdzy, poeci, politycy, gwiazdy pop, pewien markiz, który wyglądał tak, jakby właśnie zszedł z pokładu swego jachtu, i więcej modelek, niż można było zliczyć. Oliver Dimbleby wciskał swą wizytówkę ze złotymi literami w dłoń każdej ofiary, która znalazła się w zasięgu jego spoconych rąk. Jeremy Crabbe, ostatni wierny mąż w Londynie, zdawał się niezdolny wykrztusić choć słowo. Jedynie Julian Isherwood, nie tracąc zimnej krwi, zajął stanowisko obok Amelii March z ARTnews przy końcu baru dla gości. Amelia z dezaprobatą przyglądała się Olivii Watson, która pod czujnym okiem dwóch ochroniarzy pozowała do zdjęć przed obrazem Pollocka.

– W końcu nieźle wyszła na tym wszystkim, nie sądzisz?

– Dlaczego?

– Związek z największym dilerem narkotyków we Francji, milionowe zarobki w podejrzanej galerii w Saint-Tropez, a teraz biznes przy St. James's. Obok ciebie, Olivera i reszty tych wapniaków ze starymi mistrzami.

– I bardzo nas to cieszy – odparł Isherwood, przyglądając się smukłej jak gazela dziewczynie, która przepłynęła obok.

– Nie widzisz w tym nic dziwnego?

– W odróżnieniu od ciebie, skarbie, uwielbiam happy endy.

– Ja też je lubię, ale i szczyptę prawdy, a coś mi tu nie gra. Oświadczam ci, że przekopię to do dna.

– Lepiej się napij, dziewczyno. Albo wiesz co – zastanowił się Isherwood – zjedźmy razem kolację.

– Spójrz, Julianie. – Ponad morzem głów wskazała wysokiego bladego mężczyznę, który stał niecały metr od Olivii. – Tam jest twój stary klient, Dmitri Antonow.

– Ach, tak.

– Czy to jego żona?

– Sophie – przytaknął Isherwood. – Urocza kobieta.

– Słyszałam co innego. A ten obok niej? – zaciekała się. – Ten przystojniak, który wygląda na kolejnego ochroniarza.

– Nazywa się Peter Marlowe.

– Czym się zajmuje?

– Nie umiem powiedzieć.

O dwudziestej trzydzięci Olivia wzięła do ręki mikrofon i wygłosiła kilka zdań. Cieszy się, że może gościć przedstawicieli wielkiego londyńskiego świata sztuki i czuje się szczęśliwa, że znów jest w domu. Nie wspomniała nawet o Jean-Lucu Martelu, cichym

bohaterze pościgu za szefem siatki ISIS zwanym Saladynem, a nikt z obecnych reporterów, łącznie z Amelią March, nie odważył się spytać o JLM. W końcu się od niego uwolniła. Mogłaby to wypisać sobie na czole.

Z wybiciem dwudziestej pierwszej przygasły światła, rozbrzmiały dźwięki muzyki i kolejna fala gości zaczęła szturmować drzwi. Wśród nich wielu zaprawionych w bojach weteranów imprez w Villa Soleil. Tych, którzy byli zajęci wyłącznie byciem bogaczami i tych, którzy mieli zawsze na wszystko czas. Antonowowie uścisnęli kilka ważniejszych dłoni, po czym wysliznęli się po cichu, wsunęli na tylne siedzenie maybacha i nikt ich więcej nie widział. Keller wyszedł kilka minut później, ale przedtem odciągnął Olivie na bok, by złożyć jej gratulacje i życzyć dobrej nocy. Patrząc na nią, myślał, że nigdy nie była piękniejsza.

– Podoba ci się? – spytała, promieniejąc.

– Twoja galeria?

– Nie. Obraz, który namalowałam na płótnie, które ofiarował mi twój przyjaciel. – Przyciągnęła go blisko siebie. – Chcę znów cię zobaczyć – szepnęła. – Czymkolwiek było twoje poprzednie życie, obiecuję, że to naprawię.

Na zewnątrz zaczynał padać deszcz. Keller złapał taksówkę na Pall Mall i ruszył do swej rezydencji przy Queen's Gate Terrace. Zapłacił za kurs i przez długą chwilę stał na chodniku, przyglądając się żaluzjom w licznych oknach. Instynktownie czuł niebezpieczeństwo. Obrócił się i zaczął cicho skradać się po schodach prowadzących do wejścia na dole. Zanim je otworzył, wyjął zza pasa walthera PPK. Wtargnął do własnego domu, błyskawicznie okręcając się wokół – jak wtedy, w Zaidzie, gdy sforsował drzwi pokoju z widokiem na południowy wschód – i zastygł z pistoletem wycelowanym w mężczyznę, który spokojnie siedział za kuchennym blatem.

– Ty draniu! – warknął, obniżając lufę. – Mało brakowało.

– Naprawdę musisz przestać.

– Wpadać bez zapowiedzi?

– Włamywać się do mnie. Co by powiedzieli wytworni sąsiedzi pana Marlowe'a z Kensington, gdyby nagle usłyszeli strzały? – Keller rzucił płaszcz na marmurowy blat kuchennej wyspy, przy którym w przyciemnionym świetle siedział Gabriel. – Nie znalazłeś w lodówce nic do picia?

– Poproszę herbatę. Dziękuję.

Keller zmarszczył brwi i zaczął napełniać wodą czajnik elektryczny.

– Co cię sprowadza do miasta?

– Spotkanie w Vauxhall Cross.

– Dlaczego nie było mnie na liście gości?

– Sam chciałem wiedzieć.

– Czego dotyczyło?

– Której części zdania „chciałem wiedzieć” nie zrozumiałeś?

– Chcesz herbatę czy nie?

– Dotyczyło pewnych podejrzanych poczynań związanych z irańskim programem nuklearnym.

– Coś podobnego.

– Niebawem, wiem.
– A jaka jest natura tych poczynań?
– Biuro uważa, że Irańczycy prowadzą badania nad uzbrojeniem Korei Północnej.
SIS podziela tę opinię. To oczywiste – dodał Gabriel. – Mamy to samo źródło informacji.
– Jakże?
– Coś mi mówi, że wkrótce się dowiesz.
Keller otworzył jedną z szafek.
– Darjeeling czy prince of wales?
– Nie masz earl greya?
– Mam darjeeling. – Keller wrzucił torebkę do kubka i czekał, aż zagotuje się woda.
– Straciłeś niezłą imprezę.
– Tak słyszałem.
– Nie mogłeś jej wcisnąć w swój napięty grafik?
– Myślę, że nie powinienem obnosić swojej twarzy w tej części Londynu. Jest zbyt dobrze znana. Włożyłem wiele trudu, by przedstawić Olivię w jak najlepszym świetle. Nie chciałbym tego zepsuć.
– Zmyłeś brudny werniks. – Keller się zamyślił. – Wyretuszowałeś skazy.
– Można to tak ująć.
– Ten artykuł w „Telegraphie” to naprawdę dobra robota. Z jednym irytującym wyjątkiem – dodał Keller.
– Mianowicie jakim?
– Bohaterskim portretem Jean-Luca Martela.
– To było nieuniknione.
– Zapomniałeś, jak przyciskał lufę do głowy Olivii?
– Wszystko to widziałem.
– Z tylnego rzędu.
Keller postawił kubek przed Gabrielem, ale ten go nie tknął.
– Najwyraźniej – odezwał się po chwili – uczucia dla Olivii zaćmiewają twój osąd.
– Nie mam dla niej żadnych uczuć.
– Daj spokój, panie Marlowe. Przecież wiem, że byłeś częstym gościem w Wormwood Cottage, kiedy tam mieszkała.
– Graham ci powiedział?
– Prawdę mówiąc, panna Coventry. Poza tym widziano was podobno w intymnej sytuacji na otwarciu galerii.
– To nie była intymna sytuacja.
– Chciałbyś zerknąć na zdjęcie?
Keller bez słowa nalał sobie whisky do kryształowej szklanki. Gabriel dmuchnął na gorącą herbatę.
– Czy nie darzę cię przyjaźnią mimo początkowo niefortunnych okoliczności? Czy nie udzielałam ci rozsądnych rad? W końcu gdyby nie ja, wciąż byłbyś...
– Do czego zmierzasz? – przerwał mu Keller.
– Nie popełniaj błędów, jakie ja popełniłem – odparł Gabriel. – Olivia wie o tobie więcej niż jakakolwiek kobieta na świecie oprócz tej szalonej wróżbitki z Korsyki, a ta

jest dla ciebie stanowczo za stara. Poza tym Vauxhall Cross przetrząsnęło już całą jej przeszłość, a to znaczy, że SIS nie stanie na przeszkodzie waszemu związkowi. Jesteście dla siebie stworzeni, Christopher. Łap ją i nigdy nie pozwól jej odejść.

– Jej przeszłość jest...

– Niczym w porównaniu z twoją – dokończył Gabriel. – I spójrz, kim się stałeś.

Keller wyciągnął rękę.

– Co? – Gabriel nie rozumiał.

– Pokaż mi to.

Gabriel podał mu komórkę nad kuchennym blatem.

– Szczęśliwa para – powiedział.

Keller spojrział na zdjęcie. Ktoś pstryknął je z drugiego końca sali, w chwili gdy Olivia szeptała mu do ucha: „Czymkolwiek było twoje poprzednie życie, obiecuję, że to naprawię”.

– Kto to zrobił?

– Julian – odparł Gabriel. – Prawdziwy bohater tej operacji.

– Nie zapomnij o Antonowach – dodał Keller.

– Jakże bym mógł.

– No właśnie, dziś wieczorem pojawili się na krótko. Tym razem wyglądali na bardzo szczęśliwych.

– Nie mów.

– Myślisz, że im się uda?

– Owszem. – Gabriel skinął głową. – Myślę, że to możliwe.

Bulwar Króla Saula, Tel Awiw

Pozostała ostatnia luźna nić. A właściwie nie jedna, lecz kilkaset milionów. Nie wspominając o nawiedzonym domu w sercu Casablanki, luksusowej rezydencji na francuskim Lazurowym Wybrzeżu i kolekcji obrazów nabytych pod fachowym okiem Juliana Isherwooda. Nieruchomość dyskretnie sprzedano z dużą stratą, łącznie z umeblowaniem, dozorcami i dżinami. Obrazy, zgodnie z obietnicą, wysłano do Jerozolimy, gdzie zawisły na ścianach Muzeum Izraela. Jego dyrektor chciał nazwać kolekcję imieniem Dmitrija i Sophie Antonowów, ale Gabriel nalegał, by nie ujawniać darczyńcy.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że Dmitri i Sophie Antonow nie istnieją.

Ale ich dobroczynność na tym się nie kończyła. Dysponowali jeszcze ogromnymi sumami, które należało właściwie wykorzystać. Były to pieniądze pożyczone bez oprocentowania od rzeźnika z Damaszku. Pieniądze, które zagrabił swym obywatelom, by na koniec zrzucić na nich bomby, użyć śmiertelnie działającego gazu i umieścić ich w obozach dla uchodźców w Turcji, Jordanii i Libanie.

Poprzez swych przedstawicieli Antonowowie przekazali miliony na żywność, odzież, schronienie i opiekę medyczną wysiedleńców. Zdeponowali również miliony na budowę szkół na terytoriach palestyńskich – takich, które nie uczą tylko nienawiści, a także ośrodek opieki na pustyni Negew dla ciężko okaleczonych dzieci, izraelskich i arabskich. Centrum Medyczne Hadassa otrzymało dwadzieścia milionów dolarów na wsparcie budowy podziemnego oddziału operacyjnego. Kolejnych dziesięć milionów przeznaczono dla Szkoły Sztuk Pięknych Besaleel na nowe pracownie oraz program stypendialny dla obiecujących młodych artystów z rodzin o niskich dochodach.

Ale największa część fortuny Antonowów pozostała w Banku Izraela. Zdeponowano ją na koncie kontrolowanym przez rządową agencję mieszczącą się w anonimowym budynku przy bulwarze Króla Saula. Suma była wystarczająco duża, by pokryć wszystkie jej drobne wydatki – koszty zleconych zabójstw, płatnych informatorów, uciekinierów politycznych, lokali konspiracyjnych, podróży, a nawet pewnego przyjęcia zaręczynowego. Michaił podpisał ostatni z dokumentów w gabinecie Gabriela. Tym samym formalnie unicestwił Dmitrija Antonowa.

– Będzie mi go brak. W końcu nie był taki zły.

– Jak na rosyjskiego handlarza bronią – skwitował Gabriel. – Przyniosłeś pierścionek?

Michaił podał mu małe pudełko obite aksamitem. Gabriel podważył wieczko i zmarszczył brwi.

– O co ci chodzi?

– Czy w tym jest jakiś kamień?

– Półtora karata – obruszył się Michaił.

– To nie to, co ten, który nosiła w Saint-Tropez.

– Prawda. Ale ja nie mam pieniędzy Dmitrija.

Nie, pomyślał Gabriel, wsuwając ostrożnie dokumenty do aktówki. Już nie.

Chiara z dziećmi czekała na parkingu z tyłu jego pancernego SUV-a. Ruszyli na wschód przez Galileę, za nimi podążał drugi SUV, z Uzim i Bellą Navotami, a z tyłu kawalkada aut wioząca ponad dwustu operacyjnych i technicznych pracowników Biura. Gdy dotarli do Tyberiady, było ciemno, ale wznosząca się na skarpie z widokiem na jezioro i starożytne pole bitwy willa Szamronów jarzyła się od świateł. Michał i Natalie przybyli ostatni. Pierścionek na jej palcu lśnił brylantowym blaskiem, tak jak jej oczy.

– Jest znacznie ładniejszy niż pierścionek Sophie, nie uważasz?

– Och, tak – przytaknął pospiesznie Gabriel. – Znacznie.

– Przyznaj się, miałeś z tym coś wspólnego?

– Tylko proponując ci pracę, której żadna kobieta o zdrowych zmysłach nigdy by nie przyjęła.

– A teraz jestem jedną z was – powiedziała, nie przestając podziwiać pierścionka.

– Póki śmierć nas nie rozłączy.

Przyjęcie w niczym nie przypominało orgiastycznych imprez u Antonowów w Villa Soleil, co wszyscy obecni przyjęli z głęboką ulgą. Prawdę mówiąc, nikt z nich nie lubił pić. W odróżnieniu od swych brytyjskich sojuszników nie uznawali dużego spożycia alkoholu za wymóg swego fachu. Poza tym był środek tygodnia i nazajutrz wszyscy wracali do swych biur z wyjątkiem Michała, który o świcie wyjeżdżał do Budapesztu, by wziąć udział w kolejnej operacji. Zgodnie z zasadami Biura powinien spędzić tę noc w służbowym lokalu w Tel Awiwie, ale Gabriel i Jakow Rossman, który jechał z nim, w drodze wyjątku zwolnili go z tego obowiązku.

Wszędzie wokół rozbrzmiewała muzyka i śmiechy, a stoły uginały się od dań, które przekraczały kulinarną wyobraźnię. Mimo to Saladyn nadal towarzyszył ich myślom. Rozmawiali o nim ściszym głosem i chociaż nie żył, nie byli wolni od obaw. Ponure przewidywania Diny Sarid – wizja nieskończonego cyberdżihadu – prześladowały ich wyobraźnię. Kalifat ISIS upadał. Zbyt wolno, to prawda, lecz nieuchronnie. Nie oznaczało to jednak, że koniec ISIS jest bliski. Wiele wskazywało na to, że przekształci się w kolejną salaficko-dżihadystyczną grupę terrorystyczną, pierwszą wśród równych, oddziałując na swych wyznawców rozrzuconych po całym globie i gotowych sięgnąć w imię nienawiści po nóż, bombę lub niszczący pojazd. Saladyn stał się teraz ich świętym patronem, a relacja w „Telegraphie”, umieszczona tam za sprawą Gabriela, sprawiła, że Izrael i Żydzi z diaspory stali się ich głównym celem.

– To był poważny błąd z twojej strony – oznajmił Szamron.

– Nie pierwszy – odparł Gabriel. – I wiem, że nie ostatni.

– Mam nadzieję, że była tego warta.

– Olivia Watson? Tak, była.

Szamron jednak nie wydawał się przekonany.

– A może tylko wykorzystała jej historię, żeby uzasadnić jakoś to nierozważne wyznanie dla tej brytyjskiej reporterki?

– Po co miałbym to zrobić?

– Może chciałeś oznajmić wyznawcom Saladyna, że to ty go zabiłeś? Może – ciągnął Szamron – chciałeś się podpisać pod swym dziełem?

Wycofali się z tłoczego pokoju i skierowali w ulubione miejsce Szamrona na tarasie. Jezioro lśniło srebrem w świetle księżyca, a nad Wzgórzami Golan żółte i białe błyski rozpałały niebo. Amerykańska artyleria atakowała cele rozrzucone po całej Syrii.

Szamron przytknął swą starą zapalniczkę zippo do papierosa.

– Czy oni wiedzą, co robią?

– Amerykanie?

Wolno skinął głową.

– Pokazują determinację – odrzekł Gabriel.

– To nie budzi nadziei.

– Nigdy nie lubiłem tego słowa.

– No to optymizmu – zaproponował Szamron.

– Nie widzę po temu powodów – stwierdził Gabriel. – Załóżmy, że Amerykanie i ich sprzymierzeńcy pokonają w końcu ISIS i zlikwidują kalifat. Co wtedy? Czy Syria zdoła się odrodzić? Albo Irak? Czy amerykańskie siły tym razem tam zostaną, żeby chronić pokój? Mało prawdopodobne. A to oznacza, że nad Tygrysem i Eufratem pojawi się kilka milionów zbuntowanych i wyzuty z praw muzułmańskich sunnitów, którzy staną się źródłem niepokoju w tym regionie na całe pokolenia.

– Irak i Syria to sztucznie powstałe państwa, od samego początku. Może nadszedł czas, żeby nakreślić na piasku nowe granice?

– Kolejne nieudolne arabskie państwo w fazie narodzin? – Gabriel pokręcił głową.

– Tylko tego jeszcze potrzebuje Bliski Wschód.

– Może teraz, gdy Saladyn nie żyje, można by wykorzystać tę szansę. – Szamron spojrzał na niego z ukosa. – Muszę stwierdzić, mój synu, że nieco zbyt swobodnie potraktowałeś kompetencje szefa operacji.

– To przecież ty mówiłeś, że należy iść, jednocześnie żując gumę.

– Co nie znaczy, że miałeś osobiście rzucać się na Saladyna i sam go zabijać. Jak by się to skończyło, gdyby zamiast komórki trzymał w ręku pistolet?

– Tak samo.

– Mam nadzieję.

– I znów to słowo.

Szamron się uśmiechnął.

– Mam też nadzieję, że zaoszczędziłeś nieco pieniędzy.

– Rzeźnik z Damaszku – zapewnił Gabriel – pokryje koszty tajnych operacji Biura przez wiele kolejnych lat.

– Dałeś ogromnie wiele na pomoc dla jego ofiar.

– Z czasem przyniesie to zyski.

– Dobroczynność zaczyna się w domu. – Szamron spojrzał na niego z dezaprobatą.

– Czy to korsykańskie przysłowie?

– Prawdę mówiąc – wyznał – sam to wymyśliłem.

– Jedna czwarta ludności syryjskiej mieszka poza granicami swojego kraju – rozważał Gabriel. – Większość z nich to muzułmańscy sunnici. Udzielanie im wsparcia

jest rozsądną polityką.

– Jedna czwarta – powtórzył Szamron. – A setki tysięcy nie żyją. I mimo to świat oskarża o cierpienia Arabów właśnie nas. Jakby stworzenie państwa Palestyny w magiczny sposób rozwiązało wszystkie problemy arabskiego świata: brak edukacji i szansy na zatrudnienie, brutalną władzę dyktatorów, represyjny stosunek do kobiet.

– Jesteśmy na przyjęciu, Ari. Spróbuj się tym cieszyć.

– Nie mamy czasu. Przynajmniej ja. – Szamron wolno zgniótł papierosa. – Ta straszliwa wojna w Syrii powinna jasno wszystkim uświadomić, co by się stało, gdyby wrogowie przełamali nasze linie obronne. Jeśli rzeźnik z Damaszku dokonuje rzezi własnego narodu, to co zrobiłby z nami? Jeśli islamiści mordują innych muzułmanów, to co by było, gdyby Żydzi wpadli w ich ręce? – Po ojcowsku poklepał Gabriela po kolanie. – Ale to teraz twoje problemy, mój synu. Nie moje.

Patrzyli obaj na niebo, które rozpalał nocny pokaz światła – szef były i szef obecny. A w głębi domu za nimi ich przyjaciele, koledzy i ci, których kochali, na chwilę zapomnieli o troskach tego świata.

– Kiedy byłem chłopcem – odezwał się w końcu Szamron – miewałem sny.

– Ja też – powiedział Gabriel. – I wciąż je mam.

Łagodny wiatr z zachodu, od strony starożytnego pola bitwy pod Hittin, owiał im twarze.

– Słyszysz?

– Co takiego?

– Szczęk mieczy, jęki konających.

– Nie, Ari. Słyszę tylko muzykę.

– Szczęściarz z ciebie.

– Tak – potwierdził Gabriel. – Chyba tak.

[1] Direction Générale de la Sécurité Intérieure (franc.) – Dykcja Generalna
Bezpieczeństwa Wewnętrznego (przyp. red.).

[2] Richard Helms – dyrektor CIA w latach 1966-1973 (przyp. tłum.).